

Arkadij i Borys Strugaccy

Kulawy los

Chromaja sud'ba

Przekład: Irena Lewandowska

ROZDZIAŁ 1

FELIKS SOROKIN. ZAMIEĆ

W połowie mniej więcej o drugiej po południu, siedziałem przy oknie i zamiast tego, żeby zajmować się scenariuszem, piłem wino i rozmyślałem o kilku rzeczach jednocześnie. Za oknem sypał śnieg, samochody lekliwie pełzły szosą, na poboczach wyrastały zaspy i za kurtyną śniegu niewyraźnie czerniały grupy gołych drzew, szczeciniaste plamy i ciemne smugi krzaków na pustkowiu.

Moskwę zasypywało.

Moskwę zasypywało jak zapomnianą przez Boga stacyjkę gdzieś pod Akiubińskim. Już od pół godziny na samym środku szosy buksowała taksówka, która nierozważnie chciała w tym miejscu zawrócić i wyobraziłem sobie ile w tym momencie buksuje teraz w całym ogromnym mieście — taksówek, autobusów, ciężarówek i nawet lśniących limuzyn z zimowymi oponami.

Moje myśli płynęły na kilku poziomach, leniwie i ospale. Myślałem na przykład o dozorcach. O tym, że przed wojną nie było pługów śnieżnych, nie było jaskrawo pomalowanych podobnych do smoków maszyn zbierających śnieg, tylko byli dozorczy w fartuchach z miotłami, z kwadratowymi łopatami z dykty. W walonkach. A śniegu na ulicach o ile pamiętam było nieporównanie mniej. Niewykluczone co prawda, że i żywoły były wtedy nie takie...

I jeszcze myślałem o tym, że ostatnio nieustannie przydarzają mi się jakieś niemiłe, nonsensowne i nawet podejrzane historie, jakby ten kto jest panem mojego losu zidiociał z nudów i zaczął się wygłupiać kompletnie bez pojęcia — więc te wygłupy okazują się kretyńskie do tego stopnia, że na nikim, nawet na samym żartownisiu nie robią wrażenia, może się najwyżej wstydzic i kiwać palcem w bucie.

I niezależnie od tego wszystkiego nie przestawałem myśleć o tym, że już obok odsunięta na bok stoi moja maszyna do pisania marki „Tippa” z zacinającą się od urodzenia literą „p” i wkręconą kartką papieru, a na tej kartce można przeczytać: „...Wieżyczki czołgów zwrócone są na lewo, wałą z dział po stanowiskach partyzantów metodycznie, kolejno, żeby nie przeszkadzać sobie wzajemnie. Za wieżyczką pierwszego czołgu przykucnął Rudolf, dowódca czołgistów, lejtnant SS. Jest mózgiem i dyrygentem tej orkiestry śmierci. Gestami wydaje rozkazy idącym w ślad za czołgami żołnierzom SS. Partyzanckie kule, co pewien czas uderzając pancerze, rozbryzgują błoto wokół gąsienic i maleńkie fontanny wody w ciemnych kałużach.

Posterunek partyzancki na pierwszej linii, malutki okop na skraju moczarów. Dwóch partyzantów — stary i młody — zaskoczeni patrzą na zbliżające się czołgi. Bang! Bang! — strzały działek czołgowych”.

Mam pięćdziesiąt sześć lat, ale nigdy nie byłem w partyzantce i nigdy również nie odpierałem ataku czołgów. A przecież jeśli mówić otwarcie, powinienem polec w bitwie pod Łuckiem Kurskim. Cała nasza szkoła tam poległa, zostali tylko — Rafka Rezanow bez obu nóg, Wasia Kuzniecowa z batalionu karabinów maszynowych i ja z rotty moździerzy.

Mnie i Kuzniecowa na tydzień przed końcowymi egzaminami oddelegowano do Kujbyszewa. Widocznie ten, który jest panem mego losu był wtedy jeszcze pełen entuzjazmu na mój temat i koniecznie chciał zobaczyć co też ze mnie wyjdzie. I wyszło tak, że całą swoją młodość spędziłem w wojsku i zawsze uważałem za swój obowiązek pisać o wojsku, o oficerach, o atakach czołgów, chociaż z upływem lat coraz częściej przychodziło mi do głowy — właśnie dlatego, że uszedłem z życiem najzupełniej przypadkowo, akurat nie ja powinienem o tym pisać.

Właśnie o tym pomyślałem w tej chwili patrząc przez okno na zasypywany śniegiem Trzeci Rzym, uniosłem szklankę i wypilem solidny łyk. Obok buksującej taksówki stały teraz jeszcze dwa samochody, brodziły w śniegu przyginane zamiecią smętne figury z łopatami.

Popatrzyłem na półki z książkami.

Mój Boże, pomyślałem nagle i poczułem chłód w sercu, przecież to jest mój ostatni księgozbiór i teraz już ostatni. Z pierwszego została mi tylko jedna książka, obecnie już niewątpliwy biały kruk Paweł Makarow „Adiutant generała Maj–Majewskiego”. Według tej książki nakręcono niedawno serial telewizyjny „Adiutant Jego Eksceleencji”, niezły serial, może nawet i dobry, tyle tylko, że z książką ma niewiele wspólnego. W książce wszystko jest znacznie solidniejsze i poważniejsze, chociaż przygód i czynów bohaterskich znacznie mniej. Ten Paweł Wasiliewicz Makarow był widocznie wybitnym człowiekiem i miło jest czytać na odwrocie karty tytułowej dedykację, napisaną chemicznym ołówkiem „Drogiemu towarzyszowi Aleksandrowi Sorokinowi. Niechaj ta książka będzie wspomnieniem o żywym adiutancie generała Maj–Majewskiego, zastępcy dowódcy Krymskiej Powstańczej. Ze szczerym partyzanckim pozdrowieniem Paweł Makarow. Leningrad 6 IX 1927 rok”. Mogę sobie wyobrazić, jak cenił tę książkę mój ojciec, Aleksander Aleksandrowicz Sorokin. Zresztą niczego takiego nie pamiętam. I zupełnie nie pamiętam jak tej książce udało się ocaleć, kiedy nasz dom w Leningradzie zburzyła bomba i pierwszy nasz księgozbiór przepadł w całości.

Z drugiego księgozbioru w ogóle nic nie zostało. Gromadziłem te książki w Kańsku, gdzie dwa lata do skandalu, w który się wplątałem wykładałem na kursach szkoleniowych. Sytuacja była taka, że mój wyjazd z Kańska był wyjątkowo pośpieszny sterowany z góry kategorycznie i bezapelacyjnie. Zdążyliśmy wtedy z Klarą zapakować książki i nawet zdążyliśmy je nadać do Irkucka, ale oboje spędziliśmy w Irkucku zaledwie dwa dni, po tygodniu byliśmy już w Korsakowie, a po kolejnym płynęliśmy trałowcem do Pietropawłowska, tak że mój drugi księgozbiór nigdy mnie już nie odnalazł.

Do dziś tak mi żal, że nie mogę się otrząsnąć. Miałem tam cztery tomy „Tarzana” po angielsku, które kupiłem w czasie urlopu w antykwariacie, tym na Litejnym w Leningradzie. „Wehikuł czasu” i tomik opowiadań Wellsa z dodatku do „Wsiemirmowo sledopyta” z ilustracjami Fitinhofa, oprawiony rocznik „Dookoła świata 1927”... Namiętnie lubiłem wtedy tego rodzaju lektury. A miałem jeszcze w moim drugim księgozbiorze kilka książek, których losy były doprawdy niezwykle.

W pięćdziesiątym drugim roku w Siłach Zbrojnych wydano rozkaz likwidacji całej produkcji wydawniczej o treściach szkodliwych ideologicznie. A w magazynach naszych kursów zwalono całą zdobyczną bibliotekę należącą najwidoczniej do jakiegoś dygnitarza dworu imperatora Pu. I rzecz jasna nikt nie miał ani ochoty, ani możliwości zorientować się, gdzie wśród tysięcy tomów po japońsku, chińsku, koreańsku, angielsku i niemiecku, w tych pleśniejących już stertach są jagnięta, gdzie koźleta, rozkazano więc skasować wszystko.

...Była pełnia lata, straszny upał, skracaly się okładki w płomiennych, czarno krwawych stertach, usmoleni jak diabły w piekle biegali kursanci, latały nad całymi koszarami leciuteńkie kłaki sadzy, a nocą nie bacząc na najsurowsze zakazy, my oficerowie — wykładowcy skradaliśmy się do przygotowanych na dzień następnny stosów, chciwie łapaliśmy co popadło i zabieraliśmy do domów. Mnie trafiła się znakomita „Historia Japonii” po angielsku, „Historia śledztwa w epoce Mejdzi”... a tam, co za różnica, ani wtedy, ani później nigdy nie miałem czasu, żeby to wszystko dokładnie przeczytać.

Trzeci księgozbiór oddałem do paranajskiego domu kultury, kiedy w pięćdziesiątym piątym wracałem z Kamczatki.

Jak to się stało, że jednak złożyłem raport o zwolnienie? Przecież byłem wtedy nikim, nie umiałem nic robić, kompletnie nie przygotowany do życia w cywilu, obciążony kapryśną żoną i cherlawą Katią... Nie, nigdy bym nie ryzykował gdybym w wojsku mógł na cokolwiek liczyć. Ale w wojsku na nic liczyć nie mogłem, a przecież byłem wtedy młody, ambitny i

słabo mi się robiło, kiedy po latach widziałem siebie wciąż tym samym lejtnantem, wciąż tym samym tłumaczem.

Dziwne, że nigdy o tych czasach nie piszę. Przecież taki materiał powinien zainteresować każdego czytelnika.

Każdy czytelnik coś takiego kupiłby po prostu na pniu, szczególnie gdyby to napisać w takiej męskiej współczesnej stylistyce, od której mnie osobiście już od dawna odrzuca na kilometr, ale która nie wiadomo dlaczego strasznie się wszystkim podoba. Na przykład:

„Pokład „Konei maru” był śliski, śmierdziało zepsutą rybą i kiszoną rzodkwią. Szyby na mostku były wybite, a okna ktoś zakleił papierem...”

(Ważne jest, żeby jak najczęściej powtarzać „były”, „był”, „było”. Szyby były wybite, morda była wykrzywiona...)

Walentin, przytrzymując automat na piersi, wszedł na mostek. „Santio, wychodzić” — powiedział surowo.

Pokazał się szyper. Był stary, przygarbiony, twarz miał bez zarostu, z podbródka sterczały mu rzadkie siwe włosy. Głowę obwiązał chustką z czerwonymi hieroglifami, na prawej stronie kurtki też były hieroglify tylko białe. Na nogach szyper miał ciepłe skarpetki z jednym dużym palcem. Szyper podszedł do nas, złożył ręce na piersi i skłonił się. „Zapytaj go czy wie, że jest na naszych wodach” — rozkazał major. Zapytałem. Szyper odpowiedział, że nie wie. „Zapytaj go, czy wie, że połów w granicach dwudziestomilowej strefy jest zabroniony” — rozkazał major.

(To też jest ważne — rozkazał, rozkazał, rozkazał...)

Zapytałem. Szyper odpowiedział, że wie i jego wargi rozciągnęły się obnażając rzadkie, żółte zęby. „Powiedz mu, że zatrzymujemy statek i załogę” — rozkazał major. Przetłumaczyłem. Szyper szybko pokiwał, aż zatrzęsła mu się głowa. Znowu złożył dłonie na piersi i zaczął mówić szybko i niewyraźnie. „Co on mówi?” — zapytał major. O ile zrozumiałem, szyper prosił, żeby zwolnić kuter. Mówił, że nie może wrócić do domu bez ryb, że wszyscy oni umrą z głodu.

Mówił w jakimś dialekcie, zamiast „ki” wymawiał, ksi”, zamiast „cu”

— „tu”, i zrozumieć go było bardzo trudno...”

Czasami wydaje mi się, że mógłbym tak pisać kilometrami. Ale prawdopodobnie to nie tak. Kilometrami można pisać o tym, co jest człowiekowi zupełnie obojętne.

Po tygodniu, kiedy rozstawaliśmy się, szyper podarował mi tomik Kikut-ikana i „Człowieka-cień” Akutagawy. I oto stoją tu obok siebie, Paranajskiemu Domowi Kultury na nic by się nie przydały.

„Człowiek-cień” — pierwsza japońska książka, którą przeczytałem od początku do końca. Lubię Hirai Taro, nie przypadkiem wybrał sobie pseudonim — Edgawa Rampo — Edgar Allan Poe...

A mój czwarty księgozbiór został u Klary. I Bóg z obojgiem. Niepotrzebnie, och, niepotrzebnie dotykam teraz tych spraw. Ile to już razy przysięgałem sobie nawet myślą nie wracać do tych, którzy uważają, że ich skrzywdziłem i poniżyłem. I tak wiecznie jestem komuś coś winien, czegoś nie dotrzymałem, kogoś zawiodłem, zepsułem czyjeś plany... i czy przypadkiem nie dlatego, ponieważ wyobraziłem sobie, że jestem wielkim pisarzem, któremu wszystko wolno?

Wystarczyło, żebym tylko wspomniał o moim nieuleczalnym przekleństwie, kiedy natychmiast zadzwonił telefon i nasz przewodniczący, Fiodor Micheicz z wyraźnie zauważalną irytacją w głosie zainteresował się, kiedy wreszcie zamierzam pojechać na Banną.

To niesolidnie Feliksie Aleksandrowiczu, mówił. Dzwonię do ciebie już czwarty raz, mówił, i wszystko jak groch o ścianę. Przecież nie gonię cię, pismaku, mówił, do magazynu, żebyś przebierał zgniłe buraki. Doktorzy, uczeni, mówił, muszą tam chodzić, a ciebie proszę tylko, żebyś pojechał na Banną i zawiózł tam dziesięć kartek maszynopisu, nie podźwigniesz

się. I nie dla mojej przyjemności, mówił, nie dlatego, że ktoś miał taki kaprys, sam przecież głosowałeś, żeby tym lingwistom — cybernetykom, matematykom pomóc... nie dotrzymałeś... zawiodłeś... wyobrażasz sobie...

Co mi zostało do zrobienia? Znowu obiecałem, że pojedę, pojedę zaraz dzisiaj, z chrzęstem i łoskotem, z gniewnym wyrzutem po tamtej stronie rzucono słuchawkę. A ja spieszenie wylałem z butelki resztkę wina do szklanki, i wypilem, żeby się uspokoić, myśląc z przerażającą wyrazistością, że nie to parszywe wino powinienem wczoraj kupić, tylko koniak, albo jeszcze lepiej, zwyczajną wódkę.

A chodziło jeszcze o to, że jeszcze zeszłej jesieni nasz sekretariat postanowił odpowiedzieć pozytywnie na prośbę jakiegoś Instytutu Lingwistycznych zdaje się Problemów, aby wszyscy pisarze moskiewscy dostarczyli do tego instytutu po kilka stron swoich rękopisów, jako szczególnego materiału szczególnego rodzaju badań, coś na temat teorii informacji, jakiejś entropii językowej... Żaden z nas nic nie zrozumiał, oprócz być może Ganka Aganiana, który to podobno pojął, ale i tak nikomu nie potrafił wytłumaczyć. Zrozumieliśmy tylko tyle, że temu Instytutowi trzeba, możliwie najwięcej pisarzy, a cała reszta jest nieważna. Jakie konkretne stroniczki — nieważne, ile stroniczek — nieważne. Należy tylko zanieść je na Banną dowolnego dnia roboczego, godziny przyjęć od dziewiątej do piątej. Wtedy nikt nie miał nic przeciwko temu, wręcz przeciwnie, wielu nawet pochlebiało, że mogą uczestniczyć w postępie naukowo-technicznym, tak, że jak opowiadano w pierwszym okresie na Bannej były nawet kolejki i dochodziło do awantur. A potem wszystko jakoś ucichło, odeszło w niepamięć i teraz oto nieszczęsny Fiodor Micheicz raz na miesiąc, albo i częściej ściga nas, leniwych, zawstydza, ruga przez telefon i przy spotkaniach.

Oczywiście, to nic chwalebne leżeć jak kłoda na drodze naukowo — technicznego postępu, ale z drugiej strony — przecież wszyscy jesteśmy ludźmi: albo kiedy jestem na Bannej, przypominam sobie, że należałoby wpaść, ale nie mam przy sobie rękopisu; albo trzymam już wprawdzie rękopis pod pachą, wybieram się już właśnie na Banną, a w niepojęty sposób trafiam nie na Banną, tylko do klubu. Wszystkie te zagadkowe dewiacje tłumaczę tym, że po prostu nie sposób traktować poważnie ten, jak również inne pomysły naszego sekretariatu. No bo doprawdy, jak może być u nas nad rzeką Moskwą językowa entropia? A przede wszystkim, co ja mam z tym wspólnego?

Jednak wyjścia nie było, i zabrałem się do szukania teczki, do której o ile pamiętam w zeszłym tygodniu, czy dwa tygodnie temu włożyłem brudnopisy. Nigdzie na wierzchu teczki nie było i wtedy przypomniałem sobie, że wtedy kiedy zamierzałem iść na Banną z „Zagranicznego inwalidy”, dokąd poszedłem z Kap–Kapyczem do Nos–Nosycza, żeby zrobić awanturą z powodu artykułu. Ale w drodze powrotnej z „Inwalidy” nie dotarliśmy na Banną, a dotarliśmy do restauracji „Psków”. Tak, że chyba nie miało sensu szukać teraz tej teczki.

Dzięki Bogu, na brak brudnopisów już od dawna nie mogę narzekać. Stękając wstałem z fotela, podszedłem do regału, do najdalej półki i z jękiem usiadłem obok niej wprost na podłodze. Ach, ile ruchów mogę teraz wykonać jedynie jęcząc i stękając — zarówno cielesnych jak i duchowych.

(Jęcząc budzimy się ze snu. Jęcząc odziewamy szaty. Jęcząc szybuje nasza myśl. Jęcząc słyszymy kroki ognistego żywiołu, ale bądźmy gotowi kierować falą płomieni. „Upaniszady” jak mi się zdaje. A może nie całkiem „Upaniszady”. Albo w ogóle nie „Upaniszady”).

Stękając, otworzyłem drzwiczki dolnej szafki i na kolana wypadły mi tekturowe teczki, bruliony w kolorowych ceratowych okładkach, poźółkłe, gęsto zapisane kartki spięte zardzewiałymi spinaczami. Wziąłem pierwszą teczkę z brzegu — z załamanyymi ze starości brzegami, zjedną tylko brudną tasiemką, z niezliczonymi na wpół zatartymi napisami na wierzchu, można było odczytać tylko jakiś stary nieaktualny już telefon, sześciocyfrowy, z literą i jeszcze kilka hieroglifów namalowanych zielonym atramentem „Seinen dzidai–no saku” — „Utwory młodzieńczych lat”. Do tej teczki nie zaglądałem z piętnaście lat. Tu

wszystko było bardzo stare, z czasów Kamczatki, a może i wcześniejszych, czasów Kańska, Kazania — kartki wydarte z zeszytów w linię, zeszyty robione domowym sposobem, zeszyte surową nitką, oddzielne kartki szorstkiego żółtawego papieru, ni to pakowego, ni to po prostu zetłatego do niemożliwości, i wszystko zapisane ręcznie, ani jednej linijki, ani jednej litery na maszynie.

„Ponury Murzyn wywiózł z gabinetu fotel z ruiną człowieka. Szef starannie zamknął za nim drzwi...”

Jaki Murzyn? Jaka ruina? Nic nie pamiętam.

— „Ale, ale, nie zauważył pan, czy wśród bolszewików byli Chińczycy? — zapytał nagle szef.

— Chińczycy? M–m–m... Zdaje się, że byli. Chińczycy, albo Koreańczycy, albo Mongołowie. W każdym razie żółci...”

Tak–tak–tak–tak! Przypomniałem sobie! To był taki pamflet polityczny... Nie. Nic nie pamiętam.

„Twierdza padła, ale garnizon zwyciężył”.

Tak.

— „Widzę cię! Widzę cię! — zaryczał Króliczy Bobek dostrzegając widzialnego przeciwnika... I nowy strzał z ciemności niebezpieczeństwa górze...”

A–a — a, to przecież mój przekład z Kiplinga. Tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty trzeci rok. Kamczatka. Siedzę i tłumaczę Kiplinga ponieważ z braku widzialnego przeciwnika nie miałem nic innego do roboty. Tak, namęczyłem się, jak pamiętam z tym przekładem, ale była to dla mnie wspaniała szkoła, nie ma lepszej szkoły dla tłumacza niż świetna literatura, opisująca absolutnie nieznamy świat, konkretnie zlokalizowany w czasie i przestrzeni...

A oto „Zdarzenie w czasie warty”. Też pięćdziesiąty trzeci rok i też Kamczatka.

„Później Berkutow pełniący wartę przy wejściu na wartownię, w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, co najpierw wzbudziło jego czujność i spowodowało, że mocniej ujął broń, z napięciem wsłuchując się w niewyraźne dźwięki ciepłej lipcowej nocy. Po prostu do szelestu liści, odgłosu własnych kroków, sennego poskrzypywania gałęzi dołączyło się...” no i tak dalej. Mówiąc krótko, pod osłoną nocy podkradli się do wartownika, napadli na niego, a on tracąc siły skierował ogień na siebie.

Byłem wtedy jeśli chodzi o moje poglądy na literaturę wielkim moralistą, i to nie po prostu moralistą, ale natchnionym piewą wojskowych regulaminów. I dlatego towarzysze żołnierze, najważniejsze w danym konkretnym „Zdarzeniu w czasie warty” było to:

„Jak mogło się zdarzyć, że Linko, który tak dobrze znał regulamin, zlekceważył do takiego stopnia regulamin służby garnizonowej i wartowniczej? A ty Berkutow? Czy nie okazałeś się ślamazarą, kiedy nie zauważyłeś dokąd poszedł Simakow? A my wszyscy — jak mogliśmy nie zauważyć, że Simakowa nie było razem z nami, kiedy zarządzono alarm bojowy?”

Jak dziwnie mi jest czytać dzisiaj to wszystko! Jakby ktoś opowiadał z rozczeniem o tym, jak wtedy, kiedy miałeś trzy latka, nie wytrzymałeś i zrobiłeś kupę w czasie wielkiego przyjęcia. A przecież nie trzy latka, tylko miałem wtedy już dwadzieścia osiem. Ale tak bardzo chciałem zobaczyć w druku swoje nazwisko, poczuć się pisarzem, wystawić na widok publiczny pieczęć kochanka muz i ulubieńca Apollina! I jakie to było gorzkie rozczarowanie, kiedy „Suworowski szturm”, daj mu Boże zdrowie, zwrócił mi mój rękopis pod uprzejmym pretekstem, że „Zdarzenie w czasie warty” nie jest typowe dla naszej armii! Święte słowa. W nowym życiu stałem na warcie ze dwieście godzin i tylko raz w szeleście liści i do odgłosu własnych kroków, a w szczególności do sennego skrzypienia gałęzi dołączyły się obce dźwięki — w egipskich ciemnościach ktoś uparcie i nieustraszenie ładował się na ogrodzenie z drutu kolczastego, nijak nie reagując na moje rozpaczliwe okrzyki: „Stój! Stój, kto idzie?”

Stój, bo strzelam!” Zwabiona wystrzałem zwierchność wykryła zaplątanego w drutach kolczastych, zabitego na miejscu kozła. W pierwszej chwili obiecano mi areszt garnizonowy, ale potem jakoś się obeszło...

Nie, nie oddam im mojego „Zdarzenia w czasie warty” na sekcję. Niech sobie leży. I znowu pomyślałem, że to jednak wyjątkowo głupi pomysł z językową entropią, jeśli im wszystko jedno co analizować: „Zdarzenie w czasie warty”, czy fotel na kółku z ruiną człowieka.

Odłożyłem „Utwory lat młodzieńczych” na bok i wziąłem inną paczkę wyglądającą już zupełnie współcześnie, w dobrym stanie, starannie zawiązaną czerwonymi tasiemkami. Na wierzchu była biała nalepka, na nalepce napis „fragmenty, rzeczy nie opublikowane, fabuły, plany”. Otworzyłem teczkę i od razu trafiłem na opowiadanie „Narcyz” napisane w pięćdziesiątym siódmym roku. To opowiadanie pamiętam bardzo dobrze. Występują w nim: doktor Lobs, Choux du Gruzelle, hrabia Dencke, baronowa Lust... postaci epizodyczne Cartes-Chanobc „idiota wagi ciężkiej, który stał się impotentem w wieku lat szesnastu”, oraz Stella Boix-Cosu, rodzona ciotka hrabiego Denckera, sadystka i lesbijka. Sens opowiadania polegał na tym, że wspomniany Choux du Gruzelle, arystokrata i hipnotyzer nadzwyczajnej siły, zderzył się ze swoim odbiciem w lustrze w momencie kiedy Jego spojrzenie pełne było żądz, błagania, czulego, władczego nakazu, wezwania do pokory i miłości”. A ponieważ potężnej woli Choux du Gruzelle nie mógł się przeciwstawić nawet sam Choux du Gruzelle, biedactwo do szaleństwa zakochał się sam w sobie. Jak Narcyz. Diabelnie eleganckie i arystokratyczne opowiadanie. Jest w nim jeszcze i taki fragment „Na jego szczęście, po Narcyzie, żył jeszcze pastuch Onan. Tak więc hrabia żyje sam z sobą, wprowadza samego siebie w wielki świat, kokietuje panie, prawdopodobnie przyjemną i podniecającą zazdrość o samego siebie”.

Ajajaj, jaka manieryczna, nieprzystojna, salonowa zupa! Pomyśleć tylko, że wyrosła z tego samego kawałeczka mojej duszy, co i moje „Bajki współczesne”, piętnaście lat potem, z tego samego kawałeczka, z którego wyrasta teraz moja „Niebieska Teczka”...

Nie, nie dam im mojego „Narcyza”. Po pierwsze dlatego, że mam tylko jeden egzemplarz. A po drugie nikt wcale nie musi wiedzieć, że Sorokin Aleksandrowicz, autor powieści „Towarzysze oficerowie” i sztuki „Ranni do środka!”, że już nie wspomnę o scenariuszach i reportażach z życia żołnierzy, pisze jeszcze jak się okazuje rozmaite pornograficzne fantasmagorie.

A oto co im dam. Pięćdziesiąty ósmy rok. „Koriaginowie”. Sztuka w trzech aktach. Osoby: Sergiej Iwanowicz Koriagin, uczony około 60 lat, Irina Pietrowna, jego żona 45 lat, Nikołaj Sergiejewicz Koriagin, jego syn z pierwszego małżeństwa, zdemobilizowany oficer, około 30 lat. I jeszcze siedem osób — studenci, malarze, kursanci Akademii Wojskowej. Akcja dzieje się współcześnie w Moskwie.

Ania: Słuchaj, czy mogę ci zadać jedno pytanie?

Nikołaj: Spróbuj.

Ania: A nie obrazisz się?

Nikołaj: To zależy... nie, nie obrażę się. Chodzi o moją żonę?

Ania: Tak. Dlaczego się z nią rozwiodłeś?

Bardzo dobrze. Anton Pawłowicz Czechów, Konstantin Sergiejewicz Stanisławski, Władimir Iwanowicz. A przede wszystkim nie ukończone i nigdy ukończone nie będzie, to właśnie im oddamy.

Odłożyłem rękopis za siebie i zacząłem wpychać i ugniatać w szafce całą resztę, a wtedy wpadł mi w ręce brulion w lepkiej ceratowej okładce, spęczniały od tkwiących w nim postronnych kartek. Aż się roześmiałem z radości i powiedziałem do niego „Tuś mi bratku!”, ponieważ był to brulion umiłowany, bezcenny, ponieważ był to mój dziennik, który zgubiłem w zeszłym roku, kiedy ostatni raz robiłem porządek w moich papierach.

Zeszyt sam się w moich rękach otworzył i znalazłem w nim mój ukochany wieczny ołówek z Czechosłowacji, nie był to zwykły ołówek, tylko ołówek przynoszący szczęście; wszystkie fabuły należało zapisywać tylko nim, nie żadnym innym, chociaż należy przyznać, że był wyjątkowo niewygodny, ponieważ obudowa pękła w dwóch miejscach i grafit przy każdym niezręcznym naciśnięciu wpadał do środka.

Okazuje się, że już zupełnie zapomniałem, że zacząłem ten zeszyt 30 marca, prawie dokładnie jednaście lat temu. Pisałem wtedy nowelę „Pancerna rodzina” — o współczesnych pokojowych, jeśli tak można powiedzieć, czołgistach. Pisało mi się ciężko, krwią i potem pisałem tę nowelę. Pamiętam, że kilkakrotnie jeździłem na delegacje do rozmaitych jednostek, odmroziłem sobie prawe ucho, ale i tak nic z tego nie wyszło. Nowelę odrzucono. Dobrze, że chociaż zaliczki nie musiałem zwracać.

Przeglądałem stroniczki z monotonnymi notatkami:

2.04. Napis. 5 str. Wieczorem 2 str. Razem 135

3.04. Napis. 4 str. Wieczorem 1 str. Razem 140...

To niewątpliwy znak — jeśli nie ma innych notatek, prócz statystycznych to znaczy, że albo idzie mi robota bardzo dobrze, albo wcale. Zresztą 7.04 dziwaczna notatka „Pisałem skargę do senatu”. I jeszcze jedna „Odrażający, jak niedopałek w pisuarze”. 13.05 „Nic tak nie sprzyja dorastaniu jak zdrada”.

A oto ten dzień, w którym zacząłem układać bajki współczesne.

21 maja 72 roku. „Historia o robotniku, który dostał nowe mieszkanie. Pracują u niego, tragarz, cykliniarz, hydraulik — wszyscy kandydaci nauk. I nikt nie może już z niego wyjść. Cykliniarzowi uwiązał palec w parkiecie, tragarza zasunięto szafą, hydraulik zamiast spirytusu wypił eliksir i stał się niewidzialny. I jeszcze skrzat domowy. I murarz zamurowany w przewodzie wentylacyjnym. I przychodzi Katia”.

To jeszcze nie „Bajki współczesne”. Do „Bajek współczesnych” było jeszcze wtedy bardzo daleko. Nie poradziłem sobie wtedy z tym pomysłem i teraz już nawet nie pamiętam — kto dostał to mieszkanie? Dlaczego skrzat? Co za eliksir?

Albo jeszcze jeden pomysł z tamtych czasów.

28.10.72. „Człowiek (magik), którego wszyscy uważali za przybysza z kosmosu”. W tamtych czasach oszaleli na punkcie latających talerzy. Nikt o niczym innym nie rozmawiał.

Baalbekska weranda, Tassilskie rysunki, cywilizacje pozaziemskie. Wymyśliłem wtedy — żyje sobie pewien człowiek, o niczym takim nie myśli, jest z zawodu magikiem, i to magikiem o bardzo wysokich kwalifikacjach. I nagle dostrzega niepokojące zainteresowanie, jakie wzbudza w swoim otoczeniu. Sąsiedzi z tego samego piętra dziwnie z nim rozmawiają, przychodzi dzielnicowy, interesuje się rekwizytami i snuje mgliste rozważania na temat prawa zachowania energii. „To znikające jajo — mówi — nie zgadza się obywatelu, że współczesnymi wyobrażeniami o prawie zachowania”. Wreszcie wzywają go do kadr i tam u personalnego siedzi jakiś obywatel, nawet jakby znajomy, ale ma tylko jedno oko. I personalny zaczyna wypytywać mojego bohatera, ile cerkwi jest w jego rodzinnym Zabubieńsku, czyj pomnik stoi tam na głównym placu i czy przypadkiem nie pamięta ile okien jest na froncie budynku urzędu miasta. A mój bohater, rzecz jasna nic z tego wszystkiego nie pamięta, atmosfera podejrzliwości wciąż się zagęszcza, i już zaczynają się rozmowy o przymusowej ekspertyzie lekarskiej... Czym powinna się kończyć ta cała historia, nie udało mi się wymyślić — jakoś mi nie wyszło. I teraz bardzo żałuję, że tak się stało.

Drugiego listopada zapisałem: „Nie pracowałem, boli mnie brzuch”, a trzeciego — krótko „Na pół gwizdka”.

Z ciepłym uczuciem smutku przeglądałem swój dziennik roboczy, kartkę po kartce. „Człowiek — to duszyczka obciążona trupem. Epiklet”.

„Kwiatki pachnących prerii Ławrienticz Pałycz Beria”.

„Przeciw komu się przyjaźnicie?”

„Literatura rectalna”.

„Tylko te nauki rozprzestrzeniają światło, które sprzyjają wykonywaniu zaleceń zwierzchności. Sałtykow–Szczedrin”.

„Pędził spirytus z paznokci alkoholików”.

A to znowu dla „Współczesnych bajek”.

„Kot Elegant. Pies o nazwisku Wierny, czyli Wierka. Chłopiec wunderkind, czyta „Formy kubistyczne” J. Manina, okularnik, kiedy zmywa naczynia lubi śpiewać piosenki Wysockiego. Dwanaście lat, liczy w systemie ósemkowym. Cytuje prace Illicza–Swiatycza. Kot, z rankami, kiedy wraca z dachu, pierze rękawiczki. Psa uczy się nie spać przy jedzeniu, posługiwać się nożem i widelcem, wobec czego demonstracyjnie wstaje od stołu i urażony hałaśliwie gryzie kość pod gankiem. Kot Elegant o pewnym gościu: Ten Pietrowski — Zelikowicz to wykapany buldog Ramzes, któremu tej wiosny za chamskie zaczepki rozdrapałem mordę do krwi”.

Jeszcze takie zdania:

„Mylili sentymenty z simmentalami”.

„Maria Pawłowna, kiedy była z Ostrowskim nosiła futro szesnaście lat, odkupiłam od niej, zaczęłam czyścić — trzy wszy znalazłam, jedna stara, do tego gada po angielsku...”

Wepchnąłem pozostałe teczki i papiery do szafki i przeniosłem się za biurko. Coś takiego czasem na mnie nachodzi — biorę swoje stare rękopisy, albo stare dzienniki i zaczyna mi się wydawać, że to wszystko to jest właśnie moje prawdziwe życie — pokreślone karteczki, jakieś wykresy, na których wyjaśniałem sobie kto gdzie stoi, w którą stronę patrzy, urywki zdań, projekty scenariuszy, brudnopisy, z których nigdy nic już nie będzie, i oschle monotonne: „napisane 5 str. Wieczorem. Napis. 3 str.” A żony, dzieci, komisje, seminaria, delegacje, jesiotr po moskiewsku, przyjaciele — gaduły, przyjaciele — milczki — to wszystko sen, fatamorgana, miraż bezwodnej pustyni, może było to w moim życiu, a może nie było.

To na przykład niezła fabuła. Dokładnej daty nie wiadomo dlaczego nie ma, początek siedemdziesiątego trzeciego roku.

„... Uzdrowiskowe miasteczko w górach. Niedaleko od miasta jaskinia. A w niej — kap–kap–kap — w kamienne zagłębienie kapie Żywa Woda. W ciągu roku zbiera się jedna próbówka. Wie o tym tylko pięcioro ludzi na świecie. Póki piją tę wodę (po naparstku rocznie) są nieśmiertelni. Ale przypadkiem dowiaduje się o tym ktoś szósty. A Żywej Wody wystarcza tylko dla pięciu. A ten szósty to brat piątego i szkolny przyjaciel czwartego. Trzeci człowiek — kobieta, Katia zakochana w czwartym i za podłość nienawidzi drugiego. Kłębowisko. A szósty na dodatek jest wielkim altruistą i ani siebie nie uważa za godnego nieśmiertelności, ani pozostałych pięciu...”

O ile pamiętam, nie napisałem tej powieści dlatego, że się kompletnie zaplątałem. Zbyt skomplikowany był system wzajemnych relacji, przestałem go ogarniać wyobraźnią. A mogło wyjść pasjonująco — śledzenie szóstego, i groźby, i zamachy i wszystko w takim filozoficzno — psychologicznym sosie, i pod koniec mój altruista — pacyfista przemieniał się w taką krwiożerczą bestię, że aż przyjemnie popatrzeć, a wszystko dlatego, że miał takie wzniosłe zasady i takie szlachetne zamiary.

W tym samym momencie, kiedy czytałem szkic tej fabuły, rozległ się dzwonek do drzwi. Aż się wzdrygnąłem, ale od razu ogarnęło mnie radosne przeczucie. Gubiąc i łapiąc w biegu kaptcie otworzyłem drzwi. Oczywiście, to była ona, moja dobra wróżka, długo wyczekiwana, zarumieniona od zamieci, oproszona śniegiem. Kława. Weszła, błyskając zębami, przywitała się i poszła prosto do kuchni, a ja już biegłem gubiąc kaptcie po dowód osobisty, i otrzymałem sto dziewięćdziesiąt sześć rubli słownie i jedenaście kopiejek cyframi za recenzje z okropnych utworów przysyłanych do literackiego miesięcznika. Jak zawsze wręczyłem Kławie rubla, jak zawsze na początku odmówiła, a potem jak zawsze przyjęła z

wdzięcznością i jak zawsze odprowadzając ją powiedziałem „Proszę przychodzić częściej”, a ona odpowiedziała „To niech pan więcej pisze”.

Oprócz pieniędzy, Klawa zostawiła na kuchennym stole długą całą w jaskrawych znaczkach i nalepkach z czerwono-biało-niebieskim brzegiem kopertę poczty lotniczej. Z Japonii. „Pan Feliks Aleksandrowicz Sorokin”.

Wziąłem nożyczki i obciąłem brzeg koperty i wyjąłem dwa arkusiki cienkiego ryżowego papieru. Pisał do mnie niejaki Rhi Takami i pisał po rosyjsku.

„Tokio, 25 grudnia 1981 roku. Wielce szanowny panie Sorokin! Jeśli pan mnie pamięta, poznaliśmy się na wiosnę 1975 roku w Moskwie. Byłem w japońskiej delegacji pisarzy, pan siedział obok i łaskawie podarował mi swoją książkę „Współczesne bajki”. Książka bardzo mi się spodobała od razu. Niejednokrotnie zwracałem się do naszego wydawnictwa „Hajakawa” i magazynu „Es-Ef”, ale nasi wydawcy są konserwatywni. Jednak teraz dzięki temu, że pana książka ma sukces w USA, wreszcie nasze wydawnictwa zaczęły zwracać uwagę na Pańską książkę i widocznie miały zamiar wydać Pańską książkę. To świadczy, że nasza kultura wydawnicza znajduje się pod silnym wpływem amerykańskiej — taka jest rzeczywistość. Ale jakby nie było, ten nowy kierunek w naszym wydawniczym świecie jest tak radosny i dla Pana i dla mnie. Według planu mojej pracy, kończę przekład Pańskiej książki w lutym przyszłego roku. Ale niestety, nie rozumiem niektórych słów i wyrażeń (Znajdzie je Pan w aneksie). Chciałbym Pana prosić o pomoc. Na początku każdej bajki cytowane są zdania z utworów różnych pisarzy. Jeśli nic Panu nie przeszkodzi, proszę poinformować mnie w jakich tytułach i w jakich miejscach mogę je znaleźć. Chcę zapoznać Pana i Pańską działalność literacką z naszymi czytelnikami, jak można najdokładniej, ale niestety nie mam teraz o nich ostatnich wiadomości. Byłbym bardzo rad, gdyby Pan zawiadomił mnie jakie jest teraz położenie Pańskiej pracy, życia osobistego i przysłał swoje fotografie... I jeszcze pragnę czytać artykuły i krytyki o Pana literaturze i dowiedzieć się, gdzie (w jakich periodykach, gazetach i książkach) mogę je znaleźć. Chciałbym prosić o okazanie mi pomocy, o którą prosiłem wyżej. Z góry dziękuję Panu za nią. Z prawdziwym poszanowaniem (podpis hieroglifami)”.

Przeczytałem ten list dwukrotnie i po jakimś czasie złapałem się na tym, że siedzę z życzliwym uśmiechem i oburącz podkręcam wąsy. Szczerze mówiąc absolutnie nie przypominam sobie tego Japończyka, niemniej jednak, czułem do niego teraz najżywszą sympatię, a nawet powiedziałbym wdzięczność. A więc i do Japonii przywędrowały już moje bajki. Że tak powiem boku — no otogibanasi-wa Nippon-made-mojatto tassimasta...

Ogarnęły mnie różnorodne uczucia — do zachwyty nad samym sobą włącznie. I na fali tych uczuć bez trudu wypatrzyłem lodowaty strumień złośliwej radości. Znowu przypominałem sobie ironiczne uśmieszki i pełne zdziwienia retoryczne pytania w krytycznych artykułach, zaczepki pijackie i brutalnie-przyjacielskie: „Ty co stary, z byka spadłeś? Całkiem ześwirowałeś, co?” Teraz oczywiście to wszystko należy już do przeszłości, ale okazuje się niczego nie zapomniałem. I nikogo nie zapomniałem. I jeszcze nagle przypominałem sobie, że kiedy mam wieczór autorski w domu kultury, albo w zakładzie pracy, to jeśli ktoś coś o mnie słyszał, nie tylko jako o autorze „Towarzyszy oficerów” i oczywiście niejako autorze niezliczonych reportaży z życia wojska, tylko właśnie jako twórcy „Bajek współczesnych”. Bardzo często dostaję kartki „Czy przypadkiem nie jest pan krewnym tego Sorokina, co napisał „Bajki współczesne?””

Przypomniałem sobie o drugim arkusiku z koperty, rozłożyłem go i pobieżnie przejrzałem. Najpierw wątpliwości Riu Takami rozbawiły mnie, ale nie minęło parę minut, kiedy zrozumiałem, że nic szczególnie zabawnego mnie nie czeka.

A czeka mnie wyjaśnienie i do tego na piśmie, do tego Japończykowi, co znaczą takie na przykład wyrażenia „pić mleko przetakiem”, „cały w skowronkach”, „zmarnowany wygląd”, „pełne gacie radości”, „strzelić sobie jednego”, „zalać się w trupa”... Ale to jeszcze pół biedy,

koniec końców nie tak trudno wytłumaczyć Japończykowi, że „lufa” w żargonie uczniów oznacza „dwójkę, jako ocenę, w nawiasie stopień”, a „oszołomiasty” oznacza w gruncie rzeczy tylko „wspaniały”, „zachwycający”. Ale co zrobić na przykład z obietnicą „figę dostaniesz”? Po pierwsze figę jako taką, należało stanowczo oddzielić od owocu drzewa figowego, aby Takami nie pomyślał, że słowa „dostaniesz figę” oznaczają „ofiarowuję ci panie słodką, dojrzałą figę”. A po drugie figa, czyli w specjalny sposób ułożone palce oznaczają dla Japończyka coś zupełnie innego niż dla mieszkańca Europy, a w każdym razie dla Rosjanina. Ten nieskomplikowany układ trzech palców, stosowały w Japonii uliczne damy, wyrażając gotowość obsłużenia klienta...

Sam nie zauważyłem, kiedy ta praca zaczęła mnie pasjonować.

Właściwie, bardzo nie lubię pisać listów, i ustaliłem dla siebie zasadę — odpowiadać tylko na takie listy, które zawierają pytania. Zaś list pana Takami zawierał nie takie sobie zwykłe pytania, tylko pytania absolutnie rzeczowe, i do tego dotyczące sprawy, którą sam byłem zainteresowany. Dlatego wstałem z biurka dopiero wtedy, kiedy zakończyłem odpowiedź, przepisałem na maszynie (wyciągnąwszy z niej nie dokończoną stroniczkę scenariusza), włożyłem do koperty, zakleiłem ją i zaadresowałem.

Teraz miałem już co najmniej dwa powody, żeby wyjść z domu. Stękając, ubrałem się, włożyłem na nogi buty z zamkami błyskawicznymi, do górnej kieszeni wsadziłem pięćdziesiąt rubli i wtedy zadzwonił telefon.

Ile to już razy przysięgałem sobie — nie podniosę słuchawki, kiedy stoję ubrany, żeby wyjść z domu. Ale przecież Rita mogła już wrócić z delegacji, jak tu nie podnieść słuchawki? Więc ją podniosłem i natychmiast pożałowałem, ponieważ to nie dzwoniła żadna Rita, tylko Lonia Barinow, o przezwisku Szibzd. Mam kilku znajomych, którzy specjalizują się w takich właśnie telefonach nie na czasie. Na przykład Sława Krutojarski dzwoni wyłącznie wtedy, kiedy jem supę. Ważne, żebym już zjadł pół talerza, a druga połowa ostygła jak należy w czasie naszej rozmowy przez telefon. Aganian wybiera moment, kiedy siedzę w kiblu i na dodatek oczekuję na ważny telefon. Jeśli zaś chodzi o Barinowa, to jego specjalnością jest dzwonienie właśnie wtedy, kiedy zamierzam wyjść i już jestem ubrany, albo wtedy, kiedy chcę wziąć prysznic i jestem już rozebrany, a najchętniej dzwoni wczesnym rankiem, powiedzmy około siódmej, żeby zapytać niskim, konspiracyjnym głosem: „Co słychać?”

Lonia Barinow o przezwisku Szibzd zapytał niskim konspiracyjnym głosem:

— Co słychać?

— Właśnie wychodzę — powiedziałem sucho, ale nie był to dobry pomysł.

— Dokąd? — natychmiast zainteresował się Lonia.

— Lonia — powiedziałem prosząco. — Może zdzwonimy się później? Chyba że masz jakiś interes.

Tak, Lonia dzwonił z interesem. A sprawa była następująca. Do Loni dotarła plotka (do niego zawsze docierają plotki), jakoby wszystkich pisarzy, którzy nic nie opublikowali w ciągu ostatnich dwóch lat, będą wyrzucać. Czy nic o tym nie słyszałem? Na pewno nic nie słyszałem? Może słyszałem, tylko nie zwróciłem uwagi? Przecież nigdy na nic nie zwracam uwagi i wiecznie wlokę się w ogonie wydarzeń... A może nie będzie się wyrzucać, tylko odbierać przepustki do klubu? Co ja o tym myślę?

Powiedziałem co myślę.

— No, nie klnij, nie klnij — ugodowo poprosił Lonia. — Dobra. A dokąd idziesz?

Powiedziałem, że idę wysłać list polecony, a potem na Banną. Loni to nie interesowało.

— A potem? — zapytał.

Powiedziałem, że potem zapewne zajrzę do klubu.

— A po co idziesz dzisiaj do klubu?

Odpowiedziałem, już wpadając w cichą furię, że mam w klubie parę rzeczy do zrobienia: muszę drewno narąbać i przedmuchać centralne ogrzewanie.

— Znowu jesteś niesympatyczny — powiedział ze smutkiem Lonia. — 1 czego wszyscy jesteście tacy niesympatyczni? Do kogo bym nie zadzwonił zachowuje się po chamsku. Nie chcesz rozmawiać przez telefon w porządku. Opowiesz mi w klubie. Tylko żebyś wiedział nie mam ani grosza...

Potem odwiesiłem słuchawkę i spojrzałem w okno. Już się całkiem zmierzchało, właściwie można było zapalić światło. Siedziałem przy biurku w palcie i czapce i w ciężkich ocieplanych butach. I już nigdzie nie miałem ochoty iść. Właściwie list do Japonii wcale nie musi być polecony, wyślę zwykły, nic się z nim nie stanie, nalepię jak najwięcej znaczków i wrzucę do skrzynki. I Banna poczeka, nic się z nią do jutra nie stanie... Patrzcie no tylko, jaka zamieć się rozszałała, nic nie widać. Dom naprzeciwno — też go nie widać, tylko słabo błyskają mętne żółte światełka. Ale siedzieć ot, tak sobie, o suchym pysku z dwustoma rublami w kieszeni — też jakoś głupio i nawet powiedziałbym nieadekwatnie. Chyba pobiegnę na dół do sklepu, tym bardziej że jestem już ubrany.

Zbiegłem na dół do naszej cukierni, tam gdzie po lewej stronie kwitną na ladzie kremowe róże tortów, a po prawej wabią połyskujące rzędy butelek z rozgrzewającymi napojami. Gdzie po lewej tłoczą się staruszki, panie i dzieci, a po prawej w solennej kolejce stoją na przemian solidni teczko i dyplomatkonoscy i człekokształtni podnieceni i gadatliwi od przyjemnych przeczuć bliźni homo sapiens. Z lewej nie trzeba mi było dokładnie nic, a po prawej wziąłem butelkę koniaku i butelkę „Salutu”.

Jadąc windą do siebie na szesnaste piętro, przyciskając łokciem dwie butelki, wycierając z twarzy wolną dłonią roztajały śnieg, wiedziałem już jak spędzę ten wieczór. Może zamieć, na którą dopiero co wybiegłem, ślepa, oślepiająca zamieć, która właśnie pożarła resztkę dnia stała się tego przyczyną, może przyjemne przecucia, którym podobnie, jak moi bliźni nie jestem obcy, ale stało się dla mnie absolutnie jasne — jeśli już jest mi sądzone zakończyć ten dzień w domu i jeśli już moja Rita wciąż jakoś nie wraca, to nie zadzwonię w żadnym wypadku do Gogi Czaczua, ani do Sławy Krutojarskiego, tylko zakończę ten dzień w sposób niezwykły — sam ze sobą, ale nie z takim, jakiego znają mnie z komisji, seminariów, redakcji i klubowej restauracji, a z takim jakiego nie zna nikt.

Więc zaraz zrobię porządek na stole kuchennym, postawię na plecionych podstawkach mięso w galarecie, które przyniosłem z hotelu „Progres”, zapalę w całym mieszkaniu lampy — „niech stanie się światłość” — przyniosę z gabinetu stojącą lampę, otworzę jedyną zamykaną na klucz szufladę biurka, wyjmę „Niebieską Teczke” i kiedy nadejdzie właściwy moment, rozwiążę zielone tasiemki.

Kiedy otrząsałem z siebie śnieg, kiedy przebierałem się w domowe ubranie, kiedy realizowałem swój nieskomplikowany program wstępny, nieustannie myślałem jak mam postąpić z telefonem. Okazało się nagle, że właśnie dzisiejszego wieczoru mnóstwo ludzi mogło do mnie zadzwonić, więcej — mnóstwo powinno było zadzwonić w tym i tacy, do których to ja miałem interesy. Ale z drugiej strony przecież nie pamiętałem o tym, kiedy nie dalej jak pół godziny temu, zamierzałem spędzić wieczór w klubie, a gdybym nawet sobie przypomniał, to nie uważałbym, że te telefony są takie ważne. I w najgorętszym ogniu tej wewnętrznej walki, ręka sama mi się wyciągnęła i wyłączyła telefon.

I od razu w domu zrobiło się nadzwyczaj przytulnie i cicho, chociaż nadal mękoliło za ścianą pianino, a z przewodu wentylacyjnego w suficie dolatywało chrypienie i stękanie magnetofonowego barda.

Oto już nadeszła owa chwila, ale nie śpieszyłem się, i czas jakiś patrzyłem jeszcze, jak z suchym szelestem uderza w szyby oszalała zamieć. Doprawdy szkoda, że nie ma tam u mnie zamieci. Zresztą czy to tam nie ma? Za to tam jest wiele tego, czego nie ma tutaj.

Niespiesznie rozwiązałem tasiemki i otworzyłem teczkę. Mimochodem z żalem i radością pomyślałem, że nieczęsto pozwalał sobie na to, i dzisiaj też bym sobie pewnie nie pozwolił, gdyby nie... co? Zamieć? Lonia? Tytułu na kartce tytułowej nie było. Było motto

Jam w trzecim kręgu, tam gdzie siąpi deszcz,

...

I choć, przekłęci ludzie, co tu żyją

Doskonałością nigdy nie owładną

Czeka ich pełnia życia, lecz — w przyszłości...

A na tytułowej kartce naklejona była jeszcze mama reprodukcja fotografia — pod niskimi nocnymi chmurami zamarłe ze zgrozy miasto na wzgórzu, a wokół miasta i wzgórza owinał się olbrzymi śpiący wąż z gładką, wilgotnie połyskującą skórą.

Ale nie ten obrazek dobrze znany wielu ludziom widziałem teraz przed sobą, a widziałem to, czego nie wiedział oprócz mnie i wiedzieć nie mógł nikt na świecie. Nikt w całym wszechświecie. Wtulony w oparcie kanapy, wczepiony dłońmi w blat biurka, wpatrywałem się w ulice mokre, szare i puste, w drewniane płotki, za którymi w milczeniu umierały od wilgoci jabłonie... przewrócone płoty, domy zabite deskami, biaława pleśń pod gzymsami, wyblakłe kolory i władający niepodzielnie tym wszystkim deszcz. Deszcz, który pada nie ot tak, zwyczajnie, deszcz spada z dachów drobnym wodnym pyłem, deszcz zbiera się w wirujące słupy, wędrujące od ściany do ściany, deszcz chlusta z bulgotem z przerdzewiałych rynien... szaro — czarne chmury powoli przepływają tuż nad dachami i nie ma na ulicach ludzi — człowiek to niepożądany gość na ulicach, deszcz nie jest mu życzliwy.

Mam tu dziesięć tysięcy ludzi w tym moim mieście — głupców, entuzjastów, fanatyków, rozczarowanych, obojętnych, mnóstwo urzędników, awanturników, przyzwoitych mieszczan, policjantów, szpicli. Dzieci. I sprawiało mi nieopisaną rozkosz móc decydować o ich losach, doprowadzać do starć między nimi i ponurymi cudami, w które okazali się zamieszani...

Jeszcze bardzo niedawno wydawało mi się, że już z nimi skończyłem. Każdy już otrzymał to, co mu się należało, każdemu powiedziałem wszystko, co o nim myślę. I zapewne ta jasność stopniowo podeszła mi pod gardło, zrodziła duchowy niepokój i niezadowolenie. Potrzebne mi było coś jeszcze. Jeszcze jakiś obrazek ostatni trzeba było narysować. Tylko że nie wiedziałem — jaki i od czasu do czasu ogarnia mnie strach i smutek na myśl, że nigdy się tego nie dowiem. Cóż, być może nigdy nie ukończę tej mojej książki, ale będę, póki nie popadnę w demencję, a może nawet i potem.

Czy przysięgasz, że będziesz dalej myśleć i wymyślać swoje miasto do czasu, aż nie popadniesz w demencję, a być może nawet i potem?

A co mam począć? Oczywiście, że przysięgam, powiedziałem i otworzyłem rękopis.

ROZDZIAŁ 2

BANIEW. W KRĘGU RODZINY I PRZYJACIÓŁ

Kiedy Irma wyszła, chuda, długonoga, dokładnie zamykając za sobą drzwi, uśmiechając się po dorosłemu, uprzejmie szerokimi ustami, jaskrawoczerwonymi jak u matki, Wiktor zajął się zapalaniem papierosa. To wcale nie jest dziecko, myślał oszołomiony, dzieci nie rozmawiają w ten sposób. To nawet nie brutalność, i nawet nie okrucieństwo — jej po prostu jest wszystko jedno. Jakby nam udowodniła twierdzenie matematyczne — wszystko obliczyła, przeanalizowała, rzeczowo zakomunikowała wynik i oddaliła się absolutnie spokojna potrząsając warkoczykami.

Przewyciężając zażenowanie Wiktor spojrzął na Lolę. Na twarzy miała czerwone plamy, wargi drżały, jakby chciała się rozplakać. Ale oczywiście płakać nie zamierzała, była rozwścieczona do ostateczności.

— Widzisz? — zapytała wysokim głosem. — Taka smarkata... Gówniara! Nie ma dla niej nic świętego, każde słowo — zniewaga, jakbym nie była jej matką, tylko szmatą do podłogi, o którą można wytrzeć buty. Wstyd mi przed sąsiadami! Paskudztwo, chamka...

Tak, pomyślał Wiktor, i ja z tą kobietą żyłem. Chodziłem z nią w górach, czytałem jej Baudelaire'a, drżałem od jej dotknięcia. Pamiętałem jej zapach... zdaje się, że nawet biłem się o nią. Do dzisiaj nie rozumiem o czym ona myślała kiedy czytałem jej Baudelaire'a? Nie, to doprawdy zdumiewające, że udało mi się od niej uciec. Po prostu niepojęte, jak to się stało, że mnie wypuściła? Zapewne też nie byłem bukicikiem fiołków. Pewnie i dzisiaj nie jestem, ale wtedy piłem jeszcze więcej niż teraz, a do tego uważałem się za wielkiego poetę.

— Ty, oczywiście, nie masz do tego głowy, gdzie tam — mówiła Lola — życie w stolicy, różne tam primabaleriny, artystki... Wiem wszystko. Nie wyobrażaj sobie, że my tu o niczym nie wiemy. I ta twoja ogromna forsa, i kochanki, i nie kończące się skandale... Jeśli chcesz wiedzieć, to jest mi doskonale obojętne, nie przeszkadzałam ci, robiłeś co chciałeś...

W ogóle gubi ją to, że bardzo dużo mówi. Jako panna była cicha, milcząca i tajemnicza. Są takie panienki, które od urodzenia wiedzą, jak się zachować. Ona wiedziała. Zresztą i teraz właściwie nieźle wygląda, kiedy na przykład milcząc siedzi na kanapie z papierosem i pokazuje kolana... albo nagle splecie dłonie na karku i się przeciągnie... Na prowincjonalnego adwokata powinno to działać nadzwyczajnie... Wiktor wyobraził sobie sympatyczny wieczór — ten stolik przysunięty tak do kanapy, butelka, szampan pieni się w kielichach, przewiązana wstążeczką bombonierka i — sam adwokat wykrochmalony, muszka pod szyją. Wszystko jak u ludzi i nagle wchodzi Irma... Koszmar, myślał Wiktor, nieszczęsna kobieta.

— Sam powinieneś zrozumieć — mówiła Lola — że nie chodzi o pieniądze, nie pieniądze teraz o wszystkim decydują. — Już się uspokoiła, czerwone plamy znikły. — Wiem, że na swój sposób jesteś przyzwoitym człowiekiem, kapryśnym, rozpuszczonym, ale przecież uczciwym. Zawsze nam pomagałeś i jeśli o to chodzi, nie mam do ciebie żadnych pretensji. Ale nie taka pomoc jest mi teraz potrzebna. Nie mogę powiedzieć, że jestem szczęśliwa, ale unieszczęśliwić mnie również ci sienie udało. Masz swoje życie, a ja mam swoje. Nawiasem mówiąc, jeszcze nie jestem stara i niejedno jeszcze przede mną...

Dziecko trzeba będzie zabrać, pomyślał Wiktor. Lola jak widać, już o wszystkim zdecydowała. Jeśli Irmę zostawię tutaj, w domu zacznie się piekło. Dobrze, ale gdzie ja ją podzieję? Spróbuj być uczciwy, zaproponował sam sobie, po prostu uczciwy. Tu trzeba uczciwie, to nie zabawka... Bardzo uczciwie przypomniał sobie swoje życie w stolicy. Niedobrze, pomyślał. Można oczywiście nająć gosposię. To znaczy wynająć na stałe mieszkanie... Zresztą nie o to chodzi Irma powinna być ze mną, a nie z gosposią... Podobno

dzieci wychowywane przez ojców — to najlepsze dzieci. Poza tym ona mi się podoba, chociaż to bardzo dziwne dziecko. A w ogóle mam obowiązek. Obowiązek uczciwego człowieka i ojca, i w tym wszystkim jest wiele mojej winy. Ale to wszystko literatura. A gdyby tak uczciwie? Jeśli uczciwie — to się boję. Dlatego, że ona będzie stała przede mną uśmiechając się szerokimi ustami, a co ja jej potrafię powiedzieć? Czytaj, czytaj codziennie, czytaj jak możesz najwięcej, nie musisz robić nic innego, tylko czytaj. Ona to wie i beze mnie, a nic więcej nie mam jej do powiedzenia. Dlatego właśnie się boję... Ale to jeszcze nie wszystko, jeśli już zupełnie uczciwie. Ja nie chcę, i o to właśnie chodzi. Przyzwyczailem się do samotności i lubię samotność. Nie chcę, żeby było inaczej. I tak to właśnie wygląda, jeśli zupełnie uczciwie. Obrzydliwie wygląda, jak zresztą każda prawda. Cynicznie wygląda, egoistycznie, wstrętnie. Uczciwie.

— Dlaczego milczysz? — zapytała Lola. — Masz zamiar tak milczeć bez końca?

— Nie, nie, słucham cię — pośpiesznie powiedział Wiktor.

— Naprawdę słuchasz? Od pół godziny czekam, żebyś był łaskaw zareagować. Koniec końców, to nie tylko moje dziecko...

A z nią też trzeba uczciwie? — pomyślał Wiktor. Z nią to już zupełnie nie mam ochoty — uczciwie. Ona zdaje się, wyobraziła sobie, że taki problem można rozwiązać w ciągu paru sekund, nie ruszając się z miejsca, między jednym papierosem a drugim.

— Zrozum — powiedziała Lola — przecież nie proponuję, żebyś się sam nią zajmował. Przecież wiem, że jej nie weźmiesz, i dzięki Bogu, że nie weźmiesz, zupełnie się do tego nie nadajesz. Ale przecież masz znajomości, kontakty, pomimo wszystko jesteś dość znanym człowiekiem — pomóż mi ją jakoś urządzić! Są u nas przecież jakieś szkoły dla uprzywilejowanych, pensje, specjalne gimnazja. Irma jest zdolnym, muzykalnym dzieckiem, ma zdolności matematyczne i do języków...

— Pensja — powiedział Wiktor. — Tak, oczywiście... pensja. Sierociniec... Nie, nie żartuję. Warto nad tym pomyśleć.

— O czym tu myśleć? Każdy by się cieszył, gdyby mógł umieścić swoje dziecko na dobrej pensji albo w specjalnym gimnazjum. Żona naszego dyrektora...

— Słuchaj Lolu — przerwał Wiktor. — To jest dobry pomysł i postaram się coś załatwić. Ale to nie takie proste, i na to potrzebny jest czas. Oczywiście napiszę.

— Napisz! To cały ty! Nie trzeba pisać, tylko jechać, osobiście prosić, kłaniać się! Tak czy inaczej nic tu nie robisz! Tylko pijesz i włóczysz się z dziwkami! Czy naprawdę tak trudno, dla rodzonej córki...

O do diabła, pomyślał Wiktor, jak tu jej wszystko wytłumaczyć. Znowu zapalił papierosa, wstał i przespacerował się po pokoju. Za oknem zmierzchało się i po dawnemu lał deszcz, obfity, ciężki, niespieszny — deszcz, którego było bardzo dużo i który wyraźnie donikąd się nie śpieszył.

— Ach, jak ty mi obrzydłeś! — powiedziała Lola z nieoczekiwaną złością — gdybyś wiedział, jak mi obrzydłeś...

Czas iść, pomyślał Wiktor. Zaczyna się święty macierzyński gniew, wściekłość porzuconej kobiety i temu podobne. Tak czy inaczej, dzisiaj nic jej nie odpowiem. I niczego nie będę obiecywał.

— W niczym nie można na ciebie liczyć — mówiła dalej Lola. Nieudany mąż, do niczego ojciec... modny pisarz. Widzicie go! Rodzonej córki nie potrafił wychować... Pierwszy lepszy kmiotek zna się na ludziach lepiej niż ty! No i co ja mam teraz robić? Z ciebie przecież nie ma żadnego pożytku. Sama gonię resztką sił i co z tego. Nic dla niej nie znaczę, pierwszy lepszy mokrzak jest dla niej sto razy ważniejszy niż ja. No, nic, jeszcze zobaczysz! Ty jej niczego nie nauczysz, doczekasz się, że tamci ją nauczą! Doczekasz się, że napluje ci w mordę tak jak mnie...

— Przystań Lola — powiedział Wiktor krzywiąc się. — Chyba jednak trochę przesadzasz. Jestem jej ojcem, to prawda, ale ty jesteś jej matką... Twoim zdaniem wszyscy są winni oprócz ciebie...

— Wynoś się! — powiedziała Lola.

— Wiesz, co ci powiem? — powiedział Wiktor. — Nie mam zamiaru się z tobą kłócić. Będę myśleć. A ty...

Stała teraz wyprostowana i nieomal dygotała przewidując wyrzuty, gotowa z rozkoszą rzucić się w kłótnię.

— A ty — spokojnie powiedział Wiktor — postaraj się nie denerwować. Coś wymyślimy. Zadzwoń do ciebie.

Wszedł do przedpokoju i włożył płaszcz. Płaszcz był jeszcze mokry. Wiktor zajął do pokoju Armi, żeby się pożegnać, ale Armi nie było. Okno otwarte na oścież.

Deszcz chlustał na parapet. Ścianę zdobił transparent — wielkie, śliczne litery żądały: „Proszę nigdy nie zamykać okna”. Transparent był pomięty, złachmaniony i pokryty ciemnymi plamami, jakby go wielokrotnie zrywano i deptano nogami. Wiktor zamknął drzwi.

— Do widzenia Lolu — powiedział. Lola nie odpowiedziała.

Na ulicy było już zupełnie ciemno. Deszcz zastukał po ramionach, po kapturze. Wiktor przygarbił się i wepchnął ręce głębiej do kieszeni. O, na tym skwerze po raz pierwszy całowaliśmy się, pomyślał. A tego domu wtedy jeszcze nie było, był pusty plac, a za placem — wysypisko śmieci, tam strzelaliśmy z procy do kotów. W mieście było diabelnie dużo kotów, a teraz nie widziałem ani jednego... Nie czytaliśmy wtedy w ogóle, a u Armi pełen pokój książek. Jakie były w moich czasach dwunastoletnie dziewczynki? Piegowate, rozchichotane stworzenia, kokardy, lalki, obrazki z zajaczkami i królową Śnieżką, zawsze we dwie, we trzy szepcząc sobie na ucho, torebki ciążutek, zepsute zęby. Czyścioszki, skarżypyty, a najlepsze z nich takie same jak my — podrapane kolana, oczy dzikie jak u rysia, skłonność do podstawiania nogi. Wreszcie nastąpiły nowe czasy, czy co? Nie, pomyślał. To nie czasy. To znaczy czasy oczywiście również... A może mam córkę, wunderkinda? Przecież zdarzają się, wunderkindy. Jestem ojcem wunderkinda. To bardzo zaszczytne, ale kłopotliwe, i nie tyle zaszczytne, ile kłopotliwe, zresztą koniec końców wcale nie zaszczytne... A tę uliczkę, zawsze lubiłem, dlatego że jest najwęższa ze wszystkich. Tak, a oto i bijatyka. Słusznie, u nas po ; prostu inaczej nie można. Tak u nas było od zarania dziejów, i jeszcze dwóch na jednego...

Na rogu stała latarnia. Na granicy oświetlonej przestrzeni mókły samochód z brezentową budą, a obok samochodu dwóch w błyszczących płaszczach przyginało do jezdni trzeciego — w czymś czarnym i mokrym. Wszyscy troje z wysiłkiem i niezgrabnie dreptali po kocich łbach. Wiktor zatrzymał się, a następnie podszedł bliżej. Trudno było pojąć, co tu się właściwie dzieje. Do bójki niepodobne — nikt nikogo nie bije. Na zapasy dla wyładowania młodzieńczych sił tym bardziej nie wyglądało — nie słychać zawadiackich okrzyków, ani dziarskiego rechotu... Trzeci w czerni — nagle wyrwał się, upadł na plecy, a dwaj w płaszczach zwalili się natychmiast na niego. I wtedy Wiktor zauważył, że drzwi samochodu były szeroko otwarte i pomyślał, że czarnego albo właśnie wyciągnięto stamtąd, albo próbują go tam wepchnąć. Podszedł bardzo blisko i zaryczał:

— Wróć!

Dwaj w płaszczach odwrócili się jednocześnie i przez kilka sekund patrzyli na Wiktora spod nasuniętych na oczy kapturów. Wiktor zauważył tylko, że obaj są młodzi, że usta mają otwarte z wysiłku, a następnie obaj z niebywałą szybkością dali nura do samochodu, silnik zawył, drzwi trzasnęły i samochód zniknął w ciemnościach. Człowiek w czerni powoli wstał i przyjrząwszy mu się Wiktor odstąpił do tyłu. Był to chory z leprozorium — „mokrzak” albo „okularnik” jak ich nazywano z powodu żółtych pręgów wokół oczu — w opasce z gęstego

grubego materiału zasłaniającej dolną część twarzy. Oddychał ciężko, z trudem unosząc resztki brwi. Po łysej głowie spływała woda.

— Co się stało? — zapytał Wiktor.

Okularnik patrzył nie na niego, tylko w bok, oczy wyszły mu na wierzch. Wiktor chciał się odwrócić, i wtedy coś go z chrzęstem rąbnęło w kark, a kiedy oprzytomniał, stwierdził, że leży twarzą do góry pod chlustającą rynną. Woda wpadała mu do ust, była ciepława, o posmaku rdzy. Plując i kaszląc odsunął się i usiadł opierając plecy o ceglany mur. Woda, która nagromadziła się w kapturze popłynęła teraz za kołnierz, mocząc plecy. W głowie huczały dzwony, trąbiły trąbki i biły bębny.

Przez tę orkiestrę Wiktor wypatrzył przed sobą chudą ciemną twarz. Znajomą. Gdzieś już go widział. Jeszcze przed tym zanim usłyszał szcęk własnych zębów... Pomacał językiem, ruszył szczęką. Zęby były w porządku. Chłopiec nabrał w dłoń pod rynną wody i chlusnął mu w oczy.

— Miły mój — powiedział Wiktor. — Wystarczy.

— Wydało mi się, że pan jeszcze nie oprzytomniał — powiedział chłopiec z powagą.

Wiktor ostrożnie wsunął dłoń pod kaptur i pomacał kark. Tam był guz — nic strasznego, żadnych pogruchotanych kości, nawet krwi nie było.

— Kto to mnie tak? — zapytał z zadumą. — Nie ty, mam nadzieję.

— Będzie pan mógł iść sam, panie Baniew? — zapytał chłopiec. A może kogoś zawołać? Widzi pan, jest pan dla mnie za ciężki.

Wiktor przypomniał sobie, kto to jest.

— Znam cię — powiedział. — Ty jesteś Bol-Kunac, kolega mojej córki.

— Tak — powiedział chłopiec.

— No i bardzo dobrze. Nie trzeba nikogo wołać i nikomu o niczym mówić. Może tylko posiedźmy jeszcze chwilę i oprzytomnijmy.

Teraz zauważył, że z Bol-Kunacem też nie wszystko jest w porządku. Na jego policzku ciemniał świeży siniak, a górna warga była spuchnięta i krwawiła.

— Może jednak kogoś zawołam — powiedział Bol-Kunac.

— A czy warto?

— Widzi pan, panie Baniew, nie podoba mi się sposób w jaki drga pański policzek.

— Naprawdę? — Wiktor obmacał twarz. Policzek nie drgał. — To ci się tylko wydaje... Tak. Teraz spróbujemy wstać. Co należy zrobić w tym celu? W tym celu tezeba podciągnąć nogi pod siebie... — podciągnął nogi pod siebie i nogi wydały mu się niezupełnie własne. — Następnie lekko odpychając się od ściany przenieść środek ciężkości w taki sposób... — nijak nie udawało mu się przeniesienie środka ciężkości, coś przeszkadzało. Czym oni mnie tak urządzili, pomyślał. I to jak sprytnie...

— Pan sobie przydeptał płaszcz — zawiadomił go chłopiec, ale Wiktor już sam uporządkował swoje ręce i nogi, swój płaszcz i swoją orkiestrę pod czaszką. Wstał. Początkowo trzeba było trzymać się trochę ściany, ale potem poszło lepiej.

— Aha — powiedział. — To znaczy, że ciągnąłeś mnie stamtąd do tej rynny. Dziękuję.

Latarnia była na miejscu, ale nie było ani samochodu, ani okularnika. Nikogo nie było. Tylko maleńki Bol-Kunac ostrożnie gładził swój siniak mokrą dłonią.

— Gdzie się oni wszyscy podziiali? — zapytał Wiktor.

Chłopiec nie odpowiedział.

— Ja tu sam leżałem? — zapytał Wiktor. — Nikogo więcej nie było?

— Chodźmy, odprowadzę pana — powiedział Bol-Kunac. — Dokąd pan woli iść? Do domu?

— Poczekaj — powiedział Wiktor. — Widziałeś, jak chcieli złapać okularnika?

— Widziałem jak on pana uderzył — odpowiedział Bol-Kunac.

— Kto?

— Nie poznałem. Stał tyłem.

— A ty gdzie byłeś?

— Widzi pan, ja leżałem tu, za rogiem...

— Nic nie rozumiem — powiedział Wiktor. — Może z moją głową jest coś nie w porządku... Dlaczego właściwie leżałeś za rogiem? Mieszkasz tam?

— Widzi pan, leżałem ponieważ mnie ogłuszono wcześniej. Nie ten, który pana uderzył, ten drugi.

— Okularnik?

Szli powoli, starając trzymać się jezdni, żeby nie kapało z dachów.

— N—nie — odpowiedział Bol—Kunac po chwili namysłu. — Moim zdaniem żaden nie miał okularów.

— O Boże — powiedział Wiktor. Wsunął rękę pod kaptur i pomacał guza. — Mówię o tym trędowatym, nazywają ich okularnikami. No wiesz, ci z leprozorium... Mokrzaki...

— Nie wiem — powściągliwie odezwał się Bol—Kunac. — Moim zdaniem oni wszyscy byli zupełnie zdrowi.

— No—no — powiedział Wiktor. Odczuł pewien niepokój i nawet przystanął. — Co, chcesz mi wmówić, że tam nie było trędowatego? Z czarną opaską, cały na czarno...

— On wcale nie jest trędowaty — nieoczekiwanie zapalczywie powiedział Bol—Kunac. — Jest zdrowszy od pana...

Po raz pierwszy w tym chłopcu pojawiło się coś chłopięcego i natychmiast znikło.

— Nie jest dla mnie zupełnie jasne, dokąd idziemy — powiedział po chwili milczenia poprzednim beznamiętnym i poważnym głosem. — Najpierw wydało mi się, że zmierza pan w kierunku domu, ale teraz widzę, że idziemy w przeciwną stronę.

Wiktor wciąż stał patrząc na niego z góry na dół. Jedno warte drugiego, pomyślał. Wszystko obliczył, przeanalizował i spokojnie postanowił nie informować mnie o rezultacie. I nie zamierza mi opowiedzieć, co tu się stało. Ciekawe dlaczego? Bandyci? Nie wygląda na to. A może jednak bandyci? Wiesz, czasy się zmieniają... Głupie gadanie, znam dzisiejszych bandytów... I ruszył dalej.

— Wszystko się zgadza — powiedział. — Idziemy do hotelu, ja tam mieszkam.

Chłopiec, wyprostowany, mokry i surowy szedł obok. Przełamując niejaką niezręczność Wiktor położył mu rękę na ramieniu. Nic szczególnego nie zaszło — chłopiec jakoś to ścierpiał. Bardzo zresztą możliwe, po prostu uznał, że jego ramię okazało się przydatne w celach ściśle utylitarnych, jako oparcie dla poszkodowanego.

— Muszę ci powiedzieć — niezwykle poufnym tonem oznajmił Wiktor — że ty i Irma macie dziwny sposób prowadzenia rozmowy. My w dzieciństwie rozmawialiśmy inaczej.

— Doprawdy? — uprzejmie zapytał Bol—Kunac. — To znaczy jak?

— Na przykład twoje pytanie brzmiałoby tak: „chyba zalewasz?”

Bol—Kunac wzruszył ramionami.

— Chce pan powiedzieć, że tak byłoby lepiej?

— Na Boga, nie! Chcę tylko powiedzieć, że byłoby naturalniej.

— Właśnie to co najnaturalniejsze — zauważył Bol—Kunac — najmniej przystoi człowiekowi.

Wiktor poczuł jakiś wewnętrzny chłód i niepokój. Może nawet strach. Jakby kot parsknął mu śmiechem prosto w twarz.

— To co naturalne, zawsze jest prymitywne — ciągnął tymczasem dalej Bol—Kunac. — A człowiek jest istotą skomplikowaną, żywołowość do niego nie pasuje. Pan mnie rozumie, panie Baniew.

— Tak — powiedział Wiktor. — Oczywiście.

Było coś zdumiewająco fałszywego w tym, jak po ojcowsku trzymał rękę na ramieniu tego dzieciaka, który nie był dzieckiem.

Aż mu łokieć zdrętwiał. Ostrożnie cofnął rękę i wsadził ją do kieszeni.

— Ile masz lat? — zapytał.

— Czternaście — odpowiedział z roztargnieniem Bol–Kunac.

— A-a...

Każdy chłopiec na miejscu Bol–Kunaca zainteresowałby się tym irytująco niejasnym a — a, ale Bol–Kunac nie był każdym chłopcem, był nie każdym. Nie interesowały go intrygujące monosylaby. Bol–Kunac rozmyślał nad relacjami między naturalnym i prymitywnym w naturze i w społeczeństwie. Żałował, że trafił mu się taki nieinteligentny rozmówca i do tego jeszcze stuknięty w głowę.

Wyszli teraz na Aleję Prezydenta. Tu było już bardzo dużo latami i nawet trafiali się przechodnie, pośpieszni, przygarbieni wielodniowym deszczem mężczyźni i kobiety. Były tu oświetlone wystawy sklepowe i rozjarzone neonowym blaskiem wejście do kina, gdzie pod daszkiem tłoczyli się bardzo jednakowi młodzi ludzie nieokreślonej płci w błyszczących płaszczach do kostek. A nad tym wszystkim poprzez deszcz błyskały złote i niebieskawe zakłęcia: „Prezydent jest ojcem narodu”, „Legionista Wolności, to wierny syn prezydenta”, „Armia — nasza nieustraszona sława”...

Siłą inercji wciąż jeszcze szli jezdnią, przejeżdżający samochód zatrąbiwszy gniewnie przepędził ich na chodnik i obryzgał brudną wodą.

— A ja myślałem, że masz co najmniej osiemdziesiąt lat — powiedział Wiktor.

— Chyba pan zalewa? — wstrętnym głosem zapytał Bol–Kunac i Wiktor roześmiał się z ulgą. Jednak był to zwyczajny chłopiec, zwykły normalny wunderkind, co to się naczytał Heibora, Zurmamsona, Fromma i być może nawet przebrnął przez Spenglera.

— Miałem w dzieciństwie kolegę — powiedział Wiktor — który postanowił przeczytać Hegla w oryginale i nawet w końcu przeczytał, tyle że stał się schizofrenikiem. Ty, w twoim wieku, niewątpliwie wiesz, co to takiego schizofrenik. “

— Tak, wiem — powiedział Bol–Kunac. !

— I nie boisz się?

— Nie.

Podeszli do hotelu i Wiktor zaproponował:

— Może zajdziesz do mnie, żeby się wysuszyć?

— Dziękuję. Właśnie zamierzałem prosić o pozwolenie odwiedzenia pana. Po pierwsze, chcę panu coś jeszcze powiedzieć, a po drugie, chciałbym zadzwonić. Pozwoli pan?

Wiktor pozwolił. Weszli przez obrotowe drzwi, mijając portiera, który na widok Wiktora zdjął czapkę. Wiktor poczuł dobrze sobie znane wzburzenie, przedsmak nadchodzącego wieczoru, kiedy można będzie pić, gadać co ślina na język przyniesie i odsunąć łokciem na jutro to, co tak irytująco atakowało dzisiaj: przedsmak Jula Golema i doktora R. Kwadrygi, być może poznam jeszcze kogoś, niewykluczone, że coś się wydarzy — jakaś awantura albo narodzi się fabuła — i zamówię sobie dzisiaj minogi, niech będzie miło i przyjemnie, a ostatnim autobusem pojedę do Diany.

Kiedy Wiktor odbierał klucze w recepcji, za jego plecami odbywała się rozmowa. Bol–Kunac rozmawiał z portierem.

— „Po co się tu pchasz?” — syczał portier. — „Przyszedłem porozmawiać z panem Baniewem”.

— „Ja ci pokażę rozmowy z panem Baniewem. Włóczysz się po restauracjach...”

— „Przyszedłem porozmawiać z panem Baniewem” — powtarzał Bol–Kunac. — „Restauracje mnie nie interesują”.

— „Tego tylko brakowało, żeby takiego szczeniaka interesowały restauracje... A ja cię zaraz stąd wyrzucę...” Wiktor wziął klucz i odwrócił się.

— E... — powiedział. Znowu zapomniał nazwiska portiera. — Chłopak jest ze mną, wszystko w porządku.

Portier nic nie odpowiedział, minę miał niezadowoloną.

Wiktor i Bol–Kunac weszli na górę. W pokoju Wiktor z rozkoszą zrzucił płaszcz i pochylił się, żeby rozsznurować buty. Krew uderzyła mu do głowy i poczuł powolne bolesne pulsowanie w tym miejscu, gdzie znajdował się guz, ciężki i okrągły jak ołowiana kula. Natychmiast wyprostował się, oparł o futrynę i zaczął zdejmować but przytrzymując piętę czubkiem drugiego. Bol–Kunac stał obok, kapała z niego woda.

— Rozbieraj się — powiedział Wiktor. — Powieś wszystko na kaloryferze, zaraz dam ci ręcznik.

— Chciałbym zadzwonić, jeśli pan pozwoli — powiedział Bol–Kunac nie ruszając się z miejsca.

— Bardzo cię proszę — Wiktor ściągnął drugi but i w mokrych skarpetkach poszedł do łazienki. Rozbierając się, słyszał, jak chłopiec rozmawia niegłośnie, spokojnie i niewyraźnie. Tylko raz jasno i wyraźnie powiedział: „Nie wiem”. Wiktor wytarł się ręcznikiem, narzucił szlafrok, wyjął czyste prześcieradło kąpielowe i wszedł do pokoju.

— Masz — powiedział i od razu zorientował się, że wszystko na nic. Bol–Kunac nadal stał pod drzwiami i nadal z niego kapało.

— Dziękuję — powiedział. — Widzi pan, muszę już iść. Chciałbym jeszcze tylko...

— Przeziębisz się — powiedział Wiktor.

— Nie, proszę się nie niepokoić, dziękuję panu. Ja się nie przeziębę. Chciałbym tylko jeszcze omówić z panem pewien problem.

Czy Irma nic nie mówiła?

Wiktor rzucił prześcieradło na kanapę, przykucnął przed barkiem, wyjął butelkę i szklankę.

— Irma mówiła mi mnóstwo rzeczy — odparł dosyć ponuro. Wlał do szklanki dzinu na wysokość palca i dodał trochę wody.

— Nie przekazała panu naszego zaproszenia?

— Nie, żadnych zaproszeń mi nie przekazywała. Masz, wypij.

— Dziękuję panu, nie trzeba. Jeśli Irma nie przekazała, to ja przekażę. Chcielibyśmy się z panem spotkać, jeśli można.

— Jacy — my?

— Gimnazjaliści. Widzi pan, czytaliśmy pańskie książki i chcieliśmy panu zadać kilka pytań.

— Hm — powiedział Wiktor z powątpiewaniem. — Jesteś pewien, że to będzie dla wszystkich interesujące?

— Myślę, że tak.

— Ale ja nie piszę dla gimnazjalistów — przypomniał Wiktor.

— To nieważne — powiedział Bol–Kunac z łagodnym uporem. Czy pan by się zgodził?

Wiktor z zadumą pobełtał w szklance przejrzysty płyn.

— A może jednak się napijesz? — zapytał. — Najlepsze lekarstwo na przeziębienie. Nie? W takim razie sam to wypiję. — Wychylił szklankę. — Dobrze, zgadzam się. Tylko bez żadnych afiszów, ogłoszeń i tak dalej. W najwęższym kręgu. Ty i ja... Kiedy?

— Kiedy panu będzie wygodnie. Nieźle byłoby w tym tygodniu. Rano.

— Powiedzmy za dwa–trzy dni. Tylko niezbyt wcześnie. Powiedzmy w piątek o jedenastej. Dobrze będzie?

— Tak. W piątek o jedenastej. W gimnazjum. Przypomnieć panu?

— Obowiązkowo — powiedział Wiktor. — O rautach, soirees i bankietach, jak również o wiecach, spotkaniach i naradach zawsze staram się zapamiętać.

— Dobrze, przypomnę panu — powiedział Bol–Kunac. — A teraz jeśli pan pozwoli, to już pójdę. — Do widzenia, panie Baniew.

— Poczekaj, odprowadzę cię — powiedział Wiktor. — Bo jeszcze ten... portier coś ci zrobi. Dzisiaj jest w wyjątkowo złym humorze, a sam wiesz jacy są portierzy...

— Dziękuję panu, ale proszę się nie niepokoić — powiedział Bol-Kunac. — To mój ojciec.

I wyszedł. Wiktor nalał sobie jeszcze raz na palec dżinu i padł na fotel. Tak, pomyślał. Biedny portier. Jak on się nazywa? Głupio, że zapomniałem, bądź co bądź jesteśmy towarzyszami w nieszczęściu, kolegami. Trzeba będzie z nim porozmawiać, wymienić doświadczenia. Na pewno ma dłuższy staż... Cóż za zdumiewająca koncentracja wunderkindów w moim zatęchłym ojczystym miasteczku. Może to skutek podwyższonej wilgotności?.. Odrzucił głowę do tyłu i skrzywił się z bólu. A to drań, czym on mnie tak? Pomacał guz. Najpewniej gumową pałką. Zresztą skąd mam właściwie wiedzieć, jak skutkuje gumowa pałka? Jak modernistyczne krzesło w „Pieczonym Pegazie” — to wiem. Jak kolba automatu, albo na przykład rękojeść pistoletu — też wiem. Butelka po szampanie i butelka z szampanem... Trzeba będzie zapytać Golema... W ogóle, to jakaś dziwna historia, dobrze byłoby się niej zorientować... i zaczął orientować się w tej historii, żeby odgonić wpływającą na drugim planie myśl o Irmie, o konieczności zrezygnowania z czegoś, ograniczenia się w czymś tam, albo pisanie do kogoś, proszenia o coś... „Daruj stary, że zawracam ci głowę, ale nagle objawiła się moja córka, mniej więcej dwunastoletnia, bardzo sympatyczne stworzenie, ale ma matkę idiotkę i głupiego ojca, a więc trzeba ją umieścić gdzieś możliwie daleko od głupich ludzi...”. Nie, nie dzisiaj, pomyślę o tym jutro. Spojrzał na zegarek. W ogóle dosyć tego myślenia. Starczy.

Wstał i zaczął się ubierać przed lustrem. Brzuch mi rośnie, co u diabła, skąd u mnie nagle brzuch? Taki zawsze byłem chudy i żyłasty... Właściwie nawet nie brzuch — szlachetny wypracowany kałdun, skutek uregulowanego trybu życia i dobrego jedzenia — tylko brzuszek jakiś parszywiutki, opozycyjny brzuszek. Pan prezydent na pewno nie ma czegoś podobnego. Pan prezydent niezawodnie posiada szlachetny, opięty, czymś czarnym i błyszczącym jak sterowiec...

Zawiązując krawat przysunął twarz do lustra i nagle pomyślał — jak też wyglądała ta pewna siebie, mocna twarz tak uwielbiana przez kobiety określonej konduity, nieładna, lecz mężna twarz wojownika o kwadratowym podbródku, jak wyglądała ta twarz pod koniec historycznego spotkania. Twarz pana prezydenta, również nie pozbawiona męskości z elementami kątów prostych, pod koniec historycznego spotkania przypominała mówiąc otwarcie, ale tylko między nami, świński ryj. Pan prezydent raczył podekscytować się do najwyższego stopnia, z zębatej paszczy leciały bryzgi, a ja wyjąłem chusteczkę i demonstracyjnie wytarłem policzek i to był z pewnością najodważniejszy postępek w moim życiu, jeśli nie liczyć tamtego wypadku, kiedy walczyłem z trzema czołgami jednocześnie. Ale jak walczyłem z czołgami nie pamiętam, wiem tylko z opowiadań świadków, a chusteczkę za to wyjąłem świadomie i dobrze wiedziałem na co idę... W gazetach o tym nie pisano. Gazety uczciwie i po męsku, z surową prostotą poinformowały że: „Beletrysta W. Baniew szczerze podziękował panu prezydentowi za wszystkie uwagi i wyjaśnienia jakie padły w trakcie rozmowy”.

Dziwne, jak dokładnie to wszystko pamiętam. Zauważył, że zbieła mu koniec nosa i policzki. Tak właśnie wtedy wyglądałem, a na takiego nie wrzeszczyć, to po prostu grzech. Przecież on nie wiedział biedak, że to nie ze strachu, że blednę ze złości, jak Ludwik XIV... Tylko raczej nie jedzmy musztardy po obiedzie. Co za różnica, od czego ja tam, u niego, poblądłem... Dobrze, dosyć tego. Ale po to, żeby się uspokoić, po to żeby się doprowadzić do porządku, zanim się pokażę ludziom, żeby przywrócić normalny kolor nieładnej, ale męskiej twarzy, muszę panu przypomnieć, panie Baniew, że gdyby pan nie zademonstrował panu prezydentowi swojej chusteczki do nosa, to siedziałby pan opływając w dostatki w naszej dzielnej stolicy, a nie w tej mokrej dziurze...

Wiktor jednym haustem dopił dżin i zszedł do restauracji.

— Oczywiście, być może chuligani — powiedział Wiktor. — Tylko w moich czasach żaden chuligan nie zadzierałby z okularnikiem.

Rzucić w niego kamieniem proszę bardzo, ale łapać, gdzieś ciągnąć, w ogóle dotykać... Baliśmy się ich jak zarazy.

— Przecież powtarzam panu, to jest choroba genetyczna — powiedział Golem. — Oni w ogóle nie są zaraźliwi.

— Jak to nie zaraźliwi — powiedział Wiktor — kiedy dostaje się od nich brodawek jak od ropuch! Wszyscy o tym wiedzą.

— Od ropuchy nie dostaje się brodawek — dobrodusznie wyjaśnił Golem. — I od mokrzaków też się nie dostaje. Wstyd, panie pisarzu.

Zresztą pisarze to znani ignoranci.

— Jak i cały naród. Naród jest ciemny, ale mądry. Jeśli naród twierdzi, że od ropuch i okularników dostaje się brodawek...

— A oto nadchodzi mój inspektor — powiedział Golem.

Wszedł Pawor w mokrym płaszczu prosto z ulicy.

— Dobry wieczór — powiedział. — Cały przemokłem, chcę się napić.

— Znowu śmierdzi od niego łem — z niezadowoleniem powiedział R. Kwadryga zbudzony z alkoholowego transu. — Wiecznie śmierdzi łem. Jak w stawie. Rzęsa.

— Co panowie pijecie? — zapytał Pawor.

— Którzy? — zainteresował się Golem. — Ja na przykład jak zawsze piję koniak. Wiktor pije dżin. A doktor — wszystko po kolei.

— Hańba! — z oburzeniem powiedział doktor R. Kwadryga. Łuska! I głowy.

— Podwójny koniak! — krzyknął Pawor do kelnera.

Twarz miał mokrą od deszczu, jego gęste włosy zlepiły się i ze skroni po ogolonych policzkach spływały błyszczące smużki. Też twarda twarz, wielu na pewno mu zazdrości. Skąd taka twarz dla inspektora sanitarnego? Twarda twarz to znaczy — leje deszcz, reflektory, latają cienie po mokrych wagonach, załamują się... wszystko jest czarne, błyszczące, wyłącznie czarne i wyłącznie błyszczące, nie ma żadnych rozmów, żadnego gadania tylko rozkazy i wszyscy się podporządkowują... niekoniecznie wagony, być może samoloty, lotnisko i potem nikt nie wie, gdzie był i skąd przyszedł... dziewczyny padają na wznak, a mężczyźni mają ochotę zachować się prawdziwie po męsku — powiedzmy wyprostować ramiona i wciągnąć brzuch. Na przykład Golemowi przydałoby się wciągnąć brzuch, tylko raczej nic z tego, gdzie on go wciągnie, wszystko tam ma zajęte. Doktor R. Kwadryga — tak, ale za to nie rozprostuje już ramion, od bardzo wielu dni jest zgarbiony na wieki. Wiezorami zgarbiony nad stołem, rankiem nad miską, a we dnie przez chorą wątrobę. A to znaczy, że tutaj tylko ja jestem w stanie wciągnąć brzuch i rozprostować ramiona, ale lepiej golnę sobie szklaneczkę dżinu.

— Nimfoman — smutnie powiedział do Pawora doktor R. Kwadryga. — Rusałkoman. I wodorosty.

— Niech pan się zamknie, doktorze — powiedział Pawor. Wycierał twarz papierowymi serwetkami, gniótł je i rzucał na podłogę.

Potem zaczął wycierać ręce.

— Z kim się pan pobił? — zapytał Wiktor.

— Zgwałcony przez okularnika — oznajmił doktor R. Kwadryga z męką starając się rozprościć we właściwym kierunku oczy, które skupiły mu się u nasady nosa.

— Na razie jeszcze z nikim — odparł Pawor i uważnie popatrzył na doktora, ale R. Kwadryga tego nie zauważył.

Kelner przyniósł koniak. Pawor powoli wysączył swój kieliszek i wstał.

— Pójdę się umyć — powiedział równym głosem. — Za miastem błoto, cały się uświłem. — I odszedł, zaczepiając po drodze o krzesła.

— Coś się dzieje z moim inspektorem — powiedział Golem. Przytknięciem rzucił ze stołu zmiętą serwetkę. — Coś na wszechświatową skalę. Nie wie pan przypadkiem, co konkretnie?

— Pan powinien lepiej wiedzieć — odpowiedział Wiktor. — Pawor jest pańskim inspektorem, a nie moim. Po za tym pan przecież wie wszystko. A propos, Golem, skąd pan to wszystko wie?

— Nikt nic nie wie — zaprzeczył Golem. — Niektórzy się domyślają. Bardzo niewielu, tylko ci którzy mają ochotę. Ale tak nie można postawić pytania — skąd oni się domyślają? — bo to jest gwałt nad językiem. Dokąd spada deszcz? Czym wstaje słońce? Czy wybaczyłby pan Szekspirowi, gdyby napisał coś podobnego? Zresztą Szekspirowi pan by wybaczył. Szekspirowi wiele wybaczymy, co innego Baniew... Niech pan posłucha, panie beletrysto, mam pewien pomysł. Ja się napiję koniaku, a pan skończy z tym dżinem. Czy może ma pan już dość?

— Golem — powiedział Wiktor — przecież pan chyba wie, że ja jestem człowiekiem z żelaza?

— Domyślam się.

— A co z tego wynika?

— Że boi się pan zardzewieć.

— Załóżmy — powiedział Wiktor. — Ale nie o to mi chodzi. Chodzi mi o to, że mogę pić dużo i długo, nie tracąc równowagi moralnej.

— Ach, więc w tym rzecz — powiedział Golem nalewając sobie z karafki. — No dobrze, wrócimy jeszcze do tego tematu.

— Nie pamiętam — odezwał się nagle jasnym głosem doktor R. Kwadryga. — Czy się panom przedstawiłem już, czy jeszcze nie? Mam honor — Rem Kwadryga, malarz, doktor honoris causa, członek honorowy... Ciebie pamiętam — powiedział do Wiktora. — Myśmy z tobą razem studiowali i jeszcze coś... A za to pana, proszę mi wybaczyć...

— Nazywam się M Golem — niedbałe powiedział Golem.

— Bardzo mi przyjemnie. Herbiarz?

— Nie. Lekarz.

— Chirurg?

— Jestem naczelnym lekarzem leprozorium — cierpliwie wyjaśnił Golem.

— Ach tak! — powiedział doktor R. Kwadryga potrząsając głową jak koń. — Oczywiście. Proszę mi wybaczyć Jul... Tylko dlaczego jest pan taki tajemniczy? Jaki tam z pana lekarz? Pan przecież hoduje mokrzaki... Załatwię panu odznaczenie... Tacy ludzie są nam potrzebni... Przepraszam — powiedział znienacka. — Zaraz wracam.

Wygrzebał się z fotela i ruszył w stronę wyjścia błędząc między pustymi stolikami. Podbiegł do niego kelner i doktor R. Kwadryga objął go za szyję.

— To wszystko przez te deszcze — powiedział Golem. — Oddychamy wodą. Ale nie jesteśmy rybami i albo umrzemy, albo odejdziemy stąd — z powagą i smutkiem popatrzył na Wiktora. — A deszcz będzie padać na puste miasto, podmywać jezdnie, kapać przez dachy, przez gnijące stropy... potem wszystko rozmyje, roztopi miasto w pierwotnej glebie, i nadal bez końca będzie wciąż padać i padać...

— Apokalipsa — powiedział Wiktor, żeby cokolwiek powiedzieć.

— Tak, Apokalipsa... Będzie padać i padać, a potem ziemia nasyci się i wszędzie nowe ziarno, jakiego nigdy przedtem nie było. I nie będzie chwastów wśród gęstych zbóż. Ale nas już nie będzie, żeby zachwycać się nowym wszechświatem...

Gdyby nie te niebieskawe worki pod oczami, gdyby nie ten obwisły galaretowaty brzuch, gdyby ten wspaniały semicki nos nie był taki podobny do mapy topograficznej... Chociaż, jeśli się dobrze zastanowić, wszyscy prorocy byli alkoholikami, ponieważ to okropnie smutne — wszystko wiesz, a nikt ci nie chce uwierzyć. Gdyby w departamentach wprowadzono etaty

dla proroków, to powinni mieć tytuł co najmniej tajnego radcy — dla umocnienia autorytetu. Zresztą zapewne i tak by to nic nie pomogło...

— Za systematyczny pesymizm — głośno powiedział Wiktor prowadzący do poderwania służbowej dyscypliny i wiary w rozum, rozkazując na przyszłość: tajnego radcę Golema ukamienować w prosektorium.

Golem chrząknął.

— Jestem zaledwie radcą kolegią — oznajmił. — A poza tym, skąd prorocy w naszych czasach? Ja osobiście nie znam ani jednego. Mnóstwo fałszywych proroków i ani jednego proroka. W naszych czasach nie sposób przewidzieć przyszłości — to gwałt na języku. Co by pan powiedział przeczytawszy u Szekspira — przewidzieć terażniejszość? Czy można przewidzieć szafę we własnym mieszkaniu?.. A oto i mój inspektor. Jak pan się czuje, inspektorze?

— Wspaniale — odpowiedział Pawor siadając. — Kelner, podwójny koniak. Tam w holu naszego malarza trzyma czterech — zawiadomił. — Wyjaśnij mi, gdzie jest wejście do restauracji. Postanowiłem się nie wtrącać, ponieważ on nikomu nie wierzy i rwie się do bicia... O jakich szafach mowa?

Był suchy, elegancki, odświeżony, pachniał wodą kolońską.

— Mówimy o przyszłości — odpowiedział Golem.

— Jaki sens ma mówienie o przyszłości? — zapytał Pawor. O przyszłości się nie mówi, przyszłość się tworzy. Oto kieliszek koniaku. Jest pełny. Sprawię, że będzie pusty. O... tak. Pewien mądry człowiek powiedział, że przyszłości nie sposób przewidzieć, a to można ją wynaleźć.

— Inny mądry człowiek powiedział — zauważył Wiktor — że przyszłości w ogóle nie ma, jest tylko terażniejszość.

— Nie lubię klasycznej filozofii — powiedział Pawor. — Ci ludzie nic nie umieli i niczego nie chcieli. Po prostu lubili filozofować jak Golem, dobrze pić. Przyszłość — to dokładnie unieszkodliwiona terażniejszość.

— Zawsze mam dziwne uczucie — powiedział Golem — kiedy w mojej obecności cywil rozumuje jak wojskowy.

— Wojskowi w ogóle nie rozumują — zaproponował Pawor. — Wojskowi mają wyłącznie odruchy i nieliczne emocje.

— Większość cywilów również — powiedział Wiktor macając kark.

— Teraz nikt nie ma czasu na rozmyślanie — powiedział Pawor. Ani cywile, ani wojskowi. Teraz trzeba umieć szybko się zakręcić koło swoich spraw. Jeżeli cię interesuje przyszłość, musisz stworzyć ją szybko, z marszu, odpowiednio do odruchów i emocji.

— Do diabła z twórcami i wynalzcami — oświadczył Wiktor. Czuł się pijany i wesoły. Wszystko było na swoim miejscu. Nie chciało mu się nigdzie iść, chciał siedzieć tu w tej pustej, przyciemnionej sali, jeszcze nie całkiem zdewastowanej, ale już z zaciekami na ścianach, z rozchwierutaną podłogą, z kuchennymi zapachami — szczególnie, jeśli pamiętać o tym, że na całym świecie pada deszcz, na kocie łby jezdni — deszcz, na strome dachy — deszcz, deszcz zalewa góry i równiny, kiedyś tam wszystko rozmyje, ale będzie to jeszcze nieprędko. Tak mili moi, już dawno przeminęły te czasy, kiedy przyszłość była repliką terażniejszości, i wszelkie zmiany majaczyły gdzieś za dalekim horyzontem. Ma rację Golem, nie istnieje żadna przyszłość, zmieszła się z terażniejszością i teraz nie sposób się zorientować, gdzie co jest.

— Zgwałcony przez mokrza — powiedział Pawor ze złośliwą satysfakcją.

W drzwiach restauracji pojawił się doktor R. Kwadryga. Kilka sekund uważnie i z trudem oglądał szeregi pustych stolików, następnie twarz mu się rozjaśniła, gwałtownie zatoczył się do przodu i ruszył na swoje miejsce.

— Dlaczego nazywa ich pan mokrzakami? — zapytał Wiktor. Co to — zrobili się mokrzy od deszczu?

— A dlaczego nie? — powiedział Pawor. — Jak ich, pańskim zdaniem, mamy nazywać?

— Okularnikami — stwierdził Wiktor. — Stara, dobra nazwa. Od stuleci nazywaliśmy ich okularnikami.

Zbliżał się doktor R. Kwadryga. Od frontu był całkiem mokry, najwidoczniej zmywano go nad umywalką. Wyglądał na człowieka rozczarowanego i zmęczonego.

— Diabli wiedzą, co to takiego — powiedział zrzędliwie jeszcze z daleka. — Jeszcze nigdy coś podobnego mi się nie wydarzyło — nie ma wejścia! Gdzie spojrzysz — wszędzie same okna... Obawiam się, że kazałem panom na siebie czekać. — Padł na swój fotel i ujrzał Pawora. — On tu znowu jest — zawiadomił Golema poufnym szeptem. — Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu... A ze mną, nie uwierzycie panowie, zdarzyła się zdumiewająca historia. Oblano mnie całego wodą.

Golem nalał mu koniaku.

— Dziękuję panu — powiedział R. Kwadryga — ale chyba lepiej będzie, jeśli przepuszczę kilka kolejek. Chciałbym podeschnąć.

— W ogóle jestem zwolennikiem wszystkiego co stare i dobre oznajmił Wiktor. — Niech okularnicy pozostaną okularnikami. I w ogóle niech wszystko zostanie jak było. Jestem konserwatystą... Uwaga — powiedział głośno. — Proponuję toast za konserwatyzm. Chwila, moment... — nalał sobie dzinu, wstał i oparł dłoń na poręczu fotela. Jestem konserwatystą — powiedział. — I z każdym rokiem staję się konserwatywniejszy, nie dlatego że się starzeję, tylko dlatego że odczuwam taką potrzebę...

Trzeźwy Pawor z kieliszkiem w pogotowiu patrzył na niego z dołu do góry z ostentacyjną uwagą. Golem powoli jadł minogi, a doktor R. Kwadryga, jak się wydawało, nadaremnie starał się zrozumieć, skąd dobiega głos i czyj to głos. Było naprawdę bardzo przyjemnie.

— Ludzie uwielbiają krytykować rządy za konserwatyzm — ciągnął Wiktor. — Ludzie uwielbiają postęp, przepadają za postępem. To są nowomodne pomysły, ale bardzo głupie jak wszystko, co nowe. Ludzie powinni błagać Boga, aby zesłał im możliwie najbardziej zacofaną obskurancką i konformistyczną władzę...

Teraz również Golem podniósł wzrok i patrzył na Wiktora i Teddy za swoim kontuarem również przestał wycierać butelkę i zaczął słuchać, tylko że znowu zabolął kark i trzeba było odstawić kieliszek i pogładzić guz.

— Aparat państwowy, panowie, we wszystkich czasach za swe podstawowe zadanie uważał zachowanie status quo. Nie wiem, o ile było to uzasadnione poprzednio, ale teraz ta funkcja państwa jest po prostu niezbędna. Ja bym tę funkcję określił następująco — na wszelkie możliwe sposoby przeciwdziałać temu, aby przyszłość mogła zapuszczać swoje macki w nasze czasy. Trzeba odrąbywać te macki, przypalać je rozpalonym żelazem... Przeszkadzać wynalazcom, popierać scholastyków i tych co gadają od rzeczy, do gimnazjów wprowadzić obowiązkowe ł klasyczne przedmioty. Na najwyższe stanowiska w państwie — starców obciążonych rodzinami i zadłużonych, co najmniej sześćdziesięcioletnich, żeby brali łapówki i spali na posiedzeniach.

— Wiktorze, co też pan wygaduje — powiedział Pawor z wyrzutem.

— Nie, dlaczego — powiedział Golem. — Niezmiernie przyjemnie słuchać takiego umiarkowanego, lojalnego przemówienia.

— Jeszcze nie skończyłem, panowie. Utalentowanych uczonych należy mianować na stanowiska administracyjne i płacić im wysokie pensje. Wszystkie wynalazki bez wyjątku należy przyjmować, płacić za nie możliwie nędznie i kłaść pod sukno. Wprowadzić drakońskie podatki za każdą nowość w gospodarce i produkcji.

A właściwie dlaczego ja stoję, pomyślał Wiktor i usiadł.

— No i co pan o tym myśli? — zapytał Golema.

— Ma pan całkowitą rację — odpowiedział Golem. — Jakoś ostatnio wszyscy u nas są strasznie radykalni. Nawet dyrektor gimnazjum. Konserwatyzm — oto w czym nasz ratunek.

Wiktor łyknął dzinu i powiedział frasobliwie:

— Żadnego ratunku nie będzie, dlatego że ci wszyscy kretyńscy radykałowie i radykalni kretyni nie tylko wierzą w postęp, ale na domiar złego ten postęp kochają, wyobrażają sobie, że nie mogą żyć bez postępu. Dlatego, że postęp — poza wszystkim innym — to tanie samochody, użytkowa elektronika i w ogóle możliwość: robić mniej, za to zarabiać więcej. I dlatego rząd jest zmuszony jedną ręką... to znaczy nie ręką, rzecz jasna... jedną nogą cisnąć na hamulec, a drugą na gaz. Jak wyścigowy kierowca na zakręcie. Na hamulec — żeby nie stracić panowania nad kierownicą, a na gaz, żeby nie stracić szybkości, bo inaczej jakiś tam demagog, entuzjasta postępu niezawodnie wypchnie go z miejsca przy kierownicy.

— Trudno z panem dyskutować — uprzejmie powiedział Pawor.

— To niech pan nie dyskutuje — powiedział Wiktor. — Nie trzeba dyskutować: w dyskusji rodzi się prawda, niech ją szlag trafi. — Czule pogłaskał guz i uzupełnił. — Zresztą, pewnie moje poglądy to skutek ignorancji. Wszyscy uczeni są zwolennikami postępu, a ja nie jestem uczonym. Ja po prostu jestem dość znanym kupcem.

— A dlaczego pan przez cały czas łapie się za kark? — zapytał Pawor.

— Jakiś drań mi przyłożył — powiedział Wiktor. — Kastetem. Czy dobrze mówię Golem? Kastetem?

— Moim zdaniem kastetem — powiedział Golem. — Zresztą może to była cegła.

— O czym wy opowiadacie? — zdziwił się Pawor. — Jakim kastetem? W tej zatęchłej dziurze?

— No widzi pan — pouczająco powiedział Wiktor. — Postęp. Lepiej znowu wypijmy za konserwatyzm.

Wezwano kelnera i jeszcze raz wypito za konserwatyzm. Wybiła dziewiąta i na sali pojawiła się znana para: młody mężczyzna w bardzo silnych okularach i jego długi jak żerdź współtowarzysz. Usiedli przy swoim stoliku, zapalili stojącą lampę, pokornie rozejrzeli się dookoła i zaczęli studiować jadłospis. Młody mężczyzna znowu przyniósł ze sobą teczkę, teczkę postawił na wolne krzesło obok siebie. Zawsze był bardzo dobry dla swojej teczki. Podyktowali kelnerowi zamówienie, wyprostowali się i wpatrzyli w przestrzeń.

Dziwna para, pomyślał Wiktor. Zdumiewająca dysproporcja. Wyglądają jak w zepsutej lornetce — jeden w ogniskowej, wtedy drugi się rozplywa i na odwrót. Idealna niezgodność. Z młodym mężczyzną w okularach można byłoby porozmawiać o postępie, a z wysokim nie... Aleja was zaraz uzgodnię. Jakby mi was uzgodnić? No na przykład powiedzmy... Jakiś tam narodowy bank, podziemia... cement, beton, sygnalizacja... ten wysoki nabiera numer na sejfie, stalowa konstrukcja obraca się, wejście do skarbcza stoi otworem, obaj wchodzą, wysoki nabiera numer na kolejnej tarczy, odsuwają się drzwi sejfu i młody po łokieć zanurza się w brylantach.

Doktor R. Kwadryga nagle się rozplakał i złapał Wiktora za rękę.

— Nocować — powiedział. — Do mnie. Co?

Wiktor niezwłocznie nalał mu dzinu. R. Kwadryga wypił, otarł nos dłonią i kontynuował.

— Do mnie. Willa. Fontanna. Co?

— Fontanna — to nieźle pomyślane — zauważył wymijająco Wiktor. — A co jeszcze?

— Piwnica — smutnie powiedział R. Kwadryga. — Ślady. Boję się.

Straszy. Sprzedam. Chcesz?

— Lepiej — podaruj — zaproponował Wiktor.

R. Kwadryga zamrugnął powiekami.

— Kiedy szkoda — powiedział. ;

— Kutwa — powiedział Wiktor z wyrzutem. — Taki byłeś od dziecka. Willi mu szkoda. No to się udław swoją willą.

— Ty mnie nie kochasz — gorzko skonstatował doktor R. Kwa dryga. — I nikt.
— A pan prezydent? — agresywnie zapytał Wiktor.
— „Prezydent — ojciec narodu” — ozywając się powiedział R.Kwadryga. — Szkic w złotych ramach... „Prezydent na pozycjach”.
Fragment obrazu „Prezydent na ostrzeliwanych pozycjach”.
— I co jeszcze? — zainteresował się Wiktor.
— „Prezydent z płaszczem” — powiedział R. Kwadryga z gotowością. — Panneau. Panorama.

Wiktor znudzony odkroił kawałek minogi i zaczął słuchać Golema.

— A więc Pawor — mówił Golem. — Niechże się pan ode mnie odczepi. Co ja jeszcze mogę zrobić? Sprawozdanie panu przedłożyłem. Pański raport gotów jestem podpisać. Chce się pan skarżyć na wojskowych — niech się pan skarży. Chce się pan skarżyć na mnie...

— Wcale nie chcę się na pana skarżyć — odpowiadał Pawor, przyciskając dłoń do piersi.

— To niech się pan nie skarży.

— Ale proszę mi coś poradzić! Czy naprawdę nic mi pan nie może poradzić?

— Panowie — powiedział Wiktor. — Co za nudy. Ja już sobie idę.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Odsunął krzesło, wstał i czując, że jest już bardzo pijany, ruszył w kierunku baru. Łysy Teddy przecierał butelki i patrzył na Wiktora bez zainteresowania.

— Jak zawsze? — zapytał.

— Poczekaj — powiedział Wiktor. — O co to ja cię chciałem zapytać... Aha. Jak leci, Teddy?

— Deszcz — krótko powiedział Teddy i nalał mu czystej.

— Przekłeta pogoda zrobiła się w naszym mieście — powiedział Wiktor i oparł się o ladę.
— Jak na twoim barometrze?

Teddy wsunął rękę pod ladę i wyjął „pogodnik”. Wszystkie trzy ciernie ściśle przylegały do błyszczącego, jakby polakierowanego trzpienia.

— Beznadziejnie — powiedział Teddy uważnie oglądając „pogodnik”. — Diabelski wymysł. — Następnie dodał po chwili namysłu: A w ogóle to jeden Bóg raczy wiedzieć, może on już dawno się zaciął — który to już rok pada deszcz, jak go sprawdzić?

— Można pojechać na Saharę — zaproponował Wiktor.

Teddy uśmiechnął się.

— Śmieszne — powiedział. — Ten wasz pan Pawor, śmieszna sprawa, dwieście koron mi proponuje za tę sztuczkę.

— Pewnie po pijaku — powiedział Wiktor — po co to jemu...

— Tak mu właśnie powiedziałem. — Teddy obrócił „pogodnik”, podniósł go do prawego oka. — Nie oddam — oznajmił kategorycznie. — Niech sobie sam poszuka. — Wsunął „pogodnik” pod ladę, popatrzył jak Wiktor obraca w palcach kieliszek i zawiadomił go. Twoja Diana przyjeżdżała.

— Dawno? — niedbale zapytał Wiktor.

— Jakoś tak około piątej. Wzięła skrzynkę koniaku, Roscheper wciąż bankietuje, nijak nie może przestać. Gania personel po koniak, tłusta mordą. Poseł do parlamentu... Ty się o nią nie boisz?

Wiktor wzruszył ramionami. Nagle zobaczył Dianę obok siebie. Pojawiła się przy barze w mokrym płaszczu deszczowym z odrzuconym kapturem, nie patrzyła w stronę Wiktora, widział tylko jej profil i myślał, że ze wszystkich kobiet, które znał do tej pory ta jest najpiękniejsza, i że już nigdy więcej nie będzie takiej miał. Diana stała oparta o ladę baru i twarz miała bardzo bladą i bardzo obojętną i była najpiękniejsza — wszystko w niej było piękne. Zawsze. I kiedy płakała, i kiedy się śmiała, kiedy się złościła, kiedy było jej wszystko jedno i nawet wtedy, kiedy marzła, a już szczególnie — kiedy na nią nachodziło... Ale się

zalałem, pomyślał Wiktor i pewnie jedzie ode mnie co najmniej jak od R. Kwadrygi. Wydął dolną wargę i chuchnął sobie pod nos. Nic nie poczuł.

— Drogi są mokre, śliskie — mówił Teddy. — Mgła... A poza tym powiadam ci, ten Roscheper — to na pewno dziwkarz, stary cap.

— Roscheper jest impotentem — powiedział Wiktor machinalnie przełykając wódkę.

— Ona ci tak powiedziała?

— Przestań Teddy — powiedział Wiktor. — Odczep się.

Teddy popatrzył na niego uważnie, potem westchnął, odchrząknął, przysiadł na piętach, poszukał czegoś pod ladą i postawił przed Wiktorem buteleczkę z amoniakiem i napoczętą paczkę herbaty. Wiktor spojrzał na zegarek, a potem przyglądał się, jak Teddy niespiesznie bierze czystą szklankę, nalewa do niej sodowej, wpuszcza kilka kropli z buteleczki i wciąż równie niespiesznie miesza szklaną pałeczką. Potem podsunął szklankę Wiktorowi. Wiktor wypił, powstrzymał oddech i skrzywił się. Ostro obrzydliwy i obrzydliwie ostry powiew amoniaku uderzył w mózg i rozlał się gdzieś za gałkami oczu. Wiktor wciągnął nosem powietrze, które nagle stało się zimne nie do zniesienia i zanurzył palce w paczce z herbatą...

— Dobra, Teddy — powiedział. — Dziękuję. Zapisz na mój rachunek co tam trzeba. Tamci powiedzą co trzeba. Idę.

Starannie przeżuując listki herbaty wrócił do swojego stolika.

Młody mężczyzna w okularach ze swoim długim współtowarzyszem spiesznie pochłaniali kolację. Stała przed nimi jedna jedyna butelka — z miejscową wodą mineralną. Pawor i Golem zrobili sobie wolne miejsce na obrusie i grali w kości, a doktor R. Kwadryga objął rozczochraną głowę rękami i monotonicznie mamrotał: „Legia Wolności opoką prezydenta. Mozaika...” „W szczęśliwym dniu imienin waszej ekscelencji...” „Prezydent — ojcem naszych dzieci” „Portret alegoria...”

— Idę — powiedział Wiktor.

— Szkoda — powiedział Golem. — Ale życzę szczęścia.

— Pozdrowienia dla Roschepera — powiedział Pawor puszczając perskie oko.

— „Poseł do parlamentu Roscheper Nant” — ożywił się R. Kwadryga. — Portret. Niedrogo. Do pasa.

Wiktor wziął swoją zapalniczkę, paczkę papierosów i poszedł do wyjścia. Za jego plecami doktor R. Kwadryga jasnym głosem oświadczył: „Uważam panowie, że czas, abyśmy się poznali. Jestem Rem Kwadryga doktor honoris causa, ale na przykład pana sobie nie przypominam...” W drzwiach Wiktor zderzył się z grubym trenerem drużyny piłki nożnej „Bracia w sapiencji”. Trener był bardzo zatroskany, bardzo mokry i szybko zszedł Wiktorowi z drogi.

Autobus zatrzymał się i kierowca powiedział:

— Jesteśmy na miejscu.

— Sanatorium? — zapytał Wiktor. Na zewnątrz była mgła, gęsta jak mleko. Pochłaniała światło reflektorów i nic nie było widać.

— Sanatorium, sanatorium — wymruczał kierowca zapalając papierosa.

Wiktor podszedł do drzwi i schodząc ze stopnia powiedział:

— Co za mgła. Nic nie widzę.

— Poradzi pan sobie — obojętnie obiecał kierowca i splunął przez okno. — Też sobie znaleźli miejsce na sanatorium. W dzień — mgła, wieczorem — mgła...

— Szczęśliwej drogi — powiedział Wiktor.

Kierowca nie odpowiedział. Silnik zawył i olbrzymi pusty autobus, cały przeszklony, oświetlony od środka jak zamknięty na noc supermarket, zawrócił, od razu przemienił się w plamę mętnego światła i odjechał z powrotem do miasta. Wiktor z trudem przesuwał dłońmi po siatce ogrodzenia znalazł bramę i na oślep ruszył aleją. Teraz, kiedy jego oczy przywykły do ciemności, niezbyt wyraźnie widział przed sobą oświetlone okna prawego

skrzydła i jakąś szczególnie głęboką ciemność na miejscu lewego, gdzie spali teraz utrudzeni całym dniem na deszczu „Bracia w sapiencji”. We mgle, jakby przez watę, przenikały normalne dźwięki — grał adapter, brzęczały naczynia, ktoś ochryple wrzeszczał. Wiktor szedł, starając się trzymać środka piaszczystej alei, żeby nie wpaść na jakąś gipsową wazę. Butelkę z dżinem troskliwie tulił do piersi i był bardzo ostrożny, niemniej jednak potknął się o coś miękkiego i parę kroków przespacerował się na czworakach. Za plecami ktoś ospale i sennie zaklął, że niby należałoby poświęcić. Wiktor wymacał w mroku upuszczoną butelkę, znowu przytulił ją do piersi i poszedł dalej wystawiając przed siebie wolną rękę... Po chwili zderzył się z samochodem, po omacku ominął go i wpadł na następny. Do diabła, tu jest całe stado samochodów. Wiktor przeklinając błąkał się wśród nich jak w labiryncie i długo nie mógł dotrzeć do niewyraźnych świateł oznaczających wejście do budynku. Gładkie boki samochodów były wilgotne od skroplonej mgły. Gdzieś obok ktoś chichotał i próbował się wyrwać.

Tym razem w westybulu było pusto, nikt nie bawił się w chowanego, ani w komórki do wynajęcia trzęsąc tłustym zadem, nikt nie spał w fotelach. Wszędzie poniewierały się stłamszone płaszcze, a jakiś dowcipniś powiesił kapelusz na fikusie. Wiktor czerwonym chodnikiem wszedł na pierwsze piętro. Grzmiała muzyka. Po prawej stronie korytarza wszystkie drzwi do apartamentów posła do parlamentu były otwarte, dolatywały stamtąd tłuste zapachy jedzenia, papierosów i zgrzanych ciał. Wiktor skręcił w lewo, zapukał do pokoju Diany. Nikt się nie odezwał. Drzwi były zamknięte, klucz tkwił w zamku. Wiktor wszedł, zapalił światło i postawił butelkę na stoliku obok telefonu. Usłyszał czyjeś kroki, wyjrzał więc na korytarz. Długim i pewnym krokiem oddalał się rosły mężczyzna w czarnym, wieczorowym garniturze. Na podeście zatrzymał się przed lustrem, uniósł głowę i poprawił krawat. Wiktor zdążył zauważyć smągły orli profil i ostry podbródek, a potem zaszła w nim jakaś zmiana — przygarbił się, jakby przekrzywił na bok i obrzydliwie kręcąc biodrami znikł w jakichś otwartych drzwiach. Chłystek, niepewnie pomyślał Wiktor. Puszczą gdzieś pawia... Spojrzał w lewo. Tam było ciemno.

Zdjął płaszcz, zamknął pokój i poszedł szukać Diany. Trzeba będzie zajrzeć do Roschepera, pomyślał. Bo gdzie jeszcze ona może być?

Roscheper zajmował trzy sale. W pierwszej niedawno odbywało się żarcie. Na stołach przykrytych zaświnionymi obrusami walały się brudne talerze, popielniczki, butelki, pomięte serwetki i nikogo nie było, jeśli nie liczyć samotnej, spoconej łysiny chrapiącej w półmisku z galareta.

Sąsiednia sala była tak zadymiona, że można było powiesić siekierę. Na gigantycznym łożu Roschepera skakały półnagie, nietutejsze panienki. Grały w jakąś dziwną grę z apoplektycznie purpurowym panem burmistrzem, który rył w nich jak świnia w żołądźkach i również skakał chrząkając ze szczęścia. Byli także obecni: pan policmajster bez płaszcza, pan sędzia grodzki, któremu oczy wyłaziły z orbit na skutek nerwowej zadyszki i jakaś nieznajoma, ruchliwa osobistość w liliowych barwach. Ta trójka z zapałem grała w dziecinny bilard stojący na toalecie, a w kącie, oparty o ścianę, siedział szeroko rozstawiwszy nogi, przyobleczony w utyłany galowy mundur, dyrektor gimnazjum z kretyńskim uśmiechem na wargach. Wiktor zamierzał już odejść, kiedy ktoś złapał go za nogawkę spodni.

Spojrzał w dół i odskoczył. Pod nim stał na czworakach poseł do parlamentu, kawaler orderów, autor słynnego projektu zarybienia kitchiganskich zbiorników wodnych — Roscheper Nant.

— Chcę się bawić w koniki — prosząco zabeczał Roscheper. Baw się ze mną w koniki. H-ha! — Najwyraźniej był niepopczytalny.

Wiktor delikatnie się uwolnił i zajrzał na ostatnią salę. I tam zobaczył Dianę. W pierwszej chwili nie zrozumiał, że to Diana, a potem kwaśno pomyślał: bardzo przyjemnie! Było tu pełno ludzi, jacyś pobieżnie znajomi mężczyźni i kobiety, wszyscy stali kołem i klaskali w

dłonie, a w środku koła tańczyła Diana z tym właśnie złotym chłystkiem, właścicielem orlego profilu. Oczy jej płonęły, płonęły policzki, włosy powiewały nad ramionami i nawet diabeł nie był jej straszny. Orli profil bardzo starał się być na poziomie, dorównać.

Dziwne, pomyślał Wiktor. O co chodzi?... Coś tu było nie tak. Tańczy dobrze, no po prostu wspaniale tańczy. Jak nauczyciel tańca. Nie tańczy, ale pokazuje jak należy tańczyć... Nawet nie jak nauczyciel, tylko jak uczeń na egzaminie. Strasznie zależy mu na piątce... Nie, nie to. Słuchaj kochany, przecież ty tańczysz z Dianą! Czy ty tego nie widzisz? Wiktor jak zwykle uruchomił wyobraźnię. Aktor tańczy na scenie, wszystko dobrze, wszystko pięknie, wszystko idzie jak należy, nikt się nie sypie, a w domu nieszczęście... nie, wcale niekoniecznie nieszczęście, zwyczajnie czekają na jego powrót, a on również czeka, kiedy spadnie kurtyna i zgasną światła... I nawet wcale nie aktor, tylko postronny człowiek udający aktora, który sam gra już bardzo postronnego człowieka... Czyżby Diana tego nie czuła.

Przecież to fałsz. Manekin. Ani odrobiny bliskości, ani krzty pokusy, ani cienia pożądania... Coś do ciebie mówią i nie sposób zrozumieć — co. „Nie spocił się pan?” „Tak, czytałem i to nawet dwa razy...” i wtedy zobaczył, że Diana biegnie do niego roztrącając gości.

— Chodź tańczyć! — krzychała z daleka.

Ktoś zagroził jej drogę, ktoś złapał za rękę, wyrwała się śmiejąc, a Wiktor wciąż szukał oczami złotoskórego, nie mógł znaleźć i czuł nieprzyjemny niepokój.

Diana podbiegła do niego, schwyciła za rękaw i wciągnęła w koło.

— Chodź, chodź. Tu są sami swoi: pijaczyny, łajdaki, sukinsyny... Pokaż im jak to się robi. Ten smarkacz nic nie potrafi...

Wciągnęła go do środka, ktoś w tłumie wrzasnął: „Niech żyje pisarz Baniew!” Adapter, który zamilkł na chwilę, znowu zagrzemiał i zaszczekał, Diana przywarła do Wiktora, potem odskoczyła, pachniało od niej perfumami i winem, była cała rozpalona i Wiktor nic już nie widział oprócz jej ożywionej, przesłoniczonej twarzy i rozwianych włosów.

— Tańcz! — krzyknęła i zaczął tańczyć. — Zuch jesteś, że przyjechałeś.

— Tak. Tak.

— Po co jesteś trzeźwy? Zawsze jesteś trzeźwy, kiedy nie trzeba.

— Jeszcze będę pijany.

— Dzisiaj jesteś mi potrzebny pijany.

— Będę.

— Żeby robić z tobą, co będę chciała. Nie ty ze mną, tylko ja z tobą.

— Tak.

Śmiała się zadowolona i oboje tańczyli w milczeniu nic nie widząc i o niczym nie myśląc. Jak we śnie. Jak w czasie bitwy. Taka ona teraz była — jak sen, jak bitwa. Diana. Na którą naszło... Dookoła klaskali w dłonie, coś pokrzykiwali, jeszcze ktoś próbował tańczyć, Wiktor odepchnął go, żeby nie przeszkadzał, a Roscheper przeciągle krzychał — „o mój biedny, pijany ludu!”

— On jest impotentem?

— Ja myślę. Przecież go kąpię.

— No i jak?

— Absolutnie.

— O mój biedny, pijany ludu! — jęczał Roscheper.

— Chodźmy stąd — powiedział Wiktor.

Wziął ją za rękę i poprowadził. Pijaczyny i sukinsyny rozstępowali się przed nimi śmierząc czosnkiem i spirytusem, a w drzwiach zagroził im drogę wielkousty młokos o rumianych policzkach, powiedział coś chamskiego, świerbiły go pięści, ale Wiktor powiedział mu: „Później, później” i młokos znikł. Trzymając się za ręce przebiegli pustym korytarzem, następnie Wiktor nie wypuszczając jej ręki otworzył drzwi, nie wypuszczając jej

ręki zamknął drzwi od środka i było gorąco, zrobiło się gorąco nie do wytrzymania, duszno i pokój na początku był wielki i przestronny, a potem stał się wąski i ciasny, wtedy Wiktor wstał i otworzył okno, czarne wilgotne powietrze obmyło jego pierś i ramiona. Wrócił do łóżka, namacał w ciemnościach butelkę z dżinem, napił się i oddał ją Dianie. Potem się położył i znowu z lewej płynęło zimne powietrze, a z prawej było gorące, jedwabiste i czułe. Teraz słyszał, że pijaństwo trwa nadal goście śpiewali chórem.

— To na długo? — zapytał.

— Co? — zapytała sennie Diana.

— Długo oni będą wyc?

— Nie wiem. Co nas to obchodzi? — odwróciła się na bok i przytuliła policzek do jego ramienia. — Zimno — poskarżyła się.

Pokręcili się włączając pod kołdrę.

— Nie śpij — powiedział Wiktor.

— Aha — wymamrotała Diana.

— Dobrze ci?

— Aha.

— A jeśli za ucho?

— Aha... przestań, boli.

— Słuchaj, może mógłbym pomieszkać tu przez tydzień?

— Mógłbyś.

— A gdzie?

— Teraz chcę spać. Daj pospać biednej, pijanej kobiecie.

Wiktor zamilkł i leżał bez ruchu. Diana już spała. Właśnie tak zrobię, pomyślał. Tu będzie dobrze i spokojnie. Tylko nie wieczorem. A może i wieczorem. Nie będzie chyba chłaf przez wszystkie wieczory, przecież musi się leczyć... Pobędę tu ze trzy, cztery dni... pięć, sześć... i trzeba mniej pić, w ogóle nie pić i popracować... bardzo dawno nie pracowałem... Żeby zacząć pracować, trzeba zdrowo się wynudzić, żeby już na nic poza rym nie mieć ochoty... Drgnął, zasypiając. A w sprawie Armii... W sprawie Armii napiszę do Roc-Tusowa, oto co zrobię. Żeby tylko nie stchórzył Roc-Tusow, to tchórz. Jest mi winien dziewięćset koron... Kiedy mowa o panu prezydencie, wszystko to nie ma znaczenia, wszyscy stajemy się tchórzami. Dlaczego tak się boimy? Czego właściwie się boimy? Boimy się zmian. Nie można będzie iść do knajpy dla pisarzy, żeby golnąć kielicha... portier przestanie się kłaniać... w ogóle nie będzie portiera, sam będziesz portierem. Kiepsko, jeśli do kopalni... to rzeczywiście kiepsko... Ale tak bywa bardzo rzadko, nie te czasy... obyczaje złagodniały... Sto razy o tym myślałem i sto razy dochodziłem do wniosku, że nie ma się czego bać, a wszystko jedno, się boję. Dlatego że to chamska siła, pomyślał. To bardzo straszne, jeśli przeciwko tobie jest bezmyślna, świńska, szczeciniasta siła, nie poddająca się niczemu, ani logice, ani emocjom... I Diany nie będzie...

Podrzemał i znowu się obudził, dlatego że pod otwartym oknem jacyś głośno rozmawiali i rzekli niczym zwierzęta. Zatrzeszczały krzaki.

— Nie mogę ich sadzać — powiedział pijany głos policmajstra nie ma takiego prawa...

— Będzie — powiedział głos Roschepera. — Jestem posłem, czy nie?

— A czy jest takie prawo, żeby tuż za miastem — rozsada zarazy? — zaryczał burmistrz.

— Będzie — z uporem powiedział Roscheper.

— Oni nie są zaraźliwi — zabeczał falsetem dyrektor gimnazjum.

— Mam na myśli, że w sensie medycznym...

— Ej, gimnazjum — powiedział Roscheper — nie zapomnij sobie rozpiąć.

— A czy jest takie prawo, żeby rujnować uczciwych ludzi? — ryknął burmistrz. — Żeby rujnować, jest takie prawo?

— A ja ci mówię, że będzie — powiedział Roscheper.

— Jestem posłem, czy nie?

Czym by tu w nich rzucić, pomyślał Wiktor.

— Roscheper! — powiedział policmajster. — Jesteś moim przyjacielem? Ja cię draniu na rękach nosiłem. Ja cię draniu wybierałem. A teraz te zarazy łażą po mieście, a ja nic nie mogę. Prawa takiego nie ma, rozumiesz?

— Będzie — powiedział Roscheper. — Ja ci mówię, że będzie. W związku z zatruciem atmosfery...

— Moralnej — wtrącił dyrektor gimnazjum — moralniej i etycznej.

— Co?.. W związku mówię... z zatruciem atmosfery i z niedostatecznego obrybienia przylegających zbiorników wodnych... zarazę zlikwidować i zorganizować — w odległym miejscu. Tak będzie dobrze?

— Niechże cię ucałuję — powiedział policmajster.

— Zuch — powiedział burmistrz. — Masz łeb. To i ja cię...

— Drobnostka — powiedział Roscheper. — Dla mnie to głupstwo... Zaśpiewamy? Nie, nie mam ochoty. Chodźmy, wypijemy jeszcze po kielonku.

— Słusznie. Po kielonku — i do domu.

Znowu zaszeleściły krzaki, Roscheper powiedział już gdzieś daleko: „Ej, gimnazjum zapomniałeś sobie zapiąć” i pod oknem zapadła cisza. Wiktor znowu zadrzemał, obejrzał jakiś nieznaczący sen, a potem zadzwonił dzwonek telefonu.

— Tak — powiedziała ochryple Diana. — Tak, to ja... — odkaszlnęła. — To nic, nic, słucham... Wszystko dobrze, moim zdaniem był zadowolony... Co?

Rozmawiała leżąc w poprzek klatki piersiowej Wiktora i nagle poczuł jak stężało jej ciało.

— Dziwne — powiedziała. — Dobrze, zaraz zobaczę... Tak... Dobrze, powiem mu.

Odłożyła słuchawkę, przelazła przez Wiktora i zapaliła nocną lampkę.

— Co się stało? — sennie zapytał Wiktor.

— Nic. Śpij, ja zaraz wrócę.

Przez przymrużone powieki patrzył, jak zbiera rozrzuconą bieliznę, i jej twarz była taka poważna, że się zaniepokoił. Szybko ubrała się i wyszła, po drodze już obciągając sukienkę. Roscheper zasnął, pomyślał nasłuchując. Zachlał się, stary baran. W ogromnym budynku było cicho i Wiktor wyraźnie słyszał kroki Diany na korytarzu, ale poszła nie na prawo jak oczekiwał, tylko na lewo. Potem skrzypnęły drzwi i kroki ucichły. Odwrócił się na bok i spróbował z powrotem zasnąć, ale sen nie przychodził. Zrozumiał, że czeka na Dianę i nie zaśnie, póki ona nie wróci. Usiadł i zapalił. Guz na karku znowu zaczął pulsować i Wiktor się skrzywił. Diana nie wracała. Nie wiadomo dlaczego przypomniał sobie tancerza z orlim profilem. A ten co ma z rym wspólnego? — pomyślał Wiktor. Artysta, który gra innego artystę, który gra trzeciego... Aha, więc to o to chodzi, tamten wyszedł właśnie z lewej strony, stamtąd, dokąd poszła Diana. Podszedł do podestu i przeistoczył się w chłystka. Najpierw grał lwa salonowego, a potem zaczął grać nonszalanckiego dandysa... Wiktor znowu zaczął nasłuchiwać. Zdumiewająco cicho, wszyscy śpią... ktoś chrapie... Potem znowu skrzypnęły drzwi i zaczęły zbliżać się kroki.

Weszła Diana i twarz miała nadal bardzo poważną. Nic się nie skończyło, przeciwnie. Diana podeszła do telefonu i nakręciła numer.

— Nie ma go — powiedziała. — Nie, nie, wyszedł... Ja też... Nic nie szkodzi, co też pan. Dobrej nocy.

Odłożyła słuchawkę, chwilę stała patrząc w ciemność za oknem, a potem usiadła na łóżku obok Wiktora. W rękę trzymała okrągłą latarkę. Wiktor zapalił papierosa i podał jej. Paliła w milczeniu myśląc o czymś w skupieniu, a potem zapytała:

— Kiedy zasnąłeś?

— Nie wiem, trudno powiedzieć.

— Ale już po mnie?

— Tak.

Odwróciła się do niego.

— Nic nie słyszałeś? Jakies awantury, bójki?

— Nie — powiedział Wiktor. — Moim zdaniem wszystko było bardzo spokojnie. Najpierw śpiewali, potem Roscheper z kumplami odlewał się pod naszym oknem, a potem zasnęłam. Zresztą zamierzali już jechać do domów.

Diana wyrzuciła papierosa za okno i wstała.

— Ubieraj się — powiedziała.

Wiktor uśmiechnął się i wyciągnął rękę po slipy. Słucham i jestem posłuszny, pomyślał. To świetna rzecz posłuszeństwo. Tylko nie trzeba o nic pytać. Zapytał:

— Pojedziemy, czy pójdziemy?

— Co?... Najpierw pójdziemy, a później się zobaczy.

— Ktoś zginął?

— Zdaje się.

— Roscheper?

Nagle poczuł na sobie jej spojrzenie. Patrzyła na niego z powątpiewaniem. Trochę już żałowała, że zabiera go ze sobą. Pytała siebie: a kto to właściwie taki, żeby go ze sobą zabierać?

— Jestem gotów — powiedział Wiktor.

Ciągle jeszcze nie była pewna: w zadumie bawiła się latarką.

— No dobra... w takim razie chodźmy — powiedziała nie ruszając się z miejsca.

— Może oderwać nogę od krzesła? — zaproponował Wiktor albo powiedzmy od łóżka...

Diana ocknęła się.

— Nie. Noga jest do niczego. — Wysunęła szufladę biurka i wyjęła ogromny, czarny pistolet. — Masz — powiedziała.

Wiktor w pierwszej chwili przeraził się, ale okazało się, że to małokalibrowy sportowy pistolet i do tego bez magazynka.

— Daj mi naboje — powiedział.

Popatrzyła na niego nic nie rozumiejąc, potem spojrziała na pistolet i powiedziała.

— Nie. Naboje nie będą potrzebne. Idziemy.

Wiktor wzruszył ramionami i wsunął pistolet do kieszeni. Zeszli do westybulu i wyszli przed dom. Mgła zrzędała, siąpił wąty deszczyk. Samochodów przed domem nie było. Diana skręciła w alejkę między krzakami i zaświeciła latarką. Idiotyczna sytuacja, pomyślał Wiktor, Okropnie chciałbym zapytać, o co chodzi, a zapytać nie wolno. Dobrze byłoby wymyślić jak zapytać. Jakoś tak podchwytliwie. Nie zapytać — tylko ot tak sobie rzucić uwagę z pytaniem w podtekście. Może trzeba będzie się bić? Nie chce mi się. Dzisiaj mi się nie chce. Walnę kolbą. Od razu między oczy... A jak tam mój guz? Guz był na miejscu i pobolewał. Dziwne jednakże są obowiązki siostry miłosierdzia w tym sanatorium... A przecież zawsze uważałem, że Diana to kobieta tajemnicza. Od pierwszego spojrzenia i przez wszystkie pięć dni... Co za wilgoć, trzeba było sobie golnąć przed wyjściem. Jak tylko wrócę, zaraz sobie golnę... Dobry jestem, pomyślał. Żadnych pytań. Słucham i jestem posłuszny.

Obeszli skrzydło budynku, przedarli się poprzez krzaki bzu i znaleźli się przed ogrodzeniem. Diana poświeciła. Jednego żelaznego pręta w ogrodzeniu brakowało.

— Wiktor — powiedziała niegłośnie Diana. — Teraz pójdziemy ścieżką. Ty będziesz szedł z tyłu. Patrz pod nogi i ani kroku na bok. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem — pokornie powiedział Wiktor. — Krok w lewo, krok w prawo — strzelam.

Diana przelazła pierwsza i poświeciła Wiktorowi. Potem bardzo wolno szli pod górę. To było wschodnie zbocze wzgórza, na którym stało sanatorium. Wokół szumiały pod deszczem niewidzialne drzewa. Raz Diana się poślizgnęła i Wiktor ledwie zdążył złapać ją za ramiona.

Niecierpliwie wyrwała się i szła dalej. Co chwila powtarzała: „Patrz pod nogi... Trzymaj się za mną”. Wiktor posłusznie patrzył w dół na nogi Diany migające w niepewnym jasnym kręgu. Początkowo wciąż oczekiwał ciosu w potylicę, prosto w guz, albo czegoś w tym rodzaju, ale potem zdecydował — raczej nie. Nic do niczego nie pasowało. Po prostu, najpewniej zwiął jakiś świr — na przykład Roscheper dostał delirium tremens, i trzeba go będzie doprowadzić z powrotem terroryzując nie nabitym pistoletem...

Diana nagle przystanęła i coś powiedziała, ale jej słowa nie dotarły do świadomości Wiktora, ponieważ nieomal w tej samej sekundzie zobaczył obok ścieżki czyjeś błyszczące oczy, nieruchome, ogromne, patrzące uważnie spod mokrego, wypukłego czoła — tylko czoło i oczy, i nic więcej, ani warg, ani nosa, ani ciała — nic. Wilgotna mokra ciemność i w kręgu światła — błyszczące oczy i nienaturalnie białe czoło.

— Ścierwa! — powiedziała Diana ściśniętym głosem. — Wiedziałam. Zezwierzęcone ścierwa! Bydlaki!

Padła na kolana, promień latarki ześlizgnął się wzdłuż czarnego ciała i Wiktor zobaczył jakieś lśniące półkoliste żelazo, łańcuch w trawie, a Diana rozkazała: „Szybciej Wiktor”. Przysiadł obok niej na pięty i dopiero wtedy zrozumiał, że to potrzask, a w potrzasku — noga człowieka. Oburącz wczepił się w żelazne szczęki, spróbował rozewrzeć je, poddały się ledwie, ledwie i znowu zatrzasnęły.

— Idiota! — krzyknęła Diana. — Pistoletem!

Zacisnął zęby, złapał wygodniej, napiął mięśnie tak, że zachrząściło i szczęki się rozwarły.

— Wyciągaj — powiedział ochryple. Noga znikła, żelazne półkola znowu się zwały i zacisnęły mu palce.

— Potrzyмай latarkę — powtórzyła Diana — a ja zobaczę co z nogą.

— Nie mogę — wykrztusił. — Złapałem się. Wyjmij mi z kieszeni pistolet...

Diana zakłęła, wsadziła mu rękę do kieszeni. Wiktor znowu otworzył potrzask, Diana wstawiła kolbę pistoletu między szczęki i wtedy się uwolnił.

— Potrzyмай latarkę — powtórzyła Diana — a ja zobaczę co z nogą.

— Kość jest zgruchotana — powiedział z ciemności napięty głos.

— Zanieście mnie do sanatorium i wezwijcie samochód.

— Słusznie — powiedziała Diana. — Wiktor, daj mi latarkę i podnieś go.

Poświeciła. Człowiek siedział na tym samym miejscu oparty o pień drzewa. Dolną połowę jego twarzy zasłaniała czarna przepaska. Okularnik, pomyślał Wiktor. Mokrzak. Skąd on się tutaj wziął?

— Bierz go — niecierpliwie powiedziała Diana. — Na plecy.

— Zaraz — odpowiedział. Przypomniawszy sobie żółte kręgi wokół oczu. Żołądek podszedł mu do gardła. — Zaraz... — przysiadł obok mokrzaka i odwrócił się do niego plecami. — Proszę mnie objąć za szyję — powiedział.

Mokrzak okazał się chudy i lekki. Nie ruszał się i nawet można było sądzić, że nie oddycha. Nie jęczał, kiedy Wiktor się poślizgnął, ale za każdym razem jego ciałem wstrząsał skurcz. Ścieżka była znacznie bardziej stroma niż Wiktor przypuszczał i kiedy dotarli do ogrodzenia był nieźle zasapany. Trudno było przecisnąć mokrzaka przez dziurę w ogrodzeniu, ale koniec końców i z tym dali sobie radę.

— Dokąd go teraz? — zapytał Wiktor, kiedy podeszli do wejścia.

— Na razie do holu — odpowiedziała Diana.

— Nie trzeba — tym samym pełnym wysiłku głosem powiedział mokrzak. — Zostawcie mnie tutaj.

— Przecież pada deszcz — zdziwił się Wiktor.

— Niech pan tyle nie gada — powiedział mokrzak. — Zostaję tutaj.

Wiktor zmilczał i zaczął wchodzić po stopniach.

— Zostaw go — powiedziała Diana.

Wiktor zatrzymał się.

— Co do diabła — powiedział — przecież pada deszcz.

— Niech pan się nie wygłupia — powiedział mokrzak. — Proszę mnie... zostawić tu...

Wiktor bez słowa przeskakując przez trzy stopnie podszedł do drzwi i wszedł do holu.

— Kretyn — cicho powiedział mokrzak i głowa opadła mu na ramię Wiktora.

— Bałwan — powiedziała Diana doganiając Wiktora i łapiąc go za rękaw. — Zabijesz go, idioto! Natychmiast wynieś go i połóż na deszczu! Natychmiast, słyszysz? No, czego stoisz?

— Wszyscyście tu powariowali — z gniewnym zdumieniem powiedział Wiktor.

Zawrócił, kopnął drzwi nogą i wyszedł przed dom. Deszcz jakby tylko na to czekał. Dopiero co siąpił leniwie, a teraz nagle lunął jak z cebra. Mokrzak jęknął cichutko, podniósł głowę i nagle zaczął szybko, szybko oddychać jak po szybkim biegu. — Wiktor wciąż jeszcze zwlekał instynktownie rozglądając się w poszukiwaniu jakiejś osłony.

— Niech pan mnie położy — powiedział mokrzak.

— W kałużę? — gorzko i jadowicie zapytał Wiktor.

— To bez znaczenia...niech pan kładzie.

Wiktor ostrożnie położył go na ceramiczne kafelki przed wejściem, a mokrzak od razu wyciągnął się i rozkrzyżował ręce. Jego prawa noga była nienaturalnie wykręcona, ogromne czoło w świetle nocnej lampy wydawało się sinawobiałe. Wiktor usiadł obok na schodku. Miał ogromną ochotę wrócić do holu, ale to było niemożliwe zostawić rannego na deszczu, a samemu schronić się w ciepłe. Ile razy nazwano mnie dzisiaj głupcem? — pomyślał, ocierając twarz dłonią. Oj, dużo razy. I zdaje się, jest w tym trochę prawdy, ponieważ głupiec, czyli bałwan a także kretyn i tak dalej, to ignorant upierający się przy swojej ignorancji. A przecież, jak Boga kocham, jest mu lepiej na deszczu! Nawet oczy otworzył i wcale nie są takie straszne... Mokrzak, pomyślał. Tak, właściwie raczej mokrzak niż okularnik. Ale jak też trafił w ten potrzask? Drugiego mokrzaka dzisiaj spotykam i obaj mają kłopoty. Oni mają kłopoty, i ja mam przez nich kłopoty...

W holu Diana rozmawiała przez telefon. Wiktor przysłuchiwał się:

— Noga!... Tak, zgruchotane kości... Dobrze... W porządku... Jak najszybciej, czekamy.

Przez szklane drzwi Wiktor zobaczył, że odwiesiła słuchawkę i pobiegła schodami na górę. Zaczęły się jakieś nieprzyjemności z mokrzakami w naszym mieście. Coś się wokół nich dzieje. Jakby nagle zaczęli wszystkim przeszkadzać, nawet dyrektorowi gimnazjum. Nawet Loli, przypomniał sobie nagle. Zdaje się, że też coś nadmieniała na ich temat.. Spojrzał na mokrzaka. Mokrzak patrzył na niego.

— Jak pan się czuje? — zapytał Wiktor. Mokrzak milczał. — Może trzeba panu czegoś? — zapytał Wiktor podnosząc głos. — Trochę dżinu?

— Niech pan się nie drze — powiedział mokrzak. — Słyszę.

— Boli? — zapytał Wiktor współczująco.

— A jak pan myśli?

Wyjątkowo nieprzyjemny człowiek, pomyślał Wiktor. Zresztą Bóg z nim — widzę go po raz pierwszy i ostatni. A teraz go boli...

— To nic — powiedział. — Jeszcze tylko kilka minut. Zaraz po pana przyjadą.

Mokrzak nic nie odpowiedział, jego czoło pokryły bruzdy, przymknął oczy. Przypominał teraz trupa — płaski, nieruchomy pod ulewnym deszczem. Wybiegła Diana z lekarską walizką, przysiadła obok i zaczęła coś robić z poharataną nogą. Mokrzak cicho krzyknął, ale Diana nie mówiła uspokajających słów jak zwykle w takich wypadkach lekarze.

— Pomóc ci? — zapytał Wiktor. Diana nie odpowiedziała. Wstał, wtedy Diana nie unosząc głowy powiedziała:

— Poczekaj, nie odchodź.

— Nigdzie nie idę — powiedział Wiktor. Patrzył jak zręcznie zakłada szynę.

— Będziesz jeszcze potrzebny — powiedziała Diana.

— Nigdzie nie idę — powtórzył Wiktor.

Potem gdzieś za zasłoną deszczu zawarczał silnik, błysnęły reflektory. Wiktor zobaczył jeepa, który ostrożnie skręcał w bramę. Jeep podjechał do wejścia niezgrabnie, wyładował się z niego Jul Golem w swoim niezgrabnym płaszczu. Wszedł po schodkach, pochylił się nad mokrzakiem i wziął go za rękę. Mokrzak powiedział głucho:

— Żadnych zastrzyków.

— Dobra — powiedział Golem i spojrzał na Wiktora. — Niech go pan podniesie.

Wiktor wziął mokrzaka na ręce i zaniósł do jeepa. Golem wyprzedził go, otworzył drzwi i wsiadł do środka.

— Niech pan go daje tutaj — powiedział w ciemności. — Nie nogami do przodu... Śmiaiej... Przytrzymać za ramiona...

Sapał i krzątał się w samochodzie. Mokrzak znowu krzyknął i Golem powiedział coś niezrozumiałego, coś w rodzaju: „Sześć kątów na szyi...” Potem, zatrzasnął drzwi i siadając przy kierownicy, zapytał Dianę:

— Dzwoniłaś do nich?

— Nie — powiedziała Diana. — Zadzwonić?

— Teraz już nie warto — powiedział Golem — bo inaczej wszystko zatuszują. Do widzenia.

Jeep ruszył, objechał klomb i pojechał aleją. ‘

— No to idziemy — powiedziała Diana.

— Płyniemy — poprawił ją Wiktor. Teraz, kiedy wszystko się skończyło, nie czuł nic oprócz irytacji.

W holu Diana wzięła go pod rękę.

— To nic — powiedziała — zaraz przebierzesz się w suche ubranie, strzelisz sobie kielicha i wszystko będzie dobrze.

— Jestem przemoczony jak pies — gniewnie poskarżył się Wiktor.

— A poza tym, może wreszcie wytłumaczysz mi, co się tu stało.

Diana westchnęła ze znużeniem.

— Nic szczególnego się nie stało. Nie trzeba było zapominać latarki.

— A te potrzaski na drodze — to u was na porządku dziennym?

— Burmistrz je stawia, kanalia...

Weszli na pierwsze piętro i szli teraz korytarzem.

— Zwariował? — zapytał Wiktor. — To przecież kryminalna sprawa. Czy może naprawdę oszalał?

— Nie. To zwykła kanalia i nienawidzi mokrzaków. Jak zresztą całe miasto.

— To już zauważyłem. My ich też nie lubiliśmy, ale potrzaski...

A co im mokrzaki zrobiły?

— Przecież trzeba kogoś nienawidzić — powiedziała Diana. W jednych miejscach nienawidzą Żydów, gdzie indziej — Murzynów, a u nas — mokrzaków.

Zatrzymali się przed drzwiami, Diana przekręciła klucz, weszła i zapaliła światło.

— Poczekaj — powiedział Wiktor rozglądając się. — Gdzieś mnie przyprowadziła?

— To laboratorium — odpowiedziała Diana. — Ja zaraz...

Wiktor został w drzwiach i patrzył jak Diana chodzi po ogromnym pokoju i zamyka okna. Pod oknami ciemniały kałuże.

— A co on tam robił w nocy? — zapytał Wiktor.

— Gdzie? — zapytała Diana nie odwracając się.

— Na ścieżce... Przecież wiedziałaś, że on tu jest?

— No, bo wiesz — powiedziała — w leprozorium jest nie najlepiej z lekarstwami. Czasami przychodzą do nas i proszą...

Zamknęła ostatnie okno, przespacerowała się po laboratorium oglądając stoły zastawione aparaturą, chemicznymi kolbami i retortami.

— Wszystko to jest obrzydliwe — powiedział Wiktor. — Co to za kraj! Gdzie się człowiek ruszy — wszędzie jakieś świństwa... Chodźmy, bo zamarzęm.

— Zaraz — powiedziała Diana.

Zdjęła ze stołu jakieś ciemne męskie ubranie i potrząsnęła nim. Był to ciemny, wieczorowy garnitur. Starannie powiesiła go w szafie na ubrania robocze. Skąd tu garnitur, pomyślał Wiktor, i do tego taki znajomy garnitur...

— No tak — powiedziała Diana — ty jak chcesz, ale ja zaraz włożę do gorącej wanny.

— Posłuchaj Dianko — powiedział ostrożnie Wiktor. — Kto to był ten... z takim nosem... żółty na twarzy? Z którym tańczyłaś...

Diana wzięła go za rękę.

— Widzisz — odpowiedziała po chwili milczenia — to mój mąż...

Mój były mąż.

ROZDZIAŁ 3

FELIKS SOROKIN. PRZYGODA

Nie wziąłem wieczorem sustaku i nie dlatego, że zapomniałem, tylko nagle olśniło mnie — nie można sustaku zapijać alkoholem. I dlatego od rana czułem się słabo, apatycznie i wciąż musiałem się przymuszać, żeby się umyć, żeby się ubrać, posprzątać, zjeść śniadanie... Koniaku zostało około połowy, a „Salutu” około szklanki, zastanawiałem się czy nie golnąć sobie klina, jednakże wtedy kompletnie nie w porę przypomniałem sobie, że za główny symptom alkoholizmu tutejsi lekarze uważają syndrom klina i zrezygnowałem. Mój Boże, pomyślałem, jak to dobrze, że nie ma ze mną Klary i że w ogóle jestem sam!

I oczywiście, właśnie w tej chwili zadzwoniła Katia i z troską, ale nie bez jadu w głosie zapytała: „Znowu walczyłeś ze skurczem naczyń krwionośnych?” I oczywiście, znowu musiałem kłamać i usprawiedliwiać się, tym bardziej że znowu nic nie załatwiłem w sprawie jej futra w naszej pracowni futrzarskiej. Zresztą Katia dzwoniła wcale nie w sprawie futra — okazało się, że zamierza wpaść do mnie dzisiaj, albo jutro wieczorem i przynieść mi jedzenie, które zamówiłem. Tylko tyle. Odwiesiliśmy słuchawki i z radości nalałem sobie koniaku, wypilem i zrobiło mi się trochę lepiej.

A pogoda za oknem zrobiła się cudowna. Po wczorajszej zamieci nie było nawet śladu, wyjrzało słońce, którego nie było od Nowego Roku, dziwacznie wyrzeźbiona zaspą na moim balkonie iskrzyła się wesoło, był mróz, ponieważ za każdym samochodem na jezdni ciągnął się tren białej pary. Ciśnienie się ustaliło i nie widziałem żadnego powodu, który przeszkodziłby mi uisnąć do scenariusza.

Na wszelki wypadek trzykrotnie zadzwoniłem do pracowni kuśnierskiej — wszystkie trzy razy bez żadnego rezultatu. Trzeba przyznać, że telefony te miały czysto rytualny charakter — jeśli człowiek na serio zamierza załatwić córce futro, powinien iść do pracowni osobiście, wykonać masę alegorycznych gestów i wypowiedzieć masę alegorycznych zdań, ryzykując nieustannie, że narazi się albo na zwyczajne chamstwo, albo na podłe wykrety.

Następnie usiadłem do maszyny i zacząłem od razu od zdania, które wymyśliłem jeszcze wczoraj, ale nie użyłem go, specjalnie zaoszczędzając na dzisiaj, żeby mieć od czego zacząć: „To nie ich, to towarzyszy z prawej...” I na początku wszystko poszło wartko, rażno, wesoło, po suworowsku, ale już po godzinie z niewielkim hakiem, okazało się, że siedzę rozwalony w fotelu i tępo po raz nie wiadomo który czytam ostatni akapit: „A komisarz wciąż patrzy na płonący czołg. Spod okularów płyną łzy, komisarz nie wyciera ich, jego twarz jest nieruchoma i spokojna”.

Już czułem, że ugrzązłem, ugrzązłem na długo i beznadziejnie. I szło nie o to, że nie umiałem sobie wyobrazić, jak dalej będzie się rozwijać akcja — wszystkie wydarzenia miałem przemyślane na dwadzieścia pięć stron naprzód. Nie, sprawa była dużo gorsza — czułem coś w rodzaju mdłości mózgu.

Tak, wyraźnie widziałem przed sobą twarz komisarza, na wpół rozwalony okop, płonącego „tygrysa”. Ale wszystko to było jakby z tektury. Z kartonu i pomalowanej dykty. Jak na scenie zapyziałego domu kultury. I który to już raz z rzędu pomyślałem ze smętnym zadowoleniem, że pisać należy, albo o tym co się zna bardzo dobrze, albo o tym na czym nie zna się nikt. Większość z nas ma inne zdanie — no i co z tego? Słusznie powiedziała moja córka, Katia — zawsze należy być w mniejszości.

Nie znoszę takiego buksowania w pracy, robię się od tego chory. I od razu postanowiłem, że nie dam się wpędzić w przygnębienie. Koniec końców i bez tego mam mnóstwo spraw, nie ma co siedzieć i przeżywać. Oczekują mnie na Bannej.

Spiesznie, gniotąc kartki, wepchnąłem brudnopis scenariusza w specjalnie przeznaczony dla niego plastikowy futerał i zacząłem się ubierać. „Młynarz powinien w ruchu żyć...” — mamrotałem i stękając wciągałem buty. „Woda przykładem służy nam!” — zaśpiewałem bardzo głośno układając w kartonowej teczce wspaniałą sztuką „Koriaginowie”. Odpędzałem strach. „W ostateczności oddam zaliczkę!” — powiedziałem głośno naciągając kurtkę. Ale nie chodziło o zaliczkę. Coś ostatnio za często się przydarzały takie oto — jeśli już mówić szczerze — napady wstrętu do pracy, z której żyję.

Stojąc na podeście, żeby już raz z tym skończyć, zacząłem myśleć o tym, że oto mija już trzeci dzień i nic się ze mną nie stało idiotycznego czy nonsensownego — wygląda na to, że ten kto rządzi moim losem stracił inwencję i nie stać go nawet na głupawe cuda... A windy wciąż nie jechały na górę, ani duża, ani ta mniejsza, więc postukałem po drzwiach jednej i drugiej i przysłuchiwałem się. Z dołu dobiegały dźwięczne i niewyraźne głosy. Wtedy zakląłem i zacząłem schodzić na piechotę.

Na podeście dziewiątego piętra zobaczyłem, że drzwi do mieszkania Kostii Kudinowa, poety, otwarte są na oścież i że wysuwają się z nich ogromne plecy w białym fartuchu. „Proszę bardzo, znowu” — pomyślałem i nie pomyliłem się. Kostię Kudinowa wynoszono na noszach i duża winda była otwarta, żeby go pomieścić. Kostia był blady, że aż zielony, jego zmętniałe oczy to świeciły białkami, to zbiegały się u nasady nosa, uwalane czymś wargi były zwiotczałe i uchylone.

Początkowo wydało mi się, że Kostia jest nieprzytomny, i nie mogę powiedzieć, żeby ten widok mną wstrząsnął, albo chociażby zmartwił. Byliśmy zaledwie znajomi — sąsiedzi z jednego domu i członkowie jednej organizacji pisarskiej liczącej kilka tysięcy ludzi. Jakieś może dziesięć lat temu w okresie kolejnej kampanii Kostia publicznie wystąpił przeciwko mnie — idiotycznie rzecz jasna wystąpił, ale dosyć jadownicie. Co prawda następnie przeproszał, mówiąc, że pomylił mnie z innym Sorokinem, z Sorokinem z sekcji literatury dziecięcej, tak że przy spotkaniach uprzejmie się ze sobą witamy, wymieniamy plotki i ubolewamy, że jakoś nie udaje się nam spotkać na dłużej. A poza tym był dla mnie po prostu nikim, a na dodatek kiedy mu się przyjrzałem, uznałem, że znowu się schlał ponad wszelką miarę. Słowem, gdyby wszystko zostawić obojętnej naturze Kostię Kudinowa, poetę wniesiono by teraz do przygotowanej windy, drzwi zamknęłyby się zakrywając go przed moimi oczami, zapytałbym lekarza, co właściwie zaszło, a wieczorem opowiedziałbym o tym mało ważnym wydarzeniu jakiemuś znajomemu w klubie.

Ale ten kto rządził moim losem, był jak się okazuje jeszcze pełen sił.

— Feliks! — wykrztusił Kostia tak rozpaczliwym głosem, że sanitariusze od razu przystanęli, oczekując na ciąg dalszy. — Sam Bóg mi ciebie zesłał, Feliksie...

W tym momencie oczy mu uciekły pod czaszkę i zamilkł. Ale ledwie sanitariusze nie doczekawszy się dalszego ciągu, ruszyli do windy, Kostia znowu przemówił. Mówił niejasno, co i rusz przechodząc z chrypienia na szept, wciąż domagał się, żebym wszystko zapisywał i ja rzecz jasna posłusznie otworzyłem teczkę, wyjąłem wieczne pióro i zacząłem zapisywać „Metro Sokolniki, ulica Bogorodska, autobus 339, instytut, Iwan Dawidowicz Martinson, matuzalin”. To znaczy, czekała mnie teraz wyprawa na przeciwległy koniec Moskwy, gdzie miałem odszukać nie wiadomo gdzie na ulicy Bogorodskiej jakiś nieznaną instytut, w instytucie dorwać niejakiego Martisona i wyprosić u niego dla Kostii wspomniany matuzalin („Choć dwie, trzy krople... Mnie nie przysługuje, ale niech koniecznie da... Inaczej umrę...”). Następnie drzwiczki windy zamknęły się i zostałem sam na podeście.

Będę absolutnie szczerzy. Absolutnie nie czułem ani jakiegokolwiek litości, ani tym bardziej nie miałem ochoty wykonywać tych skomplikowanych ewolucji w moim osobistym czasie i w przestrzeni. Z jakiej racji? Kim on jest dla mnie? Ledwie znajomy poeta, pijaczyna! I jeszcze do tego atakujący mnie, powiedzmy, że przez pomyłkę, ale przecież to było przeciwko mnie, a nie za! Oczywiście nigdzie bym teraz nie pojechał, w tym także i na

Banną, za bardzo mnie to wszystko zirytowało i zdenerwowało. Ale wtedy z mieszkania Kostii wyszedł i stanął obok mnie przed drzwiami windy jeszcze jeden człowiek w białym fartuchu. Sądząc z fonendoskopu i okularów w rogowej oprawie — lekarz, dobry doktor Ojboli z nie zapalonym papierosem „Bielmorkanał” w kąciku ust.

Zapytałem go co jest Kostii i lekarz odpowiedział, że podejrzewa botulizm, ciężkie zatrucie konserwami. Przestraszyłem się. Sam kiedyś zatrąłem się konserwami na Kamczatce, omal nie oddałem Bogu ducha.

Drzwiczki windy otworzyły się, weszliśmy do środka z lekarzem i zapytałem sprawdzivszy nazwę czy Kostii pomoże ten tajemniczy matuzalin. Lekarz spojrział na mnie nie rozumiejąc, więc mu przesyłabizowałem ma-tu-za-lin. Jednakże lekarz nic o tym nie słyszał, a ja wyciągnąłem wniosek, że to lekarstwo jakieś nowe, a może nawet najnowsze.

Rozstaliśmy się przy karetkce. Nieszczęsnego Kostię zabrano do Biriulewa, do nowego szpitala, a ja poszedłem do metra.

Nadal nie chciało mi się donikąd jechać. Przyznałem się uczciwie sam przed sobą — i było to jak olśnienie — że Kostia nigdy nie był mi sympatyczny — doszczętnie obcy, beznadziejnie głupi, pozbawiony jakiegokolwiek talentu człowiek. Jego botulizm wywoływał co prawda pewne współczucie, ale irytację także wywoływał i z każdą chwilą irytacja stawała się silniejsza od współczucia. Po jakiego diabła, ja, niemłody, chory człowiek muszę wlec się przez całe miasto do jakiegoś nieznanego mi instytutu, szukać nieznanego mi Martinsona, po jakiś nieznanym mi matuzalin, o którym nawet lekarz nic nie wie..., łązić, dopytywać się, szukać, a potem błagać i prosić, przecież Kostia sam powiedział, że mu się nie należy... i na pewno okaże się, że takiego instytutu nie ma, a jeśli instytut jest, to nie ma w nim żadnego Martinsona, że wszystko to są majaczenia nieprzytomnego Kostii, zwidy, zatrął się przecież, i to zatrął bardzo silnie...

Grzęznąc w śniegu, którego nie tknęła miotła dozorczy, nieustannie ślizgając się na zasypanych lodowych wybojach, brnąłem do metra, wymyślając sobie wciąż nowe i nowe usprawiedliwienia, chociaż wiedziałem już z niezachwianą pewnością, że im więcej wymyślę usprawiedliwień, tym pewniej pojedę przez całą Moskwę, aż za Sokolniki do Iwana Dawidowicza Martinsona, a potem z trzema kroplami drogocennego matuzalinu z powrotem przez całą Moskwę do Biriulewa, aby uratować kompletnie mi niepotrzebnego i niesympatycznego Kostię Kudinowa, poetę...

Bogu dzięki, mam bezpośrednią linię metra do Sokolników, ludzi w tym czasie (około drugiej) niewielu, usiadłem w kacie i przymknąłem oczy. Moje myśli przybrały nieco inny, zawodowy, jeśli można tak powiedzieć, kierunek.

Który to już raz z rzędu, pomyślałem o tym, że literatura, nawet najbardziej realistyczna zaledwie w ogromnym przybliżeniu przedstawia realny świat, kiedy zajmuje się wewnętrznym światem człowieka. Spróbowałem przypomnieć sobie choćby jeden utwór literacki, w którym człowiek znajdujący się w mojej, albo podobnej sytuacji, pozwoliłby sobie, mniej lub więcej jasno, bez żadnych wykrętów przyznać się, że nie ma ochoty jechać. Czytelnik nigdy by mu tego nie wybaczył. Niechby bohater tak czy inaczej pojechał, przezwyciężając tysiące trudności, dokonując cudów bohaterstwa, wszystko jedno na jego obrazie zostałaby nieprzyjemna brudna plama w oczach czytelnika i już tym bardziej w oczach wydawcy.

W ogóle to bohaterowi pozytywnemu w naszych liberalnych czasach wolno mieć pewne wady. Wolno być nawet pijakiem i nawet u diabła, ściągnąć coś (bezinteresownie rzecz jasna). Może nie dbać o rodzinę, być oferumą i gapą, może być człowiekiem kompletnie lekkomyślnym powierzchownym. Jedno tylko jest niewskazane dla pozytywnego bohatera — mizantropia. Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż postaci literackiej stać się postacią pozytywną, jeśli ona, chociaż raz pozwoli się przejść obojętnie obok ptaszka ze złamanym skrzydłem. I wychodzi na to, że ja Feliks Aleksandrowicz Sorokin według

wszelkich norm literackich — zarówno ojczystych jak i zagranicznych — jestem i to w najlepszym wypadku moralnym kaleką. Ten wniosek rozweselił mnie i wprowadził w dobry nastrój. Po pierwsze, dzisiaj znowu mogłem nie jechać na Banną, pod pretekstem nie tylko niepodważalnym, ale i nadzwyczaj humanitarnym. Po drugie... po drugie, wystarczy po pierwsze. W powrotnej drodze wezmę taksówkę, dzięki Bogu mam pieniądze. Podjadę do Biriulewa, oddam ten matuzalin i tą samą taksówką prosto do klubu...

Zacząłem drzemać i pomyślałem przez sen, że jakąś dziwną nazwę ma to nowe lekarstwo. Matuzalin.

Wywołuje skojarzenia. Turcja. Nie wiadomo dlaczego Bliski Wschód. Matuzalin. Biblia?

Instytut znalazłem bez trudu. Autobus zatrzymał się naprzeciwko portierni, od której w obie strony ciągnęło się wzdłuż pustej ulicy nieskończone ogrodzenie. Żadnej wywieszki nad portiernią nie było, a przed wejściem stał z rękami w kieszeniach, jakiś mężczyzna bez palt, ale za to w czapce — uszance z nausznikami podniesionymi do góry. Spojrzał na mnie bokiem, ale nic nie powiedział, więc wszedłem do solidnie nagrzonej budki. Pewnie powinienem nie patrząc ani na prawo, ani na lewo przemaszerować przez korytarz i dalej na teren, aleja tak nie umiem. Wsadziłem głowę do maleńkiego okienka, zapytałem prosząco:

— Którędy mam iść do Iwana Denisowicza Martinsona?

Za okienkiem pił herbatę ze spodeczka zagryzając kawałeczkiem cukru pomarszczony starowina w brudnym fartuchu. Niespiesznie postawił parujący spodeczek na stół, wyciągnął spod stołu brudną czapkę z daszkiem i starannie nasadził ją sobie na łysinę.

— Przepustka — powiedział.

Powiedziałem, że nie mam przepustki. To wyznanie potwierdziło jego najgorsze przypuszczenia. Jakby od rana uprzedzano go, że dzisiaj będzie próbował dostać się do instytutu taki jeden bez przepustki, którego w żadnym wypadku nie wolno przepuścić. Wydostał się zza stołu, wylazł na korytarz i zagroził sobą wejście. Zacząłem go nudzić i błagać. Im żałośniej błagałem, tym bardziej nieprzejednany stawał się okrutny starzec, i trwało to do tej chwili, w której nie uświadomiłem sobie, że mam przed sobą przeszkodę nie do przezwyciężenia, i dlatego można z lekkim sercem jechać stąd prosto na Banną, a potem do klubu. Z rozkoszą nazwałem starca zgrzybiałą gnidą i bardzo zadowolony z siebie odwróciłem się i wyszedłem.

Ale nie ma lekko!

— Nie wpuszcza — potwierdzająco powiedział mężczyzna z zadartymi uszami.

— Stara perska gnida — wyjaśniłem mu.

I wtedy mężczyzna, którego nikt o to nie prosił, z wielką ochotą opowiedział mi, że przez portiernię teraz nikt nie chodzi, nikogo nie wpuszczają przez portiernię, teraz wszyscy chodzą przez płot, o sto kroków stąd jest dziura w ogrodzeniu, wszyscy chodzą przez nią, dlatego, komu się chce po Bogorodskiej wzdłuż płotu leżeć trzy wiorsty, a tak przez płot, przez teren instytutu, znowu przez płot i jesteś pod sklepem monopolowym.

Co mi pozostawało do zrobienia? Podziękowałem dobremu człowiekowi i ściśle zastosowałem się do jego wskazań. Od dziury w ogrodzeniu przez zasypyany śniegiem ogromny teren prowadziła dobrze udeptana ścieżka. Po prawej stronie ścieżki była jakaś zamrożona budowa, a po lewej wznosił się czteropiętrowy budynek z białej cegły z oknami szerokimi niczym w szkole. Widocznie to właśnie był instytut. Od ścieżki prowadziła do niego dróżka, też dobrze udeptana.

U wejścia do instytutu (szeroka niska przybudówka, szerokie oszklone drzwi pod szerokim daszkiem z betonu) trzech mężczyzn znowu bez palt i w czapkach z zadartymi uszami, otwierało kontener zaklejony zagranicznymi napisami. Minąłem ich, pokonałem kilka schodków i wszedłem do westybulu.

Było to ogromne pomieszczenie, zalane światłem lamp rtęciowych i było w nim pełno ludzi, którzy — moim zdaniem — niczym się nie zajmowali, tylko stali grupkami i palili

papierosy. Nauczony gorzkim doświadczeniem, nikogo o nic nie pytałem i ruszyłem wprost do szatni, rozebrałem się utrzymując zatroskany i ponury wyraz twarzy, starając się trzymać na widoku swoją teczkę.

Potem przyczesalem się przed lustrem i po schodach wszedłem na pierwsze piętro. Dlaczego akurat na pierwsze — nie potrafiłbym wytłumaczyć, zresztą nikt nie wymagał ode mnie wyjaśnień w tej sprawie. Tu również podłoga — wyłożona była kafelkami, również świeciły lampy ręcione i również stali grupkami ludzie z papierosami. Wypatrzyłem młodego człowieka stojącego oddzielnie. Miał również chmurnie zatroskany wyraz twarzy, i pomyślałem sobie, że ten to już na pewno nie będzie się interesować kim jestem, po co tu jestem i czy mam do tego prawo.

Nie pomyliłem się. Z roztargnieniem, nawet na mnie nie patrząc, wyjaśnił, że Martinson jest najprawdopodobniej w swojej norze, to na drugim piętrze od razu na prawo za szkieletami, a numer nory trzydzieści siedem.

Żadnych szkieletów na drugim piętrze nie zauważyłem, nie wiem co miał na myśli młody człowiek o takim obrazowym słownictwie, a nora numer trzydzieści siedem okazała się bardzo dużym i bardzo jasnym pokojem. Było tam mnóstwo szkła, mrugających światełek na monitorach, tam jak trzeba zwijały się zielone, krzywe, pachniało sztucznym życiem i myślącymi maszynami, a tyłem do mnie siedział jakiś mężczyzna i głośno rozmawiał przez telefon.

— Przestań! — ryczał. — Jakie znowu prawo? Mocniej naciskaj! Zostaw! Co ma do tego Łomonosow–Lavoisier! Najważniejsze mocniej naciskaj.

Potem rzucił słuchawkę, odwrócił się do mnie i zagrmiał:

— Do rady zakładowej, do rady zakładowej!

Powiedziałem, że szukam Iwana Dawidowicza. Spurpurowiał. Był ogromny, barczysty, z potężnym karkiem i rozczochną siwąwą czupryną.

— Powiedziałem — do rady zakładowej! — ryknął. — Od trzeciej do piątej! A tu rozmawiać nie będziemy, jasne?

— Jestem od Kostii Kudinowa — powiedziałem.

Jakby się zatchnął.

— Od Kostii? A o co chodzi?

Opowiedziałem. Kiedy mówiłem, wstał, wyminął mnie i starannie zamknął drzwi.

— A kim pan jest właściwie? — zapytał. Rumieniec znikł z jego twarzy, i teraz był raczej blady. W oczy mi nie patrzył.

— Jestem jego sąsiadem.

— To już zrozumiałem — powiedział niecierpliwie. — Kim pan jest, to co chciałbym wiedzieć...

Przedstawiłem się.

— Nic mi to nie mówi — oznajmił i zapatrzył się w środek mojego czoła. Oczy miał czarne, osadzone blisko siebie, wypisz wymaluj dubeltówka.

Rozgniewałem się. Do diabła! Znowu każą mi się tłumaczyć!

— A mnie pańskie nazwisko także nic nie mówi — powiedziałem.

— Ale jednakjechałem do pana z drugiego końca Moskwy...

— Masz pan jakieś dokumenty? — przerwał mi. — No cokolwiek...

Dokumentów nie miałem. Nie noszę ich przy sobie. Zadumał się. Dobrze, sam się tym zajmę. Pan powiedział, że w którym szpitalu on leży?

Powtórzyłem.

— Żeby go aż tam... — wymamrotał. — Rzeczywiście drugi koniec Moskwy... No dobrze, może pan iść. Zajmę się tym.

Gotując się wewnątrz, odwróciłem się, żeby wyjść i nawet już ująłem kłamkę, kiedy nagle zaskoczył.

— Chwi–leczkę! — zahuczał. — A jak pan tu się dostał? Bez przepustki! I nawet dokumentów pan nie ma!

— Przez dziurę! — powiedziałem jadownicie.

— Przez jaką dziurę?

— A w płocie! — powiedziałem mściwie i wyszedłem. Cały w bieli.

Schodziłem po schodach, kiedy nagle poraziła mnie straszna myśl — a jeśli ten srogi Martinson dzwoni teraz gdzie trzeba i za minutę do wszystkich dziur w płocie popędzą strażnicy na przemian ze stolarzami, znajdę się w potrzasku jak jakiś tam Paulus... Nie wytrzymałem i pobiegłem sam, w myśli wciąż od nowa przeklinając Kostię Kudinowa, jego botulizm i swój kulawy los. Dopiero kiedy zauważyłem, że ludzie się za mną oglądają, zdołałem wziąć się w garść, pojawiłem się przed szatniarzem w stanie odpowiednim dla posępnie zatroskanego rzeczowego człowieka, który ma kieszenie zapchane przepustkami i dokumentami.

Kiedy minąłem już drzwi wejściowe, nie wiedzieć czemu obejrzałem się. Za szklanymi drzwiami wpierając w szybę ogromne dłonie patrzył mi w plecy Iwan Dawidowicz Martinson we własnej osobie. Niczym wilkołak w ślad uchodzącej zdobyczy.

Wstyd się przyznać, ale znowu przeszedłem na bieg. Pomimo moich naczyń krwionośnych. Pomimo mojego brzucha. Pomimo chromania przestankowego. Dopiero wtedy, kiedy dałem nura w dziurę, i wyłoniłem się na ulicy Bogorodskiej, poczucie własnej godności przeważało wreszcie, poszedłem już normalnie, zapinając kurtkę i poprawiając zbakierowaną czapkę. Bardzo mi się nie spodobała ta przygoda, a już szczególnie nie spodobał mi się Iwan Dawidowicz Marnnson, znowu i znowu przeklinałem Kostię z jego botulizmem, przysięgałem sobie, że już nigdy, nikt i za nic...

Po tych wszystkich nieszczęściach, mowy być nie mogło, żeby jechać na Banną. Tylko do klubu. Tylko do klubu! Do naszej restauracyjnej sali z brązową drewnianą boazerią! W atmosferę uwodzicielskich zapachów. Do mojego stolika przykrytego krochmalonym obrusem! Pod skrzydła Saszeńki... chociaż nie, dziś jest dzień nieparzysty. A więc pod skrzydła Alonki! Bardzo dobrze, od razu zwrócę jej dług, zamówię śledzika w oleju, tłustego, rozpływającego się w ustach, posypanego drobno posiekany szczypiorkiem, do tego trzy, cztery gorące kartofelki, kosteczkę masła prosto z lodu i pękatą karafkę (nie, nie, bez tego się nie obejdzie, dziś zasłużyłem)..., solone rydze, takie śliskie w marynacie, przemieszane z krążkami cebuli, ile trzeba wody mineralnej... a może piwo? Nie, mineralna... A kiedy zaspokoję pierwszy głód i pojawi się prawdziwy apetyt, zamówimy solankę, którą na szczęście u nas w klubie jeszcze umieją gotować i podadzą ją nam w matowym metalowym kociołku, bursztynową, parującą, ukrywającą pod powierzchnią delikatesowe kawałeczki mięsa najrozmaitszego rodzaju i czarne lśniące oliwki... Dobry Boże, zapomniałem o najważniejszym! Bułeczka! Nasza słynna klubowa bułeczka z uchem do trzymania, puszysta, miękka, rumiana... trzeba będzie parę takich kupić do domu. No a teraz na drugie...

Jednak nie udało mi się posmakować drugiego dania, ponieważ odczuwałem nagle jakąś niewygodę, powiedzmy dyskomfort i kiedy powróciłem do rzeczywistości, zauważyłem, że jestem już w metrze, i że nawisa nade mną dwóch wysokich facetów z torbami „Adidas”, a z prześwitu między nimi przez szkła okularów wpatrują się we mnie uważne, jasne oczy. Widziałem te oczy zaledwie przez sekundę, oraz rudą norweską bródkę, i biały jedwabny szalik między klapami kraciastego palta, następnie wagon zaczął hamować, faceci przysunęli się do siebie i obserwujący mnie człowiek zniknął.

Wydało mi się, że patrzył na mnie nieprzyzwoicie uważnie, jakby moje ubranie nie było w zupełnym porządku, albo jakbym miał ubrudzoną twarz. Na wszelki wypadek sprawdziłem nawet, czy w pośpiechu nie włożyłem przypadkiem czapki tył na przód. Zresztą, kiedy po chwili między długimi facetami znowu powstała szpara, obserwujący mnie człowiek spokojnie drzemał założywszy ręce na brzuchu — mężczyzna w średnim wieku, okulary w

metalowej oprawce i kraciaste palto takie, jakie były w modzie kilka lat temu. Pamiętam, że te palta robiły na mnie ogromne wrażenie, ponieważ można je było nosić także na lewą stronę, były na przykład czarne w szarą kratę, a po lewej stronie na odwrót szare w czarną.

Ten drobny epizod oderwał mnie jednak od gastronomicznych marzeń i nie wiadomo dlaczego przypomniałem sobie, kiedy leżałem w szpitalu przez cały miesiąc karmiono mnie specjalnie przygotowanym i kompletnie pozbawionym smaku jedzeniem, od którego opanowała mnie taka depresja, że lekarze koniec końców pozwolili Katii przynieść mi zimnego kurczaka tabaka. O tym co czeka w tej dziedzinie zatrutego Kostię, strach było nawet pomyśleć. Zresztą nie miałem nawet czasu na myślenie, dlatego że pociąg zatrzymał się na stacji „Kropotkińska” i pośpieszyłem do wyjścia.

Na wpół ślepa dyżurna w drzwiach klubu, zażądała, żebym jej okazał legitymację związku pisarzy i nie wiadomo który to już raz spróbowałem jej wytłumaczyć, że jestem już od dwudziestu pięciu lat pisarzem i co najmniej od pięciu lat wchodząc do klubu przechodzę obok niej, starej raszpli. Nie uwierzyła w ani jedno moje słowo, ale wtedy szatniarz Kola zahuczał z głębin szatni „To swój, swój, Mario Trafimowna”, więc zostałem wpuszczony.

Rozmawiając o pogodzie z wujkiem Kolą, specjalnie bez pośpiechu rozebrałem się, wziętem z barierek arkusik klubowej gazety, zostawiając za to monetę, uczesałem się, przygładziłem wąsy i kłaniając się lustrze znajomym, przechodzącym w głębi lustra, następnie kłaniając się nadal, ogarniany ciepłym poczuciem przytulności, oddalając się od wszystkiego, co trwoży i przeszkadza, rażno pośpieszyłem do restauracji. A dalej wszystko poszło według programu, z tą tylko różnicą, że nie było solonych rydzy. Kiedy kończyłem solankę, przy moim stoliku zebrało się stałe towarzystwo. Pierwszy był Garik Aganian, który za godzinę zaczynał swoje seminarium. Dlatego też wymówił się od picia i zamówił dla siebie coś niedużego. Nie zdążyliśmy zamienić dwóch słów, kiedy zza stolika w odległym kącie wstał i podszedł do nas kulejąc Żora Naumow. W jednym ręku trzymał opróżnioną do połowy karafkę, w drugim — piątę z resztkami sałatki. Okazało się, że dziś rano wpadł do Moskwy po drodze z Krasnodaru do Tallina. Na południu spodziewany jest dobry urodzaj, a jeśli chodzi o resztę, to wszystko, jak zawsze w ręku Boga. W tym momencie na horyzoncie naszym pojawił się Wala Demczenko, trzymając pod pachą nową laskę z rączką w kształcie lwiej głowy. Omówiliśmy tę laskę, porozmawialiśmy o urodzaju ozimin i zeszłorocznej epidemii filoksery; Garik, rysując widelcem na obrusie, wyjaśnił nam, jak należy rozumieć wydrukowaną w centralnej prasie notatkę pod tytułem: „Dziura we wszechświecie”, a potem ja opowiedziałem o moich dzisiejszych kłopotach z Kostią Kudinowem. Moja informacja wywołała reakcję dość ospałą i nie całkiem taką, jakiej oczekiwałem. Garik wymruczał lekceważąco: „Nic mu nie będzie, wypłynie, gówno nie tonie”. Wala leniwie zacytował stary przez niego samego wymyślony dowcip o Kostii: „Wczoraj zastępca przewodniczącego Komisji Zagranicznej towarzysz Kudinow, przyjął w Białej sali grupę pisarzy z Paragwaju za grupę pisarzy z Urugwaju...” A Żora Naumow oglądając świat przez szkło kieliszka, opowiedział nam o wystąpieniu studenta Instytutu Literackiego Kostii Kudinowa, w tamtych czasach rumianego, zadziornego abstynenta, na zebraniu studentów w pamiętnym roku tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym. Kiedy Żora zakończył, wszyscy przez chwilę milczeli, a następnie Wala zapytał z ciekawością: „No a ty co?” „A co ja?” agresywnie zapytał Żora. — „Chciałem mu dać w mordę, ale to był wtedy wielki, silny ciężarowiec, a ja rozumiesz, mam obie nogi przestrzelone, wtedy jeszcze chodziłem o dwóch kulach”. „Ale potem — powiedział Garik. — Potem chodziłeś bez kuł... i w ogóle w błogosławionym pięćdziesiątym dziewiątym... czy on cię przypadkiem nie przeproszał?”. „I jak jeszcze! Nawet wiersze mi zadedykował. W „Literaturce”. W stylu Puszkina, o przyjaźni jeszcze z liceum... „Bądź sobie choćby Tatarzynem...” — jadowicie odgadywała Wala. Pośmialiśmy się zresztą niezbyt wesoło, zaczęliśmy rozmawiać o wierszach, a potem rozmowa jakoś mimo woli zeszła na Banną.

Okazało się, że oprócz mnie wszyscy już byli na Bannej.

Zdyscyplinowany Garik poszedł tam od razu, jeszcze w październiku. Zupełnie nie interesującego. Maszyna dość nędzna, być może EC 10–20, może w ogóle jakiś „Mińsk” gorszego gatunku. Siedzi darmożjad w czarnym fartuchu, bierze od ciebie rękopis i kartka po kartce wkłada do otworu przyjmującego. Na monitorze zapalają się liczby, po czym można sobie spokojnie iść do domu.

Żora, który tam był tuż przed Nowym Rokiem zaprzeczył, powiedział, że nie było tam żadnej maszyny, tylko tam jakieś szare szafy, darmożjad był nie w czarnym fartuchu, tylko w białym i pachniało pieczonymi kartoflami. Mówiąc wprost zawracanie głowy. Jeśli chcecie usłyszeć moje zdanie, powiedział Żora Naumow, wersus Hersz Naumowicz wszystko to jest bardzo proste — jakiś Żyd z Akademii Nauk omotał waszego Fiodora Micheicza i pisze teraz doktorat z naszego trudu i znoju.

W odpowiedzi na ten antysemityczny wypadek Wala Demczenko odparł, że to byłoby jeszcze pół biedy, a cała bieda (z tajemniczym wyrazem twarzy oświadczył Wala) polega na tym, że już od wielu lat trwa praca nad cybernetycznym redaktorem. Uczeni — pisarzom. W ramach pomocy. Właściwie sam robot-redaktor został już skonstruowany, a teraz tresują go na naszych rękopisach. A kiedy ta maszyna już ruszy, no to wtedy rzecz jasna koniec z nami wszystkimi, dlatego że będzie ona nie tylko poprawiać styl i błędy gramatyczne, ona, moi drodzy, dojrzy każdy podtekst na dwa metry pod tekstem. Ona moi kochani, z miejsca wyjaśni kto jest kto i dlaczego.

Popatrzyłem z szacunkiem na Walę przeczuwając w jego natchnionych bredniach powiew szlachetnego i bardzo mi bliskiego obłędu. Garik otwarcie chichotał, a Żora człowiek stojący oboma nogami na ziemi gniewnie zapytał, skąd on, Walentin może to wszystko wiedzieć.

— W oczy! — powiedział z uczuciem Wala. — Trzeba patrzeć człowiekowi w oczy, mój kochany! Nie jakiś tam fartuch czarny czy biały, tylko w oczy! Jak tylko mu popatrzyłem w oczy, od razu wszystko zrozumiałem!

Garik nalał mu piwa i Wala mówił dalej. Robot-redaktor, jak się okazuje, jest tylko jutrzeńką nowej ery. To maszyna ciężka, stacjonarna, kosztowna. A tymczasem, już za progiem, jeśli chcecie wiedzieć koledzy, maszyny do pisania, na razie jeszcze wyłącznie dla nas, prozaików. Na tych maszynach zamontowane są specjalne elektroniczne ograniczniki cenzuralne. Wyobrażacie sobie? Piszecie jednym palcem „Du...”, a na papierze wychodzi „szynka”, „stara pani”, „afedron”, no a w ostatecznym wypadku „d” z trzema kropkami. Tu w naszym towarzystwie pojawił się Pietienka Skorobogatow zwany Ojłem Związkowym. Dopiero co nie było go, a oto już siedzi między Gankiem i Walą i nalewa sobie wódkę z mojej karafki. Oczy jak zwykle zaczerwienione i rozbiegane, twarz jak zwykle łuszcząca się i cała w czerwonych plamach. Jak zawsze rozsadały go plotki i nowiny, które w pierwszej chwili wydawały się ważne i prawdziwe, ale wypuszczone na wolność natychmiast stawały się mocno nieświeże i przemieniały się w łgarstwo i lipę. Rozmowa stała się niemożliwa i z braku innych możliwości zaczęliśmy słuchać.

Na początek oznajmił, że na temat Bannej ma najpewniejsze wiadomości wprost STAMTAD (gruby wskazujący palec uniósł się do góry). Słusznie mówi Wala — teraz wszystkie sprawy powierza się maszynom, korupcja dotarła już wszędzie i nikomu nie można ufać. Kadrowy komputer już puszczono w ruch i maszyna dała zalecenie, żeby zwolnić wszystkich dyrektorów wydawnictw w Moskwie. Dlatego on Pietia Skorobogatow poczeka z podpisaniem dwóch umów, które mu dopiero przysłano. Dlaczego? A dlatego, że to nie ma sensu, bo i tak będą mianowani nowi dyrektorzy naczelni, będzie się weryfikować umowy...

— Nie przerywajcie mi, bo jutro wyjeżdżam do Zambii, muszę jeszcze się szczepić, a wy mi wciąż przerywacie... Chcę wam wytłumaczyć, co jest z tą Banną. Tamtejsza maszyna — to coś specjalnego. Pokazuje talent. W jednostkach absolutnych. Wiecie co wykonał Saszka Tołokonikow? Podsunął im w maszyny zamiast swojego zakalca pięć stron „Cichego Donu”!

Maszyna oczywiście nie wytrzymała przeciążenia, takiego poziomu nikt się nie spodziewał tam, no i teraz Saszka poproszono na dywanik. Za zachowanie niegodne radzieckiego pisarza. Zresztą co tam Saszka! Sama Iraida wstała ze swojego łoża i przydźwigała tam swoje brudnopisy. Myślała, że maszyna potwierdzi ją i rozślawi, a maszyna — bęc! — zero całych i wała dziesiątych! Wtedy ona tam ich wszystkich parasolką, parasolką, a jak! Siedzicie tu sobie, nic nie wiecie, a ja wczoraj poszedłem na Banną, a tu konna milicja, budynek otoczony... Micheicz trzęsie się, nie wie co robić, pluje sobie w brodę, że się w to wplątał, sam przecież też musi tam iść. Mówię do niego „Micheicz, mówię, no czego ty się boisz? Chcesz, mówię, to ci dam moje rękopisy?”...

Tak, to jest właśnie Pietia Skorobogatow, nasze Ojło Związkowe. Wypiłem kieliszek wódki, i pomyślałem sobie, że niczego na świecie nie można wymyślić. Wszystko już zostało wymyślone. Przypomniałem sobie, jak mniej więcej dziewiętnaście lat temu nieboszczyk Anatolij Jefimowicz pewnego razu, kiedy zebrało mu się na szczerłość, opowiedział mi pomysł swojej komedii. Miejscem akcji był dom pracy twórczej pisarza, do którego jakiś wynalazca przywłókł swój fantastyczny aparat... Jak on go nazwał? Jakoś wyjątkowo niezgrabnie, o ile pamiętam... Tak! „Mipital!” „Miernik Pisarskiego Talentu”. Pisarze początkowo w swojej głupocie ogromnie się cieszą — nareszcie wszyscy się dowiedzą, że Iwanów to gówno, a ja — geniusz. Ale potem, kiedy maszyna ofiarowała im obiektywną prawdę... Krótko mówiąc, zdaje się, że maszynę rozbili na czynniki pierwsze, a na wynalazcę wspólnie napisali donos ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami... I jak się zmartwił Anatolij Jefimowicz, kiedy, tłumacząc się i usprawiedliwiając dałem mu do przeczytania „Menzurę Zoilów” Akutagawy, napisaną w tysiąc dziewięćset szesnastym roku i wydaną u nas po rosyjsku w połowie lat trzydziestych! Niczego nie można wymyślić. Wszystko co wymyślamy, albo było już wymyślone przed tobą, albo po prostu dzieje się w rzeczywistości.

Uderzyłem pięścią w stół i patrząc Pietieńce Skorobogatowowi prosto w świńskie oczka, powiedziałem tak, że usłyszała mnie cała sala:

— Od chwili, kiedy wymyślono tę aparaturę, wszystkich pisarzy j malarzy handlujących psim ściąganiem, które nazywają baraniną wszystkich mamy teraz z głowy!

Następnie wstałem i ruszyłem do toalety. Byłem już na niezłej bani. Wiedziałem o tym dlatego, że policzki mi zdrętwiały i nieustannie miałem ochotę wysunąć dolną szczękę. Na dzisiaj chyba było już dosyć. Czas wracać w domowe pielesze, tym bardziej że może wpaść Katia z zakupami, zresztą w pieleszach zostało jeszcze pół butelki koniaku. I jeszcze w pieleszach było coś do zrobienia. Tylko co konkretnie?

W drodze powrotnej przypomniałem sobie. Do zrobienia był telefon w sprawie Kostii Kudinowa, poety, czy powiedzmy przypadkiem nie skonał. Ja tu piję wódkę z Pietieńką Skorobogatowem z Ojłem moim Związkowym, a tymczasem Kostia oddaje właśnie Bogu duszę. To niesprawiedliwe.

Słuchawkę w mieszkaniu Kostii podniosła jego żona. Głos miała całkiem w porządku, dosyć rażny. Przedstawiłem się i zapytałem:

— Jak się czuje Kostia?

— Oj, jak dobrze, że pan zadzwonił, Feliksie Aleksandrowiczu! Właśnie byłem u niego, dopiero co wróciłam... Feliksie Aleksandrowiczu, Kostia bardzo, bardzo prosi, żeby pan do niego wpadł!

— Oczywiście — powiedziałem. — A w jakim on jest stanie?

— Dzięki Bogu, tym razem dobrze się skończyło. To znaczy, że pójdzie pan do niego?

— Właściwie... — wymamrotałem. — Powiedzmy jutro o tej porze.

— Nie! Nie, Feliksie Aleksandrowiczu, Kostia prosił, żeby koniecznie dzisiaj! Powiedział dosłownie: zadzwoni Feliks Aleksandrowicz i ty powiedz, żeby on KONIECZNIE dzisiaj! Coś bardzo pilnego i ważnego...

— No już dobrze... — powiedziałem i pożegnaliśmy się.

Nigdy nie należy robić dobrych uczynków, myślałem sobie wracając z restauracji. Wystarczy tylko zacząć, a nie będzie im końca. I proszę zauważyć — ani odrobiny wdzięczności. Cały dzień biegam po Moskwie przez tego symulanta, tyle się strachu najadłem, a wieczorem — proszę bardzo, wszystko zaczyna się od początku, znowu mam się gdzie wlec i ani słowa podziękowania...

Garika za stołem już nie było, poszedł na swoje seminarium, na jego miejscu siedział kolega Pietieńki. Znam go z widzenia, kilkakrotnie przedstawiano mi go, ale jak się nazywa — nie pamiętam, i jaki jest jego związek z literaturą, nie mam najmniejszego pojęcia. Moim zdaniem całe dnie spędza na sali bilardowej i to są jego wszystkie związki z radziecką literaturą.

A tymczasem, kiedy mnie nie było, na stole pojawiła się wielka butla czystej, a obok niej, jak to się często zdarzało poprzedni mój dobry znajomy z sąsiedniej klatki schodowej Sława Krutojarski, chudy, śniadoskóry, długowłosa, cały w chromie i ze skłonnościami do teoretyzowania.

— Czym jest krytyka? — pytał Żorę Naumowa, który już zdjął i powiesił na oparciu krzesła swoją kosmatą marynarkę. — Przy czym mam na myśli nie naszą teraźniejszą krytykę, rozumiesz mnie?

Sława zawsze, co każde dwa zdania, informuje się czy rozmówca go rozumie.

Żora zatopiony w myślach, dostojnie skinął głową, że tak, że rozumie, przytaknął też Wala Demczenko, i ja też kiwnąłem na wszelki wypadek, siadając, unisono zakiwali głowami Pietieńka i jego znajomy i to tak energicznie, że wódka wychlusnęła z ich szklaneczek.

— Krytyka — to nauka — mówił dalej Sława patrząc uważnie na Żorę. — Jak powiązać i jak określić relacje między histerią twórcy i potrzebami społeczeństwa, rozumiesz mnie? Wyjawić związki między ciężkimi cierpieniami twórcy a codziennym życiem społeczności — oto jakie jest zadanie krytyki. Rozumiesz mnie?

Ta myśl wydała się społeczności tak płodna i interesująca, że wszyscy zaczęli się domagać od siebie nawzajem papieru i ołówka, żeby zanotować. Ani ołówka, ani papieru nikt rzecz jasna nie miał, zawołano Alonkę, wyżebrano u niej ogryzek ołówka i karteczkę z notesu i Pietieńka zażądał, aby Sława powtórzył sformułowanie. Sława uczciwie spróbował powtórzyć, ale nie dał rady. Żora Naumow też nie dał rady i tylko wszystko skomplikował, ni stąd, ni zowąd wplątał jakąś kwintesencję, kiedy wszyscy hałasowali przerywając jeden drugiemu, pomyślałem że jakkolwiek by definiować krytykę, pożytku z niej nie ma żadnego, za to szkód ile dusza zamarzy. Nasza krytyka nie zajmuje się żadną tam kwintesencją histerii twórcy, tylko zajmuje się niwelowaniem literatury w celu ułatwienia sobie porachunków z pisarzami, osobistych, a także dotyczących różnicy gustów. Właśnie tak.

Wypiłem i zakąsiłem kawałeczkiem zimnego befsztyka. A tymczasem dyskusja terminologiczna o krytyce naturalnym rzeczą porządkiem, przeszła na kwestię honorarium.

Ja osobiście na tę kwestię mam pogląd prosty — im więcej, tym lepiej, wszystkie rozmowy pisarzy o bodźcach materialnych nie są warte złamanego szeląga. Na przykład Ojło Związkowe nieustannie wrzeszczy, że gdyby mu płacono jak Aleksemu, to pisałby powiedzmy jak Lew. Łże jak pies, grafoman. Ile by mu nie płacono, wszystko jedno będzie pisał gównem. Czy dostałby nawet pięćset za arkusz, czy nawet siedemset, tak czy inaczej będzie w kółko powtarzać — kochane dzieci, dobrze się uczyć jest dobrze, a źle się nie uczyć, to brzydko, bardzo nieładnie, i jeszcze nie należy krzywdzić słabszych od siebie. I wszystko jedno będą go wydawać bez żadnych problemów, ponieważ w każdej redakcji dla dzieci, powiedzmy trzydzieści procent powierzchni wydawniczej zaplanowane jest na książki o uczniach, a czy wystarczy na te trzydzieści procent dobrych pisarzy to już jest oddzielny problem. Jest takie milczące założenie, że wystarczy. A na przykład Wali Demczenko, można płacić dwieście, można płacić sto, tak czy inaczej będzie pisać dobrze, nie zacznie pisać źle,

dlatego że mu źle płacą, chociaż żadne tereny nie są zarezerwowane dla jego krytycznego urbanizmu, a recenzenci rzucają się na niego jak sfera psów...

W tym momencie ktoś dotknął mojego ramienia, odwróciłem się i zobaczyłem Lidię Nikołajewnę, dyżurną z administracji. Oschłym tonem zawiadomiła, że szuka mnie już od godziny, że dzwonił ze szpitala Konstantin Ilicz Kudinow i prosił, żebym do niego natychmiast przyjechał. Nie wiem, co jej nagadał ten symulant, ale zachowywała się diabelnie niesympatycznie. Moim zdaniem wbiła sobie do głowy, że obiecałem odwiedzić cierpiącego przyjaciela, a tymczasem pograżyłem się w pijaństwie, zapominając wszystko i o wszystkich.

Znowu moja wina. Pytam dlaczego?

Dałem Sławie pieniądze, żeby za mnie zapłacił i sztywnym krokiem pomaszerowałem po dywaniku do westybulu.

Jasno oświetlona nasza sala była już przepełniona, nie zostało ani jedno wolne miejsce, niektóre stoliki zsunięto jeśli zebrało się większe towarzystwo, wielowarstwowy dym z papierosów przepływał nad głowami, błyszczał przejrzysty płyn we wznoszonych kielichach, wielogłosowo dźwięczał metal o szkło i fajans, rozbrzmiewały zapewnienia przyjaźni i już w odległym kącie, przed fałszywie rozżarzoną kominkiem, ktoś siwowłosa, we wspaniale kudłatym skafandrze, deklamował wiersze, rycząc niczym diakon, a w innym kącie towarzystwo lejbguardzistów stało na baczność, trzymając napełnione puchary na wysokości piersi — słuchali toastu wyrażającego najbardziej skrajne nadzieje, żałując zapewne, że nie będzie można, jak przy poprzednim dyrektorze klubu opróżniwszy puchary, zgodnie rąbnąć nimi o podłogę i rozdeptać odłamki obcasem; i już wędrował od stolika do stolika życzliwie roześmiany, niezbyt dobrze znany czytelnikom, ale za to tutaj lubiany przez wszystkich Szura Peklowany, poklepywał siedzących po plecach, schylał się nad dłońmi kobiet, wciąż odrzucał i odrzucał zaproszenie by się przysiadł, dlatego że zmierzał do stolika ściśle określonego: Szura zawsze absolutnie precyzyjnie wiedział, do którego stolika powinien się dzisiaj przysiąść; i już głośno rozmawiając, schodził z antresoli drewnianymi schodami, manipuł krytyków i teoretyków literatury, którzy właśnie zakończyli zebranie, kiedy już zesłi rozpływali się między stolikami, witali się, przysiadali, żegnali; a wśród tych zawirowań, w samym centrum sali, grupa młodych gwałtownie częstowała redaktora miesięcznika z prowincji, kwadratowego, a może nawet sześciennego człowieka Wschodu w tiubetejce, w standardowej marynarce z klapami upstrzonymi niepojętymi znaczkami... Słodkie życie tryskało niczym fontanna, a ja musiałem wlec się tam, gdzie diabeł mówi dobranoc i smutnie zastanawiałem się nad tym, co jeszcze może wymyślić ten, który dzierży w dłoni mój los...

Miałem szczęście — od razu złapałem taksówkę i po pół godzinie wspólnie z kierowcą znaleźliśmy w Biriulewie ten szpital. Kiedy wszedłem na salę, Kostia siedział po turecku na łóżku i z obrzydzeniem wyskrobywał łyżką z talerza resztki kaszy manny. Miał na sobie wyłącznie szpitalne ubranie całe w pieczęciach szpitalnych, ale poza tym wyglądał całkiem nieźle. Rzecz jasna rumianym osiłkiem bym go teraz nie nazwał, mordę miał zbyt wybladłą, ale nie zostało w nim teraz ani śladu z tego umierającego faceta, chociaż brodę miał umazaną — manną kaszą.

Sala była na sześć łóżek, i pod oknem ktoś leżał pod kropłówką, poza tym na sali nikogo nie było — wszyscy poszli oglądać mecz hokejowy.

Na mój widok Kostia poderwał się żywo i pobiegł ku mnie tak rażno, że nawet się przeraziłem — czy przypadkiem nie chce mi się rzucić na szyję. Jednakże ograniczył się serdecznym uściskiem ręki i serdecznym potrząsaniem moją dłonią. Ścisnął i trząsnął moją dłonią nie przestając przy tym mówić jakby ktoś go nakręcił, nie wiadomo dlaczego oglądając się nieustannie na ciało pod kropłówką. Opowiadał mi, jak na początku wymiotował, a potem biegał do kibla, jak mu płukano najpierw żołądek, a potem jelita, jak mu robiono zastrzyki i jak podawano tlen, jak masowano. I cały czas się przy tym rozglądał, nadeptywał mi na nogi i wypychał za drzwi.

— Czego się pchasz? — zapytałem go wreszcie już na korytarzu.

— Chodź, usiądziemy sobie — zaprosił. — O tam, na tej ławeczce pod palmą.

Usiedliśmy. W korytarzu było zupełnie pusto, tylko w oddali dyżurna siostra pobrzękiwała buteleczkami, a Kostia ciągle jeszcze opowiadał, chociaż już z wyraźnie mniejszym wzburzeniem. Jego żywiołową radość z jaką mnie powitał potraktowałem jako objaw euforii z powodu nieopanowanej wdzięczności i jak pamiętam pomyślałem: „Coś podobnego — zwierzę, a jednak nie pozbawione uczuć!”. I teraz wykorzystując pierwszą przerwę zapytałem niefrasobliwie:

— To znaczy, że ci pomogło?

— Co konkretnie? — zapytał szybko.

— No ten twój... matuzalin...

— Tak! — przygłuszonym z zachwytu głosem zawołał Kostia znowu łapiąc mnie za rękę. — Tak! Jeśli by nie to... A tu wyobrażasz sobie, od razu płukanie żołądka pod ciśnieniem, rozumiesz? A jaką lewatywę mi wsadzili, bandyci! Czy wiesz, że dopiero teraz zrozumiałem jaka była straszna tortura u inkwizycji, kiedy od tyłu pompowali w człowieka wodę... Nie uwierzysz, ale oczy mi wylazły na czoło, nic tylko lecieć do okulisty! ... I zaczął od początku — jak wymiotował, jak latał do kibla i tak dalej. Przy tym dowcipkował — czasami dość udatnie, w ogóle starał się przenieść wszystko na płaszczyznę humorystyczną, ale czuło się za tym niezdrowe napięcie, i bardzo prędko przyszło mi do głowy, że wcale to nie jest euforia z powodu wdzięczności, tylko że kotłuje się w nim i wylewa na zewnątrz przeżyty strach śmierci i już nawet zamierzałem go poklepać po kolanie, kiedy Kostia nagle przerwał sam sobie i zapytał nieomal szeptem:

— Dlaczego tak patrzysz?

— Jak? — stropiłem się. — Jak patrzę?

Jego spojrzenie zygzakiem przeleciało po mojej twarzy, następnie podążyło gdzieś w ciemność za palmą.

— Nijak... — uchylił się od odpowiedzi i znowu zaczął na mnie patrzeć. — A ty jak widzę jesteś trochę podcięty, co? Dałeś sobie w szyję, co?

— A i owszem — powiedziałem i dodałem nie mogąc się powstrzymać. — Gdyby nie ty, siedziałbym teraz w klubie z przyjemnością...

— To nic! — powiedział z lekkomyślnym gestem. — Jutro — pojutrze wypuszczą mnie stąd, to sobie jeszcze posiedzimy przy flasce. Wiesz jakim koniakiem cię poczęstuję? Przysłano mi z Kaukazu...

I zaczął mi opowiadać jaki koniak przysłano mu z Kaukazu. Opowiadanie o koniaku jest zajęciem równie bezsensownym i sprzecznym z naturą, jak opisywanie urody muzyki. Nie słuchałem go. Nagle wszystko mi obrzydło. Te białe ściany, ten zapach — ni to lizołu, ni to śmierci, biały fartuch pielęgniarki mający w oddali, puste kroplówki wystawione pod drzwiami sal... szpital, smutek, smuga wyobcowania... Po jakiego diabła ja tu siedzę? Przecież koniec końców, to nie ja się zatrąłem!

— Słuchaj — powiedziałem stanowczo. — Daruj, ale moja córka ma mnie dzisiaj odwiedzić...

— Naturalnie, naturalnie! — zawołał. — Idź! Dziękuję ci ogromnie, że przyszedłeś...

Wstał. Ja również wstałem — kompletnie zdezorientowany. Czas jakiś milczeliśmy obaj patrząc sobie w oczy. Byłem zdumiony, ponieważ w żaden sposób nie mogłem zrozumieć — dlaczego z takim uporem, tak natarczywie, przez żonę, przez administratorkę żądał, żebym tu przyszedł tylko po to, żeby dwukrotnie mi opowiedzieć ze szczegółami, jak mu płukano żołądek i jelita? Kostia, jak mi się wydało, również był zmieszany. Widziałem to po jego oczach. I nagle zapytał — znowu prawie szeptem:

— O co ci chodzi?

To było znowu kompletnie niepojęte pytanie. Powiedziałem ostrożnie:

— Nie, nic. Ja już pójdę.

— No to idź — wymamrotał Kostia. — Dziękuję ci...

Wymamrotał to także ostrożnie i jakoś niepewnie, jakby czegoś ode mnie oczekiwał.

— Nic mi nie masz więcej do powiedzenia? — zapytałem.

— W związku z czym? — zapytał Kostia już zupełnie cicho.

— Nie wiem w związku z czym! — powiedziałem nie mogąc dłużej hamować irytacji. — Nie wiem po co mnie wyciągnąłeś z klubu.

Powiedziano mi — pilna sprawa, koniecznie dzisiaj, natychmiast... Jaka sprawa? Czego ci tak koniecznie trzeba?

— Kto tak powiedział? — zapytał Kostia i oczy znowu zaczęły mu latać.

— Twoja żona... Lidia Nikołajewna...

Wyjaśniło się, że został źle zrozumiany. I żona go źle zrozumiała, Lidia Nikołajewna zrozumiała go zupełnie niewłaściwie, w ogóle nie domagał się, żebym zaraz dzisiaj, natychmiast i o pilnych sprawach nic nikomu nie mówił... Łgał jak najęty, to było widoczne gołym okiem. Ale dlaczego łgał i o co mu chodziło w samej rzeczy, było dla mnie nadal kompletnie niezrozumiałe.

— Dobra — powiedziałem i machnąłem ręką. — Niezrozumiały, to niezrozumiały. Wyzdrowiałeś i dzięki Bogu. A ja już sobie pójdę.

Ruszyłem do wyjścia, a Kostia dreptał obok, to łapiąc mnie za rękę, to ściskając za ramię i wciąż dziękował, wciąż przeproszał, wciąż zaglądał mi w oczy, a na podeście obok automatu telefonicznego stało się coś, co już w ogóle nie mieściło się w głowie. Przestał nagle bełkotać, spazmatycznie wczepił się w mój sweter na piersiach, przycisnął mnie plecami do ściany i bryzgając śliną zasyczał mi w twarz:

— Zapamiętaj sobie Sorokin! Nic nie było, rozumiałeś?

Było tak nieoczekiwane, nawet straszne, że napadł mnie atak takiej samej paniki jak wtedy, kiedy uciekałem od tamtego wilkołaka Iwana Dawidowicza Martinsona.

— Uspokój się, czego chcesz? — wymamrotałem próbując odczepić od siebie jego rękę, nieoczekiwanie chwytne i jakby zastygłe. Idź do diabła, oszalałeś, czy co? — wrzasnąłem na cały głos, oderwałem od siebie wreszcie tego bladego pajaka i z trudem utrzymując go w pewnej odległości od siebie powiedziałem. — Opamiętaj się, wariacie! Co się z tobą dzieje?

Byłem od niego znacznie silniejszy i rozumiałem, że potrafię go utrzymać, a w razie czego nawet spacyfikować, tak że pierwszy atak paniki mi przeszedł, pozostał tylko strach pełen obrzydzenia, strach nie o swoją skórę, a strach znalezienia się w niezręcznej albo idiotycznej sytuacji, nie daj Boże ktoś jeszcze to zobaczy, jak mytu się siłujemy na kafelkach, sapiąc w twarz jeden drugiemu.

Czas jakiś Kostia trząśł się, pluł, powtarzając „Niczego nie było, rozumiałeś? Nie było!...”, a potem nagle osłabł i zaczął płaczkliwie wyjaśniać, że niedobrze wyszło, instytut jest tajny, ani ja, ani nawet on nic nie powinniśmy o nim wiedzieć, to nie nasza rzecz, mogą wyniknąć duże nieprzyjemności, że już mu zwrócono uwagę, i że jeśli ja teraz chociażby jedno słowo komukolwiek, jeśli choćby dam tylko do zrozumienia...

Puściłem go. Masował krzywiąc się swoje zaczerwienione nadgarstki i nieprzerwanie bełkotał łzawym głosem ciągle to samo, nawet tymi samymi słowami, wciąż je!no i to samo, było jasne, że jest kompletnie zdemoralizowany i znowu łże od początku do końca, od pierwszego do ostatniego słowa. I znowu nie rozumiałem po co kłamię i o co chodzi naprawdę. Rozumiałem tylko to, że istotnie zaszło nieporozumienie — tam pod windą Kostia rzeczywiście pod strachem śmierci powiedział coś, czego nie powinien powiedzieć...

Chociaż niby skąd wierszokleta Kudinow, specjalista od jubileuszowych i świątecznych wierszydeł mógł wiedzieć coś, czego mu wiedzieć nie wolno? Chyba że straszny Martinson w swoim wychodku za szkieletami potajemnie pędzi narkotyki, a Kostia je potajemnie

rozprowadza? Nie, nic do niego nie czułem oprócz odrazy, i gwałtownej ochoty, żeby znaleźć się jak najdalej od.

— Dobrze, już dobrze — powiedziałem, jak mogłem najspokojniej. — Czemu się trzęsiesz? Co mnie to wszystko obchodzi, sam się zastanów... Nie było nic, to nie było. Czy ja się z tobą spieram?

Zaczął swoje objaśnienia po raz trzeci, a ja odsunąłem go na bok bez krzty litości i poszedłem na dół schodami, najmożliwszym w mojej sytuacji pośpiechem, nogi mi się trzęsły, w prawym kolanie strzykało, i przez cały czas miałem ochotę splunąć. Nie odwróciłem się, kiedy z góry doleciał do mnie syczący krzyk: „Pomyśl o sobie Sorokin! Mówię poważnie”. Jeśli nie brać pod uwagę intonacji była to słuszna rada. Pomyśleć tylko, gdyby ten bydlak Lonia Szibzd nie zadzwonił do mnie, nie byłoby całej afery... Tak, ten który kieruje moim losem odwalił dziś niezłą robotę, nie mogę się skarżyć... Nie, koledzy, do domu, do domu, w pielesze, do mojego koniaku, do Niebieskiej Teczki!

W szatni, zaciągając na kurtce zamek błyskawiczny zauważyłem w głębi lustro coś znajomego. Wprost za moimi plecami siedziało na ławce czarne palto w szarą kratę. Odwróciłem się, i nadal zaciągając zamek przyjrzałem się mu. Był to ten sam mężczyzna z metra — ruda bródka, okulary w lśniącej metalowej oprawce, kraciaste dwustronne palto — siedział samotnie na długiej białej ławce w prawie już pustym westybulu szpitala w Biriulewie i czytał jakąś książkę.

ROZDZIAŁ 4

BANIEW. WUNDERKINDY

Dawno nie widziałem pana w mieście — powiedział Pawor zakatarzonym głosem.

— Nie tak znowu dawno — powiedział Wiktor — wszystkiego dwa dni temu.

— Można się do was przysiąc, czy wolicie być sami? — zapytał Pawor.

— Niech pan siada — powiedziała uprzejmie Diana.

Pawor usiadł naprzeciw niej i krzyknął: „Kelner, podwójny koniak!” Zmierzchało się, portier zaciągał story na oknach. Wiktor zapalił stojącą lampę.

— Jestem zachwycony pani wyglądem — Pawor zwrócił się do Diany — żyć w takim klimacie i zachować taką wspaniałą cerę... kichnął — przepraszam. Te deszcze mnie wykończą... Jak się pracuje? — zapytał Wiktora.

— Kiepsko. Nie mogę pracować, kiedy jest pochmurno: wciąż mam ochotę czegoś się napić.

— Co za skandal wywołał pan u policmajstra? — zapytał Pawor.

— Głupstwo. — odpowiedział Wiktor. — Szukałem sprawiedliwości.

— Ale co się stało?

— Ten bydlak burmistrz zastawia potrzaski na mokrzaków. Jeden się złapał, zmiażdżyło mu nogę. Zabrałem ten potrzask, poszedłem na policję i zażądałem dochodzenia.

— Tak — powiedział Pawor. — I co dalej?

— W tym mieście są dziwne prawa. Ponieważ nie było wniosku uszkodowanego, uważa się że nie było także przestępstwa, tylko nieszczęśliwy wypadek, któremu nikt nie jest winien z wyjątkiem uszkodowanego. Powiedziałem policmajstrowi, że przyjmę to do wiadomości i wtedy on oznajmił mi, że jest to groźba i na tym się rozstaliśmy.

— A gdzie to się stało? — zapytał Pawor.

— Niedaleko sanatorium.

— Niedaleko sanatorium? Czego szukał mokrzak koło sanatorium.

— To nikogo nie powinno obchodzić — ostro powiedziała Diana.

— Oczywiście — powiedział Pawor. — Ja się tylko zdziwiłem skrzywił się, zmrużył oczy i dźwięcznie kichnął. — O do diabła powiedział. — Przepraszam.

Wsadził rękę do kieszeni i wyciągnął ogromną chustkę do nosa. Coś z hałasem upadło na podłogę. Wiktor nachylił się. To był kastet. Wiktor podniósł go i podał Faworowi.

— I po co pan to nosi przy sobie? — zapytał.

Pawor z twarzą ukrytą w chustce do nosa patrzył na kastet zaczerwienionymi oczami.

— To wszystko przez pana — powiedział zduszonym głosem i wysmarkał się. — To pan mnie przestraszył swoją opowieścią... — A przy okazji, mówią ludzie, że grasuje tu jakaś miejscowa banda. Ni to bandyci, ni to chuligani. A ja, wie pan, nie lubię, kiedy mnie biją.

— A często pana biją? — zapytała Diana.

Wiktor spojrział na nią. Siedziała w fotelu założywszy nogę na nogę i paliła papierosa nie patrząc na nikogo. Biedny Pawor, pomyślał Wiktor. Zaraz coś usłyszy... Wyciągnął rękę i obciągnął spódnicę na jej kolanach.

— Mnie? — zapytał Pawor. — Czyżbym wyglądał na człowieka, którego często biją? To trzeba poprawić. Kelner, jeszcze raz podwójny koniak! Tak, a więc następnego dnia poszedłem do warsztatu ślusarskiego i raz dwa zrobili mi tę zabawkę... — z zadowoleniem obejrzał kastet. — Niezła rzecz, nawet Goleniowi się spodobała...

— Nadal nie wpuszczają pana do leprozorium? — zapytał Wiktor.

— Nie. Nie wpuszczają i jak należy sądzić, nie wpuszczą. W każdym razie już w to nie wierzę. Napisałem skargi do trzech departamentów, a teraz siedzę i piszę sprawozdanie. Na

jaką sumę leprozorium otrzymało w minionym roku kalesony. Oddzielnie dla kobiet, oddzielnie dla mężczyzn. Diabelnie pasjonujące.

— Niech pan napisze, że im brakuje lekarstw — poradził Wiktor.

Pawor ze zdziwieniem uniósł brwi, a Diana powiedziała leniwie.

— Lepiej niech pan zostawi tę swoją pisaninę, i zamiast tego napije się grzanego wina i położy do łóżka.

— Zrozumiałem aluzję — powiedział Pawor z westchnieniem. Trzeba będzie iść... Czy pan wie, w którym numerze mieszkam? zapytał Wiktor. — Wpadłby pan kiedyś.

— W dwieście dwudziestym trzecim — powiedział Wiktor. — Z całą pewnością.

— Do widzenia — powiedział Pawor wstając. — Życzę przyjemnego wieczoru.

Oboje patrzyli jak podszedł do baru, wziął butelkę czerwonego wina i skierował się do wyjścia.

— Masz za długi język — powiedziała Diana.

— Tak — zgodził się Wiktor. — Moja wina. Rozumiesz, on mi się w jakiś sposób podoba.

— A mnie nie — powiedziała Diana.

— I doktorowi R. Kwadrydze — też nie. Ciekawe dlaczego?

— Ma wstrętny pysk — odpowiedziała Diana. — Blond–bestia. Znam ten gatunek. Prawdziwi mężczyźni. Bez czci i wiary. Atamani głupców.

— Masz ci los — zdziwił się Wiktor. — A ja myślałem, że tacy mężczyźni powinni ci się podobać.

— Teraz już nie ma mężczyzn — zaprzeczyła Diana.

— Teraz są albo faszyści, albo baby.

— A ja? — zapytał Wiktor z zaciekawieniem.

— Ty? Ty za bardzo lubisz marynowane minogi. I jednocześnie sprawiedliwość.

— Racja. Ale moim zdaniem to całkiem nieźle.

— Nie najgorzej. Ale gdybyś musiał wybierać, wybrałbyś minogi, a to już niedobrze. Poszczęściło ci się, że masz talent.

— Coś ty dzisiaj taka zła? — zapytał Wiktor.

— A ja w ogóle jestem zła. Ty masz talent, a ja złość. Jeśli tobie odebrać talent, a mnie złość, to pozostaną dwa kopulujące ze sobą zera.

— Zero zera nierówne — zauważył Wiktor. — Ty nawet jako zero wyglądałabyś nieźle — przystojne, świetnie zbudowane zero. A poza tym, gdyby ci odebrać twoją złość, staniesz się dobra, co w końcu też nie jest najgorsze...

— Jeśli odebrać mi złość, to stanę się meduzą. Żebym stała się dobra, należałoby zastąpić złość dobrocią.

— Zabawne — powiedział Wiktor — przeważnie kobiety nie lubią dyskutować. Ale kiedy już zaczynają, stają się zdumiewająco kategoryczne. Skąd ci się właściwie wzięło, że jesteś wyłącznie zła i ani trochę dobra. Tak nigdy nie jest. Masz w sobie dobroć, tylko że jej nie widać spoza złości. W każdym człowieku jest wszystkiego po trochu, a życie z tej mieszaniny wyciska na wierzch to albo tamto...

Na salę wtoczyło się towarzystwo młodych ludzi i od razu zrobiło się głośno. Młodzi ludzie zachowywali się dość swobodnie nawymyślali kelnerowi, pogonili go po piwo, sami obsiedli stół w odległym kącie, zaczęli głośno rozmawiać i śmiać się na całe gardło. Ogromny drab o grubych wargach i rumianych policzkach, pstrykając palcami, tanecznym krokiem skierował się do baru. Teddy coś mu podał i drab odstawiając mały palec ujął dwoma palcami kieliszek, odwrócił się plecami do lady, oparł się o nią łokciami, skrzyżował nogi i zwycięsko rozejrzał się po pustej sali.

— Witam Dianę! — wrzasnął. — Co słychać?

Diana uśmiechnęła się do niego obojętnie.

— Co to za чудо? — zapytał Wiktor.

— Niejaki Flamen Juventa — odpowiedziała Diana. — Bratanek, policmajstra. ‘

— Gdzieś go już widziałem — powiedział Wiktor. (

— Do diabła z nim — niecierpliwie powiedziała Diana. — Wszyscy ludzie to meduzy i niczego w nich takiego nie ma. Z rzadka trafiają się prawdziwi, tacy, którzy mają coś własnego — dobroć, talent, złość... ale jeśli im to zabrać, nic z nich nie pozostanie, zostaną meduzami jak wszyscy. Ty, mam wrażenie wyobraziłeś sobie, że podoba mi się twoje umiłowanie minóg i sprawiedliwości? Zawracanie głowy. Masz talent, masz swoje książki, masz sławę, a jeśli chodzi o resztę to jesteś taki sam jaskiniowy niedorajda jak wszyscy.

— To, co teraz mówisz — oznajmił Wiktor — jest tak bardzo niesłuszne, że nawet nie czuję się urażony. Ale mów dalej, bardzo interesująco zmienia ci się twarz, kiedy mówisz. — Zapalił papierosa i podał jej. — Mów dalej.

— Meduzy — powiedziała Diana gorzko. — Oślizgłe, głupie meduzy. Kotłują się, pełzają, strzelają, same nie wiedzą czego chcą, nic nie umieją, niczego naprawdę nie kochają... jak robak w wychodku.

— To nieprzyzwoite — powiedział Wiktor. — Obraz niewątpliwie jest plastyczny, ale zdecydowanie nieprzyzwoity i w ogóle to są banały. Diano, moja najmilsza, nie jesteś myślicielem. W ubiegłym wieku, gdzieś na prowincji może by to nieźle wyglądało... w każdym razie towarzystwo byłoby rozkosznie zaszokowane, a bladzi młodzieńcy o gorejących oczach łaziliby za tobą jak psy. Ale dzisiaj to są rzeczy oczywiste. Dzisiaj wszyscy wiedzą, czym jest człowiek.

Co z tym człowiekiem robić? Oto na czym polega problem. Zresztą też przeważkowy do znużenia.

— A co robią z meduzami?

— Kto? Meduzy?

— My.

— O ile wiem — nic. Zdaje się, że konserwy.

— No i bardzo dobrze — powiedziała Diana. — Czy ty coś napracowałeś przez ten czas?

— No a jak! Napisałem potwornie wzruszający list do swojego przyjaciela Roc-Tusowa. Jeśli po tym liście nie załatwi pensji dla Irmy, to znaczy, że jestem już do niczego.

— I to wszystko?

— Tak — powiedział Wiktor. — Całą resztę wyrzuciłem.

— O Boże — powiedziała Diana. — A ja opiekowałam się tobą, starałam się nie przeszkadzać, odganiałam Roschepera...

— Kąpałaś mnie w wannie — przypomniał Wiktor.

— Kąpałam cię w wannie, poiłam kawą...

— Poczekaj — powiedział Wiktor — ale przecież ja też kąpałem cię w wannie...

— Wszystko jedno.

— Jak to wszystko jedno? Myślisz, że to łatwo pracować, kiedy się ciebie kapie w wannie? Opisałem sześć wariantów tego procesu, wszystkie są do niczego.

— Daj przeczytać.

— Tylko dla mężczyzn — oznajmił Wiktor. — Poza tym wyrzuciłem je, czy ci nie powiedziałem? I w ogóle było w nich tak mało patriotyzmu i poczucia świadomości narodowej, że tak czy inaczej nikomu nie można byłoby ich pokazać.

— Powiedz, jak ty to robisz: najpierw piszesz, a dopiero potem wstawiasz świadomość narodową?

— Nie — odpowiedział Wiktor. — Na początek nasiąkam świadomością narodową do głębi duszy. Czytam przemówienia pana prezydenta, wykuwam na pamięć eposy bohaterskie, uczęszczam na zebrania patriotyczne. Potem, kiedy zaczynam rzygać — kiedy już mnie nie mdli, tylko rzygam — biorę się do dzieła... Wiesz, porozmawiajmy lepiej o czymś innym. Na przykład o tym, co będziemy robili jutro.

— Jutro masz spotkanie z gimnazjalistami.

— To pójdzie szybko. A potem?

Diana nie odpowiedziała. Patrzyła mimo niego. Wiktor odwrócił się. Zbliżał się do nich mokrzak — w całej swojej krasie — czarny, mokry z przepaską na twarzy.

— Dzień dobry — przywitał się z Dianą. — Golem jeszcze nie wrócił?

Twarz Diany wstrząsnęła Wiktorem. Jak na starym obrazie. Nawet nie na portrecie — na ikonie. Dziwna nieruchomość rysów i już nie wiesz — czy to zamysł mistrza czy bezradność rzemieślnika. Diana nie odpowiedziała. Milczała i mokrzak również patrzył na nią w milczeniu, i nie było w tym milczeniu żadnej niezręczności — oni po prostu byli razem, a Wiktor i wszyscy pozostali byli oddzielnie.

Wiktorowi bardzo się to nie spodobało.

— Golem zapewne zaraz przyjdzie — powiedział głośno.

— Tak — powiedziała Diana. — Proszę, niech pan usiądzie i zaczeka.

Jej głos był zwyczajny i uśmiechała się do mokrzaka obojętnym uśmiechem. Wszystko było jak zwykle — Wiktor był z Dianą, a wszyscy pozostali byli osobno.

— Proszę — wesoło powiedział Wiktor wskazując na fotel doktora R. Kwadrygi.

Mokrzak usiadł, położył na kolanach dłonie w czarnych rękawiczkach. Wiktor nalał mu koniaku. Mokrzak wprawnym i niedbałym gestem wziął kieliszek, zakołysał nim jakby sprawdzając wagę i odstawił na stół.

— Mam nadzieję, że pani nie zapomniała? — powiedział do Diany.

— Tak — powiedziała Diana. — Tak. Zaraz przyniosę. Wiktor daj mi klucz do pokoju, za chwilę wrócę.

Wzięła klucz i szybko poszła do wyjścia. Wiktor zapalił papierosa. Co z tobą przyjacielu, powiedział do siebie. Jakoś za dużo ci się zwiduje w ostatnich czasach. Jakiś taki przeczulony się zrobiłeś i nadwrażliwy... Zazdrosny, I niepotrzebnie. Ciebie to w ogóle nie dotyczy — ci wszyscy byli mężowie, te wszystkie dziwne znajomości... Diana — to Diana, a ty — to ty. Roscheper jest impotentem? Impotentem. I to ci powinno wystarczyć... Wiedział, że to wszystko nie jest takie proste, że już połknął truciznę, ale powiedział sobie — wystarczy. Na dzisiaj, na teraz, na chwilę — i udało mu się przekonać siebie, że naprawdę wystarczy.

Naprzeciw siedział mokrzak nieruchomy i straszny jak manekin. Ciągnęło od niego wilgocią i jeszcze czymś jakby medycznym. Czy mogłem sobie wyobrazić, że będę kiedyś siedział z mokrzakiem w knajpie przy jednym stoliku? Postęp, chłopcy, jednak powoli następuje. Albo też my staliśmy się tacy wszystkożerni i wreszcie do nas dotarło, że wszyscy ludzie są braćmi? Ludzkości, przyjaciółko moja, jestem z ciebie dumny... A czy pan, mój drogi, wydałby swoją córkę za mokrzaka?..

— Moje nazwisko: Baniew — przedstawił się Wiktor i zapytał: Jak zdrowie... rannego? Tego, który wpadł w potrzask?

Mokrzak szybko odwrócił ku niemu twarz. Patrzy jak z okopu, pomyślał Wiktor.

— Zadowolająco — odpowiedział mokrzak.

— Na jego miejscu zawiadomiłbym policję.

— To nie ma sensu — powiedział mokrzak.

— A dlaczego? — zapytał Wiktor — niekoniecznie musi zgłaszać na miejscowej policji, można zwrócić się do okręgowej...

— Nam to niepotrzebne.

Wiktor wzruszył ramionami.

— Każde przestępstwo, które pozostaje bezkarne, rodzi nowe przestępstwo.

— Tak. Ale nas to nie interesuje.

Przez chwilę obaj milczeli. Potem mokrzak powiedział:

— Moje nazwisko: Zurtzmansor.

— Słynne nazwisko — uprzejmie powiedział Wiktor. — Czy nie jest pan krewnym Pawła Zurtzmansora, tego socjologa?

Mokrzak zmrużył oczy.

— Nie nosimy nawet tego samego nazwiska — powiedział. — Powiedziano mi, Baniew, że jutro ma pan spotkanie w gimnazjum...

Wiktor nie zdążył odpowiedzieć. Za jego plecami ktoś przesunął fotel i dziarski baryton powiedział:

— Ano, zjeżdżaj stąd zaraz.

Wiktor odwrócił się. Wznosił się nad nim grubowargi Flamenco Juventa, czy jak mu tam, słowem — bratanek. Wiktor patrzył na niego nie dłużej niż sekundę, ale to wystarczyło, żeby poczuć wyjątkową irytację.

— Do kogo pan mówi, młody człowieku? — zainteresował się.

— Do pańskiego przyjaciela — grzecznie wyjaśnił mu Flamen Juventa i ponownie wrzasnął. — Do kogo mówię, ty mokra szmato?!

— Chwileczkę — powiedział Wiktor i wstał. Flamen Juventa patrzył na niego z uśmiechem z góry. Taki młody Goliat w sportowej kurtce błyskającej niezliczonymi emblematami, nasz prosty ojczysty sturmführer, opoka narodu z gumową pałką w tylnej kieszeni spodni, postrach prawicowców, lewicowców i umiarkowanych. Wiktor sięgnął ręką do jego krawata i zapytał z troską i zainteresowaniem: — „Co pan tu ma?”.

I kiedy młody Goliat automatycznie pochylił głowę, żeby zobaczyć co tam ma, Wiktor mocno złapał go za nos dużym i wskazującym palcem.

— „E!” — krzyknął młody Goliat kompletnie oszołomiony i spróbował się wyrwać, ale Wiktor go nie wypuścił i przez jakiś czas bardzo starannie z lodowatą zawziętością zakręcał i obracał ten bezczelny, mocny nos przygadując:

— „Następnym razem zachowuj się przyzwoicie, szczeniaku, bratanku, parszywy bojówkami, chamski sukinsynu...”

Pozycja była wyjątkowo korzystna — młody Goliat rozpaczliwie wierzgał, ale między nimi stał fotel i młody Goliat pięściami ubijał powietrze, za to Wiktor miał dłuższe ręce i ciągle wykręcał, rozgniatał, obracał i wyciągał do chwili, kiedy nad głową przeleciała mu butelka. Wtedy obejrzał się — odsuwając stoliki i przewracając fotele pędziła na niego cała banda wszystkich pięciu, z których dwóch było wyjątkowo rośłych. Na mgnienie oka wszystko zastygło jak na fotografii — czarny Zurtzmansor spokojnie rozwalony w fotelu, Teddy w powietrzu przeskakujący przez ladę baru, Diana z białym pakunkiem na środku sali — a na drugim planie w drzwiach, wąsata twarz portiera, i tuż obok wściekle pyski z rozwartymi paszczkami. Następnie skończyła się fotografia i zaczęło kino.

Pierwszego dryblasza Wiktor nadzwyczaj fartownie powalił ciosem w policzek. Ten przepadł i przez jakiś czas sienie pojawiał. Ale drugi dryblasz trafił Wiktora w ucho. Ktoś inny uderzył go kantem dłoni w policzek: chybił, widocznie celował w gardło. A jeszcze ktoś — wyzwolony Goliat? — skoczył mu na plecy. To były brutalne uliczne łobuzy, opoka narodu — tylko jeden z nich znał boks, a pozostali chcieli nie tyle walczyć, ile okaleczyć: wyłupić oko, rozerwać usta, kopnąć w pachwinę. Gdyby Wiktor był sam, na pewno by go zmasakrowali, ale od tyłu zaatakował ich Teddy, który święcie przestrzegał złotej zasady wszystkich wykidajłów — tłumić każdą bójkę w zarodku, z flanki pojawiła się Diana, Diana Wścieklica, z zębami wyszczerzonymi z nienawiści, niepodobna do siebie, już bez białego pakunku, tylko z ciężkim oplatany gąsiorem w rękę, nadciągnął też portier niemłody już mężczyzna, ale sądząc po metodach walki, były żołnierz — walczył pękiem kluczy jakby to był pas z bagnetem w pochwie. Tak, że kiedy z kuchni przybiegło dwóch kelnerów, nie mieli już nic do roboty. Bratanek zwiął, nawet zapomniał swojego tranzystora. Jeden z chłopaczków leżał pod stołem — był to ten, którego Diana powaliła oplecionym gąsiorem, pozostałych zaś czterech Wiktor z Teddym dosłownie wynieśli na pięściach z sali, przepędzili

przez hol i kopniakami wbili w drzwi obrotowe. Z rozpędu sami też wylecieli na ulicę i dopiero tam, na deszczu uświadomili sobie całkowite zwycięstwo i trochę się uspokoili.

— Parszywi smarkacze — powiedział Teddy, zapalając jednocześnie dwa papierosy, dla siebie i dla Wiktora.

— Przyzwyczaili się, co czwartek rozróżba. Zeszłym razem zagapiłem się i połamali dwa fotele. A kto potem płaci? Ja!

Wiktor macał puchnące ucho.

— Bratanek uciekł — powiedział z zalem. — Nie dobrałem się do niego, niestety.

— To dobrze — powiedział rzeczowo Teddy. — Od niego lepiej się trzymać z daleka. Jego stryjek sam wiesz, zresztą i on sam... Opoka Ojczyzny i Porządku, czy jak tam oni się nazywają... A ty, panie pisarzu, nauczyłeś się bić jak widzę. Taki pamiętam byłeś kiedyś smarkacz, słaby jak mucha — tobie bywało — przyłożą — a ty pod stół. Zuch.

— Taki mam zawód — westchnął Wiktor. — Efekt walki o byt. U nas przecież tak jest — wszyscy na jednego. A pan prezydent — na wszystkich.

— I dochodzi do mordobicia? — prostodusznie zdziwił się Teddy.

— No a jak myślisz! Napiszą o tobie pochwalny artykuł, że jesteś przepełniony świadomością narodową, idziesz szukać krytykę a on już z kolegami — wszyscy młodzi, silni, dziarscy, dzieci prezydenta...

— Coś podobnego — powiedział Teddy. — I co dalej?

— Różnie. Bywa i tak, i nie tak.

Pod wejście podjechał jeep, drzwi się otworzyły i na deszcz wysiadł młody człowiek w okularach i z teczką oraz jego wysoki współtowarzysz. Zza kierownicy wygrzebał się Golem. Wysoki z intensywnym, można powiedzieć zawodowym zainteresowaniem patrzył, jak portier wykopuje przez obrotowe drzwi ostatniego awanturnika, który jeszcze nie całkiem przyszedł do siebie. — Szkoda, że tego z nami nie było — szeptem powiedział Teddy wskazując oczami na wysokiego. To jest specjalista z klasą. Nie to, co ty. Zawodowiec, rozumiesz?

— Rozumiem — również szeptem odpowiedział Wiktor. Młody człowiek z teczką i ten drugi wysoki kłusem przebiegli obok i dali nura w drzwi. Golem, niespiesznie w pierwszej chwili, ruszył za nimi, już z daleka uśmiechając się do Wiktora, ale zastąpił mu drogę, pan Zurtzmansor z białą paczką pod pachą. Powiedział coś półgłosem, a wtedy Golem przestał się uśmiechać i wrócił do samochodu. Zurtzmansor wygramolił się na tylne siedzenie i jeep odjechał.

— Ech — powiedział Teddy — biliśmy nie tych co trzeba, panie Baniew. Ludzie za niego krew przelewają, a ten wsiada do cudzego samochodu i odjeżdża.

— Chyba nie masz racji — powiedział Wiktor. — Chory, nieszczęśliwy człowiek, dzisiaj on, jutro ty. My z tobą zaraz pójdziemy się napić, a jego zawieźli do leprozorium.

— Dobrze wiem, gdzie go zawieziono — nieubłaganie powiedział Teddy. — Nic nie rozumiesz z naszego życia, pisarzu.

— Oderwałem się od narodu?

— Od narodu, nie od narodu, a życia nie znasz. Pomieszkaj no u nas — który to już rok tylko deszcze i deszcze, na polach wszystko wygniło, z dziećmi nie można dojść do ładu... Zresztą co tu gadać w całym mieście nie ma ani jednego kota, myszy niedługo nas zagryzą... E—ech! — powiedział i machnął ręką. — No to chodźmy.

Wrócili do holu i Teddy zapytał portiera, który już wrócił na swój posterunek:

— No i jak? Dużo połamali?

— E, nie — odpowiedział portier. — Można powiedzieć, że wyszliśmy bez szwanku. Jedną lampę pokaleczyli, ścianę uświnili, a pieniądze to ja jemu... ostatniemu odebrałem, masz węź.

Licząc po drodze pieniądze Teddy poszedł do restauracji. Wiktor poszedł za nim. Na sali znowu zapanował spokój. Młody mężczyzna w okularach i tamten wysoki już nudzili się nad butelką mineralnej melancholijnie przeżywając firmową kolację. Diana siedziała na dawnym miejscu, prześliczna, ogromnie ożywiona i nawet uśmiechała się do siedzącego już w swoim fotelu doktora R. Kwadrygi, którego zwykle nie tolerowała. Przed R. Kwadrygą stała butelka rumu, ale doktor był jeszcze trzeźwy i dlatego wyglądał dziwnie.

— Gratuluję — ponuro przywitał Wiktora. — Żałuję, że nie byłem obecny choćby w stopniu szeregowca.

Wiktor opadł na fotel.

— Jakie piękne ucho — powiedział R. Kwadrygą. — Gdzieś takie dostał? Jak koguci grzebień.

— Koniak — zażądał Wiktor. Diana naląła mu koniaku. — Jej i tylko jej zawdzięczam Wiktoria swą — powiedział wskazując na Dianę.

— Zapłaciłaś za gąsior?

— Gąsior wcale się nie stłukł — powiedziała Diana. — Za kogo ty mnie bierzesz? Ach, jak on upadł. Mój Boże, jak on cudownie się zwałił. Żeby oni tak wszyscy...

— Zaczynamy — ponuro powiedział R. Kwadryga i nalął sobie pełną szklankę rumu.

— Potoczył się jak manekin — powiedziała Diana. — Jak kręgle. Wiktor, wszystko masz w porządku? Widziałam jak cię kopali.

— To, co najważniejsze — w porządku. — Powiedział Wiktor. Specjalnie bronilem.

Doktor R. Kwadryga z bulgotem wessał ostatnie krople rumu ze szklanki, dokładnie tak, jak zlew kuchenny wsysa resztki wody po myciu naczyń. Oczy mu z miejsca zmętniały.

— My się znamy — spiesznie powiedział Wiktor. — Ty jesteś doktor Rem Kwadryga, a ja: pisarz Baniew.

— Przestań — powiedział R. Kwadryga. — Jestem absolutnie trzeźwy. Ale się spiję. To jedno, czego jestem teraz pewny. Nie uwierzycie mi, ale przyjechałem tu pół roku temu jako zupełnie niepijący człowiek. Mam chorą wątrobę, katar kiszek i jeszcze coś tam z żołądkiem. Absolutnie nie wolno mi pić, a piję przez dwadzieścia cztery godziny na dobę... Jestem kompletnie nikomu niepotrzebny. Nigdy w życiu mi się coś takiego nie wydarzyło. Nawet listów nie dostaję, dlatego że starzy przyjaciele siedzą bez prawa korespondencji, a nowi są niepiśmienni...

— Nie chcę słyszeć żadnych tajemnic państwowych — powiedział Wiktor. — Jestem nieprawomyślny.

R. Kwadryga znowu napełnił szklankę i zaczął popijać rum małymi łykami jak wystygłą herbatę.

— Tak prędzej podziła — oznajmił. — Popróbuj Baniew. Przyda się... i nie ma co się na mnie gapić! — zniecka powiedziała do Diany z wściekłością. — Proszę nie ujawniać swoich uczuć! Jeśli się nie podoba...

— Cicho, cicho — powiedział Wiktor i R. Kwadryga skisł.

— Oni ni cholery mnie nie rozumieją — powiedział żałośnie. Nikt. Tylko ty mnie troszeczkę rozumiesz. Zawsze mnie rozumiałeś. Tyle że jesteś bardzo ordynarny, Baniew i zawsze raniłeś moje uczucia. Cały jestem poraniony... Oni teraz boją się mnie zjeżdżać, teraz tylko mnie chwala. Jak mnie jakieś ścierwo pochwali — rana. Następne ścierwo pochwali — następna rana. Ale teraz już to wszystko jest za mną. Oni jeszcze nie wiedzą... Słuchaj Baniew. Masz taką wspaniałą dziewczynę... Proszę cię... Poproś ją, żeby przyszła do mojego studia... Ale nie, idioto. Modelka. Ty nic nie rozumiesz, a ja takiej modelki szukam już dziesięć lat...

— Portret—alegoria — wyjaśnił Dianie Wiktor. — „Prezydent i Wiecznie Młoda Ojczyzna”.

— Dureń — smutnie powiedział doktor R. Kwadryga. — Wszyscy myślicie, że się sprzedałem... No i słusznie, tak było. Ale ja już więcej nie maluję prezydentów... Autoportret. Rozumiesz?

— Nie — przyznał się Wiktor — nie rozumiem. Chcesz malować autoportret z Dianą jako modelką?

— Dureń — powiedział R. Kwadryga. — To będzie twarz artysty.

— Mój tyłek — wyjaśniła Diana Wiktorowi.

— Twarz artysty — powtórzył R. Kwadryga. — Przecież ty jesteś artystą... i wszyscy, którzy siedzą bez prawa korespondencji... i wszyscy, którzy leżą bez prawa korespondencji... i wszyscy, którzy mieszkają w moim domu... to znaczy nie mieszkają... Ty wiesz, Baniew, ja się boję. Przecież cię prosiłem — przyjdź, pomieszkaj u mnie chociaż trochę. Mam willę, fontannę... A ogrodnik uciekł. Tchórz... Nie mogę sam tam mieszkać, lepiej w hotelu... Myślisz, że piję, bo się sprzedałem? Zawracanie głowy, to nie nowomodna powieść... Pomieszkaś u mnie trochę i sam się zorientujesz... Może nawet rozpoznasz ich. Możliwe, że to w ogóle nie są moi znajomi, tylko twoi. Wtedy zrozumiałbym dlaczego oni mnie nie poznają... Chodzą na bosaka... śmieją się... — nagle jego oczy napełniły się łzami. — Panowie! — powiedział. — Co za szczęście, że nie ma z nami tego Pawora! Wasze zdrowie.

— I twoje — powiedział Wiktor i wymienił spojrzenia z Dianą.

Diana patrzyła na R. Kwadrygę z odrazą i lękiem. — Nikt nie lubi Pawora — powiedział. — Tylko ja jeden, nieszczęsny odmieniec.

— Stojąca woda — oświadczył doktor R. Kwadryga. — I skacząca żaba. Gaduła. Zawsze milczy.

— Po prostu on już jest gotów — powiedział Wiktor do Diany. Nic strasznego...

— Panowie — powiedział doktor R. Kwadryga. — Szanowna pani. Uważam za swój obowiązek przedstawić się: Rem Kwadryga, doktor honoris causa...

Wiktor przyszedł do gimnazjum na pół godziny przed wyznaczonym czasem, ale Bol-Kunac już na niego czekał. Zresztą był OD chłopcem taktownym, poinformował więc Wiktora, że spotkanie odbędzie się w auli i poszedł sobie powoławszy się na jakieś sprawy nie cierpiące zwłoki. Zostawszy sam, Wiktor powędrował korytarzami, zaglądał do pustych klas, wdychał zapomniany zapach atramentu, kredy, wiecznie wiszącego w powietrzu kurzu, zapachy bójek „do pierwszej krwi”, wyniszczających przesłuchań przy tablicy, zapachy więzienia, bezprawia, kłamstwa podniesionego do rangi przykazania. Wciąż miał nadzieję wywołać w pamięci jakieś słodkie wspomnienia o dzieciństwie i młodości, o rycerstwie, o koleżeństwie, o pierwszej czystej miłości, ale nic z tego nie wychodziło, chociaż tak bardzo się starał, gotów rozczulić się przy pierwszej stosownej okazji. Wszystko tu było jak dawniej — i widne, zatęchłe klasy, podrapane tablice, ławki pocięte z zamalowanymi monogramami, a także apokryficznymi sentencjami o żonie i prawej ręce, ściany jak w kazamatach pomalowane do połowy wysokości wesołą, zieloną farbą i tynk obtłuczony na krawędziach ścian — wszystko było jak dawniej, zniechęcające, ohydne, budziło wściekłość i beznadziejność. Znalazł swoją klasę, chociaż nie od razu. Znalazł swoje miejsce przy oknie, ale ławka była inna, tylko na parapecie ciągle jeszcze było widać głęboko wycięty emblemat Legii Wolności i Wiktor bardzo jasno przypomniał sobie odurzający entuzjazm tamtych czasów, czerwono — białe opaski, blaszane skarbonki na „fundusz Legii”, krwawe bójki z czerwonymi i portrety we wszystkich gazetach, we wszystkich podręcznikach, na wszystkich murach — twarz, która wtedy wydawała się piękna i niezwykła, a teraz stała się tępa, obwisła, podobna do świńskiego ryja, z ogromną, zębatą, bryzgającą śliną paszczą. Tacy młodzi, tacy bezbarwni, tacy jednakowi... I głupi. A ta głupota teraz już nie cieszy, nie cieszysz się, że zmądrzałeś, czujesz tylko palący wstyd za siebie, za tamtego, bezbarwnego, rzeczowego żółtodzioba, który wyobrażał sobie, że jest niezastąpiony, nietuzinkowy i niezwykły... i

jeszcze wstydlive dziecinne pragnienia, paniczny strach przed dziewczyną, o której już tyle naopowiadałem, że już w żaden sposób nie mogłem się wycofać, a następnego dnia — dziki gniew ojca, płonące uszy, i to wszystko nazywa się najszcześniejszym czasem — bezbarwność, pragnienia, entuzjazm.

— Kiepska sprawa — pomyślał. A jeśli nagle, za piętnaście lat okaże się, że ja dzisiejszy, jestem równie przeciętny i zniewolony jak w dzieciństwie, może nawet bardziej, ponieważ teraz uważam się za dorosłego, który wystarczająco dużo przeżył, więc ma prawo do zadowolenia z siebie i osadzania innych.

Skromność i tylko skromność do pokory włącznie... i tylko prawda, nigdy nie okłamuj, przynajmniej samego siebie, ale to okropne być pokornym, kiedy dookoła tylu idiotów, rozpustników, interesownych kłamców, kiedy nawet najlepsi też są napiętnowani niczym trędowaci... Czy chcesz znowu być młody? Nie. A czy chcesz pożyć jeszcze z piętnaście lat? Tak. Ponieważ życie jest dobrem samym w sobie. Nawet kiedy otrzymujesz cios za ciosem. Żeby tylko można było odpowiedzieć uderzeniem na uderzenie... No dobra, wystarczy.

Trzymajmy się tego, że prawdziwe życie jest sposobem istnienia pozwalającym oddawać ciosy. A teraz pójdziemy i zobaczymy, co z nich wyrosło...

Na sali było dosyć dużo dzieci i panował normalny hałas, który ucichł, kiedy Bol-Kunac wprowadził Wiktora na scenę i usadził pod ogromnym portretem prezydenta — darem doktora R. Kwadrygi — za stołem przykrytym czerwono-białym obrusem. Potem Bol-Kunac wyszedł na brzeg sceny i powiedział:

— Dziś będzie z nami rozmawiać znany pisarz Wiktor Baniew, który urodził się w naszym mieście. — Odwrócił się do Wiktora. — Jak pan woli, panie Baniew, żeby pytania zadawano z miejsca, czy na kartkach?

— Wszystko mi jedno — powiedział Wiktor lekkomyślnie. — Aby tylko było ich dużo.

— W takim razie, proszę.

Bol-Kunac zeskoczył ze sceny i usiadł w pierwszym rzędzie. Wiktor poskrobał brew oglądając salę. Było ich około pięćdziesięciorga: dziewcząt i chłopców w wieku od dziesięciu do czternastu lat — patrzyli na niego spokojnie i wyczekująco. Zdaje się, że tu są same wunderkindy, pomyślał mimochodem. W drugim rzędzie z prawej zauważył Irmę i uśmiechnął się do niej. Irma odpowiedziała uśmiechem.

— Uczyłem się w tym samym gimnazjum — zaczął Wiktor — i na tej samej scenie wypadło mi kiedyś grać Ozryka. Roli nie umiałem, więc musiałem ją wymyślić w trakcie przedstawienia. To był pierwszy wypadek w życiu, kiedy musiałem wymyślić coś nie pod groźbą dwójki. Podobno teraz trudniej się uczyć niż w moich czasach. Podobno macie teraz nowe przedmioty i to, co my przerabialiśmy w trzy lata, musicie przerabiać w ciągu roku. A wy zapewne nawet nie dostrzegacie, że jest wam trudniej. Uczeni przypuszczają, że ludzki mózg jest w stanie pomieścić znacznie więcej informacji, niż to się wydaje na pierwszy rzut oka przeciętnemu człowiekowi. Trzeba tylko umieć te informacje wtłoczyć...

Aha, pomyślał, zaraz im opowiem o hipnopedii. Ale w tym momencie Bol-Kunac przekazał mu karteczkę: „Prosimy nie opowiadać nam o osiągnięciach nauki. Proszę rozmawiać z nami jak z równymi. Walerians kl. 6”.

— Tak — powiedział Wiktor. — Tu niejaki Walerians z szóstej klasy, proponuje mi, żebym rozmawiał z wami jak z równymi, i ostrzega mnie przed referowaniem wam osiągnięć nauki... Muszę się przyznać Walerians, że istotnie zamierzałem porozmawiać z wami o osiągnięciach hipnopedii. Jednakże chętnie zrezygnuję ze swojego zamierzenia, chociaż uważam za swój obowiązek poinformować cię, że większość równych mi, dorosłych ludzi ma nadzwyczaj umiarkowane wyobrażenie o hipnopedii. — Poczul, że jest mu niewygodnie mówić na siedząco, wstał i przespacerował się po scenie. — Muszę się wam zwierzyć, moi drodzy, że niespecjalnie lubię spotkania z czytelnikami. Z reguły nie sposób zrozumieć, z jakim czytelnikiem ma się do czynienia, czego on chce od ciebie i co go właściwie interesuje.

Dlatego każde swoje wystąpienie staram się zmienić w wieczór pytań i odpowiedzi. Czasami wychodzi dosyć zabawnie. Wiecie co, może na początek ja zacznę zadawać pytania. A więc... Czy wszyscy obecni czytali moje książki?

— Tak — rozległy się dziecięce głosy. — Czytaliśmy... Wszyscy...

— Świetnie — powiedział Wiktor zakłopotany. — Jestem mile zaskoczony i nieco zdumiony. No dobrze, jedźmy dalej... Czy zebrani życzą sobie usłyszeć historię napisania jakiejś mojej powieści?

Nastąpiło niedługie milczenie, następnie ze środka sali wstał chudy, przyszczaty chłopiec powiedział: „Nie” i usiadł.

— To świetnie — powiedział Wiktor. — Tym bardziej świetnie, że wbrew szeroko rozpowszechnionym poglądom w takich historiach nie ma na ogół nic ciekawego. Idźmy dalej... Czy szanowni słuchacze życzą sobie usłyszeć o moich planach twórczych?

Bol-Kunac wstał i powiedział grzecznie: — Widzi pan, panie Baniew, problemy związane bezpośrednio z techniką pańskiej twórczości lepiej byłoby przedyskutować pod koniec rozmowy, kiedy ogólny obraz będzie bardziej jasny.

Usiadł. Wiktor wsadził ręce w kieszenie i znowu przespacerował się po estradzie. Robiło się interesująco, a w każdym razie niecodziennie.

— A może interesują was anegdoty literackie? — zapytał podstępnie. — Jak polowałem z Hemingwayem? Jak Erenburg podarował mi rosyjski samowar? Albo, co też mi powiedział Zurtzmansor, kiedy razem jechaliśmy tramwajem...?

— Naprawdę znał pan Zurtzmansora? — zapytano z sali.

— Nie, to był żart — powiedział Wiktor. — Więc co będzie z literackimi anegdotami?

— Czy można zadać pytanie? — zapytał unosząc się przyszczaty chłopiec.

— Tak, oczywiście.

— Jakimi chciałby pan nas widzieć, w przyszłości?

Bez przyszczy, przeleciało przez głowę Wiktorowi, ale odgonił tę myśl, ponieważ zrozumiał — robi się gorąco. Pytanie było dobre. Bardzo bym chciał, żeby ktokolwiek powiedział mi, jak chce widzieć siebie w teraźniejszości, pomyślał. Jednak trzeba było odpowiadać.

— Żebyście byli mądrzy — powiedział na chybił trafił. — Uczciwi.

Dobrzy. Chciałbym, żebyście lubili swoją pracę... i pracowali tylko dla szczęścia innych ludzi... (Truję, pomyślał. Ale jak tu nie truć?)

Mniej więcej tak...

Sala cichutko zaszumiała, potem ktoś zapytał nie wstając:

— Czy rzeczywiście pan uważa, że żołnierz jest ważniejszy od fizyka?

— Ja?! — oburzył się Wiktor.

— Tak rozumiałem pańską książkę „Nieszczęście przychodzi nocą”.

Był to jasnowłosy skrzat, mniej więcej dziesięcioletni. Wiktor odchrząknął. „Nieszczęście” mogło być dobrą książką, mogło być złą książką, ale w żadnych okolicznościach nie mogło być książką dla dzieci. Do takiego stopnia nie było książką dla dzieci, że nie zdołał jej zrozumieć ani jeden krytyk, wszyscy uznali, że jest to pornograficzne czytało deprawatorskie i obrażające świadomość narodową. A co najstraszniejsze, jasnowłosy skrzat miał pewne podstawy przypuszczać, że autor „Nieszczęścia” uważa żołnierza za ważniejszego od fizyka — w każdym razie w niektórych aspektach.

— Chodzi o to — powiedział Wiktor sugestywnie — że... jakby ci tu powiedzieć... Różnie bywa.

— Wcale nie mam na myśli fizjologii — zaprotestował jasnowłosy skrzat. — Mówię o ogólnej koncepcji książki, być może „ważniejszy” nie jest odpowiednim słowem...

— Ja też nie mam na myśli fizjologii — powiedział Wiktor. — Chcę powiedzieć, że bywają sytuacje, w których poziom erudycji nie ma znaczenia.

Bol–Kunac przyjął z sali i przekazał dwie karteczki. „Czy może się uważać za uczciwego człowiek, który pracuje dla wojny?” i „Co to takiego człowiek mądry?” Wiktor zaczął od drugiego pytania, było łatwiejsze.

— Mądry człowiek — powiedział — to taki człowiek, który uświadamia sobie własną niedoskonałość, ograniczoność swojej wiedzy, stara się ją uzupełniać i osiąga w tej dziedzinie sukces... Zgadza się ze mną?

— Nie — powiedziała wstając prześliczna dziewczynka.

— A o co chodzi?

— Pańska definicja jest niefunkcjonalna. Każdy głupiec wykorzystując tę definicję może uważać się za mądrego. Szczególnie, jeżeli utwierdza go w tym otoczenie.

Tak, pomyślał Wiktor. Ogarnęła go lekka panika. To nie pogawędka z kolegami pisarzami.

— W jakimś sensie masz rację — powiedział. — Ale chodzi o to, że w ogóle „mądry” i „głupi” — to pojęcia historyczne i chyba raczej subiektywne.

— To znaczy, że pan sam nie podejmuje się odróżnić głupca od człowieka mądrego? — zapytało z tylnych rzędów cudowne stworzenie o przepięknych, biblijnych oczach, ogolone na zero.

— Nie, dlaczego — odpowiedział Wiktor. — Podejmuję się. A nie jestem pewien, czy zawsze się ze mną zgodzicie. Jest taki stary aforyzm: „Głupiec, to ten który myśli inaczej...”

Zwykle to porzekadło wywoływało śmiech słuchaczy, ale teraz sala w milczeniu oczekiwała dalszego ciągu.

— Albo inaczej czuje — dodał Wiktor.

Wyraźnie odczuwał rozczarowanie sali, ale nie wiedział, co by tu jeszcze powiedzieć. Kontakt nie było. Auditorium z reguły łatwo przechodzi na stronę tego, kto występuje, zgadza się z jego sądami i dla wszystkich staje się jasne, kto to są ci głupcy, przy czym rozumie się samo przez się, że tu, na tej sali głupców nie ma. W najgorszym wypadku auditorium nie zgadzało się, ogarniał je wrogi nastrój, ale i wtedy było łatwo, dlatego że pozostawała możliwość sarkastycznego ośmieszania, a jednemu nie jest trudno dyskutować z wieloma, ponieważ przeciwnicy zawsze przeczą sobie nawzajem i zawsze znajdzie się wśród nich jeden najhańsliwszy i najgłupszy, po którym można się przejechać ku ogólnemu zadowoleniu.

— Ja niezupełnie rozumiem — powiedziała prześliczna dziewczynka. — Chce pan, żebyśmy byli mądrzy, to znaczy zgodnie z pańskim aforyzmem myśleli i czuli dokładnie tak jak pan. Ale przeczytałam wszystkie pańskie książki i znalazłam w nich wyłącznie negację. Żadnego pozytywnego programu. Z drugiej strony chciałby pan, abyśmy pracowali dla dobra innych ludzi. To znaczy faktycznie dla dobra tych brudnych i antypatycznych facetów, którymi przepełnione są pańskie książki. A pan przecież przedstawia rzeczywistość, prawda?

Wiktorowi wydało się, że wreszcie odnalazł dno pod stopami.

— Widzicie — powiedział — przez pracę dla dobra ludzi rozumiem właśnie przekształcanie ich w czystych i sympatycznych i to moje życzenie nijak się nie ma do mojej twórczości. W książkach próbuję pokazać wszystko tak jak jest naprawdę i nie próbuję uczyć czy też pokazywać, co należy robić. W najlepszym razie wskazuję punkt przyłożenia siły, zwracam uwagę na to, z czym trzeba walczyć. Ja nie wiem, jak należy zmieniać ludzi, a gdybym wiedział, to nie byłbym modnym pisarzem, tylko wielkim pedagogiem albo sławnym psychosocjologiem. W literaturze w ogóle jest przeciwwskazane pouczać, przewodzić, proponować konkretne drogi wyjścia, albo tworzyć konkretną metodologię. Można to zobaczyć na przykładzie największych pisarzy. Chylę czoło przed Lwem Tołstojem, ale tylko do momentu, który jest jedynym w swoim rodzaju, unikalnym jeśli chodzi o siłę talentu, zwierciadłem rzeczywistości. A jak tylko zaczyna uczyć chodzenia boso czy też podstawiania drugiego policzka, ogarnia mnie litość i trwoga... Pisarz — to instrument ukazujący stan społeczeństwa i tylko w mizernym stopniu narzędzie dla jego zmieniania. Historia poucza, że

społeczeństwa zmienia się nie za pomocą literatury, tylko karabinów maszynowych lub reform, a obecnie jeszcze i nauki. Literatura w najlepszym razie pokazuje, do kogo należy strzelać lub też co wymaga zreformowania... — zrobił pauzę, przypomniał sobie, że istnieje jeszcze Dostojewski i Faulkner. Ale póki zastanawiał się jakby tu coś wtrącić na temat roli literatury przy poznawaniu wnętrza istoty ludzkiej, z sali zawiadomiono go:

— Daruje pan, ale to wszystko jest dosyć banalne. Przecież nie o to chodzi. Chodzi o to, że przedstawiane przez pana obiekty wcale nie chcą, żeby je ktoś zmieniał. A poza tym są tak antypatyczne, do takiego stopnia zapuszczone, tak beznadziejne, że się ich zmieniać nie ma ochoty. Rozumie pan, one nie są tego warte. Niechaj sobie gniją — przecież nie odgrywają żadnej roli, więc dla czyjego dobra powinniśmy pańskim zdaniem pracować?

— Ach więc o to wam chodzi! — wolno powiedział Wiktor.

Nagle dotarło do niego: mój Boże, przecież ci smarkacze poważnie myślą, że piszę tylko o kanaliach, że wszystkich uważam za łajdaków, nic nie rozumieją, zresztą skąd mają rozumieć, to są dzieci, dziwaczne dzieci, chorobliwie mądre dzieci, ale tylko dzieci, z dziecinnym doświadczeniem życiowym, z dziecinną znajomością ludzi plus stopy przeczytanych książek, z dziecinnym idealizmem i z dziecinnym dążeniem do tego, aby wszystko poukładać w szufladkach z napisami „dobre” i „złe”. Dokładnie jak koledzy literaci...

— Wprowadziło mnie w błąd to, że mówicie jak dorośli — powiedział Wiktor. — I nawet zapomniałem, że jednak dorośli nie jesteście. Rozumiem, że to niepedagogicznie tak mówić, ale niestety trzeba to powiedzieć, inaczej nigdy się nie wypłaczemy. Cała rzecz w tym, że wy najprawdopodobniej nie rozumiecie, jak nieogolony, historyczny, wiecznie pijany mężczyzna może być wspaniałym człowiekiem, którego nie sposób nie kochać, dla którego można mieć najwyższe uznanie, i uważać za zaszczyt uściśnięcie jego ręki. Ponieważ przeszedł przez takie piekło, że strach pomyśleć, a mimo to pozostał człowiekiem. Wszystkich bohaterów moich książek uważacie za łajdaków, ale to dopiero połowa nieszczęścia. Uważacie, że ja traktuję ich tak samo jak i wy. A to już jest całe nieszczęście. Nieszczęście, które polega na tym, że w ten sposób nigdy nie zrozumiemy się nawzajem.

Diabli wiedzą jakiej reakcji oczekiwał w odpowiedzi na to niezmiernie pocziwe wystąpienie. Speszonych spojrzeń, twarzy rozjaśnionych nagłym zrozumieniem, westchnienia ulgi na sali na znak, że nieporozumienie szczęśliwie zostało wyjaśnione i teraz wszystko można zaczynać od początku, na nowej, bardziej realistycznej podstawie... W każdym razie nic takiego nie zaszło. Z tylnych rzędów znowu wstał chłopiec o biblijnych oczach i zapytał:

— Czy nie mógłby pan nam powiedzieć, czym jest postęp?

Wiktor poczuł się obrażony. No oczywiście, pomyślał. A potem zapytają, czy maszyna może myśleć i czy istnieje życie na Marsie. Wszystko powraca na swoje miejsce.

— Postęp — powiedział — jest to rozwój społeczeństwa w takim kierunku, którego celem jest doprowadzenie go do stanu, kiedy ludzie nie zabijają, nie depczą i nie męczą się nawzajem.

— A czym się zajmują? — zapytał tęgi chłopiec siedzący po prawej stronie.

— Popijają, zakąszają „quantum satis” — mruknął ktoś z lewej.

— A dlaczego by nie? — zapytał Wiktor. — Historia ludzkości nie zna zbyt wielu epok, w których ludzie mogli sobie popijać i zakąszać „quantum satis”. Dla mnie postęp — to dążenie do stanu, w którym nie depczą i nie zabijają. A czym się wtedy będą ludzie zajmować — to moim zdaniem nie jest już tak bardzo istotne. Jeśli chcecie — dla mnie najważniejsze są przede wszystkim konieczne warunki postępu, a wystarczające — to rzecz nabyta...

— Pan pozwoli — powiedział Bol-Kunac. — Spróbujmy rozpatrzeć następujący schemat. Załóżmy, że automatyzacja rozwija się w takim tempie jak obecnie. W takim razie za kilkadziesiąt lat przeważająca większość aktywnej ludzkości zostanie wyrzucona poza nawias procesów produkcyjnych i sfery usług ze względu na nieprzydatność. Będzie po prostu znakomicie: wszyscy są syci i nie ma powodu zadeptywać się nawzajem, nikt nikomu nie

przeszkadza... I nikt nikogo nie potrzebuje. Jest oczywiście kilkaset tysięcy ludzi zabezpieczających ciągłość pracy starych maszyn i powstawanie maszyn nowych, ale pozostałe miliardy są sobie po prostu niepotrzebne. To dobrze?

— Nie wiem — powiedział Wiktor. — Właściwie, może nie całkiem dobrze... i w jakiś sposób przykre... Ale muszę wam powiedzieć, że pomimo wszystko lepsze niż to, co mamy teraz. Więc pewien postęp jest chyba oczywisty.

— A czy pan sam chciałby żyć w takim świecie?

Wiktor pomyślał.

— Wiecie, ja ten świat jakoś słabo sobie wyobrażam, ale szczerze mówiąc, może warto byłoby spróbować.

— A czy potrafi pan wyobrazić sobie człowieka, który kategorycznie odmawia życia w takim świecie?

— Oczywiście, że potrafię. Są ludzie, sam znam takich, którym byłoby tam okropnie nudno. Władza jest tam niepotrzebna, nie ma komu rozkazywać, rozpychać się, iść po trupach nie ma po co. Co prawda, tacy raczej nie odmówią — jednak to wyjątkowa okazja, aby spróbować raj przerobić na chlew... albo na koszary. Z największą przyjemnością taki świat by zburzyli... Tak, że chyba raczej nie potrafię.

— A bohaterów pańskich ksiązek, których pan tak kocha, urządziłaby taka przyszłość?

— Tak, oczywiście. Znaleźliby wreszcie zasłużony spokój.

Bol-Kunac usiadł, za to wstał pryszczaty nastolatek i kiwając głową powiedział z goryczą:

— No i właśnie o to chodzi. Nie o to, czy rozumiem prawdziwe życie, czy nie, a o to, że dla pana i pańskich bohaterów taka przyszłość jest całkowicie do przyjęcia, a dla nas — to trupiarnia. Koniec nadziei. Koniec ludzkości. Właśnie dlatego nie mamy ochoty marnować sił, żeby pracować dla dobra pańskich uświnionych od stóp do głów i marzących o spokoju facetów. Naładować ich energią, żeby mogli żyć, naprawdę już nie sposób. I jak tam pan sobie chce, panie Baniew, ale pokazał nam pan w swoich książkach — w ciekawych książkach, jestem całkowicie „za” — pokazał nam pan punkt przyłożenia siły, tylko że punkty przyłożenia siły, jeśli chodzi o ludzkość nie istnieją, przynajmniej jeżeli mowa o pańskim pokoleniu... Proszę mi darować, ale zagryźliście się, roztrwonili na wewnętrzne waśnie, na kłamstwa i na walkę z kłamstwem, którą prowadzicie wymyślając nowe kłamstwa... Jak w pańskiej piosence: „Kłamstwo czy prawda to kwestia odcieni i prawda wczorajsza dziś w kłamstwo się zmieni. A kłamstwo wczorajsze przemienia się żywo dziś w prawdę powszednią i prawdę prawdziwą”. Właśnie tak się miotacie od kłamstwa do kłamstwa. Po prostu, w żaden sposób nie możecie uwierzyć, że jesteście już martwi, że własnoręcznie zbudowaliście świat, który stał się dla was kamieniem nagrobnym. Gniliście w okopach, rzucaliście się z granatami pod czołgi, a komu od tego lepiej? Narzekaliście na rządy, na panujące porządki, jakbyście nie wiedzieli, że na lepszy rząd, na inne porządki wasze pokolenie... po prostu nie zasłużyło. Pan daruje, ale bito was po twarzy, a wy powtarzaliście z uporem, że człowiek z natury jest dobry... albo co gorsza, że człowiek to brzmi dumnie. I kogo tylko nie nazywaliście człowiekiem...

Pryszczaty mówca machnął ręką i usiadł. Zapanowało milczenie, następnie chłopiec znowu wstał i oznajmił:

— Kiedy mówiłem „wy”, nie miałem na myśli personalnie pana, panie Baniew.

— Dziękuję — powiedział gniewnie Wiktor.

Był zirytowany — pryszczaty smarkacz nie miał prawa mówić tak bezapelacyjnie, to bezczelność i brak wychowania... dać w łeb i wyprowadzić za ucho z sali. Czuł się głupio — wiele z tego, co powiedział chłopak było prawdą, sam tak myślał, a teraz znalazł się w sytuacji człowieka, który musi bronić czegoś, czego nienawidzi, a poza tym — nie było całkiem jasne, jak się zachować dalej, jak kontynuować rozmowę i czy w ogóle warto ją kontynuować... Rozejrzał się po sali i zobaczył, że czekają na jego odpowiedź, że Irma czeka

na jego odpowiedź, że wszystkie te rumiane i piegowate potwory myślą jednakowo, a przyszczaty arogant tylko wyraził wspólną opinię i wyraził ją szczerze, z głębokim przekonaniem, a nie dlatego, że wczoraj przeczytał nielegalną broszurę. Że oni rzeczywiście nie czują nawet odrobiny wdzięczności albo chociażby elementarnego szacunku dla niego, Baniewa, za to że na ochotnika zaciągnął się do ułanów i uczestniczył w szarżach kawalerii na „rheinmetale”, że omal nie zdechł na dyzenterię w okrażeniu i zabił wartownika własnoręcznie wykonanym nożem, a potem, już w cywilu dał po mordzie oficerowi tajnej policji, który zaproponował mu podpisanie donosu, łąził bez pracy z dziurą w płucach, spekulował owocami, chociaż proponowano mu bardzo wygodne posady... A właściwie, dlaczego oni powinni mnie szanować za to wszystko? Że szedłem z szablą na czołgi? Przecież trzeba być idiotą, żeby mieć rząd który doprowadził armię do takiego stanu... Aż wzdrygnął się kiedy uzmysłowił sobie, jak ogromną pracę myśli musiały wykonać te dzieciaki, żeby dojść do wniosków, do których dorośli dochodzą, kiedy już duszę mają w strzępach, zrujnowane życie, nie tylko własne, oraz przetrącony grzbiet... Zresztą nawet i to dotyczy nie wszystkich, zaledwie nielicznych, zaś większość do tej pory uważa, że wszystko jest jak należy, bardzo fajnie i jeśli zajdzie potrzeba, gotowi są zacząć wszystko od początku... Czyżby pomimo wszystko nastały nowe czasy? Patrzył na salę nieomal ze strachem. Zdaje się, że pomimo wszystko przyszłości udało się zapuścić macki w samo serce czasu teraźniejszego i ta przyszłość była zimna, pozbawiona litości i miała gdzieś wszystkie zasługi przeszłości — prawdziwe i domniemane.

— Moi drodzy — powiedział Wiktor. — Zapewne sami tego nie widzicie, ale jesteście okrutni. Jesteście okrutni z najlepszych pobudek, ale okrucieństwo — to zawsze okrucieństwo. I nie może przynieść niczego oprócz nowego cierpienia, nowych łez i nowych podłości. Miejcie to na uwadze. I nie wyobrażajcie sobie, że wymyśliście coś szczególnie nowego. Zburzyć stary świat i na jego kościach zbudować nowy — to bardzo stary pomysł. I jak dotychczas ani razu nie udało się osiągnąć oczekiwanych rezultatów. To, co w starym świecie wywołuje pragnienie, aby burzyć bez najmniejszej litości, szczególnie łatwo przystosowuje się do procesu burzenia, do okrucieństwa, do bezwzględności, okazuje się dla tego procesu niezbędne, trwa nienaruszone, staje się gospodarzem nowego świata i w ostatecznym rachunku morduje śmiałych burzycieli. Kruk krukowi oka nie wykołę, okrucieństwa nie można zniszczyć okrucieństwem. Ironia i litość, ironia i litość dzieci!

I nagle wszyscy wstali. Było to tak nieoczekiwane, że Wiktorowi przeleciała przez głowę szalona myśl, że udało mu się wreszcie powiedzieć coś takiego, co wstrząsnęło wyobraźnią słuchaczy. Ale już widział, że od drzwi idzie mokrzak, chudy, lekki, prawie niematerialny niczym cień i dzieci patrzą na niego, i niewyczerpanie patrzą) tylko Igną do niego, a mokrzak powściągliwie uklonił się Wiktorowi, wymamrotał słowa przeprosin i usiadł na brzegu, u boku Army, wszystkie dzieci również usiadły, a Wiktor patrzył na Irmę i widział, że jest szczęśliwa, że stara się tego nie okazać, ale po prostu promienieje radością i zadowoleniem. Zanim zdążył się opamiętać, zabrał głos Bol-Kunac:

— Obawiam się, że pan nas źle zrozumiał, panie Baniew — powiedział. — Wcale nie jesteśmy okrutni, a jeśli z pańskiego punktu widzenia jesteśmy okrutni, to wyłącznie teoretycznie. Przecież my wcale nie chcemy burzyć waszego starego świata, tylko zamierzamy zbudować nowy. To pan jest okrutny — nie wyobraża pan sobie budowania nowego świata bez zburzenia starego. A my wyobrażamy to sobie bardzo dobrze. My nawet pomożemy pana pokoleniu stworzyć ten wasz raj, popijajcie sobie i jedzcie na zdrowie. Budować, panie Baniew, tylko budować. Niczego nie burzyć, tylko budować.

Wiktor oderwał wreszcie oczy od Army i zebrał myśli.

— Tak — powiedział. — Jasne. No to budujcie. Jestem całkowicie po waszej stronie. Zaskoczyliście mnie dzisiaj, ale i tak jestem z wami... Jeśli zajdzie potrzeba, nawet zrezygnuję z kielicha i zakąski... Tylko nie zapominajcie, że stare światy trzeba było burzyć

właśnie dlatego, że przeszkadzały... przeszkadzały budować nowe, nie lubiły tego co nowe, hamowały...

— Dzisiejszy stary świat — zagadkowo powiedział Bol-Kunac nie będzie nam przeszkadzał. Będzie nam nawet pomagać. Dotychczasowa historia zakończyła swój bieg, nie trzeba się na nią powoływać.

— No cóż, tym lepiej — powiedział Wiktor ze znużeniem. — Jestem niezmiernie rad, że wszystko się wam tak szczęśliwie układa.

Fajni chłopcy i dziewczęta, pomyślał. Dziwni, ale fajni. Szkoda ich... wyrosną, będą się zagryzać, rozmnażać i rozpocznie się praca na chleb nasz powszedni... Nie, pomyślał z rozpaczą. Być może jakoś im się uda... Zgarnął ze stołu karteczki. Zebrało się ich nawet sporo. Co to takiego fakt? Czy można uważać za dobrego i uczciwego człowieka, który pracuje dla wojny? Dlaczego pan tak dużo pije?

Jaka jest pana opinia o Spenglerze?..

— Przysłano mi kilka pytań — powiedział. — Tylko nie wiem, czy teraz warto...

Wstał pryszczaty nihilista i powiedział:

— Widzi pan, panie Baniew, nie wiem, jakie tam są pytania, ale właściwie to nie jest ważne. Po prostu chcieliśmy poznać współczesnego, znanego pisarza. Każdy znany pisarz jest wyrazicielem ideologii społeczeństwa, czy też części społeczeństwa, a my powinniśmy znać ideologów współczesnego społeczeństwa. Teraz wiemy więcej, niż wiedzieliśmy przed spotkaniem z panem. Dziękujemy.

Na sali zaczął się ruch, słyhać było: „Dziękujemy... Dziękujemy, panie Baniew”, dzieci zaczęły wstawać, opuszczając swoje miejsca, a Wiktor stał zaciskając w pięści karteczki, czuł się jak krety, wiedział, że jest purpurowy, że minę ma speszoną i żalną, ale wziął się w garść, kartki wsadził do kieszeni i szedł ze sceny.

Najgorsze było to, że nie zrozumiał w końcu jak ma traktować te dzieci. Były irrealne, były nieprawdopodobne, ich wypowiedzi, ich stosunek do tego, co Wiktor pisał i do tego, co mówił, nie miał żadnych punktów stykowych ze sterczącymi warkoczykami, rozczochranymi czuprykami, niedomytymi szyjami, z gęsią skórą na chudych rękach, z piskliwym hałasem dookoła. Jakby nieznana siła dla zabawy, zespoliła w przestrzeni przedszkole i dyskusję w instytucie naukowym. Połączyła niepołączalne. Zapewne tak czuł się doświadczalny kot, któremu dano kawałek ryby, podrapano za uchem i w tej samej chwili eksplodowano pod nosem ładunek, porażono prądem i oślepieno reflektorem... Tak, ze współczuciem powiedział Wiktor do kota, którego stan wyobrażał sobie teraz znakomicie. Ani moja, ani twoja psychika nie jest przygotowana na taki szok, od takiego szoku możemy nawet umrzeć...

I w tym momencie uświadomił sobie, że ugrzązł. Obstawiono go i nie pozwalano przejść. Na sekundę ogarnęła go straszliwa panika. Nie zdziwiłby się, gdyby go teraz spokojnie i w milczeniu powalono na podłogę w celu przeprowadzenia sekcji na okoliczność przeanalizowania ideologii. Ale dzieci nie zamierzały go preparować. Wyciągały do niego otwarte książki, tanie notesy, kartki papieru. Szeptaly: „Proszę o autograf.” Piszczały: „Tu, w tym miejscu.” Chrypiały łamliwym basem: „Pan będzie łaskaw”.

I Wiktor wyjął wieczne pióro, zdjął nakrętkę, z zaciekawieniem postronnego człowieka przysłuchał się swoim odczuciom i wcale się nie zdziwił czując wzbierającą dumę. To były upiory przyszłości i cieszyć się ich uznaniem było jednak przyjemnie.

W numerze hotelowym natychmiast otworzył barek, nalał sobie dzinu i wypił jednym haustem jak lekarstwo. Z włosów, po twarzy i za kołnierz spływała woda — okazało się, że zapomniał włożyć kaptur. Spodnie przemokły do kolan — prawdopodobnie szedł na nic nie zważając wprost po kałużach. Straszliwie chciało mu się palić — zdaje się, że ani razu nie zapalił przez te dwie godziny z hakiem...

Akceleracja, powtarzał sam sobie, kiedy zrzucał wprost na podłogę mokry płaszcz, przebierał się, wycierał głowę ręcznikiem. To tylko akceleracja, uspokajał się, zapalając papierosa i zaciągając się chciwie. To jest właśnie akceleracja w praktyce, myślał z przerażeniem, wspominając pewne siebie dziecięce głosy wypowiadające niemożliwe teksty. Boże, ratuj dorosłych, Boże — ratuj ich rodziców, oświeć ich, spraw, aby zmądrzeli, to ostami moment... Ze względu na Ciebie samego błagam cię, Boże, bo inaczej zbudują ci wieżę Babel, kamień nagrobny dla wszystkich głupców, których wypuściłeś na tę Ziemię, aby się płodzili i rozmnażali nie przemyślawszy jak należy skutków akceleracji... Okazałeś się prostaczkiem, bracie Boże...

Wiktor wypluł niedopałek na dywan i zapalił nowego papierosa. A właściwie dlaczego się tak zdenerwowałem? — pomyślał. Rozlała mi się wyobraźnia... No dobra, dzieci, no dobra — akceleracja, no dobra, rozwinięte ponad wiek. Co to, nie widziałem dzieci ponad wiek rozwiniętych? Skąd mi przyszło do głowy, że one same to wszystko wymyśliły? Napatrzyły się w mieście wszelakiego paskudztwa, naczytały się książek, wszystko uprościły i naturalnie doszły do wniosku, że należy zbudować nowy świat i wcale nie wszystkie są takie. Mają przywódców, krzykaczy. Bol–Kunac... ten pryszczaty... i jeszcze ta śliczna dziewczyna. Liderzy. A reszta — dzieci jak dzieci, siedziały, słuchały, nudziły się. Wiedział, że to nieprawda. No, powiedzmy, nie nudziły się, słuchały z ciekawością — to jednak prowincja, znany pisarz... Diabła tam, w ich wieku nie czytałbym moich książek. Diabła tam, w ich wieku poszedłbym — gdzieś oprócz filmu ze strzelaniną albo do wędrownego cyrku — oglądać gołe nogi tancerki na linie. Równy zwiślał mi stary świat i nowy świat, nie miałem o tym zielonego pojęcia piłka nożna do kompletnego wyczerpania, wykręcić gdzieś żarówkę i trzasnąć nią o ścianę, albo dorwać gdzieś jakiegoś eleganta i nakłaść mu po ryju... Wiktor rozwalił się w fotelu i wyciągnął nogi. Wszyscy wspominamy z rozczuleniem szczęśliwe dzieciństwo i jesteśmy przekonani, że od czasów Tomka Sawyera tak było jest i będzie. Powinno być. A jeśli tak nie jest to znaczy, że dziecko nienormalne, budzi jeśli popatrzeć na nie z boku — lekką litość, a przy bezpośrednim zderzeniu — pedagogiczne oburzenie. Tymczasem dziecko łagodnie patrzy na ciebie i myśli: ty oczywiście jesteś dorosły, duży, możesz mi przyłożyć, jednakże jak od najwcześniejszego dzieciństwa byłeś głuptakiem, tak głuptakiem pozostaniesz i głuptakiem umrzesz, ale nawet tego ci mało, jeszcze i ze mnie chcesz zrobić głuptaka...

Wiktor nalał nową porcję dżinu i zaczął wspominać, jak to wszystko wyglądało i musiał pośpiesznie sobie golnąć, żeby nie zawyć ze wstydu. Jak przyszedł do tych dzieciaków zadowolony i pewny siebie, patrzący z góry, modny bęcwał, jak na dzień dobry poczęstował je szlachetną głupotą, płaskimi dowcipami, pseudobohaterskim gaworzeniem, jak go usadzono, ale nie uspokoił się i nadal demonstrował swoją ostrą niewydolność intelektualną, jak uczciwie próbowano skierować go na właściwą drogę i przecież ostrzegano go, a on nadal plótł trywialne banały, wciąż licząc, że jakoś wyjdzie na swoje, że co tam, nie ma co się przesadnie wysilać, a kiedy wreszcie straciwszy cierpliwość dali mu po mordzie, małodusznie zaczął szlochać i skarżyć się, że go źle potraktowano... a kiedy z litości poproszono go o autografy, wpadł w taką euforię, że aż wstyd pomyśleć... I Wiktor zaryczał, wiedząc, że o tym, co się dziś wydarzyło, bez względu na swoją demonstracyjną uczciwość, nigdy nikomu nie ośmieli się opowiedzieć, że za jakies pół godziny przekona sam siebie o konieczności zachowania równowagi duchowej i tak wszystko sprytnie poprzekłada, aby wszystko nieprzyjemne, co z nim dzisiaj uczyniono, obróciło się w największy triumf jego życia albo ostatecznie w zwyczajne i niezbyt interesujące spotkanie z prowincjonalnymi wunderkindami, które — a niby czego się po nich spodziewać? — są dziećmi i dlatego nie najlepiej orientują się w literaturze i w życiu... Należałoby posłać mnie do departamentu oświaty, pomyślał z nienawiścią. Tam tacy zawsze są potrzebni... Mam tylko jedną pociechę, pomyślał. Takich dzieci jest jeszcze bardzo mało i jeżeli akceleracja będzie się rozwijać w takim samym

tempie, to do czasu kiedy będzie ich dużo, ja już dzięki Bogu szczęśliwie umrę. Jak to dobrze — umrzeć we właściwym czasie!

Ktoś zapukał do drzwi. Wiktor krzyknął: „Proszę!” Wszedł Pawor w podrabianym bucharskim szlafroku, rozstrojony, ze spuchniętym nosem.

— Nareszcie — powiedział zakatarzonym głosem, usiadł naprzeciwko, wydobył zza pazuchy wielką, mokrą chustkę do nosa i zaczął smarkać i kichać. Było to żalosne widowisko — nic nie zostało z dawnego Pawora.

— Co — nareszcie? — zapytał Wiktor. — Chce pan dżinu?

— Och, nie wiem... — odparł Pawor siąkając i pochlipując. — To miasto mnie wykończy... R-r-rum-czż-ż-zach! Och...

— Na zdrowie — powiedział Wiktor.

Pawor popatrzył na niego załzawionymi oczami.

— Gdzie się pan podziewał? — zapytał kapryśnie. — Trzy razy pukałem do pana, chciałem wziąć coś do czytania. Ja tu przepadnę, jedyne moje zajęcie — to kichanie i wycieranie nosa... w hotelu nie ma żywego ducha, poszedłem do portiera, to ten stary idiota zaproponował mi książkę telefoniczną i jakieś prospekty sprzed lat... „Witamy w naszym słonecznym mieście”. Ma pan coś do czytania?

— Raczej wątpię — powiedział Wiktor.

— Co u diabła, przecież jest pan pisarzem! No, rozumiem, kolegów pan nie czyta, ale siebie chyba pan od czasu do czasu przegląda... Wszyscy dookoła wciąż powtarzają: Baniew, Baniew... Jak to tam u pana się nazywa?” „Śmierć po południu”? „Północ po śmierci”? Nie pamiętam...

— „Nieszczęście przychodzi o pomocy” — powiedział Wiktor.

— O to to. Niech pan da poczytać.

— Nie dam. Nie mam — kategorycznie powiedział Wiktor. — A gdybym miał, to i tak bym nie dał. Zasmarkałby mi pan książki. I do tego nic nie rozumiał.

— A to dlaczego — nie rozumiałbym? — zainteresował się Pawor z oburzeniem. — Podobno to coś z życia homoseksualistów, co tu można nie zrozumieć?

— Sam pan... — zaczął Wiktor. — Lepiej napijmy się dżinu. Z wodą?

Pawor kichnął, coś mruknął, rozpaczliwie rozejrzył się dookoła, odrzucił głowę do tyłu i znowu kichnął.

— Głowa mi pęka — poskarżył się. — O, w tym miejscu... A gdzie pan był? Podobno na spotkaniu z czytelnikami? Z miejscowymi homoseksualistami?

— Gorzej — powiedział Wiktor. — Miałem spotkanie z miejscowymi wunderkindami. Wie pan, co to jest akceleracja?

— Akceleracja? To coś, co jest związane z przedwczesnym dojrzewaniem. Słyszałem, jakiś czas temu było o tym bardzo głośno, ale potem w naszym departamencie powołano komisję i ta komisja udowodniła, że to rezultat osobistej troski pana prezydenta o dorastające pokolenie młodych lwów i marzycieli, tak że wszystko znalazło się na swoim miejscu. Aleja wiem, o czym pan mówi, bo widziałem tych miejscowych wunderkindów. Zachowaj nas Boże od takich lwów, ponieważ ich właściwe miejsce jest w gabinecie osobliwości.

— A może to moje i pana miejsce jest w gabinecie osobliwości? — zaprotestował Wiktor.

— Niewykluczone — zgodził się Pawor. — Tylko że akceleracja nie ma z tym nic wspólnego. Akceleracja — to problem biologiczny i fizjologiczny. Wzrost wagi noworodków, a one potem nieprzytomnie rosną, gdzieś do dwóch metrów jak żyrafy, i kiedy mają dwanaście lat, już potrafią się rozmnażać. A tutaj — dzieci są najzwyczajniejsze, za to ich nauczyciele...

— Co — nauczyciele?

Pawor kichnął.

— Za to nauczyciele niezwyčajni — powiedział przez nos.

Wiktor przypomniał sobie dyrektora gimnazjum.

— Co też niezwykłego jest w tutejszych nauczycielach? — zapytał — to, że zapominają rozpiąć rozporek?

— Jaki rozporek? — zapytał Pawor ze zdumieniem gapiąc się na Wiktora. — Oni w ogóle nie mają rozporków.

— I co jeszcze? — zapytał Wiktor.

— W jakim sensie?

— Co jeszcze jest w nich niezwykłe?

Pawor długo wycierał nos, a Wiktor popijał dzin i patrzył na niego z litością.

— Jak widzę, nie ma pan o niczym pojęcia — powiedział Pawor oglądając zasmarkaną chustkę. — Jak słusznie twierdzi pan prezydent, główną właściwością naszych pisarzy jest nieznamość życia i oderwanie od interesów narodu... Jest pan już tu ponad tydzień. Czy był pan gdziekolwiek oprócz knajpy i sanatorium? Rozmawiał pan z kimś oprócz tego pijanego bydlaka, Kwadrygi? Diabli wiedzą, za co bierzecie pieniądze...

— Dobra, dosyć tego — powiedział Wiktor. — Wystarczą mi gazety. Też mi historyk usmarkany, nauczyciel bez rozporka.

— „A-a-a” nie podoba się? — powiedział Pawor z zadowoleniem.

— Jeśli tak, to już nie będę... Niech pan opowie o spotkaniu z wunderkindami.

— Nie ma o czym opowiadać — powiedział Wiktor. Wunderkindy, jak wunderkindy...

— A jednak?

— No więc przyszedłem. Zadali mi kilka pytań. Ciekawe pytania, zupełnie dorosłe... — Wiktor umilkł. — No więc, jeśli mam być całkiem szczerzy, nieźle mi dali popalić.

— A jakie były pytania? — zapytał Pawor. Patrzył na Wiktora z prawdziwym zainteresowaniem i zdaje się ze współczuciem.

— Nie chodzi o pytania — westchnął Wiktor. — Jeśli mam mówić otwarcie, to najbardziej mną wstrząsnęło, że te dzieci są jak dorośli, i to nie zwyczajni dorośli, a jak dorośli najwyższej klasy... Jakaś chora, piekielna dysproporcja... — Pawor ze współczuciem kiwał głową. Słowem, źle mi tam było — powiedział Wiktor. — Nie mam ochoty o tym mówić.

— Rozumiem — powiedział Pawor. — Nie pan pierwszy, nie pan ostatni. Muszę panu powiedzieć, że rodzice dwunastoletniego dziecka — to zawsze istoty godne litości z tysiącem kłopotów na głowie. Ale tutejsi rodzice to coś szczególnego. Przypominają mi zaplecze armii okupacyjnej w rejonie aktywnych działań partyzantów... No więc, o co pana pytano?

— No na przykład, co to jest postęp.

— Tak. Więc, ich zdaniem co to takiego postęp?

— Ich zdaniem, postęp to nadzwyczaj proste. Posłać nas wszystkich do rezerwatów, żebyśmy się nie plątali pod nogami, a wówczas oni na wolności będą mogli spokojnie studiować Zurtzmansora i Spenglera. Ja w każdym razie odniosłem takie wrażenie.

— No cóż, bardzo to być może — powiedział Pawor. — Jaki ksiądz, taka i parafia. Pan tu opowiada — akceleracja, Zurtzmansor... A czy wie pan, co na ten temat mówi naród?

— Kto?!

— Naród!... Naród mówi, że wszystkie nieszczęścia są przez mokrzaków. Dzieci żeś wirowały — przez mokrzaków...

— To dlatego, że w mieście nie ma Żydów — zauważył Wiktor.

Potem przypomniał sobie mokrzaka, który wszedł na salę, jak dzieci wstały i jaką twarz miała Irma. — Pan to poważnie? — zapytał.

— To nie ja — powiedział Pawor. — To głos narodu. Vox populi. Koty uciekły z miasta, a dzieciaki uwielbiają mokrzaków, łażą za nimi do leprozorium, siedzą tam dniami i nocami, rodziców mają za nic, nikogo nie słuchają. Kradną w domu pieniądze i kupują książki... Podobno na początku rodzice bardzo się cieszyli, że dzieci zamiast drzeć spodnie na płotach, cicho siedzą w domu i czytają książki. Tym bardziej że pogoda jakby nie najlepsza. Ale teraz

już wszyscy widzą, do czego to doprowadziło i kto to wszystko zaczął. Teraz już nikt się nie cieszy. Jednakże boją się mokrzaków jak dawniej i tylko warczą im w ślad...

„Głos narodu”, pomyślał Wiktor. „Głos Loli i pana burmistrza. Słyszeliśmy ten głos... Koty, deszcze, telewizory. Krew chrześcijańskich niemowląt...”

— Nie rozumiem — powiedział — pan to serio czy z nudów?

— To nie ja — powtórzył Pawor z uczuciem. — Tak mówią w mieście.

— Co mówią w mieście, jest dla mnie jasne — powiedział Wiktor.

— A co pan sam o tym myśli?

Fawor wzruszył ramionami.

— Życie płynie — powiedział mgliście. — Plotki pół na pół z prawdą.

— Popatrz na Wiktora znad chustki. — Proszę mnie nie uważać za idiotę — powiedział.

— Niech pan lepiej przypomni sobie te dzieci — gdzie jeszcze widział pan takie dzieci? Albo ostatecznie, tyle takich dzieci?

Fakt, pomyślał Wiktor, takie dzieci... Koty kotami, ale ten mokrzak na sali — to już nie koty pół na pół z deszczem... Jest takie określenie — twarz rozświetlona od wewnątrz. Właśnie taką twarz miała Irma, a kiedy rozmawia ze mną, jej twarz oświetlona jest tylko z zewnątrz. Z matką w ogóle nie rozmawia — cedzi coś przez zęby z pobłażliwą odrazą... Ale jeżeli to tak, jeżeli to prawda, a nie wstrętne gadanie, to sprawa wygląda wyjątkowo paskudnie. Czego oni chcą od dzieci. To przecież chorzy ludzie, skazani... i w ogóle to świństwo podjudzać dzieci przeciwko rodzicom, nawet przeciwko takim rodzicom jak ja i Lola. Wystarczy nam pan prezydent — naród jest ważniejszy niż macierzyństwo i ojcostwo, Legia Wolności waszą matką i ojcem, więc dzieciak biegnie do najbliższego sztabu i zawiadamia, że ojciec nazwał pana prezydenta dziwnym człowiekiem, a matka nazwała wyprawę Legii rujnującym przedsięwzięciem. A teraz jeszcze na domiar złego pojawia się czarny, mokry facet i nie owijając w bawełnę oznajmia, że twój ojciec — to pijak i bezmózgie bydlę, a matka — kretynka i dziwka. Powiedzmy nawet, że tak jest naprawdę, ale to wszystko jedno świństwo, należy to robić inaczej, i nie ich pieski interes, nie oni za to odpowiadają i nikt ich nie prosi, żeby zajmowali się tego rodzaju oświatą... Patologia jakaś i tyle... Jeżeli to tylko oświata i nic poza tym. A jeśli coś gorszego? Dziecię zaczyna różnymi usteczkami szczebiotać o postępie, zaczyna mówić straszne, okrutne rzeczy, nie wiedząc co szczebiocze, ale już od pieluch przyucza się do intelektualnego okrucieństwa, najgorszego okrucieństwa, jakie można wymyśleć, a tamci, zamotawszy czarnymi szmatami łuszczące się fizjonomie, stoją sceną i pociągają sznurki... to znaczy, że nie ma żadnego nowego pokolenia, za to jest stara i brudna zabawa w marionetki, a ja byłem podwójnym osłem, kiedy zamierałem dziś na tej scenie... Ależ to paskudna historia — ta nasza cywilizacja...

— ...kto ma oczy niechaj zobaczy — mówił Pawor. — Nie wpuszczają nas do leprozorium. Drut kolczasty, żołnierze, w porządku. Ale coś niecoś można zobaczyć i tutaj w mieście. Widziałem, jak mokrzaki rozmawiają z dziećmi i jak się przy tym zachowują te dzieci, jak zamieniają się nieomal w anioły, a zapytaj takiego jak się idzie do fabryki — wyleje na ciebie kubeł pogardy...

Nie wpuszczają nas do leprozorium, myślał Wiktor. Drut kolczasty, a mokrzaki swobodnie spacerują sobie po mieście. Ale przecież nie Golem to wymyślił... Ojciec narodu. Co za ścierwo — pomyślał. Co za kanalia. Więc to jego robota. Najlepszy przyjaciel dzieci... Całkiem niewykluczone, to bardzo do niego podobne. A wie pan, panie prezydencie, na pańskim miejscu urozmaiciłbym, a przynajmniej próbowałbym urozmaicić, swoje sztuczki. Zbyt łatwo odróżnić pański ogon od wszystkich innych ogonów. Drut kolczasty, żołnierze, przepustki — czyli pan prezydent, czyli bez najmniejszej wątpliwości jakieś paskudztwo...

— Na diabła tam drut kolczasty? — zapytał Wiktor.

— A skąd ja mogę wiedzieć? — odparł Fawor. — Nigdy przedtem drutu kolczastego w tym miejscu nie było.

— To znaczy, że pan tam już kiedyś był?

— Dlaczego? Nie byłem. Ale nie jestem tu pierwszym inspektorem sanitarnym... zresztą nie chodzi o drut kolczasty, czy to mało na świecie kolczastego drutu? Dzieci tam wpuszczają bez żadnych przeszkód, mokrzaków wypuszczają bez przeszkód, a ani pana, ani mnie nie wpuszczają — i to jest dziwne.

Nie, to chyba jednak nie prezydent, myślał Wiktor. Prezydent i czytanie Zurtzmansora, a może jeszcze i Baniewa — to nijak do siebie nie pasuje. Do tego ta destrukcyjna ideologia... Gdybym ja coś takiego napisał, chyba by mnie ukrzyżowali. Niepojęte, niezrozumiałe... Nieczysta sprawa... Trzeba będzie zapytać Army, pomyślał. Po prostu zapytam i zobaczę, co ona robi... Zresztą chyba i Diana powinna coś niecoś wiedzieć.

— Pan mnie nie słucha? — zapytał Pawor.

— Przepraszam, zamyśliłem się.

— Mówię, że wcale bym się nie zdziwił, gdyby miasto zastosowało jakieś środki. Zresztą jak przystoi miastu, środki okrutne.

— Ja też bym się nie zdziwił — wymamrotał Wiktor. — Nie zdziwię się, nawet jeśli ja sam zechcę zastosować jakieś środki.

Pawor wstał i podszedł do okna.

— Ale pogoda — powiedział zgnębiony. — Wyjechać by stąd jak najprędzej... Da mi pan książkę, czy nie?

— Nie mam żadnych książek — powiedział Wiktor. — Wszystko co przywiozłem, jest w sanatorium... Niech pan posłucha, a po co mokrzakom nasze dzieci?

Pawor wzruszył ramionami.

— To przecież chorzy ludzie — odpowiedział. — Skąd możemy wiedzieć? My przecież jesteśmy zdrowi.

Zapukano do drzwi i wszedł Golem ciężki i mokry.

— Zapytamy Golema — powiedział Pawor. — Golem, po co mokrzakom nasze dzieci?

— Wasze dzieci? — zapytał Golem, uważnie oglądając etykietkę na butelce z dżinem. — A pan ma dzieci, Pawor?

— Pawor twierdzi — powiedział Wiktor — jakoby mokrzaki buntowały miejskie dzieci przeciwko rodzicom. Co pan wie na ten temat Golem?

— Hm... — powiedział Golem. — Gdzie pan ma czyste szklanki?

Aha... Mokrzaki buntują dzieci? No cóż... nie oni pierwsi, nie oni ostatni. — Nie zdejmując płaszcza opadł na kozetkę i powąchał dżin w szklance. — A niby dlaczego w naszych czasach nie buntować dzieci przeciwko rodzicom, jeśli białych szczuje się na czarnych, żółtych na białych, a głupich szczuje na mądrych... Co pana właściwie dziwi?

— Pawor twierdzi — powtórzył Wiktor — że pańscy pacjenci włączają się po mieście i uczą dzieci różnych dziwnych rzeczy. Ja też zauważyłem coś podobnego, chociaż na razie jeszcze niczego nie twierdzą. Tak więc, niczemu się nie dziwię tylko pytam pana — czy to prawda, czy nie?

— O ile wiem — powiedział Golem odpijając ze szklanki — mokrzaki od wieków miały prawo chodzić po mieście. Nie wiem, co pan ma na myśli mówiąc o uczeniu dziwnych rzeczy, ale niech mi będzie wolno zapytać pana jako tubylca — czy zna pan zabawkę, która nazywa się „zła fryga”?

— No, oczywiście — powiedział Wiktor.

— Miał pan taką zabawkę?

— Ja oczywiście nie miałem... ale koledzy, o ile pamiętam chyba tak... — Wiktor zamilkł. — Tak, rzeczywiście. Chłopcy mówili, że tego bączka podarował im mokrzak. O to panu chodzi?

— Tak, właśnie o to. I „pogodnik” i „drewnianą rękę”...

— Pardon — powiedział Pawor. — Czy ja, przybysz ze stolicy, mógłbym się dowiedzieć, o czym rozmawiają tubylcy?

— Nie mógłby pan — powiedział Golem. — To nie leży w pańskiej kompetencji.

— Skąd pan wie, co leży, a co nie leży w moich kompetencjach? — zapytał Pawor urażonym tonem.

— Wiem — powiedział Golem. — ... i niech pan przestanie łąć, przecież próbował pan kupić u Teddy'ego „pogodnik”, więc świetnie pan wie, co to takiego.

— Niech pan idzie do diabła — kapryśnie powiedział Fawor. Nie chodzi mi o „pogodnik”...

— Chwileczkę, Pawor — niecierpliwie powiedział Wiktor. — Golem, nie odpowiedział pan na moje pytanie.

— Czyżby? A mnie się wydało, że odpowiedziałem... Widzi pan,

Wiktorze, mokrzaki to ciężko i beznadziejnie chorzy ludzie. To straszna rzecz — choroba genetyczna. Ale pomimo wszystko zachowują dobroć i mądrość, więc nie trzeba ich krzywdzić.

— Kto ich krzywdzi?

— Czyżby pan ich nie krzywdził?

— Na razie nie. Na razie nawet wręcz przeciwnie.

— No to w takim razie wszystko w porządku — powiedział Golem i wstał. — W takim razie jedziemy.

Wiktor wytrzeszczył oczy.

— Dokąd jedziemy?

— Do sanatorium. Jadę do sanatorium, pan jak widzę też się wybiera do sanatorium, a Pawor niech się kładzie do łóżka. Dość zarażenia grypą.

Wiktor spojrzął na zegarek.

— Czy nie jest za wcześnie?

— Jak pan chce. Tylko niech pan pamięta, że od dzisiejszego dnia autobus został skasowany. Jako nierentowny.

— A może najpierw zjemy obiad?

— Jak pan chce — powtórzył Golem. — Ja nigdy nie jadam obiadów i panu nie radzę.

Wiktor pomacał się po brzuchu.

— Tak — powiedział. Potem popatrzył na Pawora. — Chyba pojedę.

— Nic mi do tego — powiedział Pawor. Był obrażony. — Niech pan przynajmniej książki przywiezie.

— Na pewno — obiecał Wiktor i zaczął się ubierać.

Kiedy wsiedli do samochodu, pod wilgotny brezent, do wilgotnej śmierdzącej tytoniem, benzyną i lekarstwami kabiny, Golem zapytał:

— Czy rozumie pan aluzje?

— Czasami — odpowiedział Wiktor. — Kiedy wiem, że to aluzja. A bo co?

— A więc zwracam pana uwagę: aluzja. Niech pan mniej gada.

— Hm — wymamrotał Wiktor. — I jak mam to rozumieć?

— Jako aluzję. Niech pan przestanie trzaskać dziobem.

— Z przyjemnością — powiedział Wiktor i popadł w zadumę.

Przejechali miasto, minęli fabrykę konserw, przecięli pusty miejski park, zapuszczony, mizerny, na wpół zgniły z wilgoci, przemknęli obok stadionu, na którym umorusani, w błotnych centkach jak żyrafy „Bracia w sapiencji” uparcie kopali mokrymi, napęczniałymi butami napęczniałą piłkę i wreszcie wytoczyli się na szosę prowadzącą do sanatorium. Dookoła, za kurtyną deszczu leżał mokry, płaski jak stół step, niegdyś suchy, wypalony i kłujący, a teraz z wolna przemieniający się w grząskie mokradło.

— Pana aluzja — powiedział Wiktor — przypomniła mi pewną rozmowę, moją rozmowę z jego ekscelencją panem referentem pana prezydenta do spraw państwowej ideologii. Jego ekscelencja wezwał mnie do swego skromnego — trzydzieści metrów na dwadzieścia gabinetu i zainteresował się: „Wiktor, czy chce pan nadal mieć swój kawałek chleba z masłem?” Ja, naturalnie odpowiedziałem twierdząco. „No to niech pan przestanie brzdąkać” — ryknął jego ekscelencja i odprawił mnie skinieniem dłoni.

Golem uśmiechnął się.

— A właściwie na czym pan brzdąkał?

— Jego ekscelencja miał na myśli moje ćwiczenia na banjo w młodzieżowych klubach.

Golem spojrzał na niego zezem.

— A właściwie skąd pan ma pewność, że nie jestem szpiclem?

— A ja wcale nie mam takiej pewności — zaprzeczył Wiktor — po prostu mi to zwisa. Poza tym teraz nie mówi się „szpicel”. „Szpicel” to archaizm. Teraz wszyscy kulturalni ludzie mówią: „kabel”.

— Nie wyczuwam różnicy — powiedział Golem.

— Praktycznie rzecz biorąc, ja również — powiedział Wiktor. A więc przestajemy trzaskać dziobem. Czy pana pacjent wyzdrowiał?

— Moi pacjenci nigdy nie wracają do zdrowia.

— Pan ma wspaniałą opinię. Ale ja pytam o tego nieszczęśnika, który wpadł w potrzask. Jak jego noga?

Golem milczał chwilę, a potem zapytał:

— Którego z nich ma pan na myśli?

— Nie rozumiem — powiedział Wiktor. — Naturalnie, że tego który wpadł w potrzask.

— Było ich czterech — powiedział Golem wpatrzony w drogę zalaną deszczem. — Jeden wpadł w potrzask, drugiego niósł pan na plecach, trzeciego zabrałem samochodem, a z powodu czwartego niedawno rozpełtał pan skandaliczną bójkę w restauracji.

Wiktor milczał oszołomiony. Golem milczał również. Świetnie prowadził samochód, objeżdżając niezliczone wyboje na starym asfalcie.

— No, no, niech się pan tak nie męczy — powiedział wreszcie Golem. — żartowałem. On był jeden. Jego noga zagoiła się tej samej nocy.

— To także żart? — zapytał Wiktor. — Ha-ha-ha. Teraz rozumiem, dlaczego pańscy chorzy nigdy nie wracają do zdrowia.

— Moi chorzy — powiedział Golem — nigdy nie wracają do zdrowia z dwóch powodów. Po pierwsze ja, jak zresztą każdy przyzwoity lekarz, nie umiem leczyć chorób genetycznych. A po drugie, oni nie chcą wyzdrowieć.

— Zabawne — wymamrotał Wiktor. — Tyle już nasłuchałem się o tych pańskich mokrzakach, że teraz, jak Boga kocham, jestem w stanie uwierzyć we wszystko i w deszcz, i w koty, i w to, że zgruchotana kość może się zrosnąć w ciągu jednej nocy.

— W koty? — zapytał Golem.

— No tak — powiedział Wiktor. — Dlaczego w mieście nie ma kotów? Przez mokrzaki. A Teddy’ego niedługo zjedzą myszy... Mógłby pan zaproponować mokrzakom, żeby przy okazji wyprowadzili również i myszy z miasta.

— Jak szczurołap z Hamelin? — zapytał Golem.

— Tak — lekkomyślnie potwierdził Wiktor. — Właśnie. — Potem przypomniał sobie czym skończyła się historia ze szczurołapem z Hamelin. — Nie ma w tym nic śmiesznego — powiedział. — Byłem dzisiaj w gimnazjum. Widziałem dzieci i widziałem, jak się zachowywały, kiedy pojawił się jakiś tam mokrzak. Teraz wcale się nie zdziwię, jeśli pewnego pięknego dnia wyjdzie na miejski rynek mokrzak z akordeonem i wyprowadzi dzieci diabli wiedzą dokąd.

— Nie zdziwi się pan — powiedział Golem. — A co jeszcze pan robi?

— Nie wiem... może zabiorę mu akordeon.

— I sam pan zagra?

— Tak — westchnął Wiktor. — To prawda. Nie mam czym przyciągnąć tych dzieci, zrozumiałem to dzisiaj. Ciekawe, czym oni je przyciągają? Pan to przecież wie, Golem.

— Wiktor, niech pan przestanie brzdąkać — powiedział Golem.

— Jak pan sobie życzy — odparł Wiktor. — Bardzo starannie i mniej lub bardziej zręcznie uchyla się pan od odpowiedzi na moje pytania, świetnie to zauważyłem. To głupie. Dowiem się tak czy inaczej, a pan straci sposobność, aby nadać informacji wygodne dla pana zabarwienie emocjonalne.

— Tajemnica lekarska — oznajmił Golem. — A poza tym, ja nic nie wiem. Mogę się tylko domyślać.

Przyhamował. Przed nimi, za welonem deszczu, pojawiły się na drodze jakieś sylwetki. Trzy szare sylwetki i szary słup przydrożny z drogowskazami „Leprozorium — 6 km” i „Sanatorium Gorące Źródła — 2,5 km”. Sylwetki cofnęły się na pobocze — dorosły mężczyzna i dwoje dzieci.

— Niech się pan zatrzyma — powiedział Wiktor ochryplym nagle głosem.

— Co się stało? — Golem zahamował.

Wiktor nie odpowiedział. Patrzył na ludzi obok słupa, na rosnącego, czarnego mokrzaka w dresie przesiąkniętym wodą, na chłopca, który również był bez płaszcza i na dziewczynkę, bosą, w sukience oblepiającej ciało. Następnie gwałtownie otworzył drzwi i wyskoczył na szosę. Deszcz i wiatr uderzyły go po twarzy, aż się zachłysnął, ale nie zauważył tego. Czuł niepohamowaną wściekłość, kiedy ma się ochotę tłuc i łamać, ale jeszcze ma się świadomość własnego szaleństwa. Na sztywnych nogach podszedł do mokrzaka.

— Co tu się dzieje? — wycedził przez zęby. A potem do córki patrzącej na niego ze zdziwieniem. — Irma, natychmiast do samochodu! A potem znowu do mokrzaka. — Niech pana diabli wezmą, co pan wyprawia? — i znowu do Irmy. — Marsz do samochodu, do kogo mówię!

Irma nie ruszyła się z miejsca. Wszyscy troje stali nadal, oczy mokrzaka nad czarną opaską spokojnie mrugały. A potem Irma powiedziała z niepojętą intonacją: „To mój ojciec” i Wiktor nagle zrozumiał, rdzeniem pacierzowym zrozumiał, że tu nie można wrzeszczeć, wymachiwać pięściami, nie można grozić, chwytać za kołnierz, ciągnąć... i w ogóle nie można się wściekać. Powiedział bardzo spokojnie.

— Irma, idź do samochodu, jesteś cała mokra. Bol-Kunac, na twoim miejscu też bym wszedł do samochodu.

Był pewny, że Irma posłucha i rzeczywiście posłuchała. Ale niezupełnie tak, jakby sobie tego życzył. Nie, nie to żeby choćby spojrzeniem poprosiła mokrzaka o zgodę, ale zaistniał cień wrażenia, jakby jednak coś zaszło, jakaś wymiana poglądów, jakaś krótka narada, w wyniku której podjęto decyzję na jego korzyść. Irma zadarła nos i poszła w kierunku samochodu, a Bol-Kunac powiedział grzecznie:

— Jestem panu niezmiernie wdzięczny, panie Baniew, ale doprawdy będzie lepiej jeżeli zostanie.

— Jak chcesz — powiedział Wiktor. Bol-Kunac mało go wzruszał. Teraz trzeba jeszcze było powiedzieć coś temu mokrzakowi na pożegnanie. Wiktor z góry wiedział, że to będzie coś bardzo głupiego, ale nie było wyjścia — tek zwyczajnie odejść po prostu nie mógł. Ze względów czysto prestiżowych. I powiedział.

— Zaś pana, łaskawco — oświadczył wyniośle — nie zapraszam. Najwidoczniej czuje się pan tu jak ryba w wodzie.

Następnie odwrócił się i odrzuciwszy wyobrażoną rękawicę, odmaszerował. „Wypowiedziawszy te słowa” — myślał z obrzydzeniem — „hrabia oddalił się z

godnością...” Irma weszła z nogami na przednie siedzenie i wyżywała wodę z warkoczyków. Wiktor wcisnął się do tyłu, pochrzając ze wstydu, a kiedy Golem ruszył, powiedział:

— Wypowiedziawszy te słowa, hrabia oddalił się... Wsuń tutaj nogi, Irma, to ci je rozetrę.

— Po co? — z ciekawością zapytała Irma.

— Chcesz złapać zapalenie płuc? Daj tu nogi.

— Proszę bardzo — powiedziała Irma, zwinęła się na siedzeniu i przesunęła do tyłu jedną nogę.

Już z góry zadowolony z siebie, że oto nareszcie zrobi coś pożytecznego i właściwego, Wiktor ujął obiema rękami tę chudą dziewczynską nogę, moką i wzruszającą, już przymierzył się, żeby ją rozcierać — do czerwoności, do purpury surowymi, dobrymi, ojcowskimi dłońmi, tę brudną zlodowaciałą nogę, odwieczne źródło katarów, gryp, stanów zapalnych dróg oddechowych i obustronnych zapaleń płuc — kiedy stwierdził, że jego dłonie są chłodniejsze niż jej stopy. Siłą inercji wykonał jeszcze kilka ruchów masujących, a następnie ostrożnie tę stopę wypuścił. Przecież wiedziałem, pomyślał nagle, przecież wiedziałem o tym jeszcze wtedy, kiedy stałem przed nimi, wiedziałem, że tu się kryje jakiś podstęp, że dzieciom nic nie grozi, żadne katar i zapalenie, tylko nie chciałem w to uwierzyć, a chciałem ratować, wyrwać ze szponów, płonąć sprawiedliwym gniewem, spełniać obowiązek i znowu napuścili mnie na wodę, i znowu wyszedłem na idiotę, drugi raz tego samego dnia...

— Zabieraj swoją nogę — powiedział do Irmy.

Irma zabrała nogę i zapytała:

— A my dokąd jedziemy — do sanatorium?

— Tak — powiedział Wiktor i spojrzał na Golema: czy też, aby nie zauważył jego hańby? Ale Goleni z niewzruszonym spokojem patrzył na drogę, siedział spokojnie przy kierownicy, siwy, niechlujny, przygarbiony i wszystkowiedzący.

— A po co? — zapytała Irma.

— Przebierzesz się w suche ubranie i położysz do łóżka.

— Jeszcze czego! — powiedziała Irma. — Coś ty wymyślił?

— Dobra, dobra... — wymamrotał Wiktor. — Dam ci książki i będziesz sobie czytać.

Rzeczywiście, po jakiego diabła ja ją tam wiozę? — pomyślał Diana... No, to się jeszcze zobaczy. Żadnego picia i w ogóle nic z tych rzeczy, ale jak ja ją odwiozę z powrotem? E tam, wezmę jakikolwiek samochód i odwiozę... Dobrze byłoby coś sobie łyknąć.

— Golem... — zaczął, ale się opamiętał. Nie wypada, do diabła.

— Tak? — zapytał Golem nie odwracając się.

— Nie, nic — westchnął Wiktor, wpatrzony w szyjkę butelki sterczącej z kieszeni Golema.

— Irma — powiedział znużonym głosem. — Co robiliście na tych rozstajach?

— Myśleliśmy mgłę — odpowiedziała Irma.

— Co?

— Myśleliśmy mgłę — powtórzyła Irma.

— O mgłę — poprawił Wiktor — albo na temat mgły.

— A to po co — o mgłę? — zapytała Irma.

— Myśleć — to czasownik nieprzechodni — objaśnił Wiktor — a więc wymaga przyimka. Czy przerabialiście czasowniki przechodnie?

— Zależy, jak na to popatrzeć — powiedziała Irma. — Myśleć mgłę — to jedno, a myśleć o mgłę — to zupełnie coś innego... i nie wiadomo komu to potrzebne — myśleć o mgłę.

Wiktor wyjął papierosa i zapalił.

— Poczekaj — powiedział. — Myśleć mgłę — tak się nie mówi, to niegrammatycznie. Są takie czasowniki — nieprzechodnie, myśleć, biegać, chodzić... Zawsze wymagają przyimka. Chodzić po ulicy. Myśleć o... no o czymś tam...

— Myśleć głupstwa — powiedział Golem.

— No, to jest wyjątek — powiedział Wiktor nieco stropiony.

— Szybko chodzić — powiedział Golem.

— Szybko — to nie jest rzeczownik — zapalczywie powiedział Wiktor. — Niech pan nie mąci dziecku w głowie, Golem.

— Tato, czy możesz nie palić? — zainteresowała się Irma.

Zdaje się, że Golem wydał z siebie jakiś dźwięk, a być może to silnik kichnął wspinając się pod górę. Wiktor zgniół papierosa i rozdeptał go obcasem. Podjeżdżali do sanatorium, a z boku od stepu na spotkanie sunęła nieprzejrzysta biała ściana deszczu.

— No i masz mgłę — powiedział Wiktor. — Możesz ją myśleć. A także wachać, biegać i chodzić.

Irma chciała coś powiedzieć, ale wtrącił się Golem.

— Nawiasem mówiąc — powiedział — czasownik „myśleć” występuje jako przechodni także w zdaniach podrzędnie złożonych. Na przykład: myślę, że... i tak dalej.

— To zupełnie inna sprawa — nie zgodził się Wiktor. Obrzydło mu. Miał okropną ochotę wypić i zapalić. Zachłannie popatrzył na szyjkę butelki.

— Nie jest ci zimno, Irma? — zapytał z niejasną nadzieją.

— Nie. A tobie?

— Trochę mnie trzęsie — przyznał się Wiktor.

— Trzeba wypić dzinu — zauważył Golem.

— Tak, byłoby nieźle... A może pan ma?

— Mam — powiedział Golem. — Ale już prawie jesteśmy na miejscu.

Jeep wjechał w bramę i zaczęło się to, o czym Wiktor jakoś nie pomyślał. Pierwsze smugi mgły dopiero zaczęły przesączać się przez kratę ogrodzenia i widoczność była znakomita. Na drodze przed samochodem leżała postać w przemokniętej piżamie, leżała z taką miną jakby spoczywała tu już od wielu dni i nocy. Golem ostrożnie objechał ciało, minął gipsową wazę ozdobioną nieskomplikowanymi rysunkami i odpowiednimi napisami i przyłączył się do stada samochodów stłoczonych przed wejściem do prawego skrzydła. Irma otworzyła drzwi i natychmiast jakaś zapluta morda wychyliła się z okna najbliższego samochodu i wybeczała: „Dziecino, chcesz, to ci się oddam?” Wiktor wysiadł zamierając. Irma z ciekawością rozglądała się dokoła. Wiktor mocno ujął ją za rękę i poprowadził do wejścia. Na schodkach pod deszczem siedziały dwie dziwki w bieliźnie i ulicznymi głosami śpiewały o okrutnym aptekarzu, co to nie chce im sprzedać heroiny. Na widok Wiktora umilkły, ale kiedy przechodził obok, jedna z nich spróbowała złapać go za spodnie. Wiktor wepchnął Irmę do holu. Było tu ciemno, okna zasłonięte, śmierdziało dymem tytoniowym i jakimś kwaskiem, trzeszczał projektor i na białej ścianie podskakiwały pornograficzne obrazki. Wiktor zaciskając zęby deptał po cudzych nogach ciągnąc za sobą potykającą się Irmę, a za nimi biegły gniewne, niecenzuralne okrzyki. Pokonali wreszcie hol i Wiktor, przeskakując po trzy stopnie, pobiegł po udywanionych schodach. Irma milczała.

Na podeście czekał już na niego z otwartymi objęciami Roscheper Nant. Wiktor bał się na nią spojrzeć.

— Wiktor! — zachrypiał. — Przyjacielu.

W tym momencie zauważył Irmę i wpadł w entuzjazm.

— Wiktor i ty też! Na małeletnie małolatki!

Wiktor przymknął oczy, mocno nadepnął mu na nogę i pchnął w pierś — Roscheper upadł na plecy przewracając kosz na śmiecie.

Zlany potem Wiktor pomaszzerował korytarzem. Irma bezszelestnymi susami sadziła obok. Pchnął drzwi Diany — były zamknięte, klucza nie było. Załomotał wściekle, i Diana natychmiast się odezwała:

— Wynoś się do wszystkich diabłów! — wrzasnęła z furją. — Śmierzący impotent! Gówniarz, łajdak zaszany!

— Diana — zaryczał Wiktor. — Otwieraj!

Diana zamilkła i drzwi się otwały. Stała na progu z importowanym parasolem w pogotowiu. Wiktor odsunął ją, wepchnął Irmę do pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi.

— A, to ty — powiedziała Diana. — A ja myślałam, że znowu Roscheper. — Czuć było od niej alkohol. — Boże — powiedziała. — Kogoś ty przyprowadził?

— To jest moja córka — z trudem powiedział Wiktor. — Irma. Irmo, to jest Diana.

Patrzył Dianie w oczy z rozpaczą i nadzieją. Bogu dzięki zdaje się, że nie była pijana. Albo z miejsca wytrzeźwiała.

— Ty chyba oszalałeś — powiedziała cicho.

— Irma przemokła — wydusił z Siebie. — Przebierz ją w suche rzeczy, połóż do łóżka i w ogóle...

— Nie położę się — oznajmiła Irma.

— Irma — powiedział Wiktor. — Bądź łaskawa słuchać, inaczej zaraz kogoś spiorę...

— Niektórych z tu obecnych rzeczywiście należałoby sprać — powiedziała Diana pozbawionym nadziei głosem.

— Diana — powiedział Wiktor. — Proszę cię.

— Dobra — powiedziała Diana. — Idź do siebie. Damy sobie radę.

Wiktor wyszedł z ogromną ulgą. Poszedł prosto do swojego pokoju, ale i tam nie znalazł spokoju. Na początek musiał wyrzucić na korytarz absolutnie nieznaną parę, która się tam zagnieżdżyła oraz uświnioną bieliznę pościelową. Potem zamknął drzwi, zwałił się na goły materac, zapalił wilgotnego papierosa i zaczął się zastanawiać co też właściwie narozrabia).

ROZDZIAŁ 5

FELIKS SOROKIN I HODOWLA BYDŁA

Spałem fatalnie, dusiły mnie lepkie koszmary, że czytam jakiś japoński tekst, wszystkie słowa są mi znane, ale w żaden sposób nie chcą się ułożyć w coś sensownego, męczę się okropnie, ponieważ za wszelką cenę muszę udowodnić, że nie zapomniałem swojej specjalności, chwilami na wpół obudzony uświadamiałem sobie z ulgą, że to tylko sen, próbowałem rozszyfrować ten tekst w tej półjawie i ponownie zapadałem w smutek i rozpacz bezsilności...

Kiedy już obudziłem się ostatecznie, nie odczułem żadnej ulgi. Leżałem w ciemnym pokoju i patrzyłem w sufit z kwadratową plamą światła reflektora, oświetlającego płatny parking pod domem, słuchałem hałasu porannych samochodów na szosie i smętnie myślałem o tym, że takie oto długotrwałe koszmary zaczęły się zupełnie niedawno, najwyżej dwa albo trzy lata temu, bo przed tym śniły mi się raczej baby. Widocznie czaiła się już na mnie prawdziwa starość, nie powtarzające się od czasu do czasu napady apatii, tylko nowy trwały stan, z którego nie ma już powrotu.

Ćmiło coś w prawym kolanie, ścisnęło w dołku, gniotło pod lewym obojczykiem, wszystko mnie bolało i dlatego jeszcze bardziej mi siebie żal. W czasie takich właśnie napadów przedrannego upadku sił, które zdarzały mi się teraz coraz częściej i częściej, nieuchronnie zaczynałem myśleć o kompletnym braku perspektyw: nic już mnie nie czekało, w ciągu wszystkich lat, które mi jeszcze pozostały nie przewidywałem nic takiego, w imię czego warto było przemóc się i wstać, wlec się do toalety, walczyć z zepsutym rezerwuarem, następnie włączyć pod prysznic nie mając nawet cienia nadziei na uzyskanie choćby odrobiny dawnej rzeźkości, następnie zabierać się do robienia śniadania... Mało tego, że z odrazą myślałem o jedzeniu — kiedyś po jedzeniu czekał mnie papieros, o którym zaczynałem myśleć natychmiast po przetarciu oczu, a teraz już nawet tego musiałem się wyrzec...

Niczego już nie mam. No dobrze, napiszę ten scenariusz, no, zostanie zatwierdzony i pojawi się w moim życiu młody energiczny i rzecz jasna głupi reżyser i będzie z szacunkiem, a zarazem arogancko pouczać mnie, że kino operuje własnymi środkami wyrazu, że film operuje obrazem a nie słowem, i niezawodnie zacznie się popisywać aforyzmami własnej roboty w rodzaju: „Ani jednego kadru na ojczystej ziemi”, „może udawać światopogląd”... Co mnie obchodzi on i problemy jego kariery, kiedy z góry wiadomo, że film gówniany i że w czasie kolaudacji będę rozpaczliwie walczyć z pragnieniem, żeby wstać i zażądać zdjęcia mojego nazwiska z czołówki...

Głupi jestem, że się tym zajmuję, od dawna wiem, że zajmować się tym nie powinienem, ale widocznie, że tak jak od zarania handlowałem psim ścierwem, tak już nigdy nie będę robić nic innego, choćbym napisał jeszcze nawet sto „Współczesnych bajek”, ponieważ skąd mogę wiedzieć — być może także Niebieska Teczka, ukryta moja дума, moja niepojęta nadzieja — to także nie baranina tylko takie samo pieskie ścierwo, tyle że od innego raka...

No dobrze, nawet założmy, że to baranina, świeżutka, pierwszej klasy. No i co z tego? Nigdy za mojego życia to nie zostanie opublikowane, dlatego że nie widzę na horyzoncie żadnego wydawcy, którego można byłoby przekonać, że moje wizje przedstawiają jakąś wartość, chociażby jeszcze dla dziesięciu ludzi na całym świecie, poza mną. A po mojej zaś śmierci...

Tak, po śmierci autora często u nas publikuje się jego dość dziwne utwory, jakby śmierć pozbawiała je niejasnych dwuznaczności, zbyt licznych aluzji i perfidnych podtekstów. Jakby niekontrolowane skojarzenia umierały razem z autorem. Być może, być może. Ale co to mnie obchodzi. Już od dawna nie jestem płomiennym młodzieńcem, już dawno minęły czasy, kiedy

zamierzałem każdym swoim nowym utworem uszczęśliwić, lub też w ostateczności oświecić ludzkość. Już bardzo dawno temu przestałem rozumieć, po co piszę książki. Wystarcza mi sława ta, którą mam, jakkolwiek wątpliwa, to jest moja sława. Zarabiać pieniądze jest łatwiej chałturami niż uczciwą pisarską pracą. A jeśli chodzi o tak zwaną radość tworzenia to nie znałem jej ani razu w moim życiu. Cóż więc pozostaje? Czytelnik? Ale przecież nic o nim nie wiem. To po prostu bardzo wielu nieznanym i zupełnie obcych mi ludzi. Dlaczego powinienem się troszczyć o to, co o mnie sądzą nie znani mi i obcy ludzie? Przecież świetnie wiem — gdybym nagle teraz znikł, żaden z nich by tego nawet nie zauważył. Więcej gdyby mnie w ogóle nie było, albo gdybym na zawsze został tłumaczem przy sztabie również nic, ale to dosłownie nic nie zmieniłoby się w ich życiu, ani na gorsze, ani na lepsze.

Co tam zresztą Sorokin Ef? Mamy właśnie ranek. Kto w tej chwili w dziesięciomilionowej Moskwie wspomniał Tołstoja Eł? Może poza uczniami, którzy nie przeczytali lektury „Wojna i pokój”. Władca umysłów. Rządca dusz. Zwierciadło rosyjskiej rewolucji. Być może właśnie dlatego uciekł wtedy z Jasnej Polany, że pod koniec życia, przyszła mu do głowy taka prosta i taka mordercza myśl.

Ale przecież on był wierzący, pomyślałem nagle. Było mu łatwiej, nieporównywalnie łatwiej. My przecież wiemy bezspornie, że nie ma niczego PRZED i niczego PO. Ogarnął mnie mój powszedni smutek. Między dwojakim NIEBYTEM przeskakuje słabiotka iskierka, ot i całe nasze istnienie. I nie będzie dla nas nagrody, ani kary w NIEBYCIE, który nas oczekuje, i nie ma żadnej nadziei, że ta iskierka kiedyś tam i gdzieś tam przeskoczy ponownie. Z rozpaczy wymyślamy jakiś sens dla tej iskierki, przekonujemy się wzajemnie, że iskierka jedna różni się od drugiej, że jedne istotnie gasną bez śladu, inne zaś rozpalają się w gigantyczne płomienie idei i czynów, te pierwsze oczywiście zasługują tylko na pogardliwą litość, zaś te drugie stanowią przykład do gorliwego naśladowania, jeśli pragniesz, aby życie twoje miało sens.

A tak wielka jest i potężna euforia młodości, że ta prosta przynęta działa bezbłędnie na każdego młodego człowieka, jeśli w ogóle zastanawia się nad takimi rzeczami, i dopiero, kiedy ma się już za sobą jakiś szczyt i nie można się już zatrzymać zbiegając ze zbocza, człowiek zaczyna rozumieć, że to wszystko — to zaledwie słowa, bezsensowne słowa wsparcia i pocieszenia, którymi pociesza się sąsiadów, co to utracili grunt pod nogami. W rzeczywistości czy zbudowałeś państwo, czy domek letniskowy z kradzionych materiałów, nie ma to nic wspólnego ze sprawą, ponieważ jest tylko niebyt PRZED i niebyt PO, a życie twoje ma sens tylko do chwili, w której uświadomiłeś sobie to do końca...

Skłonność do tego rodzaju ponurych rozważań zauważyłem u siebie stosunkowo niedawno. I jest ona moim zdaniem zwiastunem jeśli już nie całkowitej demencji starczej, to w każdym razie starczej impotencji. W szerokim sensie tego słowa rozumie się. Początkowo takie napady nawet mnie przerażały — spieszenie uciekałem się do wypróbowanego środka skutecznego na wszelkie kłopoty duchowe i fizyczne, to znaczy wypijałem szklankę alkoholu i już po kilku minutach znajomy wizerunek iskry rozpalającej płomień — niechby nawet niewielki o lokalnym znaczeniu ponownie przybierał formę niepodważalnego społecznego postulatu. Później, kiedy takie zanurzenia w otchłań wszechświatowego smutku stały się chlebem powszednim, przestałem się bać i postąpiłem słusznie, ponieważ otchłań smutku była przydatna wyłącznie dla abstrakcyjnego świata ogólnoludzkich działań, a tymczasem każde życie konkretne wcale nie składa się z działań, do których można zastosować pojęcie sensu, a ze smutków i radości, wielkich i małych, doraźnych i dalekosiężnych i czysto osobistych i powiązanych ze społecznymi kataklizmami. I niezależnie od tego jak wiele nieszczęść spadłoby na człowieka jednocześnie, zawsze zostanie mu w zapasie jakaś odrobina dla ogrzania duszy.

Zostają mu wnuki, bliźniaki, umorusani rozbójnicy Piętka i Saszka, nieporównywalne z niczym radosne rozczulenie, kiedy im sprawia przyjemność. Zostaje mu córka. Pechowa

Kalia, wobec której stale czujesz się winny, właściwie nie wiadomo za co — zapewne dlatego, że jest twoja, krew z krwi, odziedziczyła twój charakter i los. I wódeczka pod solone rydze w klubie... Rozumiem, że to banalne wódeczka, ale przecież wszystkie radości są banalne! A nieodpowiedzialne, na wpół pijane trzaskanie dziobem w klubie, to co, nie jest banalne? A entuzjazm, bez żadnej przyczyny, kiedy człowiek wyjdzie latem w samych slipach rankiem na balkon — niebo jest błękitne, jezdnia jeszcze pusta, różowieją mury domu naprzeciwko, a już długie niebieskawe cienie ciągną się poprzez pustkowie i wróble ćwierkają w gęstych, zielonych zaroślach na pustkowie? To także banał, ale jakoś nigdy się nie nudzi...

Zdarzają się oczywiście i tacy, dla których wszystkie radości i smutki zawierają się właśnie w działaniu. Nic im do szczęścia nie trzeba, chcą tylko wynaleźć proch, albo na przykład zdobyć góry Wałdaju, czy też dokonać innego krwawego dzieła. No i bardzo dobrze. A my jesteśmy ludzie skromni. Nam i poranne wróble wystarczą. I jeszcze jedno — żebym tylko nie zapomniał kupić dziś dla bliźniaków choćby pudełka czekoladek. Albo jakieś zabawki...

Kiedy poczułem, że wypłynąłem już na powierzchnię, nie wstając wykonałem kilka ćwiczeń gimnastycznych (właściwie pro forma), stękając wstałem z łóżka i poszukałem stopami rannych pantofli. Oczekiwały mnie zajęcia następujące — zaścielenie łóżka, otwarcie na oścież drzwi balkonowych i zmobilizowanie się do zrobienia porannej toalety. Jednakże porządek ten został zakłócony już na samym początku. Zaledwie zdążyłem przerzucić poduszkę na fotel, kiedy zadzwieczał telefon. Spojrzałem na zegarek, żeby wiedzieć kto dzwoni. Była siódma trzydzieści cztery, co znaczyło, że telefonuje Lonia Szibzd.

— Cześć — powiedział niskim konspiracyjnym — spiskowym głosem.

— Co słychać?

— Ohajo — odpowiedziałem. — Bocubocu-sa. Arigato.

— A w jakimś ludzkim języku nie potrafisz mówić? — zapytał.

— Potrafię — oznajmiłem. — Every things is okay.

— Trzeba było tak mówić od razu — milczał przez chwilę. — No, a czym się to wszystko wczoraj skończyło?

— O co ci chodzi? — zapytałem i natychmiast stałem się czujny, ponieważ ni z tego, ni z owego przypomniałem sobie wczorajszego faceta w kraciastym płaszczu.

— No, o te twoje sprawy... Gdzieś ty tam wczoraj pojechał?

Wreszcie do mnie dotarło, że Lonia pyta mnie tylko o wizytę na Bannej.

— M-mać... — powiedziałem. — Znowu gdzieś zgubiłem teczkę z papierami!

Zacząłem przypominać sobie gorączkowo, gdzie mogłem zostawić teczkę z nieśmiertelną sztuką o Koriaginach, a Lonia wciąż coś mamrotał. Opowiadał, że podobno jeśli któryś z pisarzy żenił się więcej niż trzy razy, zostanie wykreślony z kolejki na mieszkanie w nowym domu dla pisarzy, może liczyć tylko na lokal z odzysku. Lonia Szibzd był tym zainteresowany, ponieważ miał już czwartą żonę.

— Zapomniałem ją w restauracji! — powiedziałem z ulgą.

— Kogo? — zapytał z ochotą przerywając monolog.

— Teczkę!

— Jaką?

— Papierową z tasiemkami.

— A co w środku? — domagał się odpowiedzi Lonia.

— Słuchaj — powiedziałem. — Może byś się odczepił, co? Dopiero co obudziłem się, nawet pościeli nie zdążyłem schować...

— Ja też... No więc, jak byłeś wczoraj na Bannej?

— Nie byłem na Bannej! Nie byłem!

— Wobec tego gdzie byłeś?

Strach było nawet pomyśleć, że mógłbym opowiedzieć Loni o moich wczorajszych przygodach. I nie tylko dlatego, że nagle popatrzyły na mnie z wczorajszego dnia oczy —

dubeltówki Iwana Dawidowicza i doleciało ostrzegawczo — jadowite syczenie Kostii Kudinowa, poety; i nie dlatego nawet, że czułem w tym wszystkim jakieś paskudztwo obrzydliwe. Prościej, znacznie prościej! Przecież Szibzd — to człowiek, którego nie interesuje CO. Zawsze go interesuje DLACZEGO. Bebechy ze mnie wyciągnie, żądając wyjaśnień, a kiedy wyciągnie wepchnie z powrotem jak popadło, częstując mnie swoimi potwornymi wersjami i każda z nich jakby specjalnie będzie wyjaśniać jeden fakt i zaprzeczać wszystkim innym faktom...

— Lonia — powiedziałem kategorycznie. — Przepraszam, ale ktoś dzwoni do drzwi. Wezwałem na dzisiaj hydraulika.

I nie słuchając protestów odłożyłem słuchawkę.

Właściwie to ja bardzo lubię Lonie Barinowa. Powiem więcej szanuję go. I przezwisko nadałem mu nie za czym jest naprawdę tylko za powierzchowność. Jest mały, czarniawy i wiecznie czymś przerażony. Píše z ogromnym trudem, dosłownie po kilka słów dziennie, ponieważ nieustannie wątpi w siebie i absolutnie szczerze wierzy w obłąkaną teorię teoretyków z podręczników literatury, według której istnieje jakoby to jedno, jedyne słowo precyzyjniej niż wszystkie inne wyrażające upragniony sens i rzecz cała polega tylko na tym, żeby się postarać, wyteńczyć, zebrać w sobie i nie lenić, tylko to jedno jedyne słowo odnaleźć i w taki właśnie sposób stworzysz wreszcie dzieło wiekopomne.

I nie da się zaprzeczyć — wycucie literackie ma wspaniałe, wychwytuje błyskawicznie słabości każdego tekstu, ma rzadką umiejętność analizy literackiej, równego mu krytyka wśród naszych profesjonalistów po prostu nie spotkałem. I oto jego talenty w sposób fatalny i zagadkowy obracają się w niezdolność do syntezy, dlatego że wielkość pisarza moim przynajmniej zdaniem nie na tym polega, żeby umieć znaleźć to jedno, jedyne, właściwe słowo, tylko na tym, żeby odrzucić wszystko co nieodpowiednie. I nieszczęsny Lonia siedzi i dzień po dniu w męce, do kompletnego skołowacenia waży na swojej wewnętrznej wadze, jak lepiej powiedzieć „musnęła jego rękę”, czy „dotknęła jego ręki”... I zrozpaczony dzwoni o radę do Wali, a okrutny Wala Demczenko nie tracąc ani sekundy odpowiada mu wspaniałym tekstem Awerczenki: „Złapała mu za rękę i niejednokrotnie zapytała, gdzie podziałeś pieniądze...” Wtedy zrozpaczony Lonia dzwoni do mnie, a ja także potrafię być nieprzyjemny, więc nie pozostaje mu nic innego jak złamanym głosem wyrzucać mi chamstwo... Ale jest, jest między nami pewne pokrewieństwo! Jestem pewien, że gdybym przeczytał mu coś ze swojej Niebieskiej Teczki, zrozumiałby mnie tak, jak może nikt inny na świecie, tylko że przeczytać mu cokolwiek z Niebieskiej Teczki nie wolno mi w żadnym wypadku. Plotkarz, gaduła nic się w nim nie trzyma, jak w dziurawym garnku. To przecież jego ulubione zajęcie — zbieranie plotek, a potem rozprowadzanie wszystkiego komu popadnie i gdzie popadnie i do tego oczywiście z własnym komentarzem... Przy jego niezwykłej pamięci i mrocznej wyobraźni. Nie, aż strach pomyśleć, że miałbym mu czytać coś z Niebieskiej Teczki.

Ale on czytał mi kawałki swojej noweli, nad którą pracuje już drugi rok — o biegaczu na krótkie dystanse, genialnym sportowcu i nieszczęśliwym człowieku. Ten jego bohater bije wszystkie rekordy na dystansach do kilometra, wszyscy się nim zachwycają, wszyscy mu zazdroszczą, ale nikt nie wie, dlaczego bije te rekordy. A sprawa polega na tym, że na tartanowej bieżni natychmiast ogarnia go ślepe, pierwotne przerażenie prześladowanego zwierzęcia. Za każdym razem biegnie do mety zapominając, że jest istotą rozumną, że jest człowiekiem, ma jeden tylko cel — za wszelką cenę chce ocalić życie, oderwać się, uciec przed ścigającą go sforą dzikich bestii, które chcą go dopędzić, powalić na ziemię i pożreć żywcem. Zdobywa nagrody, zyskuje światową sławę, honory, wszystko za swoje patologiczne atawistyczne tchórzostwo, a jest uczciwym przyzwoitym człowiekiem, i kocha go świetna dziewczyna...

Lubię takie przewrotne fabuły. Redaktorom nie podobają się, a mnie podobają. To przynajmniej nie burzliwy romans między żonatym dyrektorem zjednoczenia i zamężną technolog na tle kipiącej surówki i nie wykonanego planu odlewów.

Rozmyślając o literaturze, o fabułach i o Szibdzie Barinowie usiadłem do śniadania. Właśnie wymyślony przeze mnie jadowity przykład burzliwego romansu opanował nagle moją wyobraźnię. Mijają dziesięciolecia, zapisywane są tysiące tysięcy kartek papieru, ale nic poza najzwyczajszą chałturą, albo w najlepszym wypadku wzruszającej nieudolności tego rodzaju literatura nie przynosi.

A co najbardziej zdumiewające, tego rodzaju fabuły naprawdę istnieją! Naprawdę płynie surówka, plany są nie wykonywane i na tle tego wszystkiego i nawet w związku z tym wszystkim dyrektor zjednoczenia rzeczywiście spotyka się z zamężną technolog i zaczyna się między nimi konflikt, który przeradza się w burzliwy romans, powstaje okropna sytuacja, dojrzejają i pękają koszarne moralno-organizacyjne wrzody, do partyjnej komisji kontroli włącznie...

Wszystko to rzeczywiście zdarza się w życiu, i nawet dosyć często się zdarza i wszystko to z pewnością jest godne opisanie, w każdym razie niemniej niż burzliwy romans szlachcica-nieroba z prowincjonalną panią zakończony pojedynkiem. Tylko że nic z tego nie wynika.

I zawsze tak było i nawiasem mówiąc, dotyczy to nie tylko kolegów radzieckich pisarzy. Na przykład Hemingway wyśmiał nieszczęsnego grafomana, który pisze powieść o strajku w fabryce włókienniczej i stara się połączyć problemy działalności związkowej z namiętym pożądaniami młodej Żydówki agitatorce... Zamężna technolog, Żydówka agitator... Język ludzki protestuje przeciwko takim połączeniom, kiedy mowa jest o stosunkach między mężczyzną a kobietą „Młoda przechodzień biega tu co dzień...”

Na przykład w moich „Towarzyszach oficerach” miłość przebiega na tle pracy polityczno-wychowawczej w środowisku oficerów N-skiego pułku transporterów opancerzonych. I to właśnie jest okropne. Dlatego nie mam odwagi czytać własnej książki. Tu potrzebny jest jakiś specjalny czytelnik do czytania takich książek! I my mamy takiego czytelnika. Czy to my sporządziliśmy go przy pomocy naszych utworów, czy to sam taki wyrósł — w każdym razie na ladach księgarń towar nie zalega.

Piłem kefir stojąc przy oknie. Świtało, był mróz. Drzewa i krzaki — wszystko w bieli. Gasły światła w domu naprzeciwko, nieodśnieżonymi ulicami wśród zasp na przystanek autobusowy biegły czarne małe ludziki. Pędziły samochody, niektóre już bez świateł.

Dlatego, że w naszych czasach nie ma już miłości, pomyślałem nagle. Są romanse, a miłości nie ma. Nie ma czasu na miłość, nie ma kiedy się kochać — autobusy są przepełnione, w sklepach kolejki, żłobki na drugim końcu miasta, trzeba być bardzo młodym i beztróskim, żeby okazać się zdolnym do miłości. A kochają się teraz tylko niemłode pary, którym udało się przeżyć razem ćwierć wieku, nie utonąć w kwestii mieszkaniowej, nie zamienić w zwierzęta pod naciskiem miliardów codziennych niewygód, zgodnie podzielić między sobą władzę i obowiązki. Tak na przykład jak Wala Demczenko ze swoją Sonią. Ale takiej miłości nie zwykło się u nas opiewać. I dzięki Bogu. W ogóle niczego nie należy opiewać. Niech opiewa sobie Kostia Kudinow. Albo Ojło nasze Związkowe...

— Może jednak pora skończyć z filozofowaniem i zabrać się do roboty — powiedziałem na głos.

I zabrałem się do zmywania naczyń. Nie znoszę, jeśli w zlewie stoi chociaż jeden brudny talerz. Żeby można było normalnie pracować, zlewozmywak musi być koniecznie czysty i pusty. Szczególnie, jeśli mówimy o pracy nad scenariuszem albo o pisaniu artykułu. Lubię pisać scenariusze. Ze wszystkich gatunków literackiej pańszczyzny najwięcej serca mam do przekładów i scenariuszy. Być może dlatego, że w obu przypadkach nie muszę brać na siebie całej odpowiedzialności.

Jednak przyjemnie jest wiedzieć, że odpowiedzialność za przyszły film ponosi w ostatecznym rachunku reżyser z zasady nieomal człowiek młody, energiczny, który do perfekcji opanował wiedzę, że film operuje swoim własnym językiem, i że w filmie najważniejsze nie są słowa, które wymyślam ja, tylko obrazy, które wymyśla on reżyser. A jeśli coś wyjdzie niezupełnie tak jak trzeba — machnie ręką i powie beztrzesko: „A tam, ujdzie za światopogląd!”. A jeśli chodzi o jego drugi aforyzm — „Ani jednego kadru na ziemi ojczystej” — to niech spróbuje nakręcić ujęcie zmasowanego ataku czołgów gdzieś na Polach Elizejskich! I koniec końców zrobi całkiem dobry film. Nie będzie to ani Eisenstein ani Tarkowski, rzecz jasna, ale ludzie pewnie zechcą go obejrzeć, zresztą sam go chętnie zobaczę, ponieważ naprawdę jestem ciekaw, jak tam wyjdzie mój atak czołgów. (Jestem prostym człowiekiem, lubię żeby w kinie — ale tylko w kinie — było kilku sturmbanhführerów SS, żeby ostrzał prowadzono ze wszystkich rodzajów broni palnej, żeby pokazano naprawdę dobrą bitwę pancerną. Gust filmowy mam skrajnie prymitywny, który Wala Demczenko nazywa infantylnym militaryzmem).

Siadłem do maszyny i pisałem, prawie bez przerwy ponad dwie godziny, aż rozległ się dzwonek telefonu. Już od dawna słońce świeciło w okna, było mi gorąco, praca szła dobrze, więc do słuchawki nie odezwałem się tylko zaryczałem. Jednakże po drugiej stronie okazał się Fiodor nasz Micheicz i ja japonista, który święcie trzyma się zasad Konfucjusza, natychmiast zmieniłem ton na znacznie niższy.

Dzięki Bogu, tematem rozmowy na szczęście nie była Banna. Micheicz zainteresował się czy wiem coś o konflikcie między Olegiem Oreszynem a Siemionem Kolesniczenko. Minęło dobre kilka sekund zanim się przestawiłem i powiedziałem następnie, że owszem wiem o tym konflikcie, była jakaś afera na komisji kwalifikacyjnej w zeszłym miesiącu. Wtedy Micheicz zawiadomił mnie, że Oreszyn złożył na Kolesnikowa skargę do sekretariatu, i że on Micheicz chciałby znać mój, Sorokina, pogląd na temat tego konfliktu.

— Ten Oreszyn jest kretyńcem i pieniactwem — palnąłem bez zastanowienia, po raz już nie wiem który, zapomniawszy o swojej niezłomnej decyzji, aby nigdy się nie wtrącać, nie mieszać i nie występować w obronie. Micheicz pouczył mnie surowo, że to nie jest odpowiedź, że nie oczekuje ode mnie wymyślań, natomiast oczekuje ode mnie obiektywnej opinii w konkretnej sprawie.

No, jaki tam obiektywny sąd mógłbym mieć w tej sprawie? Na ostatnim posiedzeniu komisji kwalifikacyjnej ten Oleg Oreszyn wymuskany, gładki, mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna w świetnie skrojonym garniturze, połyskując spinkami mankietów, grubym pierścieniem i złotym zębem nagle kategorycznie zażądał udzielenia mu głosu i ogłosił skargę na prozaika Siemiona Kolesniczenko, który popełnił paskudny plagiat. Kogo splagiatował? Jego właśnie, Olega Oreszyna, poetę-baśniopisarza, członka komisji kwalifikacyjnej, laureata nagrody specjalnej periodyku „Obrabiarka”. Otóż on, Oleg Oreszyn dwa lata temu opublikował we wspomnianym periodyku baśń satyryczną „Kłopoty niedźwiedzia”. Jakież więc było jego, Olega Oreszyna zdumienie, kiedy dosłownie w ostatnich dniach w grudniowym numerze miesięcznika „Sowietische Heimlad” przeczytał nowelę „Pociąg nadziei”, w której została dokładnie skopiowana cała sytuacja oraz bohaterowie jego, Olega Oreszyna baśni „Kłopoty niedźwiedzia”! Kompletnie wstrząśnięty samodzielnie przeprowadził dochodzenie i ustalił, że wspomniany Kolesniczenko dokonał plagiatu, napisał nowelę, a następnie podsunął ją redakcji miesięcznika pod pozorem, że jest to przekład z hebrajskiego. Siemion Kolesniczenko okłamał przy tym redakcję mówiąc, że przekładu noweli postępowego izraelskiego pisarza takiego to, a takiego dokonał jakoby jego przykutych do łóżka przyjacieli i tak dalej i tak dalej. On, Oleg Oreszyn żąda, aby jego koledzy z komisji kwalifikacyjnej pomogli mu i tak dalej.

Najfantastyczniejsze w tej obłąkanej historii było to, że co najmniej jedna trzecia komisji kwalifikacyjnej gorąco wzięła sobie do serca skargę O. Oreszyna, opowiedziała się po jego

stronie i niezwłocznie zaczęła proponować kary, jedną straszliwszą od drugiej. W końcu jednak zwyciężyły siły zdrowego rozsądku. Nasz przewodniczący, który zorientował się błyskawicznie, że to on, a nie kto inny będzie musiał zająć się całą aferą osobiście bardzo surowo oznajmił, że świetnie rozumie oburzenie towarzysza Oreszyna, ale cała sprawa leży poza kompetencjami komisji kwalifikacyjnej, a zajmować się sprawami postronnymi komisja w żadnym wypadku nie może.

I ja kompletnie bez sensu, pomyślałem wtedy, że na tym problem się skończy. Ale najwidoczniej głupota ludzka jest jednak bezgraniczna. Sprawa się wcale nie skończyła. Zresztą Micheicz miał rację — zarówno wymysły, jak i bezpłodne sentencje na temat granic głupoty tu nie wystarcza. Zebrałem się w sobie i starannie wyważając słowa wypowiedziałem się w tym sensie, że argumenty Olega Oreszyna mnie nie przekonują. Przerobienie baśni na nowelę, nawet jeśli to miało miejsce, znajduje się, moim zdaniem poza granicami pojęcia „plagiat”. Z drugiej zaś strony, dla mnie, doświadczonego tłumacza byłaby bardzo interesująca następująca informacja — jakim mianowicie sposobem udało się Kolesniczenko przedstawić własny utwór jako tłumaczenie. Według mnie jest to po prostu niemożliwe.

To była wypowiedź godna prawdziwego mężczyzny. Micheicz wysłuchał mnie nie przerywając, podziękował i odwiesił słuchawkę. O Bannej nie padło ani jedno słowo.

Wylażłem zza biurka, otworzyłem drzwi balkonu i stałem tak przez chwilę w promieniach słońca. Czułem się pusty, zmęczony i zadowolony. Tak czy inaczej dzisiejsza lekcja była odrobiona nawet z pewną nadrobką. Teraz już można z czystym sumieniem schować scenariusz do szuflady biurka, zamknąć futerał maszyny i zejść po gazety. Co też uczyniłem.

Oprócz gazet przyszły do mnie dwa listy. Jeden oficjalny z klubu, zaproszenie na koncert nieznanego mi pieśniarza, pomyślałem, że zaproszenie najlepiej będzie oddać Katii — może ją to zainteresuje.

Druga koperta była zrobiona sposobem chałupniczym z grubego pakowego papieru, zaklejona skoczem, pod adresem dopisano „do rąk własnych” napisane czarnym tuszem, za to nie było adresu nadawcy.

Nie znoszę listów bez zwrotnego adresu. Takie listy przychodzą niezbyt często, ale zawsze zawierają jakieś paskudztwo, albo przykrość, albo są źródłem dodatkowych kłopotów i nieprzyjemności. Z niechęcią sięgnąłem do biurka po nożyczki, ale w tym momencie znowu zadzwonił telefon.

Tym razem dzwoniła Zinaida Filipowna. Pokornie przypomniła mi, że kolejne posiedzenie komisji kwalifikacyjnej odbędzie się już za dziesięć dni, a ja do tej pory nie wzięłem od niej książek kandydatów.

Zapytałem czy dużo się ich zebrało. Okazało się, że dwóch prozaików, dramaturgów, również dwóch, trzech krytyków i publicystów, jeden poeta małych form, w sumie osiem sztuk. Zapytałem, co to takiego — poeta małych form. Zinaida Filipowna odpowiedziała, że tego nikt dokładnie nie wie, ale właśnie w związku z tym poetą spodziewany jest skandal. Obiecałem przyjść na dniach.

Znowu skandal. Oto o czym warto by napisać, pomyślałem. Typowe posiedzenie komisji kwalifikacyjnej. Najpierw, żeby mieć to z głowy, omawia się jakiegoś nieszczęśnika z sekcji literatury popularnonaukowej. Referujący wygłasza mowę pełną świętego oburzenia przeciwko kandydatowi, przy czym nieustannie myli batysferę ze stratosferą, batyskaf z piroskafem. Komisja słucha w przerażonym milczeniu, niektórzy ukradkiem żegnają się znakiem krzyża, słysząc „Apage, apage”. Lejtmotyw referenta „Gdzie tu literatura?” Następny referent jest zwięzły i uczciwy — ani jednej książki pretendenta nie zdołał do końca przeczytać, nie zrozumiał ani słowa, infuzorie-leprozorie, ma doktorat, no po jakiego grzyba potrzebne mu członkostwo Związku? Głos zabiera przewodniczący — Kosmos, wiek RNF (chodzi mu o RNT) nie wolno zapominać, że autorytet naszego związku... literatura piękna...

Anton Czechow... Lew Tołstoj... Aleksander Sergejewicz... Kibel Kiblowicz... Pierwszy pretendent jednogłośnie przepada w tajnym głosowaniu, przy jednym jedynym głosie „za”.

Następny pretendent — lekarz, chirurg, jelito grube, ale zakochany w naszej wsi. Referent o zaspanych oczach hałaśliwie zachwyca się tą miłością i opowiada własnymi słowami dwie rewelacyjne fabuły z pretendenta. Jedzie chłop podwodą po lesie, a tu nagle — tygrys. (Wieś Młasnoje, niedaleko Riazania). Chłop w nogi. Tygrys za nim. Chłop schował się w przeręblu, tylko głowa wystaje, a tygrys siedzi przy nim i parska. Potem okazało się, że tygrys uciekł z ogrodu zoologicznego, a że już nie potrafi żyć bez ludzi, przywiązał się do chłopca... Powszechny zachwyt, dobroduszny śmiech, przyjazne okrzyki lejbgwardzistów. Następuje kolejna fabuła — chłop przyszedł do lekarza, skarżąc się na wewnętrzną chorobę, więc lekarz poprosił o przyniesienie analiz. Chłop coś zrozumiał, że lekarz żąda łapówki i napisał skargę do prokuratury. Jednakże okazało się, że to był rak, lekarz go operuje, chłop jest uratowany, ale wprost na sali operacyjnej lekarz dostaje wezwanie z prokuratury... Znowu zachwycone okrzyki, jeden z lejbgwardzistów płacze ze śmiechu wtulony w moje ramię. Drugi referent wzruszonym głosem czyta z pretendenta opis wiejskiej miejscowości; zachwyt i uznanie płynnie przechodzą w rozczulony szczebiot i wodospad entuzjazmu, po czym pretendent znowu przepada, ale tym razem przy trzech głosach „za”. Wszyscy są zmieszani. Lejbgwardzista wyjaśnia mi: „No, ja tam nie wiem. Ja byłem „za”, to i głosowałem „za”...”

Następnie komisja bierze się za byłego ministra gospodarki komunalnej jednej z południowych republik, wyszło właśnie albumowe wydanie jego książki — coś w rodzaju „Rozwój pralnictwa od carycy Tamary do dnia dzisiejszego”.

W tym momencie moje rozmyślenia znowu przerwał dzwonek telefonu. Fiodor Micheicz zapytał z troską w głosie:

— Wybacz Feliksie, że znowu odrywam cię... No i jak, byłeś wczoraj na Bannej?

— Tak — odpowiedziałem. — No a jakże inaczej... Zawiozłem co trzeba.

— No to dziękuję ci. W takim razie to już wszystko.

Fiodor Micheicz odłożył słuchawkę, a ja wstałem z fotela i poszedłem prosto do przedpokoju, żeby włożyć pantofle. I dopiero wtedy, kiedy się już ubrałem do wyjścia, owinałem szyję szalikiem, włożyłem czapkę, naciągnąłem rękawice i nawet ująłem rączkę zamka, przypomiąłem sobie dzięki Bogu, że mój doświadczalny manuskrypt został wczoraj w klubie i jeśli teraz pojedę po niego do klubu...

Wróciłem do pokoju i postępując wybrałem pierwszą lepszą z tych cieńszych teczkę z małego mojego archiwum, tego pod biurkiem (brudnopisy przekładów, kopie japońskich patentów, brudnopisy recenzji i inna tego rodzaju makulatura), dla pewności obwiązałem ją sznurkiem, z trudem wepchnąłem do kieszeni kurtki kopertę z pakowego papieru bez adresu nadawcy (przeczytać w czasie drogi) i wyszedłem.

Dom na Bannej okazał się szary, czteropiętrowy i z betonu. Lewe skrzydło było obstawione rusztowaniami, a rusztowania stały puste zasypane śniegiem. Środkowa część fasady wyglądała dosyć czysto, a prawe skrzydło pora już była ponownie remontować. Wejście było tylko jedno — w samym środku frontu. Brama była szeroka i według pomysłu architektów powinna jednocześnie wpuszczać sześć potoków wchodzących i wychodzących, jednakże jak to u nas we zwyczaju, z sześciu wejść funkcjonowało tylko jedno, reszta zaś była na głucho zamknięta, jedno nawet zostało zabite deskami, kokieteryjnie udekorowane pod paletę niechlujnego artysty malarza. I jak to jest we zwyczaju z prawej i lewej strony bramy widniały najrozmaitszej wielkości wywieszki z nazwami urzędów, tak że wcale nie od razu znalazłem skromną tabliczkę ze srebrnym napisem „Instytut Badań Lingwistycznych Akademii Nauk ZSRR”.

Nie bez wysiłku precisiąłem się przez jedyne działające wejście i przez czas jakiś błąkałem się w ciemnych kulisach w tłumie podobnych sobie nieszczęśników. Było tu ciemno

i trwoźnie, a pod nogami tyle naniesionego śniegu, że z obawy przed upadkiem stale trzymaliśmy się jeden za drugiego.

Wyrwawszy się wreszcie na przestrzeń operacyjną, znalazłem się przed szerokimi schodami, które doprowadziły mnie na okrągłą olbrzymią salę, wysoką na wszystkie cztery piętra. Środek tej sali był rozgrodzony na niezliczone drewniane klatki. Z góry przez kratkowany przeszklony dach wpadało szare światło dzienne, po mojej lewej ręce szklany kiosk handlował reprodukcjami, a po prawej sprzedawano biszkopty z powidłami i racuchy.

Nie miałem najmniejszego pojęcia dokąd mianowicie mam teraz iść, a kiedy próbowałem dowiedzieć się od tych z którymi ramię przy ramieniu pokonywałem kulisy, okazało się, że wszyscy oni przyszli tu po biszkopty — oprócz jednego staruszka, wysłanego po racuchy.

Staruszka w kiosku powiedziała mi, że pracuje tu dopiero drugi dzień. I dopiero wymalowana paniusia bez palta, z dziennikiem podawczym pod pachą posłała mnie na prawo i na górę po żelaznych, krętych schodach, na których znowu było ciemno i trwoźnie, podeszwy ślizgały się na nierównych stopniach, ktoś szedł z przeciwka, sapiąc przerażająco i z ogromnym wysiłkiem, próbując zepchnąć mnie na dół, albo z przygłuszonym kobiecym piskiem i szybkim stukotem — widać się poślizgnął. A z dołu coś mnie popychało, twarde i z pewnością nieożywione, zapewne drewniane, jeśli można sądzić po dotyku, i miało nieprawdopodobne przekleństwa.

Zresztą wszystko ma swój koniec. Znalazłem się na podeście drugiego piętra, gdzie sapiąc i łapiąc powietrze zastanawiałem się czy nie położyć pod język nitrogliceryny, a wtedy po raz ostatni ktoś przyłożył mi poniżej pleców, a niewyraźny głos zainteresował się: „No czego stoisz jak słup?” i obok mnie przeniesiono drewnianą drabinę takiej długości, że nie uwierzyłem własnym oczom — jakim cudem wniesiono coś takiego po tych krętych schodach?

Położyłem pod język odrobinę nitrogliceryny i rozejrzałem się. Na podeście jak w bajce było troje drzwi — po prawej, po lewej i wprost. Sądząc po tabliczce powinienem iść na prawo, więc na prawo poszedłem i za drzwiami wykryłem stolik, a przy stoliku lampę, a pod lampą staruszkę z robótką na drutach. Spojrzała na mnie życzliwie oraz pytająco, więc porozmawialiśmy sobie przez chwilę.

Staruszka była świetnie zorientowana. Pisarzy przyjmuje się w pokoju pod takim to a takim numerem za salą konferencyjną, a do sali konferencyjnej idzie się tym właśnie korytarzem nigdzie nie skręcając, zresztą nie ma tu specjalnie gdzie skręcić, może tylko do bufetu, ale bufet jeszcze jest nieczynny. Podziękowałem i ruszyłem przed siebie, a staruszka powiedziała w ślad za mną: „Tylko tam jest teraz zebranie”, a ja chociaż jej nie rozumiałem, na wszelki wypadek odwróciłem się i z wdzięcznością skinąłem głową.

Korytarz. Nieczęsto w dzisiejszych czasach można spotkać takie korytarze. Ten korytarz był wąski, bez okien z tajemniczymi kratkami wywietrzników pod sufitem, z zamkniętymi na głucho żelaznymi drzwiami, pojawiającymi się to z lewej, to z prawej strony, nierówne skrzypiące deski podłogi niebezpiecznie uginające się pod nogami, i wcale nie był ten korytarz prosty, a klasycznie zygzakowaty jak należy ufortyfikowany, żaden odcinek zygzaka nie przekraczał dwudziestu metrów. Wszystko było tu obliczone, przewidziane na wypadek, gdyby pancernej piechocie przeciwnika udało się złamać nasz opór na krętych schodach i ta piechota zwyciężywszy staruszkę razem ze stolikiem, wdarła się tu jeszcze nie wiedząc w jak straszliwy potrzask się dostała — z wywietrznika pod sufitem wyleją się na nią potoki kipiącego oleju; rozwarte żelazne drzwi zjeżą się lasem pik o zębatych ostrzach szerokości dłoni: zapadną się deski pod nogami; i z za każdego zygzaka porażą z bezpośredniej bliskości nieubłagane strzały... Spociałem się jak ruda mysz zanim doszedłem do końca korytarza. Jak przepowiedziała prawdomówna staruszka, korytarz zaprowadził mnie na salę konferencyjną. Ale dopiero tutaj zrozumiałem sens jej ostatnich słów. Na sali konferencyjnej rzeczywiście

trwało jakieś zebranie, najprawdopodobniej całej załogi, ponieważ nie było gdzie wetknąć szpilki, taki panował tłok. Byłem zmuszony zatrzymać się u progu. Droga była odcięta.

W pierwszej chwili nie odebrałem tego zebrania jako przeszkody w realizacji moich zamierzeń. Zebranie jak zebranie, stół przykryty zielonym sukniem, karafka z wodą, ktoś przemawia z trybuny w obecności co najmniej trzystu obywateli i obywaterek (siedzą tu zamiast pracować na rzecz postępu nauki i techniki). Stałem na palcach i przepatrywałem okolice ponad morzem głów aż wreszcie dojrzałem w odległym kącie dosyć trudne do zauważenia drzwi, nad którymi wisiał biały transparent z czarnym napisem „Pisarze — tędy”. i wtedy dopiero zaczęły do mnie docierać rozmiary mojej porażki.

O tym, żeby dotrzeć do drzwi poprzez zebranie nie mogło być nawet mowy, nie jestem Bankay, żeby maszerować po głowach i ramionach w zatłoczonej świątyni, nie umiem i nie lubię tak postępować. O tym, żeby dumnie zawrócić i odejść również nie mogło być mowy, zaszedłem już zbyt daleko. Rozumując logicznie pozostało mi tylko jedno — czekać, liczyć na to, że nie ma takich zebrań, które trwałyby wiecznie. Doszedłszy do takiego wniosku, natychmiast przypomniałem sobie o bufecie. Gdzie poza mną, za którymś z tych przerażających żelaznych drzwi dawano ciastka z serem, kanapki z kielbasą, pepsi colę, a może nawet i piwo. Spojrzałem na zegarek. Była na nim trzecia za dziesięć i jeśli bufetowi sążone było dziś pracować, to najprawdopodobniej nastąpi to za dziesięć minut. Dziesięć minut to jeszcze było do wytrzymania. Przeniosłem ciężar ciała z jednej nogi na drugą, oparłem się ramieniem o framugę i zacząłem słuchać.

Bardzo prędko zrozumiałem, że trafiłem na zebranie sądu koleżeńkiego. Obwiniony, niejaki Żukowicki nabrał zwyczaju unieszczęśliwiania młodych pracowników swojego działu. Początkowo uchodziło mu to płazem, ale po trzecim czy też czwartym przypadku cierpliwość kolektywu wyczerpała się, przestępstwa wołały już o pomstę do nieba, a ofiary odwołały się do rady zakładowej. Obwiniony, bezczelnie przystojny mężczyzna, w kurtce błyszczącej chromem, siedział nabzdyczony na stolku po lewej stronie prezydium, wyglądał na człowieka, który trwa w uporze, skruchy nie okazuje, chociaż pogodził się już z losem.

W sumie cała sprawa wydała mi się mało ważna. Było jasne, że za chwilę przestanie głądzić członek rady zakładowej, następnie wypełźnie na trybunę kierownik wydziału, przywoździ podsądnego do pręgierza publicznej nagany i natychmiast z marszu poprosi o pobłażliwość, ponieważ w jego wydziale pracują same panienki i każdy pracownik płci męskiej jest po prostu na wagę złota. Następnie przewodniczący zebrania w krótkim energicznym przemówieniu podsumuje całość i wszyscy popędzą do bufetu.

Oczekując na nieunikniony, jak mi się wydawało rozwój wydarzeń zacząłem wpatrywać się w twarz — to moje ulubione zajęcie na naradach, zebraniach i seminariach. I zaraz w pierwszej minucie ku mojemu zdumieniu, wykryłem w piątym rzędzie wprost naprzeciwko prezydium, łuszczące się oblicze Ojła mojego Związkowego, Pietieńki Skorobogatowa oraz smętny profil jego przyjaciela bilardzisty. Obaj wyglądali tak jakby siedzieli tu twardo od samego początku, i mieli do tego pełne prawo. Bilardzista siedział grzecznie i tylko łypał oczami na prezydium — najwidoczniej zielone sukno na stole wywoływało przyjemne skojarzenia. Ojło zaś Związkowe był nieprawdopodobnie aktywny. Co chwila odwracał się do swojej sąsiadki po lewej stronie i coś jej tłumaczył, potrząsając grubym palcem wskazującym, następnie całym tułowiem pochylał się do przodu, wsuwając głowę między sąsiadów w poprzednim rzędzie i im z kolei coś wyjaśniał, a wtedy jego uniesiony gruby zad wykonywał skomplikowane ewolucje, potem jakby całkowicie usatysfakcjonowany pojętnością rozmówców, opadał na oparcie swojego krzesła, krzyżował ręce na piersi i nieco skłoniwszy ucho życzliwie wysłuchiwał tego, co szeptali mu sąsiedzi z tyłu.

Z trybuny dolatywało:

— ...i w takich dniach jak nasze, kiedy każdy z nas powinien poświęcić wszystkie swoje siły dla rozwojowi konkretnych lingwistycznych badań, dla rozwoju i pogłębienia naszych

związków z bliskimi gałęziami nauki, w takich dniach szczególnej wagi nabiera umocnienie i pogłębienie dyscypliny pracy wszystkich razem i każdego z osobna, poziom moralno — etyczny każdego i wszystkich, czystość duchowa i uczciwość w życiu osobistym.

— I hodowla bydła! — krzyknął zniecierpliwiona Pietieńka Skorobogatow wystawiając naprzód i do góry wyciągniętą dłoń z palcem wskazującym.

Przez audytorium przeleciał niewyraźny szum. Człowiek na trybunie stropił się.

— Bezwarunkowo... to nie podlega dyskusji... również hodowla bydła... Ale co dotyczy konkretnie towarzysza Żukowickiego, to nie powinniśmy zapominać, że jest on naszym kolegą...

Brawo Ojło Związkowe! Nie, jak tam sobie chcecie, a coś człowieczego, coś z dużej litery jednak w nim jest. Bez względu na świńskie, wiecznie zaspane oczka. Bez względu na wieczny smród wody, tworzący jakby wokół niego stałą aurę. Bez względu na bezprzykładny brak talentu i grafomanię jego utworów dla dzieci w wieku szkolnym. Bez względu na jego zwyczaj przysiadania się bez zaproszenia i nalewania sobie bez pytania... (Nie, w tej sprawie nie mam racji. Oczywiście, Ojło z zasady nigdy nie ma pieniędzy, ponieważ wszystkie przepija. Ale jeśli już trafią mu się pieniądze! Każdy może się przy sięść, jeść, pić ile dusza zapagnie i jeszcze zabrać do domu). Ma niebываłe pomysły i to go usprawiedliwia. Urzeczywistnia najnieprawdopodobniejsze fantazje, jakie zdarzają się chyba tylko w dowcipach.

Razu pewnego w Muraszach, w domu pracy twórczej, kretyn Rogożyn publicznie skrzyczał Ojło za pojawienie się w jadalni w stanie nietrzeźwym i jeszcze na dodatek zaczął prawić mu morały na temat moralnego oblicza radzieckiego pisarza. Ojło wysłuchał tego wszystkiego z podejrzaną pokorą, a rankiem na ogromnej zaspie tuż przed frontowym wejściem pojawił się napis „Rogożyn, kocham pana!” Napis został wykonany żółtym rozpryskanym strumieniem, dosyć gorącym sądząc po głębokości liter.

Teraz proszę sobie wyobrazić następującą scenę. Męska część mieszkańców Muraszów skręca się ze śmiechu. Ojło z ponurą twarzą przechadza się wśród nich przygadując: „Wiecie państwo, to jednak niemoralne. Pisarze proszę państwa, tak nie postępują”. Część kobieca krzywi się z obrzydzeniem i żąda, aby natychmiast zakopać i przekopać to obrzydlistwo. Wzdłuż napisu, jak drapieżnik w ZOO biega w tę i z powrotem Rogożyn i nikogo blisko nie dopuszcza, czeka na przyjazd ekipy śledczej. Organa ścigania nie śpieszą się, za to ktoś usłudze robi dla Rogożyna (i rzecz jasna dla siebie) kilka zdjęć: napis, Rogożyn na tle napisu, po prostu Rogożyn i znowu napis. Rogożyn konfiskuje kliszę i pędzi do Moskwy. Czterdzieści pięć minut kolejką elektryczną, drobiazg. Z kliszą w jednej kieszeni i z obszerną skargą na Pietieńkę w drugiej, Rogożyn podąża do naszego sekretariatu, aby wszcząć sprawę o dysfamię. W pracowni fotograficznej klubu raz dwa robią mu tuzin odbitek, które z oburzeniem Rogożyn rzuca na biurko Fiodora Micheicza. W gabinecie Fiodora Micheicza jak raz tłoczyli się członkowie zarządu, którzy zebrali się z powodu jakiegoś jubileuszu. Wielu zna już sprawę. Wszyscy pokładają się ze śmiechu. Polina Złotopolskich (z rozmarzeniem przewracając oczami) „Cóż za niezwykle ciśnienie!” Fiodor Micheicz z kamiennym wyrazem twarzy oznajmia, że nie widzi w napisie żadnej dysfamii. Rogożyn traci kontenans tylko na sekundę. Dysfamia polega na sposobie, jakim napis został wykonany, oświadcza Fiodor Micheicz i z kamiennym wyrazem twarzy oznajmia, że nie widzi żadnych podstaw, aby oskarżać konkretnie Piotra Skorobogatowa. Rogożyn domaga się ekspertyzy grafologicznej. Wszyscy po prostu konają. Fiodor Micheicz z kamiennym wyrazem twarzy wyraża wątpliwość, co do wiarygodności ekspertyzy grafologicznej w danym konkretnym przypadku. Rogożyn rozgorączkowany powołuje się na osiągnięcia kryminologii, która jakoby twierdzi, że właściwości ideomotoryki określają indywidualne cechy charakteru pisma, niezależnie od tego czym indywiduum pisze. Próbuje to udowodnić trzymając w zębach długopis, i

podpisuje się na papierze leżącym przed Fiodorem Micheiczem, grozi, że dojdzie aż do KC i w ogóle zachowuje się skandalicznie.

Koniec końców Fiodor Micheicz musi ustąpić i na miejsce wypadku jedzie komisja. Pietieńka Skorobogatow przyciśnięty do muru i nieco już przestraszony rozmachem wydarzeń przyznaje, że napis rzeczywiście wykonał. „Ale nie tak jak sobie wyobrażacie świntuchy! To przecież ponad ludzkie siły!” Jest już późno. Wieczór. Komisja w pełnym składzie stoi przed bramą. Zaspą jeszcze za dnia została przekopana i jest dziewiczo czysta. Pietieńka Skorobogatow powoli idzie wzdłuż zasy i zręcznie manipulując pyzaty czajniczką do herbaty wypisuje „Rogożyn, jest mi pan obojętny!”. Zadowolona komisja wyjeżdża. Napis pozostaje.

Oto jaki jest Skorobogatow, Ojło moje Związkowe!

Gromki okrzyk „I hodowla bydła!” przywrócił mnie do rzeczywistości. Sąd trwał nadal. Okrzyk wyrwał się z piersi bilardzisty, w którym nagle obudziła się aktywność. W czasie kiedy oddawałem się wspomnieniom coś uległo zmianie. Z trybuny nie wiadomo dlaczego mówiono o jakimś kozuchu. O drogim kozuchu. Z importu. Kozuch został skradziony. Kozuch został skradziony beczelnie i wyzywająco. Zdaje się, że nawoływano zebranych, aby nie kradli kozuchów. O ofiarach rui i poróbstwa z trybuny już więcej nie wspomniano, zaś historia z kozuchem w jakiś tajemniczy sposób rehabilitowała obwinionego. Już nie siedział przygotowany na najgorszy los, tylko wyprostowany, z dłońmi wspartymi o rozstawione kolana, z wyzwaniem i potępieniem patrzył w kierunku prezydium. Członkowie prezydium odwracali wzrok, a jeden z członków był znacznie czerwieńszy od pozostałych.

Spojrzałem na zegarek. Było już po trzeciej. Należało poszukać bufetu, ale wtedy obok mnie wyslizgnęło się na korytarz dwóch młodzieńców białych, o płonącym wejrzeniu. Wyjęli papierosy i zaczęli chciwie wciągać dym. W oczy rzucało się ich nienaturalne ożywienie, jakiś zapach i energia. Nie było mowy o zmęczeniu czy nudzie przeciwnie, wyraźnie starali się możliwie, jak najprędzej pochłonąć swoją porcję nikotyny i powrócić na salę. W życiu nie widziałem, żeby ludzie byli tak pochłonięci zebraniem.

Zapytałem, jak długo jeszcze ich zdaniem potrwa ta próżna gadanina. Zauważyłem, że to określenie dotknęło ich. Bardzo sucho wyjaśnili mi, że zebranie jest w pełnym toku i raczej wątpliwe jest czy zakończy się przed końcem pracy. Potem jeden z nich domyślił się: „Jest pan pewnie pisarzem?” Niestety” — przyznałem się. „A jak się pan nazywa?” — z młodzieńczą bezpośredniością zapytał drugi. „Jesienin” — odpowiedziałem i poszedłem do domu.

Przeklinając po drodze wszystkie zebrania najstraszliwszymi przekleństwami, wszedłem na Pietrowce do sklepu z zabawkami kupiłem dla bliźniaków–bandytów dwa samochody i do mieszkania wszedłem już w całkiem nie najgorszym humorze. Po kuchni krzątała się Katia. Mój wygłodniały nos wpadł w zachwyt i natychmiast przekazał ten entuzjizm reszcie organizmu — w garnku dusiło się mięso po burgundzku.

Kiedy się rozebrałem, Katia wybiegła z kuchni, podstawiła mi gorący policzek i trzymając przed sobą jak chirurg przed operacją zatłuszczone od prac kuchennych ręce, od razu zaczęła opowiadać ze wzburzeniem o tym, co słychać u niej w pracy.

Początkowo słuchałem jej jednym uchem, dlatego po raz nie wiem który poczułem się wstrząśnięty — taka śliczna, taka pikantna młoda kobieta — i taka pechowa! Jak to możliwe? Kompletnie bez sensu. Zawsze uważałem, że kobieta, w której jest coś takiego, po prostu musi być skazana na powodzenie i masz tobie... Trzydzieści lat. Dwoje dzieci. Pierwszy mąż rozpląnął się w powietrzu. Drugi zwyczajna szmata, mięczak wiecznie na bani. W pracy konflikty. Doktorat gotowy od trzech lat, a obronić się w żaden sposób nie może. Absurdalne to wszystko, niemożliwe do pojęcia...

Machinalnie poszedłem za Katią do kuchni i nagle dotarło do mnie, że mówi ona jakieś dziwne rzeczy dotyczące mnie i to bezpośrednio.

Okazało się, że dzisiaj po przerwie obiadowej wezwał ją do siebie personalny i urządził formalne przesłuchanie. W większości pytania były całkiem normalne, ankietowe, ale między nimi jakby przypadkiem wyskakiwały takie, co to z niczym nie miały nic wspólnego. Bystra Katia, od razu je zauważyła, nic nie dała poznać po sobie, ale za to dobrze je zapamiętała i teraz starannie powtarzała mi je jedno za drugim... Od jakiego wieku pamięta swojego ojca, to znaczy mnie? Czy była kiedykolwiek w jego mieście rodzinnym, to znaczy w Leningradzie? Czy zna kogokolwiek z przedwojennych przyjaciół ojca? Czy ojciec spotykał się przy niej, z którymś z nich? Czy kiedy opowiadał jej o losach domu w Leningradzie, w którym wyrósł i wychowywał się do chwili wybuchu wojny?

Kiedy wyrzuciła już z siebie to wszystko, zamilkła i popatrzyła na mnie wyczekująco. Ja również milczałem czując z przerażeniem jak moją twarz pokrywa rumieniec, oczy zaczynają zezować w wyjątkowo podejrzanym sposób. Czułem się jak kompletny kretyn.

— Tata, może znowu coś narozrabiałeś? — zapytała zniżonym głosem.

Była przerażona, a moja reakcja na jej opowieść przeraziła ją jeszcze bardziej. Ja zaś w odpowiedzi mogłem tylko sapać. Tysiące słów rwały mi się na język, ale wszystkie one, jak na złość były melodramatyczne, fałszywe i zakładały gesty w rodzaju załamywania dłoni, wznoszenia oczu ku niebu i podobnej romantyki. Potem nagle straszna myśl przyszła mi do głowy — a jeśli znowu wydano mnie tam, u kapitalistów poza WAAP-em? Co za draństwo, jak Boga kocham! I wybuchnąłem:

— Zawracanie głowy! — ryknąłem. — Nic nie narozrabiałem i narozrabiać nie mogłem! Czego się na mnie gapisz? No, zakapowało mnie jakieś bydlę... Mało co mogło się wydarzyć... Po co on cię w ogóle wzywał? Powiedział po co?

— Porozmawiać — powiedziała Katia. — Może pojedę do Gandy...

— Do jakiej znowu Gandy? Do Afryki? A co z bandytami?

Ale jak się okazało, Katia wszystko miała przemyślane. Bandytów zabierze Klara, mieszkanie wynajmą Szczukinowie, subskrypcję będę wykupywać ja. Okropnie mi się to wszystko nie spodobało. Jeśli bandyci będą u Klary, to jak ja się z nimi będę widywać? Nie mam ochoty spotykać się z Klarą i jej generałem, nie mam ochoty wykupywać subskrypcji... A poza tym — co z Albertem? Jego również zabierze Klara? Ach, męża tak czy inaczej przeniesiono do Syzrania? Wspaniale! Gratulacje! Znowu dookoła Wojtek śladami mamusi! Zresztą, to twoja sprawa. Tyle że w Gandzie teraz strzelają, zwracam twoją uwagę!

No cóż, Katia wie jak ze mną postępować. Kiedy ja syczałem i kipiałem zżęcznie nałożyła mi pełny talerz mięsa z grzybami, wszystko duszone w czerwonym winie, naląła na dwa palce koniaku i usadziła za stołem.

Chrząknąłem, wypilem, złagodniałem, rzuciłem na nią ostatnie spojrzenie pełne rodzicielskiego oburzenia i ująłem widelec.

— A ty? — jak zwykle połapałem się już z pełnymi ustami.

— A ja już — jak zwykle odpowiedziała Katia, uklękła na krześle, wystawiła okrągły tyłeczek, oparła łokcie na stole i bardzo zadowolona z siebie patrzyła jak jem.

— Jeśli jedziesz do Gandy — wymlaskałem — to w ogóle nie zawracaj sobie głowy. Jak zwykle personalny już sam nie wie o co pytać. O matkę pytał?

— Pytał.

— No widzisz! Ukroj mi kawałek bułki.

— Pytał dlaczego matka się z tobą rozwiodła — powiedziała Katia krojąc bułkę.

Z trudem powstrzymałem się, aby nie rąbnąć o stół nożem i widelcem — co za draństwo, to nie jego zasrany interes! Ale potem pomyślałem sobie — a niechże ich wszystkich szlag trafi, co oni mnie obchodzą? A jeśli Katia nie pojedzie do Gandy, tym lepiej. Tylko Katii mi brakuje w Gandzie, gdzie bez przerwy strzelają i tłumy Murzynów polewają się nawzajem napalmem.

— Jednak to były jakieś bardzo dziwne pytania — powiedziała nagle Katia cicho. — Niezwyczajne. Tata, u ciebie naprawdę wszystko w porządku? Nic przede mną nie ukrywasz?

Oto dlaczego nigdy nie dawał swojej jedynej własnej córce do przeczytania ani jednej stroniczki z Niebieskiej Teczki. Tak strasznie przeraziła się po tym artykuliku Bryżejkina o „Bajkach współczesnych”, kiedy zabrano mnie z moim pierwszym prawdziwym atakiem serca, że do dzisiaj się boi. Teraz na przykład — uśmiecha się, dowcipkuje, uszy do góry, a w oczach ten sam strach. Pamiętam te oczy kiedy siedziała przy moim łóżku w szpitalu.

Uspokoilem ją jak potrafiłem i zabraliśmy się do picia herbaty. Katia opowiadała mi o bliźniakach–bandytach, ja opowiadałem jej o Pietieńce Skorobogatowie i o zebraniu, zrobiło się przytulnie i nieprzyjemnie było myśleć, że za pół godziny Katia ubierze się i wyjdzie. Potem przypomniałem sobie i oddałem jej samochody dla bandytów i zaproszenie na pieśniarza. Zaproszenie przyjęła z zachwytem i zaczęła mi opowiadać o tym pieśniarzu, jaki on jest teraz znany i sławny, a ja słuchałem i zastanawiałem się jakby tu możliwie najdelikatniej dać do zrozumienia, że o kozuchu (znowu kozuch) wcale nie zapomniałem, że pamiętam o kozuchu, chociaż ona, Katia nie przypomina mi, po prostu nie mogę się jakoś zebrać... Zaświtała mi nawet nadzieja, że w związku z wyjazdem do Gandy upadnie problem kozucha, zniknie sam przez się — no bo rzeczywiście, po co jej kozuch w tej Gandzie?

Katia już się ubierała, kiedy zadzwonił telefon. Musiałem pożegnać się byle jak i podniosłem słuchawkę. Święci pańscy! Boże zbaw nas od złego! Dzwonił O. Oreszyn.

Dzwonił do mnie po to, abym zaraz teraz, natychmiast wprost i niedwuznacznie wyraził swój pozytywny stosunek do słusznej i sprawiedliwej walki jego, O. Oreszyna z bezpardonowym plagiatorom Siemionem Kolesniczenko. Zapewniwszy sobie mój pozytywny stosunek, a nie ukrywa, że nie jestem pierwszym, do kogo zwraca się o poparcie, już kilku posiadających znaczny autorytet członków sekretariatu obiecało mu pełne współdziałanie w bezlitosnej walce z plagiatorami, bez którego to poparcia, rzecz jasna jest nie do pomyślenia jakakolwiek realna nadzieja na sukces w kwestii demaskowania mafii plagiatorów...

Z pewną nawet niejako perwersyjną ciekawością czekałem, jak też O. Oreszyn wydobędzie się z tej syntaksycznej spirali Bruna, gotów byłem się założyć, że już zapomniał od czego zaczął to niesłychane zdanie, jednakże nie na takiego trafiłem.

Tak więc zapewniwszy sobie mój pozytywny stosunek on, Oreszyn na najbliższym posiedzeniu sekretariatu mógłby postawić problem mafii plagiatorów z taką właśnie ostrą ostrością, której nam tak brakuje, kiedy mowa jest o ludziach, którzy formalnie są naszymi kolegami, w sytuacji, kiedy z punktu widzenia moralności i etyki...

Ostrożnie położyłem słuchawkę na stole, przyniosłem szklankę wody i przyjąłem sustak. Oleg Oreszyn wciąż monotonna gadał. Ponownie spróbowałem zrozumieć jego psychikę. Szczerze mówiąc, miesiąc temu, kiedy zaczęła się cała afera, uznałem go za zwyczajnego zoologicznego antysemitę w rodzaju lejbgwardzistów. Ale teraz już wiedziałem, że byłem w błędzie. Oreszyn nie był antysemitą. Więcej nie był nawet politycznym demagogiem. Najwidoczniej był całkiem szczerze wstrząśnięty tym, że oto on, w mękach a być może w porywie niebywałego natchnienia, stworzył moralną sytuację, postawił pod pręgierzem ordynarne i zachłanne niedźwiedzie, a także cwane i chciwe zające, tu nagle — proszę — pojawia się jakiś Kolesniczenko, zręczny przechera, literacki pasożyt z powołania, nie wie ani co to męki twórcze, nie słyszał o natchnieniu, ma po prostu sokole oczy i chwytny łapy — łapie wszystko co popadnie, szybkoitko przykrawa po swojemu — i gotowe! A potem końce w wodę, wmawia wszystkim, że to co sam wysmażył, to przekład z jakiegoś tam egzotycznego języka, licząc na to, że nikt o tym języku nie słyszał.

To głupek, ten O. Oreszyn, w tym cała rzecz. I do tego głupek nie w powszednim, powierzchownym sensie tego słowa, a głupek jako przedstawiciel szczególnego psychologicznego gatunku. Jest wśród nas niczym przybysz z innej planety — zasadniczo odmienny system wartości, nieznaną i całkowicie obcą psychologią, mną cele istnienia, a to

co my wyniośle uważamy za kompleks niższości, chorobliwe odstępstwo od normy psychicznej, jest w rzeczywistości rdzennym zdrowym kośćcem jego światopoglądu.

— ...a w przeciwnym wypadku, nikt z nas uczciwych pisarzy, a takich przecież większość, Kolesniczenki po prostu rzucają się w oczy, a większość pomimo wszystko stanowią tacy ludzie jak ja i pan, dla których najważniejsza jest uczciwa praca, staranne studiowanie materiału, poziom ideowo-artystyczny...

— I hodowla bydła! — zaryczałem instynktownie.

Przez całą sekundę, a może nawet dwie, słuchawka milczała.

Następnie Oreszyn powiedział niepewnie:

— Hodowla bydła? Tak... hodowla — niewątpliwie... Ale proszę zrozumieć Feliksie Aleksandrowiczu, jaka okoliczność jest tu dla mnie najważniejsza?

I zaczął nudzić od początku.

W końcu umówiliśmy się z nim tak, że zapoznam się z całą sprawą dokładniej — przeczytam baśń, przeczytam nowelę, porozmawiam z Kołesnikowem i dopiero potem zdzwonimy się, aby kontynuować tę interesującą i budującą rozmowę.

Uff! Rzuciłem słuchawkę i na podobieństwo Szczęściarza Jima wskoczyłem nogami na kanapę, zacząłem wściekle drapać się pod pachami i robić małpie miny. Nie ma ratunku, wirowało w mojej głowie. Nie ma dla nich ratunku, powtarzałem skacząc i wykrzywiając się. Nie ma i nie będzie dla nas ratunku teraz i zawsze i na wieki wieków amen! Potem się zdyszałem padłem na kanapę i rozkrzyżowałem ręce.

Dopiero teraz zauważyłem, że w pokoju jest zupełnie ciemno. Już wieczór, chociaż wczesny, ale jednak wieczór, pomyślałem nie bez smutku, że zaledwie kilka lat temu o tej właśnie porze siadałem jeszcze do maszyny i wystukiwałem dwie — trzy pełnowartościowe strony, a teraz klops, towarzyszu Sorokin, teraz niczego sensownego o tej porze już nie wystukacie, tylko humor sobie zepsujecie i tyle tego będzie...

I znowu zadzwonił telefon. Wstałem stękając i podniosłem słuchawkę. Nie zdążyłem jeszcze nawet uświadomić sobie nagłej nadziei, że może to Rita, kiedy męski głos powiedział cicho:

— Poproszę Feliksa Aleksandrowicza.

— To ja.

Po niewielkiej pauzie głos zapytał:

— Przepraszam, Feliksie Aleksandrowiczu, czy dostał pan nasz list?

— Jaki list?

— E-e... Zapewne jeszcze nie doszedł... Proszę wybaczyć Feliksie Aleksandrowiczu... W takim razie zadzwonimy za jakieś dwa dni... Przepraszam... Do widzenia...

I krótkie sygnały.

Co u diabła... Spiesznie poszukałem w pamięci listów z ostatnich dni i nagle przypomniałem sobie brązową kopertę bez nadawcy. Gdzie ja ją wsadziłem? Aha! Wsadziłem ją do kieszeni kurtki, no i zapomniałem... Niejasne, smarne przecucie, które ogarnęło mnie poprzednio, kiedy zauważyłem brak nadawcy znowu powróciło.

Zapaliłem światło, poszedłem do przedpokoju po kopertę, usiadłem za biurkiem i zacząłem oglądać stemple. Nic szczególnego w stemplach nie zauważyłem. Moskwa-G-69 — gdzie to jest?... Papier bardzo sztywny, pod światło nic nie widać, a pod palcami w kopercie nie czuję nic poza listem. Wziąłem nożyczki i uważnie, przy samym brzegu obciąłem kopertę. Wewnątrz była druga również starannie zaklejona, ale była to już zwyczajna standardowa koperta z obrazkiem. Adresu na niej nie było, tylko napis: „Do rąk własnych Feliksa Aleksandrowicza Sorokina! Niech nikt poza nim nie otwiera!”

Złapałem się na tym, że siedzę wydymając wargi w niepewności. Dzwonek telefonu... „My zadzwonimy...” Personalny Katii... Perspektywa niesienia tej koperty gdzie należy, wdawanie się w jakieś wyjaśnienia, w tym również na piśmie, okropnie mi się nie spodobała.

A zresztą... „Tak, przyszedł jakiś list. Jakaś bzdura. Nie pamiętam. Wiecie panowie, dostaję bardzo dużo listów, nie mogę wszystkiego pamiętać...”

Zdecydowanym ruchem rozciąłem drugą kopertę.

Była w niej kartka papieru listowego z błękitnym brzegiem. Wyraźnym, nawet ładnym charakterem pisma, czarnym atramentem ktoś napisał co następuje. Bez mojego nazwiska w nagłówku.

„Dawno już domyśliliśmy się kim Pan jest. Ale prosimy się nie niepokoić. Pański los jest dla nas tak drogi i cenny, że z naszej strony o żadnej groźbie zdemaskowania nie może być nawet mowy. Na odwrót, gotowiśmy przyłożyć wszelkich starań, aby uciszyć wszelkie pogłoski, które już krążą na Pański temat i przyczyn, dla których znalazł się Pan między nami. Jeśli nie może Pan opuścić naszej planety (czy też naszej epoki) z przyczyn technicznych, to niech Pan wie — może nasze możliwości nie są wielkie, ale oddajemy je do Pana całkowitej dyspozycji. Będziemy dzwonić. Proszę spokojnie pracować”.

Niech ich wszyscy diabli wezmą, anacefałów.

ROZDZIAŁ 6

BANIEW. IMPULS DO AKTYWNOŚCI

Wiktor obudził się późno, była pora obiadu. Trochę bolała go głowa, ale nastrój miał nieoczekiwanie dobry. Wczoraj wieczorem, wypaliwszy paczkę papierosów, zszedł na dół, szpilką do włosów otworzył czyjś samochód, wyprowadził Irmę służbowym wyjściem i odwiózł ją do matki. Początkowo jechali w milczeniu. Wiktora aż skręcało, tak paskudnie się czuł. Irma siedziała obok, czyściutka, schludna, uczesana według najnowszej mody — żadnych tam warkoczyków — i zdaje się miała nawet podmalowane wargi. Miał ogromną ochotę na nawiązanie rozmowy, ale musiałby zaczynać od przyznania swojej niebotycznej głupoty, a to wydało mu się niepedagogiczne. Skończyło się na tym, że Irma nagle, ni z tego, ni z owego, pozwoliła mu zapalić (pod warunkiem że wszystkie okna będą otwarte) i zaczęła opowiadać, jakie to wszystko było dla niej ciekawe, jakie to podobne do tego, o czym poprzednio czytała, ale w co nie bardzo wierzyła, jak to znakomicie z jego strony, że zorganizował jej taką nieoczekiwaną i w najwyższym stopniu pouczającą przygodę, że w ogóle jako ojciec jest całkiem do przyjęcia, nie zanudza i nie gada głupstw, że Diana jest „prawie nasza”, wszystkich nienawidzi, szkoda tylko, że tak niewiele wie i za bardzo lubi wypić, ale to akurat w końcu nie jest takie straszne, ty też lubisz wypić, a wszystkim się spodobałeś, dlatego że mówiłeś uczciwie, nie udawałeś jakiegoś tam strażnika elitarniej wiedzy i całkiem słusznie, ponieważ nie jesteś żadnym strażnikiem, i nawet Bol-Kunac powiedział, że w całym mieście jesteś jedynym człowiekiem wartościowym, jeśli oczywiście nie liczyć doktora Golema, ale Golem właściwie nie ma z miastem nic wspólnego, a poza tym nie jest pisarzem, nie wyraża ideologii, a jak ty uważasz, czy ideologia jest w ogóle potrzebna, czy lepiej bez niej, wielu teraz uważa, że nadchodzi koniec wieku ideologii...

W rezultacie odbyła się znakomita rozmowa, obie strony były pełne szacunku jedna dla drugiej i po powrocie do hotelu (samochód postawił na jakimś zagraconym podwórzu) Wiktor uważał już, że ojcostwo nie jest tak bardzo niewdzięcznym zajęciem, szczególnie, jeśli znasz życie i umiesz wykorzystać nawet jego ciemne strony w celach wychowawczych. W związku z tym wypił z Teddym, który także był ojcem i także interesował się problemami wychowania, ponieważ jego pierwszy wnuk miał 14 lat — trudny wiek przejściowy, twoja jeszcze da ci do wiwatu... to znaczy wnuk Teddy'ego miał 14 lat, a jego syn nie mógł się nim, to znaczy wnukiem zajmować dlatego, że spędził dzieciństwo w obozie koncentracyjnym. Nie wolno bić dzieci, twierdził Teddy. I bez ciebie przez całe życie będzie je bić każdy, kto ma ręce i nogi, a jeśli masz chęć uderzyć dzieciaka, lepiej daj po mordzie samemu sobie, ze znacznie większym pożytkiem dla sprawy.

Po którymś z rzędu kieliszku Wiktor przypomniał sobie, że Irma ani słowem nie wspomniała o jego okropnym zachowaniu na rozstajnych drogach i doszedł do wniosku, że jego córka jest przebiegłym stworzeniem i w ogóle uciekać się za każdym razem do pomocy kochanki, kiedy nie wiadomo jak wykaraskać się z trudnej sytuacji, w którą sam się uwikłałeś — to co najmniej nieuczciwe. Te wnioski zmartwiły go, ale właśnie przyszedł doktor R. Kwadryga i zamówił swoją codzienną butelkę rumu, więc wypili tę butelkę, na skutek czego Wiktor znowu zobaczył wszystko w różowych barwach, ponieważ stało się jasne, że Irma po prostu nie chciała go martwić, co oznacza, że szanuje ojca, a być może nawet go kocha... Potem przyszedł jeszcze ktoś, i coś zamówił. Potem prawdopodobnie Wiktor poszedł spać... Prawdopodobnie... Należy przypuszczać, że spać... Co prawda zachowało się jeszcze jedno wspomnienie — kafelki na podłodze zalane wodą, ale co to była za podłoga i co to była za woda, nie sposób było odtworzyć... I lepiej nie odtwarzać...

Doprowadziwszy się do porządku Wiktor zszedł na dół, zabrał z recepcji świeże gazety i porozmawiał o przekłętej pogodzie.

— Jak tam wczoraj? — zapytał niedbale. — W porządku?

— Właściwie w porządku — powiedział uprzejmie recepcjonista.

— Rachunek da panu Teddy.

— Aha — powiedział Wiktor i postanowiwszy chwilowo niczego nie precyzować, poszedł do restauracji. Wydało mu się, że lamp na sali jest jakby mniej. O, do diabła, pomyślał ze strachem. Teddy'ego jeszcze nie było. Wiktor skłonił się młodemu człowiekowi w okularach i jego towarzyszowi, usiadł przy swoim stoliku i rozłożył gazetę. Na świetle nic się nie zmieniło. Jedno państwo zatrzymywało handlowe statki drugiego i to drugie państwo słało kategoryczne protesty. Państwa, które podobały się panu prezydentowi prowadziły sprawiedliwe wojny w obronie swoich narodów i demokracji. Państwa, które z jakiegoś powodu nie podobały się panu prezydentowi prowadziły wojny zaborcze, a właściwie nie prowadziły wojen tylko po prostu po bandycku napadały. Sam pan prezydent wygłosił dwugodzinne przemówienie o konieczności skończenia z korupcją raz na zawsze i szczęśliwie przeszedł operację usunięcia migdałów. Znajomy krytyk, wyjątkowe ścierwo, wychwalał nową powieść Roc-Tusowa i było to nader tajemnicze, ponieważ książka była naprawdę dobra.

Podszedł kelner, jakiś nowy, nieznamy, po przyjacielsku doradził ostrygi, przyjął zamówienie, pomachał serwetką nad obrusem i oddalił się. Wiktor odłożył gazety, zapalił, usiadł wygodniej i zaczął myśleć o pracy. Po dobrym pijaństwie zawsze z ochotą rozmyślał o pracy. Dobrze byłoby napisać optymistyczną, wesołą książkę... o tym, jak żyje sobie na świecie człowiek, kocha swoją pracę, niegłupi, lubi przyjaciół, a przyjaciele go cenią, o tym że mu jest z tym dobrze — sympatyczny chłopak, dowcipny, trochę dziwak. Nie ma fabuły. A jeśli nie ma fabuły, to znaczy, że nudne. A w ogóle, jeśli już usiąść do takiej powieści, to trzeba się zastanowić, dlaczego temu miłemu człowiekowi jest tak dobrze, a wtedy niewątpliwie dojdiesz do wniosku, że dobrze jest mu wyłącznie dlatego, że ma ukochaną pracę, a wszystko inne mu po prostu zwisa. W takim razie co to za człowiek, jeśli wszystko ma gdzieś oprócz swojej pracy. Można oczywiście napisać o człowieku, którego sensem życia jest miłość bliźniego i jest mu dobrze na świecie, ponieważ kocha swoich bliźnich i kocha swoją pracę, ale o takim człowieku już napisali parę tysięcy lat temu panowie: Łukasz, Mateusz, Jan i jeszcze jakiś w sumie było ich czterech. Tak w ogóle to było ich znacznie więcej, ale tylko ci czterej pisali odpowiednio, a pozostali byli pozbawieni różnych rzeczy, jeden świadomości narodowej, drugi prawa korespondencji... a człowiek, o którym pisali niestety był szalony... Właściwie byłoby zajmujące opisać, jak Chrystus przychodzi na Ziemię dzisiaj, nie tak jak o tym pisał Dostojewski, a tak jak pisał ten Łukasz z kumplami... Chrystus przychodzi do sztabu generalnego i proponuje: kochajcie swoich bliźnich. A w sztabie, rzecz jasna, siedzi jakiś tępy „czarny” pułkownik...

— Pan pozwoli, panie Baniew? — zahuczał nad nim sympatyczny męski głos.

Był to pan burmistrz we własnej osobie. Nie tamten apoplektycznie purpurowy, kwiczący z niezdrowego podniecenia wieprz na ogromnym łożu Roschepera, a elegancko zaokrąglony, idealnie wygolony, ubrany bez zarzutu, imponujący mężczyzna ze skromną wstążeczką w klapie i z emblematem Legii na lewym ramieniu.

— Proszę — powiedział Wiktor bez cienia radości.

Pan burmistrz usiadł, rozejrzał się i położył dłonie na stole.

— Postaram się nie dokuczać panu zbyt długo swoją obecnością — powiedział — i spróbuję nie przeszkodzić w pańskiej biesiadzie, jednakże problem, z którym zamierzam się do pana zwrócić, dojrzał już dostatecznie, abyśmy wszyscy, wielcy i mali, ci którym drogi jest honor i dobrobyt naszego miasta byli gotowi odłożyć własne sprawy, aby go jak najszybciej i najefektywniej rozwiązać.

— Słucham pana — powiedział Wiktor.

— Spotykamy się tu panie Baniew, raczej nieoficjalnie, ponieważ zdając sobie sprawę z tego, że jest pan nadzwyczaj zajęty, nie chciałem niepokoić pana w czasie pracy, szczególnie biorąc pod uwagę jej specyfikę. Jednakże zwracając się obecnie do pana jako osobistość oficjalna — i w swoim własnym imieniu i w imieniu całego magistratu...

Kelner przyniósł butelkę białego wina i ostrygi. Burmistrz zatrzymał go wzniesionym palcem.

— Przyjacielu — powiedział. — Pół porcji kitchigańskiej i kieliszek miętówki. Jesiotra bez sosu... A więc pozwolę sobie kontynuować — powiedział ponownie zwracając się do Wiktora. — Obawiam się co prawda, że naszą rozmowę trudno będzie uznać za pogawędkę przy stole, ponieważ mowa będzie o sprawach i okolicznościach nie tylko smutnych, ale, powiedziałbym, nieapetycznych. Zamierzałem porozmawiać z panem o tak zwanych „mokrzakach”, o tym złośliwym nowotworze, który już nie pierwszy rok zżera nasz nieszczęsny region.

— Tak, tak — powiedział Wiktor. Zaczynało go to interesować.

Burmistrz wygłosił niezbyt głośne, dobrze przemyślane i nieskazitelne stylistycznie przemówienie. Opowiedział, jak dwadzieścia lat temu, od razu po okupacji, w Końskim Wąwozie zbudowano leprozorium, obóz — kwarantannę dla osób cierpiących na tak zwany żółty trąd, czyli chorobę okularniczą. Zresztą prawdę mówiąc choroba ta, jak dobrze wiadomo panu Baniewowi, pojawiła się w naszym kraju jeszcze w niepamiętnych czasach, przy czym, jak dowodzą specjalnie przeprowadzone badania, szczególnie często atakowała ona nie wiedzieć czemu mieszkańców właśnie naszego regionu. Jednakże wyłącznie dzięki wysiłkom pana prezydenta chorobie tej poświęcono niezmiernie wiele uwagi i tylko na skutek jego osobistego zalecenia pozbawieni opieki lekarskiej, rozproszeni po całym kraju i częstokroć niesprawiedliwie prześladowani przez zacofane grupy ludności, zaś przez okupantów fizycznie likwidowani, nieszczęśnicy ci zostali wreszcie przewiezieni w jedno miejsce, gdzie stworzono im warunki znośnej egzystencji odpowiedniej do ich sytuacji. Wszystko to nie budzi żadnego sprzeciwu, przedsięwzięte środki można jedynie pochwalać, jednakże, jak to u nas czasami się zdarza, najlepsze i najszlachetniejsze inicjatywy zwracają się przeciwko nam. Nie będziemy w tej chwili szukać winnych. Nie będziemy prowadzić śledztwa w sprawie działalności niejakiego doktora Golema, działalności być może ofiarnej, ale jednak brzemiennej, jak się teraz okazało, w nadzwyczaj nieprzyjemne skutki. Nie będziemy także zajmować się niewczesnym krytykanctwem, chociaż stanowisko niektórych wystarczająco wysokich instancji uparczywie ignorujących nasze protesty nam osobiście wydaje się dość zagadkowe.

Burmistrz wypił miętówkę, ze smakiem zakąsił jesiotrem i jego głos stał się jeszcze bardziej aksamitny, nie sposób było wyobrazić sobie, że ten człowiek zastawia potrzaski na ludzi. Wielosłownie wyraził pragnienie nieprzeciążania uwagi pana Baniewa krążącymi po mieście plotkami, które to plotki, jak musi wyznać wprost, są rezultatem niedostatecznie precyzyjnego i jednoznacznego wykonywania zaleceń pana prezydenta przez wszystkie szczeble administracyjne, mamy na myśli nadzwyczaj rozpowszechniony pogląd o fatalnej roli tak zwanych mokrzaków, obciążanie ich odpowiedzialnością za gwałtowną zmianę klimatu, zwiększenie liczby poronień i procentu bezpłodnych małżeństw, za gwałtowny exodus niektórych zwierząt domowych, za inwazję szczególnego rodzaju pluskwy domowej, a konkretnie pluskwy skrzydlatej...

— Panie burmistrzu — powiedział z westchnieniem Wiktor. Muszę panu wyznać, że jest mi niezmiernie trudno śledzić pańskie długie wywody. Może porozmawiajmy wprost, jak dobrzy synowie jednego narodu. Może nie będziemy mówić, o czym nie będziemy mówić, a będziemy — o czym będziemy.

Burmistrz obrzucił go szybkim spojrzeniem, coś sobie obliczył, coś pokorzył, diabli go tam wiedzą, co tam korażył, ale zapewne wszystko co trzeba — i to, że Wiktor pił z Roscheperem i to, że w ogóle pił, hałaśliwie z cyrkiem i fajerwerkiem, na cały kraj, i to, że Irma jest wunderkindem, i to, że jest na świecie niejaka Diana i jeszcze zapewne niemało innych rzeczy — tak że blichtr pana burmistrza nagle mocno przyblakł; krzyknął, żeby mu przynieśli kieliszek koniaku. Wiktor też poprosił o koniak. Burmistrz zarechotał, obejrzał pustą już salę, leciutko uderzył pięścią w stół i powiedział:

— Rzeczywiście, co ja tu będę kręcił. Życie w mieście staje się niemożliwe — może pan za to podziękować pańskiemu Golemowi nawiasem mówiąc czy pan wie, że Goleni to tajny komunista? Tak, tak, zapewniam pana, są na niego materiały... ten pański Golem wisi na włosku... A więc powiadam — na naszych oczach demoralizują nasze dzieci. Te ścierwa przenikły do szkół i doszczętnie zdemoralizowały nam dzieci... wyborcy są niezadowoleni, niektórzy wyjeżdżają z miasta, zaczyna się ferment, tylko patrzeć, jak rozpoczną się samosady, oto jak wygląda sytuacja — osuszył kieliszek. — Muszę się panu przyznać, że ja ich nienawidzę, zabijałbym jak szczury, tylko nie chcę sobie brudzić rąk. Nie uwierzy pan panie Baniew, doszedłem do tego, że zastawiam na nich potrzaski... No dobrze, zdemoralizowali dzieci, mówi się trudno. Dzieci jak to dzieci, można je demoralizować dzień i noc, a im wciąż za mało. Ale niech pan się postawi w mojej sytuacji. Te deszcze, to jednak ich robota, chociaż nie wiem, jak oni to robią. Zbudowaliśmy sanatorium, lecznicze wody, cudowny klimat, spaliśmy na pieniądzech. Przyjeżdżali do nas ze stolicy, a jak się to wszystko skończyło? Deszcz, mgły, klienci zakatarzeni, im dalej, tym gorzej, przyjechał tu znany fizyk... zapomniałem nazwiska, zresztą pan na pewno go zna... pomieszkał dwa tygodnie i gotowe — choroba okularnicza, marsz do leprozorium. Świetna reklama dla sanatorium! Potem jeszcze jeden przypadek i jeszcze — no i koniec — klientów ani na lekarstwo. Restauracja za chwilę zbankrutuje, sanatorium ledwie dyszy: Bogu dzięki znalazł się trener kretyn, trenuje specjalną drużynę do gry w krajach z deszczowym klimatem... No i pan Roscheper oczywiście pomaga nam w jakimś stopniu... Pan mnie rozumie? Próbowałem dogadać się z rym Golemem — jak groch o ścianę — czerwony to zawsze czerwony. Pisałem na górę — żadnych rezultatów. Pisałem wyżej — to samo. Jeszcze wyżej — odpowiadają, że przyjęli do wiadomości i skierowali sprawę do rozpatrzenia we właściwych instancjach na dole... Nienawidzę ich, ale się przemołem i sam pojechałem do leprozorium. Wpuścili. Prosiłem, udowaśniałem... Co za wstrętne typy. Mrugają swoimi wyliniętymi ślepiami jak na jakiegoś wróbla, jakbym był powietrzem... pochylił się do Wiktora i wyszeptał: Boję się buntu, krew się poleje. Pan mnie rozumie?

— Owszem — powiedział Wiktor. — Ale co ja mam z tym wspólnego?

Burmistrz rozparł się w fotelu, wyjął cygaro z aluminiowego futerału, zapalił.

— W mojej sytuacji — powiedział — zostaje tylko jedno: uruchomić wszystkie mechanizmy. Potrzebna jest jawność. Magistrat uchwalił petycję do departamentu ochrony zdrowia, podpisze ją pan Roscheper, pan mam nadzieję również, ale to jeszcze niewiele daje.

Potrzebna jest jawność. Potrzebny jest dobry artykuł w stołecznej gazecie podpisany głośnym nazwiskiem. Pańskim nazwiskiem, panie Baniew. A problem jest pałacy, wymarzony dla takiego trybuna jak pan. Bardzo pana proszę, I w swoim własnym imieniu i w imieniu magistratu, i w imieniu nieszczęśliwych rodziców... Trzeba zrobić wszystko co w naszej mocy, żeby leprozorium zabrali stąd do wszystkich diabłów. Dokądkolwiek, ale żeby z mokrzaków nie zostało tu ni śladu, ni popiołu, żebyśmy mogli zapomnieć o tej zarazie.

Oto co chciałem panu powiedzieć.

— Tak... rozumiem — wolno powiedział Wiktor. — Bardzo dobrze pana rozumiem.

Ty bydlaku, myślał, ty gruba świnię, naprawdę mogę cię zrozumieć. Ale co się stało z mokrzakami? Byli cisi, przygarbieni, chodzili boczkami, niczego takiego się o nich nie

słyszało, tylko niektórzy mówili, że podobno mokrzaki śmierdzą, że podobno są zaraźliwi, podobno robią niezwykle zabawki i w ogóle różne rzeczy z drzewa.

— Matka mówiła, o ile pamiętam, że umieją rzucać uroki, i przez nich mleko kwaśnieje, że mogą ściągnąć na nas wojnę, mór i głód... A teraz siedzą za drutem kolczastym, i co też oni robią tam u siebie? Oj, robią, robią i to dużo. Pogodę robią, i dzieci zwabiają do siebie (po co?), koty przepędzili (dlaczego?), pluskwy zmusili do latania...

— Pewnie pan sądzi, że my tutaj siedzimy z założonymi rękami powiedział burmistrz. — W żadnym wypadku. Ale co my możemy? Przygotowuję proces przeciwko Golemowi. Pan inspektor sanitarny Pawor Summan zgodził się zostać konsultantem. Położymy nacisk na zakaźność choroby — w tej sprawie nie zostało jeszcze powiedziane ostatnie słowo, a Golem jako tajny komunista oczywiście ten fakt wykorzystuje. To jedno. Następnie próbujemy odpowiedzieć terrorem na terror. Miejscowa Legia, nasza дума, chłopcy jak złoto jeden w drugiego, no, po prostu orły... ale to jakoś nie to. Przecież nie otrzymujemy żadnych instrukcji z góry... Policja znajduje się w fałszywej sytuacji... i w ogóle... A więc przeciw działamy jak tylko możemy. Zatrzymujemy ładunki, które do nich idą... prywatne, oczywiście, nie żywność i nie pościel rzecz jasna, ale rozmaite książki, oni zamawiają bardzo dużo książek... Dzisiaj na przykład zatrzymaliśmy ciężarówkę, i od razu jakoś lżej na duszy. Ale to wszystko drobiazgi, żeby poprawić sobie samopoczucie, a należałoby radykalnie...

— Tak — powiedział Wiktor — więc orły jeden w drugiego. Jak mu tam... Flamenda? Ten, no bratanek...

— Flamenco Juventa — powiedział burmistrz. — Mój zastępca do spraw Legii, orzeł, Pan go już poznał?

— Trochę poznałem — powiedział Wiktor. — Ale po co zatrzymujecie książki?

— Jak to po co? To oczywiście głupota, ale człowiek jest tylko człowiekiem i w którymś momencie nie wytrzymuje. A poza tym... burmistrz uśmiechnął się wstydliwie. — Śmieszne naturalnie, ale chodzą plotki, że oni bez książek nie mogą... jak normalni ludzie bez jedzenia i tak dalej...

Zapadła cisza. Wiktor bez apetytu dłużył widelcem w befsztyku i rozmyślał. Mało wiem o mokrzakach — a to co wiem nie budzi we mnie sympatii. Być może chodzi o to, że niezbyt lubiłem ich w dzieciństwie. Ale za to burmistrza i jego bandę znam dobrze, sadło i śmietana narodu, sfera prezydenta, czarna sotnia... Nie, jeśli wy jesteście przeciwko mokrzakom, to znaczy, że w mokrzakach coś jednak jest... Z drugiej strony mogę napisać artykuł, choćby nie wiem jak rozpasany, to i tak nikt nie zaryzykuje jego druku, a burmistrz będzie zadowolony, miałbym przynajmniej jakąś korzyść, żyłbym sobie tutaj śpiewając... Jaki prawdziwy pisarz może się pochwalić, że żyje jak pączek w maśle? Mógłbym się tu urządzić, dostać synekurę, zostać na przykład jakimś inspektorem magistrackim do spraw miejskich plaż i pisać sobie na zdrowie... o tym jak wspaniale żyje się człowiekowi pochłoniętemu ukochaną pracą... i wygłaszać na ten temat odczyty dla wunderkindów... E tam, wszystko polega na tym, żeby kiedy ci plują w pysk udawać, że to deszcz i spokojnie wytrzeć twarz. Na początku ze wstydem, potem ze zdziwieniem, a wreszcie, zanim się człowiek obejrzy, zacznie się wycierać z godnością i nawet będzie miał z tego satysfakcję...

— My, rzecz jasna, w żadnym razie nie nakłaniamy pana do pośpiechu — powiedział burmistrz. — Jest pan człowiekiem zapracowanym i tak dalej. Powiedzmy w granicach tygodnia, co? Wszystkie materiały otrzyma pan od nas, możemy nawet dostarczyć coś w rodzaju schematu, planu, według którego życzylibyśmy sobie... a pan tylko wygładzi wprawna ręką i rzecz nabierze właściwego blasku. A podpisaliby się pod tym artykułem trzej wybitni synowie naszego miasta: poseł do parlamentu Roscheper Nant, sławny pisarz Baniew i państwowy laureat doktor Rem Kwadryga...

Nieźle mu to idzie, pomyślał Wiktor. A my, ci z drugiej strony, nie mamy nawet cienia takiej wytrwałości. Byłoby bicie piany, chodzenie dookoła Wojtek — żeby tylko nie urazić

człowieka, nie poddawać go przesadnej presji, żeby tylko nie daj Boże nie posądził nas o prywatę... Wybitni synowie miasta! A przecież ten łajdak jest absolutnie pewny, że ja ten artykuł napiszę i podpiszę, że nie mam wyjścia, że zesłany Baniew będzie musiał podnieść ręce do góry i w pocie duszy odpracować swój beztroski pobyt w rodzinnym mieście... i o schemacie wspomniał... dobrze wiemy, jaki to musi być schemat, żeby obryzganego prezydencką śliną Baniewa nawet teraz można było wydrukować. Ta — ak, panie Baniew, lubi pan koniak, lubi pan dziewczynki, i marynowane minogi z cebulką też pan lubi, więc musisz pan polubić pana burmistrza...

— Zastanowię się nad pańską propozycją — powiedział uśmiechając się. — Pomysł wydaje mi się wystarczająco interesujący, a zrealizowanie go wymaga pewnej ugody z sumieniem — obleśnie mrugnął do burmistrza.

Burmistrz zarechotał.

— No a jak! „Sumienie narodu, wierne zwierciadło” i tak dalej...

Pamiętam, jakże inaczej... — ponownie nachylił się do Wiktora z miną spiskowca. — Zapraszam pana na jutro do siebie — zahuczał. Będą wyłącznie sami swoi. Tylko uprzedzam, bez żon.

— Tu — powiedział Wiktor wstając — jestem zmuszony stanowczo odrzucić pańską propozycję. Mam ważne sprawy — znowu obleśnie mrugnął. — W sanatorium.

Rozstali się nieomal jak przyjaciele. Pisarz Baniew został zaliczony do miejscowej elity i, żeby doprowadzić do porządku roztrzęsione takim zaszczytem nerwy, zmuszony był wychłptać szklaneczkę koniaku natychmiast, jak tylko plecy pana burmistrza znikły za drzwiami. Można oczywiście wyjechać stąd do wszystkich diabłów, myślał Wiktor. Za granice, mnie nie wypuszczą, zresztą nie chcę wyjeżdżać za granicę, co ja tam będę robić, wszędzie jest tak samo. Ale i w tym kraju znajdzie się sporo miejsc, w których można się schować i przesiedzieć. Wyobraził sobie słoneczne przestrzenie, bukowe zagajniki, upajające powietrze, milczących farmerów, zapachy mleka i miodu... i nawozu, i komary, i smród z wychodka, i straszliwą nudę... staroświeckie telewizory oraz miejscową inteligencję: cwany pop — dziwkarz, wiecznie pijany nauczyciel, samogon... Zresztą co tu gadać, jest gdzie pojechać. Ale przecież tylko tego im trzeba, żebym gdzieś wyjechał, żebym zszedł z oczu, skrył się w mysiej dziurze, i to z własnej woli, bez przymusu, ponieważ gdyby mnie zesłali, podniósłby się krzyk, hałas, mieliby kłopoty... na tym polega cały problem, że będą bardzo zadowoleni — wyjechał, zamknął się, nikt o nim nie pamięta, przestał brzdąkać...

Wiktor zapłacił, poszedł do swojego numeru, włożył płaszcz i wyszedł na deszcz. Ni stąd, ni zowąd nagle bardzo zapragnął znowu zobaczyć Irmę, porozmawiać z nią o postępie, wyjaśnić dlaczego tak dużo pije (a rzeczywiście, dlaczego ja tak dużo piję?) i być może siedzi tam u niej Bol-Kunac, ale Loli z pewnością nie będzie... Ulice były mokre, szare, puste, w ogródkach spokojnie konały jabłonie. Wiktor po raz pierwszy zauważył, że niektóre domy mają drzwi i okna zabite deskami. Jednak miasto bardzo się zmieniło — pochylone płoty, pod gzymsy zapełzła biała pleśń, wypływały kolory, a na ulicach niepodzielnie królował deszcz. Deszcz padał po prostu jak deszcz, deszcz prószył z dachów drobnutkiem wodnym pyłem, deszcz zbierał się na wietrze w mgliste wirujące słupy wędrujące od ściany do ściany, deszcz rozlewał się po jezdni i pomykał po wyżłobionych między kamieniami rowkach. Czarno — szare chmury powoli pełzły tuż nad dachami. Człowiek był nieproszonym gościem na ulicach i deszcz nie okazywał mu żadnych względów.

Wiktor wyszedł na plac i zobaczył ludzi, którzy stali pod daszkiem przed wejściem na komendę policji: dwóch policjantów w mundurowych płaszczach i niziutki umorusany chłopak w roboczym kombinezonie. Przed wejściem lewymi kołami na trotuarze stała nie zgrabna furgonetka z brezentową budą. Jednym z policjantów był policmajster, patrzył w bok wysuwając naprzód potężną szczękę, a chłopiec rozpaczliwie gestykulując o czymś go przekonywał płaczliwym głosem. Drugi policjant również milczał z niezadowolonym

wyrazem twarzy, i palił papierosa. Wiktor zbliżał się do nich i, kiedy mu pozostało jeszcze mniej więcej piętnaście kroków, zaczął słyszeć co mówi chłopiec. Chłopiec krzyczał:

— A co ja mam z tym wspólnego? Jechałem prawidłowo? Prawidłowo. Papiery mam w porządku? W porządku. Ładunek legalny, tu są faktury. Pierwszy raz tu przyjeżdżam, czy co?

Policmajster zauważył Wiktora i na jego twarzy pojawił się wyjątkowo nieprzyjazny grymas. Odwrócił się, i jakby w ogóle nie zauważając kierowcy powiedział do policjanta:

— A więc zostajesz tutaj. Pilnuj, żeby wszystko było w porządku. Nie włącz do kabiny, bo wszystko pokradną. I nikomu nie wolno zbliżać się do samochodu. Jasne?

— Jasne — odpowiedział policjant. Był wyjątkowo niezadowolony.

Szef policji zszedł ze schodków, wsiadł do swojego samochodu i odjechał. Umorusany chłopak splunął ze złością i odwołał się do Wiktora.

— Niech pan chociaż powie, czy ja jestem winny, czy nie? — Wiktor przystanął i chłopca to zdopingowało. — Normalnie sobie jadę. Wiozę książki do obozu specjalnego. Woziłem już tysiące razy. A teraz, znaczy, zatrzymują mnie i każą jechać na policję. Za co? Jechałem prawidłowo? Prawidłowo. Papiery mam w porządku? W porządku, tu jest faktura. Licencję mi zabrali, żebym nie uciekł. A dokąd mam uciekać?

— Przestań już się wydzierać — powiedział policjant.

Chłopiec żywo odwrócił się do niego.

— Więc co ja takiego zrobiłem? Niech pan powie, czy przekroczyłem szybkość? Nie przekroczyłem. Przecież mi potracą za przestój. I papiery mi zabraliście...

— Wszystko się wyjaśni — powiedział policjant. — I czego ty się denerwujesz? Idź, posiedź sobie w knajpie i radzę ci pilnuj swego nosa.

— Ech, władzuchna kochana! — zawołał chłopak i z rozmachem wcisnął kaszkiet na głowę. — Nie ma sprawiedliwości na świecie! Pojedziesz na lewo — zatrzymają, na prawo pojedziesz — też zatrzymają — zaczął schodzić ze stopni, ale przystanął i powiedział do policjanta: — Może mandat pan weźmie, albo jakoś inaczej.

— Idź, już idź — powiedział policjant.

— Bo mnie obiecali premię za pośpiech! Całą noc jechałem.

— Idź stąd, powiedziałem — powtórzył policjant.

Chłopak ponownie splunął, podszedł do swojej furgonetki, dwa razy kopnął przednie koło, potem nagle przygarbił się, wsunął ręce do kieszeni, pobiegł przez plac.

Policjant spojrział na Wiktora, spojrział na ciężarówkę, spojrział na niebo, papieros mu zgasł, wypluł niedopałek i odrzucając po drodze kaptur wszedł do budynku komendy.

Wiktor stał przez czas jakiś, następnie powoli obszedł ciężarówkę dookoła. Ciężarówka była ogromna, potężna, kiedyś na takich wożono piechotę zmotoryzowaną. Wiktor rozejrzał się. Kilka metrów przed samochodem stał skręciwszy na bok przednie koło i moknął pod deszczem policyjny „Harley”, i nic więcej w pobliżu nie było. Dogonić to mnie dogonią, pomyślał Wiktor, ale diabła zjedzą, jeśli mnie zatrzymają. Nagle zrobiło mu się wesoło. A co, pomyślał — znany pisarz Baniew znowu się schlał i porwał w celach rozrywkowych cudzy samochód, na szczęście obeszło się bez ofiar... Wiedział, że sprawa wcale nie wygląda tak prosto, że nie będzie pierwszym, który dostarczy władzom eleganckiego pretekstu, aby przymknąć niewygodnego człowieka, ale nie miał ochoty się zastanawiać, miał ochotę poddać się impulsowi. W ostatecznym razie napiszę tej kanalii artykuł — pomyślał mimochodem.

Szybko otworzył drzwi do szoferki i usiadł przy kierownicy. Klucza w stacyjce nie było, musiał zerwać kable zapłonu i połączyć druty. Kiedy silnik zapalił, Wiktor zanim zatrzasnął drzwi, spojrział za siebie na wejście do komendy. Stał tam ten sam policjant z tym samym wyrazem niezadowolenia na twarzy i z papierosem w kąciку warg. Było jasne, że jeszcze nic do niego nie dotarło. Wiktor zamknął drzwi, precyzyjnie zjechał na jezdnię, zmienił bieg i dał gazu w najbliższą ulicę.

To było bardzo przyjemne — pędzić po pustych niewątpliwie ulicach wznosząc kołami wielkie wodospady z głębokich kałuż, obracać ciężką kierownicę napierając na nią całym ciałem — obok fabryki konserw, obok stadionu, na którym „Bracia w sapiencji” jak mokre mechanizmy wciąż kopali swoje piłki i dalej szosą, po wyrwach, podskakując na siedzeniu i słysząc jak z tyłu ciężarówka za każdym razem ciężko opada źle umocowany ładunek. W lusterku nie widać było pogoni, zresztą trudno byłoby ją zauważyć w takim deszczu. Wiktor czuł się bardzo młody, bardzo komuś potrzebny i nawet trochę pijany. Z dachu szoferki mrugały do niego śliczne dziewczyny wycięte z ilustrowanych pism, w schowku znalazł paczkę papierosów i było mu tak dobrze, że omal nie przegapił skrzyżowania, ale w porę przyhamował i skręcił zgodnie z drogowskazem „Leprozorium — 6 km”. I wtedy poczuł się jak odkrywca nieznanymi dróg, ponieważ nigdy tędy nie jeździł i nie chodził. A droga okazała się dobra, zupełnie inaczej niż magistracka szosa — początkowo bardzo równy i zadbanej asfalt, potem nawet beton i kiedy zobaczył betonowe płyty, od razu przypomniał sobie o żołnierzach i drucie kolczastym, a po pięciu minutach to zobaczył.

Ogrodzenie — jeden rząd drutów — ciągnęło się po obu stronach betonowej drogi i zniknęło gdzieś w deszczu. Zamykała drogę wysoka brama z budką strażniczą, drzwi budki były otwarte i na jej progu stał już żołnierz w hełmie, w długich butach i w wojskowej pelerynie, spod której wysuwała się lufa automatu. Jeszcze jeden żołnierz, bez hełmu, wyglądał przez okienko. „Nigdy jeszcze nie siedziałem w łagrze” — zanucił Wiktor — „ale lepiej nie mówcie — podziękuj za to Bogu...” Zwolnił i zahamował przed samą bramą. Żołnierz wyszedł z budki i podszedł do ciężarówki — bardzo młody, piegowaty żołnierz, mógł mieć najwyżej osiemnaście lat.

— Dzień dobry — powiedział. — Czemu tak późno?

— Wynikły pewne okoliczności — odpowiedział Wiktor zdumiony takim liberalizmem.

Żołnierz przyjrzał się Wiktorowi i nagle zeszywniał.

— Pańskie dokumenty — powiedział sucho.

— Jakie tam dokumenty — powiedział wesoło Wiktor. — Mówię przecież: zaistniały okoliczności.

Żołnierz zacisnął wargi.

— Co pan przywiózł? — zapytał.

— Książki — powiedział Wiktor.

— A przepustkę pan ma?

— Jasne, że nie mam.

— Aha — powiedział żołnierz i jego twarz się rozjaśniła. — Ja też patrzę... W takim razie proszę poczekać.

— Niech pan weźmie pod uwagę — powiedział Wiktor unosząc wskazujący palec — że mogą mnie ścigać.

— Nie szkodzi, ja szybko — powiedział żołnierz i przytrzymując automat na piersi załomotał buciorami do wartowni.

Wiktor wysiadł z kabiny i stojąc na stopniu obejrzał się za siebie. Przez deszcz nie było nic widać. Wobec tego wrócił za kierownicę i zapalił papierosa. Wszystko wyglądało bardzo zabawnie. Przed nim, za drutami i za bramą także wirował deszcz, można było domyślać się, że stoją tam jakieś ciemne budowle — ni to domy, ni to wieże, ale wypatrzeć cokolwiek konkretnego było nie sposób. Czyżby mieli nie zaprosić mnie do środka? — pomyślał Wiktor. To będzie świństwo, jeśli mnie nie zaproszą. Można wprawdzie spróbować odwołać się do Golema, on na pewno gdzieś tu jest. Tak właśnie zrobię, pomyślał. Czyżbym nadaremnie okazał się bohaterem?...

Żołnierz znowu wyszedł z wartowni, a za nim wybiegł stary znajomy, przyszczaty chłopiec nihilista w samych kąpielówkach, bardzo teraz wesoły i bez żadnych śladów

wszechświatowego smutku. Wyprzedziwszy żołnierza wskoczył na stopień ciężarówka, zajrzał do szoferki, poznał, zdumiał się i roześmiał.

— Dzień dobry, panie Baniew! To pan? Jak fajnie... Przywiózł pan książki, prawda? A my czekamy, czekamy...

— No jak, wszystko w porządku? — zapytał zbliżywszy się żołnierz.

— Tak, to nasz samochód.

— Wobec tego wjeżdżaj — powiedział żołnierz. — A pan niestety będzie musiał wyjść i zaczekać.

— Chciałbym zobaczyć się z doktorem Golemem — powiedział Wiktor.

— Można go wywołać tutaj — zaproponował żołnierz.

— Hm — powiedział Wiktor i znacząco popatrzył na chłopca.

Chłopiec rozłożył ręce ze skrucą.

— Nie ma pan przepustki — wyjaśnił. — A oni bez przepustki nikogo nie wpuszczają. My byśmy z radością...

Nie pozostawało nic innego jak wyleźć na deszcz. Wiktor zeskoczył na drogę, włożył kaptur i patrzył, jak rozwarła się brama, ciężarówka szarpnęła i podrygując wpełzła za ogrodzenie, brama zamknęła się. Czas jakiś jeszcze Wiktor słyszał wycie silnika i skowyt hamulców, a potem nie było słyhać już nic oprócz plusku i szmeru. A więc tak, pomyślał Wiktor. A ja? Poczł rozczarowanie. Dopiero teraz zrozumiał, że zdecydował się na bohaterstwo nie całkiem bezinteresownie, że miał nadzieję dużo zobaczyć i dużo zrozumieć... przeniknąć, jeśli można tak powiedzieć, do epicentrum. No i diabli z wami, pomyślał. Popatrzył na drogę. Do skrzyżowania sześć kilometrów, od skrzyżowania do miasta kilometrów dwadzieścia. Można oczywiście od skrzyżowania do sanatorium — dwa kilometry. Niewdzięczne świnię... Na deszczu... W tym momencie zauważył, że deszcz osłabł. Dzięki Bogu choć za to — pomyślał.

— Więc mam wywołać pana Golema? — zapytał żołnierz.

— Golema? — Wiktor się ożywił. Właściwie dobrze by było przegonić tego starego grzyba pod deszczem tam i z powrotem, poza tym Golem ma samochód i flaszkę. — A tak, poproszę.

— To jest do zrobienia — powiedział żołnierz. — Wywołamy go.

Tylko że on raczej nie przyjdzie, na pewno powie, że jest zajęty.

— To nic — powiedział Wiktor. — Niech pan mu powie, że Baniew go prosi.

— Baniew? Dobrze, powiem. Ale on i tak nie przyjdzie. Ale dla mnie to żaden kłopot. Znaczą, Baniew... — i żołnierz odszedł, taki sympatyczny żołnierz, nic tylko same piegi pod hełmem.

Wiktor zapalił papierosa i wtedy rozległ się trzask motocykla. Zza mgielnej zasłony z obłąkaną szybkością wynurzył się „Harley” z przyczepą, podjechał pod samą bramę i zahamował. Na siodelku siedział ten sam policjant z niezadowoloną twarzą, drugi zakutany w brezent po same oczy siedział w przyczepie. Zaraz się zaczęło, pomyślał Wiktor naciągając głębiej kaptur. Ale nic mu to nie pomogło. Policjant z niezadowoloną twarzą zsiadł z motocykla, podszedł do Wiktora i ryknął:

— Gdzie ciężarówka?

— Jaka ciężarówka? — ze zdumieniem zapytał Wiktor, żeby zyskać na czasie.

— Niech pan nie udaje! — wrzasnął policjant. — Widziałem pana! Sąd się panem zajmie! Porwanie aresztowanego samochodu!

— Proszę na mnie nie wrzeszczeć — zaprotestował Wiktor z godnością. — Co to za chamstwo? Złożę na pana skargę.

Drugi policjant wyplątując się po drodze z brezentowych pokrowców podszedł i zapytał:

— Ten?

— Jasne, że ten — powiedział policjant z niezadowoloną twarzą wyciągając z kieszeni kajdanki.

— No-no — powiedział Wiktor cofając się o krok. — Co to za samowola? Jak pan śmie?

— Niech pan nie pogarsza swojej sytuacji stawianiem oporu poradził drugi policjant.

— A ja nie poczuwam się do żadnej winy — bezczelnie oświadczył Wiktor i wsadził ręce do kieszeni. — Chyba pomyliliście mnie z kimś panowie.

— Uprowadził pan ciężarówkę — powiedział drugi policjant.

— Jaką ciężarówkę? — krzyknął Wiktor. — Jaką znowu ciężarówkę? Przyszedłem tu w gości do pana Golema, naczelnego lekarza. Zapytajcie wartowników. Co ma z tym wspólnego jakaś ciężarówka?

— A może to nie ten? — zwątpił drugi policjant.

— Jak to nie ten? — zaprotestował policjant z niezadowoloną miną.

Trzymając w pogotowiu kajdanki ruszył na Wiktora. — No, dawać ręce! — powiedział rzeczowo.

W tym momencie trzasnęły drzwi wartowni i wysoki, przeraźliwy głos zawołał:

— Rozejść się!

Wiktor i policjanci wzdrygnęli się. Na progu wartowni stał piegowaty żołnierz wystawiając spod peleryny automat.

— Odejść od bramy! — krzyknął.

— Ej, ty spokojniej! — powiedział policjant z niezadowoloną twarzą. — Policja!

— Gromadzenie się przed bramą strefy specjalnej w ilości większej od jednego postronnego jest zabronione! Po trzykrotnym ostrzeżeniu będę strzelać! Cofnąć się od bramy!

— Lepiej odejdźcie panowie — z zatroskaniem powiedział Wiktor, lekko popychając obu policjantów. Policjant z niezadowoloną twarzą popatrzył na niego stropiony, odsunął jego rękę i zrobił krok w kierunku żołnierza.

— Czy ty chłopcze oszalał? — zapytał. — Ten typ uprowadził ciężarówkę.

— Żadnych ciężarówek! — przeciągle i przeraźliwie wrzasnął sympatyczny i serdeczny żołnierz. — Ostatnie ostrzeżenie! Dwaj mają odejść na sto metrów od bramy!

— Słuchaj Roch — powiedział drugi policjant. — Chodź, odejdziemy, niech ich trafi szlag. Facet nam nigdzie nie ucieknie.

Policjant z niezadowoloną twarzą, purpurowy z wściekłości nawet ponownie otworzył usta, ale wtedy w drzwiach pojawił się gruby sierżant z ogryzioną kanapką w jednym ręku i ze szklanką w drugiej.

— Szeregowy Dżura — powiedział przeżuując. — Dlaczego nie otwieracie ognia?

Na piegowatej twarzy pod hełmem pojawiło się zezwierzęcenie. Policjanci rzucili się do motocykla, osiodłali go, zawrócili obok Wiktora, który stanął w pozie regulującego ruch, i odjechali. Purpurowy policjant coś do niego krzyknął, czego nie sposób było usłyszeć w trzeszczeniu silnika. Odjechali o pięćdziesiąt kroków. I zatrzymali się.

— Blisko — powiedział sierżant z dezaprobatą. — Na co ty czekasz? Przecież za blisko.

— Dalej! — przeraźliwym głosem krzyknął żołnierz wymachując automatem. Policjanci odjechali dalej i znikli z oczu.

— Postronnym nie wolno gromadzić się pod bramą — zawiadomił sierżant żołnierza patrząc na Wiktora. — No dobra. — Pełnij dalej służbę — wrócił na wartownię, a piegowaty żołnierz, uspokajając się z wolna kilkakrotnie przespacerował się tam i z powrotem przed bramą.

Odczekawszy kilka minut Wiktor zapytał ostrożnie.

— Przepraszam bardzo, ale co słyhać z doktorem Golemem?

— Nie ma go — odburknął żołnierz.

— Jaka szkoda — powiedział Wiktor. — W takim razie chyba sobie pójdę... — popatrzył na mgłę i deszcz, w której skryli się policjanci.

— Jak to — pójdzie sobie pan? — zaniepokoił się żołnierz.
— A co — nie można? — również niespokojnie zapytał Wiktor.
— Dlaczego nie można? — odpowiedział żołnierz. — A co z ciężarówką? Pan odejdzie, a ciężarówka? Ciężarówki należy odprowadzać od bramy.
— A co ja mam z tym wspólnego? — zapytał Wiktor coraz bardziej zaniepokojony.
— Jak to — co? Pan ją przyprowadził, pan ją... tego... zawsze się tak robi, jakże inaczej?
Do diabła, pomyślał Wiktor, co ja z nim zrobię. Z odległości stu metrów dobiegał trzask silnika motocykla pracującego na jałowym biegu.
— Pan ją naprawdę porwał? — zapytał żołnierz z ciekawością.
— A tak! Policja zatrzymała kierowcę, a ja jak głupi postanowiłem wam pomóc...
— T-aak... — współczująco powiedział żołnierz. — Naprawdę nie wiem, co panu poradzić.
— A jeśli, powiedzmy, teraz sobie pójde? — chytrze zapytał Wiktor. — Nie będzie pan strzelać?
— Nie wiem — uczciwie przyznał żołnierz. — Tak jakby nie było rozkazu. Zapytać?
— Zapytać — powiedział Wiktor zastanawiając się, czy zdąży uciec poza granicę widoczności, czy nie.

W tej samej chwili za bramą odezwał się klakson. Brama otwarła się i ze strefy powoli wytoczyła się pechowa furgonetka. Zatrzymała się obok Wiktora, drzwi się uchyliły i Wiktor zobaczył, że za kierownicą siedzi już nie chłopiec, jak oczekiwał, a łysy przygarbiony mokrzak i patrzy na niego. Wiktor nie ruszył się z miejsca, wtedy mokrzak zdjął z kierownicy rękę w czarnej rękawiczce i zapraszająco poklepał siedzenie obok siebie. Raczyl się zniżyć, gorzko pomyślał Wiktor. Żołnierz radośnie powiedział:

— No więc wszystko dobrze się skończyło, niech pan jedzie z Bogiem.

Wiktorowi przeleciała przez głowę myśl, że jeśli już mokrzak sam zamierza odstawić samochód do miasta, czy gdzieś tam jeszcze, słowem, jeśli zamierza wdać się w konflikt z policją, to dobrze byłoby się natychmiast pożegnać i prosto przez pole dać nogę do sanatorium, omijając zaczajonego w zasadzce „Harleya”.

— Tam na drodze czeka policja — powiedział do mokrza.

— Nie szkodzi, niech pan siada — powiedział mokrzak.

— Rzecz w tym, że ja ukradłem tę ciężarówkę, chociaż była zatrzymana.

— Wiem — cierpliwie powiedział mokrzak. — Niech pan siada.

Okazja była stracona. Wiktor uprzejmie i serdecznie pożegnał się z żołnierzem, wdrapał się na siedzenie i zatrzasnął drzwi. Ciężarówka ruszyła i po minucie zobaczyli „Harleya”. „Harley” stał w poprzek szosy, obaj policjanci stali obok i gestami nakazywali zjechać na pobocze. Mokrzak zahamował, zgasił silnik, i wysuwając się z szoferki powiedział: — Proszę zabrać motocykl, panowie zagrodziliście drogę.

— Zjechać na pobocze! — rozkazał policjant o niezadowolonej twarzy. — I okazać dokumenty.

— Jadę na komendę policji — powiedział mokrzak. — Być może tam sobie porozmawiamy?

Policjant nieco się stropił i wymruczał coś w rodzaju: „znamy was”. Mokrzak spokojnie czekał.

— Dobrze — powiedział wreszcie policjant. — Tylko ja poprowadzą samochód, a tamten niech się przesiądzie do motocykla.

— Proszę bardzo — zgodził się mokrzak. — Ale jeśli można motocyklem pojedę ja.

— Jeszcze lepiej — mruknął policjant o niezadowolonej twarzy i nieomal się rozjaśnił. — Niech pan wysiada.

Zmienili się miejscami. Policjant złowieszczo zezując na Wiktora zaczął się kręcić i wiercić na siedzeniu poprawiając płaszcz, a Wiktor zezując na policjanta patrzył jak mokrzak

gapiąc się jeszcze bardziej i człapiąc, podobny z tyłu do wielkiej, chudej małpy, idzie w stronę motocykla, usadawia się w przyczepie. Deszcz znowu lunął jak z cebra i policjant włączył wycieraczki. Kawalkada ruszyła.

Chciałbym wiedzieć, czym to wszystko się skończy, z niejaką niewygodą psychiczną pomyślał Wiktor. Niewyraźną nadzieję budził zamiar mokrzaka pojawienia się na policji. Jakieś rozwydrzone są te dzisiejsze mokrzaki... Ale grzywnę w każdym wypadku ze mnie zedrą, tego nie uniknę. Nie ma takiej policji, która nie zedrze z człowieka grzywny, jeśli tylko ma okazję... A tam, olewam ich, tak czy inaczej będę musiał zwijać żagle. Wszystko będzie dobrze. Przynajmniej jest mi lżej na duszy... Wyciągnął paczkę, papierosów i poczęstował policjanta. Policjant chrząknął z oburzeniem, ale papierosa wziął. Zapalniczka mu się popsowała więc musiał chrząknąć po raz wtóry, kiedy Wiktor podał mu ogień. Właściwie można go było zrozumieć, tego niemłodego, gdzieś tak czterdziestopięcioletniego człowieka, który ciągle jeszcze był młodszym policjantem, prawdopodobnie byłego kolaboranta, sadzał nie tych co trzeba, i nie tym co trzeba włożył w dupę, zresztą, skąd taki może się znać na cudzych dupach — która właściwa, a która nie... Policjant palił papierosa i minę miał już mniej niezadowoloną. Ech, gdybym miał przy sobie flaszkę, pomyślał Wiktor. Dałbym mu golnąć, opowiedziałbym kilka irlandzkich kawałów, nauręgałbym władzy co to wyłącznie swoich protegowanych awansuje, studentom bym naubliżał i kto wie może by facet się rozchmurzył.

— Ależ leje, coś niebywałego — powiedział Wiktor.

Policjant chrząknął w miarę neutralnie, bez złości.

— Przecież jaki tu kiedyś był klimat — ciągnął Wiktor i w tym momencie go olśniło. — A zauważył pan? U nich tam w leprozorium deszcz nie pada, a kiedy tylko podjeżdża się do miasta od razu ulewa.

— Szkoda słów — powiedział policjant. — Oni się tam w leprozorium nieźle urządzili.

Kontakt był coraz lepszy. Porozmawiali o pogodzie jaka kiedyś była i jaka się, do wszystkich diabłów, zrobiła. Odkopali wspólnych znajomych w mieście. Pogadali o życiu w stolicy, o mini spółniczkach, o trądzie homoseksualizmu, o importowanej brandy i o narkotykach z przemytu. Naturalnie zgodzili się, że nie ma teraz prawdziwego porządku — nie to co przed wojną i zaraz po wojnie. Że policjant ma pieskie życie, chociaż pisali w gazetach: szlachetni i surowi stróże porządku, niezastąpione koło napędowe państwowego mechanizmu. A tymczasem znowu podwyższyli wiek emerytalny, za to obniżyli emerytury, za zranienie przy pełnieniu obowiązków służbowych, dają grosze, i do tego odebrali teraz broń — komu w takich warunkach chce się wyłazić ze skóry... Słowem powstała taka sytuacja, że gdyby jeszcze parę dobrych łyków to policjant powiedziałby. „Dobra chłopie, Bóg z tobą, ja ciebie nie widziałem i ty mnie nie widziałeś”. Jednakże paru łyków nie było, a chwila dla wręczenia stosownego banknotu nie dojrzała, tak że kiedy ciężarówka podjechała pod komendę, policjant znowu sponurzał i sucho przykazał Wiktorowi iść za sobą i to szybko.

Mokrzak odmówił udzielenia wyjaśnień dyżurnemu oficerowi i zażądał, aby niezwłocznie zaprowadzono ich do komendanta. Dyżurny odpowiedział, że proszę bardzo, osobiście naczelnik z pewnością pana przyjmie, co zaś dotyczy tego tu pana, to jest on oskarżony o uprowadzenie samochodu, więc do naczelnika iść nie ma po co, natomiast należy go przesłuchać i sporządzić odpowiedni protokół. Nie, twardo i spokojnie powiedział mokrzak, nic z tych rzeczy, pan Baniew nie będzie musiał odpowiadać na żadne pytania, i żadnych protokołów pan Baniew nie będzie podpisywał, ponieważ istnieją w tej sprawie okoliczności dotyczące wyłącznie pana policmajstra. Dyżurny, któremu było dokładnie wszystko jedno, wzruszył ramionami i poszedł zameldować. W czasie, kiedy meldował, zjawił się kierowca w roboczym kombinezonie, który o niczym nie wiedział i był na niezłej bani, więc z miejsca zaczął krzyczeć o sprawiedliwości, niewinności i innych okropnych rzeczach. Mokrzak ostrożnie zabrał mu fakturę, którą szofer wymachiwał, przysiadł na barierce i podpisał papier

zgodnie z wszelkimi formalnościami. Szofer tak się zdumiał, że aż zamilkł, i wtedy Wiktora z mokrzakiem zaproszono do policmajstra.

Policmajster przyjął ich surowo. Na mokrzaka patrzył z niezadowoleniem, a na Wiktora starał się nie patrzeć w ogóle.

— Czego panowie sobie życzą? — zapytał.

— Pozwoli pan, że usiądziemy? — poinformował się mokrzak.

— Proszę — z przymusem powiedział policmajster po krótkiej pauzie.

Wszyscy usiedli.

— Panie policmajstrze — powiedział mokrzak. — Jestem upoważniony do złożenia na pańskie ręce stanowczego protestu z powodu powtórnego, sprzecznego z prawem zatrzymania ładunków adresowanych do leprozorium.

— Tak, słyszałem o tym — powiedział policmajster. — Kierowca był pijany, i byliśmy zmuszeni zatrzymać go. Przypuszczam, że w najbliższych dniach wszystko się wyjaśni...

— Policja zatrzymała — nie kierowcę, tylko ładunek — oświadczył mokrzak. — Jednakże nie jest to takie istotne. Dzięki uprzejmości pana Baniewa ładunek został dostarczony z niewielkim zaledwie opóźnieniem i powinien pan być zobowiązany obecnemu tu panu Baniewowi, ponieważ poważne opóźnienie ładunku z pańskiej, panie policmajstrze, winy, mogłoby stać się przyczyną po ważnych nieprzyjemności dla pana osobiście.

— To zabawne — powiedział policmajster. — Nie rozumiem i nie życzę sobie rozumieć, o czym pan mówi, ponieważ jako osoba oficjalna nie zamierzam słuchać pogrózek. Co zaś dotyczy pana Baniewa, to na tę okoliczność istnieją określone artykuły kodeksu karnego, w których takie przypadki są przewidziane. — Wyraźnie unikał patrzenia na Wiktora.

— Widzę, że pan naprawdę nie rozumie swojej sytuacji — powiedział mokrzak. — Ale jestem upoważniony do zawiadomienia pana, że w przypadku kolejnego zatrzymania naszych ładunków będzie pan miał do czynienia z generałem Pferd.

Zapadło milczenie. Wiktor nie wiedział, kto to taki generał Pferd, natomiast policmajstrowi to nazwisko najwidoczniej było dobrze znane.

— Wydaje mi się, że to jest groźba — powiedział niepewnie.

— Owszem — zgodził się mokrzak — i do tego groźba więcej niż realna.

Policmajster gwałtownie wstał, Wiktor i mokrzak również.

— Przyjmuję do wiadomości wszystko, co dzisiaj usłyszałem oznajmił policmajster. — Pański ton pozostawia wprawdzie sporo do życzenia, jednakże obiecuję osobom, które pana upoważniły, że zajmę się sprawą i jeżeli znajdą się winni, zostaną ukarani. Wjednakowym stopniu dotyczy to również pana Baniewa.

— Panie Baniew — powiedział mokrzak — jeśli policja będzie panu robiła wstręty z powodu tego incydentu, proszę niezwłocznie zawiadomić doktora Golema.

— Do widzenia — powiedział do policmajstra.

— Wszystkiego dobrego — odrzekł tamten.

O ósmej wieczorem Wiktor zszedł do restauracji i już zamierzał udać się do swojego stolika, przy którym rezydowało zwykle towarzystwo, kiedy odwołał go Teddy.

— Czołem Teddy — powiedział Wiktor opierając się o ladę. — Co słyhać? — i w tym momencie przypomniał sobie. — A, Rachunek...

Czy ja wczoraj bardzo...?

— Rachunek to głupstwo — wymruczał Teddy. — Nic poważnego, rozbiłeś lustro i wyrwałeś umywalkę. Ale czy pamiętasz policmajstra?

— A co takiego? — zdziwił się Wiktor.

— No tak, wiedziałem, że nie zapamiętasz. Oczywiście, bracie niczym gotowany prosiak, nic nie kombinowałeś. A więc ty — wycelował w pierś Wiktora palec wskazujący — zamknąłeś biedaka w kiblu, podparłeś drzwi miotłą i nie wypuszczałeś. A myśmy nie

wiedzieli, kto tam siedzi, on dopiero co przyszedł, myśleliśmy że to Kwadryga. No to i dobrze, myślimy, niech sobie posiedzi... — A potem go stamtąd wyciągnąłeś, zacząłeś krzyczeć — ach, biedak jak on się uświł! — i wsadziłeś mu łeb do umywalki. Umywalka urwała się, a my ledwie cię odciągnęliśmy.

— Serio? — zapytał Wiktor. — No, no. To już wiem, dlaczego on dzisiaj patrzył na mnie wilkiem.

Teddy współczująco pokiwał głową.

— O, do diabła — powiedział Wiktor. — Głupia historia. Chyba muszę go przeprosić... Ale jak mi się udało? Taki silny chłop...

— Boję się, żeby cię nie wrobili — powiedział Teddy. — Dziś rano łąził tu jeden tajniak, spisywał zeznania... sześćdziesiąty trzeci artykuł masz jak w banku — naruszenie godności osobistej w obciążających okolicznościach. A może być jeszcze gorzej. Akt terrorystyczny. Rozumiesz, czym to pachnie? Ja bym na twoim miejscu... — Teddy pokręcił głową.

— Co? — zapytał Wiktor.

— Podobno przychodził do ciebie burmistrz — powiedział Teddy.

— Tak.

— No i co?

— Głupstwo. Chce, żebym napisał artykuł. Przeciwno mokrzakom.

— Aha — powiedział Teddy i ożywił się. — No, to w takim razie rzeczywiście głupstwo. Napisz mu ten artykuł i wszystko będzie w porządku. Jeśli burmistrz będzie zadowolony, policmajster nie odważy się słowa pisać, choćbyś go codziennie wpychał do sedesu. Burmistrz ma go o tutaj... — Teddy pokazał ogromną kościstą pięść. Więc wszystko w porządku. Z tej okazji naleję ci na rachunek zakładu. Czystej?

— Może być czysta — powiedział Wiktor z zadumą. Wizyta burmistrza objawiła mu się teraz w nowym świetle. Więc oni ze mną w ten sposób, pomyślał Wiktor. Ta — ak... Albo się wynoś, albo rób co ci każą, albo cię wykończymy. Nawiasem mówiąc, wynieść się też nie będzie łatwo. Akt terrorystyczny — będą szukać i znajdą. Jesteś, bracie, alkoholikiem, aż przykro patrzeć. I żeby chociaż byle kogo, ale policmajstra. Mówiąc szczerze, wymyślone i zrealizowane całkiem nieźle. Nie pamiętał nic oprócz zalanych wodą kafelków na podłodze, ale bardzo dobrze wyobrażał sobie tę scenę. Tak, kochany mój Wiktorze Baniew, mój miry, kuchenny opozycjonista, może nawet nie kuchenny tylko łazienkowy — pupilku pana prezydenta... tak, widocznie przyszedł twój czas i pora, żeby się sprzedać... Roc-Tusow, człowiek doświadczony, ma swoje zdanie na ten temat — sprzedawać należy się łatwo i drogo — im uczciwsze jest twoje pióro, tym drożej za nie zapłacą sprawujący władzę, więc nawet sprzedając się przynosisz straty przeciwnikowi i należy starać się, aby te straty były maksymalne... Wychylił kieliszek czystej, nie czując najmniejszej satysfakcji.

— Dobra, Teddy — powiedział. — Dziękuję. Daj rachunek. Dużo tam tego?

— Twoja kieszonka wytrzyma — uśmiechnął się Teddy. Wyjął z kasy kartkę. — Należy się od ciebie: za lustro w toalecie — siedemdziesiąt siedem, za umywalkę, porcelanową, dużą — sześćdziesiąt cztery, razem, jak sam rozumiesz, sto czterdzieści jeden. A lampę zapisaliśmy na tamtą awanturę. Jednego tylko nie rozumiem — ciągnął, patrząc, jak Wiktor odlicza pieniądze — czym ty to lustro rozbiłeś? Wielka tafla gruba na dwa palce. Głową w nią tłukłeś, czy co?

— Czyją? — ponuro zapytał Wiktor.

— Dobra, nie przejmuj się — powiedział Teddy biorąc pieniądze.

— Napiszesz artykuł, zrehabilitujesz się, jeszcze honorarium podłapiesz, i wyjdiesz na swoje. Jeszcze jedną?

— Nie trzeba, później... Przyjdę, jak zjem kolację — powiedział Wiktor i poszedł na swoje miejsce.

W restauracji wszystko było jak zwykle: półmrok, zapachy, dźwięk naczyń w kuchni; młody mężczyzna z teczką i swoim nieodłącznym towarzyszem nad butelką wody mineralnej; zgarbiony doktor R. Kwadryga; wyprostowany, elegancki pomimo kataru Pawor; rozlewający się w fotelu Golem z gąbczastym nosem rozpitego proroka. Kelner.

— Minogi — powiedział Wiktor. — Butelkę piwa. I jakieś mięso.

— No i dograł się pan — powiedział Pawor z wyrzutem. — Mówiłem, żeby pan przestał pić.

— Kiedy mi pan to mówił? Bo jakoś nie pamiętam.

— A czego się dograłeś? — zainteresował się doktor R. Kwadryga. — Nareszcie kogoś zamordowałeś?

— A ty nic nie pamiętasz? — zapytał Wiktor.

— Pytasz o wczoraj?

— Tak o wczoraj... Spiłem się jak pszczoła — powiedział Wiktor do Golema — zapędziłem pana policmajstra do klozetu...

— A—a—a! — powiedział R. Kwadryga. — To wszystko kłamstwo. Tak właśnie powiedziałem śledczemu. Dziś rano przyszedł do mnie śledczy. Rozumiecie panowie, straszliwa zgaga, głowa pęka, siedzę, wyglądam przez okno i wtedy pojawia się ten wał i zaczyna wrabiać człowieka, fastrygować przestępstwo...

— Jak pan powiedział? — zapytał Golem. — Fastrygować?

— No tak, fastrygować — powiedział R. Kwadryga przekłuwając wyobrażoną igłą wyobrażony materiał. — Tylko nie spodnie, a przestępstwo... Powiedziałem mu wprost: wszystko lipa, wczoraj cały wieczór przesiedziałem w restauracji, było cicho, przyzwoicie jak zawsze, żadnych skandali, jednym słowem okropna nuda... Będzie dobrze — pocieszył Wiktora. — Nie przejmuj się... A dlaczego to zrobiłeś? Ty go nie lubisz?

— Może nie mówmy już o tym — zaproponował Wiktor.

— To o czym mamy mówić? — zapytał urażony R. Kwadryga. Ci dwaj bez przerwy się spierają, kto kogo nie wpuszcza do leprozorium. Jak już raz na sto lat wydarzyło się coś ciekawego — to od razu — nie mówmy.

Wiktor odgryzł połowę minogi, zjadł ją, popił łyk piwa i zapytał.

— Kto to jest generał Pferd?

— Koń — powiedział R. Kwadryga. — Koń. Der Pferd. Albo das.

— A jednak — powiedział Wiktor — czy któryś z panów zna takiego generała?

— Kiedy służyłem w wojsku — powiedział doktor R. Kwadryganaszą dywizją dowodził jego ekscelencja generał od infanterii Arschmann.

— No i co z tego? — zapytał Wiktor.

— Arsch po niemiecku dupa — oznajmił milczący do tej chwili Golem. — Doktor żartuje.

— A gdzie pan usłyszał o generale Pferdzie? — zapytał Pawor.

— W gabinecie policmajstra — odparł Wiktor.

— No i co dalej?

— Nic. Więc nikt nic nie wie? I bardzo dobrze. Ja tylko tak sobie zapytałem.

— A feldfebel nazywał się Buttock — oznajmił R. Kwadryga. Feldfebel Buttock.

— Angielski też pan zna? — zapytał Golem.

— Owszem, w tych granicach — odpowiedział R. Kwadryga.

— Lepiej napijmy się — zaproponował Wiktor. — Kelner, butelkę koniaku!

— Po co butelkę? — zapytał Pawor.

— Żeby starczyło dla wszystkich.

— Znowu wywoła pan jakiś skandal.

— Niech pan przestanie, Pawor — powiedział Wiktor. — Abstynent się znalazł.

— Nie jestem abstynentem — zaprotestował Pawor. — Lubią wypić i nigdy nie przepuszczam okazji, żeby wypić, jak zresztą przystało na prawdziwego mężczyznę. Ale nie rozumiem, po co się upijać. A już zupełnie nie rozumiem, po co upijać się co wieczór.

— On znowu tu jest — powiedział z rozpaczą R. Kwadryga. I kiedy on zdążył?

— Nie będziemy się upijać — powiedział Wiktor rozlewając wszystkim koniak. — Po prostu wypijemy. Jak to robi w tej chwili połowa narodu. Druga połowa upija się, no i Bóg z nią, a my po prostu sobie wypijemy.

— I na tym właśnie wszystko polega — powiedział Pawor. — Kiedy kraj tonie w wódzie i to nie tylko kraj, ale cały świat, każdy przyzwoity człowiek powinien zachować zdrowy rozsądek.

— Pan uważa nas za przyzwoitych ludzi? — zapytał Golem.

— W każdym razie za kulturalnych.

— Moim zdaniem — powiedział Wiktor — kulturalni ludzie mają znacznie więcej powodów, żeby się upijać niż niekulturalni.

— Możliwe — zgodził się Pawor. — Jednakże człowiek kulturalny jest obowiązany trzymać się w ryzach. Kultura zobowiązuje... My, na przykład, siedzimy każdego wieczora, rozmawiamy, pijemy, gramy w kości. A czy ktoś z nas przez cały ten czas powiedział coś, już nie mówię mądrego, ale chociażby na serio? Śmiechy, żarciki... wyłącznie żarty i śmiechy.

— A po co — serio? — zapytał Golem.

— A po to, że wszystko leci w przepaść, a my się śmiejemy i żartujemy. Uczta w czasie zarazy. Moim zdaniem, panowie, to wstyd.

— No dobrze, Pawor — powiedział ugodowo Wiktor.

— Niech pan powie coś serio. Może nie być mądre, ale chociażby na serio.

— Nie życzę sobie niczego na serio — zakomunikował R. Kwadryga. — Pijawki. Sępy. Tfu!

— Cicho — powiedział mu Wiktor. — Śpij jak ci dobrze. Słusznie, Golem, porozmawiajmy chociaż raz o czymś poważnym. Pawor, niech pan zaczyna i opowie nam o przepaści.

— Znowu pan żartuje? — zapytał Pawor z goryczą.

— Nie — odparł Wiktor. — Słowo honoru, nie żartuję. Być może jestem ironiczny. Ale to dlatego, że przez całe swoje życie słuchana gadania o przepaściach. Wszyscy powtarzają, że ludzkość stoi nad przepaścią, ale udowodnić tego nikt nie potrafi. A kiedy przychodzi do konkretów, okazuje się, że ten cały filozoficzny pesymizm jest wynikiem kłopotów rodzinnych, lub braku środków finansowych...

— Nie — powiedział Fawor. — Nie... Ludzkość stoi nad przepaścią, ponieważ ludzkość zbankrutowała.

— Brak środków finansowych — wymamrotał Golem.

Pawor nie zwrócił na niego uwagi. Zwracał się wyłącznie do Wiktora. Pochylił głowę i mówił patrząc spode łba.

— Ludzkość zbankrutowała biologicznie, wskaźnik urodzeń jest coraz niższy, wzrasta częstotliwość raka, niedorozwój, nerwice, ludzie stają się narkomanami. Połykają setki hektolitrów alkoholu, tony nikotyny, po prostu narkotyków, począwszy od haszyszu i kokainy a kończąc na LSD. Po prostu degenerujemy się. Naturalną przyrodę zniszczyliśmy, a sztuczna zniszczy nas. Zbankrutowaliśmy ideologicznie, sprawdziliśmy wszystkie systemy filozoficzne, i wszystkie zdyskredytowaliśmy, wypróbowaliśmy wszystkie możliwe rodzaje moralności i etyki, ale pozostaliśmy tak samo amoralnymi bydlakami jak troglodcy. Ale najstraszniejsze jest to, że cała ta szara ludzka masa w naszych czasach jest równie łajdacka, jak była zawsze. Nieustannie pragnie i domaga się bogów, wodzów i porządku, i za każdym razem, kiedy otrzymuje bogów, wodzów i porządek, jest niezadowolona ponieważ tak naprawdę niczego jej nie trzeba, ani bogów, ani porządku, tylko chaosu, anarchii, chleba i

igrzysk. Teraz spętana jest żelazną koniecznością otrzymywania co tydzień koperty z wypłatą, ale ta konieczność jest jej wstrętna, więc ucieka od niej każdego wieczora w alkohol i narkotyki. Zresztą diabli z nią, z tą kupą gnijącego gówna, która cuchnie już dziewięć tysięcy lat i do niczego innego się nie nadaje może tylko śmierdzieć i cuchnąć. Straszne jest co innego — rozkład ogarnia i nas, ludzi z dużej litery, prawdziwe osobowości. Widzimy ten rozkład i wydaje się nam, że nas on nie dotyczy, ale przecież i nas zatruwa beznadziejnością, osłabia naszą wolę, powoli wchłania. A do tego nowe przekleństwo — demokratyczne wychowanie: egalite, fratemite, wszyscy ludzie są braćmi, wszyscy ulepiani z tej samej gliny... Nieustannie utożsamiamy się z motłochem, i mamy do siebie pretensję, jeśli przypadkiem odkrywamy, że jesteśmy od niego mądrzejsi, że mamy inne potrzeby, inne cele w życiu. Pora to zrozumieć i wyciągnąć wnioski — pora się ratować.

— Pora się napić — powiedział Wiktor. Już żałował, że zgodził się na poważną rozmowę z inspektorem sanitarnym. Na Pawora nieprzyjemnie było patrzeć. Za bardzo się gorączkował, zaczął nawet zezować. Wypadł z roli, a jak apologeta przepaści mówił straszliwe banały. Aż prosiło się, żeby mu powiedzieć: niech się pan przestanie kompromitować, Pawor, lepiej niech pan się ustawi profilem i ironicznie uśmiechnie.

— To wszystko, co mi pan ma do powiedzenia? — zapytał Pawor.

— Mogę jeszcze dać panu radę. Więcej ironii, Pawor. Niech się pan tak nie gorączkuje. I tak nic pan nie może zrobić. A nawet gdyby pan mógł, to nie wiedziałby pan co mianowicie.

Pawor uśmiechnął się ironicznie.

— A właśnie, że ja akurat wiem — powiedział.

— No?

— Jest tylko jeden sposób, żeby powstrzymać rozkład.

— Wiemy, wiemy — lekkomyślnie powiedział Wiktor. — Włożyć wszystkim idiotom złote koszule i kazać im maszerować. Cała Europa pod stopami. To już było.

— Nie — powiedział Pawor. — To tylko odroczenie. A wyjście jest jedno: zlikwidować masę.

— Jest pan dzisiaj w wyśmienitym nastroju — powiedział Wiktor.

— Zlikwidować dziewięćdziesiąt procent ludności — ciągnął Pawor. — Być może nawet dziewięćdziesiąt pięć. Masy wypełniły swoje przeznaczenie: zrodziły kwiat ludzkości, twórcę cywilizacji. Teraz są martwe jak zgniła bulwa kartofla, która dała życie roślinie.

A kiedy trup zaczyna gnić, to znaczy, że pora go pogrzebać.

— O Boże — powiedział Wiktor — i to wszystko z powodu kataru i dlatego, że nie dają panu przepustki do leprozorium? Albo może kłopoty rodzinne?

— Niech pan nie udaje głupiego — powiedział Pawor. — Dlaczego pan nie chce zastanowić się nad sprawami, o których panu świetnie wiadomo? Z jakiego powodu degeneracji ulegają najwspanialsze idee? Z powodu tępoty mas. Z jakiego powodu mamy wojny, chaos, i inne obrzydliwości? Z powodu tępoty mas, które wybierają rządy godne siebie. Z jakiego powodu Złoty Wiek jest równie odległy jak w czasie stworzenia Ziemi? Z powodu obskurantyzmu mas. W zasadzie Hitler miał słuszość, podświadomą słuszość, czuł, że na świecie jest wielu zbytecznych ludzi. Ale był krwią z krwi i kością z kości motłochu, więc wszystko zepsuł. Głupie było likwidowanie według przynależności rasowej. A poza tym nie miał do dyspozycji odpowiednich środków masowej zagłady.

— A według jakich cech pan zamierza przeprowadzać selekcję? — zapytał Wiktor.

— Według nijakości — odparł Pawor. — Jeśli człowiek jest przeciętny, nijaki, to znaczy, że go należy zlikwidować.

— A kto będzie decydować, czy człowiek jest przeciętny, czy nie?

— Niech pan się nie martwi, to są szczegóły. Ja panu formułuję zasadę, a kto, co i jak — to są szczegóły.

— A po co pan kombinuje z burmistrzem? — zapytał Wiktor, którego Pawor znudził.

— To znaczy?

— Na diabła panu ten proces? Rozmienia się pan na drobne Pawor! Zawsze tak kończycie, wy, nadludzie. Zamierzacie przebudowywać świat, nie zgadzacie się na mniej, niż trzy miliardy trupów, a tymczasem albo martwicie się o stanowisko, albo lecycie trypra, albo za niewielkie wynagrodzenie pomagacie marnym kanciarzom załatwiać ich ciemne sprawy.

— Może jednak trochę ostrożniej na zakrętach — powiedział Pawor. Widać było, że jest straszliwie wściekły. — Przecież pan sam jest tylko pijakiem i nierobem...

— Ale przynajmniej nie organizuję dętych procesów politycznych i nie zamierzam przebudować świata.

— Tak — powiedział Pawor. — Pan nawet do tego nie jest zdolny, Baniew. Pan to przecież zaledwie bohema, czyli krótko mówiąc, łajdak, tani opozycjonista, wichrzyciel i gówno. Sam pan nie wie, czego chce, i robi pan tylko to, czego chcą od pana. Dogadzając gustom łajdaków podobnych sobie, wyobraża pan sobie, że jest wolnym artystą co to rusza z posad świat, a nie po prostu obrzydliwym wierszokletą z tych, co to piszą na ścianach publicznych szaletów.

— To prawda — zgodził się Wiktor. — Szkoda tylko, że nie powiedział pan tego wcześniej. Musiałem pana obrazić, żeby to usłyszeć. No i wynika z tego, że jest pan niktowym typkiem, Pawor. Jednym z wielu. I jeśli będą likwidować, to pana też zlikwidują. Z powodu przeciętności. Filozofujący inspektor sanitarny? Do pieca z nimi.

Ciekawe, jak my wyglądamy z boku, pomyślał. Pawor jest odrażający. Co za uśmieszek! Co mu się dzisiaj stało? Kwadryga spał, co mu tam kłótnie, masy i ta cała filozofia... A Golem rozwalił się w fotelu niczym w teatrze, kieliszek w palcach, ręka za oparciem, czeka, kto komu przyłoży. Jakoś Pawor trochę za długo milczy. Argumentów szuka, czy co?

— No dobrze — powiedział w końcu Pawor. — Porozmawialiśmy i wystarczy.

Uśmieszek znikł mu z twarzy, i oczy miał znowu jak sturmbanführer. Rzucił banknot na stół dopił koniak i odszedł bez pożegnania. Wiktor poczuł przyjemne rozczarowanie.

— Jednak jak na pisarza fatalnie zna się pan na ludziach — powiedział Golem.

— To nie moja rzecz — lekko powiedział Wiktor. — Niech na ludziach znają się psychologowie i departament bezpieczeństwa. Moja rzecz to wychwytywanie tendencji zaostrożoną wrażliwością artysty... A w związku z czym pan to powiedział? Znowu: „Wiktor, niech pan przestanie brzdąkać”?

— Uprzedzam. Niech pan nie zaczepia Pawora.

— Co u diabła? — powiedział Wiktor — po pierwsze, wcale go nie zaczepiałem i tylko on mnie zaczepił. A po drugie to świnia. Czy wie pan, że Pawor pomaga burmistrzowi, który chce pana przymknąć?

— Domyślam się.

— I nie jest pan zaniepokojony?

— Nie. Mają za krótkie ręce. To znaczy burmistrz ma za krótkie ręce i sąd.

— A Pawor?

— A Pawor ma ręce za długie — powiedział Golem. — I dlatego niech pan przestanie przy nim brzdąkać. Widzi pan przecież, że ja przy nim nie brzdąkam.

— Ciekawe, przy kim pan brzdąka? — mruknął Wiktor.

— Czasami brzdąkam przy panu. Mam do pana słabość. Proszę mi nalać koniak.

— Z przyjemnością — Wiktor nalał. — Może obudzimy Kwadrygę? Co on sobie myśli, nawet nie bronił mnie przed Faworem.

— Nie, nie trzeba go budzić. Lepiej porozmawiajmy. Po co pan się w to miesza? Kto pana prosił o porywanie ciężarówki?

— Tak mi się spodobało — powiedział Wiktor. — To świństwo, żeby aresztować książkę. A oprócz tego zdenerwował mnie burmistrz. To był zamach na moją wolność. Zawsze, kiedy

ktoś próbuje zrobić zamach na moją wolność, zamieniam się w chuligana... A nawiasem mówiąc, Golem, czy generał Pferd wstawi się za mną u burmistrza?

— Generał Pferd kicha na pana i na burmistrza — powiedział Golem. — Ma większe zmartwienia.

— No to proszę mu powiedzieć, żeby się za mną wstawił. Bo inaczej napiszę pogromowy artykuł przeciwko waszemu leprozorium, o tym jak wykorzystujecie krew chrześcijańskich niemowląt w celu leczenia choroby okularniczej. Myśli pan, że nie wiem, po co mokrzaki zwabiają dzieci? Oni, po pierwsze, wysysają z nich krew, a po drugie, deprawują je. Okryję was hańbą przed całym światem. Krwiopijca i zboczeniec pod maską lekarza. — Wiktor stuknął się z Golem i wypił. — Bez żartów, mówię poważnie. Burmistrz zmusza mnie do napisania takiego artykułu. Pan, oczywiście również o tym wie.

— Nie — powiedział Golem. — Ale to nieważne.

— Jak widzę, dla pana wszystko jest nieważne — odpowiedział Wiktor. — Całe miasto jest przeciwko panu — nieważne. Chcą pana oddać pod sąd — nieważne. Inspektora sanitarnego Pawora irytuje pańskie zachowanie — nieważne. A może generał Pferd to pseudonim pana prezydenta? A propos, czy ten wszechpotężny generał wie, że pan jest komunistą?

— A dlaczego irytuje się pisarz Baniew? — spokojnie zapytał Golem. — I niech pan tak nie wrzeszczy, Teddy się ogląda.

— Teddy to nasz człowiek — powiedział Wiktor. — On zresztą też jest zirytowany — myszy mu żyć nie dają. — Wiktor zmarszczył brwi i zapalił papierosa. — Chwileczkę, o co mnie pan pytał?... A, tak. Jestem zirytowany dlatego, że nie wpuścił mnie pan do leprozorium.

A ja przecież zachowałem się bardzo szlachetnie. Powiedzmy nawet, że głupio, ale każdy szlachetny uczynek jest głupi. A jeszcze przed tym niosłem mokrzaka na plecach.

— I bił się pan w jego obronie — dodał Golem.

— O właśnie. Biłem się.

— Z faszystami — powiedział Golem.

— Właśnie z faszystami.

— A przepustkę pan ma? — zapytał Golem.

— Przepustkę... Pawora też nie wpuszczacie i on na moich oczach przemienił się w demofoba.

— Tak, Faworowi tu się nie wiedzie — powiedział Golem. — Właściwie jest zdolnym funkcjonariuszem, ale tutaj nic mu nie wychodzi. Wciąż czekam, kiedy wreszcie zacznie popełniać głupstwa. Zdaje się, że już zaczyna.

Doktor R. Kwadryga podniósł rozkudłaną głowę i powiedział:

— Mocno. Wejdę tam, a potem się zobaczy. Dech wybiję. — Jego głowa znowu ze stukiem upadła na stół.

— Między nami, Golem — powiedział Wiktor zniżając głos — prawda, że jest pan komunistą?

— O ile pamiętam, partia komunistyczna jest u nas zakazana zauważył Golem.

— O Boże — powiedział Wiktor. — A jaka partia u nas nie jest zakazana? Przecież nie o partię pytam, tylko o pana...

— Ja, jak pan widzi jestem dozwolony — powiedział Golem.

— Zresztą, jak pan sobie chce — powiedział Wiktor. — Mnie tam wszystko jedno. Ale burmistrz... Zresztą burmistrza ma pan gdzieś.

Ale jeżeli to dojdzie do generała Pferda...

— Ale my mu przecież nie powiemy — konfidencjonalnie szepnął Golem. — Po co generałowi zawracać głowę drobiazgami? Generał wie, że jest leprozorium, a w leprozorium jakiś Golem, jakieś mokrzaki — no i wystarczy.

— Dziwny generał — z zadumą powiedział Wiktor. — Generał od leprozorium. A nawiasem mówiąc, z powodu mokrzaków już niedługo czekają go spore nieprzyjemności. Czuję to nadwrażliwym instynktem artysty. W naszym mieście mokrzaki stały się po prostu pępkiem świata.

— Gdyby tylko w mieście — powiedział Golem.

— A o co chodzi? Przecież to tylko chorzy ludzie. I nawet zdaje się, nie są zaraźliwi.

— Niech pan nie będzie taki chytry, Wiktor. Świetnie pan wie, że to nie są zwyczajnie chorzy ludzie. Nawet zaraźliwi nie są tak zwyczajnie.

— To znaczy?

— To znaczy, że na przykład Teddy nie może się od nich zarazić. I burmistrz nie może, nie mówiąc już o policmajstrze. A kto inny może.

— Na przykład pan.

— Ja też nie mogę. Już.

— A ja?

— Nie wiem. Zresztą to tylko moja hipoteza. Niech pan nie zwraca uwagi.

— Nie zwracam — smutnie powiedział Wiktor. — A co jeszcze jest w nich niezwykłego?

— Co jest w nich niezwykłego — powtórzył Golem. — Sam pan mógł zauważyć, że wszyscy ludzie dzielą się na trzy wielkie grupy. Dokładniej, na dwie duże i jedną małą... Są ludzie, którzy nie mogą żyć bez przeszłości, cali są w przeszłości mniej lub bardziej odległej. Żyją tradycją, obyczajem, przykazaniami, czerpią z przeszłości radość i przykład. Powiedzmy jak pan prezydent. Co by on począł, gdybyśmy nie mieli naszej wielkiej przeszłości? Do czego by się odwoływał i w ogóle skąd by się wziął? Następnie są ludzie, którzy żyją teraźniejszością, i nawet słyszeć nie chcą ani o przeszłości, ani o przyszłości, i nic ich nie obchodzi ani przeszłość, ani przyszłość. Jak na przykład pan. Wszystkie wyobrażenia o przeszłości zepsuł panu prezydent, w przeszłość by pan zajrzał, zawsze zobaczy pan wyłącznie prezydenta. Jeżeli zaś chodzi o przyszłość, to nie ma pan o niej zielonego wyobrażenia, i na moje oko boi się pan mieć... No i wreszcie są ludzie, którzy żyją przyszłością. Po przeszłości nie oczekują, zupełnie słusznie, niczego dobrego, a teraźniejszość to dla nich wyłącznie materiał, z którego budują przyszłość, surowiec... Zresztą tak naprawdę, oni już żyją w przyszłości... na wysepkach przyszłości, które powstają dokoła nich, w czasie teraźniejszym... — Golem uśmiechając się jakoś dziwnie wzniosł oczy do sufitu. — Oni są mądrzy — powiedział z czułością. — Są diabelnie mądrzy w odróżnieniu od większości ludzi. Wszyscy co do jednego utalentowani, Wiktorze. Ich pragnienia są dziwne, a zwyczajnych pragnień w ogóle nie mają.

— Zwyczajne pragnienia, to na przykład kobiety...

— W pewnym sensie — tak...

— Wódka, igrzyska?

— Bez wątpienia.

— Straszna choroba — powiedział Wiktor — ja nie chcę... Zresztą dalej nie rozumiem... Nic nie rozumiem. No, to że mądrych ludzi wsadza się za druty kolczaste to oczywiście rozumiem. Ale dlaczego ich się wypuszcza, a do nich nie wpuszcza...

— A może to nie oni siedzą za drutem kolczastym, tylko pan.

Wiktor uśmiechnął się.

— Chwileczkę — powiedział. — To jeszcze nie wszystko, czegoś nie rozumiem. Co tu na przykład robi Pawor? Mnie się nie wpuszcza — zgoda, jestem człowiekiem postronnym. Ale przecież ktoś musi sprawdzać stan białizny pościelowej i wychodków? Może macie tam anty-sanitarne warunki?

— A jeżeli interesują go wcale nie warunki sanitarne?

Speszony Wiktor popatrzył na Golema.

— Znowu pan żartuje? — zapytał.

— Znowu nie — odpowiedział Golem.
— Więc kto to jest według pana — szpieg?
— Szpieg to zbyt ogólne pojęcie — zaprotestował Golem.
— Chwileczkę — powiedział Wiktor. — Proszę mówić wprost. Kto otoczył leprozorium drutem i postawił żołnierzy?
— Och, ten drut kolczasty — westchnął Golem. — Ile ubrań na nim porwano, a żołnierze bez przerwy chorują na biegunkę. Wie pan, jakie jest najlepsze lekarstwo na biegunkę? Tytoń z portweinem, a raczej portwein z tytoniem.
— Dobra — powiedział Wiktor. — To znaczy generał Pferd. Aha... — powiedział — i ten młody człowiek z teczką... A więc to tak. To znaczy, że to jest normalny wojskowy instytut naukowy. Jasne... A Pawor, znaczy się, nie jest wojskowym. Z innego, znaczy się resortu. Albo być może, to nie nasz szpieg, tylko zagraniczny?
— Niech Bóg broni! — powiedział Golem ze zgrozą. — Tego mi jeszcze brakowało!
— Tak... A czy on wie, kim jest ten facet z teczką?
— Myślę, że tak — powiedział Golem.
— A ten facet wie, kim jest Pawor?
— Myślę, że nie — powiedział Golem.
— Pan mu nic nie powiedział?
— A co mnie to obchodzi?
— I generałowi też pan nie powiedział?
— Nawet mi to do głowy nie przyszło.
— To niesprawiedliwe — oznajmił spokojnie Wiktor. — Trzeba powiedzieć.
— Niech pan posłucha, Wiktor — powiedział Golem. — Pozwoliłem panu tylko dlatego gadać na ten temat, żeby pan się przestraszył i przestał pchać palce w cudze drzwi. Nie jest to do niczego potrzebne. I tak jest pan już namierzony, mogą pana uciszyć i to tak, że nawet nie zdąży się pan zdziwić.
— Mnie akurat jest bardzo łatwo wystraszyć — powiedział Wiktor z westchnieniem. — Jestem wystraszony od dziecka. Ale pomimo wszystko nie mogę zrozumieć: czego oni wszyscy chcą od mokrzaków.
— Jacy — oni? — zmęczonym głosem zapytał z wyrzutem Golem.
— Pawor. Pferd. Facet z teczką. Te wszystkie krokodyle.
— Boże — powiedział Golem. — No czego w naszych czasach mogą chcieć krokodyle od mądrych i utalentowanych ludzi? Za to ja nie rozumiem, czego pan od nich chce. Po co pan się wtrąca w to wszystko? Mało panu własnych kłopotów? Mało panu prezydenta?
— Dużo — odpowiedział Wiktor. — Potąd.
— No i świetnie. Niech pan jedzie do sanatorium, weźmie ze sobą ryzę papieru... Mogę panu podarować maszynę do pisania, chce pan?
— Ja piszę starym systemem — odpowiedział Wiktor. — Jak Hemingway.
— No i świetnie. Podaruję panu ogryzek ołówka. Proszę pracować, kochać Dianę. Może jeszcze dać panu fabułę? Może pan się już wypisał?
— Fabuły rodzą się z tematu — dostojnie powiedział Wiktor. A ja studiuje życie.
— Ależ proszę — powiedział Golem. — Niech pan studiuje życie ile dusza zamarzy. Tylko niech się pan nie wtrąca w nieśwoje sprawy.
— To niemożliwe — oświadczył Wiktor. — Przynajmniej w nieunikniony sposób wpływa na obraz eksperymentu. Czyżby pan zapomniał o prawach fizyki? Przecież my obserwujemy nie świat jako taki, tylko świat plus wpływ obserwatora.
— Już raz pan dostał kastetem po głowie, a następnym razem mogą pana zwyczajnie zastrzelić.

— No — powiedział Wiktor. — Po pierwsze, być może wcale nie kastetem, tylko cegłą. A po drugie, czy mało jest miejsc, w których można dostać po głowie? W każdej chwili mogą mnie wrobić, więc co: mam nie wychodzić z pokoju?

Golem przygryzł dolną wargę. Miał żółte, końskie zęby.

— Niech pan posłucha — powiedział. — Wtrącił się pan wtedy w eksperyment najzupełniej przypadkowo i z miejsca dostał pan po głowie. Jeśli teraz wtrąci się pan świadomie...

— Nie wtrącałem się w żaden eksperyment — powiedział Wiktor.

— Szedłem sobie spokojnie od Loli i nagle widzę...

— Idiota — powiedział Golem. — Idzie sobie i widzi. Trzeba było przejść na drugą stronę, wymóżdżona gapo!

— Dlaczego ni stąd, ni zowąd miałbym przechodzić na drugą stronę?

— A dlatego, że pewien pański dobry znajomy zajmował się akurat wypełnianiem swoich bezpośrednich obowiązków, a pan tam wlaź jak baran.

Wiktor wyprostował się.

— Jaki znowu mój dobry znajomy? Tam nie było ani jednego znajomego.

— Znajomy był z tyłu, z kastetem. Ma pan znajomych z kastetami?

Wiktor jednym haustem dopił swój koniak. Ze zdumiewającą wyrazistością przypomniał sobie: Pawor, z czerwonym zagrypionym nosem wyjmując z kieszeni chusteczkę i kastet ze stukiem spada na podłogę — ciężki, matowy, poręczny.

— Wykluczone — powiedział Wiktor i odkaslnął. — Zawracanie głowy. Pawor nie mógł...

— Nie wymieniałem żadnych nazwisk — zastrzegł się Golem.

Wiktor położył ręce na stole i popatrzył na swoje zaciśnięte pięści.

— Co z tym mają wspólnego jego bezpośrednie obowiązki? zapytał.

— Najwidoczniej komuś był potrzebny żywy mokrzak, kidnaping.

— A ja w tym przeszkodziłem?

— Próbował pan przeszkodzić.

— To znaczy, że oni go jednak porwali?

— I wywieźli. Może pan dziękować Bogu, że nie zabrali i panaw celu uniknięcia przecieków informacji. Ich przecież nie interesują losy literatury.

— To znaczy, że Pawor... — wolno powiedział Wiktor.

— Żadnych nazwisk — surowo przypomniał Golem.

— Sukinsyn — powiedział Wiktor. — Dobra, jeszcze zobaczymy...

A po co był im potrzebny mokrzak?

— Jak to — po co? Informacja... Skąd wziąć informację? Sam pan wie — druty kolczaste, żołnierze, generał Pferd...

— To znaczy, że teraz go przesłuchują? — zapytał Wiktor.

Golem długo milczał. Potem powiedział:

— On nie żyje.

— Zatruli go?

— Nie, przeciwnie. — Golem znowu zamilkł. — To bałwany. Nie pozwalali mu czytać, więc umarł z głodu.

Wiktor szybko popatrzył na niego. Golem uśmiechał się smutnie. Albo płakał. Wiktor poczuł nagłe przerażenie i żal, duszącą żal. Przygasło światło stojącej lampy. Było to podobne ataku serca. Wiktorowi zabrakło powietrza i z trudem rozluźnił węzeł krawata. Boże mój, pomyślał, jakaż to kanalia, co za szubrawiec, bandyta, zimny morderca... a po tym wszystkim, po godzinie, umył ręce, uperfumował się, wstępnie obliczył ile będzie warta wdzięczność zwierzników, siedział obok, pił ze mną jak z kolegą, łajdak, łgał, śmiał się ze mnie w kułak, szydził, a kiedy się odwracałem, sam do siebie puszczał oko, a potem

współczująco pytał jak tam moja głowa... Jakby przez czarną mgłę Wiktor widział, jak doktor R. Kwadryga powoli podniósł głowę, rozciągnął w bezgłośnym krzyku spierzchnięte wargi i zaczął konwulsyjnie macać drżącymi rękami po obrusie jak ślepy i oczy miał jak ślepiec, kiedy potrząsał głową i wciąż krzyczał, i krzyczał, a Wiktor nic nie słyszał... Dobrze mi tak, sam jestem gównem, nikomu niepotrzebny, mały człowiek, po mordzie mnie, butem, trzymając przy tym za ręce, nie pozwalając mi się obetrzeć, na jakiego diabła jestem komuś potrzebny, trzeba było bić jeszcze mocniej, żeby już nie wstał, a ja jak przez sen, pięści z waty, i Boże mój, po jakiego diabła ja w ogóle żyję, po jakiego diabła żyjemy wszyscy, przecież to takie proste, podejść z tyłu i rąbnąć w głowę żelazem, i nic się nie zmieni, nic na świecie się nie zmieni, tysiąc kilometrów stąd, w tej samej sekundzie, urodzi się taki sam szubrawiec... Tłusta twarz Golema obrzmiała jeszcze bardziej i stała się czarna od ciemnej szczeciny, oczy mu zapłonęły. Leżał nieruchomo w fotelu jak bukłak ze zjętą oliwą, poruszały się tylko palce, kiedy powoli brał kieliszek za kieliszkiem, bezdźwięcznie odłamywał nóżkę, wypuszczał i znowu brał, znowu łamał i wypuszczał. Nikogo nie kocham, nie mogę pokochać Diany, mało to z kim sypiam, spać wszyscy umieją, ale czy można kochać kobietę, która ciebie nie kocha, a kobieta nie może kochać, kiedy ty jej nie kochasz, i tak wszystko się kręci w przeklętym, nieludzkim młynie, tak jak kręci się żmija w pogoni za własnym ogonem, jak zwierzęta kopulują i uciekają od siebie, tylko że zwierzęta nie wymyślają słów i nie układają wierszy, tylko po prostu kopulują i uciekają od siebie... A Teddy płakał oparty łokciami o ladę baru, oparł kościsty podbródek na kościstych pięściach, jego łysa głowa szafranowo lśniła pod lampą, a po zapadniętych policzkach nieustannie płynęły łzy i też lśniły pod lampą... A wszystko dlatego, że jestem gównem, a nie pisarzem, jaki ze mnie u diabła pisarz, jeśli nienawidzę pisania, jeśli pisanie to dla mnie męka, wstydlive, nieprzyjemne zajęcie, coś w rodzaju bolesnego fizjologicznego wypróżnienia, coś w rodzaju biegunki, w rodzaju wyciskania ropy z wrzodzianki, nienawidzę, strach pomyśleć, że będę musiał robić to przez całe życie, że już jestem skazany, że teraz już mnie nie zwolnią, tylko wciąż będą się domagać — daj, daj i ja będę dawać, ale teraz nie mogę nawet myśleć o tym, nie mogę, bo zwymiotuję... Bol-Kunac stał za plecami R. Kwadrygi, i patrzył na zegarek, smukły, mokry, z mokrą świeżą twarzą, o przepięknych ciemnych oczach i wiało od niego, rozrywając gęstą gorącą duchotę rześkim zapachem — zapachem trawy i źródlanej wody, zapachem lilii, słońca i koników polnych nad jeziorem... i świat powrócił. Tylko jakieś niejasne wspomnienie, albo odczucie, czy może wspomnienie odczucia zniknęło za zakrętem — czyjś rozpaczliwy, zamilkły nagle krzyk, niepojęty zgrzyt, brzęk, chrzęst szkła...

Wiktor oblizał wargi i sięgnął po butelkę. Doktor R. Kwadryga leżąc głową na obrusie chrząkał i mamrotał: „Nic nie trzeba. Ukryjcie mnie. Niech ich...” Zatroškany Golem zmiatał ze stołu kawałki szkła.

Bol-Kunac powiedział:

— Przepraszam bardzo, ale przyniosłem panu list — położył przed Golem kopertę i znowu spojrzął na zegarek. — Dzień dobry panu, panie Baniew — powiedział.

— Dobry wieczór — odpowiedział Wiktor nalewając sobie koniaku.

Golem uważnie czytał list. Teddy za ladą hałaśliwie wycierał nos wielką kraciastą chustką.

— Posłuchaj, Bol-Kunac — powiedział Wiktor. — Czy widziałeś, kto mnie wtedy uderzył?

— Nie — powiedział Bol-Kunac, patrząc mu w oczy.

— Jak to — nie? — zapytał Wiktor i zachmurzył się.

— On stał plecami do mnie — wyjaśnił Bol-Kunac.

— Ty go znasz — powiedział Wiktor. — Kto to był?

Golem wydał z siebie nieokreślony dźwięk. Wiktor obejrzał się szybko. Golem, nie zwracając na nikogo uwagi, z zadumą rwał list na drobne kawałki. Strzępy schował do kieszeni.

— Jest pan w błędzie — powiedział Bol–Kunac. — Nie znam go.

— Baniew — wymamrotał R. Kwadryga. — Proszę cię... Ja tam nie mogę sam jeden. Jedź ze mną... Bardzo okropnie...

Golem wstał, pogrzebał palcem w kieszonce marynarki, następnie krzyknął:

— Teddy! Proszę zapisać na mój rachunek... i pamiętaj, że stłukłem cztery kieliszki... No, to ja idę — powiedział do Wiktora. — Niech pan się zastanowi i radzę podjąć rozsądną decyzję. Być może lepiej będzie, jeśli pan stąd wyjedzie.

— Do widzenia, panie Baniew — grzecznie powiedział Bol–Kunac. Wiktorowi wydało się, że chłopiec ledwie dostrzegalnie pokręcił przecząco głową.

— Do widzenia, Bol–Kunac — powiedział. — Do widzenia.

Tamci wyszli. Wiktor w zadumie dopił koniak. Podszedł kelner, twarz miał opuchniętą, w czerwonych plamach. Zaczął sprzątać ze stołu i jego ruchy były zaskakująco niezręczne i niepewne.

— Pan tu jest niedawno? — zapytał Wiktor.

— Tak, panie Baniew. Od dzisiejszego rana.

— A co z Peterem? Zachorował?

— Nie, proszę pana. Peter wyjechał. Nie wytrzymał. Ja pewnie też wyjadę...

Wiktor spojrzał na R. Kwadrygę.

— Proszę go później odprowadzić do pokoju.

— Tak, oczywiście, panie Baniew — niezdecydowanie odpowiedział kelner.

Wiktor zapłacił, pomachał Teddy'emu i wyszedł do holu. Wszedł na pierwsze piętro, znalazł drzwi Pawora, podniósł rękę, żeby zapukać, stał tak przez chwilę i nie zapukawszy, ponownie zszedł na dół. Recepcjonista za swoim kantorem oglądał ze zdumieniem własne dłonie. Dłonie miał mokre, oblepione kosmykami włosów, a na twarzy, na obu policzkach nabrzmiewały świeże zadrapania. Spojrzał na Wiktora — w oczach miał szaleństwo. Ale teraz nie wolno było dostrzegać tych niepojętych rzeczy, to byłoby nietaktowne i okrutne, i tym bardziej nie wolno było o tym mówić, koniecznie należało udawać, że nic się nie stało, wszystko trzeba odłożyć na później, na jutro, albo być może nawet na pojutrze. Wiktor zapytał:

— Gdzie zatrzymał się ten... wie pan, młody facet w okularach, ten co zawsze chodzi z teczką.

Recepcjonista nieco się spłoszył. Jakby w poszukiwaniu wyjścia popatrzył na tablicę z kluczami, potem jednak powiedział:

— W trzysta szesnastym, panie Baniew.

— Dziękuję — powiedział Wiktor kładąc na kanciarze monetę.

— Tylko oni nie lubią, żeby im przeszkadzać.

— Wiem — odpowiedział Wiktor. — Nie mam zamiaru im przeszkadzać. Po prostu, tak sobie zapytałem... chciałem, wie pan, powróżyć sobie — jeśli w parzystym, to wszystko będzie dobrze.

Recepcjonista uśmiechnął się blado.

— Ależ jakie może mieć pan kłopoty, panie Baniew — powiedział uprzejmie.

— Rozmaite — westchnął Wiktor. — 1 większe, i mniejsze. Dobrej nocy.

Wszedł na trzecie piętro i idąc niespiesznie, celowo niespiesznie, jakby po to aby wszystko przemyśleć, rozważyć, zastanowić się nad ewentualnymi konsekwencjami i obliczyć trzy ruchy naprzód, ale w rzeczywistości myślał tylko o tym, że dawno już pora zmienić chodnik na schodach, bardzo wyliniały i wytarty, i dopiero wtedy, kiedy miał już zapukać do drzwi apartamentu trzysta dwunastego (lux, dwie sypialnie i salon, telewizor pierwszej klasy, radioodbiornik, lodówka i barek), omal nie powiedział na głos: „Czy mam przyjemność z krokodyłami? Bardzo mi przyjemnie. Dzięki mnie zaraz zaczniecie się wzajemnie zjadać”.

Pukać musiał dosyć długo — najpierw delikatnie, kostkami palców, a kiedy nie było reakcji — bardziej zdecydowanie, pięścią, a kiedy i to nie poskutkowało, tylko deska podłogi zaskrzypiała i ktoś zasapał w dziurkę, od klucza, wtedy odwróciwszy się tyłem, walnął obcasem, już zupełnie na chłama.

— Kto tam? — zapytał wreszcie głos za drzwiami.

— Sąsiad — odpowiedział Wiktor. — Ja na chwilę.

— Czego pan chce?

— Mam panu do powiedzenia parę słów.

— Proszę przyjść rano — powiedział głos za drzwiami.

— Niech to diabli wezmą — powiedział Wiktor rozgniewany. Chce pan, żeby mnie ktoś tu zobaczył? Proszę otworzyć, czego się pan boi?

Szczękniętą kluczem, drzwi się uchyliły i w szczelinie ukazało się mętne oko wysokiego profesjonalisty. Wiktor pokazał mu otwarte dłonie.

— Parę słów — powiedział.

— Niech pan wejdzie — powiedział wysoki. — Tylko bez wygłupów.

Wiktor wszedł do przedpokoju, wysoki zamknął za nim drzwi, zapalił światło. Przedpokój był ciasny i we dwóch z trudem się w nim mieścili.

— No, to niech pan mówi — powiedział wysoki. Był w piżamie wymazanej czymś na samym przodzie. Wiktor zdumiał się — poczuł zapach alkoholu. Prawą rękę trzymał, jak należy, w kieszeni.

— Będziemy tu tak stać i rozmawiać? — poinformował się Wiktor.

— Tak.

— Nie — powiedział Wiktor. — Tu rozmawiać nie będę.

— Jak pan chce — powiedział wysoki.

— Jak pan chce — powiedział Wiktor. — Mnie nie zależy.

Przez chwilę milczeli. Wysoki już całkiem jawnie obmacywał Wiktora oczami.

— Pana nazwisko zdaje się, Baniew? — zapytał.

— Zdaje się.

— Aha — powiedział ponuro wysoki. — To jaki z pana sąsiad. Przecież mieszka pan na drugim piętrze.

— Sąsiad z hotelu — wyjaśnił Wiktor.

— Aha... no więc, czego pan sobie życzy, bo nie rozumiem.

— Życzę sobie pana o czymś zawiadomić — powiedział Wiktor. Jest pewna informacja. Ale już zaczynam się zastanawiać, czy warto.

— No dobra — powiedział wysoki. — Chodźmy do łazienki.

— Wie pan co? — powiedział Wiktor. — Ja chyba sobie pójdę.

— A dlaczego nie chce pan iść do łazienki? Co to za kaprysy?

— Wie pan — powiedział Wiktor — rozmyśliłem się. Chyba jednak pójdę. Koniec końców to nie moja sprawa — ruszył do drzwi.

Wysoki aż stęknął, rozdzierany sprzecznymi uczuciami.

— Pan jest, jak mi się zdaje, pisarzem — powiedział. — Czy może z kimś pana myślę?

— Pisarzem, pisarzem — powiedział Wiktor. — Do widzenia.

— Ależ niech pan poczeka. Trzeba było od razu tak mówić. Proszę. O, tutaj.

Weszli do salonu dokładnie obwieszonych portierami — z prawej strony portiery, z lewej portiery, portiery na ogromnym oknie. Ogromny telewizor w kącie, błyskał kolorowym ekranem, dźwięk był wyłączony. W przeciwległym kącie z miękkiego fotela pod lampą patrzył na Wiktora młody człowiek w okularach — również w piżamie i kapciach. Obok niego, na stoliku dla gazet stała prostokątna butelka i syfon. Teczki nigdzie nie było widać.

— Dobry wieczór — powiedział Wiktor.

Młody człowiek w milczeniu skłonił głowę.

— To do mnie — oznajmił wysoki. — Nie zwracaj uwagi.

— Proszę tutaj — powiedział wysoki. Weszli do sypialni po prawej stronie i wysoki usiadł na łóżku. — Tam jest fotel — powiedział. Niech pan siada i mówi.

Wiktor usiadł. W sypialni ciężko śmierdziało zastawym tytoniowym dymem i oficerską wodą kolońską. Wysoki siedział na łóżku i patrzył na Wiktora nie wyjmując ręki z kieszeni. W salonie szeleściła gazeta.

— Dobra — powiedział Wiktor. Nie to, żeby mu się udało całkowicie przewyciężyć obrzydzenie, ale jeśli już tu przyszedł, trzeba było mówić. — Mniej więcej domyślam się, kim panowie jesteście. Być może się mylę, i w takim razie wszystko w porządku. A jeżeli się nie mylę może przyda się wam wiadomość, że was śledzą i starają się wam przeszkodzić.

— Załóżmy — powiedział wysoki. — A więc kto nas śledzi?

— Bardzo się wami interesuje niejaki Pawor Summan.

— Kto? — zapytał wysoki. — Ten inspektor sanitarny?

— On nie jest inspektorem sanitarnym. I to jest właściwie wszystko, co chciałem panu powiedzieć. — Wiktor wstał, ale wysoki się nie ruszył.

— Załóżmy — powtórzył. — A właściwie skąd pan to wie?

— To ważne? — spytał Wiktor.

Czas jakiś wysoki rozmyślał.

— Załóżmy, że nieważne — powiedział w końcu.

— Sprawdzanie, to wasza rzecz — powiedział Wiktor.

— A ja nic więcej nie wiem. Do widzenia.

— Ależ dokąd się pan śpieszy — powiedział wysoki. Pochylił się nad nocnym stolikiem, wyjął butelkę i szklankę. — Najpierw chciał pan wejść za wszelką cenę, a teraz już pan chce iść... Nie szkodzi, że z jednej szklanki?

— Zależy co — powiedział Wiktor i znowu usiadł.

— Szkocka — powiedział wysoki. — Pasuje?

— Prawdziwa szkocka?

— Prawdziwy scotch. Niech pan trzyma — wręczył Wiktorowi szklankę.

— Nieźle się wam żyje — powiedział Wiktor i wypił.

— Gdzie nam do pisarzy — powiedział wysoki i też wypił. — Opowiedziałby mi pan wszystko dokładnie...

— Mowy nie ma — powiedział Wiktor — za to wam pensje płacą. Podałem wam nazwisko, adres znacie sami, więc się nim zajmujcie. Tym bardziej że naprawdę nic już więcej nie wiem. Może tylko... przerwał i udał, że go nagle olśniło. Wysoki natychmiast połknął haczyk.

— No? — powiedział. — No?

— Wiem, że porwał jednego mokrzaka i że organizował to razem z miejscową Legią. Ten... jak mu tam... Flamenta... Juventa...

— Flamenco Juventa — powiedział wysoki.

— O to, to.

— O tym mokrzaku — to pewna wiadomość?

— Tak. Próbowałem im przeszkodzić i pan inspektor sanitarny trzasnął mnie po głowie kastetem. A potem, kiedy leżałem nieprzytomny, wywieźli mokrzaka samochodem.

— Tak, tak — powiedział wysoki. — Więc to był Summan. Niech pan posłucha, Baniew, wspaniały z pana człowiek! Chce pan jeszcze whisky?

— Chcę — powiedział Wiktor. Co by tam sobie nie mówił, jakby się nie podkręcał, jakby się nie podbechtywał, czuł się wstrętne. No i bardzo dobrze, pomyślał.

Dzięki Bogu chociaż za to, że przynajmniej nie mam kwalifikacji na kapusia. Nie czuję żadnej przyjemności, chociaż teraz rzeczywiście zaczną się wzajemnie zagryzać. Golem miał rację — niepotrzebnie się w to wdałem.

Czy też może Golem jest chytrzejszy niż przypuszczałem?
— Proszę — powiedział wysoki podając mu pełną szklanę.

ROZDZIAŁ 7

FELIKS SOROKIN. MIPITAL

Tę noc spędziłem spokojnie, bez koszmarów. Przyśniło mi się imię — Katia. Tylko imię, nic więcej.

Obudziłem się późno i postanowiłem zjeść śniadanie w „Perełce”.

Jest na naszym osiedlu taki sympatyczny lokal, dokładnie naprzeciwko rejonowego Domu Pionierów. Na zewnątrz lokal ten wygląda dosyć dziwnie, najbardziej przypomina fiński bunkier „Milionny”, rozbity bezpośrednim trafieniem tysiackilogramowej bomby — nudne bryły szarego betonu sterzące we wszystkie strony na przemian z kłębami zardzewiałej żelaznej armatury, która w zamierzeniu architekta miała wyobrażać morskie wodorosty, zaś na poziomie trotuaru umieszczone są wąskie okienka — strzelnice. Ale w środku jest zupełnie przyzwoicie, bez żadnych ekstrawagancji — hol, szatnia, za szatnią dobrze oświetlona okrągła sala, zawsze jest dużo normalnych zimnych zakąsek i dwa gorące dania — boeuf Strogonow i firmowe mięso w kokilce. Od czasu do czasu przychodzi tu na śniadanie, kiedy już mi obrzydłą gotowane jajka i owocowy kefir.

Zdążyłem jak raz na moment otwarcia, rozebrałem się spieszenie i zająłem stolik pod ścianą przy oknie. Kelner, dziwaczne połączenie arogancji i sennego zasępienia, przyniósł mi „Pepsi” i przyjął zamówienie na mięso w kokilce. Wokół wszyscy hałasowali. Na czczo.

Do mojego stolika nikt się nie przysiadał, chociaż krzesło naprzeciw puste. Z jednej strony to było oczywiście wspaniałe. Nie znoszę kontaktów towarzyskich z obcymi ludźmi. Ale z drugiej strony przyszło mi nagle do głowy, że coś podobnego zdarzało się już, czy to w trolejbusach, czy to w metrze, czy w takich właśnie knajpkach, gdzie nikt mnie nie zna, wolne miejsce obok mnie zajmują w ostatniej kolejności, kiedy innych wolnych miejsc już po prostu nie ma. Gdzieś czytałem, że są tacy ludzie, których sam wygląd wzbudza u otoczenia ni to nieśmiałość, ni to obrzydzenie, ni to w ogóle instynktowną chęć, aby trzymać się od nich możliwie najdalej. I kiedy pomyślałem o tym, natychmiast przeskoczyłem myślami do wczorajszego listu. Oto jeszcze jeden fakt potwierdzający, niechby nawet nie bezpośrednio, że nie był ten list kretyńskim dowcipem, że ktoś rzeczywiście wyczuł we mnie coś obcego, co naprowadziło go na fantastyczne pomysły. Ale wszystko jedno, najważniejsze oczywiście nie są te drobiazgi, tylko moje „Bajki współczesne”.

O Boże, ta książka to zaprawdę — najprawdziwsze moje dziecko, zmartwień i kłopotów mam z nią znacznie więcej niż radości i satysfakcji. Redaktorzy szatkowali ją niczym kapustę, robili z niej makaron, prawdziwe spaghetti i gdyby nie Miron Michajłowicz okaleczyliby ją na całe życie. A kiedy pomimo wszystko wyszła, ruszyli na nią recenzenci.

Fantastyka w tych czasach ledwie, ledwie zaczynała się kształtować, była niezgrabna, bezsilna, obciążona chorobami genetycznymi lat czterdziestych i recenzenci traktowali ją jak glinianą kukłę do ćwiczeń w kawaleryjskim fechtunku. Czytałem recenzje z „Bajek współczesnych” sycząc z urazy, a przed moimi oczami jawił się jak na ekranie blady mężczyzna niezwyklej urody w stroju Czerkiesa o zdechłym spojrzeniu żołnierza brygady Drozdowa; widziałem jak dopala do końca cygaretkę, jak dwoma palcami ostrożnie odkleja od warg zaśliniony niedopałek, jak przymrużonymi oczami wpatruje się w mój ą bezbronną książkę, niespiesznie obnaża szablę, lekko biegnie na palcach unosząc nad głową błękitną klingę...

Recenzenci pisali, że naśladują nie najlepsze wzory amerykańskie. (Teraz te wzory uznane są za najlepsze.) Pisali, że w mojej książce maszyny zasłaniają ludzi. Nie było tam żadnych maszyn. Co najwyżej autobusy. „Gdzie autor zobaczył takich bohaterów?” — pytali nie wiadomo kogo. „Czego może nauczyć naszego czytelnika taka literatura?” — wypytywali się

nawzajem. „I jak fałszywa nuta w pracy wydawnictwa zadźwięczało wydanie nieudolnej książki Sorokina...”

A następnie dwa ciosy, przegląd Gagaszkina i felieton Bryzejkina w „Dobrowolnym Informatorze”, a ja wylądowałem w szpitalu, wtedy wysoko postawieni dobroczyńcy moi, połapali się, że na ich oczach zarzynają przyzwoitego człowieka, który wprawdzie się potknął przez niedopatrzenie, ale go szkoda i podjęli stosowne środki. Nie lubię wspominać tego epizodu.

Wtedy nie czytałem jeszcze „Kronik marsjańskich”, nie wiedziałem nawet, że taka książka w ogóle istnieje.

Pisałem swoje „Bajki” nie mając pojęcia, że wychodzą mi „Kroniki marsjańskie” na odwrót — cykl śmiesznych i smutnych historii o tym jak kolonizowali naszą Ziemię przybysze z obcych planet. A najważniejsza dla mnie była próba spojrzenia na nas, na nasze codzienne życie, na nasze namiętności i nadzieje, bólczki, oczami obcych, ale nie obcych przepełnionych nienawiścią, tylko po prostu obojętnych, inaczej myślących, inaczej czujących. Jak Boga kocham, wychodziło to — przynajmniej według mnie dosyć zabawnie, tylko że niektórzy krytycy do tej pory uważają mnie za renegata wielkiej literatury, a niektórzy czytelnicy jak się okazuje, za jednego z bohaterów mojej książki.

Kelner przyniósł mi mięso w kokilce, poprosiłem o jeszcze jedną butelkę „Pepsi” i zacząłem jeść.

— Czy można? — zapytał niegłośny, trochę ochryply głos.

Podniosłem oczy i zobaczyłem, że obok stoi trzymając rękę na oparciu wolnego krzesła wysoki garbus w zniszczonych dżinsach, o wąskiej, bladej twarzy okolonej złocistymi lokami do ramion. Kiwnąłem głową bez najmniejszej życzliwości i garbus usiadł bokiem do mnie — widocznie garb mu przeszkadzał. Kiedy usiadł, położył przed sobą cienką, czarną teczkę i zaczął cichutko stukać po niej palcami. Kelner przyniósł mi „Pepsi” i wyczekująco popatrzył na garbusa, który wymamrotał: „Dla mnie to samo, jeśli można...” Skończyłem mięso, uniosłem szklankę i wtedy zauważyłem, że jak się okazało, garbus uważnie mi się przygląda, a na jego szerokich czerwonych ustach błądzi uśmiech, który nazwałbym uprzejmym, gdyby nie był tak niezdecydowany. Już wiedziałem, że zaraz zacznie ze mną rozmawiać i rzeczywiście zaczął.

— Wie pan — powiedział. — Poradzono mi, żebym się zwrócił do pana.

— Do mnie?

— A wie pan, że tak. Właśnie do pana.

— Tak — powiedziałem. — A kto poradził?

— O ten... — widać było, że rad by odpowiedzieć, zaczął się rozglądać wyciągając szyję, jakby starał się spojrzeć ponad naszymi głowami. — Dziwne, dopiero co tam siedział... Gdzie on jest?

Patrzyłem na garbusa. Był jakiś taki mocno przybrudzony. Z rękawa szarego przybrudzonego swetra wyglądały przybrudzone mankiety koszuli, a i kołnierzyk koszuli był wyszmełcowany i brudny, dłonie garbusa o długich palcach były od dawna nie myte, podobnie jak złote kędzierzawe wąsy, jak blada chuda twarz z blond szczeciną na policzkach i podbródku. Zalatywało od niego kurnikiem, jakimś takim kwaskowatym niechlujstwem. Dziwny był to typ, jak na kloszarda wyglądał chyba zbyt wytwornie, a jak na tak zwanego przyzwoitego człowieka za bardzo się opuścił.

— Gdzieś wyszedł — zawiadomił mnie przepraszającym głosem.

— Zresztą Bóg z nim... Wie pan, on mi powiedział, że pan jest zdolny jeśli nawet nie uwierzyć, to w ostatecznym razie zrozumieć.

— A więc słucham — powiedziałem i otwarcie westchnąłem.

— Właściwie... to o to chodzi! — posunął do mnie poprzez stół swą teczkę i zrobił gest zapraszający do otwarcia jej.

— Przepraszam — powiedziałem stanowczo — ale ja cudzych rękopisów nie czytam. Proszę się zwrócić...

— To nie rękopis — powiedział natychmiast garbus. — To znaczy to nie jest to o czym pan myśli...

— Wszystko jedno — odpowiedziałem.

— Nie, bardzo proszę... To pana zainteresuje. — I widząc, że nie zamierzam nawet dotknąć teczki, sam ją przede mną otworzył.

W teczce były nuty.

— Proszę posłuchać... — powiedziałem.

Ale garbus nie zamierzał słuchać. Pochylił się do mnie poprzez stół i zaczął mi opowiadać o co właściwie chodzi gestykując dłonią niczym mówca na trybunie, czułem wtedy skomplikowany zapach kurnika i beczki z piwem. A sprawa, którą miał do mnie polegała na tym, że wszystkiego za pięć rubli proponował mi partyturę Trąb Sądu Ostatecznego. Osobiście przerobił transpozycję oryginału na współczesny układ nutowy. Skąd ma partyturę? To długa historia, którą zresztą trudno opowiedzieć używając ogólnie przyjętej terminologii. Jest... jakby się tu wyrazić... no powiedzmy jest upadłym aniołem. Znalazł się, tu na dole, bez żadnych środków do życia, dosłownie z tym co akurat miał po kieszeniach. Znalezienie pracy jest praktycznie niemożliwe, ponieważ, oczywiście nie ma w ogóle żadnych dokumentów... Samotność... Marność... Brak jakichkolwiek perspektyw... Wszystkiego pięć rubli... Czy to doprawdy za dużo? No dobrze niech będzie trzy, chociaż bez pięciu kazano mu nie wracać...

Niejednokrotnie przychodziło mi wysłuchiwać mniej lub bardziej łzawe opowieści o zgubionych biletach kolejowych, skradzionych dowodach osobistych, doszczętnie spalonych mieszkaniach. Te historie już od dawna nie wywoływały u mnie nie tylko współczucia, ale nawet elementarnego obrzydzenia. W milczeniu wsuwałem w wyciągniętą dłoń dwadzieścia kopiejek i z największym możliwym pośpiechem oddalałem się od rozmówcy. Ale historia, którą zaproponował złotowłosy garbus wydała mi się zachwycająca z zawodowego punktu widzenia. Brudnawy upadły anioł miał po prostu wielki talent. Ten pomysł był godny samego Herberta Georga Wells'a. Los pięciu rubli został przesądzony, nie było nawet o czym mówić. Ale chciałem wypróbować tę historyjkę na wytrzymałość. A mówiąc precyzyjnie na pojemność.

Przysunąłem do siebie nuty i spojrzałem na nie. Nigdy nic nie pojmowałem w tych haczykach i przecinkach.

— No dobrze. A więc twierdzi pan, że jeśli tę melodię zagrać powiedzmy na cmentarzu...

— No oczywiście. Ale lepiej nie. To byłoby zbyt okrutne...

— Okrutne wobec kogo?

— Wobec martwych rzecz jasna. Skazałby ich pan na tysiące i tysiące lat samotnych wędrówek po planecie. A poza tym proszę pomyśleć o sobie. Czy gotów jest pan na takie widowisko?

Ten wywód mi się spodobał i zapytałem wobec tego w jakim celu i do czego mogą mi się przydać te nuty?

Garbus okropnie się zdumiał. Czyby mnie nie interesowało posiadanie czegoś takiego? Czyżbym nie chciał mieć gwoźdźcia, którym była przybita do ramienia krzyża ręka Nauczyciela? Albo na przykład płyty, na której Szatan pozostawił ślady swoich rozżarzonych kopyt, kiedy tak stał nad trumną papieża Grzegorza VII Hildebranda? Przykład z płytą bardzo mi przypadł do serca. Mógł to powiedzieć tylko taki człowiek, który nie miał pojęcia o małowymiarowych mieszkaniach. No dobrze, powiedziałem, a jeżeli zagrać tę melodię nie na cmentarzu, a powiedzmy w Parku Kultury imienia Gorkiego?

Upadły anioł niepewnie wzruszył ramionami. Zapewne lepiej tego nie robić. Skąd możemy wiedzieć co tam jest w tym parku trzy metry pod asfaltem?

Wyjąłem pięć rubli i położyłem przed garbusem.

— Honorarium — powiedziałem. — Tak trzymać. Wyobraźnię pan ma.

— Niczego nie mam — smętnie odpowiedział garbus.

Niedbale włożył pięć rubli do kieszeni dzinsów wstał i bez pożegnania zaczął iść między stolikami.

— Niech pan zabierze nuty — krzyknąłem w ślad za nim.

Ale nawet się nie odwrócił.

Siedziałem czekając na kelnera, żeby zapłacić rachunek i z nudów przeglądałem nuty. Były to zaledwie cztery kartki, a na odwrocie ostatniej znalazłem niedbałą notatkę długopisem „Zjazd Granowskiego 19. Perełka, kraciasty płaszcz”.

Zapewne moje nerwy nie były w ostatnim czasie w najlepszym stanie, jakby za wiele się wydarzyło, trochę zbyt szczerze obdarzał mnie ten, któremu wypadło kierować moim losem. Dlatego ledwie przeczytałem słowa „kraciasty płaszcz”, natychmiast zerwałem się na nogi jak ukłuty szpilką i wyrząłem przez okienną strzelnicę, najpierw w lewo, potem w prawo. Omal się nie spóźniłem — znajomy mi człowiek w kraciastym dwustronnym palcie mocno trzymając za łokieć złotowłosego garbusa, przyodzianego w obszarpany brezentowy płaszcz do samych pięt, zniknął właśnie z mego pola widzenia.

Opadłem na krzesło i złapałem szklankę.

Taki koniec zabawnej chociaż może nie nazbyt przyjemnej historii podziałał na mnie do tego stopnia przynębiająco, że chciałem już tylko natychmiast wrócić do domu i nigdzie już się dzisiaj nie ruszać. Beładne podejrzenia kipiały w mojej wyobraźni układając się w obrzydliwe fabuły, aby się natychmiast rozlecieć, ale koniec końców zwyciężyła najrozsądniejsza i najbardziej realistyczna myśl „No i co ja teraz powiem mojemu Fiodorowi Micheiczowi?”.

Podszedł kelner i bez sprzeciwu zapłaciłem za swoje mięso.

A jednak nic nie mogłem ze sobą zrobić. Bałem się za swoje piwo i za to piwo, którego nie dopił upadły anioł. Następnie wziąłem swoją papierową teczkę, włożyłem do niej nuty, pustą teczkę garbusa zostawiłem na stole i poszedłem do szatni, żeby się ubrać.

Przez całą drogę na Banną ukradkiem wypatrywałem faceta w kraciastym palcie, ale niczego nie wypatrzyłem.

Tym razem sala konferencyjna była pusta, pogrążona w półmroku. Przeszedłem między rzędami krzeseł i wreszcie dotarłem do drzwi z napisem „Dla pisarzy” i zapukałem. Nikt mi nie odpowiedział i ostrożnie otworzywszy drzwi znalazłem się w jasno oświetlonym pomieszczeniu, czymś w rodzaju krótkiego korytarza. W końcu tego korytarza były jeszcze jedne drzwi, nad którymi widniała lampka z rodziny tych, które wiszą nad gabinetem rentgenologicznym. Górna jej połowa paliła się demonstrując napis „Nie wchodzić!” Dolna była ciemna, jednakże i na niej można było bez trudu przeczytać „Wejść!” Po prawej stronie korytarza postawiono kilka krzeseł i na jednym z nich skurczony we dwoje, wspierając dłonie na eleganckiej, chociaż nieco już nadgryzionej zębem czasu papeterii ustawionej bokiem na jego ostrych kolanach, siedział we własnej osobie Ropiejący Pryszcz.

Na jego widok, jak zwykle, zimny dreszcz przeleciał mi po plecach i jak zwykle pomyślałem: „Zdumiewające! Żyje! Znowu żyje!”

Przywitałem się. Odpowiedział i chwilę poruszał zapadłymi wargami. Usiadłem dwa krzesła dalej i zapatrzyłem się w przepierzenie przed sobą. Nie widziałem nic, oprócz bardzo obdrapanej ściany, niedbale pomalowanej jasnozieloną farbą olejną, ale fizycznie czułem, jak wyblakłe starcze oczka, uważnie i starannie obmacują mnie z boku, jak o parę kroków ode mnie pracuje wprawny, przywykły do tego mózg — szybko jak maszyna tasuje fiszki, na których zapisane jest wszystko: byłem, czy nie byłem, należałem — nie należałem, uczestniczyłem, wszelkie fakty, wszelkie plotki, wszelkie możliwe interpretacje plotek,

niezbędne komentarze do plotek, i oto powstają konstrukcje myślowe, podsumowania, formułują się wnioski, które być może przydadzą się w przyszłości.

Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że wszystko to — moja psychoza.

Zgrzybiałe ścierwo najpewniej w ogóle mnie nie znało, jeśli i znało, to dzisiaj nie te czasy, zresztą jest już stary, nikomu teraz niepotrzebny i dla nikogo nie jest niebezpieczny. Corocznie rozchodzą się plotki, że właśnie spoczął w Panu, stał się bardziej bohaterem historycznych dowcipów niż żywym człowiekiem — zaropiały cień przeciągnięty poprzez lata do naszych czasów.

I w tym właśnie momencie przemówił. Głos miał skrzypliwy i niewyraźny — zapewne z powodu kiepskiej protezy. Jednakże udało mi się zrozumieć, że uważa tegoroczną zimę za nienormalnie śnieżną i coś tam jeszcze i o klimacie i o pogodzie.

Odezwał się do mnie po raz pierwszy w życiu. Jego słowa były absolutnie banalne, każdy człowiek mógłby wypowiedzieć takie słowa. Ale jak, jak w tym dowcipie nagle zapragnąłem zasłonić się rękami i krzyknąć: „Ono mówi!”

Wiele, wiele lat temu, kiedy byłem jeszcze stosunkowo młody, bezapelacyjnie uczciwy wewnątrznie, bezgranicznie głupi, nagle dotarło do mnie (jakby ktoś wylał na mnie kubek zimnej wody), że wszyscy ci bohaterowie strasznych plotek, czarnych przestrzeni, w dowcipach, anegdotach, nic podobnego, przeciwnie! Oto jeden taki z solanki. A tamten, przypadając na usztywnioną artretyzmem nogę idzie mi naprzeciw po marmurowych schodach. A ten okrągłutki, wiecznie spocony, z zapalem biega po korytarzach Mossowietu, wymachując listą pisarzy, którym potrzebne są mieszkania...

I kiedy to do mnie dotarło, pojawiło się dręczące pytanie — jak ich traktować? Jak odnosić się do ludzi, którzy według moich zasad moralnych i etycznych to ohydni przestępcy, gorzej — zdrajcy i sprzedawczyki! Krążyły pogłoski, że bito ich po twarzy i znowu pogłoski — zdarzyło się, że nie podawano im ręki, odwracano twarz przy spotkaniach, ostro potępiano na naradach i zebraniach. Tak, zdarzały się tego rodzaju przypadki, ale nie znam ani jednego takiego incydentu, którego przyczyną nie byłoby coś absolutnie prozaicznego odebrana zniecka delegacja, banalny donos o zdradzie żony lub męża, anonimowa, ale z nagłą ujawniona negatywna recenzja. Chodzili wśród nas z rękami po łokcie we krwi, z pamięcią zropiałą od niewyobrażalnych szczegółów, ze zdławionym, albo nawet zabitym sumieniem — spadkobiercy unieczwionych mieszkań, unieczwionych rękopisów, unieczwionych i najlepszych chęci, chcieliśmy postawić ich pod pręgierzem, publicznie już są napiętnowani, już trafili na śmietnik i nigdy więcej się nie podniosą. Więc po co? Dla nauki potomnych? Wydawało się nam, że ten koszmar już nigdy więcej się nie powtórzy, więc czy taka nauka potrzebna jest potomnym? Zresztą wydawało się, że minie rok, może dwa i ci ludzie bezpowrotnie przepadną w otchłani historii, a wtedy problem rozwiąże się sam przez się — bezsensowne będzie pytanie, czy podawać im przy spotkaniu rękę, czy demonstracyjnie odwracać się tyłem...

Ale minął rok, potem drugi i jakoś niezauważalnie wszystko się zmieniło. Rzeczywiście, niektórzy z nich odeszli w cień, ale większość absolutnie nie zamierzała zniknąć w jakichś tam otchłaniach. Jak gdyby nigdy nic, dobrodusznie przeklinając wyławiali oliwki z solanki, utykając spieszyli po marmurowych schodach na posiedzenia, z zapalem biegali po korytarzach wysokich urzędów wymachując listami, które sami sporządzili i sami zatwierdzili. W otchłani historii zaczęły zniknąć czarne epigramy i krwawe legendy, a ich bohaterowie, którzy przy spojrzeniu z bliska utracili swoje połyskliwe antyaureole, znowu przemierzali się z otaczającym środowiskiem, różniąc się teraz od nas jedynie wiekiem, kontaktami i precyzyjną umiejętnością rozróżniania — co teraz jest na czasie, a z czym należy trochę odczekać.

I zaczęliśmy załatwiać dla nich skierowania na wczasy, zapomogi, użalać się im na bezprawie w wydawnictwach, pisać im pobłażliwe recenzje, załatwiać sobie ich poparcie we

wszelkich możliwych komisjach i absurdalne wydawałoby się już pytanie, czy należy temu to koledze podawać przy powitaniu rękę. Ach, a więc w tym czy tamtym roku doprowadził do śmierci Iwanowa, Pietrowa i dwóch Rabinowiczów? Przestań, proszę, mało kogo o to teraz nie oskarżają? Połowa naszych straczków oskarża o takie grzechy drugą połowę i najprawdopodobniej obie połowy mają rację. Obrzydło. A co dzisiejsi, to niby co, lepsi?

Nie sądz, to nie będziesz sądzony. Nikt nic nie wie, dopóki sam nie spróbuje. Nie miej pretensji do lustra. A co najważniejsze — nie pluj do studni i nie sikaj pod wiatr. Bo jest się czego bać i zawsze było. Od samego początku.

Ten obrzydliwy staruch, który siedział o dwa krzesła dalej mógł zrobić ze mną wszystko. Napisać. Dać do zrozumienia. Wyrazić zdumienie. Albo pewność.

Ten wstrętny staruch wydał mi się nagle rudymmentem innej epoki. Albo zupełnie innych warunków egzystencji.

Przeszedłeś ulicę na czerwonym świetle — i ten stwór odgryza ci nogi. Zostawiłeś w tekście niewłaściwe słowo — i stwór odgryza ci ręce. Wygrała twoja obligacja — stwór odgryza ci głowę. Jesteś absolutnie bezbronny wobec stwora, ponieważ nie znasz i nigdy nie poznasz zasad, według których poluje i celu jego istnienia. U któregoś z fantastów — nie to u Jefremowa, nie to u Bielajewa jest opis potwornej bestii — giszu, pożeracza przedpotopowych słoni, który dotrwał do epoki człowieka. Człowiek nie umiał ratować się przed nim, a nie umiał dlatego, że nie rozumiał jego obyczajów, a nie rozumiał dlatego, że obyczaje te powstały w tych czasach, kiedy człowieka jeszcze nie było i być nie mogło. I człowiek mógł się ocalić tylko w jeden jedyny sposób — połączyć się z podobnymi sobie, zabić giszu...

Porozmawialiśmy o pogodzie. Następnie po chwili milczenia znowu porozmawialiśmy o pogodzie. Potem on był łaskaw wyrazić swoje oburzenie — co za skandal — drugie piętro bez windy po krętych schodach. Temat wydał mi się śliski, więc uznałem za stosowne pominąć go milczeniem.

W tym momencie drzwi pod lampką rozwarły się i do korytarza wytoczył się Pietienka Skorobogatow.

— Boże, co ci się stało? — zawołałem wstając, żeby się z nim przywitać.

Głowa Pietienki była zamotana białym bandażem niczym zawojem. Lewa ręka również zabandażowana, gruba jak kolano wisiała na temblaku. Prawą wspierał się na lasce. „Co oni z nim zrobili?” pomyślałem z przerażeniem.

Zresztą nieomal natychmiast zostało wyjaśnione, że ONI nic z nim nie zrobili, a po prostu wczoraj wracając z zebrania zaabsorbowany sporem z przewodniczącym tutejszych związków zawodowych, Pietienka Skorobogatow nie trafił nogą w stopień i zleciał z krętych schodów z drugiego piętra na parter. Troje ludzi zawieziono do szpitala, gdzie leżą do dnia dzisiejszego. Po trepanacji. A Pietienka jak gdyby nigdy nic.

— ...więc rozumiesz polecałem na łeb i na szyję po spirali z drugiego piętra na parter. Głowa–nogi, głowa–nogi. I jak gdyby nigdy nic. Miałem szczęście, rozumiesz uczepiłem się przewodniczącego, on jest gruby jak knur, taki miękki...

Zasiadł obok mnie, wyciągnął uszkodzoną nogę. Jak z gęsi woda. Nie zatrzymując się na takich drobiazgach jak rozerwane ucho, zwichnięta ręka, skręcona noga w kostce, Pietienka już zmyślał jak wczoraj wezwano go do zarządu wydawniczego i zaproponowano dwutomowe albumowe wydanie jego utworów. Ilustrować książki będą Kukryniksy, a wszystko razem zostanie wydrukowane w Lipsku...

Kiedy usłyszałem o Lipsku mimo woli spojrzałem w prawo. Na szczęście Ropiejącego Pryszca już nie było.

— A co ty tu masz? — nagle zawołał Pietienka wyrывая mi teczkę. — O! To ty muzyką też się zabawiasz? — powiedział widząc nuty. Daj sobie spokój, nie radzę. Przegrana sprawa. — Ja na przykład teraz... Jak Boga kocham, sam się zdziwiłem. Wyszedł mi zupełnie

nieprawdopodobny indeks. Po prostu nieprawdopodobny. Ten typek nawet mi nie zwrócił rękopisu: „Nie oddam — powiedział. — To wzorzec”. Ja do niego: „Jaki tam wzorzec, pisałem ot, tak sobie, w chwilach wolnych od innych zajęć, strasznie nudne zamówienie”. A on odpowiada: „Może dla pana to nudne zamówienie, a dla nas — wzorzec”. Nie, Feliksie, maszyny nie da się oszukać, coś ty!

I ponownie rozwarły się drzwi pod lampką i korytarz powrócił Ropiejący Pyszc. Przekroczył próg, starannie zamknął za sobą drzwi i znieruchomiał. Stał tak przez kilka sekund jedną ręką oparty o ścianę, drugą przyciskał do piersi papeterię. Twarz miał zieloną jak nadpsuty nieboszczyk, oczy wytrzeszczone, usta na w pół otwarte.

— Jakże to tak? — zasyczał, zresztą najzupełniej wyraźnie. — Jak tak być może? Ja przecież na własne oczy...

Zachwiał się, my z Pietieńką rzuciliśmy się, aby go podtrzymać, ale odgonił nas ręką trzymającą papeterię.

— Sam osobiście... — świszczącym szeptem wykrzyknął wpatrzony w pustą przestrzeń między nami. — Sam... Osobiście!

— Głupstwo — pocieszająco powiedział Pietieńką obejmując go w tali ręką, w której trzymał laskę. — Nic znowu takiego się nie stało Metody Kiryłyczu. Już tak bywało i jeszcze nieraz będzie.

— Czy pan w ogóle rozumie co pan mówi? — zapytał go Metody Kiryłycz, z jakąś powiedziałbym nawet rozpaczą. — Czy może zagrzmiały już trąby Sądu Ostatecznego?

— W żadnym wypadku — powiedział Pietieńką. — Ja to panu gwarantuję po prostu. Nie ma mowy o żadnych trąbach, nawet powietrznych. A teraz sobie usiądziemy Metody Kiryłyczu, chwileczkę odsapniemy sobie...

— Osobiście! — wyskrzyphał staruch posłusznie siadając. — A później sam czytałem...

— Pan, Metody Kiryłyczu czytał to, co było napisane, a trzeba było czytać między wierszami — powiedział Pietieńką mrugając do mnie. — Tam był najwidoczniej podtekst i pan go nie uchwycił. No i maszyna złapała pana.

— Jaki podtekst? Jaka maszyna? Czy pan w ogóle rozumie o czym ja mówię, młody człowieku?

Było mi nieprzyjemnie, czułem obrzydzenie, więc odwróciłem się i wtedy zauważyłem, że nad drzwiami świeci napis „Wejść”. Wstałem z krzesła i jak somnambulik poszedłem gdzie mnie zapraszano. Już wcześniej zdarzało mi się bywać w ośrodkach obliczeniowych, więc szare pudła, pulpity migające lampkami oraz inne ekrany — cyferblaty nie zainteresowały mnie. Znacznie dziwniejszy i ciekawszy wydał mi się człowiek siedzący za biurkiem zawalonym rulonami i papierowymi teczkami.

Był on najprawdopodobniej w moim wieku, chudy, o jasnych sypkich włosach. Rysy jego twarzy właściwie były dość pospolite, ale zarazem w jakiś nieuchwytny sposób znaczące. Coś w tej twarzy wzbudzało czujność, coś takiego było w tym człowieku, co kazało podciągnąć się wewnętrznie, mówić krótko, normalnym starannym językiem bez żadnej zgrywy. Był w granatowym laboratoryjnym fartuchu narzuconym na szary garnitur, w śnieżnobiałej koszuli, krawat miał dyskretny, staroświecki i staromodnie zawiązany.

— Proszę, niech pan dokładnie zamknie drzwi — powiedział miłym sympatycznym głosem.

Obejrzałem się i zobaczyłem, że drzwi zostawiłem na w pół otwarte, przeprosiłem, i zatrzasałem je. Następnie przedstawiłem się. Coś zmieniło się w wyrazie jego twarzy i zrozumiałem, że moje nazwisko jest mu znane. Zresztą swojego nazwiska mi nie podał tylko powiedział:

— Bardzo się cieszę. Jeśli można zobaczymy, co pan nam tu przyniósł. Proszę bliżej i niech pan siada.

W tych prostych słowach zabrzmiała jak mi się wydało jakieś poczucie wyższości i do tego tak znaczne, że nagle odczułem potrzebę, aby się tłumaczyć, usprawiedliwić, że nie lekceważyłem sobie, w ostatnim czasie wynikły takie okoliczności i że w ogóle już tu byłem wczoraj, dosłownie stałem dwadzieścia kroków przed tymi drzwiami — i znowu z przyczyn zupełnie ode mnie niezależnych...

Zresztą ten atak pełnego szacunku poczucia winy, ostry, nieomal fizjologiczny minął nader szybko, niczego takiego mu nie powiedziałem, tylko po prostu podszedłem do jego biurka, położyłem mu przed nosem swoją teczkę, a sam wygodnie rozsiadłem się w foteliku. Nagle coś mnie zniosło w przeciwnym kierunku, ogarnęła mnie ochota aby wygodnie rozwalić się w fotelu, założyć nogę na nogę i rozglądając się z roztargnieniem rzucić płaski banał w rodzaju „Dobrze sobie żyją ci uczeni, nieźle się urządzili”.

Ale nic takiego rzecz jasna nie powiedziałem, nogi na nogę nie założyłem, tylko siedziałem grzecznie, przywoicie i patrzyłem jak przysuwa sobie moją teczkę, ostrożnie i starannie rozwiązuje tasemkę i jakby uśmiecha się dużymi wąskimi wargami i zdaje się zerka na mnie poprzez spadające sypkie włosy — ni to z ciekawością, ni to zjadliwie, ale z wyraźną życzliwością.

Otworzył teczkę i zobaczył nuty. Jego brwi z lekka się uniosły. Mamrocząc niezręcznie przeprosiny sięgnąłem po przekłętą partyturę, ale on nie odrywając oczu od rzędów nut, zatrzymał mnie lekkim ruchem dłoni. A bez wątpienia umiał czytać nuty i to co przeczytał bez wątpienia go zainteresowało, ponieważ, kiedy w końcu pozwolił mi wyjąć z te czki manuskrypt upadłego anioła, spojrział na mnie niewesołymi szarymi oczami i powiedział:

— Interesujące, muszę powiedzieć papiery trafiają się w starych teczkach naszych pisarzy...

Nie znalazłem co mu odpowiedzieć, zresztą nie oczekiwał mojej odpowiedzi, tylko pobieżnie, chociaż nadal starannie kartkował kopie moich recenzji z dawno już gnijących w archiwach redakcyjnych dzieł zapoznanych talentów, kopie adnotacji o japońskich patentach, rękopisy moich przekładów z japońskich technicznych periodyków i inne śmiecie pozostałe z tych lat, kiedy przestano mnie drukować i zaczęto zaszczuwać...

Kartkował mając widocznie nadzieję wyszukać w tej kupie śmieci coś choćby w minimalnym stopniu pożytecznego, i zrobiło mi się okropnie wstyd, poczułem się jak ostatnia świni a, że oto siedzi przede mną człowiek, niewesoły i surowy, nie chałturszczyk, nie koniunkturalista, który jeszcze na domiar czytał Sorokina i spodziewał się od tego Sorokina interesującego materiału, materiału, na którym można by się oprzeć w badaniach, oczekiwał od Sorokina elementarnej przyzwoitości, a Sorokin przywlókł mu worek gówna i wywalił na biurko — masz, udław się.

Mniej więcej takie uczucia dręczyły mnie, kiedy zamknął wreszcie haniebną teczkę, położył na niej blade dłonie o długich chudych palcach i ponownie na mnie popatrzył.

— Widzę Feliksie Aleksandrowiczu, że pana w ogóle nie interesuje obiektywna wartość pańskiej twórczości.

Nie wiem czy w jego tonie zabrzmiał wyrzut, ale z plebejskiej chęci przekory, z miejsca się najeżyłem.

— A to na jakiej podstawie pan tak sądzi?

— No, a jakże inaczej? — postukał paznokciem po teczce. — Z tego materiału, który pan mi przyniósł wynika tylko tyle, że ma pan paskudny charakter pisma i że w Japonii bardzo pracowano nad problemami paliwa.

Niedorzeczny, kłótlivy, nieznośny demon poruszył się we mnie wypychając na zewnątrz wściekle tchórzliwe usprawiedliwienia „Nic nie wiem, było powiedziane, jakikolwiek rękopis, no więc jest jakikolwiek, proszę, sami nie wiedzą czego chcą, a potem sami mają pretensje...” Ale nic podobnego nawet nie zacząłem mówić, za to powiedziałem markotnie:

— Tak jakoś wyszło...

I dodałem nieoczekiwanie dla siebie.

— Niech się pan nie gniewa, proszę.

— Ależ co też pan — powiedział i nagle uśmiechnął się dziwnym, serdecznie smutnym uśmiechem. — Jakżebym mógł gniewać się na pana Feliksie Aleksandrowiczu? Przecież tak naprawdę to jest potrzebniejsze panu niż nam. I wtedy do mnie dotarło jaką niesłychanie zdumiewającą rzecz powiedział przed chwilą.

— Chwileczkę — powiedziałem nie wiadomo dlaczego zniżając głos. — Pan zapewne żartuje? W jakim sensie pan to powiedział o wartości obiektywnej?

— W najbardziej dosłownym — odpowiedział i przestał się uśmiechać.

— Jak to jest możliwe? Czy mam rozumieć, że wynaleźliście tu Menzurę Zoila?

— A dlaczego by nie? I Menzurę i wiele innych...

— Na miłość boską, to przecież absurd. Jak można oznaczyć obiektywną wartość utworu?

— A dlaczego nie można? — powtórzył.

— A chociażby dlatego... Wybacz pan banał. Mnie się na przykład podoba, a pana każde słowo przyprawia o mdłości. Dzisiaj mówi o tym cały świat, a jutro już nikt nie pamięta...

— Wszystko to prawda Feliksie Aleksandrowiczu, ale jaki to ma związek z obiektywną wartością?

— A taki ma to związek z obiektywną wartością — powiedziałem gorączkując się — że obiektywnie wartościowy utwór musi być wartościowy i dla mnie i dla pana wartościowy, wczoraj był wartościowy i jutro też będzie, a tak nigdy nie jest i być nie może.

On jednakże zaoponował, powiedział, że myślę wartość obiektywną z wartością wieczną. Wieczne wartości nie istnieją rzeczywiście, w literaturze i sztuce nie zdarza się nic takiego, co ceniliby wszyscy i zawsze. Ale czy nie zauważyłem, że wiele utworów, kiedy już narobiły hałasu, kiedy już wydawałoby się przeżyły swoje życie, nagle odradzają się po upływie stuleci znowu, znowu stają się głośne i żyją i nawet jeszcze mocniej i energiczniej niż poprzednio? Być może należy taką właśnie zdolność zmartwychwstania traktować jako miarę obiektywnej wartości. Dodam że to tylko jedna z wielu możliwości oceniania wartości obiektywnej... Istnieją również inne, bardziej funkcjonalne, wygodniejsze dla znajdowania algorytmów...

Słuchałem go, i fizycznie czułem jak mija moje rozgorączkowanie, wartości wsiąkają niczym woda w piasek. Lubię podyskutować szczególnie na takie właśnie oderwane tematy. Ale moje wyobrażenie o abstrakcyjnych dyskusjach zakłada konieczność pewnej ściśle określonej atmosfery — lekka euforia, miłe towarzystwo, maszynka kawy rzecz jasna i w perspektywie następna maszynka, jeśli zaistnieje taka potrzeba. Tutaj zaś wśród metalowych skrzyń, w martwym świetle jarzeniówek, wśród rulonów i wykresów, nie w miłym towarzystwie, a w towarzystwie człowieka, który mnie onieśmiałał... Nie obywatele, w takiej sytuacji proszę na mnie nie liczyć.

I jakby odgadując moje myśli powiedział:

— Zresztą Feliksie Aleksandrowiczu, dyskusja o tym nie ma najl mniejszego sensu. Maszyna do mierzenia obiektywnej wartości utworu pisarza Menzura Zoila, jak ją pan nazywa, istnieje. I to już od j dość dawna. Tylko że kiedy została wynaleziona, pojawił się następny problem, znacznie ważniejszy: czy w ogóle potrzebna jest komukolwiek wiedza o obiektywnej wartości dzieła? Niezmiernie pouczający los pierwszego działającego modelu takiej maszyny, a także jej wynalazcy... Przepraszam, czyja pana nie nudzę?

Już przeczułem, że zbliża się coś paskudnego i spiesznie kiwnąłem głową, całym sobą dając do zrozumienia, że skądże znowu, bardzo jestem ciekaw.

I przecucie mnie nie oszukało. Opowiedział mi, jak trzydzieści lat temu, młody wynalazca-entuzjasta, przywiózł na motocyklu do Domu Pracy Twórczej pisarzy w Kukuszkynie, swój pierwszy model Mipitalu — „Miernika Pisarskiego Talentu”, i o tym jak Zachar Kupidonycz bez pozwolenia wrzucił do maszyny rękopis Sidora Amenpodespowicza,

a potem z zachwytem przeczytał w jadalni ekspertyzę Mipitala, która zresztą nikogo nie zdziwiła; i o tym jak doszło do obrzydliwej awantury przy obojętnej maszynie, między Flawiuszem Wespazjanowiczem, a nietaktownym redaktorem z wydawnictwa „Moskiewski Literat”, i o tym jak fatalnie zakończył się jubileusz Gausjanny Nikiforownej, kiedy to zmarnowało się sto siedem porcji jesiotra z różną i befsztyków a la Suworow, przywiezionych z klubu na personalnym ZIS-ie; jak Łukian Lubomudrowicz starał się przekupić wynalazcę, żeby ten coś tam zakręcił w przeklętym aparacie — najpierw proponował skrzynkę wódki, potem pieniądze i wreszcie mieszkanie w wysokościowcu... słowem o tym, jak przez osiem dni w Domu Pracy Twórczej w Kukuszkynie trwało piekło, a w nocy na dziewiąty, rozbito maszynę na drobne kawałki, i wreszcie dnia dziesiątego Metody Kiryłycz zakończył tę historię całkowicie zgodnie z obecnie niestosowanymi już dziś sposobami rozwiązywania konfliktów.

Chciewie słuchałem tej historii, a potem zapytałem:

— To znaczy, że pan znał Anatolija Jefimowicza?

— Rozumie się! — powiedział jakby coś sobie przypominając. Tylko, wie pan, on nie tylko chciał, ale napisał tę komedię. I sam siebie w niej opisał — pod innym nazwiskiem oczywiście. A działo się to wszystko w marcu pięćdziesiątego drugiego roku w Kukuszkynie...

Coś uderzyło mnie w tym ostatnim zdaniu, ale uchwyciłem się za inną jak mi się wydawało, sprzeczność.

— Co to znaczy — napisał? — zaprotestowałem. — Anatolij Jefimowicz opowiadał mi to dosłownie na miesiąc przed śmiercią. I mówił o tym jako o projekcie.

Uśmiechnął się niewesoło.

— Nie Feliksie Aleksandrowiczu. Kiedy to panu opowiadał, sztuka już od ćwierćwiecza była napisana. I leżała sobie w trzech egzemplarzach, odredagowana, całkowicie gotowa do wystawienia, w szufladzie jego biurka. Pamięta pan jego biurko? Staroświeckie, ogromne, z mnóstwem szuflad. A więc po lewej stronie, na samym dole leżała ta jego komedia z tym niezgrabnym tytułem „Mipital”.

Powiedział to z taką powagą i zarazem z takim smutkiem, że nie pozostawało mi nic innego, jak chwilę pomilczeć. I milczeliśmy, a on znowu otworzył moją teczkę i zaczął przeglądać rękopisy.

Czułem lekki żal do Anatolija Jefimowicza, za to że mi nie ufał i nie pokazał tego kawałka swojego życia, a miałem przecież wrażenie, że mnie lubi i wyróżnia. Chociaż z drugiej strony, kim ja dla niego byłem, żeby miał mi ufać? Zaszczycił mnie rozmowami w kuchni przy herbacie, gdzie podejmował tylko bliskich sobie ludzi, dobre i to...

Ale jednocześnie wraz z lekką urazą czułem też zdziwienie. Dziwiło mnie nie to, że Menzura Zoila jak się okazuje została już dawno wynaleziona i wypróbowana. Dziwiło mnie to, że wcale nie jestem zdziwiony. Jakkolwiek by na to patrzeć, realne istnienie takiej maszyny wywracało wiele moich wyobrażeń, że wszystko pozostałe wydawało mi się dziwne i zdumiewające o tyle tylko, o ile było tej osobowości pochodną. Miałem okropną ochotę zapytać, czy przypadkiem to nie on jest tym właśnie młodym wynalazcą, który urządził tydzień grozy w Kukuszkynie, a następnie został opisany w sztuce Anatolija Jefimowicza. Nawet już odkaszniałem i otworzyłem usta, a on natychmiast podniósł na mnie swoje przejrzyste szare oczy i od razu zrozumiałem, że nie ośmielę się zadać mu tego pytania... I palnąłem pierwsze co mi przyszło do głowy.

— A więc co to właściwie ma znaczyć? Wychodzi na to, że te wszystkie skrzynie to jest właśnie „Mipital”? To znaczy, że mają rację ci, którzy mówią, że mierzycie tutaj poziom naszych talentów?

Tym razem nawet się nie uśmiechnął.

— Oczywiście, że nie — odpowiedział. — To znaczy w pewnym sensie tak. Ale właściwie zajmujemy się zupełnie innymi problemami, bardzo specjalnymi, raczej z dziedziny lingwistyki... albo jeśli precyzyjniej socjalnej lingwistyki.

Zapytałem, czy mam go rozumieć w taki sposób, skrzynie rzeczywiście potrafią zmierzyć poziom mojego talentu, tyle że teraz są nastawione na inne zadania. Odpowiedział, że w pewnym sensie jest właśnie tak. Wtedy dosyć jadowniczo poinformowałem się w jakich jednostkach oni tu mierzą talent — w skali pięciostopniowej, jak w szkole średniej, czy w dwustopniowej, jak trzęsienia ziemi... Zaprzeczył, powiedział, że naiwne byłoby sądzić, że tak skomplikowane socjopsychologiczne zjawisko jakim jest talent można oceniać w tak prymitywnych jednostkach. Talent jest specyficzną właściwością i wymaga specyficznych jednostek miary...

— Zresztą — powiedział — najprościej będzie jeśli panu pokażę, jak pracuje maszyna. Dane, które otrzymujemy mają bardzo pośredni związek z talentem, ale wszystko jedno... Powiedzmy ta kartka, pańska recenzja z pewnej noweli pod tytułem „Narodziny gołębic”... Że to nowela można się domyślić z samego tytułu... Ale maszyna będzie miała do czynienia nie z nowelą, tylko z pańską recenzją, Feliksie Aleksandrowiczu.

Nie bez trudu odczepił od kartek na murze przyrdzewiały spinacz, zdjął górną stroniczkę i włożył do takiej płytkiej szufladki wielkości kartki maszynopisu. Następnie szufladkę zasunął niedbale, popchnął kilka przełączników i nacisnął wskazującym palcem czerwony klawisz z lampką w środku. Żaróweczka zgasła, ale za to pobiegły i zamigały niezliczone światełka na pionowym pulpicie i ożyły dwa duże ekrany na bokach pulpitu. Jak żmije popęły krzywe, zaczęły skakać cyfry, cichutko zaskowyczały pstrykając różne tam kenotrony, klistrony i inne elektroniczne bebechy. Epoka rewolucji naukowo — technicznej.

Trwało to wszystko może z pół minuty. Następnie skowyt ustał, a na pulpit i na ekrany powrócił spokój i porządek. Teraz świeciły tam dwie gładkie krzywe i ogromna ilość najróżniejszych liczb.

— No i koniec — powiedział wysunął szufladkę i włożył kartkę papieru z powrotem do teczki.

Nawet nie zdążyłem otworzyć ust, kiedy już mi objaśniał — że te oto liczby, to entropia mojego tekstu, te zaś charakteryzują coś tam takiego o czym długo by mówić, a ta oto krzywa to zaokrąglony współczynnik czegoś, czego nie zrozumiałem, ta zaś to rozrzut czegoś takiego, co zrozumiałem i nawet zapamiętałem, ale od razu wyleciało mi z pamięci.

— Proszę zwrócić uwagę na tę cyfrę — powiedział postukując palcem po samotnej czwórce, która sieroco wtuliła się w dolnym prawym kącie cyfrowego ekranu. — Wśród pańskich kolegów, nie wiem czemu panuje przekonanie, jakoby to właśnie była ta sławetna obiektywna ocena, czy też indeks genialności jak ją nazwał ten dziwny owinięty w bandaż człowieka.

— Ojło Związkowe... — wymamrotałem machinalnie.

— Możliwe. Zresztą dzisiaj przedstawił się jako Kozłuchin, a zresztą on akurat pojawiał się tu już niejednokrotnie, za każdym razem z innym rękopisem i pod innym nazwiskiem. Uparcie nazywa tę cyfrę indeksem genialności i uważa, że czym jest ona większa, tym autor genialniejszy.

I opowiedział mi jak próbując przekonać Pietienkę Skorobogatowa, pewnego razu wyrwał na chybił trafił z pierwszej lepszej gazety jakiś felieton o kantach w handlu, włożył do maszyny i maszyna pokazała siedmiocyfrową liczbę i chociaż gołym okiem było widać, że felieton jest beznadziejnie daleki od genialności Pietienka Skorobogatow nie dał się ani trochę przekonać, chytrze przymrużył oko i starannie schował strzępek gazety do grubego notatnika.

— A więc na co wskazała pańska siedmiocyfrowa cyfra? — zapytałem z ciekawością.

— Pan wybaczy Feliksie Aleksandrowiczu, ale cyfry bywają wyłącznie jednocyfrowe. Siedmiocyfrowe bywają liczby. A więc liczba, która pojawia się w tym miejscu monitora —

znowu postukał palcem po mojej czwórce — oznacza popularnie mówiąc najbardziej prawdopodobną liczbę czytelników danego tekstu.

— Czytelników tekstu — ... powtórzyłem nieśmiało i mściwie.

— Tak, tak purysta językowy niewątpliwie uzna to połączenie słów za bardzo nieładne, jednakże w danym przypadku „czytelnik tekstu” to termin oznaczający człowieka, który chociaż raz przeczytał albo przeczyta w przyszłości dany tekst. Tak więc ta jakaś mityczna czwórka, to nie indeks pańskiej Feliksie Aleksandrowiczu genialności, a zaledwie najbardziej prawdopodobna liczba czytelników tej recenzji, wskaźnik NICZT, albo po prostu CZT...

— A co to takiego en-el? — zapytałem aby w ogóle cokolwiek powiedzieć, w głowie huczało mi jak w rurze wodociągowej.

— NI — najprawdopodobniejsza liczba.

— Aha — powiedziałem i nawet już zamilkłem, ale w mojej głowie nagle na moment przejaśniło się i zapytałem z oburzeniem: A więc jaki ma związek pański NICZT z talentem, ze zdolnościami, i w ogóle z wartością danego, jak pan był łaskaw się wyrazić, tekstu?

— Uprzedzałem pana Feliksie Aleksandrowiczu, że wskaźnik ten ma wyłącznie pośredni związek...

— Żadnego związku, nawet pośredniego! — przerwałem mu nakręcając się coraz bardziej.

— Liczba czytelników zależy przede wszystkim od nakładów!

— A nakłady?

— No wie pan — powiedziałem. — Mnie to już naprawdę może pan nie opowiadać bajek! Dobrze wiemy od czego, a zwłaszcza od kogo zależą nakłady. Mogę panu wymienić ile tylko pan chce skandalicznej chałtury, która wyszła w półmilionowych nakładach...

— Rozumie się, rozumie się, Feliksie Aleksandrowiczu. Pan teraz zupełnie jak ten pański zabandażowany Kozłuchin nie wiadomo dlaczego uporczywie i prostodusznie zakłada bezpośredni związek między wielkością NICZT a jakością tekstu.

— To nie ja zakładam, to pan sam zakłada! Ja akurat uważani, że nie ma żadnej zależności, ani pośredniej ani bezpośredniej!

— Jakże nie ma, Feliksie Aleksandrowiczu? Oto tekst — dwoma palcami uniósł za rożek stroniczkę mojej nieszczęsnej recenzji — wskaźnik NICZT jak pan widzi cztery. Ma pan coś przeciwko takiej ocenie?

— Pan daruje... Naturalnie, jeżeli weźmiemy recenzję, i jeszcze do tego wewnętrzną... No, powiedzmy przeczytają redaktor... może jeszcze autor jeśli mu pokażą...

— Tak. A więc się zgadza.

I nagle zręcznie, niczym sztukmistrz wyciągnął z mojej teczki szkolny zeszyt w wypłowiałej plamisto żółtej okładce i tak gwałtownie przybliżył go do mojej twarzy, że aż się odsunąłem.

— Co tu widzimy? — zapytał.

Widzieliśmy tu przejmująco znajomy obrazek z lat dziecińczych — brodaty witeź żegna się z potężnym długogrzywym koniem. A pod obrazkiem wiersz „I oto wybiera się Oleg, książ wieszczy...”

— O co chodzi? — zapytałem wyzywająco. — Nawiasem mówiąc wspaniałe, cudowne wiersze... Żadne lekcje literatury nie zdołały ich zamordować...

— Niewątpliwie, niewątpliwie — powiedział. — Ale ja nie o to pytam pana. Jeśli wprowadzę tę kartkę do maszyny, to?

Mój intelekt rzucił się do pracy.

— Nn-no... — wydusiłem — powinno wyjść dosyć dużo, zapewne... samych uczniów się nazbiera... Dziesięć, dwadzieścia milionów?

— Dobrze ponad miliard — powiedział twardo — ponad miliard Feliksie Aleksandrowiczu.

— Może i ponad miliard — powiedziałem pokornie. — Przecież musi być dużo...

— A więc — powiedział — banalna recenzja — i NICZT równa czterem „Wspaniałe, cudowne wiersze” — NICZT przekracza miliard. A pan mówi tu nie ma żadnej zależności.

— Ale przecież... — pomachałem dłońmi i pstryknąłem palcami — to „Pieśń o wieszczym Olegu”... przecież jest wydrukowana. I to ile razy! Ją nawet śpiewają!

— Śpiewają — pokiwał głową. — I będą śpiewać. I będą drukować jeszcze i jeszcze. Wciąż znowu i znowu.

— No proszę. A moja recenzja...

— A pańskiej recenzji nikt śpiewać nie będzie. I nie wydrukuje. Nigdy. Dlatego NICZT wyniosła zaledwie cztery. I w przeszłości i w przyszłości. Tak sobie zgnije ta recenzja nieprzeczytana przez nikogo.

W tym momencie odniosłem zdumiewające wrażenie. Jakby chciał mi coś podpowiedzieć, naprowadzić na jakąś myśl. Jakby pukał do jakichś niewiadomych mi drzwi w mojej świadomości „Otwórz. Wpuść mnie”. Ale wszystkie słowa, które wypowiedzieliśmy i wszystkie sformułowane przez nas myśli same w sobie były tak banalne, że aż bezbarwne i nie znalazły we mnie odzewu. Jakby ktoś bił puchową poduszką w stalowe drzwi na wieki zatrzaśniętego sejfu.

— No i bardzo dobrze... — powiedziałem niezdecydowanie — Bóg z nią. Też mi dzieło sztuki...

Przez chwilę milczał ugniatając palcami skórę nad brwiami.

— Zażartowałem, Feliksie Aleksandrowiczu — powiedział jakby czymś tam zawinił. — Oczywiście ma pan całkowitą rację.

Ponownie umilkł. Milczałem i ja starając się zrozumieć w czym mianowicie miałem rację i do tego — całkowitą rację. I jeszcze — na czym polegał ten dowcip, jaki jest sens tego żartu. A kiedy milczenie stało się już niezręczne i nawet nieprzyzwoite, powiedziałem:

— No cóż... chyba już sobie pójdę.

— Tak, tak oczywiście. Bardzo panu dziękuję.

— Tecznię chyba zabiorę?

— Ależ oczywiście, bardzo proszę.

— A może ona będzie panu...

— Nie, nie, dziękuję bardzo. Wycisnęliśmy z niej wszystko, co się da.

— A więc nie muszą już przychodzić?

Podniósł na mnie niewesołe oczy.

— Zawsze będę rad pana widzieć Feliksie Aleksandrowiczu. Co prawda jutro mnie tu nie będzie. Proszę przyjść pojutrze, jeśli się pan wybierze.

Nie wiem co rzeczywiście miał na myśli, ale to jego zaproszenie zabrzmiało raczej jak rozkaz. I znowu swarliwy demon poruszył się w mojej duszy, ale powstrzymałem go. Ograniczyłem się do wzruszenia ramionami i zacząłem zawiązywać tasiemki mojej teczki, a on wtedy powiedział:

— Proszę, niech pan nie zapomni o tych nutach, Feliksie Aleksandrowiczu.

Okazało się, że omal nie zapomniałem u niego na biurku tych idiotycznych nut. Patrzył, jak je wpycham do teczki, jak ponownie zawiązuje tasiemki, a kiedy już pożegnaliśmy się i kiedy już szedłem do wyjścia, powiedział:

— Feliksie Aleksandrowiczu, ja bym panu nie radził nosić ze sobą tej partytury po ulicach. Mało co się może wydarzyć...

Postanowiłem nie pytać o co mu chodzi. Miałem zupełnie dosyć. Jakbym niczego nie usłyszał, w milczeniu wyszedłem do korytarzyka i starannie zamknąłem drzwi za sobą. W korytarzyku nie było nikogo. Od Bannej do metra poszedłem pieszo. Brnąłem, ślizgając się po oblodzonych trotuarach, przepychałem się przez skupiska prowincjałów pod drzwiami modnych sklepów, przedzierałem się przez skupiska samochodów na skrzyżowaniach i prawie nic wokół siebie nie dostrzegałem. Moje myśli natrętnie powracały do rozmowy z

moim dziwnym znajomym. Nawiasem mówiąc nie przedstawił mi się. Jak mu się to udało? Dziwne, dziwne... Z jednej strony, właściwie co w tym niezwykłego? Spotkało się dwóch kulturalnych ludzi. W konkretnej sprawie. Poznali się. No dobrze, jeden z nich nie wymienił swojego nazwiska, a drugi przypomniał sobie o tym dopiero po zakończeniu rozmowy. To akurat wcale nie jest najdziwniejsze. Dwoje kulturalnych, niewątpliwie syi etycznych dla siebie ludzi, wymieniło jakieś tam dość abstrakcyjne poglądy na temat najzwyczajniejszych banalnych problemów — genialność, twórczość, literatura, czytelnicy, nakłady i te de. Ale dlaczego po tej rozmowie mam wrażenie, jakby zadry jakieś utkwiły mi w świadomości? Gdzieś, może tu właśnie za uszami, coś jakby świerzbiło. Ale co konkretnie i dlaczego?

Już w metrze, ściśnięty między dwoma dziecinnymi wózkami (w jednym leżało dziecko, w drugim — gumowe dętki do moskwicza) nagle niezwykle wyraźnie usłyszałem poprzez łoskot kół jego miękki głos „Anatolij Jefimowicz nie tylko chciał napisać tę komedię. On ją napisał. A w marcu pięćdziesiątego drugiego roku to wszystko właśnie odbyło się w Kukuszkynie”.

Tak. To jest ta pierwsza zadra. Najpierw napisał, a potem to wszystko się stało. Bzdura, bzdura oczywiście, musiałem się przesłyszeć. Albo przejęzyczył się. Ale przede wszystkim — co było między nim a Anatolijem Jefimowiczem? I właściwie kiedy zdążył? Anatolij Jefimowicz w odróżnieniu od większości moich kolegów, był człowiekiem wyjątkowo skrytym, powiedziałbym nawet — odludkiem. Unikał wszelkich posiedzeń, nawet tych najważniejszych. Na salonach nie bywał i w swoim domu Boże broń takowych nie urządził. Prawie nie przychodził do klubu, nie lubił alkoholu, wolał dobrą herbatę, którą zaparzał własnoręcznie w domowych warunkach. Nie miał prawie przyjaciół — jedni umarli jeszcze przed wojną, inni „polegli na czas”, a jeszcze inni jak się kiedyś wyraził „wybrali lepszą częśćkę”. W istocie rzeczy był samotny, myślałem o tym za każdym razem, kiedy widziałem w kącie jego gabinetu stosy nierozpieczętowanych paczek z niezliczonymi wznowieniami jego trylogii, tej właśnie trylogii uhonorowanej wszelkimi możliwymi laurami — nie rozdarowywał nawet egzemplarzy autorskich, nie miał komu.

Właściwie oprócz mnie przyjmował w swoim domu jeszcze siedmiu ludzi. Znałem ich wszystkich i jestem pewien, że żaden z nich nigdy nie słyszał o „Mipitalu”. A mój dzisiejszy znajomy nie tylko słyszał o tej komedii, ale najwyraźniej ją czytał! Dziwne, dziwne... Być może oni kiedyś, nie za moich czasów, byli sobie bliscy, a potem się pokłócili. Ale przecież on jest mniej więcej w moim wieku, mógłby być synem Anatolij a Jefimowicza, więc kiedy?

Nic w tej sprawie nie zdołałem wymyślić, a potem wszystkie myśli na ten temat wyleciały mi z głowy, kiedy już prawie pod samym domem poślizgnąłem się, wykonałem fantastyczny piruet i runąłem na bok, na domiar złego zbijając z nóg damę z pieskiem, która akurat mi się nawinęła.

Sześć osób nadbiegło, aby nas podnieść z ziemi i mnóstwo było przy tym stękania i sapania, okrzyków dla kurażu i wątpliwych lamentów w sprawie tego, że prawo do pracy nie obejmuje najwidoczniej prawa do posypywania piaskiem oblodzonych trotuarów. Moim zdaniem najbardziej ucierpiał piesek, któremu w zamieszaniu ktoś nadepnął na łapę, ale i ja potłukłem się bardzo mocno. Stałem przyciskając dłoń do boku, próbowałem oddychać, a wokół mnie trwała dyskusja w tym sensie, że czegoś podobnego zimą jeszcze w Moskwie nie było... burdel... koniec świata... Sąd Ostateczny...

Kiedy wreszcie złapałem oddech, z trudem wypowiedziałem słowa wdzięczności pod adresem moich wybawców i słowa przeprosin pod adresem damy z pieskiem. Rozstaliśmy się i pokuśtykałem do wyłożonego czarnymi kafelkami, progu domostwa mego.

Eschatologiczne reminiscencje dźwięczące w oburzonym chórze rzeczników prawa do pracy dozorców, skierowały moje myśli w zupełnie innym kierunku. Przypomniałem sobie upadłego anioła i jego idiotyczne nuty, następnie na drodze naturalnych skojarzeń przypomniałem sobie pożegnanie słowa mojego dzisiejszego znajomego „Nie radziłbym panu

spacerować z tymi nutami po ulicach. Mało co, wie pan...” A co właściwie? Co to za nuty, takie z którymi nie radził mi spacerować po ulicach? „Boże, wspieraj cesarza”. Albo „Horst Wessel”? I w tej sprawie też nic nie udało mi się wymyślić oprócz nieprawdopodobnego, rzecz jasna, ale za to tłumaczącego wszystkie przypuszczenia, że jest to rzeczywiście partytura trąb Sądu Ostatecznego. Ale tu przynajmniej wiedziałem do kogo mam się zwrócić. Nie dojechałem do swojego szesnastego piętra, tylko wysiadłem na szóstym. Tu w czteropokojowym mieszkaniu żył i pracował kompozytor popularnych piosenek Georgij Czaczua, gościnny epikurejczyk nieludsko pracowity, z którym byliśmy na „ty” nieomal od pierwszego dnia przeprowadzki do tego domu.

Za obitymi dermą drzwiami grzmiał fortepian i śpiewał przepiękny kobiecy głos. Widocznie Czaczua pracował.

Zawahałem się. Za drzwiami rozległ się wybuch śmiechu, fortepian umilkł, głos także. Nie, jak się zdaje Czaczua nie pracował. W tym samym momencie fortepian znowu zagrzmiął i kilka męskich gardzieli zaryczało coś po gruzińsku. Tak, zdaje się Czaczua nie pracował. Zadzwońnię ponownie.

Drzwi się otwały i na progu pojawił się Czaczua w czarnych koncertowych spodniach i jaskrawych szelkach na oślepiająco białej koszuli rozpiętej pod szyją, na rozgorączkowanej twarzy troska, gigantyczny nos pokryty kroplami potu. Do diabła, jednak pracował...

— Daruj mi, na miłość boską — powiedziałem tuląc teczkę do piersi.

— Co się stało? — zapytał z trwogą i zarazem z niejaką irytacją.

— Nic się nie stało — odpowiedziałem z całej siły tłumiąc w sobie nieprzepartą chęć mówienia z kaukaskim akcentem. — Wpadłem na chwilkę, bo mam do ciebie...

— Słuchaj — powiedział niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. Zajrzyj trochę później, dobrze? Przyszli koledzy, pracujemy. Za jakieś dwie godziny, tak? Zgoda?

— Poczekaj, to zupełny drobiazg — powiedziałem spieszenie rozwiązując teczkę. — To są nuty. Spójrz na nie, kiedy będziesz miał wolną chwilę.

Wziął ode mnie kartki i ze zdziwioną miną przejrzał je. Z głębi mieszkania dobiegały męskie głosy, trwał jakiś spór na tematy muzyczne.

— D—dobrze — powiedział powoli nie odrywając oczu od nut. Słuchaj, czyje to, skąd je masz?

— Później ci opowiem — powiedziałem odstępując od drzwi.

— Tak mój drogi — natychmiast zgodził się Czaczua. — Lepiej później. Sam do ciebie wpadnę. Teraz mamy jeszcze roboty na godzinę, potem będzie grać „Spartak”, a potem do ciebie wpadnę.

Machnął na mnie nutami i zatrzasnął drzwi.

Kiedy przyszedłem do domu i rozebrałem się, przede wszystkim wlałem pod prysznic. Byłem cały mokry od potu, potłuczony bok bolał mnie niemiłosiernie, a w ogóle należało się uspokoić. Kręcąc się pod prysznicem ułożyłem sobie program na wieczór. Przede wszystkim kolacja, która będzie zarazem obiadem. Trzeba go przygotować. Kartofle są. Śmietana jest. Zdaje się. Jest zielony groszek. Ha! Jest jeszcze puszka wołowiny. Do diabła z zupą! Ugotować kartofle i wrzucić do nich duszoną wołowinę. Jest cebula i marynowany dziki czosnek... Niewiele jest człowiekowi potrzebne. Poweselałem.

Dlatego nie mam nic przeciwko obieraniu ziemniaków, że głowa jest zupełnie wolna. Nawiasem mówiąc nikt z moich znajomych nie umie tak czysto i szybko obierać ziemniaków jak ja. Wojsko prosi państwa. Kwintale, tony, wagony obranych ziemniaków. I to jakich ziemniaków. Zgniłych, zmarzniętych, sinozielonych, szerniałych do szpiku kości... A obieranie ziemniaków w czasie pokoju, do tego kupionych na bazarze, to po prostu sama przyjemność. O mój Boże, jak to cudownie, że już więcej nie muszę jechać na Banną. Umyłem obrane kartofle w trzech wodach, nalałem wody do garnka i wrzuciłem w nią

ziemniaki, przekrawając każdy na dwie albo trzy części. Następnie postawiłem garnek na gazie.

Jak tam sobie chcecie, ale ten cały pomysł z określaniem NICZT — to zawracanie głowy i marnotrawienie państwowych pieniędzy. Jak większość takich szalenie mądrych pomysłów związanych z literaturą i w ogóle ze sztuką. Coś podobnego, ponastawiali tych skrzyń za dobre sto tysięcy, po to, żeby udowodnić, że jeżeli pisarza się wydaje, to czytelników będzie miał wielu, chociaż może bez przesady; a jeżeli przeciwnie, nie wydawać go, jeżeli dać mu szlaban, to wtedy taki drań, szubrawiec jeden w ogóle czytelników mieć nie będzie. Albo jeszcze lepiej — jeśli wydać powiedzmy Aleksandra Sergejewicza Puszkina na przykład tomik prozy i równoległe powieść Wychodkowa Kłozeta Kłozetowicza o namiętnościach szalejących w kadzi odlewniczej to okaże się, że Puszkina ma czytelników nieporównywalnie więcej. Oto bowiem w istocie rzeczy wszystko co mi usiłował tam wmówić. Plus powiedzmy, jeszcze niezbyt oryginalną myśl, że to co dobre zawsze jest dobre, a co złe, złe, ale nie zawsze.

A może coś tu jednak nie tak? Albo czegoś wtedy nie zrozumiałem, a i teraz nie potrafię zrozumieć? A tam, mógł sobie darować te aluzje, trzeba było mówić wprost o co mu chodzi, a teraz takiego wała, jeśli jeszcze kiedyś pójdę a i kartofle się już ugotowały.

I wszystko gotowe stało już na moim stole, takie nadzwyczajnie apetyczne połączenie ziemniaków z czerwonawą wołowiną parowało w głębokim talerzu, pachniało w kuchni zapachem mięsa i cebulą, i liściem bobkowym, życie stało się takie przyjemne, horyzont pojaśniał i rozjarzył się dobrym przecuciem. Mam już ponad połowę scenariusza. Nie muszę iść do pracowni kuśnierskiej po kozuch, i do diabła w żadnym razie nie muszę już iść na Banną. Wszystkie długi zostały spłacone przed zachodem słońca jak mawiał młody mister Corcran.

Napchałem do ust kartofli z mięsem i włączyłem telewizor.

W pierwszym programie ktoś rzępolił na skrzypcach. Pokontemplowawszy czas jakiś umęczone oblicze rzępoły, przełączyłem. Na drugim programie tańczył ruch amatorski — wirował jaskrawymi spódnicami, łomotał obcasami, składał i rozkładał ręce, a od czasu do czasu rozdzierająco hopdanał. Znowu napchałem do ust kartofli i znowu przełączyłem. Tu kilku niemłodych ludzi siedziało wokół okrągłego stołu i rozmawiało. Była mowa o osiągniętych rubieżach, o zdecydowaniu, żeby coś tam gdzieś zapewnić, o ogromnych sukcesach w dziedzinie rekonstrukcji czegoś żelaznego.

Żułem ziemniaki, które nie wiadomo dlaczego utraciły wszelki smak, słuchałem i wewnątrz siebie z całego serca przeklinałem jak szewc. Telewizor! Olśniewające cudo dwudziestego wieku naszego! Zaiste fantastyczny koncentrat wysiłków talentu, wynalazczości dziesiątków, setek, tysięcy najznakomitszych umysłów, naszego, mojego czasu! Po to, żeby na przykład teraz po powrocie z pracy dziesiątki milionów ludzi zawzięcie pstrykały przełącznikami nie będąc w stanie rozwiązać zaiste nierozwiązywalnego zadania — co wybrać? Natchnionego rzępołę? Szalejącego, spocony tłum amatorskich tancerzy? Czy tych smętnych, bełkotliwych specjalistów przy okrągłym stole?

A jednak wybrałem rzępołę. Dołożyłem sobie ziemniaków i zacząłem słuchać. To jakaś nieczysta sprawa, pomyślałem nagle. Od dzieciństwa ładują we mnie klasyczną muzykę. Najprawdopodobniej, ktoś tam, kiedyś tam, gdzieś tam powiedział, że jeżeli człowiekowi codziennie ładować muzykę klasyczną, to on powolutku przywyknie do niej, później nie będzie potrafił już bez niej żyć i to bardzo dobrze. No i zaczęło się. My pragnęliśmy jazzu, wariowaliśmy na punkcie jazzu, a nas duszono symfoniemi. Uwielbialiśmy sentymentalne romanse i złodziejskie piosenki, a spadały na nas lawiny koncertów skrzypcowych. Chcieliśmy za wszelką cenę słuchać bardów i minstrelów — a nas zaszczuwano oratoriami. Gdyby te wszystkie tytaniczne wysiłki, aby zaszczepić kulturę muzyczną w naszej świadomości miały sprawność no chociażby taką jak maszyna cieplna Denisa Papena, żyłbym

teraz w otoczeniu znawców i miłośników muzyki klasycznej i sam, niewątpliwie byłbym takim właśnie znawcą i miłośnikiem. Tysiące i tysiące godzin w radiu, tysiące i tysiące programów telewizyjnych, miliony płyt... No i jaki rezultat? Garik Aganian jest prawie profesjonalnym znawcą pop muzyki. Żora Naumow do dzisiaj kolekcjonuje nagrania bardów. Ojło Związkowe — podobnie jak ja — im mniej muzyki, tym lepiej. Szibzd Lonia nienawidzi muzyki. Jest jeszcze co prawda Wala Demczenko. Ale on lubił klasykę od wczesnego dzieciństwa, muzykalna propaganda nie ma z tym nic wspólnego...

W czasie kiedy rozmyślałem na te tematy, skrzypek zniknął z ekranu, a na jego miejsce wpadli hokeiści i niezwłocznie jeden z nich rąbnął drugiego kijem po głowie. Kamerzysta wstydliwie skierował kamerę w inną stronę, najciekawszego mi nie pokazali, więc wyłączyłem telewizor. Byłem syty, zaspokojony jeśli chodzi o igrzyska i zostało mi jeszcze tylko zmycie naczyń.

Następnie poszedłem do gabinetu i powoli ruszyłem wzdłuż półki z książkami przesuwając palcem wskazującym po szkle.

„Wojna i pokój”. Nie dzisiaj. Jeszcze nie minęło pół roku.

„Listy Czechowa”. Nie w obecnym nastroju.

Czukowski. „Od Czechowa do naszych dni”. Niedawno znowu czytałem.

Tak. Sam Anton Pawłowicz w dziesięciu tomach. Poczytać „Niekawą historię”? Nie. Zaczekam na jakiś smutniejszy dzień.

Michał Bułhakow. Czas jakiś wpatrywałem się w brązowy grzbiet, już pognieciony, obdrapany w niektórych miejscach, na dole jakby się coś zdarło... Nie, dosyć tego, już nigdy więcej nie dam nikomu tej książki. Niechluje. Pamiętny to był rok i straszny to był rok, ten od narodzenia Chrystusa Pana tysiąc dziewięćset i osiemnasty, zaś od rozpoczęcia rewolucji wtóry...”

— Nie — powiedziałem na głos. — Teraz sobie poczytam „Powieść teatralną”. Nie ma na świecie nic lepszego od „Powieści teatralnej”, róbcie ze mną co chcecie...

Wyciągnąłem z półki tom Bułhakowa, musnąłem go palcami, pogładziłem dłonią gładką okładkę i po raz nie wiem już który pomyślałem, że nie wolno, że to grzech traktować książkę jak żywego człowieka.

Telefon zagrzmiął za moimi plecami, aż się wzdrygnąłem, dlatego że nie było mnie już tutaj, a byłem w małym brudnym pokoju z kanapą, z której sterczała sprężyna, niewygodna jak koszmara Kafki. Nagle zabolął mnie potłuczony bok i przyciskając do żeber chłodzącą książkę podszedłem do biurka, zwałem się na fotel i zdjąłem słuchawkę.

Dzwonił Wala Demczenko. Zupełnie zapomniałem, a tymczasem okazuje się, że w sobotę są urodziny Soni i że jestem na nie zaproszony. Ucieszyłem się. Ucieszyłem się dlatego, że po pierwsze, urodziny Soni obchodzone są bynajmniej nie każdego roku, a jeśli już są obchodzone to oznacza, że wszystko jest u nich w porządku, że trwa okres materialnego dobrobytu, wszyscy są zdrowi, że kapitan-lejtnant Demczenko wypływając ze słonych głębin przysłał rażny list z miasta Murmańska nad Ennym morzem i w ogóle wszystko jest wspaniale. A po drugie, ucieszyłem się, dlatego że wcale nie każdego zaprasza się na urodziny Soni.

Porozmawialiśmy. Zapytałem jak wygląda sprawa z ostatnią nowelą Wali, ze „Starym głupcem”. Wala odpowiedział, że w „Kwartalniku strażnika więziennego”, po niedawnych przykrościach nawet nie przeczytali książki, uciekli jak przed zadżumionym, a w „Gońcu gubernialnym”, owszem przeczytali. Ale na razie milczą, czekają aż wróci naczelny. Naczelny jest teraz w Szwecji, może zresztą w Szwajcarii albo nawet w Szwabramanii. Dlatego w „Gubernialnym gońcu” nikt na razie nie ma zdania na temat noweli. Ale kiedy wróci naczelny i przeczyta wtedy pojawi się pogląd, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Zapytałem jakim sposobem zamierza walczyć o tytuł. Odpowiedział, że w ogóle nie zamierza, że nowela nazywa się teraz „Stary mędrzec”, a scenę uwiedzenia jednak postanowił zostawić. Do diabła! Nie będzie własną ręką odcinać sobie najlepszych kawałków mięsa. Niech sami wycinają, za to im zdaje się płacą, i nie są takie małe kawałki...

Uspokoilem go w takim sensie, że im to na pewno ręka nie drgnie. Nie zaprzeczył. Wiedział o tym lepiej ode mnie. Następnie zapytał czy nie dzwonił dzisiaj do mnie Lonia. Ach, nie dzwonił? No to jeszcze zadzwoni. Napisał nowe zdanie i nie jest go zupełnie pewny...

Odłożyłem słuchawkę i zamyśliłem się — co podarować Soni? Nie umiem robić prezentów. Szczególnie kobietom. Koniak? Nie wypada, chociaż Sonia lubi dobry koniak. Perfumy? Sam diabeł sienie rozezna w tych perfumach. Może po prostu podarować jej pięćdziesiąt rubli w bonach do eksportu wewnętrznego? Też jakoś głupio. Trzeba podarować jakąś książkę, ot co. Ech, gdybym miał jakiś album reprodukcji... albo chociaż pieniądze, ze trzysta pięćdziesiąt rubli — w „Planecie” jest „Galeria Waszyngtońska”, zwariować można! Może na skutek skojarzenia z Waszyngtonem przypomniałem sobie mojego Dashiela Hammeta. Dawno już, oj jak dawno Sonia ostrzy sobie zęby na mojego Hammeta. „Utwory wybrane” jego najlepsze rzeczy powiedziałbym dokładnie tak, jak w moim brązowym tomie Bułhakowa. Jest tam „Krwawy urodzaj” i „Sokół maltański”, i „Szklany klucz”... Znam to wszystko prawie na pamięć, a Sonia to taki człowiek, który ma do tej książki co najmniej takie samo prawo jak ja.

I kiedy podjąłem tę decyzję, odstawiłem na miejsce tom Bułhakowa, podszedłem do półek z cudzoziemszczyzną, odsunąłem na bok model okrętu w kształcie smoka „tchjuien żong”, na takich okrętach starożytni Wietnamczycy wozili swoich cesarzy, wyciągnąłem „The novel of Dashiell Hammett”. Oto co zrobię, pomyślałem, przewracając kartki o pozłacanych brzegach. Poczytam go sobie dzisiaj i jutro, a potem się z nim pożegnaj. Ostrożnie, żeby nie urazić się w mój nieszczęsny bok, ułożyłem się na kanapie, a książka w moich rękach sama otworzyła się na „Sokole maltańskim”.

Doczytałem do tego miejsca, w którym do Sama Spade przychodzi nad ranem lejtnant Darby i detektyw Tom i dalej już nie mogłem. Odłożyłem książkę, wstałem stękając, opuściłem nogi na podłogę. Bolał mnie bok, który to już raz bolał mnie ten nieszczęsny lewy bok. Powlokłem się do łazienki, zadarłem przed lustrem koszulę. Bok był tłusty, obwisły był ten mój bok, i żadnych śladów potłuczenia nie zauważyłem. Jak zresztą i w poprzednich razach.

Pierwszy raz złamałem sobie to żebro w sześćdziesiątym piątym, zimą w Muraszach, kiedy diabeł mnie podkusił zaryzykować i zjechać na wąskich saniach stromym zboczem nad samą zatokę. Wszyscy zjeżdżali, widać pomyślałem sobie — co to, czy ja jestem gorszy? A gorszy okazałem się dlatego, że stchórzyłem na środku zbocza, wydało mi się nagle, że moja szybkość zbliża się do kosmicznej, i żeby nie ulecieć w przestworza postanowiłem się katapultować. I katapultowałem się. Ze dwadzieścia kroków podskakiwałem na lewym boku na dół, a jednocześnie na przelaj. „Ma pan złamane żeberko” — powiedział chirurg w naszej poliklinice, kiedy po powrocie z Muraszy poszedłem do niego ze skargą na bóle w boku. To był jeden raz.

Dwa lata później wpadłem kiedyś do klubu na obiad. Rozglądałem się szukając wolnego stolika i wtedy zza węgła napadło na mnie mocno już podcięte Ojło Związkowe. Będąc w agresywnie entuzjastycznym stanie ducha (z okazji za jakąś kolejną chałturę) objęło mnie swoimi długimi kończynami w poprzek tułowia, tak jak kiedyś Herkules schwycił Anteusza, uniosło mnie nad matką ziemią i ścisnęło tak, że moje żebro tylko żałośnie trzasnęło. „Wiesz stary, to jednak pęknięcie” — z troską powiedział mój znajomy lekarz, kiedy poskarżyłem mu się na bóle. To był drugi raz.

W pozaprzeszłym roku, kiedy w składzie brygady pisarzy płynąłem na drobnicowcu z Władywostoku do Pietropawłowska, a ośmiostopniowy sztorm złapał nas na trawersie wyspy Macua. Brygada pisarzy z oczami w słupek bezapelacyjnie konała na kojach, a mnie, ponieważ nie choruję na morską chorobę diabli ponieśli na pokład. Dosłownie na sekundę oderwałem rękę od poręczy i straszliwa siła trzasnęła mną o zrębnicę znowu tym samym bokiem. „Obawiam się, że tym razem to złamanie”, powiedział lekarz okrętowy i jak się wyjaśniło później jego obawy były uzasadnione.

To już byłoby trzy i zdawało mi się, że ponieważ Bóg trójcę właśnie lubi, nieszczęścia mojego żebra na tym się zakończą. Ale, jak widać chałupa musi mieć jednak cztery kąty...

Smętnie zajrzałem do pustej puszki po kawie i wcisnąłem ją do szafki pod zlewozmywakiem. Oto co zrobię, napiję się teraz herbaty. Wstawiłem czajnik, a sam stanąłem przy oknie i oparłem czoło o zimną szybę. Jakie to pomimo wszystko przeohydne. Już wydawało się, że wszystko idzie gładko, że wszystkie kłopoty poza mną, to nie teraz to przekłete żebro. Ten kto kieruje moim losem, machnął ręką na elegancję swoich pomysłów i zdecydował się na sposoby prostackie, ordynarne i podłe. No bo do czego to podobne? W biały dzień, w granicach ogromnego megapolisu, solidny, niemłody człowiek, nie jakiś tam sportowiec lekkomyślny, nie awanturnik i alkoholik nagle ni z tego, ni z owego łamie żebro! Przykre i nieprzyzwoite...

Poszedłem do gabinetu po Dashiela Hammeta i zacząłem się usadawiać przy kuchennym stole, szukając pozycji najmniej bolesnej. Jak i w poprzednich przypadkach okazało się, że najlepiej mi w ulubionej pozycji Katii: kolana na taborecie, łokcie na stole, tyłek w powietrzu. I w tej pozycji przyszło mi żyć. W tej pozycji piłem herbatę i czytałem o pudowej figurce sokoła z czystego złota, którą rycerze maltańscy sporządzili kiedyś w podarunku dla króla Hiszpanii, a w naszych czasach zaczęło się na nią krwawe gangsterskie polowanie. Kiedy doczytałem do tego miejsca, w którym do biura Sama Spade wpada podziurawiony pięcioma kulami kapitan „La Palomy” ktoś zadzwonił do drzwi.

Stękając i pojękując z ogromną niechęcią oderwałem się od Sama Spade i pokuśtykałem, żeby otworzyć drzwi. Okazało się, że przez ten czas zdołałem dokładnie zapomnieć o nutach upadłego anioła i o Godzę Czaczua, dlatego że kiedy zobaczyłem go na progu doznałem wstrząsu, tym bardziej że twarz jego...

Wyrażając się ściśle, to nie była twarz. Był ogromny z granatowymi żyłkami, jasnobłękitny nos nad potężnymi wąsami z przedziałkiem, były blade drżące wargi i były czarne zrozpaczone oczy napelnione łzami i przerażeniem. Przekłete nuty zwinięte w trąbkę ścisnął spazmatycznie w owłosionych pięściach przyciśniętych do piersi. Milczał a mnie aż dech zapało, straszliwe przeczucie złapało za gardło tak, że nie mogłem wymówić nawet jednego słowa, tylko odsunąłem się ustępując mu z drogi.

Jak ślepy wszedł do przedpokoju, wpadł na ścianę i niepewnym krokiem ruszył do gabinetu. Tam oburącz rzucił nuty na biurko jakby papierowy rulon parzył go, upadł na fotel i zasłonił oczy rękami.

Nogi się pode mną ugięły, przystanąłem w drzwiach chwytając ręką futrynę. Goga milczał i wydało mi się, że milczenie to trwa nieprawdopodobnie długo. Powiem więcej, miałem wrażenie, że nie skończy się ono nigdy i opanowała mnie jakaś dzika nadzieja, że naprawdę nigdy się nie skończy i że nigdy nie usłyszę tego straszego co przyniósł do domu Czaczua. Ale Goga jednak przemówił:

— Słuchaj... — wychrypiał odrywając dłonie od twarzy i zanurzając palce w gęstą sierść nad uszami. — „Spartak” znowu przerznął! No i co tu można zrobić? Usiąść i płakać!

ROZDZIAŁ 8

BANIEW. BRZYDKIE ŁABĘDZIE

— Która godzina? — sennie zapytała Diana.

Wiktor starannie zdjął brzytwą pasemko mydła z lewego policzka, spojrzął w lustro, potem powiedział.

— Śpij, mała, śpij. Jest jeszcze wcześniej.

— Rzeczywiście — powiedziała Diana. Kanapa zaskrzypiała. Dziewiąta. A co ty robisz?

— Gole się — powiedział Wiktor, zdejmując następne pasemko mydła. — Nagle zachciało mi się ogolić. Co tam, myślę. Wezmę i się ogolę.

— Wariat — powiedziała Diana poprzez ziewnięcie. — Było się wieczorem ogolić. Całą mnie podrapałeś swoją szczeciną. Kaktus.

Widział w lustrze jak Diana niepewnym krokiem podeszła do fotela, weszła na niego z nogami i zaczęła patrzeć na Wiktora. Wiktor mrugnął do niej. Znowu była inna, czuła, miękka, zwinęła się jak syta kotka, zadbana, ugłaskana, wypieszczona — zupełnie inna niż ta która wpadła wieczorem do pokoju.

— Dzisiaj jesteś podobna do kotki — oznajmił. — Nawet nie do kotki, tylko do koteczki, kosztatki... Dlaczego się uśmiechasz?

— Nie z twojego powodu. Po prostu coś sobie przypomniałam.

Słodko ziewnęła i przeciągnęła się. Tonęła w piżamie Wiktora, z bezkształtnych zwojów jedwabiu w fotelu wynurzała się tylko jej prześliczna twarz i smukłe ręce. Jak z fal morskich. Wiktor zaczął się golić szybciej.

— Nie tak szybko — powiedziała. — Pokaleczysz się. I tak już na mnie czas. Muszę jechać.

— Dlatego się śpieszę — powiedział Wiktor.

— Nie, ja tak nie lubię. Tak tylko kotki... Jak tam moje szmatki?

Wiktor wyciągnął rękę, pomacał jej sukienkę i pończochy, rozwieszzone na grzejniku. Wszystko wyszło.

— Gdzie się śpieszysz?

— Przecież ci mówiłam. Do Roschepera.

— Jakoś nic nie pamiętam. Co tam z Roscheperem?

— No, bo przecież się uszkodził — powiedziała Diana.

— Ach tak! — powiedział Wiktor. — Tak, tak, coś mówiłaś. Skądś tam wypadł. Bardzo się potłukł?

— Ten głupek — powiedziała Diana — nagle postanowił skończyć ze sobą i wyskoczył przez okno. Rzucił się jak byk, głową naprzód, wyłamał futrynę, ale przy tym zapomniał, że to parter. Uszkodził kolano, zaczął wrzeszczeć, a teraz leży.

— Co mu się stało? — zapytał Wiktor. — Biała gorączka?

— Coś w tym rodzaju.

— Poczekaj — powiedział Wiktor. — To znaczy, że przez niego dwa dni do mnie nie przyjeżdżałaś? Przez tego woła?

— No tak! Lekarz naczelny kazał mi przy nim siedzieć, dlatego że on, to znaczy Roscheper nie mógł beze mnie. Nie mógł i już. Nic nie mógł, nawet się odlać. Musiałam udawać szmer wody i opowiadać mu o pisuarach.

— Co ty tam wiesz — wymamrotał Wiktor. — Ty mu opowiadałaś o pisuarach, a ja się tu męczyłem sam jeden, też nic nie mogłem, ani jednej linijki nie napisałem. Wiesz, ja w ogóle nie lubię pisać, a już ostatnio... W ogóle moje życie ostatnio... — zamilkł. Co to ją obchodzi,

pomyślał. Przespali się i każde pobiegło w swoją stronę. — Ale, ale, słuchaj... Kiedy mówisz Roscheper wypadł?

— Trzy dni temu — odparła Diana.

— Wieczorem?

— Uhm — powiedziała Diana gryząc herbatnik.

— O dziesiątej wieczorem — stwierdził Wiktor. — Między dziesiątą a jedenastą.

Diana przestała gryźć.

— Zgadza się — powiedziała. — A ty skąd wiesz? Przyjąłeś jego nekrobiotyczną depeszę?

— Poczekaj — powiedział Wiktor. — Zaraz ci powiem coś bardzo interesującego. Ale najpierw — co ty robiłaś wtedy?

— Co robiłam? Ach, tak. Tego wieczoru, o ile pamiętam, wpadłam w okropny dołek. Zwijałam bandażę i nagle taki smutek mnie ogarnął, że nic, tylko się powiesić. Wsadziłam twarz w te bandażę i ryczę i to jak ryczę — jakby mnie kto zarzynał, od dziecka tak nie ryczałam...

— I nagle wszystko minęło — powiedział Wiktor.

Diana zamyśliła się.

— Tak... Nie... Wtedy nagle jak nie zawyje na ulicy Roscheper, przestraszyłam się i wybiegłam...

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale zniemacka ktoś zapukał do drzwi, szarpnął klamkę i głos Teddy'ego zachrypiał z korytarza: „Wiktor! Wiktor! Obudź się! Otwieraj, Wiktor!” Wiktor zamarł z brzytwą w ręku. „Wiktor” — chrypiał Teddy — „otwieraj!” i wściekle szarpał klamkę. Diana zeskoczyła z fotela i przekręciła klucz. Drzwi się rozwarły, wpadł do środka Teddy, mokry, złachmaniony i z obrzynem w ręku.

— Gdzie jest Wiktor? — zaryczał ochryple.

Wiktor wyszedł z łazienki.

— Co się stało? — zapytał — serce mu zamarło. — Aresztowania... Wojna...

— Dzieci odeszły — ciężko dysząc powiedział Teddy. — Zbieraj się, dzieci odeszły!

— Poczekaj — powiedział Wiktor. — Jakie dzieci?

Teddy rzucił obrzyn na stół, na stosy zapisanych i pokreślonych papierów.

— Zwabili dzieci! Dranie! — wrzasnął. — Zwabili szubrawcy! No, ale teraz już koniec! Dosyć się nacierpieliśmy... Koniec.

Wiktor nic jeszcze nie rozumiał, widział tylko, że Teddy jest w furii. Takiego Teddy'ego widział tylko raz, kiedy w czasie straszliwej awantury w restauracji, ktoś wykorzystał okazję i włamał się do kasy. Wiktor kompletnie zagubiony gapił się jak sroka w gnat, a Diana schwyciła bieliznę wiszącą na oparciu krzesła, przemknęła do łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi. W tym samym momencie nerwowo i gwałtownie zadzwonił telefon. Wiktor złapał słuchawkę. To była Lola.

— Wiktor — zaskomliła. — Ja nic nie rozumiem, Irma gdzieś przepadła, zostawiła list, że już nigdy nie wróci, a wszyscy mówią, że dzieci odeszły z miasta... Boję się! Zrób coś... — prawie płakała.

— Dobrze, dobrze, zaraz — powiedział Wiktor. — Dajcie mi przynajmniej włożyć spodnie. — Rzucił słuchawkę i obejrzał się na Teddy'ego. Barman siedział na rozgrzebanym łóżku i mamrocząc dziwne słowa, wlewał do szklanki resztki z butelek.

— Poczekaj — powiedział Wiktor. — Tylko bez paniki. Ja zaraz...

Wrócił do łazienki i zaczął spieszenie golić namydlony podbródek, kilkakrotnie zaciął się, nie miał czasu naostrzyć brzytwy, a Diana tymczasem wyskoczyła spod prysznicy i szeleściła ubraniami za jego plecami, twarz miała twardą i zdecydowaną, jakby szykowała się do walki, ale była absolutnie spokojna.

...A dzieci szły nie kończącą się szarą kolumną po szarych, rozmytych drogach, szły potykając się i ślizgając, padając pod ulewnym deszczem, szły zgarbione, przemokłe na

wskroś, ściskając w posiniałych łapkach żalosne, mokre tobołki, szły maleńkie, bezradne, nic nie rozumiejące, szły płacząc, szły milcząc, szły oglądając się, szły trzymając się za ręce i za szelki, a po bokach drogi maszerowały mroczne czarne postacie bez twarzy, zamiast twarzy mieli czarne przepaski, nad przepaskami zimno i bezlitośnie patrzyły nieludzkie oczy, ręce w czarnych rękawiczkach ścisnęły automaty, a deszcz padał na oksydowaną stal, krople wody spływały po stali...

Co za głupstwa, myślał Wiktor, to zupełnie coś innego, to nie teraz, widziałem tamto, ale tamto było bardzo dawno, teraz zupełnie inaczej...

...Odchodziły radośnie, deszcz był ich przyjacielem, wesoło człapały po kałużach ciepłymi bosymi stopami, wesoło rozmawiały i śpiewały i nie oglądały się, ponieważ o wszystkim już zapomniały, miały przed sobą tylko przyszłość, dlatego zapomniały na zawsze o swoim stękającym, chrapiącym w przedrannej godzinie mieście, o tym skupisku pluskiew, gnieździe małostkowych intryg i nikczemnych pragnień, brzemiennym w potworne zbrodnie, bezustannie wyrzucającym z siebie zbrodnie i zbrodnicze zamierzenia, tak jak królowa mrówek nieprzerwanie wyrzuca z siebie jajka, odeszły szczebiocząc i rozmawiając i znikły we mgle, a my, pijani nadal zachłystujemy się stęchłym powietrzem wśród obrzydliwych koszmarów, których one nigdy nie widziały i nigdy nie zobaczą...

Wciągał spodnie, skacząc na jednej nodze, kiedy zadrżały szyby i niskie mechaniczne wycie dotarło do pokoju. Teddy rzucił się do okna, ale za oknem był ciągle ten sam deszcz, pusta, mokra ulica, i samotny cyklista — mokry brezentowy worek z wysiłkiem poruszający pedałami. A szyby drżały nadal i podzwaniały, a niski żałośliwy ryk nie ustawał i po minucie dołączyło do niego urywane smętne buczenie.

— Idziemy — powiedziała Diana. Była już w płaszczu.

— Nie, poczekaj — powiedział Teddy. — Wiktor, masz broń? Jakikolwiek pistolet, automat... Masz?

Wiktor nie odpowiedział, złapał swój płaszcz i we trójkę zbiegli po schodach do holu, już zupełnie pustego, bez portiera i recepcjonisty. Wydawało się, że w hotelu nie ma już żywej duszy, tylko w restauracji, przy stoliku siedział R. Kwadryga, który ze zdumieniem kręcił głową i najwidoczniej od dawna oczekiwał śniadania. Wybiegli na ulicę gdzie stała ciężarówka Diany i wszyscy troje wsiedli do kabiny. Diana usiadła przy kierownicy i popędzili przez miasto. Diana milczała, Wiktor palił, starając się zebrać myśli, a Teddy wciąż półgłosem wyrzucał z siebie potok nieprawdopodobnych przekleństw, nawet Wiktor nie rozumiał znaczenia wielu słów, ponieważ takie słowa mógł znać tylko Teddy — szczur z przytułku, wychowanek portowych slumsów, potem handlarz narkotykami, potem wykidajło w domu publicznym, potem żołnierz plutonu grzebiącego zwłoki, potem bandyta i maruder, a potem barman, barman, barman, i znowu barman.

Ludzi w mieście prawie nie było widać, tylko na rogu Słonecznej Diana przyhamowała, żeby zabrać spłoszoną parę małżeńską. Niskie wycie syren przeciwlotniczych i piskliwe zawodzenie fabrycznych nie ustawało i było coś apokaliptycznego w tym jęku mechanicznych głosów nad bezludnym miastem. Aż ścisnęło w środku, i człowiek chciał gdzieś biec, ni to ukryć się, ni to strzelać i nawet „Bracia w sapiencji” na stadionie kopali piłkę bez zwykłego entuzjazmu, a niektórzy z otwartymi ustami rozglądali się na boki, jakby próbując cokolwiek zrozumieć.

Na szosie za miastem ludzi było coraz więcej i więcej. Niektórzy szli pieszo, zachłystując się deszczem, żalosni, przerażeni, nie zdając sobie sprawy co robią i po co. Inni jechali na rowerach i też już tracili siły, ponieważ trzeba było jechać pod wiatr. Kilkakrotnie ciężarówka mijwała porzucone samochody, zepsute lub takie, którym zabrakło benzyny, a jeden wpadł nawet do rowu. Diana zatrzymywała się i zabierała wszystkich i bardzo prędko skrzynia okazała się zapchana do ostatniego miejsca. Wiktor z Teddym też przenieśli się na górę, ustępując miejsca kobiecie z dzieckiem przy piersi i jakiejś na wpół oszalałej staruszce.

Później nawet w skrzyni nie było już miejsca i Diana przestała się zatrzymywać i ciężarówka pędziła naprzód mijając i oblewając potokami wody dziesiątki i setki ludzi wędrujących do leprozorium. Kilkakrotnie ciężarówkę wyprzedzały furgonetki wypełnione ludźmi, motocykliści, a jakaś ciężarówka dogoniła ich i jechała teraz z tyłu.

Diana przywykła wozić koniak dla Roschepera, albo pędzić pustym samochodem po okolicy dla własnej przyjemności i w ciężarówce działy się rzeczy straszne. Wszyscy jednocześnie usiąść nie mogli, nie było miejsca, i ci którzy stali wczepiali się jeden w drugiego, w głowy siedzących, każdy starał się trzymać jak najdalej od boków skrzyni, nikt się nie odzywał, wszyscy tylko sapali i klęli pod nosem, a jedna kobieta bez przerwy płakała. I padał deszcz — taki deszcz jakiego Wiktor nie widział jeszcze nigdy w życiu, nawet nie wyobrażał sobie, że na świecie może padać taki deszcz: gęsta tropikalna ulewa, ale nie ciepła tylko lodowata, na wpół z gradem, a porywisty wiatr niósł ją na spotkanie idących. Widoczność była żadna — piętnaście metrów z przodu, piętnaście z tyłu i Wiktor okropnie się bał, że Diana kogoś potrąci na szosie albo wpadnie na hamujący samochód. Ale wszystko jakoś się obeszło, tylko Wiktorowi ktoś mocno nadepnął na nogę, kiedy wszyscy polecili na siebie po raz ostatni i ciężarówkę zarzuciło przed skupiskiem samochodów stojących pod bramą leprozorium.

Zapewne zgromadziło się tu całe miasto. Deszcz w tym miejscu nie padał i można było pomyśleć, że miasto przybiegło tu ratując się przed potopem. Na prawo i na lewo od szosy, jak daleko sięgał wzrok wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego stał wielotysięczny tłum, w którym tonęły rozrzucone tu i ówdzie puste samochody — luksusowe krążowniki szos, mocno zużyte kabriolety z brezentowymi dachami, ciężarówki, autobusy i nawet jeden samojezdny dźwig, na którego ramieniu siedziało kilku ludzi. Nad tłumem wisiał głuchy szum, czasami rozlegały się przeraźliwe krzyki.

Wszyscy wyskoczyli z ciężarówki i Wiktor od razu stracił z oczu Dianę i Teddy'ego, wokół były same nieznanym twarze, ponure, rozwścieczone, zdumione, płaczące, krzyczące, z oczami w ślup, nieprzytomne, szczerzące zęby... Wiktor spróbował przedostać się do bramy, ale po kilku krokach beznadziejnie uwiązł. Ludzie stali nieruchomą ścianą, nikt nie zamierzał ustępować miejsca, można ich było pchać, kopać, bić, nawet się nie odwracali, tylko wciskali głowy w ramiona i za wszelką cenę starali się przesunąć naprzód, naprzód, bliżej bramy, bliżej swoich dzieci, stawali na palcach, wyciągali szyje i nic nie było widać poza kołyszącym się morzem kapturów i kapeluszy.

— Boże, za co? Czym tak strasznie zgrzeszyliśmy, o Boże?

— Ścierwa! Dawno trzeba było ich wyróżnić. Mądrzy ludzie zawsze mówili...

— A gdzie burmistrz? Co on u diabła robi? Gdzie jest policja?

Gdzie te wszystkie grube świnię?

— Sym, zaraz mnie zdeptają... Sym, duszę się! Och, Sym...

— Czego im brakowało? Niczego dla nich nie żalowaliśmy... Odejmowaliśmy sobie od ust ostatni kęs, chodziliśmy jak łachmaniarze, żeby tylko ubrać je i obuć...

— Zebrać się do kupy i rraz! Brama polecie...

— Ja go w życiu palcem nie tknęłam. Widziałam jak pan za swoim latał z pasem, ale u nas w domu nigdy nic takiego...

— Widziałeś karabiny maszynowe? A to niby po co, żeby do ludzi strzelać? Za to, że my po swoje dzieci?

— Mój Munczka! Munczka! Munczka! Munczka!

— Ależ co to się wyrabia, panowie? Przecież to jakiś obłąd. Gdzie to widziane?

— To nic, Legia im jeszcze pokaże... Są tam z tyłu, rozumiesz.

Otworzą nam bramę, a my wszyscy razem...

— A karabiny maszynowe widziałeś? o to właśnie chodzi...

— Puśćcie mnie! Przepuście mnie, słyszycie! Tam jest moja córka!

- Dawno się już zbierały, sama zauważyłam, tylko bałam się zapytać.
- A może nic im nie będzie? Przecież to nie jakieś bestie, jednak nie okupanci, pomimo wszystko, nie na rozwałkę poszły, nie do pieców...
- Zabiję, gardło przegryzę!
- Ta-ak, widocznie jedno wielkie gówno z nas zostało, jeśli rodzone dzieci od nas odeszły do tych zarażonych...
- Nie gadaj głupstw, same odeszły, nikt ich siłą nie zmuszał...
- Ej, kto ma broń? Wychodź! Kto ma broń, niech wychodzi, powtarzam! Zbierać się tu przy mnie! Wszyscy do mnie, tu jestem!
- To są moje dzieci, mój panie, moje własne i ja nimi będę rządził” tak jak mi się podoba!
- Gdzie jest policja, o Boże!
- Trzeba wysłać telegram do pana prezydenta! Pięć tysięcy podpisów — to nie w kij dmuchał!
- Kobiętę zadusili! Odsuń się, mówię draniu! Nie widzisz?
- Munczek! Mój Munczek! Munczka!
- Gówno warte są te wszystkie petycje. Nie lubią u nas petycji. Jeszcze dostaniemy tą petycją po uszach...
- Otwieraj bramę, twoja mać! Mokrzaki parszywe! Ścierwa!
- Bramę!

Wiktor zawrócił. Było to trudne, kilkakrotnie uderzono go, ale wydostał się pomimo wszystko, odnalazł ciężarówkę i znowu wdrapał się na górę. Nad leprozorium wisiała mgła, i dziesięć metrów od ogrodzenia nic już nie było widać. Brama była zamknięta, przed nią na pustej przestrzeni stali rozkraczeni żołnierze służby wewnętrznej w hełmach nasuniętych na oczy — było ich mniej więcej dziesięciu. Przed wejściem do wartowni ze zdenerwowania unosząc się na palcach wysiłonym głosem wykrzykiwał coś do tłumu oficer, ale nie sposób było go usłyszeć. Nad dachem wartowni niczym olbrzymia etażerka wznosiła się we mgle drewniana wieża i na jej górnej półce stał karabin maszynowy i kręcili się mężczyźni w szarych mundurach. Następnie tam, za ogrodzeniem, ledwie dostłyszalnie pobrzękując żelazem przejechał wzdłuż drutów transporter opancerzony, podskoczył kilka razy na wybojach i zniknął we mgle. Na widok transportera tłum przycichł, tak że nawet można było usłyszeć wysilone okrzyki oficera: („...Spokój... mam rozkaz... do domów...”), a potem tłum znowu zahuczał, wydał pomruk i zaryczał.

Przed bramą zaczął się jakiś ruch. Wśród ciemnych, granatowych i szarych płaszczy zaślśniły dobrze znane miedziane hełmy i złote koszule. Pojawiały się w tłumie jak plamy światła, przedzierały się na wolną przestrzeń i tam łączyły w żółtozłotą masę. Chłopcy jak dęby w złotych koszulach do kolan, przepasani szerokimi oficerskimi pasami o szerokich sprzączkach w błyszczących miedzianych hełmach, dzięki którym żołnierzy Legii nazywano po prostu strażakami — krótkie masywne pałki i niezliczona ilość emblematów Legii — na sprzączce, na lewym rękawie, na piersi, na pałce, na hełmie, emblemat na mordzie, za samą mordę pięć lat bez sądu, na sportowej muskularnej mordzie o wilczych oczach... i znaczki, gwiazdozbiory znaczków, znaczek Strzelca Wyborowego i Wyborowego Spadochroniarza, i Wyborowego Nurka i jeszcze znaczki z portretem Pana Prezydenta i jego zięcia, założyciela Legii i jego syna oberszefa Legii... i każdy ma w kieszeni granat z gazem łzawiącym, a jeśli chociaż jeden z tych bałwanów w porywie chuligańskiego entuzjazmu rzuci taki granat — odezwie się karabin maszynowy na wieżycze, karabiny maszynowe transportera, automaty żołnierzy i będą strzelać do tłumu, do tłumu, a nie do złotych koszul. Legia formowała już szereg przed żołnierzami, wzdłuż szeregu machając pałką latał Flamenco Juventa, bratanek i Wiktor już z rozpaczą zaczął się oglądać dookoła nie wiedząc co robić, ale wtedy oficerowi przyniesiono z wartowni megafon, oficer strasznie się ucieszył, nawet się uśmiechnął i zaryczał piorunującym głosem, ale zdążył tylko ryknąć: „Uwaga! Proszę wszystkich

zgrupowanych...”, kiedy megafon widocznie znowu się zepsuł, oficer pobladł, dmuchnął w tubę, a Flamenco Juventa, który nawet przygotował się do wysłuchania, ze zdwojoną energią zaczął biegać i wymachiwać pałką, tłum nagle groźnie zahuczał — wydawało się, że krzyknęli wszyscy razem i ci którzy krzyczeli już przedtem i ci, którzy do tej pory milczeli albo po prostu rozmawiali, albo płakali, albo modlili się i Wiktor też zaczął krzyzczeć nieprzytomny z przerażenia na myśl o tym co się zaraz wydarzy.

— „Zabrać tych bałwanów...” — krzyczał. — „Zabrać strażaków! To śmierć! Nie wolno! Diana!” Nie wiadomo kto i co krzyczał w tłumie, ale tłum do tej chwili nieruchomy, zaczął się równomiernie kołysać jak półmisek gigantycznej galarety, oficer upuścił megafon i zaczął cofać się do drzwi wartowni, twarze żołnierzy pod hełmami stały się twarzami rozjuszonych zwierząt, na górze, na wieżycy, nikt się już nie ruszał, wszyscy znieruchomieli przy karabinie. I wtedy rozległ się Głos.

Był jak grzmot, dobiegał ze wszystkich stron jednocześnie i od razu zagłuszył wszystkie pozostałe dźwięki. Był spokojny, nawet melancholijny, pobrzmiwało w nim bezgraniczne znużenie, bezgraniczna pobłażliwość, jakby przemawiał ktoś ogromny, wyniosły i stojący tyłem do natrętnego tłumu, ktoś kto mówi przez ramię oderwany na chwilę od ważnych spraw z powodu irytujących głupstw.

— Przestańcie wreszcie krzyczeć — powiedział Głos. — Przestańcie wymachiwać rękami i odgrażać się. Czy to doprawdy takie trudne, przestać gadać i przez chwilę spokojnie pomyśleć? Wicie przecież świetnie, że wasze dzieci odeszły od was dlatego, że same tego chciały, nikt ich nie zmuszał, nikt nie ciągnął za kołnierz. Odeszły dlatego, że obrzydliście im doszczętnie i ostatecznie. One nie chcą już dłużej żyć tak jak żyjecie, wy i wasi przodkowie. Ogromnie lubicie naśladować swoich przodków i uważacie, że to jedna z waszych zalet, a one uważają inaczej. Nie chcą wyrosnąć na pijaków i rozpustników, ludzi małodusznych, konformistów i niewolników, nie chcą żeby zrobiono z nich przestępców, nie chcą waszych rodzin i waszego państwa.

Głos umilkł na chwilę. Przez całą minutę nie było słyhać ani jednego dźwięku — tylko jakiś szelest, jakby to szeleściła mgła pełznąca nad ziemią. Potem głos przemówił znowu:

— Możecie być zupełnie spokojni o swoje dzieci. Będzie im dobrze — lepiej niż z wami i znacznie lepiej niż wam samym. Dzisiaj nie mogą was przyjąć, ale od jutra — przychodźcie. W Końskiej Dolinie zostanie przygotowany Dom Spotkań i od trzeciej po południu możecie przychodzić choćby codziennie. Codziennie o pół do trzeciej z placu miejskiego będą odchodzić trzy autobusy. To za mało, w każdym razie na jutro — niech wasz burmistrz zatroszczy się o dodatkowy transport.

Głos zamilkł znowu. Tłum stał nieruchomym murem. Ludzie jakby bali się poruszyć.

— Tylko weźcie pod uwagę — ciągnął Głos. — To od was samych zależy czy dzieci zechcą się z wami spotykać. Przez pierwsze dni możemy je jeszcze nakłonić, aby przychodziły na widzenia, nawet jeżeli nie będą miały na to ochoty... a potem... to już jak tam się sami z nimi dogadacie. A teraz rozejdźcie się. Przeszkadzacie i nam, i dzieciom, i sobie. Bardzo wam radzę, pomyślcie, spróbujcie pomyśleć co możecie dać swoim dzieciom. Przyjrzyjcie się sobie. Wydaliście je na świat i okaleczacie je na swój obraz i podobieństwo. Pomyślcie o tym, a teraz wracajcie do domów.

Tłum pozostał nieruchomy. Być może próbował myśleć. Wiktor w każdym razie próbował. Były to oderwane myśli. Nawet nie myśli, a po prostu strzępy wspomnień, fragmenty rozmów, głupia umalowana twarz Loli. A może jednak lepiej skrobanka? Po co nam to teraz... Ojciec z wargami drżącymi z wściekłości... Ja z ciebie zrobię człowieka, parszywy szczeniaku, skórę z ciebie zedrę... Okazało się, że mam dwunastoletnią córkę, czy możesz pomóc mi jakoś ją urządzić, umieścić w przyzwoitym miejscu?... Irma z ciekawością patrzy na rozmemłanego Roschepera... nie na Roschepera tylko na mnie... właściwie jest mi nawet

wstyd, ale co ona tam rozumie smarkata? Marsz na miejsce! Masz tu lalkę, ładną lalkę. Jesteś jeszcze za mała, dowiesz się jak dorosnie...

— No i dlaczego stoicie? — zapytał gromowy Głos. — Odejdźcie!

Nadleciał ciężki zimny wiatr, uderzył w twarz i ucichł.

— No idźcie już — powiedział Głos.

I ponownie nadleciał wiatr, już prawie zupełnie materialny, jakby ciężka wilgotna dłoń legła na twarz, popchnęła i znikła. Wiktor otarł policzki i zobaczył, że tłum się cofa. Ktoś głośno krzyknął, rozległy się wołania dźwięczące dość niepewnie, wokół samochodów i autobusów powstały niewielkie zawirowania. Ze wszystkich stron ludzie zaczęli się wdrapywać do skrzyni ciężarówki, wszyscy zaczęli się śpieszyć, rozpychać, tłoczyć w drzwiach samochodów, niecierpliwie rozdzielać szczipione kierownicami rowery, zawarczały silniki, a wielu ludzi odchodziło pieszo, często oglądając się, ale nie patrzyli ani na żołnierzy, ani na karabin maszynowy na wieży, ani na transporter, który podjechał właśnie z łoskotem żelaza i stanął na widocznym miejscu. Wiktor wiedział dlaczego ludzie się odwracają i dlaczego się śpieszą, paliły go policzki i jeżeli czegokolwiek się bał, to tego, że Głos znowu powie: „Idźcie!” i znowu ciężka wilgotna dłoń z odrazą legnie na jego twarzy.

Grupa kretynów w złotych koszulach wciąż jeszcze niepewnie dreptała przed bramą, ale było ich już mniej, a do pozostałych podszedł oficer i wrzasnął na nich, imponujący, pewny siebie, spełniający przyjemny obowiązek, i oni również się cofnęli, następnie zawrócili i powlekli się precz, zbierając po drodze rzucone na ziemię szare, granatowe, ciemne płaszcze i oto już nie pozostała ani jedna złota plama, obok przejeżdżały autobusy, samochody osobowe, a ludzie w skrzyni ciężarówki rozglądali się niespokojnie i pytali jeden drugiego. „A gdzie jest kierowca?”

Potem nie wiadomo skąd wynurzyła się Diana. Diana gniewna, stanęła na stopniu, spozjrzała na górę i krzyknęła gniewnie:

— „Tylko do skrzyżowania! Samochód jedzie do sanatorium!” i nikt nie ośmielił się zaprotestować, wszyscy byli wyjątkowo cisi i zgadzali się na wszystko. Teddy nie pojawił się do końca, prawdopodobnie zabrał się innym samochodem. Diana zakręciła i pojechali znajomą betonową szosą mijając grupy pieszych i rowerzystów, a ich z kolei wyprzedzały przeciążone samochody osobowe, z jękiem przysiadające na amortyzatorach. Deszcz nie padał, była tylko mgła i mżył drobny kapuśniaczek. Deszcz zaczął się dopiero wtedy, kiedy Diana pojechała do skrzyżowania, ludzie wysiedli, a Wiktor przesiadł się do szoferki.

Oboje milczeli do samego sanatorium.

Diana od razu poszła do Roschepera, tak przynajmniej powiedziała, a Wiktor zrzuciwszy płaszcz uwalił się na łóżko w swoim pokoju, zapalił papierosa i wgapił się w sufit. Być może godzinę, być może dwie bez przerwy palił, wiercił się na łóżku, wstawał, spacerował po pokoju, bezmyślnie wyglądał przez okno, zaciągał i odciągał portiery, pił wodę z kranu, ponieważ męczyło go pragnienie i znowu padał na łóżko.

...Upokorzenie, myślał. Tak, oczywiście. Bili po twarzy, wymyślali od łobuzów, jak ostatniemu zebrałowi, ale pomimo wszystko to byli ojcowie i matki, pomimo wszystko kochali swoje dzieci, mogli je bić, ale gotowi byli oddać za nie życie, demoralizowali swoim przykładem, ale przecież nie naumyślnie, a przez swoją ignorancję... matki rodziły, je w bólach, ojcowie karmili i ubierali, przecież byli dumni ze swoich dzieci, chwalili się nimi, często je wyklinali, ale nie wyobrażali sobie życia bez nich... i fakt, teraz ich życie zrobiło się puste, nic im przecież nie zostało. Więc czy wolno traktować ich aż tak okrutnie, tak zimno, tak pogardliwie, tak rozumnie i jeszcze na pożegnanie nakłąć po pysku...

Czyżby naprawdę, u diabła, obrzydliwe jest wszystko co pozostało w człowieku od zwierzęcia? Nawet macierzyństwo, nawet uśmiech madonny, czułe serdeczne ręce podające pierś niemowlęciu... Tak, oczywiście, instynkt i religia zbudowana na instynkcie... pewnie całe nieszczęście polega na tym, że tę religię próbuje się przenieść na wychowanie, to znaczy

na takie dziedziny, z którymi instynkty nie mają już nic wspólnego, a jeśli mają, to przynoszą wyłącznie szkodę... dlatego że wilczyca mówi wilczętom: „kłasajcie jak ja” i to wystarczy, zajęczyca uczy swoje zajęczki: „uciekajcie tak jak ja” i to także wystarczy, a za to człowiek uczy swoje małe: „myśl tak jak ja”, a to już jest zbrodnia... No a ci, jak im tam — mokrzaki, gady, zarazy, wszystko co kto chce, ale na pewno nie ludzie, co najmniej nadludzie — jak oni to robią? Najpierw: „przyjrzyj się, jak myśleli przed tobą, zobacz co z tego wynikło, wynikło niedobre, dlatego że to i to, a powinno być tak i tak. Zobaczyleś? A teraz zacznij myśleć sam, myśl co zrobić, żeby nie wyszło to i to — tylko tak i tak”. Tylko że ja nie wiem czym jest to i to i co to jest tak i tak, a w ogóle wszystko to już było, wszystko to już wypróbowaliśmy, zrealizowali się poszczególni świetni ludzie, ale przeważająca masa pchała się starą drogą, nigdzie nie skręcając, zwyczajnie po naszymu... Zresztą jak człowiek ma wychowywać swoje małe, kiedy jego ojciec nie wychowywał go tylko tresował: „kłasaj jak ja”, „chowaj się tak jak ja”, i tak samo tresował ojca dziad, a dziada pradziad, i dalej do pierwszej jaskini, do kosmatych nosicieli oszczepów, pozeraczy mamutów. Żal mi tych bezwłosych potomków, żal mi ich, bo mi żal samego siebie, ale tamci mają to gdzieś, nie jesteśmy im w ogóle potrzebni, nie zamierzają nas reedukować, nie zamierzają nawet burzyć starego świata, stary świat ich nie interesuje. Mają swoje sprawy, a od starego świata żądają tylko jednego — żeby się od nich odczepił. Teraz stało się to możliwe, teraz można handlować ideami, mamy teraz potężnych kupców idei, oni będą cię chronić, zapędzą cały świat za druty kolczaste, żeby stary świat ci nie przeszkadzał, będą cię karmić, będą cię pielęgnować... będą w sposób najbardziej ugrzeczniomy ostrzyć topór, którym odrąbujesz gałąź, na której oni zasiadają błyskając orderami i szamerunkiem.

...I do diabła to jest na swój sposób wspaniałe, wszystko już wypróbowano, tylko tego jeszcze nie wypróbowano, zimny chów bez słodkiego szczebiotu, bez łez... chociaż co ja tu wymyślam, skąd mogę wiedzieć jak wygląda to ich wychowanie... ale wszystko jedno okrucieństwo i pogardę widać gołym okiem... Nic im z tego nie wyjdzie, dlatego że — no dobrze, intelekt myślowy, uczcie się, analizujcie — a co z rękami matki, czułymi dłońmi, które koją ból i ogrzewają świat? I kłujący zarost ojca, który bawi się w wojnę i w tygrysa, uczy cię boksować, jest najsilniejszy i wszystko wie? A przecież to też było! Nie tylko wrzaskliwe (albo ciche) kłótnie rodziców, nie tylko pasek i pijany bełkot, nie tylko bezsensowne targanie za uszy na zmianę z nagłym i niepojętym deszczem cukierków i miedziakami na kino... Zresztą skąd ja mogę wiedzieć — może oni mają jakiś ekwiwalent tego dobrego co zawiera w sobie macierzyństwo i ojcostwo... jak Irma patrzyła na tego mokrzaka! Jakim trzeba być, żeby na ciebie tak patrzyli... i w każdym razie ani Bol-Kunac, ani Irma, ani pryszczaty nihilista-demaskator nigdy nie włożą złotych koszul, a czy to mało? Do diabła — niczego więcej od ludzi nie wymagam!

...Nie tak prędko, powiedział do siebie. Znajdź najważniejsze. Jesteś z nimi czy przeciwko nim? Jest jeszcze trzecie wyjście — mieć wszystko w nosie. Ale mnie nie jest wszystko jedno. Ach, jak ja bym chciał być cynikiem, jak łatwo, prosto i przyjemnie jest być cynikiem!... no coś takiego — przez całe życie robią ze mnie cynika, starają się, nie żałuj ą sił i środków, najpiękniejszych frazesów, papieru, nie żałują pięści, nie żałują ludzi, niczego im nie żal, żebym tylko został cynikiem a ja... No dobrze, już dobrze. Ale jednak — jestem za czy przeciw.

Oczywiście przeciw — nie znoszę lekceważenia, nienawidzę elit, nienawidzę wszelkiej nietolerancji, i nie lubię, och, jak ja nie lubię, kiedy mnie biją po mordzie i wyganiają precz... i jestem za, ponieważ lubię ludzi mądrych, utalentowanych, nienawidzę głupców, nienawidzę tępaków, nienawidzę złotych koszul, faszystów i jest jasne, że do niczego nie dojdę, zbyt mało o nich wiem, a z tego co wiem, co widziałem sam, rzuca się w oczy raczej to złe — okrucieństwo, pogarda, odczłowieczenie, wreszcie fizyczna szpetota... A w rezultacie z nimi jest Diana, którą kocham, i Irma którą kocham, i Golem, którego szanuję, i Bol-Kunac,

pryszczaty nihilista... a kto jest przeciw? Burmistrz jest przeciw, to stare ścierwo, faszysta i demagog, i ta sprzedajna gnida policmajster, i Roscheper Nant, i ta idiotka Lola, ta banda w złotych koszulach, i Fawor... Co prawda z drugiej strony — jest z nimi ten wysoki zawodowiec, a także niejaki generał Pferd — nie znoszę generałów, a przeciwko Teddy i z pewnością jeszcze wielu takich jak Teddy... Tak, większością głosów tu niczego się nie rozwiąże. To coś w rodzaju demokratycznych wyborów — większość zawsze popiera łobuzów...

Około drugiej przyszła Diana, Diana Zwyczajna i Wesoła w ciasno przepasanym białym fartuchu, uczesana i podmalowana.

— Jak idzie praca? — zapytała.

— Płonę. — odpowiedział. — Spalam się świecąc innym.

— Fakt, dużo dymu. Choćbyś okno otworzył... Chcesz jeść?

— Tak, do diabła! — powiedział Wiktor. Przypomniał sobie, że nie jadł śniadania.

— Do diabła, w takim razie idziemy.

Zeszli do jadalni. Przy długich stołach w solennym milczeniu chęptali dietetyczną zupę „Bracia w sapiencji”, poczerniali z fizycznego zmęczenia. Gruby trener w opiętym granatowym swetrze chodził za ich plecami, klepał po ramionach, targał im czupryny i uważnie zaglądał do talerzy.

— Poznam cię teraz z pewnym człowiekiem — powiedziała Diana.

— Zjemy razem obiad.

— Co to za jeden? — z niezadowoleniem zapytał Wiktor. Miał ochotę milczeć przy jedzeniu.

— Mój mąż — powiedziała Diana. — Mój były mąż.

— Aha — powiedział Wiktor. — Aha. No cóż... Bardzo mi miło.

Co też przyszło jej do głowy, pomyślał smętnie. I komu to potrzebne. Popatrzył żałośnie na Dianę, ale już szybko zmierzała do służbowego stolika w kącie sali. Mąż wyszedł na ich powitanie, żółtoskóry, garbatonosy, w ciemnym garniturze i w czarnych rękawiczkach. Nie podał Wiktorowi ręki, tylko skłonił się i powiedział niegłęboko:

— Dzień dobry, cieszę się, że pana widzę.

— Baniew — przedstawił się Wiktor z fałszywą serdecznością, która go zawsze nachodziła na widok mężów.

— My się właściwie już znamy — powiedział mąż. — Jestem Zurtzmansor.

— Ach tak! — zawołał Wiktor. — Ależ oczywiście! Muszę panu się przyznać, że moja pamięć... — zamilkł. Chwileczkę — powiedział. Jaki Zurtzmansor?

— Paweł Zurtzmansor. Pan mnie zapewne czytał, a niedawno nadzwyczaj energicznie walczył pan w mojej obronie w restauracji. Poza tym spotkaliśmy się w jeszcze jednym miejscu, w nader niemiłych okolicznościach... Może usiądziemy?

Wiktor usiadł. No dobrze, pomyślał. Niech tak będzie.

To znaczy oni tak wyglądają bez przepasek. Kto by pomyślał? Pardon, a gdzie jego „okulary”? Zurtzmansor nie wiedzieć czemu mąż Diany, czyli garbonosy tancerz, grający tancerza, który grał tancerza, który tak naprawdę jest mokrzakiem, albo nawet czterema mokrzakami naraz, albo nawet pięcioma, licząc razem z restauracyjnym — nie miał Zurtzmansor „okularów”, rozplynęły się jakby po całej twarzy barwiąc ją na południowoamerykański kolor. Diana z dziwnym, nieomal macierzyńskim uśmiechem patrzyła to na niego, to na swojego męża. I to było nieprzyjemne. Wiktor poczuł coś w rodzaju zazdrości, której do tej pory nigdy nie doznawał, kiedy miał do czynienia z mężami. Kelnerka przyniosła zupę.

— Dziękuję — automatycznie powiedział Wiktor. Wziął łyżkę i zaczął jeść nie czując smaku. Zurtzmansor również jadł spoglądając spode łba na Viktora — bez uśmiechu, ale z jakimś humorystycznym wyrazem twarzy. Rękawiczek nie zdjął, ale sposób w jaki

posługiwał się łyżką, w jaki łamał chleb, używał serwetki zaświadczał o starannym wychowaniu.

— To znaczy, że jednak jest pan tym sławnym Zurtzmansorem powiedział Wiktor — filozofem.

— Obawiam się, że nie — powiedział Zurtzmansor wycierając wargi serwetką. — Obawiam się, że z tym słynnym filozofem mam teraz związek nadzwyczaj odległy.

Wiktor nie znalazł odpowiedzi, i postanowił odłożyć rozmowę. Koniec końców to nie ja jestem inicjatorem spotkania, nie mam co się i pchać, on się chciał ze mną zobaczyć, to niech on zaczyna... Przyniesiono drugie danie. Nadzwyczaj się pilnując Wiktor zaczął kroić mięso. Przy długich stołach zgodnie i prostodusznie mlaskali szczękając nożami i widelcami. A przecież siedzę tu jak głupi, pomyślał Wiktor. Brat w sapiencji. Ona prawdopodobnie kocha go do tej pory. Zachorował, musieli się rozstać, a ona nie chciała się rozstać, bo inaczej po co by jechała do tej dziury — żeby wynosić nocniki Roschepera? I oni się często widują, on zakrada się do sanatorium, zdejmuje opaskę i tańczy z nią. Przypomniawszy sobie jak oni oboje tańczyli — wypisz wymaluj dwa gołąbki. Wszystko jedno. Ona go kocha. A co mnie to obchodzi? A przecież jednak obchodzi. Co tu ukrywać — obchodzi. Tylko — co mianowicie?

Zabrali mi córkę, ale jestem o nią zazdrosny nie jak ojciec. Odebrali mi kobietę, ale jestem zazdrosny o Dianę nie jak mężczyzna... o do diabła, skąd takie słowa! Zabrali kobietę, zabrali córkę... Córkę, która zobaczyła mnie po raz pierwszy w dwunastym roku życia., czy może ma już trzynasty. Kobietę, którą znam kilka dni... Ale proszę — jestem zazdrosny i to nie jak ojciec i nie jak mężczyzna. Tak byłoby znacznie prościej, gdyby on teraz powiedział: „Szanowny panie, wiem wszystko, splamił pan mój honor, co z udzieleniem mi satysfakcji?”

— Jak idzie praca nad artykułem? — zapytał Zurtzmansor.

— Nijak — odpowiedział Wiktor.

— Ciekawe byłoby go przeczytać — oznajmił Zurtzmansor.

— A czy pan wie co to ma być za artykuł?

— Tak, wyobrażam sobie. Ale pan przecież takiego artykułu nie napisze.

— A jeżeli będę musiał? Mnie generał Pferd nie obroni.

— Widzi pan — powiedział Zurtzmansor — taki artykuł na jakim zależy burmistrzowi panu nie wyjdzie. Nawet jeśli będzie się pan bardzo starać. Istnieją ludzie, którzy automatycznie niezależnie od własnych chęci transformują na swój sposób każde zadanie, jakie przed nimi staje. Pan należy do takich ludzi.

— To źle, czy dobrze? — zapytał Wiktor.

— Z naszego punktu widzenia — dobrze. O osobowości człowieka wiadomo bardzo mało, jeśli nie liczyć tej części, na którą składają się odruchy. Co prawda osobowość masy nie zawiera prawie nic poza odruchami. Dlatego tak bardzo cenne są tak zwane osobowości twórcze, indywidualnie przetwarzające informację o rzeczywistości. Porównując znane i dokładnie zbadane zjawisko z odbiciem tego zjawiska w twórczości takiej jednostki możemy się wiele dowiedzieć o strukturze psychicznej przetwarzającej informację.

— A czy nie wydaje się panu, że to brzmi nieco obraźliwie — zapytał Wiktor.

Zurtzmansor skrzywił się dziwnie i natychmiast spojrzął na Wiktora.

— Aha, rozumiem — powiedział. — Twórca, a nie królik doświadczalny... Ale widzi pan, wymieniałem tylko jedną okoliczność, dzięki której jest pan dla nas cenny. Inne okoliczności są powszechnie znane — to prawdziwa informacja o obiektywnej rzeczywistości, mechanizm emocji, sposób pobudzania wyobraźni, zaspokajanie potrzeby współprzeżywania... Właściwie chciałem panu pochlebić.

— Wobec tego czuję się pochlebiony — powiedział Wiktor. — Jednakże wszystkie te rozważania nie mają żadnego związku z pisaniem paszkwili. Bierzemy ostatnie przemówienie pana prezydenta i przepisujemy je w całości, przy czym słowa „wrogowie wolności” zamieniamy słowami „tak zwane mokrzaki” albo „pacjenci krwawego lekarza”, albo

„wilkołaki z leprozorium”... tak, że moja psychika nie będzie w tej zabawie w ogóle uczestniczyć.

— To się panu tylko tak wydaje — zaprzeczył Zurtzmansor. — Przeczyta pan przemówienie i na początek okaże się, że jest skandalicznie napisane. Mam na myśli jego stylistykę. Zacznie pan poprawiać styl, szukając bardziej precyzyjnych sformułowań, zacznie pracować wyobraźnia, zemdli pana od zatęchłych słów, zechce pan je ożywić, zastąpić urzędowe łgarstwa żywymi faktami i nawet sam pan nie zauważy, kiedy zacznie pan pisać prawdę.

— Być może — powiedział Wiktor. — W każdym razie nie mam teraz ochoty na pisanie tego artykułu.

— A pisać coś innego — ma pan ochotę?

— Tak — powiedział Wiktor patrząc mu w oczy — z przyjemnością napisałbym jak dzieci odeszły z miasta. Nowego szczurołapa z Hamelin.

Zurtzmansor z zadowoleniem skinął głową.

— Świetny pomysł. Niech pan napisze.

Napiszę, z goryczą pomyślał Wiktor. Twoja mać, a kto to wydrukuje? Może ty wydrukujesz?

— Diana — zapytał. — A czy można by się czegoś napić?

Diana wstała w milczeniu i wyszła.

— I jeszcze z przyjemnością napisałbym o skazanym mieście powiedział Wiktor. — I o niezrozumiałej aferze wokół leprozorium. I o złych czarownikach.

— Ma pan pieniądze?

— Na razie jeszcze mam.

— Chciałem pana zawiadomić, że prawdopodobnie zostanie pan laureatem nagrody literackiej leprozorium za ubiegły rok. Na ostatnie okrażenie wyszedł pan razem z Tusowem, ale Tusow ma mniejsze szansę, to oczywiste. Więc pieniądze będzie pan miał.

— Ta-ak — powiedział Wiktor. — Coś takiego jeszcze mi się nie zdarzyło. A dużo będzie tych pieniędzy?

— Ze trzy tysiące... Nie pamiętam dokładnie.

Wróciła Diana i nadal milcząc postawiła na stole butelkę i jedną szklankę.

— Daj jeszcze jedną szklankę — poprosił Wiktor.

— Ja nie będę pić — powiedział Zurtzmansor.

— Właściwie ja... Hm...

— Ja też nie będę — powiedziała Diana.

— To za „Nieszczęście”? — zapytał Wiktor nalewając.

— Tak, i za „Kotkę”. Tak, że na trzy miesiące będzie pan miał spokój. A może na mniej?

— Na jakieś dwa miesiące — powiedział Wiktor. — Ale nie o to chodzi... A więc — chciałbym zwiedzić wasze leprozorium.

— Oczywiście — powiedział Zurtzmansor. — Wręczenie nagród odbędzie się właśnie tam. Tylko że się pan rozczaruje. Żadnych cudów nie będzie. Będzie dzień wolny od pracy. Około dziesięciu domków i pawilon szpitalny.

— Pawilon szpitalny — powtórzył Wiktor. — I kogóż tam u was leczą?

— Ludzi — powiedział Zurtzmansor z dziwną intonacją. Uśmiechnął się i nagle coś dziwnego stało się z jego twarzą. Prawe oko było puste i wyjechało do podbródka, usta zrobiły się trójkątne, lewy policzek razem z uchem odpał od czaszki i zawisł. Trwało to zaledwie mgnienie oka. Dianie wypadł z ręki talerz, Wiktor machinalnie popatrzył za siebie, a kiedy ponownie spojrzął na Zurtzmansora, ten był już dawny — żółty i uprzejmy. Tfu, tfu, tfu, powiedział w myśli Wiktor. Precz duchu nieczysty. A może mi się tylko wydało? Spiesznie wyciągnął paczkę papierosów, zapalił i wpatrzył się w szklankę. „Bracia w

sapiencji” z wielkim hałasem wstawali od stołów i ruszyli do wyjścia przekrzykując się donośnie. Zurtzmansor powiedział:

— A w ogóle to chcielibyśmy, żeby czuł się pan bezpiecznie. Nie powinien pan się niczego obawiać. Zapewne domyśla się pan, że nasza organizacja zajmuje określone położenie i cieszy się określonymi przywilejami. Wiele robimy, więc na wiele się nam pozwala. Pozwala się nam na doświadczenia z klimatem, pozwala się przygotowywać tych, którzy nas zastąpią... i tak dalej. Nie warto specjalnie się rozwodzić. Niektórzy panowie sądzą, że pracujemy dla nich, a my nie wyprowadzamy ich z błędu — zamilkł na chwilę. — Proszę pisać o czym pan chce i jak pan chce, nie zwracając uwagi na szczekające psy. Jeśli będzie pan miał kłopoty z wydawcami, albo kłopoty finansowe pomożemy panu. W ostateczności będziemy pana sami wydawać. Oczywiście dla siebie. Tak że ulubione minogi ma pan zapewnione.

Wiktor wypił i pokręcił głową.

— Jasne — powiedział. — Znowu się mnie kupuje.

— Można to i tak nazwać — powiedział Zurtzmansor. — Najważniejsze żeby pan wiedział — istnieje pewien kontyngent czytelników powiedzmy, że chwilowo niezbyt liczny, który jest niezmiernie zainteresowany pańską pracą. Jest pan nam potrzebny Baniew. I do tego potrzebny właśnie taki jakim pan jest. Niepotrzebny jest nam Baniew — nasz zwolennik i nasz piewca, i dlatego niech pan sobie nie łamie głowy zastanawiając się po czyjej jest pan stronie. Niech pan będzie po swojej stronie, jak zresztą przystoi twórczej jednostce. To jest wszystko czego nam od pana trzeba.

— Wyjątkowo ulgowe warunki — powiedział Wiktor. — Carte blanche i w perspektywie hałdy marynowanych minog. W perspektywie i w sosie musztardowym. I jakaż wdowa powiedziałałaby mu: „nie”? Zurtzmansor, czy zdarzyło się panu kiedykolwiek zaprzedać duszę i pióro?

— Tak, naturalnie — odpowiedział Zurtzmansor. — I wie pan płacono mi skandalicznie mało. Ale to było tysiąc lat temu i na innej planecie — znowu umilkł na chwilę. — Nie ma pan racji Baniew powiedział. — My pana nie kupujemy. Po prostu chcemy, żeby pan pozostał samym sobą, obawiamy się, że pana złamią. Wielu już przecież złamali... Wartości moralne nie są na sprzedaż, można je zniszczyć, ale nie kupić. Każda określona wartość moralna potrzebna jest tylko jednej stronie, kradniecie jej lub kupowanie jest pozbawione sensu. Pan prezydent uważa, że kupił malarza R. Kwadrygę. To pomyłka. Pan prezydent kupił chałturszczyka R. Kwadrygę, a malarz przeciekł mu między palcami i umarł. A my nie chcemy, żeby Baniew przeciekł między jakimikolwiek palcami, nawet naszymi i umarł jako pisarz. Nam są potrzebni artyści, a nie propagandyści.

Wstał. Wiktor wstał również czując niezręczność i dumę, nieufność i poniżenie, rozczarowanie i odpowiedzialność i coś jeszcze w czym chwilowo nie umiał się zorientować.

— Było mi miło porozmawiać z panem — powiedział Zurtzmansor.

— Życzę powodzenia w pracy.

— Do widzenia — powiedział Wiktor.

Zurtzmansor lekko się skłonił i odszedł z uniesioną głową, długim, pewnym krokiem. Wiktor patrzył w ślad za nim.

— Właśnie za to cię kocham — powiedziała Diana.

Wiktor padł na krzesło i sięgnął po butelkę.

— Za co? — zapytał z roztargnieniem.

— Za to że im jesteś potrzebny. Za to że ty, dziwkarz, pijaczyna, awanturnik, niechluj i łajdak pomimo wszystko jesteś potrzebny takim ludziom.

Przechyliła się przez stół i pocałowała Wiktora w policzek. To była jeszcze jedna Diana, Diana Kochająca, o olbrzymich oczach, Maria z Magdali, Diana patrząca z Dołu do Góry.

— Też mi coś — wymamrotał Wiktor. — Intelktualiści... kacyki na godzinę.

Ale to były tylko słowa. Bo tak naprawdę to nie było takie proste.

Wiktor wrócił do hotelu następnego dnia po śniadaniu. Na pożegnanie Diana dała mu kbiałkę — ze stołecznych szklarni przysłano dla Roschepera pół puda truskawek i Diana rozsądnie zdecydowała, że Roscheper nawet przy swojej anormalnej żarłoczności sam nie da rady wszystkiego pochłonąć.

Posępny portier otworzył drzwi Wiktorowi. Wiktor poczęstował go truskawkami, portier wziął kilka jagód, włożył do ust, pożuł niczym chleb i powiedział:

— Okazuje się, że mój szczeniak wszystkim tam u nich kręci.

— Dlaczego pan tak — powiedział Wiktor. — To znakomity chłopak. Mądry i bardzo dobrze wychowany.

— No bo lałem go ile wlezie — powiedział portier odzyskując rezon. — Staralem się... — znowu sposepniał. — Sąsiedzi żyć nie dają oznajmił. — A co ja mogłem? O niczym nie wiedziałem.

— Niech pan ich pośle do diabła — poradził Wiktor. — Oni tak z zawiści. A pański chłopak jest rewelacyjny. Ja na przykład bardzo jestem rad, że przyjaźni się z moją córką.

— Ha! — powiedział portier znowu odzyskując ducha. — To może kiedyś się spokrewnimy?

— A co — powiedział Wiktor. — To nawet bardzo możliwe... — wyobraził sobie Bol-Kunaca. — Czemu nie...

Z tej okazji chwilę śmieli się i żartowali.

— Nie słyszał pan wczoraj strzelaniny? — zapytał portier.

— Nie — odparł Wiktor i stał się czujny. — A co?

— Tak wyszło — powiedział portier — że znaczy się kiedy my wszyscy rozeszliśmy się, niektórzy, znaczy się zostali, dobrało się paru chojraków, przecięli druty i do środka. Na karabiny maszynowe.

— O do diabła — powiedział Wiktor.

— Sam nie widziałem — powiedział portier. — Tak ludzie opowiadają. — Rozejrzał się na boki kiwnął na Wiktora i powiedział mu szeptem na ucho: — Nasz Teddy też tam był, dostał kulkę. Ale to nic poważnego. Teraz kuruje się w domu.

— Paskudna historia — wymamrotał Wiktor zmartwiony.

Poczęstował truskawkami recepcjonistę, wziął klucz i poszedł do siebie. Nie rozbierając się wykręcił numer Teddy'ego. Synowa Teddy'ego zakomunikowała, że na ogół nie jest źle, przestrelili mu mięsień, leży na brzuchu, przeklina i chleje wódkę. Zaś ona sama wybiera się dzisiaj do Domu Spotkań zobaczyć syna. Wiktor poprosił, żeby przekazała Teddy'emu pozdrowienia, obiecał, że wpadnie i odłożył słuchawkę.

Powinien jeszcze zadzwonić do Loli, ale kiedy wyobraził sobie tę rozmowę, krzyki, wyrzuty, nie zadzwonił. Zdjął płaszcz, popatrzył na truskawki, zszedł do kuchni i wyprosił butelkę śmietanki. Kiedy wrócił, w pokoju siedział Pawor.

— Dzień dobry — powiedział Pawor z oślepiającym uśmiechem.

Wiktor podszedł do stołu, wysypał truskawki do miski, zalał śmietanką, posypał cukrem i usiadł.

— No, dzień dobry, dzień dobry — powiedział ponuro. — Ma mi pan coś do powiedzenia?

Nie miał ochoty patrzeć na Pawora. Po pierwsze, Pawor był kanalią, a po drugie, okazuje się, że nie jest przyjemnie patrzeć na człowieka, którego się zakapowało. Nawet jeśli to kanalia, nawet jeżeli zakapowałeś go z najszlachetniejszych pobudek.

— Wiktor, proszę mnie wysłuchać — powiedział Pawor. — Jestem gotów przeprosić pana. Obaj zachowywaliśmy się idiotycznie — ja chyba bardziej. To wszystko z powodu służbowych kłopotów. Szczerze proszę o wybaczenie. Byłoby mi diabelnie przykro, gdybyśmy się pogniwiali na sobie z powodu takiego głupstwa.

Wiktor zamieszał truskawki łyżeczką i zaczął jeść.

— Jak Boga kocham — ostatnio mi się nie wiedzie — mówił Pawor dalej — jestem zły na cały świat. Nikt mi nie współczuje, nikt nie pomaga, ta świnią, burmistrz wciągnął mnie w brudną aferę...

— Panie Summan — powiedział Wiktor. — Niech pan nie udaje idioty. Niezle pan potrafi udawać, aleja na szczęście rozszyfrowałem pana i studiowanie pana aktorskich talentów nie sprawia mi żadnej przyjemności. Nie chciałbym sobie psuć apetytu, więc może pan sobie pójdzie.

— Wiktorze — powiedział Pawor z wyrzutem. — Przecież jesteśmy dorośli. Nie można przecież przywiązywać takiej wagi do gadania przy stole. Czyżby pan uwierzył, że te głupstwa, które wygadywałem to moje poglądy? Migrena, przykrości, katar... Czego można wymagać od człowieka w takiej sytuacji?

— Można wymagać, żeby człowiek nie bił mnie z tyłu kastetem po głowie — wyjaśnił Wiktor. — A jeżeli już bije, różnie bywa na świecie, żeby potem nie udawał przyjaciela.

— Ach, więc o to chodzi — powiedział Pawor z zadumą. Jego twarz jakby znieacka zmizerniała. — Niech pan posłucha, wszystko panu wytłumaczę. To był czysty przypadek. Nie miałem pojęcia, że to pan. A poza tym... Sam pan przecież powiedział, że różnie bywa.

— Panie Summan — powiedział Wiktor oblizując łyżkę. — Nigdy nie przepadałem za ludźmi pańskiej profesji. Jednego nawet zastrzeliłem — był bardzo odważny w sztabie, kiedy oskarżał oficerów o niełojalność, ale kiedy go posłano na pierwszą linię... Więc niech się pan wynosi.

Jednakże Pawor nie wyniósł się. Zapalił papierosa, założył nogę na nogę i rozwalił się w fotelu. Jasne — chłop jak dąb, na pewno zna karate, w kieszeni ma kastet... Dobrze byłoby się rozzłościć... Czego on, jak Boga kocham psuje mi apetyt...

— Widzę że pan dużo wie — powiedział Pawor. — To niedobrze. Mam na myśli — dla pana. No dobra. Jednego tylko pan nie wie, że ja osobiście szczerze pana lubię i szanuję. Niech się pan nie wzdryga i nie udaje, że zbiera się panu na wymioty. Mówię serio. Z przyjemnością gotów jestem wyrazić ubolewanie z powodu incydentu z kastetem. Przyznaję nawet, że wiedziałem kogo biję, ale nie miałem innego wyjścia. Za rogiem leży jeden świadek, i jeszcze pan nadszedł... No więc jedyne co mogłem zrobić, to uderzyć pana możliwie delikatnie, co zresztą zrobiłem. Za co jak najszczerzej przepraszam.

Pawor wykonał arystokratyczny gest. Wiktor patrzył na niego nawet z niejakiego rodzaju ciekawością. Coś w tej sytuacji było nowego, czego jeszcze nigdy nie doświadczył i co nawet trudno było sobie wyobrazić.

— Przepraszać jednakże za to, że jestem funkcjonariuszem wiadomego departamentu — mówił dalej Pawor — nie mogę i zresztą, otwarcie mówiąc, nie chcę. Proszę sobie nie wyobrażać, że tam u nas zbrali się sami dusiciele wolnej myśli i łajdaki karierowicze. Tak — pracuję w kontrwywiadzie. Tak — wykonuję brudną robotę. Tylko że każda robota jest brudna, czysta robota nie istnieje. Pan w swoich powieściach przedstawia podświadomość, swoje sławetne libido, no a ja to robię inaczej. O szczegółach panu nie opowiem, bo nie mogę, zresztą, sam pan się pewnie wszystkiego domyśla. Tak, śledzę leprozorium, nienawidzę tych mokrych stworów, boję się ich — i nie tylko o siebie się boję, boję się o wszystkich ludzi, którzy są czegoś wari. O pana na przykład. Przecież pan ni cholery nie rozumie. Wolny artysta, człowiek emocji, ach, och — i koniec rozmowy. A tu chodzi o losy systemu. Albo jeśli pan woli — o losy ludzkości. Nie podoba się panu prezydent — dyktator, tyran, idiota... A nadciąga taka dyktatura, jaka się wam wolnym artystom nawet nie śniła. Wczoraj w restauracji nagadałem głupstw, ale było w tym racjonalne ziarno — człowiek jest zwierzęciem anarchistycznym, i anarchia go zniszczy jeśli system nie będzie wystarczająco mocny. A więc pańskie ulubione mokrzaki proponują taką dyktaturę, że dla zwykłego człowieka po prostu nie będzie już miejsca. Pan myśli, że jeśli ktoś cytuje Zurtzmansora albo Hegla to ho, ho! A taki człowiek patrzy na pana i widzi jedno wielkie gówno, i wcale mu

pana nie żał dlatego, że i według Hegla jest pan gównem i według Zurtzmansora także gównem. Gównem zdefiniowanym. A co się znajduje poza granicami tej definicji — to go nie interesuje. Pan prezydent na skutek swego wrodzonego ograniczenia — no, nawymyśla panu, no w ostatecznym wypadku każe posadzić, a potem wypuści z okazji święta narodowego i pełen najlepszych uczuć jeszcze zaprosi na obiad. A Zurtzmansor popatrzy na pana przez lupę i zakwalifikuje — psie gówno nie nadające się do niczego — i wnikliwie kierowany wielkim intelektem, przemyśleniami światowej filozofii strzepnie brudną ścierką do wiadra na śmiecie i zapomni, że pan kiedyś istniał...

Wiktor aż przestał jeść. Dziwne to było widowisko, nieoczekiwane. Pawor denerwował się, wargi mu drżały, z twarzy odpłynęła krew, nawet z trudem oddychał. Wyraźnie wierzył w to co mówił, w jego oczach zastygło przerażające widmo straszliwego świata. No, no powiedział do siebie Wiktor ostrzegawczo. To przecież wróg, oprawca.

To przecież aktor, próbuje cię kupić za złamany szeląg... Nagle zrozumiał, że na siłę odsuwa się od Pawora. To przecież urzędnik, nie zapominaj o tym. Z definicji nie może kierować ideowymi pobudkami kazano mu — no to pracuje jak umie. Każą mu bronić mokrzaków będzie ich bronił. Znam te ścierwa, niejednego już widziałem...

Pawor wziął się w garść i uśmiechnął.

— Wiem co pan myśli — powiedział. — Na pańskiej twarzy widać jak próbuje pan odgadnąć — czego ten typ przyczepił się, do czego mu jestem potrzebny? Więc proszę sobie wyobrazić, że do niczego nie jest pan potrzebny. Po prostu szczerze pragnę pana ostrzec, chciałbym, żeby pan się zorientował w sytuacji i stanął po właściwej stronie... boleściwie wyszczerzył zęby. — Nie chcę, żeby pan stał się zdrajcą ludzkości. Potem ocknie się pan — i będzie za późno... Nie mówię już o tym, że w ogóle powinien się pan stąd wynieść i przyszedłem tu pana do tego namówić. Nadchodzą ciężkie czasy, zwierchność jest w stadium służbowej gorliwości, niektórym dano do zrozumienia, że niby kiepsko pracujecie panowie, jakieś nieporządki... Ale to jeszcze drobiazg, o tym jeszcze porozmawiamy. Ja chcę, żeby pan zrozumiał to, co najważniejsze. A najważniejsze, to nie to co będzie jutro. Jutro oni jeszcze będą siedzieć u siebie za drutem kolczastym pod strażą tych kretynów... — znowu wyszczerzył zęby. — Ale za jakieś dziesięć lat...

Wiktor już nie dowiedział się co będzie za dziesięć lat. Drzwi otworzyły się bez pukania i weszli dwaj w jednakowych szarych płaszczach, i Wiktor od razu wiedział co to za jedni. Automatycznie ścisnęło go w dołku i pokornie wstał czując mdłości i bezsilność. Ale powiedziano mu: „Siadać”, a Faworowi: „Wstać”.

— Pawor Summan, jest pan aresztowany.

Pawor biały, nawet jakoś niebieskawobiały, jak odciągane mleko wstał i powiedział ochryple:

— Nakaz.

Pokazali mu jakiś papierek i kiedy patrzył na ten świstek niewidzącymi oczami, ujęli go pod łokcie, wyprowadzili. I zamknęli za sobą drzwi. Wiktor nadal siedział, jakby wypuszczono z niego powietrze, patrząc na miskę z truskawkami i powtarzając sobie: niech się zagryzają wzajemnie, niech się zagryzają... Wciąż czekał na odgłos zapuszczanego silnika na ulicy i stuknięcie drzwi, ale się nie doczekał. Wtedy zapalił i czując, że już dłużej nie może tak siedzieć, czując, że musi z kimś porozmawiać, zapomnieć, albo ostatecznie napić się z kimś wódki wyszedł na korytarz. Interesujące skąd wiedzieli, że on jest u mnie. Nie, to wcale nie jest interesujące. Nic interesującego w tym nie ma... Na klatce schodowej majaczył wysoki profesjonalista. Było tak niezwyczajnie widzieć go samego, że Wiktor obejrzał się i rzeczywiście — w kącie na kanapie siedział młody mężczyzna z teczką i rozkładał gazetę.

— A, otóż i on — powiedział wysoki. Młody mężczyzna spojrział na Wiktora, wstał i zaczął składać gazetę. Właśnie wybierałem się do pana — powiedział wysoki. — Ale jeśli już tak wyszło chodźmy do nas, tam będzie spokojniej.

Wiktorowi było wszystko jedno dokąd pójdzie, więc pokornie powłókł się na drugie piętro. Wysoki dłuższą chwilę otwierał drzwi numeru trzysta dwanaście. Miał cały pęk kluczy, i zdaje się wypróbował je wszystkie. Tymczasem Wiktor i młody człowiek w okularach stali obok siebie i młody człowiek miał bardzo znudzony wyraz twarzy, a Wiktor zastanawiał się, co by się stało gdyby dać mu teraz w łeb, wyrwać teczkę i pobiec korytarzem. Potem weszli do środka i młody człowiek natychmiast wszedł do sypialni po lewej stronie, a wysoki powiedział do Wiktora: „Chwileczkę” i oddalił się do sypialni po prawej stronie. Wiktor usiadł przy stole ze szlachetnego drzewa i zaczął wodzić palcem po szorstkich kółkach na politurze od szklanek i kieliszków. Krążków było mnóstwo, ze stołem nikt się nie cackał, nie zwracano uwagi na szlachetne drzewo, kładziono na nim zapalone papierosy i co najmniej raz strząśnięto atrament z pióra. Potem ze swojej sypialni wyszedł młody człowiek tym razem bez teczki i marynarki, w domowych kapciach, z gazetą w jednej ręce i pełną szklanką w drugiej. Usiadł w swoim fotelu pod lampą i natychmiast ze swojej sypialni pojawił się wysoki z tacą, którą postawił na stole. Na tacy stała napoczęta butelka szkockiej, szklanka i leżało spore, kwadratowe pudełko.

— Najpierw formalności — powiedział wysoki. — Chociaż nie najpierw druga szklanka — rozejrzał się, wziął z biurka szklany kubeczek na ołówki, zajął do niego, wytrząsnął, dmuchnął i postawił na tacy. — A więc formalności — powiedział.

Wyprostował się, stanął w postawie zasadniczej i surowo wybałuszył oczy. Tamten drugi odłożył gazetę, wstał także ze znudzeniem patrząc w ścianę. Wtedy Wiktor podniósł się również.

— Wiktorze Baniew! — przemówił wysoki urzędowo wzniosłym tonem. — Szanowny panie! W imieniu i na specjalne polecenie pana prezydenta mam zaszczyt wręczyć panu medal „Srebrnej Koniczyny Drugiej Klasy” w nagrodę za szczególne usługi, okazane departamentowi, który mam honor tu reprezentować!

Otworzył granatowe pudełko, uroczyście wyjął z niego medal na białej wstążeczce z mory i zaczął przypinać go do piersi Wiktora. Młody człowiek zareagował grzecznymi oklaskami. Następnie wysoki wręczył Wiktorowi zaświadczenie i pudełko, uścisnął mu dłoń, cofnął się o krok, przez chwilę z zachwytem kontemplował i też zaklaskał. Wiktor czując się jak idiota również zaczął klaskać.

— A teraz trzeba to oblać — powiedział wysoki.

Wszyscy usiedli. Wysoki rozlał whisky, sobie wziął kubeczek na ołówki.

— Zdrowie kawalera „Koniczyny”! — powiedział.

Wszyscy ponownie wstali, wymienili uśmiechy wypili i znowu usiedli. Młody człowiek w okularach natychmiast wziął gazetę i zasłonił się nią.

— Trzeciej klasy, zdaje się już pan ma — powiedział długi. — Teraz jeszcze pierwsza i będzie pan pełnym kawalerem. Bezpłatne przejazdy i tak dalej. Za co pan dostał pierwszą „Koniczynę”?

— Nie pamiętam — powiedział Wiktor. — Coś tam było, pewnie zabiłem kogoś... A, przypomniałem sobie. To za kitchegański przyczółek.

— O! — powiedział wysoki i znowu rozlał whisky. — A ja na wojnie nie byłem. Nie zdążyłem.

— Miał pan szczęście — powiedział Wiktor. Wypili. — Mówiąc między nami pojęcia nie mam za co daliście mi ten medal.

— Przecież powiedziałem: za szczególne zasługi.

— Za Summana, czy jak? — zapytał Wiktor uśmiechając się gorzko.

— Niech pan przestanie! — powiedział wysoki. — Jest pan przecież ważną osobistością, przecież pan tam, w kołach... — niejasno pomachał ręką dookoła ucha.

— W jakich znowu kołach...? — spytał Wiktor.

— Wiemy, wiemy! — figlarnie zawołał wysoki. — Wszyscy wiemy.

Generał Pferd, generał Pukki, pułkownik Bambarcha... Brawo.

— Pierwszy raz słyszę — powiedział Wiktor nerwowo.

— Rozpoczął sprawę pułkownik. Nikt, jak pan sam rozumie nie protestował — ja myślę! No a potem generał Pferd był z raportem u prezydenta i podsunął mu wniosek na pana. — Wysoki roześmiał się. Niezłe kino podobno było. Stary wrzeszczał: „Jaki Baniew? Kuplecista? Za nic!” Ale generał do niego tak surowo: „Tak trzeba wasza magnificencjo!” Słowem udało się. Staruszek się nawet wzruszył, dobra, powiada, przebaczam. Co tam między wami zaszło?

— Nic takiego — niechętnie powiedział Wiktor. — Posprzeczaaliśmy się na temat literatury.

— Rzeczywiście pisze pan książki? — zapytał wysoki.

— Tak. Jak pułkownik Lawrence.

— I jak, przyzwoicie płacą?

— ...

— Też będę chyba musiał spróbować — powiedział wysoki. — Tylko że ciągle nie mam czasu. To jedno, to drugie...

— Tak, czasu brakuje — zgodził się Wiktor. Przy każdym ruchu medal kiwał się i stukał po żebrach. Wrażenie było takie jak przy kataplazmach. Że jak się zdejmie, od razu będzie lżej. — Wie pan — powiedział wstając — ja już sobie pójdę. Najwyższy czas.

Wysoki natychmiast się poderwał.

— Do widzenia — powiedział.

— Do widzenia.

— Mam honor pożegnać — powiedział wysoki. Młody człowiek w okularach opuścił gazetę i skłonił się.

Wiktor wyszedł na korytarz i natychmiast zdarł z siebie medal.

Miał okropną ochotę wrzucić go do kosza na śmiecie, ale się powstrzymał i wsadził go do kieszeni.

Zszedł na dół do kuchni, wziął butelkę dżinu, a kiedy wracał, recepcjonista powiedział:

— Panie Baniew, dzwonił do pana pan burmistrz. Nie było pana w pokoju i ja...

— Czego on chciał? — ponuro zapytał Wiktor.

— Prosił, żeby pan do niego niezwłocznie zadzwonił. Idzie pan do siebie? Jeśli pan burmistrz zadzwoni jeszcze raz...

— Proszę mu powiedzieć, żeby mnie pocałował w dupę — wycedził Wiktor. — Teraz wyłączę u siebie telefon, a jeśli zadzwoni proszę mu właśnie tak powtórzyć: pan Baniew, kawaler „Koniczyny Drugiej Klasy” proponuje, żeby pan, panie burmistrzu pocałował go w dupę.

Zamknął się w swoim pokoju, wyłączył telefon, i z jakiegoś powodu przykrył go poduszką. Potem usiadł przy swoim stole, nalał sobie dżinu, i nie rozważając go wypił duszkiem całą szklankę. Dżin sparzył mu gardło i przełyk. Wtedy złapał łyżkę i zaczął zjadać truskawki ze śmietanką nie wiedząc co robi. Mam dosyć, mam dosyć myślał. Niczego nie chcę, ani orderów, ani honorariów, ani waszej jałmużny, nie potrzeba mi waszej opieki, ani waszej nienawiści, ani waszej miłości, zostawcie mnie samego, mam po uszy siebie samego, nie wplątujcie mnie w wasze afery... Ścisnął rękami głowę, żeby nie widzieć przed sobą sinawo-białej twarzy Pawora i tych bezbarwnych i bezlitosnych pysków w jednakowych płaszczach. Generał Pferd z wami, generał Buttock, generał Arschmann razem z waszymi uściskami i orderami, i Zurtzmansor z odklejoną twarzą... Wciąż próbował zrozumieć co mu to przypomina. Wypił jeszcze pół szklanki i zrozumiał, że go skręca ukrytego na dnie okopu, a ziemia wywraca się pod nim, całe warstwy geologiczne, gigantyczne masy granitu, bazaltu, lawy wypierają się wzajemnie, jęcząc z wysiłku, wypuczają, wybrzuszą i przy okazji, obojętnie, wyciskają go na górę, coraz wyżej, wyrzucają z okopu, wznoszą nad ziemią, a

czasy są ciężkie, władza ma atak służbowej gorliwości, zwrócono komu należy uwagę — kiepsko pracujecie, a on tu na widoku, goluteńki zasłania oczy rękami, wypchnięty z okopu. Opaść by na dno, myślał. Opaść by na samo dno, żeby nikt nie słyszał i nie widział. Opaść by na dno jak łódź podwodna i ktoś mu podpowiedział: uciec radarom. Tak, tak. Opaść by na dno jak łódź podwodna, uciec radarom. I nikomu nie dać znać o sobie. Nie ma mnie, nie ma. Milczę. Sami się wygrzebujcie. Boże, dlaczego w żaden sposób nie mogę zostać cynikiem? Opaść by na dno jak łódź podwodna, uciec radarom, leżeć i spać. Opaść by na dno jak łódź podwodna, powtarzał, swoich sygnałów nigdzie nie słąć. Poczł już rytm, i od razu przyszło — dość mam po uszy, po czubek głowy. Wszystko mi zbrzydło, zbrzydło mi do dna... Nalał sobie dżinu i wypił. Wódka, gitara, muzyka, pieśń, opaść by na dno jak łódź podwodna... Gdzie jest banjo, pomyślał. Gdzie ja podziałem banjo? Wlażł pod łóżko i wyciągnął banjo. Mam was wszystkich gdzieś, pomyślał. Och, do jakiego stopnia mam was gdzieś! Opaść by na dno jak łódź podwodna, uciec radarom. Rytmicznie uderzał po strunach i w tym rytmie początkowo stół, a następnie cały świat zaczął przytupywać i poruszać ramionami. Wszyscy generałowie i pułkownicy, wszyscy mokrzy ludzie z odpadającymi twarzami, wszystkie departamenty bezpieczeństwa, wszyscy prezydenci i Pawor Summan, któremu wykręcano ręce i bito po mordzie... Dość mam po uszy, po czubek głowy, Boże, jak ja mam serdecznie dość, wódka, gitara, muzyka, pieśń, opaść by na dno, opaść by na dno... Uciec radarom, leżeć i spać... łódź podwodna, wypić do dna i do ostatka, łagier nie matka...

Do drzwi już od dawna ktoś pukał coraz głośniejsze i głośniejsze i Wiktor wreszcie usłyszał, ale się nie przestraszył, dlatego że to nie było TAKIE pukanie. Zwyczajne cieszące uszy pukanie normalnego człowieka, który się złości, że mu nie otwierają. Wiktor otworzył drzwi.

To był Golem.

— Wesoło panu? — zapytał — Pawora aresztowano.

— Wiem, wiem — odpowiedział wesoło Wiktor. — Niech pan siada i słucha...

Golem nie usiadł, ale Wiktor i tak uderzył w struny i zaśpiewał:

*„Dość mam po uszy, po czubek głowy.
Boże jak ja mam serdecznie dość
Opaść by na dno, jak łódź podwodna
Wszystkim radarom uciec na złość”.*

— Dalej jeszcze nie mam — krzyknął. — Dalej będzie... kac, spać, pić, nic, do ostatka, łagier — nie matka...

A potem — niech pan słucha:

*„Kurwa, czy — wódka, nic nie pomogło
Kurwa paskudna, po wódce kac
Opaść by na dno jak łódź podwodna
Uciec radarom, leżeć i spać.
Wszystko mi zbrzydło, zbrzydło mi do dna
Wódka, gitara, muzyka, pieśń.
Opaść by na dno jak łódź podwodna
Opaść by na dno i mieć to gdzieś”.**

* Słowa: Włodzimierz Wysocki. (przyp. red.) przekład Michał Jagiełło

— Koniec! — krzyknął i rzucił banjo na łóżko. Poczuł ogromną ulgę, jak gdyby coś się zmieniło, jakby nagle stał się bardzo potrzebny, tam nad okopem na oczach wszystkich — oderwał dłonie od zmrużonych oczu, spojrzął na szare, brudne pole, na zardzewiały drut kolczasty, szare toboły, które niedawno były ludźmi, nieprawą, monotonną krzątanicę, którą kiedyś nazywano życiem i ze wszystkich stron ludzie zaczęli wstawać, wychodzić z okopu, ktoś cofnął palec z cynгла...

— Zazdroszczę panu — powiedział Golem. — Ale czy nie czas usiąść do artykułu?

— Mowy nie ma — powiedział Wiktor. — Pan mnie jeszcze nie zna Golem — mam ich wszystkich gdzieś. I niech pan wreszcie usiądzie do diabła! Jestem pijany, i niech się pan też napije. Proszę się rozebrać... Niech się pan rozbiera, do kogo mówię? — wrzasnął. — I siada! Tu jest szklanka, niech pan pije! Nic pan nie rozumie, chociaż jest pan prorokiem. A ja na to nie pozwolę. Nie rozumieć — to moja prerogatywa. Na tym świecie wszyscy zbyt dobrze wszystko rozumieją — co być powinno, co jest i co będzie, i ogromnie brakuje ludzi, którzy nie rozumieją. Zastanawiał się pan kiedyś na czym polega moja wartość? Tylko na tym, że nie rozumiem. Odślaniają przede mną olśniewające perspektywy — a ja mówię, nie, nic z tego nie rozumiem. Ogłupiają mnie teoriami uproszczonymi do granic możliwości — a ja mówię, nie, nadal nic nie rozumiem... Właśnie dlatego jestem potrzebny... Chce pan truskawek? Chociaż zdaje się już wszystkie zjadłem. W takim razie zapalimy sobie...

Wstał i przespacerował się po pokoju. Golem ze szklanką w raku obserwował go nie odwracając głowy.

— To zdumiewający paradoks, Golem. Były czasy kiedy wszystko rozumiałem. Miałem szesnaście lat i byłem starszym rycerzem Legii i rozumiałem absolutnie wszystko i na nic nikomu nie byłem potrzebny! W jakiejś bijatyce rozwalono mi głowę, miesiąc przeleżałem w szpitalu, a wszystko szło swoją koleją — Legia zwycięsko maszerowała naprzód beze mnie, pan prezydent nieubłaganie stawał się panem prezydentem — także beze mnie. Wszyscy świetnie obchodzili się beze mnie. Potem to samo powtórzyło się na wojnie. Byłem oficerem, dostawałem ordery i naturalnie wszystko rozumiałem. Przestrelono mi pierś, trafiłem do szpitala — no i czy ktoś zainteresował się gdzie jest Baniew, co się stało z Baniewem, gdzie się podział nasz odważny, wszystko rozumiejący Baniew? Takiego wała! A za to kiedy przestałem rozumieć cokolwiek — o, wtedy wszystko się zmieniło. Wszystkie gazety mnie zauważyły. Wszystkie departamenty. Pan prezydent osobiście zaszczylił... No? Wyobraża pan sobie jaka to rzadkość — człowiek, który nie rozumie! Wszyscy go znają, troszczą się o niego generałowie i poko... e-e... pułkownicy, jest okropnie potrzebny mokrzakom, uważa się, że to jest ktoś, koszar! Dlaczego? A dlatego, panowie, że nic nie rozumie. Wiktor usiadł. — Bardzo jestem pijany? — zapytał.

— Owszem — powiedział Golem. — Ale to nieważne, niech pan mówi dalej.

Wiktor rozłożył ręce.

— To już wszystko — powiedział przepraszająco. — Wyczerpałem się... Może zaśpiewać panu?

— Niech pan śpiewa — zgodził się Golem.

Wiktor wziął banjo i zaczął śpiewać. Zaśpiewał „Piosenkę dzielnych żołnierzy”, potem „Uranowych ludzi”, potem „O pastuchu, któremu byk wybił jedno oko i który dlatego przeszedł na zielono państwową granicę”, potem „Dość mam po uszy”, potem „Miasto obojętnych”, potem o prawdzie i kłamstwie, potem znowu „Dość mam po uszy”, potem hymn państwowy na melodię „Ach, co za nóżki”, ale zapomniał słów, pomylił zwrotki i odłożył banjo.

— To już wszystko, co miałem — powiedział ze smutkiem. — Więc powiada pan, że aresztowano Pawora? Ja o tym wiem. Siedział akurat u mnie tam, gdzie pan siedzi... A wie pan co on chciał powiedzieć, tylko nie zdążył? Że za dziesięć lat mokrzaki opanują kulę ziemską i nas wszystkich zlikwidują. Jak pan sądzi, miał rację?

— Raczej wątpię — powiedział Golem. — Zresztą po co mają nas likwidować? Sami się wzajemnie zlikwidujemy.

— A mokrzaki?

— Być może nie pozwolą się nam zlikwidować... Trudno powiedzieć.

— A być może jeszcze pomogą? — zapytał Wiktor z pijackim śmiechem. — Przecież my nawet zabijać nie umiemy. Dziesięć tysięcy lat wybijamy się i rezultaty wciąż są nie najlepsze. Proszę posłuchać Golem, po co pan mnie okłamywał opowiadając o ich leczeniu? Oni wcale nie są chorzy, są zdrowsi od nas, tylko nie wiadomo dlaczego źóci...

— Hm — powiedział Golem. — Skąd ma pan takie informacje? Nic o tym nie wiem.

— Dobra, dobra, więcej mnie pan nie oszuka. Rozmawiałem z Zuz... z Zu... z Zurtzmansorem. Wszystko mi opowiedział — tajny instytut... założyli opaski w celu chronienia... Wie pan, Golem oni tam u was wyobrażają sobie, że mogą manipulować generałem Pferdem bezgranicznie długo. A tak naprawdę — to kacyki na piętnaście minut. Generał zeżre ich razem z opaskami i rękawiczkami, kiedy się przegłodzi... Fu, do diabła, ależ ja jestem pijany — wszystko płynie...

Trochę jednak udawał. Wyraźnie widział przed sobą grubo ciosaną szarawą twarz i maleńkie niezwykle czujne oczka.

— I Zurtzmansor powiedział panu, że jest zdrowy?

— Tak — powiedział Wiktor. — Zresztą nie pamiętam... Raczej chyba nie... Ale i tak przecież widać.

Golem poskrobał podbródek krawędzią szklanki.

— Szkoda, że pan jest pijany — powiedział. — Zresztą może to i lepiej. Mam dzisiaj szczególnie nastrój. Chce pan, żebym opowiedział wszystko czego się domyślam i co wiem o mokrzakach?

— Niech pan mówi — zgodził się Wiktor. — Tylko proszę więcej nie kłamać.

— Choroba okularnicza — powiedział Golem — to bardzo interesujące zjawisko. Czy wie pan kogo atakuje ta choroba? — zamilkł. Nie, nic panu nie opowiem.

— E tam — powiedział Wiktor. — Przecież pan już zaczął.

— Jestem głupi dlatego zacząłem — powiedział Golem. Spojrzał na Wiktora i uśmiechnął się. — Proszę o pytania — powiedział. — Jeśli pytania będą głupie, z przyjemnością na nie odpowiem... Niech pan zaczyna, bo się znowu rozmyślę.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Wynosić się do diabła! — wrzasnął Wiktor. — Jestem zajęty!

— Przepraszam panie Baniew — powiedział nieśmiały głos recepcjonisty. — Ale dzwoni pańska małżonka.

— Kłamstwo! Nie mam żadnej małżonki... Zresztą, pardon. Zapomniałem. Dobra, zaraz do niej zadzwonię, dziękuję — złapał szklankę, nalał po brzegi, wręczył Golemowi i powiedział — proszę pić i nie myśleć o niczym. Ja zaraz.

Włączył telefon i nakręcił numer Loli. Lola rozmawiała bardzo sucho — Daruj, że ci przeszkadzam, ale mam zamiar jechać do Armii, może będziesz łaskaw się przyłączyć.

— Nie — odpowiedział Wiktor. — Nie będę łaskaw. Jestem zajęty.

— Pomimo wszystko to jest także twoja córka! Czyżbyś upadł tak nisko...

— Jestem zajęty! — ryknął Wiktor.

— Nie wzruszają cię losy twojej córki?

— Przestań udawać idiotkę — powiedział Wiktor. — Zdaje się, że chciałaś pozbyć się Armii. Pozbyłaś się. Czego jeszcze ci trzeba?

Lola zaczęła płakać.

— Przestań — powiedział Wiktor krzywiąc się — Irmie jest tam bardzo dobrze. Lepiej niż na najlepszej pensji. Jedź i sama się przekonaj.

— Ordynarna, bezduszna, egoistyczna świnia — oświadczyła Lola i odłożyła słuchawkę. Wiktor zaklął szeptem, znowu wyłączył telefon i wrócił do stołu.

— Niech pan posłucha Golem — powiedział. — Co wy tam wyprawiacie z moimi dziećmi? Jeśli przygotowujecie sobie zmianę, to ja się nie zgadzam.

— Jaką zmianę?

— No, jaką... Właśnie pytam pana — jaką?

— O ile mi wiadomo — powiedział Golem — dzieci są bardzo zadowolone.

— To nic nie znaczy... i bez pana wiem, że są zadowolone. Ale co one tam robią?

— Kto?

— Dzieci.

— A czy one panu nie powiedziały?

— Jak mi mogły cokolwiek powiedzieć, jeśli ja jestem tu a one tam?

— Budują nowy świat — powiedział Golem.

— A... Tak, to mi powiedziały. Ale to przecież taka tylko filozofia... Znowu mnie pan okłamuje, Golem! Jaki może być nowy świat za kolczastym drutem? Nowy świat pod komendą generała Pferda! A jeżeli one się zarażą?

— Czym? — zapytał Golem.

— Chorobą okularniczą naturalnie!

— Po raz szósty powtarzam panu, że choroby genetyczne nie są zaraźliwe!

— Szósty, szósty... — wymamrotał Wiktor utraciwszy wątek. — A co to w ogóle takiego choroba okularnicza? Co przy niej boli? A może to też tajemnica?

— Nie, to było wszędzie publikowane.

— No to niech pan opowie — zaproponował Wiktor. — Tylko bez terminologii.

— W pierwszym okresie — zmiany na skórze. Pryszcze, pęcherze, szczególnie na rękach i nogach... czasami ropiejące wrzody...

— Niech pan posłucha Golem, czy to w ogóle jest ważne?

— W jakim sensie?

— Dla istoty rzeczy.

— Dla istoty — nie — powiedział Golem. — Myślałem, że pana to interesuje.

— Ja chcę zrozumieć istotę — powiedział Wiktor dociekliwie.

— A istoty pan nie rozumie — powiedział Golem z lekka podnosząc głos.

— Dlaczego?

— Po pierwsze dlatego, że jest pan pijany...

— To jeszcze nie powód — powiedział Wiktor.

— A po drugie dlatego, że tego w ogóle nie da się wytłumaczyć.

— Tak nigdy nie jest — oświadczył Wiktor. — Pan mi po prostu nie chce powiedzieć. Ale nie mam żalu. Tajemnica służbowa, rozpowszechnianie, trybunał wojskowy... Pawora na przykład zwinęli... Bóg z panem. Ja tylko nie rozumiem dlaczego dziecko ma budować nowy świat w leprozorium. Czy nie było innego miejsca?

— Nie było — odparł Golem. — W leprozorium mieszkają architekci i kierownicy robót.

— Z automatami — powiedział Wiktor. — Widziałem. Nic nie rozumiem. Któryś z was kłamie. Albo pan, albo Zurtzmansor.

— Oczywiście, że Zurtzmansor — odpowiedział Goleni z zimną krwią.

— A być może kłamięcie obydwaj. Aleja wam obu wierzę, dlatego że coś w was jest... Niech pan mi tylko powie Golem, czego oni chcą?

Ale uczciwie.

— Szczęścia — powiedział Golem.

— Dla kogo? Dla siebie?

— Nie tylko.

— A czym kosztem?

— Dla nich takie pytanie nie ma sensu — powoli odpowiedział Golem. — Kosztem trawy, kosztem obłoków, kosztem płynącej wody... kosztem gwiazd.

— Dokładnie tak jak my — powiedział Wiktor.

— No nie — zaprotestował Golem. — Zupełnie inaczej.

— Dlaczego? My też...

— Nie, dlatego że my wydeptujemy trawę, rozpraszamy obłoki, spiętrzamy wodę... Zrozumiał mnie pan zbyt dosłownie, a to była analogia.

— Nie rozumiem — powiedział Wiktor.

— Uprzedzałem pana. Sam bardzo niewiele rozumiem, ale się domyślam.

— A czy jest ktoś kto rozumie?

— Nie wiem. Raczej wątpię. Być może dzieci... Ale nawet one, jeśli rozumieją to po swojemu. Bardzo po swojemu.

Wiktor wziął banjo i trącił struny. Palce się nie słuchały. Położył banjo na stole.

— Golem — powiedział. — Jest pan komunistą. Co u diabła robi pan w leprozorium? Dlaczego pan nie jest na barykadzie? Dlaczego nie na wiecu?

— Ja jestem architektem — spokojnie powiedział Golem.

— Jaki tam z pana architekt, jeśli pan ni cholery nie rozumie?

I w ogóle proszę przestać robić mi wodę z mózgu. Przez godzinę bijemy pianę, a co mi pan powiedział? Pije pan mój dzin i mąci mi w głowie. Wstyd, Golem. I do tego bez przerwy kłamię pan jak najęty.

— Że bez przerwy, to przesada — powiedział Golem. — Chociaż nie powiem, żeby nie. Oni nie miewają ropiejących wrzodów.

— Niech pan mi odda szklankę — powiedział Wiktor. — Już pan się napił — nalał sobie z butelki i wypił. — Diabli pana wiedzą Golem. Po co to wszystko? Dlaczego pan kręci? Jeśli pan może opowiedzieć, no niech pan opowie, a jeśli to tajemnica — to po co było zaczynać?

— Wyjaśnienie jest bardzo proste — powiedział niefrasobliwie Golem wyciągając przed siebie nogi. — Przecież jestem prorokiem, sam pan mnie tak przezwał. A wszyscy prorocy są w takiej samej sytuacji — i wiedzą dużo, i chcieliby opowiedzieć, podzielić się informacją w miłym towarzystwie, pochwalić się, żeby przydać sobie powagi. Ale kiedy zaczynają opowiadać, pojawia się dziwne uczucie niewygody, niezręczności... Więc zaczynają wibrować tak jak Pan Bóg, kiedy zadano mu pytanie w sprawie kamienia.

— Jak pan sobie życzy — powiedział Wiktor. — Pojadę do leprozorium i wszystkiego dowiem się bez pana. No, proszę mi coś podpowiedzieć...

Obserwował z ciekawością jak traci władzę w rękach i nogach i myślał, że dobrze byłoby wypić jeszcze jedną szklankę do kompletu, uwalić się spać, a potem obudzić się i pojechać do Diany. Właściwie wszystko zapowiada się nie najgorzej. W ogóle nie jest najgorzej.

Wyobraził sobie jak zaśpiewa Dianie o łodzi podwodnej i zrobiło mu się zupełnie dobrze. Wziął mokre wiosło, które leżało na rufie, odepchnął się od brzegu i łódką od razu zakotyssało. Nie było żadnego deszczu, czerwono zachodziło słońce więc popłynął prosto ku słońcu, a wiosła odskakiwały od grzbietów fal. Opaść by na dno... Zapewne by opadł, ale było mu jakoś głupio, dlatego że nad uchem leniwie buczał głos Golema:

— ...Oni są bardzo młodzi, wszystko mają przed sobą, a my przed sobą mamy tylko ich. Rzecz jasna, że człowiek opanuje wszechświat, ale nie będzie to rumiany umięśniony atleta, i oczywiście człowiek poradzi sobie sam ze sobą, ale najpierw przemieni siebie. Natura nie oszukuje, dotrzymuje swoich obietnic, ale nie tak jak myśleliśmy, i często nie tak jak byśmy chcieli.

Zurtmansor, który siedział na dziobie łodzi, odwrócił głowę, a wtedy okazało się, że w ogóle nie ma twarzy, twarz trzyma w ręku i twarz patrzyła na Wiktora — sympatyczna twarz, uczciwa, ale robiło się niedobrze na jej widok, i Golem się nie odczepiał, wciąż buczał...

— Niech pan się kładzie spać — wymamrotał Wiktor wyciągając się na dnie łodzi. Wręgi wciskały mu się w boki, było bardzo niewygodnie, ale tak okropnie chciało mu się spać. — Niech pan się kładzie spać, Golem...

Kiedy się obudził stwierdził, że leży w łóżku. Było ciemno, a w szyby bębnił drobny deszcz. Wiktor z trudem wyciągnął rękę w stronę nocnej lampki, ale palce trafiły na zimną, gładką ścianę. Dziwne, pomyślał. A gdzie Diana? Czyżby nie była w sanatorium? Spróbował oblizać wargi, ale gruby chropawy język nie usłuchał go. Strasznie chciało mu się palić, ale palić nie wolno było w żadnym wypadku... Aha, właściwie to chce mi się pić. „Diana!” — zawołał. Prawda, to nie jest sanatorium. W sanatorium lampka jest po prawej, a tu po prawej ściana... Ależ to mój pokój w hotelu! — pomyślał z entuzjazmem. Jak ja tu trafiłem. Leżał pod kołdrą i w samej bieliźnie. Ja nie pamiętam, żebym się rozbierał, pomyślał. Kto mnie rozebrał. Chociaż, może jednak rozebrałem się sam. Jeśli mam buty na nogach, to rozbierałem się sam... Potarł nogą nogę. Aha, jestem bosy. O do diabła ręce swędzą, jakieś bąble, zapluskwili hotel. Wyprowadzę się. A dokąd to płynąłem łódką?.. A, to ten Pawor napuścił pluskiew... Nagle przypomniał sobie Pawora i usiadł, zemdlilo go, i znowu położył się na wznak. Dawno jednak się tak nie uchlałem... Pawor... „Srebrna Koniczyna...” Kiedy to było? Wczoraj? Skrzywił się i zaczął drapać się w lewą rękę. Co teraz jest — rano, czy wieczór? Zapewne rano... A może wieczór. Golem I — przypomniał sobie. Obciągnęliśmy z Golemem całą butelkę. Dżinu bez wody. A przedtem pół butelki z tym wysokim. A jeszcze przedtem, jeszcze gdzieś piłem. A może to było wczoraj? Poczekaj — no, a co teraz jest — dzisiaj, czy wczoraj? Warto by wstać, napić się itd... Nie, pomyślał uparcie. Najpierw muszę siew rym wszystkim zorientować.

Coś mi Golem opowiadał ciekawego, myślał, że jestem pijany i nic nie rozumiem, więc można mówić ze mną otwarcie. Zresztą rzeczywiście byłem pijany, ale o ile pamiętam, wszystko rozumiałem. A co rozumiałem? Wściekle potarł tylną stronę dłoni o wełniany koc. Nadchodzą ciężkie czasy... Nie, to Pawor... Aha, oto i Golem — oni mają wszystko przed sobą, a my mamy przed sobą tylko ich. I choroba genetyczna... A co, zupełnie możliwe. W końcu kiedyś to się musiało wydarzyć. Być może to trwa już od dawna. Wewnątrz gatunku rodzi się nowy gatunek, a my to nazywamy chorobą genetyczną. Stary gatunek dla jednych warunków, nowy gatunek dla innych. Dawniej były potrzebne silne mięśnie, płodność, wytrzymałość na mrozy, agresywność i jeśli można tak powiedzieć zaradność. Powiedzmy że i teraz jest to potrzebne, ale już raczej siłą inercji. Przy pewnej zaradności można zatłuc milion ludzi, i nic szczególnie istotnego się nie stanie. To jest zupełnie pewne i wielokrotnie wypróbowane. Ktoś powiedział, że gdyby z historii usunąć kilkudziesięciu, no dobrze niech będzie kilkuset ludzi, to momentalnie okazalibyśmy siew wieku kamienia łupanego. A nawet kilka tysięcy... Co to za ludzie? To, mój drogi zupełnie inni ludzie.

Całkiem możliwe — Newton, Einstein, Arystoteles — to mutanci. Środowisko rzecz jasna było niezbyt sprzyjające, i nie wykluczone, że masa takich mutantów zginęła, nie zdążywszy się ujawnić, jak ten chłopiec z opowiadania Čapka. Oczywiście byli niezwykle ludźmi — nie byli zaradni, nie mieli normalnych ludzkich potrzeb... Albo może to tylko tak się wydaje? Po prostu duchowo byli tak nadnaturalnie rozwinięci, że cała reszta pozostawała w cieniu. No tu przesadziłeś, powiedział. Einstein mówił, że najlepiej być latarnikiem — to już samo w sobie dobrze brzmi... A w ogóle ciekawe byłoby wyobrazić sobie jak w naszych czasach rodzi się homo super. Ekstra fabuła... Do diabła, jak strasznie swędzą mnie ręce... Gdyby tak napisać utopię w duchu Orwella albo Bernarda Wolfa. Co prawda trudno sobie wyobrazić takiego homo super — ogromna łysa czaszka, wątłutkie rączki i nóżki, impotent — same banały. Ale właściwie to powinno być coś w tym rodzaju. W każdym razie przesunięcie potrzeb. Wódka niepotrzebna, jakieś szczególnie wyrafinowane żarcie również, żadnych luksusów, zresztą i kobiety — o tyle o ile trzeba dla większego spokoju i lepszej koncentracji. Idealny obiekt eksploatacji — wystarczy mu oddzielny gabinet, biurko, papier, kupa

książek... alejka dla perypatetycznych rozmyślań, a on za to rodzi koncepcje... Nie wyjdzie z tego żadna utopia — zabiorą go sobie wojskowi, oto cała utopia. Stworzą utajniony instytut, zwiozą tam tych wszystkich homo super, postawią wartownika i koniec...

Wiktor wstał postępując i człapiąc bosymi stopami po zimnej podłodze, wszedł do łazienki, odkręcił kran i z rozkoszą napił się wody nie zapalając światła. Sama myśl — żeby zapalić światło — była przerażająca. Potem wrócił do łóżka i przez czas jakiś drapał się przeklinając pluskwy. W ogóle to dla potrzeb fabuły nawet dobrze tajny instytut, wartownicy, szpiedzy... patriotyzm patriotycznej sprzątaczkii Klary... co za taniocha. Trudność polega na tym, żeby wyobrazić sobie ich pracę, pomysł, możliwości — gdzie mi tam... To w ogóle niemożliwe. Szypans nie potrafi napisać powieści o ludziach. Jak ja mogę napisać powieść o człowieku, który nie ma żadnych potrzeb poza duchowymi? Oczywiście, coś niecoś wyobrazić sobie można. Atmosferę. Stan nieustannej twórczej ekstazy. Poczucie własnej wszechmocy, niezależności... brak kompleksów, absolutny brak strachu... Tak żeby napisać taką książkę trzeba się nazreć LSD.

W ogóle emocjonalna sfera homo super z punktu widzenia zwyczajnego człowieka wyglądałaby jak patologia. Choroba... Życie — to choroba materii, myślenie — choroba życia. Choroba okularnicza, pomyślał.

I nagle wszystko znalazło się na swoim miejscu. A więc to o to mu szło! — pomyślał Wiktor o Golemie. Mądrzy i jeden w drugiego utalentowani... Więc co z tego wynika? Z tego wynika, że oni już nie są ludźmi. Zurtmansor po prostu mydlił mi oczy. To znaczy, że się zaczęło... Nic się nie da ukryć, pomyślał z satysfakcją. A czegoś takiego tym bardziej. Pójdę do Golema — niech nie udaje proroka. Oni zapewne dużo mu powiedzieli... Do diabła, to przecież przyszłość, ta sama przyszłość, która zapuszcza swoje macki w serce dnia dzisiejszego! Przed nami tylko oni... Ogarnęło go gorączkowe wzburzenie. Każda sekunda była historyczna, i szkoda że nie wiedział o tym wczoraj, dlatego że wczoraj, i przedwczoraj, i tydzień temu każda sekunda też była historyczna...

Zerwał się z łóżka, zapalił światło i mrużąc oczy przed padającym po oczach światłem zaczął po omacku szukać ubrania. Ubrania nie było, ale potem oczy przywykły do światła, złapał spodnie wiszące na poręczy łóżka i nagle zobaczył swoją rękę. Ręka pokryta była czerwoną wysypką i trupio białymi gruzełkami. Niektóre krwawiły rozdrapane. Na drugiej ręce było to samo. Co u diabła, pomyślał truchlejąc ponieważ już wiedział co to jest. Przypomniał sobie — zmiany na skórze, wysypka, pęcherze, czasami ropiejące wrzody... Ropiejących wrzodów na razie nie było, ale oblał go zimny pot, następnie upuścił spodnie i usiadł na łóżku. To niemożliwe, pomyślał. Ja też? Czyżbym ja też? Ostrożnie pogładził dłonią gruzełkowatą skórę, zamknął oczy, wstrzymał oddech i wsłuchał się w siebie. Dźwięcznie i powoli uderzało serce, w uszach cienko dzwoniła krew, głowa wydawała się ogromna, pusta, nic go nie bolało, mózg nie był już ciężki i wypełniony watą. Głupcze, pomyślał uśmiechając się. Co chcesz zaobserwować? To musi być jak śmierć, chwilę temu byłeś człowiekiem, minął kwant czasu — i jesteś już Bogiem, ale nie wiesz o tym i nigdy się nie dowiesz, tak jak głupiec nie wie, że jest głupcem, jak mędrzec jeśli rzeczywiście jest mędrce — nie wie, że jest mądry... Prawdopodobnie stało się to kiedy spałem. W każdym razie do momentu, w którym zasnąłem, istota mokrzaków pozostawała dla mnie nader mglista, a teraz widzę ją z bezgraniczną jasnością i doszedłem do tego wyłącznie przy pomocy nagiej logiki, nawet nie zauważyłem kiedy...

Zaśmiał się ze szczęścia, stanął na podłodze, przeciągnął się i podszedł do okna. Mój świat, pomyślał, patrząc przez szybę zalaną wodą, i szybą znikła, gdzieś daleko w dole utonęło w deszczu zamarłe w przerażeniu miasto, i ogromny, przemoknięty kraj, a potem wszystko przesunęło się, odpłynęło, pozostała tylko maleńka, błękitna kula z długim błękitnym ogonem i zobaczył gigantyczną soczewicę galaktyki, martwo i ukośnie wiszącą w migotliwej otchłani, strzępy świetlistej materii, skręcone siłowymi polami i bezdenną pustkę

tam, gdzie nie było światła, więc wyciągnął rękę i zanurzył ją w pulchnym białym jądrze, poczuł lekkie ciepło, a kiedy zacisnął dłoń, materia przeszła przez palce jak mydlana piana. Znowu się roześmiał, przytknął nos w swoje odbicie w szybie i czule pogłaskał gruzełki na spuchniętej skórze.

— Trzeba to koniecznie oblać! — powiedział głośno.

W butelce zostało jeszcze trochę dżinu, biedny stary Golem nie zdołał wypić wszystkiego, biedny stary pseudoprorok... nie dlatego pseudoprorok, że jego przepowiednie są nieprawdziwe, ale dlatego, że jest zaledwie gadającą marionetką. Zawsze będę cię lubił, Golem, pomyślał Wiktor, jesteś wspaniałym człowiekiem, jesteś mądry — ale jesteś tylko człowiekiem. Wlał resztkę do szklanki i wprawnym ruchem wlał alkohol do gardła nawet jeszcze nie zdążył go przełknąć, kiedy pobiegł do łazienki. Zwymiotował. Do diabła, pomyślał. Co za paskudztwo. W lustrze zobaczył swoją twarz — wymiętą, jakby nalaną o nienaturalnie wielkich i nienaturalnie czarnych oczach. No i koniec, pomyślał, no i koniec. Wiktorze Baniew, pijaku i pyszałku. Nie będziesz już więcej pił, nie będziesz ryczał piosenek, nie będziesz się śmiał z głupstw, nie będziesz opowiadać wesołych bredni sztywniejącym językiem, nie będziesz bić się, awanturować, szaleć, straszyć przechodniów, zadzierać z policją, klócić się z panem prezydentem, wpadać do nocnych barów z hałaśliwą watahą młodych wielbicieli... Wrócił do łóżka. Nie miał ochoty na papierosa. Na nic nie miał ochoty, od wszystkiego mdliło, posmutniał. Poczucie utraty, najpierw słabe, ledwie dostrzegalne, jak dotknięcie pajęczyny, rozrastało się, posępne rzędy drutu kolczastego rozciągały się między nim a tym światem, który tak kochał. Za wszystko trzeba płacić, myślał, niczego nie dostaje się za darmo, i im więcej otrzymałeś, tym więcej trzeba zapłacić, za nowe życie trzeba zapłacić starym życiem... Wściekle drapał ręce, aż do krwi i nawet nie czuł tego.

Diana weszła bez pukania, zrzuciła płaszcz, stanęła przed Wiktorem, uśmiechnięta, uwodzicielska i uniosła ręce poprawiając włosy.

— Zmarzłam — powiedziała. — Można się tu ogrzać?

— Tak — powiedział prawie nie rozumiejąc co mówi.

Diana zgasiła światło, teraz jej nie widział, tylko słyszał klucz przekręcany w zamku, trzask rozpinanych zatrasków, szelest ubrania i jak pantofle spadły na podłogę, a potem Diana znalazła się blisko, ciepła, gładka, pachnąca, a on wciąż myślał, że teraz wszystko się skończyło i tylko wieczny deszcz, ponure domy z dachami jak sito, obcy nieznajomi ludzie w mokrych czarnych ubraniach, z mokrymi przepaskami na twarzach... i oto zdejmują opaski, zdejmują rękawiczki, zdejmują twarze, odkładają je do specjalnych szafek, ich ręce są pokryte ropiejącymi wrzodami — smutek, przerażenie, samotność... Diana przytuliła się do niego i objął ją automatycznie. Ona była dawna, ale on już nie był dawny, niczego już nie mógł dlatego, że nic już mu nie było potrzebne.

— Co z tobą kochany? — serdecznie zapytała Diana. — Za dużo wypiełeś?

Ostrożnie zdjął jej ręce ze swojej szyi. Ogarnęło go ostateczne przerażenie.

— Poczekaj — powiedział. — Poczekaj.

Wstał, wymacał kontakt, zapalił światło, kilka sekund stał do niej plecami zanim zdecydował się odwrócić, ale jednak się odwrócił. Nie, Diana była przepiękna. Była chyba piękniejsza niż zwykle, zawsze i była piękniejsza niż zwykle, ale to było jak obraz. Budziło dumę z człowieka, zachwyty nad jego doskonałością, ale niczego więcej nie budziło. Patrzyła na niego ze zdziwieniem unosząc brwi, a potem widocznie przestraszyła się, ponieważ nagłe usiadła i zobaczył, że jej wargi się poruszają. Coś mówiła, ale tego nie słyszał.

— Poczekaj — powiedział. — To niemożliwe. Poczekaj.

Ubierał się z gorączkowym pośpiechem i wciąż powtarzał — poczekaj, poczekaj, ale już myślał nie o niej, chodziło nie tylko o nią. Wybiegł na korytarz, znalazł się przed numerem Golema, drzwi były zamknięte, nie od razu przyszło mu do głowy co zrobić, następnie pędem pobiegł na dół do restauracji. Nie chcę, powtarzał, nie chcę, ja o to nie prosiłem.

Bogu dzięki Golem był na swoim zwykłym miejscu. Siedział odrzuciwszy rękę za oparcie fotela i oglądał pod światło kieliszek z koniakiem. A doktor R. Kwadryga był czerwony, agresywny i widząc Wiktora powiedział na całą salę.

— Te mokrzaki. Ścierwa. Precz.

Wiktor opadł na swój fotel, i Golem bez słowa nalał mu koniaku.

— Golem — powiedział Wiktor. — Ja się zaraziłem.

— Przeplukiwanie — ogłosił R. Kwadryga. — Mnie również.

— Niech się pan napije koniaku Wiktor — powiedział Golem — nie trzeba się tak denerwować.

— Niech pan idzie do diabła — krzyknął Wiktor patrząc na niego ze zgrozą. — To choroba okularnicza. Co robić?

— Dobrze, dobrze — powiedział Golem. — Pomimo to niech się pan napije. — Uniósł palec i krzyknął do kelnera: — Wody sodowej. I jeszcze raz koniak.

— Golem — powiedział Wiktor z rozpaczą. — Pan nic nie rozumie. Ja nie mogę. Zachorowałem, mówię panu! Zaraziłem się! To nieuczciwe... Nie chciałem... Pan przecież mówił, że to nie jest zaraźliwe...

Przeraził się na myśl, że mówi zbyt niejasno, że Golem go nie rozumie, sady, że Wiktor jest pijany. I wtedy podsunął Golemowi pod nos swoje ręce. Kieliszek przewrócił się, potoczył po obrusie i spadł na podłogę.

Golem najpierw się cofnął, potem spojrzał uważniej, pochylił się, ujął dłonie Wiktora za koniuszki palców i zaczął oglądać rozdrapaną gruzełkową skórę. Palce miał zimne i twarde. No to już koniec, myślał Wiktor, oto pierwsze badanie lekarskie, potem będą następne badania i kłamliwe obietnice, że jest jeszcze nadzieja, uspokajające mikstury, a potem przywyknie, nie będzie już żadnych badań, zawiozą go do leprozorium, zamotają usta czarną szmatą i wszystko będzie skończone.

— Jadł pan poziomki? — zapytał Golem.

— Tak — pokornie odpowiedział Wiktor. — Truskawki.

— Musiał pan zjeść co najmniej dwa kilo — powiedział Golem.

— Jakie znowu poziomki? — krzyknął Wiktor wyrywając ręce. Niech pan coś z tym zrobi! To niemożliwe, żeby było za późno. Dopiero się zaczęło...

— Niech pan przestanie wrzeszczeć. To jest pokrzywka. Alergia. Nie wolno panu żreć truskawek w takich ilościach.

Wiktor jeszcze nie rozumiał. Oglądając swoje ręce mamrotał: „Sam pan mówił... pęcherze... wysypka...”

— Pęcherzy można dostać i od pluskiew — pouczył go Golem. Ma pan idiosynkrazję na pewne produkty. I wyobraźnię nieproporcjonalną do rozumu. Jak większość pisarzy. Też mi mokrzak.

Wiktor poczuł, że ożywa. Udało się, stukało mu w głowie. Chyba się udało. Jeżeli się udało to nie wiem co zrobić. Rzucę palenie...

— Nie kłamie pan? — zapytał żalonym głosem.

Golem uśmiechnął się.

— Niech pan wypije koniak — zaproponował. — Przy alergii nie wolno pić koniaku, ale niech pan wypije. Bo wygląda pan przesadnie żałośnie.

Wiktor wziął jego kieliszek, zmrużył oczy i wypił. Nic! Trochę mdli, ale to jak należy rozumieć z powodu kaca. Zaraz przejdzie. I wszystko przeszło.

— Drogi pisarzu — powiedział Golem. — Żeby zostać architektem, same bąble nie wystarczą.

Podszedł kelner i postawił na stole koniak i sodową. Wiktor głęboko i swobodnie westchnął, wciągnął w płuca znajome, restauracyjne powietrze, poczuł cudowny zapach dymu z papierosów, marynowanej cebuli, przypalonego tłuszczu i pieczonego mięsa. Życie wróciło.

— Przyjacielu — powiedział do kelnera. — Butelkę dżinu, sok z cytryn i cztery porcje minog do dwieście szesnastego. Tylko prędko!

Alkoholicy — powiedział do Golema i R. Kwadrygi: — Szeźnijcie tu z krete sem, a ja pójdę do Diany!

Golem powiedział nie zwracając się do nikogo:

— Biedne piękne kaczątko!

Przez chwilę Wiktor poczuł żal. Wypłynęło i znikło wspomnienie o jakichś ogromnych utraconych możliwościach. Ale tylko się roześmiał, odepchnął fotel i ruszył do wyjścia.

ROZDZIAŁ 9

FELIKS SOROKIN

*„...Po co wciąż grasz na trąbie, młodzieńcze
Poleżałbyś lepiej w trumnie, młodzieńcze „*

I znowu przyśnił się sen, pełen bezsily i beznadziejności — z hu kiem armat rozwarły się wszystkie drzwi i okna, i silny przeciąg wyrwał z Niebieskiej Teczki wszystko co napisałem, rzucił w rozjarzoną krwawą luną przestrzeń nad piętnastopiętrową otchłanią. Zatańczyły, zawirowały, zakoziołkowały porwane wiatrem kartki, Niebieska Teczka była pusta, ale jeszcze można było zbiec na dół, dopędzić, pozbierać, coś uratować, tylko że nogi jakby wrosły mi w podłogę, i głęboko w ciało weszły haki utrzymujące mnie nad loggią. Zawołałem: „Katia!” i zapłakałem z rozpacz i obudziłem się i oczy miałem suche, nogi skręcił skurcz i potwornie bolał mnie bok.

Czas jakiś leżałem pod jasnymi kwadratami na suficie, cierpliwie gimnastykowałem stopy, aby ustąpił skurcz, a myśli płynęły leniwie, rozkojarzone. Myślałem, że oto naprawdę jestem chory i trzeba będzie ustąpić naleganiom Katii i położyć się w szpitalu na badania... i od razu wszystko się zatrzyma, zahamuje i na długo będzie zamknięta Niebieska moja Teczka...

A potem pomyślałem jeszcze, że dobrze byłoby ją przepisać w dwóch egzemplarzach, i niech jeden egzemplarz leży na przykład u Rity... chociaż z drugiej strony Rita też już jakiś czas temu skończyła dwadzieścia lat, coś tam ma ni to z nerkami, ni to z wątrobą... Nie mam najmniejszego wyobrażenia, jak, gdzie i komu mógłbym dzisiejszy sen — to sen proroczy — niczego nie uda mi się zakończyć i wielki przeciąg rozsypie moją Niebieską Teczkę po śmietnikach i rynsztokach i nie zostanie ani jedna kartka, żeby można ją włożyć do maszyn na okoliczność określenia NICZT...

A kiedy przypominałem sobie o NICZT (po prostu ot tak, przypominałem sobie, na zasadzie skojarzenia ironii i żalu), wówczas jakby sam z siebie przyszedł domysł jasny i oschły jak formuła matematyczna — oni tam wcale nie określają wartości utworu, przepowiadają tam jego los!

A więc oto co próbował mi przez cały czas wyjaśnić mój niewesoły wczorajszy znajomy!

Najprawdopodobniejsza Ilość Czytelników Tekstu — przecież w tym mieści się wszystko! I nakłady się mieszczą, i jakość, i popularność, i talent pisarza, i talent czytelnika, nawiasem mówiąc. Można napisać dzieło genialne, a maszyna nie da ci ani jednego punktu, dlatego że twój genialny utwór nigdzie nigdy się nie ukaże, przeczyta go co najwyżej żona, najbliżsi przyjaciele i może dobrze znajomy redaktor, który sprawę zakończy: „Sam wiesz stary... Zrozum mnie właściwie...”

Mądra maszyna, a jaka chytra! A ja jak idiota zaniósłem im śmiecie, swoje recenzje, swój koszt na papiery.

Usiadłem i objąłem rękami kolana. Oto o co mu szło. Oto dlaczego on mi, można powiedzieć wyznaczył następną randkę. Chodziło mu o to, co piszę naprawdę. Żeby dobrze zrozumiał na jakim świecie żyję i czy powinienem dalej się gorączkować, jak to już wielu robiło przede mną i czy może powinienem przestać pracować, a zacząć zamiast tego dobrze zarabiać...

Zimno mi się zrobiło od tych myśli i ciarki mi przeszły po skórze. Naciągnąłem na ramiona kołdrę i nagle strasznie zatęskniłem za papierosem.

Straszna maszyna, przerażająca. I po co ona im tam potrzebna? Oczywiście — poznać przyszłość — odwieczne marzenie ludzkości, w rodzaju latającego dywanu i siedmiomilowych butów. Cesarze — kró — lowie — imperatorzy za takie rzeczy obiecywali

wielkie pieniądze. Ale jeśli się dobrze zastanowić to konieczny jest jeden warunek — przyszłość musi być przyjemna. Komu potrzebna jest wiedza o nieprzyjemnej przyszłości? Przychodzę powiedzmy na Banną z Niebieską Teczka, a maszyna komunikuje mi ludzkim głosem „Niewesoło wyglądają twoje sprawy Feliksie Aleksandrowiczu, mówiąc szczerze beznadziejnie. Będziesz miał trzech czytelników i wystarczy”.

Odrzuciłem kołdrę i poszukałem stopami rannych pantofli.

A przecież nie mogę nie iść teraz na Banną! Muszę wiedzieć... A właściwie po co? Po co mam wiedzieć, że cała moja praca, moje życie, w istocie rzeczy mogą o dupę potnie? Ale z drugiej strony dlaczego koniecznie o dupę potłuc? Przecież sam chcę oddać Niebieską Teczka na przechowanie, tam gdzie nie będzie mógł wetknąć swojego spoconego nosa Bryzejkin, czy Gagaszkin. Chociaż spocony ciekawy nos — to jednak coś innego. Bryzejkin — to Gagaszkin, a czytelnik — to czytelnik. Przecież u diabła nie bawi mnie onanizm — piszę dla ludzi a nie dla własnej przyjemności. To prawda, że od początku byłem przygotowany na to, że za mojego życia Niebieskiej Teczki nikt nie wyda. Zwykła historia, nie ja pierwszy, nie ja ostatni. Ale myśl o tym, że zgnije zwyczajnie, że przepadnie, zniknie bez śladu... Nie, na to nie jestem przygotowany. To głupie, zgoda. Ale nie jestem gotów. Dlatego tak mi straszno!

Myłem się, słałem łóżko, przygotowywałem śniadanie zajęty tymi myślami. Było zaledwie pół do siódmej, ale i tak nie mógłbym teraz ani spać, ani nawet zwyczajnie poleżeć. Dosłownie trzęsłem się z nerwowego podniecenia — musiałem koniecznie coś zrobić, albo przynajmniej podjąć decyzję.

Coś podobnego, jak naiwnie wierzyliśmy, że rękopisy nie płoną! Płoną rękopisy, jeszcze jak płoną i to wielkim płomieniem! Strach pomyśleć ile ich z pewnością zginęło, przepadło bez wieści... Nie chcę takiego losu dla mojej książki. I nie chciałbym wiedzieć jeśli naprawdę taki los ją czeka... Ach, nie przypadkiem wczoraj owijał w bawełnę mój niewesoły znajomy, a mógł przecież powiedzieć wprost co i jak, ale doszedł do wniosku, że jeśli się sam nie domyśle, to widocznie tak być musi, a jeśli już się domyśle to już nie będę miał wyjścia — przyjdę, przyniosę i dowiem się...

A wtedy okazało się, że siedzę przy swoim biurku, przede mną leży otwarta Niebieska Teczka, moje palce same z siebie biorą kartkę za kartką i ostrożnie przekłada ją z prawej strony na lewą, wyrównują starannie stos papieru i zrobiło mi się okropnie ciężko na sercu, że wczoraj późnym wieczorem doczytałem ostatnią napisaną linijkę. A jak byłoby dobrze właśnie teraz, w chwili niepewności, w chwili paniki, kiedy moja droga nieuniknienie prowadzi na rozdroże, jak dobrze byłoby w tej właśnie chwili przeczytać ostatnią nieznaną mi jeszcze nie napisaną linijkę, a pod nią słowo „koniec”. I mógłbym wtedy powiedzieć z lekkim sercem: „To wszystko moi państwo, filozofia, ale popatrzcie na to!” i pokazałbym Niebieską Teczka na otwartej dłoni.

I tak strasznie zapragnąłem chociaż trochę przybliżyć ten wymarzony moment, że spiesznie zdjąłem futerał z maszyny do pisania, wkręciłem czystą kartkę i napisałem:

„Na zegarku była za kwadrans trzecia. Wiktor wstał i otworzył okno. Na ulicy panowała zupełna ciemność. Wiktor dopalił papierosa, wyrzucił niedopałek w noc i zadzwonił do portiera. Odezwał się nieznajomy głos”. Zdjąłem palce z klawiatury i podrapałem się w brodę. Zwykła historia — kiedy próbuję tę moją pracę szturmować gołym entuzjazmem, natchnieniem — nic nie wychodzi.

Przez następne pół godziny wpisałem ręcznie tylko słowo „mokrą” i dodałem po „czarna ciemność”, „i w czerni błyskał deszcz”. Nie, w ten sposób nikt się nie zabiera do poważnej pracy. Za poważną pracę można się wziąć na przykład w Muraszach w domu pracy twórczej. Upřednio należy zebrać się w sobie, całkowicie zapomnieć o prozie codzienności i odciąć sobie wszystkie drogi odwrotu. Musisz wiedzieć, że zapłaciłeś już za skierowanie na cały okres i że tych pieniędzy nikt nigdy ci pod żadnym pretekstem nie zwróci. Nie ma mowy o żadnym natchnieniu! Tylko codzienna, mechaniczna, katorżnicza praca. Niczym maszyna.

Niczym koń. Pięć stron przed obiadem, dwie strony przed kolacją. Albo cztery strony przed obiadem i w takim razie już trzy przed kolacją. Żadnych kontaktów. Żadnych pogawędek. Żadnych spotkań. Żadnych posiedzeń. Żadnych rozmów telefonicznych. Żadnych skandali i jubileuszy. Siedem stron dziennie, a po kolacji możesz posiedzieć w sali bilardowej, ospale przerzucając się słowami ze znajomymi braćmi literatami. I jeżeli będziesz twardy, jeśli nie będziesz, co nie daj Panie Boże litować się nad sobą i wykrzykiwać „Chyba mam prawo, do diabła chociaż jeden dzień w tygodniu...”, to po dwudziestu sześciu dniach wrócisz do domu jak szczęśliwy łowca, nie czując wprawdzie ani rąk, ani nóg, ale wesoły z pełnym chlebakiem... A ja przecież jeszcze nawet nie wymyśliłem co będę miał w tym moim chlebaku!

Punktualnie o ósmej trzydzieści rozległ się dzwonek telefonu, ale nie był to Lonia Szibzd. Nie wiadomo kto to był. Słuchawka oddychała, słuchawka uważnie słuchała moich zirytowanych, „Halo, kto mówi? Proszę nacisnąć przycisk!...”. A potem usłyszałem krótkie sygnały.

Rzuciłem słuchawkę, ze wstrętem wydarłem z maszyny zaczęta kartkę, wsunąłem ją pod wszystkie inne na sam dół i zawiązałem teczkę i zamknąłem maszynę. Świtało, na dworze znowu rozszalała się zamieć, znowu poczułem ostry ból w boku, więc się położyłem.

Mam jednak temperament choleryka. Dopiero przed chwilą trząsałem się z podniecenia, wydawało mi się, że na świecie nie ma nic ważniejszego od mojej Niebieskiej Teczki i jej losu w przyszłych stuleciach. A teraz leżę jak rozdeptana żaba i nic więcej nie jest mi potrzebne poza spokojem.

Bok bolał, ogarnęła mnie niezwykła słabość, litowałem się nad sobą i przypomniałem sobie, zapadłem we wspomnienia bezwolnie, tak jak popada się w omdlenie, kiedy brak już sił, żeby dalej to znosić...

Mieszkała pod numerem 19, zajmowała tam maleńki pokój, jeden Bóg raczy wiedzieć, jakim sposobem jej się to udało, studiowała na pierwszym roku politechniki i miała 19 lat mniej więcej. Na imię było jej Katia, a jej nazwisko F. Sorokinie znał i nigdy już nie pozna. W każdym razie w jego życiu doczesnym.

F. Sorokin ukończył wtedy lat piętnaście, przeszedł do dziewiątej klasy, był chłopcem chociaż uszy mu bardzo odstawały. Na lekcjach wychowania fizycznego stał trzeci, po Wołodii Prawdiuku (zabity w 1943) i Wołodii Cyngerze (obecnie wielka szyszka w przemyśle lotniczym). Kiedy Katia poznała go byli jednakowego wzrostu, a kiedy rozłączyła ich ta, która rozłącza wszystkich, Katia była już o połowę głowy niższa od niego.

F. Sorokin widywał Katię jeszcze zanim się poznali, albo na schodach, albo u Anastazji Andriejewnej, ale nie budziła w nim wtedy żadnych męskich uczuć. Był wtedy smarkaczem i... prostakiem ten rosły i przystojny F. Sorokin. Dystans między studentką a uczniakiem wydawał się nieskończenie wielki, męczące i bez żadnych rezultatów obmacywanie Lusi Niewierowskiej (teraz wdowa po admirałe, emerytka, i zdaje mi się prababka) wznosiło nie do zdobycia barykadę między jego pożądaniami a wszystkimi piersiami i udami na świecie, a w ogóle dla właściwego wypróżnienia nasieniowodów wydawało się niezbędnym, aby na początek zakraść się do legowiska wroga, zabić, albo dostarczyć żywymi Hitlera i Mussoliniego (o Togo F. Sorokin jeszcze wtedy nie wiedział) i złożyć ich głowy u pantofelków.

Na pewno psychiatria umiałaby wyjaśnić, dlaczego studentka Katia łaskawie spojrziała na uczniaka. Zwykle piętnastoletni, dojrzały płciowo chłopcy przyciągają raczej panie w pewnym wieku, a zresztą co ja mogę wiedzieć o psychiatrii? Ale czy ktokolwiek ośmieli się twierdzić, że romans Katii z F. Sorokinem był jedynym tego rodzaju? F. Sorokin nie ośmieli się (zresztą — w tej sprawie jest stronniczy). Już potem, dwa albo trzy miesiące później, Katia zwyczajnie i spokojnie opowiedziała F. Sorokinowi, że zakochała się w nim od pierwszego

spojrzenia, przy pierwszym przypadkowym spotkaniu na schodach, czy też w bramie. Być może mówiła nieprawdę, ale F. Sorokinowi to pochlebilo.

Jednak niewykluczone, że w tym wypadku może mieć znaczenie następująca okoliczność. Półtora roku zanim się poznali Katię spotkała przykrość. Chodziła wtedy do dziesiątej klasy w jakimś małym miasteczku pod Leningradem (Kołpino? Pawłowski? Tosno?). Pewnego razu kiedy była dyżurną i została po lekcjach, żeby posprzątać w klasie nagle wbiegło kilku jej kolegów z klasy, zawinęli jej głowę marynarkami i przewrócili na podłogę między ławkami. Nic im nie wyszło — być może ze strachu, być może z braku doświadczenia. Tyle że zapaskudzili jej brzuch i nogi, a potem uciekli. Katia pozostała dziewicą. Fizycznie. A co z psychiką? Gwoli prawdy, należy dodać, że F. Sorokina Katia pokochała już jako kobieta. Z kim to zrobiła pierwszy raz, nie powiedziała, a jemu takie pytanie po prostu nigdy nie przyszło do głowy.

Pewnego upalnego dnia na początku września F. Sorokin wrócił ze szkoły i poszedł po klucz do mieszkania Anastazji Andriejewnej podnumerem 19. Anastazji Andriejewnej nie zastał, znalazł za to kartkę, że klucz jest u sąsiadki, u Katii. W półmrocznym korytarzu zawalonym jakimiś rupieciami znalazł drzwi Katii i zapukał. Drzwi w tej samej chwili się otwały. I zobaczył ją. I doznał wstrząsu.

Koniec końców cel uświęca środki, a w miłości podobno wszystkie środki są dozwolone. Oczywiście czekała na niego i przygotowała się. Za to on był absolutnie nie przygotowany. Potem zrozumiał, że jeszcze trochę (trochę czego?) i albo rzuciłby się do ucieczki, na złamanie karku, albo zemdłał.

Wstałem, stękając i pojękując, wlałem pod kanapę i w najdalszym kącie znalazłem niedopałek, o którym pamiętałem przez cały rok. Poszedłem z nim do kuchni i zapalałem stojąc u okna, machinalnie zdziwiłem się, że dym tytoniowy w ogóle na mnie nie działa, jakbym wdychał nie dym tylko ciepłe pachnące powietrze.

Katia była chudziutka, wąska w ramionach i biodrach, miała okrągłe sterczące piersi. Była w workowatym szarym szlafroku jakie noszą w sierocińcu, milcząc wzięła F. Sorokina za rękę i wprowadziła do swojego pokoiku, potem zawróciła i cicho, dokładnie zamknęła drzwi, szcęknięta zasuwką, a potem odwróciła się do F. Sorokina i zaczęła na niego patrzeć opuściwszy rękę. Jej szlafrok był rozpięty, a pod szlafrokiem była naga, ale F. Sorokin najpierw zauważył, że była strasznie zaczerwieniona od czoła po piersi, a dopiero potem całą resztę. Co to był za widok dla dojrzałego płciowo smarkacza, który do tego momentu widział nagie kobiety wyłącznie na obrazach Rubensa! No i może jeszcze na pornograficznych pocztówkach, które mu pokazywał Boria Kutuzow (rozerwany pociskiem w sierpniu 1941).

Spotykali się, jeśli nie codziennie, to w każdym razie wystarczająco regularnie. Dokładnie wyznaczonego dnia i punktualnie o wyznaczonej godzinie, F. Sorokin bezszelestnymi susami wbiegał do mieszkania numer 19. Przeważnie było to w dzień, o godzinie trzeciej lub czwartej zaraz po powrocie ze szkoły. Oczywiście nie dzwonił i nie pukał. Drzwi się otwierały. Katia w swoim sierocym szlafroczku na gołe ciało chwytała go za rękę, prowadziła do swojego pokoiku, zamykali się i cieszyli sobą chciwie i pośpiesznie, a mniej więcej po dwudziestu minutach F. Sorokin bezszelestnie i ostrożnie niczym Indianin na ścieżce wojennej, wyskakiwał na półmroczny korytarz, automatycznie wymacywał kółko francuskiego zamka i wślizgiwał się na podest. Rozmawiali ze sobą niewiele i tylko szeptem i przez całą jednostajną, chociaż nieprawdopodobnie skondensowaną historię tej miłości, nie udało im się być razem dłużej niż pół godziny...

A historia ta rzeczywiście była niezwykle skondensowana — dla Sorokina bez żadnej wątpliwości, ale i dla Katii prawdopodobnie również. Schodząc na dół po wyjściu z mieszkania numer 19 F. Sorokin od razu zaczynał tęsknić. Po upływie jednego — dwóch dni

tęsknota przemieniała się w nieznośną niecierpliwość. Nadchodził wyznaczony czas i wszystko w nim się trzęsło z gorączkowej radości i z rosnącego strachu, że coś im przeszkodzi się spotkać (bywały takie przypadki). I oto już nadeszło spotkanie, a potem znowu tęsknota, niecierpliwość, radość i strach i znowu spotkanie. I tak tydzień za tygodniem, jesień, zima, wiosna i wreszcie przekłęte lato 1941. I ani razu F. Sorokin nie poczuł zmęczenia Katią, ani razu przed spotkaniem nie zapragnął, żeby spotkanie sienie odbyło. Wszystko wskazywało na to, że z nią było podobnie.

Ciekawe, że właśnie w tym okresie, w dziewiątej klasie F. Sorokin zwycięsko atakował wyższą matematykę i stereometrię w parze z Saszą Aronowem (umarł z głodu w styczniu 1942), całą parą majstrował teleskopy, tyrał w warsztatach Domu Kultury i Nauki i śpiewając radził sobie z normalnym szkolnym programem. A także nadal trwał jego platoniczny romans z Lusią Niewierowską, a po sylwestrze na dodatek również flirt z Niną Chaliajewą (zginęła bez wieści w czasie ewakuacji) i w jego życiu było jeszcze mnóstwo zabaw i głupot. F. Sorokin aktywnie żył życiem szkolnym, naukowym, społecznym, koleżeńskim i nigdzie nikomu ani jednym słowem, ani jedną aluzją nie zająknął się o Katii.

Chyba jednak nie łączyła ich wyłącznie namiętność fizyczna. Choćby nie wiem jak płomienna — taka namiętność nie mogłaby trwać aż tak długo i nie towarzyszyłyby jej nieustanne przyływy tęsknoty, radości i strachu. I raczej nie była to też miłość z gatunku romantycznych, o której tyle pisali wielcy. Pewnie trochę tego i tego, prawdopodobnie i chłopięca duma posiadania prawdziwej kobiety i czuła wdzięczność dziewczyny wobec mężczyzny, który jej nie krzywdzi, nie stawia się i jeszcze na pewno przeczucie.

Ostatni raz spotkali się w końcu maja na początku egzaminów.

Pod koniec pierwszej dekady lipca F. Sorokin wrócił z budowy lotniska pod Kingisepem, zmężniały, zdążył już nawet zabić pierwszego swojego człowieka, wroga, faszystę z czego był nadzwyczaj dumny. Okrężnymi drogami udało mu się dowiedzieć, że tydzień temu Katia pojechała ze swoim rokiem na kopanie rowów przeciwczołgowych gdzieś do Gaczniny (czy może do Pskowa?).

Pod koniec lipca administrację domu zawiadomiono, że Katia zginęła w czasie bombardowania.

Słabość. To wszystko moja słabość. Jakoś zdaje się dzisiaj osłabłem. Ale dlaczego zawsze zakazuję sobie tych wspomnień? Imię tak. Katia. Katia. Ale tylko imię. Pewnie dlatego, że nigdy więcej już nikogo nie kochałem. Miał F. Sorokin od tej pory mnóstwo bab, dwie albo trzy kobiety, ale ani jednej miłości.

Rozległ się dzwonek telefonu, więc powlokłem się z powrotem do gabinetu. To nareszcie zadzwoniła Rita i w samą porę.

Dopiero co wróciła ze swojej dziury zabitej deskami i miała ochotę nawiązać bliższy kontakt z inteligentnym człowiekiem z literackiego środowiska. Głos miała czysty, wesoły i zdrowy i to było wspaniałe, tak że natychmiast zapragnąłem się z nią zobaczyć. Zapytałem, jak tam ona dzisiaj, i Rita odpowiedziała, że teraz jest u siebie w biurze, a potem będzie mogła zwać. Wpadłem w entuzjazm i razem opracowaliśmy plan, że spotkamy się o trzeciej zero zero u nas w klubie, gdzie połączymy się w gastronomicznej ekstazie. Na początek, powiedziałem rzeczowo. A potem się zobaczy, odpowiedziała Rita jeszcze bardziej rzeczowo.

Rozmowa ta, jak należało oczekiwać, diametralnie zmieniła mój pogląd na otaczającą rzeczywistość. Otoczenie z nieprzyjemnego, wrogiego przemieniło się w przyjazne, a rzeczywistość utraciła mroczność i przybrała wszelkie możliwe odcienie różowości i błękitu. Oto i na dworze zrobiło się znacznie jaśniej, a wściekła zamieć przemieniła się w lekki niemal odświeżony spadający z nieba śnieżek. I wszystko, co posępnie okrężało mnie przez ostatnie dni, te nieprzyjemne i dziwne spotkania, przerażające rozmowy i niedomówienia, te problemy, które jeszcze niedawno wydawały się zupełnie abstrakcyjne, a teraz stały się

konkretne, z krwi i kości, cała ta ciemna beznadzieja otaczająca mnie złowieszczym częstokółem, nagle rozstała się, odeszła gdzieś do tyłu i na boki i wszystko przede mną stało się szmaragdowe zielone, srebrzyste słoneczne, zamglono niebieskie, a na tym tle zuchwale migał napis „Będzie dobrze!”. I bok już mnie prawie wcale nie bolał...

*Po co wciąż grasz na trąbie, młodzieńcze?
Poleżałbyś lepiej w trumnie, młodzieńcze!*

Przed wszystkim poszedłem do łazienki i ogoliłem się najstaranniej jak to było możliwe. Rita nie znosi nawet aluzji do brody. Następnie przejechałem wilgotną ścierką po wszystkich stołach i szafach. Rita nie toleruje kurzu na błyszczących powierzchniach. Zmieniłem pościel. My z Rita uznajemy wyłącznie świeże, wykrochmalone prześcieradła. Starannie przetrąłem kieliszki i szklanki, pedantycznie oglądając każdą sztukę pod światło, wyczyściłem noże, widelce, łyżeczki do herbaty, zebrałem się w sobie i wymyłem wannę oraz sedes. I już na sam koniec wyciągnąłem odkurzacza i odkurzyłem podłogę.

Kiedy robiłem to wszystko dwukrotnie zadzwonił telefon. Raz był to Lonia Szibzd, któremu po jego standardowym pytaniu „co słychać”? nie pozwoliłem dojść do głosu, a za drugim razem znowu milcząc sapał w słuchawkę ten nieśmiały, a ja bardzo wesoło zawiadomiłem go, że propozycję pomocy cenię, ale pomoc nie jest mi potrzebna, ponieważ wszystkie swoje sprawy doprowadziłem do szczęśliwego końca i w najbliższym czasie opuszczę tę planetę i te czasy na zawsze.

Nie mam pojęcia co sobie o tym pomyślał nieśmiały, ale więcej telefonów nie było.

Włożyłem swój najlepszy garnitur, wyszedłem z domu za kwadrans druga — z takim wyliczeniem, żeby zdążyć zajrzeć do komisji kwalifikacyjnej i zabrać przypadającą na mnie porcję, utworów. Boże zmiłuj się nade mną! Winda była zepsuta. I ta mała i ta duża.

I natychmiast moja wyobraźnia podsunęła mi scenę, jak z Ritą po dobrym obiedzie i przyjemnym spacerze po zaśniewanej Moskwie wdrapujemy się pieszo na piętnaste piętro, jak serce moje zaczyna się tłuc w piersi gwałtownie i nierówno, jak na każdym podejściu odpoczywam na specjalnie na taką okoliczność przygotowanych ławeczkach, ukradkiem wkładam do paszczy nitroglicerynę, a Rita, piękna Rita, dama mojego serca, kochanka, moja ostatnia kobieta, taktownie opowiada o jakichś głupstwach, z upokarzającym współczuciem spogląda na mnie z góry i od czasu do czasu powtarza „dokąd się tak śpieszysz, przecież mamy czas”.

Odpędziłem haniebny obraz, i zacząłem schodzić na dół. I kogóż to ja spotkałem między siódmym i szóstym piętrem? Kto szybko wbiegał mi na spotkanie przeskakując po dwa stopnie i tylko lekko dotykając od czasu do czasu poręczy? Kto to taki, pogwizdujący melodię Gershwina, w prawej ręce niesie ciężką torbę z zakupami, według niektórych oznak, z wykupionym właśnie przydziałem żywnościowym?

Oczywiście, to on! Kostia Kudinow, poeta, zielonkawo blady, zarzygany nieszczęśnik, którego tak niedawno, zdychającego, wieziono na płukanie żołądka do Biriulewskiego szpitala!

— Stary! — wrzasnął radośnie, kiedy mnie tylko rozpoznał. — Jak to dobrze, że cię widzę! Chyba się nie śpieszysz? Pamiętaj, że włączyłem cię do naszej brygady. Pojedziemy na BAM. Dwadzieścia dni, piętnaście spotkań, specjalny samolot tam i z powrotem... Co ty na to?

Naprawdę dzisiejszy dzień mogłem uznać za udany. To może wydać się dziwne, ale ja niemłody już, skryty, i właściwie unikający nowych znajomości człowiek, konserwatysta i domator — lubię występować publicznie.

Lubię stać przed tłumem ludzi na sali, widzieć jednocześnie tysiące twarzy zespolonych zainteresowaniem, ciekawością. Ciekawością pazerną, ciekawością sceptyczną, ironiczną,

zdumioną, ale zawsze ciekawością. Lubię szokować ich ujawniając środowiskowe tajemnice, opowiadać o sekretach redaktorsko — wydawniczej kuchni, bezlitośnie burzyć iluzje na temat takich wytartych stereotypów jak natchnienie, olśnienie, iskra boża. Lubię odpowiadać na pytania zadawane na kartkach — wyszydzać głupków — subtelnie, aby żaden kapuś, jeśli taki znajdzie się na sali, nie mógł się przyczepić; lubię chodzić po ostrzu noża, lawirując między tym co naprawdę myślę i między tym, co według powszechnej opinii myśleć powinienem...

A potem, kiedy to wszystko już jest poza mną, lubię stać na sali w otoczeniu prawdziwych wielbicieli i znawców, pisać dedykacje na zaczynanych do ostatka egzemplarzach „Bajek współczesnych” i rozmawiać już na równych prawach, bez głupków, ostro, bez żadnej taryfy ulgowej dyskutować z zachwycającym uczuciem absolutnego bezpieczeństwa — nikt nie pozwoli sobie na nietakt, nikt mnie po chamsku nie zaczepi, nie muszę się obawiać fałszywego kroku i nawet jeśli powiem coś katastrofalnie głupiego, wszyscy uprzejmie przepuszczą to mimo uszu...

A już najbardziej lubię to wszystko nie w Moskwie, nie w innych administracyjnych, naukowych i przemysłowych stolicach, tylko w miejscowościach nader odległych, gdzie na granicy cywilizacji, gdzie ci wszyscy inżynierowie, technicy, operatorzy, wszyscy ci wczorajsi studenci spragnieni kultury, Europy i po prostu kulturalnej rozmowy.

Więc oczywiście zgodziłem się, dowiedziałem się od Kostii kiedy wylatujemy, kto jeszcze uczestniczy w imprezie, gdzie otrzymamy instrukcje i już wyciągnąłem rękę na pożegnanie, kiedy Kostia złapał mnie za duży palec, przebiegle zmrużył oczy i jakoś tak kokieteryjnie zaciągnął:

— A ty, Feliksie jesteś niezłym ryzykantem! Nieźle ci to wyszło! Tylko czy się nie boisz, że w odpowiednim momencie wszystko ci przypomną, co?

Kokieteryjnie mrużył oczy, kołysał w powietrzu moją bezwładną nagle ręką, a ja poczułem, jak w środku wszystko we mnie się zjeża od złego przeczucia. Zapewne przede wszystkim chodziło o to, że te słowa wypowiedział akurat Kostia. Nie wiem. Ale od razu pomyślałem sobie, że wcale nie skończyła się jeszcze ta głupia historia z tym... jak mu tam... z tym cholernym eliksirem, który sam wymyśliłem na swoje nieszczęście. Nic się nie skończyło, co z tego, że zupełnie zapomniałem o szpiclu w kraciastym palcu, za to oni o mnie nie zapomnieli, sprawa trwa dalej i jak się okazuje wykonałem jakiś przebiegły manewr, oszukałem widocznie kogoś, zaryzykowałem jak idiota i teraz ktoś może mi to przypomnieć! I niewątpliwie przypomni, mam to jak w banku!

Jezus Maria, Józefie święty! Żeby tego Kostię Kudinowa pochłonęły czeluści piekielne na wieki wieków amen! Razem z jego tajemniczymi manierami, aluzjami i półaluzjami! Już po chwili mrugania, przymykania oka, kołysania mojej dłoni wyjaśniło się, że chodzi mu zupełnie o coś innego.

W początkach grudnia, mój znajomy redaktor z „Moskiewskiego Playboya” dał mi do odredagowania maszynopis Babachina, przewodniczącego naszej komisji mieszkaniowej. Dał mi ten maszynopis i powiedział tak: „Załatw go odpowiednio i niczego się nie bój, recenzja jest tylko do użytku wewnętrznego, a nasz naczelny przez tego Babachina popadł już w stan przedzawałowy”. Powieść faktycznie była potworna, więc przyłożyłem. Ze szczerego serca. Z rozkoszą. A tuż przed samym Nowym Rokiem tego Babachina z hukiem i trzaskiem przepędzono z przewodniczącego. Oczywiście nie za to, że pisze takie powieści, zdolne doprowadzić do zawału nawet takiego zahartowanego w bojach człowieka jak naczelny „Moskiewskiego Playboya”. Nie, pogoniono go akurat za to, że „spożywał chleb bezprawia i pił wino nadużyć”. I teraz ten idiota, poeta Kostia Kudinow wyobraził sobie, jakoby ja to wszystko przewidziałem zawczasu i zaryzykowałem wystąpienie przeciwko Babachinowi już w początkach grudnia, kiedy w ogóle nie było wiadomo, jaki cała sprawa przyjmie obrót...

Więcej. Ten idiota, Kostia Kudinow uważał moją recenzję za postępek szalony chociaż bohaterski, ponieważ uważał — i nie bezpodstawnie — że tacy jak Babachin nie umierają, że zawsze powracają i nigdy niczego nikomu nie zapominają.

Kto w naszych czasach chciałby zostać podejrzany o bezrozumne bohaterstwo? Ale tak byłem wdzięczny Kostii za to, że jak wszystko na to wskazywało, zapomniał o moich przygodach z eliksirem życia, że tylko życzliwie poklepałem go po ramieniu, i dałem do zrozumienia wszystko to drobiazg, rzecz nie warta wzmianki, a przy moich znajomościach żaden Babachin mi niestraszny. Pozostawiłem go pogrążonego w rozważaniach, jakie też korzyści może osiągnąć podtrzymując znajomość z taką znaczącą osobistością jak ja i niespiesznie w jakimś sensie, powiedziałbym dostojnie, ruszyłem na dół po schodach.

Ale jednak nie obeszło się bez kraciastego płaszczka, jednak przypomniał o sobie, chociaż w dość nieoczekiwany sposób.

Kiedy wyszedłem z metra na Kropotkińskiej, zauważyłem obok kiosku to największe osiągnięcie XX wieku — czerwono — żółtą furgonetkę specjalnej służby medycznej. Jej tylne drzwi były otwarte na oścież i dwaj milicjanci ładowali do wnętrza kraciasty płaszcz. Wpychany płaszcz wierzgał tylnymi kończynami, a może i nie wierzgał tylko próbował znaleźć jakieś oparcie pod nogami. Twarzy nie widziałem. W ogóle nic więcej nie widziałem, jeśli nie liczyć okularów, które w dwóch palcach przeniósł obok mnie trzeci milicjant i natychmiast znikł za furgonetką. Następnie drzwi zostały zatrzasknięte i samochód wypuściwszy z siebie metr sześcienny paskudnego smrodu powoli odjechał. Oto i całe wydarzenie, nawet nie ma kogo zapytać, co tu się stało, ponieważ dawno minęły czasy, kiedy podobne incydenty gromadziły widzów. Więc poszedłem swoją drogą.

Dotarłem do klubu zgodnie z przewidywaniami za piętnaście trzecia. Przy wejściu dyżurowała tym razem nie ślepawa Maria Trofimowna, tylko młoda jeszcze emerytka, która pracuje u nas od niedawna, ale już wszystkich zna, mnie w każdym razie. Wymieniliśmy ukłony, uprzedziłem ją, że czekam na pewną panią, rozebrałem się i poszedłem do komisji kwalifikacyjnej. Znajda Filipowna, czarnooka i białolica, jak zawsze bardzo zapracowana i zatroskana wskazała mi szafę, w której na półkach, w trzech oddzielnych kupkach leżały utwory pretendentów. Pomyśleć tylko, wszystkich jest tylko ośmiu, a już tyle wydrukowali!

— Wybrałam dla pana, Feliksie Aleksandrowiczu — powiedziała Zinajda Filipowna uśmiechając się do mnie z roztargnieniem. — Pan przecież preferuje tematykę wojskowo-patriotyczną? To te na samym brzegu. Niejaki Chałabujew. Zapisałam już panu.

Żałośnie i smętnie wyglądał stosik zmaterializowanej myśli i ducha nieznanego mi Chałabujewa. Trzy cienkie numery „Praporszczka” z wystającymi ogonkami starannie przyciętych zakładek i jedna jedyna cieniutka książeczka z wydawnictwa Północnosyberyjskiego, nowela pod tytułem „Strzeżemy nieba!”

Kto też rekomendował cię Chałabujewie, pomyślałem. Któż to lekkomyślnie oddał cię nam na pożarcie z twoimi trzema opowiadankami i jedną nowelką? To zresztą nie jest nawet nowelka, tylko nieco zbeletryzowany reportaż z życia wojsk raketowych czy też lotniczych. Ty Chałabujew i na jeden ząb nie wystarczysz naszym lejbgwardzistom, jeśli oczywiście z góry nie zadbałeś o ich życzliwość. Ale jeśli nawet i zadbałeś to i tak nie będziesz nawet zakąską dla naszych specjalistów od historii rycerskiej... literatury francuskiej osiemnastego wieku! Ale jeśli tobie Chałabujew udało się także ich życzliwość zagwarantować to cześć i chwała, daleko zajdziesz i bardzo być może, że za jakieś pięć lat wszyscy będziemy się tłoczyli na twoim przystanku, zebrząc o zgodę na wydzierżawienie dacy pod Moskwą...

Z westchnieniem wziąłem pod pachę Chałabujewa, uprzejmie pożegnałem Zinajdę Filipowną i poszedłem wprost do restauracji.

Tak się złożyło, że chociaż ludzi na sali ze względu na dzienną porę było niewielu, ale wygodny wolny stolik był tylko jeden i kiedy usiadłem, to przy stoliku po mojej prawej

stronie okazał się Witia Koszelnikow, nasz sławny satyryk i autor wielu skeczów, w muszce i z gazetą „Moming Star”, którą czytał z nieprzystępnym wyrazem twarzy nad filiżanką kawy.

A przy stoliku po mojej lewej stronie szczebiotały, nieprzerwanie żując dwie damy w nieokreślonym wieku, zupełnie zresztą apetyczne, ni to pupsy, ni to dupsy, według klasyfikacji Żory Naumowa.

A przy stoliku naprzeciwko, Apollo Apollonowicz Władimirski podejmował jedną ze swoich niezliczonych ciotecznych wnuczek (a może nawet prawnuczek) obiadem i szampanem. Zauważył mnie i wymieniliśmy ukłony.

Był wciąż taki sam jakiego zobaczyłem po raz pierwszy prawie ćwierć wieku temu. Malutka, absolutnie łysa niczym świąteczny balonik głowa na długiej pofałdowanej szyi iguany, olbrzymie czarne oczy — wielka żrenica bez tęczówki, wiotkie wargi i nierytmiczne kłapanie sztucznych szczęk, jakby żyjących samoistnym życiem i płynne gesty dyrygenta i ostry, wysoki głos człowieka obojętnego na opinię otoczenia. I staromodny z początków wieku zapewne garnitur, marynarka z przykrótkimi rękawami, spod których wyłaziły oślepiająco białe mankiety. Wydawał mi się przybyszem z dalekiej podręcznikowej przeszłości, niewyobrażalnie odległej; nie sposób było sobie wyobrazić, że energiczne, dziarskie, optymistyczne pieśni, które śpiewano a i jeszcze śpiewa się na manifestacjach i studenckich zabawach od czasów kolektywizacji skomponowano do wierszy tego reliktu...

Siedziałem, jednym okiem spoglądając w otwartego na samym środku Chałabujewa, a drugim na drzwi do holu, w których powinna już pojawić się Rita, Apollo Apollonowicz protekcjonalnie obserwował jak młodzianka krewniaczka radzi sobie z befsztykiem i co chwila eleganckimi prztyczkami zapędzał na właściwe miejsce nieposłuszny mankiety, serwując pod akompaniament kłapiących szczęk kolejny fragment swoich ustnych pamiętników.

Tych wspomnień w ciągu minionych dziesięcioleci nasłuchiwałem się do upojenia i dlatego teraz tylko zasadnicze momenty łowiły moje roztargnione uszy. Oto Władimir Władymycz i jego dziwne stosunki z Osipem. Oto Borys Leonidowicz przemknął, powiedział coś zabawnego, znikł, a zamiast niego pojawił się Aleksander Aleksandrowicz, już bardzo chory na dzień przed swoją śmiercią. A oto i Aleksiej Nikołajewicz i oczywiście „Jego hrabiowska mość pojechał do KC...” Samuil Jakowlewicz... Korniej Iwanowicz... Pojawił się Wienia u Aleksieja Maksymowicza, bardzo młody i bardzo arogancki... Emmanuilowicz wszedł na swoją ostatnią krótką drogę. „A kiedy trzeba było robić zastrzyki, to wyobraź sobie moje serce, wszyscy pisarze w rozsypkę, w krzaki, do lasu, a siostry ze strzykawkami na sztorc za nimi i tylko Misza taki smutny stoi w szpitalnym oknie i zdarzało się, że powie „Pobiegli do lasu po jagody...” Konstantin Sergejewicz... „Oh, zabiorą pana kiedyś do GUM-u Władimir Iwanowicz...” Aleksander Sergejewicz... (w tym momencie drgnąłem) Wissarion Grigoriewicz ze swoim synem Józefem...

Spojrzałem na Apolla Apollonowicza. Był nie do zdarcia. Krewniaczka zresztą reagowała z całkowitą obojętnością na ten zalew informacji. Nie wykluczałem zresztą, że podobnie jak i ja słyszała to wszystko bynajmniej nie po raz pierwszy. I wtedy Apollo Apollonowicz powiedział wesoło:

— A oto i Michaił Afanasjewicz we własnej osobie. Comment ça va? Michel?

Spojrzałem.

Pewnej zimowej nocy czterdziestego pierwszego roku, kiedy w czasie alarmu lotniczego wracałem do domu z fabryki, gdzie robiliśmy granaty, bomba trafiła w drewniany dom za moimi plecami. Uniosło mnie w powietrze, łagodnie przeniosło nad żelaznymi sztachetami parkowego ogrodzenia i ostrożnie ułożyło na obu łopatkach w śnieżnej zaspie, a ja leżałem twarzą do czarnego nieba i z tępym zdumieniem patrzyłem, jak powoli i dostojnie niczym okręty przepływają nade mną płonące belki.

Z tępym zdumieniem identycznym jak wtedy patrzyłem teraz, jak od strony holu przez salę restauracyjną idzie po przekątnej Michaił Afanasjewicz, mój wczorajszy niewesoły znajomy, tylko bez granatowego laboratoryjnego fartucha, ale dokładnie taki sam jak wczoraj, nawet w tym samym szarym garniturze.

Widziałem, jak poruszyły się jego wargi, coś odpowiedział Apollonowiczowi, a mnie nie zauważył, albo nie poznał, minął mój stolik i poszedł w stronę wejścia do westybulu starej księżnej. I kiedy znikł za drzwiami w martwej ciszy jaka zapada po strasznej eksplozji skrzypliwy głos Apolla Apollonowicza oznajmił mi to uroczyście, ni to poufnie:

— Poszedł do biblioteki. Albo do komitetu partyjnego.

A ja, jak się okazało już stałem gotów bieć w ślad za nim. Chciałem go o coś zapytać? Tak. Chciałem. Oczywiście. Prosić o radę? Oczywiście. Rozumie się. Wszystko to, czego domyśliłem się dzisiejszego poranka znowu zakłócało we mnie jak jadowita strawa w kotle wiedzy. Zrozumiałem, że koniecznie muszę się dowiedzieć, czy dobrze go wczoraj zrozumiałem, a jeśli właściwie, to co mam z tym zrozumieniem teraz począć. I chociażby tylko po to warto było za nim pobiec, ale nie to było najważniejsze. Uświadomiłem sobie nagle, kim jest mój niewesoły znajomy z ulicy Bannej, kto to taki ten Michaił Afanasjewicz. Teraz wydawało mi się to równie oczywiste co nieprawdopodobne. To spotkanie było godnym ukoronowaniem mojego fantasmagoryczno — kiczowatego tygodnia, w czasie którego ten kto dzierży w swojej dłoni mój los, roztoczył przede mną cały wachlarz możliwości, z których ani jednej nie umiałem, albo też nie chciałem zrealizować, i wszystko znikło, przeciekło jak woda nie pozostawiając nic oprócz brudnawej piany filisterskiej ulgi. I teraz oto — ostatnia szansa. Najbardziej być może nieprawdopodobna. I niechaj niczego mi nie obiecuje ponad mój codzienny chleb z masłem, ale jeśli z niej nie skorzystam, jeśli ją przepuszczę dla solanki z oliwkami albo nawet dla mojej pachnącej Rity, to już nic mi nie pozostanie i nie będę miał po co zaglądać do mojej Niebieskiej Teczki.

Jak we śnie usłyszałem zrzędlawe, jaśniepańskie beczenie:

— Albo jestem wielkim rosyjskim pisarzem, albo będę jeść ten makaron...

I jak we śnie, odwróciwszy głowę dostrzegłem nad parującym talerzem pucułowatą końską twarz z obwisłą wargą, która natychmiast ukryła się przede mną za zgarbionymi plecami kelnera.

I wtedy, już absolutnie na jawie zobaczyłem jak w drzwiach holu przystanęła Rita w moim ulubionym piaskowym kostiumie, ukłął mnie w oczy błysk kolczyków w jej uszach, kiedy powoli obracała głowę szukając mnie na sali, ale tchórzliwie schowałem oczy, i lekko pochyłony spieszenie pobiegłem chodnikiem tam, do tamtych drzwi, za którymi znikł Michaił Afanasjewicz. Przemknęła gorzka myśl, że oto znowu robię coś takiego za co będę musiał przeproszać i prosić o usprawiedliwienie, ale odpędziłem tę myśl, ponieważ wszystko to nastąpi potem, a teraz oczekiwało mnie coś nieporównywalnie ważniejszego.

W komitecie partyjnym Michaiła Afanasjewicza nie było. Tatka trzaskała na maszynie do pisania, a obok niej rozwalony w fotelu i wyzwoliwszy z marynarki okrągły ciężki brzuch, zasiadał czerwono nosy i czerwonousty ogólnie rzecz biorąc — rumiany satyr i z miną mówcy na trybunie dyktował z kartki:

— ...z abstrakcjonizmem w literaturze musimy walczyć równie bezlitośnie jak z abstrakcjonizmem w malarstwie, rzeźbie, architekturze...

— W hodowli bydła! — wrzasnąłem, żeby mu przerwać.

Ucichł wyraźnie zaskoczony nowymi horyzontami tematu, a ja szybko zapytałem Tatkę:

— Nie było tu Michaiła Afanasjewicza?

— Nie — odparła Tatka nie przestając pisać. — Dzisiaj go nie będzie. — I do satyra — „... w architekturze i hodowli bydła...” Dalej!

Michaiła Afanasjewicza odnalazłem w czytelnicy czasopism, gdzie siedział i w absolutnej samotności czytał uważnie ostatni numer „Kwartalnika Nadzorcy”. Właśnie ten. Z nowelą

Wali Demezenko, pociętą, zmasakrowaną, po trzech amputacjach, ale wciąż żywą, zwycięsko, wyzywająco żywą.

Podszedłem bliżej i przystanąłem, nie wiedząc co powiedzieć i jak zacząć. Poczucie absurdalności tego co się działo ogarnęło mnie zniemacka, stropiłem się i już gotów byłem odejść, ale wtedy Michaił Afanasjewicz opuścił kwartalnik, spojrzął na mnie pytająco i od razu się uśmiechnął:

— A to pan Feliksie Aleksandrowiczu — powiedział swoim cichym równym głosem. — Dzień dobry. Proszę niech pan siada, tu jak raz jest wolne krzesło.

— To z Czapka? — zapytałem siadając posłusznie.

— Nie, to z Haszka. Więc czym mogę służyć Feliksie Aleksandrowiczu?

— Widzę, że pan świetnie zna literaturę...

— Nawet więcej, kocham literaturę. Dobrą literaturę.

— A kiedy budzą się w panu wątpliwości, czy rzeczywiście jest dobra, wsadza ją pan do swojej maszyny?

— Na litość Feliksie Aleksandrowiczu! Mnie to nawet nie przystoi. Zresztą sam sobie jestem winien. Przejęczyłem się, proszę mi wybaczyć. Oczywiście literatura nie bywa dobra albo zła. Literatura bywa tylko dobra, a wszystko inne należałoby nazywać makulaturą.

— Otóż to! — podchwyciłem i dalej następowałem na niego w jakiejś gorzkiej rozpacz. „Świeżość bywa tylko jedna — pierwsza i tym samym ostatnia. A jeśli jesiotr jest drugiej świeżości to oznacza po prostu, że jest zepsuty!”

Michaił Afanasjewicz zamknął kwartalnik, założywszy go jednakże palcem i czas jakiś patrzył na mnie w milczeniu. A ja patrzyłem na niego wstrząśnięty jego podobieństwem do zdjęcia w brązowym tomie i nie pojmowałem jak to się stało, że przez trzy miesiące żaden z naszych plotkarzy go nie poznał, zresztą i mnie również udało się go nie poznać na pierwszy rzut oka tam na Bannej.

— Feliksie Aleksandrowiczu — powiedział wreszcie. — Widzę, że bierze mnie pan za kogoś innego. I nawet domyślałem się za kogo...

— Pan daruje! — zawołałem gorąco, ponieważ ta próba uniku rozczarowała mnie i nawet uraziła. — Nie zaprzeczy pan chyba...

— Owszem, zaprzeczę! — powiedział pochylając się w moją stronę. — Istotnie, nazywam się Michaił Afanasjewicz, ludzie mówią, że jestem podobny, ale niechże pan sam pomyśli — jakże ja mogę być nim. Martwi umierają na zawsze, Feliksie Aleksandrowiczu. To jest równie pewne jak i to, że rękopisy płoną i spalają się na popiół. Choćby ON nieskończoną ilość razy powtarzał coś przeciwnego.

Czułem, że pot zalewa mi oczy. Wyciągnąłem pośpiesznie chusteczkę i wytarłem twarz. Kręciło mi się w głowie, w uszach dzwoniło, widocznie bardzo podskoczyło ciśnienie i znowu czułem się jak we śnie.

— Jednakże — mówił dalej Michaił Afanasjewicz — powróćmy wreszcie do naszej sprawy — wyjął palec z kwartalnika, i kwartalnik położył obok siebie na kanapie. — Pan, jak zresztą należało oczekiwać, domyślił się i to absolutnie słusznie, że moja maszyna określa nie absolutną artystyczną wartość utworu, a tylko jego los w przewidywalnej historycznej przyszłości.

Kiwnąłem głową i znowu otarłem zalane potem oczy.

— A kiedy się pan domyślił powstało pytanie: czy warto zaryzykować i dać mi do analizy Niebieską Teczkę.

Znowu kiwnąłem.

— Spróbujmy więc teraz Feliksie Aleksandrowiczu sprecyzować czego pan się boi i na co pan liczy. Boi się pan, że maszyna moja nagrodzi pańską pracę jakąś żalosną liczbą, jakby to nie było dzieło życia tylko jakaś recenzyjka napisana z obrzydzeniem i wyłącznie po to, żeby się od pana odczepiono... i tylko wyłącznie dla pieniędzy. A liczy pan na to, Feliksie

Aleksandrowiczu, że zdarzy się cud i że nagrodzi pana moja maszyna sześciocyfrową, a może i siedmiocyfrową liczbą, jakby rzeczywiście ofiarował pan światu Nową Apokalipsę, która sama z siebie dotrze do czytelnika poprzez wszelkie możliwe bariery i przeszkody... Ale przecież świetnie pan wie, że cuda na naszym świecie bywają tylko paskudne, tak że w istocie rzeczy nie ma na co liczyć. Jeśli zaś chodzi o pańskie obawy, to czy nie pan z pełną świadomością pogrzebał swoją teczkę w czeluściach swojego biurka — od samego początku skazując ją zanim jeszcze się tak naprawdę urodziła? Śledzi pan tok mojego rozumowania?

Kiwnąłem.

— Czy rozumie pan, że ja tylko wypowiedziałem na głos pańskie myśli?

Znowu kiwnąłem i powiedziałem ochryplym głosem, który na moment wstrząsnął mną samym:

— Zapomniał pan jeszcze o trzeciej możliwości...

— Nie, Feliksie Aleksandrowiczu! Nie zapomniałem! Domyśliłem się pańskiej dziecinnej groźby ognia. A więc, żeby pana za to ukarać, opowiem panu teraz o czwartej możliwości, tak wstydlivej i niegodnej, że pan nawet nie śmie uświadomić jej sobie i strach przed nią czai się gdzieś tam w zakamarkach pomarszczony, nagi, cuchnący... Opowiedzieć?

Przeczucie tego strachu siedzącego w zakamarkach, pomarszczonego strachu przeszło mnie jak skurcz serca, aż mi tchu zabrakło, ale byłem pewien, że Michaił Afanasjewicz nie powie mi niczego takiego o czym bym już kiedyś nie myślał, czym bym się już nie zadreślał trzydzieści trzy razy. Zacisnąłem zęby i wycedziłem poprzez chusteczkę przyciśniętą do warg.

— Bardzo jestem ciekaw...

I opowiedział.

Przysięgam na honor i na życie mojej córki Katii, na życie moich wnuków — nie wiedziałem z góry i wyobrazić sobie nie mogłem, że mi opowie o mnie samym. I było to szczególnie poniżające, dlatego że czwarta możliwość była taka oczywista, taka niegodna i leżąca na samym wierzchu... każdy normalny człowiek wymieniłby ją jako pierwszą... dla Ojła Związkowego w ogóle jest jedyna, innych po prostu nie widzi... Tylko tacy jak ja, ogarnięci pychą bez żadnego widomego powodu, nadęci i wyniośli do takiego stopnia, że sami już tej wyniosłości nie widzą, wyobrażający sobie Bóg wie co o sobie i swojej pisaninie i o świecie, który uszczęśliwiają sobą i swoją pisaniną, tylko tacy jak ja potrafią ukryć tę możliwość tak głęboko w sobie, że sami o niej nawet nie podejrzewają...

No bo jak, rzeczywiście, ja Feliks Aleksandrowicz Sorokin, autor niezapomnianego dzieła „Towarzysze oficerowie”, jak mogłem wyobrazić sobie, że przekłeta maszyna na Bannej może wyrzucić na swoje ekrany nie siedmiocyfrową sławę moich, Sorokina zasług przed światową kulturą i nie trójeczkę świadcząca o tym, że światowa kultura jeszcze nie dojrzała do tego, aby przyjąć na swoje łono zawartość Niebieskiej Teczki, a może ta maszyna wyrzucić z siebie na monitory okrągłutkie 90 tysięcy oznaczające, że Niebieską Teczkę przyjęto bezproblemowo, bez żadnej kwestii wstawiono do planu i że wyskoczyła z maszyn drukarskich, aby osiąść na półkach rejonowych bibliotek obok pozostałej makulatury nie zostawiając po sobie ani śladów, ani pamięci, pogrzebana nie w świętym sarkofagu biurka, tylko w zwichrowanych okładkach z przecenionej tektury...

— ...Proszę mi wybaczyć — zakończył współczującym głosem. Ale nie mogłem pominąć milczeniem możliwości, nawet gdybym nie chciał trochę pana ukarać.

W milczeniu kiwnąłem głową. Który to już raz. Zaprawdę: demon nieba przytarł mi rogów pychy.

— Co zaś dotyczy pańskiej groźby — spalić Niebieską Teczkę i zapomnieć o niej — mówił dalej Michaił Afanasjewicz — to ja przyznam nazwałem tę groźbę dziecinną tylko z powodu mojej zapalczywości. Tak naprawdę groźba ta wydaje mi się poważna i to poważna niezmiernie. Ale Feliksie Aleksandrowiczu! Wszystkie tysiąclecia historii literatury nie znają

wypadku, żeby autor spalił własnymi rękami swoje UKOCHANE dzieło. Owszem palili. Ale palili to, co budziło wstręt i odrazę. Albo irytujący wstyd... A przecież pan, Feliksie Aleksandrowiczu kocha swoją Niebieską Teczkę, żyje pan w niej, żyje pan dla niej... I jakże mógłby pan ją spalić tylko dlatego, że nieznaną jest jej przyszłość?

Oczywiście miał rację. Wszystko to było głupie gadanie — spałę, zapomnę... Zresztą niby jak miałbym ją spalić — w kaloryferze? Zachichotałem nerwowo — może dlatego drukuje się u nas tyle śmiecia, że znikły w miastach piece?

Michaił Afanasjewicz też się roześmiał, ale zaraz spoważniał.

— Proszę mnie dobrze zrozumieć Feliksie Aleksandrowiczu — powiedział. — Przyszedł pan do mnie po radę i po współczucie. Do mnie jedyne jak się panu wydaje człowieka, który może dać panu radę i okazać szczere współczucie. I nie chce pan zrozumieć, że nic podobnego nie będzie i być nie może — ani rady, ani współczucia. Nie chce pan zrozumieć, że widzę teraz przed sobą wyłącznie spoconego i chorobliwie zaczerwienionego człowieka o przywędłych wargach z chorobą wieńcową, napiętego do niebezpiecznych granic, człowieka mocno zużytego, który swoje przeżył, nieprzesadnie rozumnego i niezbyt mądrego, obciążonego wstydlivymi wspomnieniami i starannie opanowywanym strachem przed fizycznym unicestwieniem. Nie wywołuje ten człowiek, ani współczucia, ani chęci udzielania mu rad.

A zresztą z jakiej racji? Proszę zrozumieć Feliksie Aleksandrowiczu nic mnie nie obchodzi pańskie walki wewnętrzne, pańskie zwątpienia ani pańskie, gorąco przepraszam, samouwielbienie. Jedyne co mnie interesuje to pańska Niebieska Teczka i żeby powieść została dopisana i zakończona. A jak pan to robi i za jaką cenę — nie jestem historykiem literatury ani pańskim biografem i to doprawdy mnie nie ciekawi. Rozumie się, jest rzeczą ludzką i naturalną oczekiwanie nagrody za swoje trudy i mękę, tak w ogóle to nawet sprawiedliwe, ale istnieją wyjątki — nie bywa i nie może być żadnej nagrody za mękę twórczą. Ta męka już sama w sobie jest nagrodą. Dlatego Feliksie Aleksandrowiczu, niech pan nie oczekuje dla siebie ani światłości, ani spokoju. Nie będzie dla pana ani spokoju, ani światłości. Nigdy.

I zapadła cisza. Jakbym ogłuchł. I w tej głuchej ciszy bezdźwięcznie weszła bibliotekarka w towarzystwie jakichś dwóch staruszek, rozmawiając bezdźwięcznie podeszły do szafy, bezdźwięcznie ją otworzyły i bezdźwięcznie zaczęły wykladać na stół i kartkować jakieś zszywki zakurzonych gazet. I co dziwne — jakby w ogóle nas nie widziały, ani razu nie spojrzwały w naszą stronę, jakby nas nie było.

I w tej ciszy rozległ się nagle głuchy, sympatyczny głos Michaiła Afanasjewicza. Nie mówił i nie opowiadał, tylko właśnie czytał na głos niewidzialną książkę.

Miasto patrzyło na nich pustymi oknami — pokryty pleśnią, śliski, zmurszały, jakby wiele lat gniło na dnie morza i oto wreszcie wyciągnięto je na powierzchnię, słońcu na pośmiewisko i słońce naśmiawszy się do woli, zaczęło miasto burzyć. Topniały i wyparowywały dachy, blacha i dachówki znikwały w oczach kłębam rdzawego dymu. Uginając się miękko topniały latarnie uliczne, rozplywały się w powietrzu kioski i słupy ogłoszeniowe — wszystko wokół trzeszczało, cichutko syczało, szeleściło, stawało się gąbczaste, przejrzyste, przemieniało się w grudy błota i znikało...

Michaił Afanasjewicz zamilkł, opadł na oparcie kanapy i zamknął oczy. Ale ja już rozumiałem co on czytał i dlaczego wydało mi się to takie znajome. To był jeszcze nie sam koniec, jeszcze nie ostatnie linijki, ale teraz widziałem już ostatni obrazek, już znałem swoją ostatnią linijkę, po której nie będzie już nic więcej oprócz słowa „koniec” i być może jeszcze daty.

Wszyscy w restauracji klubu wiedzieli jak znany pisarz patriotyczno — batalistyczny, Feliks Sorokin, rosły, nieco może zbyt tęgi, przystojny i srebrnowłose, o wspaniałych czarnych wąsach ze znaczkiem laureata w Mapie marynarki, przeszedł spokojnie między

stolikami, podszedł do pięknej kobiety w eleganckim piaskowym kostiumie i ucałował jej rękę. I cała restauracja usłyszała jak głośno i wyraźnie powiedział do kelnera Miszy:

— Proszę o mięso! Wszystko jedno jakie! Żeby tylko nie było psie. Mam dość już psiego mięsa, Misza!

Pół sali przepuściło te dziwne słowa mimo uszu, druga połowa uznała je za nieudany żart, a Apollo Apollonowicz pokręcił zółwią głową i wymamrotał: „Dziwne... Kiedy to on zdążył?...”

A Feliks Sorokin wcale nie zamierzał żartować. Upić się także nie zdążył, to było jeszcze przed nim. Po prostu był teraz oburzająco, nieprzyzwoicie i niewprawnie szczęśliwy i sam właściwie nie wiedział dokładnie dlaczego.

ROZDZIAŁ 10

BANIEW. EXODUS

Rok po wojnie porucznik B. został zdemobilizowany z powodu dawnej rany. Przypięto mu medal „Wiktorii”, wręczono miesięczny żołd i tekturowe pudełko z upominkiem od pana prezydenta — butelka zdobycznego sznapsu, dwie puszki strasburskiego pasztetu, dwa pęta wędzonej kiełbasy i również zdobyczne, jedwabne gacie w celu zorganizowania życia rodzinnego. Powróciwszy do stolicy porucznik nie zwiesza nosa. Jest dobrym mechanikiem, w każdej chwili przyjmą go do pracy w warsztatach przy uniwersytecie, skąd zaciągnął się na ochotnika, ale porucznik się nie śpieszy — odnawia stare znajomości, nawiązuje nowe, a w przerwie popija świństwo odebrane nieprzyjacielowi w ramach reparacji. Na jakiejś prywatce poznaje dziewczynę, której na imię Nora, bardzo podobną do Diany. Opis prywatki: zrypane przedwojenne płyty, denaturat oczyszczany domowym sposobem, amerykańska mielonka, jedwabne bluzki na gołe ciało i marchew przyrządzona na wszelkie możliwe sposoby. Porucznik dzwoniąc medalami, błyskawicznie rozpędza rozmaitych cywilów, nieustannie częstujących Norę gotowaną marchewką i rozpoczyna oblężenie według wszelkich prawideł sztuki. Nora zachowuje się dziwnie. Z jednej strony najwyraźniej jest skłonna, ale z drugiej strony daje mu do zrozumienia, że kontakt z nią grozi niebezpieczeństwem. Jednakże rozpalony denaturatem eks-porucznik nie chce o niczym wiedzieć. Oboje wychodzą z prywatki i idą do Nory. Powojenna stolica nocą: nieliczne latarnie, jezdnia w wybojach, odgródzone rośliny, nie wykończony cyrk, w którym gnije sześć tysięcy jeńców pod strażą dwóch inwalidów, w absolutnie ciemnym zaułku. I kogoś grabią. Nora mieszka w bardzo starym, dwupiętrowym domu, schody zapaskudzone, na jednych drzwiach napis kredą: „tu mieszka niemiecka dziwka”. W zawalonym różnymi gratami długim korytarzu kryją się po kątach smętne postacie. Nora szcękając niezliczonymi kluczami otwiera swoje drzwi obite cudem zachowaną, lśniącą skórą. W przedpokoju ostrzega raz jeszcze, ale B. sądząc, że chodzi o jakichś bandziorów, odpowiada tylko, że już brał udział w konnej szarży na czołgi. Mieszkanie jak z innej epoki — czyste i przytulne, ogromna kanapa. Nora patrzy na porucznika, jakby z żalem nie na długo wychodzi i wraca ubrana w najwyższym stopniu zachęcająco. Okazuje się, że mają do dyspozycji zaledwie pół godziny. Po upływie pół godziny zadowolony porucznik wychodzi z nadzieją na następne spotkanie. Na końcu korytarza już na niego czekają — dwie smętne postacie z cienia. Nieprzyjemnie uśmiechnięci zagradzają drogę i proponują, aby z nimi pogadał. Porucznik bez zbędnych słów bierze się do bicia i osiąga zdumiewająco łatwe zwycięstwo. Zbici z nóg, smętni ludzie płacząc i chichocząc wyjaśniają porucznikowi B. jego sytuację. Eks-porucznik bił swoich. Oni wszyscy są teraz swoi. Nora nie jest zwyczajną ponętą kobietą, Nora jest królową stołecznych pluskiew. Koniec teraz z panem, panie oficerze, spotkamy się „Atakanie”, wszyscy się tam spotykamy, każdej nocy. Może pan iść do domu, a kiedy już nie będzie pan mógł wytrzymać, proszę przyjść, u nas otwarte do rana...

Na zachodnich peryferiach stolicy, w czynszowej kamienicy obok fabryki chemicznej mieszka wielodzietny radca tytularny B. Celowo szczegółowy i celowo nudny opis sytuacji bohatera: trzy pokoiki, kuchnia, przedpokój, mocno zużyta żona, pięcioro zielonkawych dzieci, krzepka stara teściowa, która przeprowadziła się ze wsi. Chemiczna fabryka śmierdzi, dniem i nocą stają nad nią słupy różnokolorowego dymu, od jadowitego smrodu umierają drzewa, żółknie trawa, a wśród much zachodzą dzikie i niepojęte mutacje. Przez kilka lat radca tytularny prowadzi walkę o poskromienie fabryki: gniewne żądania pod adresem administracji, łzawe petycje do wszystkich instancji, pogromowe felietony do wszystkich gazet, bezowocne próby zorganizowania pikiet przed portiernią. Jednakże fabryka stoi jak

bastion. Na wybrzeżu przed fabryką padają trupem zatruci posterunkowi, zdychają domowe zwierzęta, całe rodziny porzucają mieszkania i zostają bezdomnymi włóczęgami, w gazetach ukazuje się nekrolog przedwcześnie zmarłego dyrektora fabryki. Umiera żona radcy tytularnego, dzieci po kolei zaczynają chorować na astmę. Pewnego wieczoru tytularny radca schodzi do piwnicy po drzewo i znajduje tam zachowane jeszcze z czasów ruchu oporu ogromne zapasy pocisków. Tej samej nocy przenosi to wszystko na strych, otwiera okienko w połaci dachu. Fabryka leży przed nim jak na dłoni: w ostrym świetle reflektorów biegają robotnicy, jeżdżą wagoniki, płyną żółte i zielone kłęby jadowitego dymu. „Zabiję cię” szepcze radca tytularny i otwiera ogień. Tego dnia nie idzie do pracy, następnego również. Nie je, nie śpi, siedzi w kucki przed świetlikiem i strzela. Od czasu do czasu robi przerwę, żeby mógł ostygnąć miotacz min. Ogluchł od wystrzałów, ośleplł od prochu i dymu. Czasem wydaje mu się, że chemiczny smród słabnie i wtedy uśmiecha się, oblizuje wargi i szepcze: „zabiję cię”. Potem pada bez sił i zasypia, a kiedy się budzi, widzi, że amunicja się skończyła, zostały jeszcze trzy pociski. Wystrzeliwuje je i wygląda przez okno. Ogromny teren fabryki pokryty jest lejami, okna zieją wybitymi szybami, na bokach gigantycznych gazociągów ciemnieją wgniecenia, dziedziniec jest poprzecinany skomplikowanym systemem okopów, okopami krótkimi zygzakami przebiegają robotnicy, jeszcze szybciej jadą wagoniki, kierowcy autokarów osłonięci są arkuszami blachy, a kiedy wiatr zwiewa kłęby jadowitego dymu na ceglany murze budynku administracji fabryki widać świeży biały napis: „Uwaga! W czasie ostrzału ta strona ulicy jest najbardziej niebezpieczna!”...

Wiktor doczytał ostatnią stronę, zapalił i spojrzął na kartkę wkręconą w maszynę. Było na niej półtorej linijki: „Wychodząc z redakcji, dziennikarz B. w pierwszej chwili chciał wziąć taksówkę, ale rozmyślił się i skręcił do metra”. Wiktor nadzwyczaj dokładnie wiedział, co się potem stało z dziennikarzem, ale nie mógł już więcej pisać. Na zegarku była za kwadrans trzecia. Wiktor wstał i otworzył okno. Na ulicy panowały ciemności i w tej czerni połyskiwał deszcz. Wiktor dopalił papierosa przy oknie, wyrzucił niedopałek w mokrą noc i zadzwonił do recepcji. Odpowiedział nieznajomy głos. Wiktor zapytał jaki mamy dziś dzień tygodnia. Nieznajomy głos po krótkiej pauzie zawiadomił go, że obecnie mamy noc z piątku na sobotę. Wiktor zamrugał oczami, odłożył słuchawkę i zdecydowanym ruchem wyrwał kartkę z maszyny. Starczy. Dwie doby pod rząd, nie wstając od maszyny, nikogo nie widząc, z nikim nie rozmawiając, przy wyłączonym telefonie, nie odzywając się na pukanie, bez Diany, bez alkoholu, zuaje się, że nawet bez jedzenia, tylko od czasu do czasu kładąc się na łóżko, żeby zobaczyć we śnie królową pluskiew, która siedzi na framudze i porusza ciemnymi czułkami... Wystarczy. Dziennikarz B. poczeka na peronie aż przyjedzie pociąg z napisem: „Nie wsiadać”. Nic mu nie będzie. A ja na razie coś przegryzę, zasłużyłem sobie, jak Boga kocham... Wiktor zdjął maszynę, schował do szuflady maszynopis, przeszukał pusty barek. Potem gryzł czerstwą bułkę z dżemem i robił sobie gorzkie wyrzuty, że wczoraj wylał do umywalki pół butelki brandy w celu uniknięcia pokusy i cieszył się, że cykl „Za kulisami wielkiego miasta”, pomimo wszystko udało się zacząć, i to zacząć całkiem nieźle, a szczerze mówiąc, świetnie. Chociaż prawdopodobnie trzeba będzie wszystko przepisać na nowo. To dziwne, pomyślał, dlaczego te opowiadania piszę właśnie teraz? Dlaczego nie rok temu, nie dwa lata temu, kiedy je wymyśliłem? Teraz powinienem pisać o kimś, kto wyobraził sobie, że jest supermanem, właśnie tak. Przecież od tego zaczynałem. Zresztą to mi się zdarza nie pierwszy raz. A gdyby tak się zastanowić i dobrze poszukać w pamięci, to tak bywa zawsze. I właśnie dlatego nie sposób jest pisać na zamówienie. Zaczynasz pisać powieść o młodzięczych latach pana prezydenta, a wychodzi o bezludnej wyspie, na której żyją dziwaczne małpy, które żywią się nie bananami tylko myślami rozbitków... No, to powiedzmy skojarzenie leży na powierzchni. E tam, tak jest zawsze. Trzeba tylko dobrze poszukać, a komu się chce szukać po dniowym poście. Zejdę sobie teraz na dół, recepcjonista zawsze ma jakąś flaszkę. Tylko zjem i zaraz zejdem...

Wiktor drgnął i przestał jeść. Z czarnej pustki za oknem poprzez plusk deszczu doleciał dźwięk jakby uderzenie młotkiem po desce. Strzelają, ze zdziwieniem pomyślał Wiktor. Czas jakiś wsłuchiwał się z napięciem.

...No dobrze, a co autor chciał powiedzieć przez swoje utwory? W jakim celu wskrzesił ciężkie powojenne lata, kiedy jeszcze gdzieś trafiały się pluskwy i lekkomyślne kobiety. Być może autor chciał ukazać bohaterstwo i wytrwałość stolicy, która pod przewodnictwem jego magnificencji... Ten numer nie przejdzie, panie Baniew! Nie dopuścimy! Cały świat wie, że na skutek osobistej decyzji pana prezydenta, na właścicieli zakładów chemicznych zanieczyszczających powietrze w samej tylko stolicy nałożono kary pieniężne w wysokości... Że dzięki osobistej i nieustannej trosce pana prezydenta, ponad sto tysięcy dzieci wyjeżdża corocznie ze stolicy na obozy letnie... że zgodnie z dekretem o rangach urzędnicy poniżej radców dworu nie mają prawa zbierać podpisów pod petycjami...

W tym momencie zgąsło światło. Ehe! — powiedział Wiktor na głos i lampa zapaliła się znowu, ale na pół mocy.

— „A to co znowu?” — zapytał Wiktor, ale jaśniej się od tego nie zrobiło. Wiktor odczekał chwilę, następnie zadzwonił do recepcji. Nikt się nie odezwał. Można zadzwonić do elektrowni, ale w tym celu trzeba znaleźć książkę telefoniczną, a gdzie jej szukać, i najwyższy czas iść spać. Tylko najpierw trzeba się napić. Wiktor wstał i nagle usłyszał jakiś szelest. Ktoś przesuwał po drzwiach rękami. Potem zaczął się pchać na drzwi.

— „Kto tam?” — pytał Wiktor, nikt nie odpowiedział, było tylko słychać jak coś się pcha i sapie. Wiktor ogarnęła groza. Oświetlone czerwonym światłem ściany wydawały się obce i niezwykle, w kątach istniało zbyt wiele cienia, a za drzwiami krzątał się jakiś ogromny stwór, tępy i bezmyślny. Czym by go załatwić?, pomyślał Wiktor rozglądając się, ale wtedy za drzwiami ktoś odezwał się ochryplym szeptem:

— „Baniew, ej Baniew — jesteś tam?”

— Idiota — powiedział Wiktor półgłosem, wyszedł do przedpokoju i przekręcił klucz. Do numeru wtoczył się R. Kwadryga. Był w szlafroku, włosy miał zmierzwiłone i rozbiegane oczy.

— Bogu dzięki, chociaż ty jesteś na miejscu — powiedział na wstępie. — O mało nie zwariowałem ze strachu... Słuchaj Baniew, trzeba stąd wiać... Chodźmy, co? Chodźmy stąd Baniew... — złapał Wiktor za koszulę i pociągnął do korytarza. — Chodźmy, nie można ani chwili dłużej...

— Oszalał — powiedział Wiktor wyrывая się. — Idź spać ramolu. Jest trzecia w nocy.

Ale R. Kwadryga znowu z ręcznie złapał go za koszulę. Wiktor stwierdził ze zdumieniem, że doktor honoris causa jest absolutnie trzeźwy, nawet go nie czuć alkoholem.

— Nie wolno spać — powiedział Kwadryga. — Trzeba uciekać z tego przeklętego domu. Widzisz co ze światłem? My tu zginiemy... W ogóle trzeba uciekać z miasta. Mam w willi samochód. Chodźmy. Ja bym wyjechał sam, tylko boję się wyjść.

— Poczekaj, nie szarp mnie — powiedział Wiktor — przede wszystkim uspokój się.

Wciągnął Kwadrygę do pokoju, posadził w fotelu, a sam poszedł do łazienki po szklankę wody. Kwadryga natychmiast poderwał się i pobiegł za nim.

— Jesteśmy tu sami, nikt nie został — powiedział. — Golema nie ma, portiera nie ma, dyrektora też...

Wiktor odkręcił kran. W rurach zawyło, wyleciało kilka kropli.

— Ty czego? — zapytał Kwadryga. — Woda ci potrzebna? Chodźmy, mam całą butelkę. Tylko szybko. I razem.

Wiktor potrząsnął kranem. Wyleciało jeszcze kilka kropli i wycie ustało.

— O co chodzi? — zapytał Wiktor martwiejąc. — Wojna?

Kwadryga machnął ręką.

— Jaka tam wojna... Trzeba wiać póki nie jest za późno, a on wojna...

— Jak wiać?

— Droga — powiedział Kwadryga i kretyńsko zachichotał.

Wiktor odsunął go łokciem, wyszedł z numeru i zbiegł na dół do recepcji. Kwadryga dreptał za nim.

— Posłuchaj — mamrotał. — Lepiej tylnym wyjściem... Żeby tylko się wydostać... mam samochód. Zatankowany, załadowany... Jakbym przeczul... Wypijemy sobie i pojedziemy, tu już nie ma ani kropli wódki...

W korytarzu słabo jak czerwone karły świeciły ample, na schodach w ogóle nie było światła, w holu również, tylko nad kantorkiem tliła się żarówka. Tam ktoś siedział, ale to nie był recepcjonista.

— Chodźmy, chodźmy — powiedział szeptem Kwadryga i pociągnął Wiktora do ściany. — Nie trzeba tam iść, tam niedobrze...

Wiktor wyrwał się i podszedł do kantorku.

— Co to za skandal... — zaczął i umilkł.

Za kantorkiem siedział Zurtzmansor.

Zurtzmansor siedział na miejscu recepcjonisty i szybko pisał coś w brulionie.

— Baniew — powiedział nie podnosząc głowy. — No i wszystko się skończyło, Baniew. Pożegnajmy się. I niech pan pamięta o naszej rozmowie.

— Nie mam zamiaru wyjeżdżać — zaprotestował Wiktor. Głos mu się załamał. — Zamierzam dowiedzieć się co jest ze światłem i wodą. To wasza robota?

Zurtzmansor uniósł żółtą twarz.

— Nie — powiedział. — My już nic nie robimy. Musimy pożegnać się Baniew — wyciągnął nad kontuarem dłoń w czarnej rękawiczce. Wiktor machinalnie ujął tę dłoń, poczuł uścisk i odpowiedział uściskiem.

— Takie jest życie — powiedział Zurtzmansor. — Tworzysz przyszłość, ale nie dla siebie. Pan to już z pewnością rozumiał. Albo niebawem zrozumie. Pana dotyczy to w większym stopniu niż nas. Żegnam.

Kiwnął głową i znowu zabrał się do pisania.

— Chodźmy! — zasyczał nad uchem Kwadryga.

— Nic nie rozumiem — głośno na cały hol powiedział Wiktor. — Co tu się dzieje?

Nie życzył sobie, żeby w holu panowała cisza. Nie życzył sobie być człowiekiem postronnym. Nie on tu jest postronny i właściwie z jakiej racji Zurtzmansor siedzi o trzeciej w nocy za kantorkiem recepcjonisty. Mnie nie uda się wam zastraszyć, ja nie jestem Kwadryga... Ale Zurtzmansor nie usłyszał, albo nie chciał usłyszeć. Wówczas Wiktor demonstracyjnie wzruszył ramionami. W drzwiach przystanął. Odwrócił się i ruszył do restauracji.

Na sali słabo świeciły stojące lampy, słabo świecił żyrandol, słabo świeciły kinkiety na ścianach i sala była przepełniona. Przy stolikach siedziały mokrzaki. Wszyscy byli identyczni, tylko siedzieli w różnych pozach. Jedni czytali, inni spali, a jeszcze inni i było ich bardzo wielu, niczym skamieliny nieruchomo patrzyli przed siebie. Jaśniały łyse czaszki, pachniało wilgocią i lekarstwami. Okna były otwarte, na podłodze ciemniały kałuże. Nie było słychać ani dźwięku, tylko za oknem pluskała woda.

Potem przed Wiktorem pojawił się Golem zatroskany, spięty i bardzo stary.

— Dlaczego pan tu jeszcze jest? — zapytał półgłosem. — Proszę stąd wyjść, tu nie wolno panu być.

— Co to znaczy — nie wolno? — zapytał Wiktor ponownie rozdrażniony. — Ja chcę się napić.

— Ciszej — powiedział Golem. — Myślałem, że pan już wyjechał. Pukałem do pana. Gdzie pan chce teraz iść?

— Do swojego pokoju. Wezmę butelkę i pójdę do siebie.

— Tu nie ma żadnego alkoholu — powiedział Golem.

Wiktor w milczeniu wskazał palcem na bar, gdzie matowo lśniły rzędy butelek. Golem obejrzał się.

— Nie — powiedział. — Niestety.

— Chcę się czegoś napić! — z uporem powtórzył Wiktor.

Tak naprawdę wcale nie miał ochoty się upierać. Udawał chojraka. Mokrzaki patrzyły na niego. Czytający opuścili książki, zastygli w bezruchu, odwrócili głowy, i tylko śpiący śnili nadal. Dziesiątki błyszczących oczu, jakby wiszących w czerwonym półmroku patrzyło na Wiktora.

— Niech pan nie wraca do numeru — powiedział Golem. — Proszę wyjść z hotelu. Niech pan idzie do Loli... Albo do willi doktora... Tylko chcę wiedzieć gdzie pan będzie. Przyjadą po pana. Proszę posłuchać Wiktorze, niech pan się nie stawia, tylko słucha. Wyjaśniać teraz nie mam czasu, zresztą byłoby to nie na miejscu. Szkoda, że Diany nie ma, ona by potwierdziła...

— A gdzie jest Diana?

Golem znów się rozejrzał i spojrzął na zegarek.

— O czwartej... Albo o piątej... będzie na stacji benzynowej przy Słonecznej Bramie.

— A gdzie ona jest teraz?

— Teraz jest zajęta.

— Tak — powiedział Wiktor i również spojrzął na zegarek. O czwartej, albo o piątej przy Słonecznej Bramie — miał okropną ochotę iść sobie stąd. To było nie do zniesienia — stać tak skupiając na sobie uwagę tego milczącego zgromadzenia.

— Być może o szóstej — powiedział Golem.

— Przy Słonecznej Bramie... — powtórzył Wiktor. — To tam gdzie jest willa naszego doktora.

— Właśnie — powiedział Golem. — Niech pan idzie do willi i czeka.

— Moim zdaniem pan chce mnie po prostu stąd wyprosić — powiedział Wiktor.

— Tak — potwierdził Golem. Nagle z zainteresowaniem spojrzął Wiktorowi w twarz. — Wiktor, czy pan zupełnie nie ma ochoty wynieść się stąd?

— Mam ochotę się przespać — niedbale powiedział Wiktor. — Dwie noce nie spałem — złapał Golema za guzik, wyprowadził go do holu.

— Dobra, zaraz sobie pójdę — powiedział. — Ale co to za pandemonium? Macie tu zjazd?

— Tak — odpowiedział Golem.

— Czy może zaczęliście powstanie?

— Tak — powiedział Golem.

— A może zaczęła się wojna?

— Tak — powiedział Golem. — Tak, tak, tak. Niech się pan stąd wynosi.

— Dobrze — powiedział Wiktor. Odwrócił się żeby odejść, ale nagle przystanął. — A Diana? — zapytał.

— Jej nic nie grozi — powiedział Golem — i mnie również. Nikomu z nas nic nie grozi. W każdym razie do godziny szóstej. Być może do siódmej.

— Pan mi odpowiada za Dianę — powiedział Wiktor cicho.

Golem wyciągnął chustkę do nosa i wytarł szyję.

— Ja odpowiadam za wszystko — powiedział.

— Tak? Wolałbym, żeby pan odpowiadał tylko za Dianę.

— Znudził mi się pan — powiedział Golem. — Och jak mi pan obrzydł, piękne kaczątko. Diana jest z dziećmi. Dianie absolutnie nic nie grozi. I niech pan sobie już idzie. Mam dużo pracy.

Wiktor odwrócił się i poszedł w kierunku schodów. Zurtzmansora za kantorkiem nie było, tylko żarówka tliła nad brulionem oprawnym w ceratę.

— Baniew — odezwał się z jakiegoś ciemnego kąta R. Kwadryga. Ty dokąd? Idziemy!

— Przecież nie mogę łązić po deszczu w kapciach! — gniewnie powiedział Wiktor nie odwracając głowy. Przepędzili, myślał. Wypędzili nas z hotelu. Być może z ratusza też nas przepędzą. A może i z miasta... A co dalej? W swoim pokoju szybko się przebrał i narzucił płaszcz. Kwadryga nie odstępował go i plątał się pod nogami.

— Masz zamiar iść w szlafroku? — zapytał Wiktor.

— On jest ciepły — powiedział Kwadryga. — A w domu mam jeszcze jeden.

— Bałwanie, idź się ubierz.

— Nie pójdę — kategorycznie odpowiedział Kwadryga.

— Chodźmy razem — zaproponował Wiktor.

— Nie. Razem też nie trzeba. Ty się nie bój, ja tak... Jestem przyzwyczajony...

Kwadryga zachowywał się jak pudel domagający się spaceru. Podskakiwał, zaglądał w oczy, głośno dyszał, ciągnął za ubranie, podbiegał do drzwi i zawracał. Przekonywanie nie miało sensu. Wiktor dał mu swój stary płaszcz i zamyślił się. Wyjął z biurka dokumenty i pieniądze, rozłożył wszystko po kieszeniach, zamknął okno i zgasił światło. Następnie zdał się na łaskę Kwadrygi.

Doktor honoris causa, pochylił głowę, pędem powlókł go korytarzem, kuchennymi schodami, obok ciemnej zimnej kuchni, wypchnął przez drzwi na ulewny deszcz w egipskie ciemności i wybiegł w ślad za Wiktorem.

— Dzięki Bogu wydostaliśmy się! — powiedział. — Biegniemy.

Ale biegać nie umiał. Męczyła go zadyszka, zresztą było tak ciemno, że trzeba było iść właściwie po omacku trzymając się ścian. Zaledwie przybliżony kierunek można było odgadnąć według ulicznych latarni świecących na pół mocy i jeszcze gdzieś sączyło się poprzez zasłony czerwonawe światło. Deszcz lał bez najmniejszej przerwy, ale ulice nie były całkiem bezludne. Gdzieś rozmawiano półgłosem, płakało niemowlę, parokrotnie przejeżdżały ciężarówki, jakaś furmanka minęła ich z hukiem żelaznych obręczy na kołach.

— Wszyscy uciekają — mamrotał Kwadryga. — Wszyscy uciekają. Tylko my się wlecemy...

Wiktor milczał. Pod nogami chlupało, pantofle przemokły, po twarzy spływała ciepława woda, Kwadryga czepiał się jak kleszcz, wszystko to było głupie, w złym guście, trzeba by się wlec przez całe miasto i nie było temu końca. Wiktor wpadł na rynnę, zachrząściło, Kwadryga odpadł i natychmiast wrzasnął płaczliwie na całe miasto: „Baniew! Gdzie jesteś?” Kiedy tak błakali się w mokrych ciemnościach szukając jeden drugiego, nad głowami stuknęło okienko i zduszony głos zainteresował się:

— No co słyhać?

— Ciemno jak u Murzyna... — odpowiedział Wiktor.

— Zgadza się! — z entuzjazmem podchwycił głos. — I wody nie mam. Dobrze, że zdążyliśmy nałapać do balii.

— A co będzie? — zapytał Wiktor przytrzymując Kwadrygę wyrywającego się naprzód. Po chwili milczenia głos odparł:

— Zarządzą ewakuację, nie inaczej... Ech, życie! — i okienko zatrzasnęło się. Powędrowali dalej. Kwadryga oburącz wczepiony w Wiktora zaczął niejasno opowiadać, jak się obudził przerażony, zszedł na dół i trafił na ten sabat.. Po ciemku wpadli na ciężarówkę, po omacku wyminęli ją wpadli na człowieka z jakimś ładunkiem. Kwadryga znowu wrzasnął.

— O co chodzi? — z wściekłością zapytał Wiktor.

— Biję — urażonym tonem zawiadomił go Kwadryga.

— Prosto w wątrobę. Skrzynią.

Chodniki były zastawione samochodami, lodówkami, kredensami, całymi dżunglami roślin w doniczkach. Kwadrygę zarzuciło i trafił do otwartej szafy z lustrem, następnie wplątał się w rower. Wiktor powoli wpadał w furię. W jakimś miejscu zatrzymano ich, zaświecono w oczy latarką. Błysnęły mokre wojskowe hełmy i ordynarny głos z południowym akcentem oznajmił: „Patrol wojskowy. Proszę o dokumenty”. Kwadryga rzecz jasna żadnych dokumentów nie miał, więc natychmiast zaczął wrzeszczeć, że jest doktorem, że jest laureatem, że zna osobiście... Ordynarny głos powiedział pogardliwie: „Frajerzy. Przepuścić”. Minęli plac miejski. Przed komendą policji stały stłoczone samochody z zapalonymi reflektorami. Bezmyślnie miotali się mężczyźni w złotych koszulach, błyskając miedzią swoich strażackich hełmów, rozlegały się dźwięczne, niewyraźne komendy. Widać było, że tu właśnie znajduje się centrum paniki. Odbłyśki reflektorów jeszcze czas jakiś oświetlały drogę, następnie znowu zrobiło się ciemno.

Kwadryga już nie mamrotał, tylko sapał i pojękiwał. Kilkakrotnie przewracał się pociągając za sobą Wiktora. Utyłali się jak świnie. Wiktor otępiiał doszczętnie, już więcej nie przeklinał, zasłona apatii spętała mu mózg, trzeba było iść, iść, dzisiaj iść, jutro iść, odpychać niewidzialnych ludzi napotkanych w drodze znowu i znowu podnosić Kwadrygę za kołnierz namokłego szlafroka tylko nie wolno było się zatrzymać, i w żadnym wypadku nie wolno było zawrócić. Coś mu się przypominało, coś co zdarzyło się dawno, haniebne, gorzkie, nieprawdopodobne, ale wtedy była łuna, ludzka kasza na ulicach, a w oddali trzaskało i łomotało, za nimi było przerażenie, a dookoła opustoszałe domy z oknami oklejonymi na krzyż, w twarz leciał popiół i woń spalonego papieru, a na ganek eleganckiej willi z ogromną flagą narodową wyszedł wysoki pułkownik we wspaniałym lejbusarskim mundurze zdjął furazerkę i strzelił sobie w łeb, a my oberwani, zakrwawieni, wierni i zdradzeni, również w husarskich mundurach, ale już nie husarze, tylko nieomal dezercerzy zaczęliśmy gwizdać, rechotać, niektórzy rzucali w trupa resztkami połamanych szabli...

— Ano, stój! — szeptem powiedział ktoś w ciemności i o pierś oparło się coś bardzo znajomego. Wiktor automatycznie podniósł ręce.

— Jak pan śmie! — wrzasnął Kwadryga za plecami Wiktora,

— Cicho! — powiedział głos.

— Ratunku! — wrzasnął Kwadryga.

— Cicho idioto — powiedział do niego Wiktor. — Poddaję się, poddaję — powiedział w ciemność tam skąd pochodziła lufa automatu i skąd dobiegał ciężki oddech.

— Będę strzelać! — uprzedził przestraszony głos.

— Nie trzeba — stwierdził Wiktor. — Przecież się poddajemy. — W gardle mu zaschło.

— Ano rozbierać się! — rozkazał głos.

— To znaczy, że co?

— Zdejmuj buty, płaszcz, zdejmuj spodnie...

— Po co?

— Szybko, szybko! — wysyczał głos.

Wiktor dobrze się przypatrzył, opuścił ręce, odstał na bok, złapał za automat i zadarł lufę do góry. Bandyta zapiszczał, szarpnął się, ale nie wiadomo dlaczego nie wystrzelił. Obaj sapałi z wysiłkiem wrywając sobie automat.

— Baniew! Gdzie jesteś? — w rozpaczy wrzeszczał Kwadryga.

Sądząc z zapachu i po dotyku człowiek z automatem był żołnierzem.

Czas jakiś jeszcze walczył, ale Wiktor był znacznie silniejszy.

— Koniec — powiedział Wiktor przez zęby. — Koniec. Nie wrywaj się, bo jeszcze dostaniesz po mordzie. — Niech mnie pan puści! — syczał żołnierz słabo się opierając.

— Po co ci moje spodnie? Gadaj, coś ty za jeden?

Żołnierz tylko sapał.

— Wiktor! — wrzeszczał Kwadryga już gdzieś z oddali. Zza rogu wyjechał samochód, na moment oświetlił reflektorami znajomą piegowatą twarz, okrągłe ze strachu oczy i znikł.

— Ee, a ja przecież ciebie znam — powiedział Wiktor.

— A ty czego napadasz na ludzi? Oddaj automat.

Żołnierz zaczepiając rzemieniem o hełm pokornie oddał broń.

— Więc po co ci moje spodnie? — zapytał zdziwiony Wiktor. Dezerterujesz?

Żołnierz sapał. Taki sympatyczny, piegowaty żołnierz.

— No, dlaczego nic nie mówisz?

Żołnierz zapłakał. Cienko, zawodząco.

— Mnie teraz tak czy inaczej... — wymamrotał. — Tak czy inaczej mnie rozstrzelają. Uciekłem z posterunku. Odszedłem, porzuciłem posterunek, gdzie się teraz podzieję... Niech mnie pan puści, co? Ja przecież nie chciałem nic złego, nie jestem żadnym bandytą, niech mnie pan nie wydaje...

Chlipał, pociągał nosem i w ciemności zapewne wycierał nos rękawem munduru — żalosny jak każdy dezert, przerażony jak wszyscy dezert, gotowy na wszystko.

— Dobra — powiedział Wiktor. — Pójdiesz z nami. Nie wydamy cię. Ubranie też się znajdzie. Idziemy, tylko się nie zgub.

Kierując się na psie wycie znaleźli Kwadrygę. Teraz na szyi Wiktora wisiał automat, za lewą rękę trzymał go konwulsyjnie pochlipujący żołnierz, za prawą cicho wyjący Kwadryga. Zupełny obłąd. Można oczywiście oddać rozładowany automat temu chłopcu i dać smarkaczowi kopniaka. Tylko szkoda. I smarkacza szkoda i automatu, jeszcze się może przydać... Myśmy się tu naradzili ze społeczeństwem i przeważył pogląd, że na rozbrojenie jest jeszcze za wcześnie. Automat może się jeszcze przydać w przyszłości...

— Przestańcie obaj wyc — powiedział Wiktor. — Bo patrol usłyszy.

Ucichli, a po pięciu minutach, kiedy przed nimi zaświeciły matowe światła stacji benzynowej, Kwadryga pociągnął Wiktora na prawo mamrocząc radośnie:

— Przyszliśmy, dzięki Bogu przyszliśmy...

Klucza od furki Kwadryga oczywiście zapomniał w hotelu razem ze spodniami. Piekląc się przeleźli przez płot, klnąc błakali się przez czas jakiś w krzakach bzu, omal nie wpadli do fontanny, wreszcie trafili do wejścia, wyważyli drzwi i znaleźli siew holu. Pstryknął kontakt i hol rozjaśniło słabe czerwone światło. W czasie kiedy Kwadryga biegał po domu w poszukiwaniu ręczników i suchego ubrania, żołnierz szybko rozebrał się do bielizny, zwinął mundur w tobołek i wepchnął pod kanapę. Wtedy nieco się uspokoił i przestał pochlipywać. Potem wrócił Kwadryga i wszyscy długo, zaciekle wycierali się ręcznikami i przebierali.

W holu królował chaos. Wszystko było powywracane, rozrzucone, zabłocone. Książki poniewierały się przemieszane z brudnymi łachami i zrolowanymi obrazami. Pod nogami chrzęściło szkło i tubki z zaschniętą farbą, telewizor patrzył pustym prostokątem ekranu, a stół był zastawiony brudnymi naczyniami z cuchnącymi resztkami jedzenia. Zresztą, czego tam nie było po kątach, a raczej co tam było, w ciemnościach trudno się zorientować. Zaduch w domu panował taki, że Wiktor nie wytrzymał i otworzył okno.

Kwadryga zabrał się do robienia porządku. Najpierw ujął brzeg stołu, przechylił go i z łoskotem zsywał wszystko na podłogę. Następnie wytarł blat mokrym szlafrokiem, pobiegł gdzieś, przyniósł trzy kryształowe kieliszki, zabytkowe i piękne oraz dwie kwadratowe butelki. Popiskując z niecierpliwości wyciągnął korki i napełnił pucharki.

— Na zdrowie... — wymamrotał niewyraźnie, złapał swój kieliszek, przywarł do niego chciwie już zawczasu wywracając oczami z rozkoszy.

Wiktor patrzył na niego z pobłażliwym uśmiechem ugniatając wilgotnego papierosa. Na twarzy Kwadrygi pojawiło się nagle nieopisane zdumienie przemieszane z zawodem.

— I tu też... — powiedział z obrzydzeniem.

— Co takiego? — zapytał Wiktor.

— Woda — nieśmiało dał głos żołnierz. — Zwyczajna woda. Zimna.

Wiktor odpił ze swojego kieliszka. Tak, to była woda, czysta zimna, być może nawet destylowana.

— Czym ty nas poisz, Kwadryga? — zapytał.

Kwadryga bez słowa złapał drugą butelkę i wypił tyk.

Twarz wykrzywił mu grymas. Splunął i powiedział: „O mój Boże!” pochylił się i na palcach wyszedł z pokoju. Żołnierz znowu chlipnął. Wiktor obejrzał etykiety na butelkach — rum, whisky. Znowu spróbował — woda. Zapachniało normalnym diabelstwem, same z siebie zaskrzypiały gdzieś deski podłogi, skóra na plecach ścierpła pod uważnym spojrzeniem czyichś oczu. Żołnierz wciągnął głowę w kołnierz ogromnego swetra R. Kwadrygi i głęboko wsunął ręce w rękawy. Oczywiście miał okrągłe i nie spuszczał wzroku z Wiktora. Wiktor zapytał ochryple:

— No, czego się gapisz?

— A pan dlaczego? — szeptem zapytał żołnierz.

— Ja dla niczego, a ty po co wybałuszasz gały?

— Ja tak, a pan... Tak dziwnie... Lepiej nie...

Spokój, powiedział do siebie Wiktor. To nic strasznego, to przecież homo super. Oni jeszcze nie to potrafią. Oni, bracie wszystko umieją. Wodę w wino i wino w wodę. Siedzą sobie w restauracji i przemieniają. Niszczą opokę, fundament. Kamień węgielny. Abstynenci, ich mać...

— Stchórzyłeś? — zapytał żołnierza. — Gówniarz.

— Bo to strasne! — powiedział żołnierz ożywiając się. — Panu to nic, a ile ja się wycierpiałem... Stoisz w nocy na posterunku, a on wylatuje zza drutów, spojrz na ciebie z góry i dalej... Jeden nasz kapral to nawet narobił w portki... Kapitan ciągle mówił, przyzwyczajacie się, że służba, że przysięga. Ni cholery nie można się przyzwyczaić. Niedawno jeden przyleciał, usiadł na dachu wartowni i patrzy, i patrzy... a oczy ma nie jak człowiek, czerwone, świecą, siarką od niego zalatuje... żołnierz wyjął ręce z rękawów i szybko przeżegnał się.

Z głębin willi wychynął Kwadryga wciąż tak samo pochylony i na palcach.

— Sama woda — powiedział. — Wiktor wiejmy stąd W garażu stoi zatankowany samochód, siadamy i cześć! No?

— Bez paniki — powiedział Wiktor. — Zwiąć zawsze zdążymy. A zresztą jak chcesz. Ja teraz nie pojedę, a ty spadaj. I nie zapomnij zabrać chłopaka.

— Nie — powiedział Kwadryga. — Bez ciebie się nie ruszę.

— W takim razie przestań dygotać i przynieś coś do żarcia — polecił Wiktor. — Chleb się w kamień jeszcze nie przemienił.

Chleb się w kamień nie przemienił. Konserwy również pozostały konserwami i to dobrymi konserwami. Jedli, a żołnierz opowiadał ile się najadł strachu przez ostatnie dwa dni, o latających mokrzakach, o inwazji dżdżownic, o dzieciach, które w ciągu dwóch dni stały się dorosłymi ludźmi, o swoim przyjacielu szeregowcu Krupmanie dziewiętnastoletnim chłopcu, który ze strachu sam się postrzelił... i jeszcze o tym jak do wartowni przyniesiono obiad, postawiono na kuchni, żeby się odgrzał, jak obiad stał dwie godziny na ogniu, w ogóle się nie zagrzał i jedli zimny... dzisiaj objąłem wartę o ósmej wieczorem, deszcz jak z cebra, razem z gradem, nad obozem pozaregulaminowe światła, muzyka jakaś nieludzka i jakiś głos wciąż mówi i mówi, mówi, mówi, a co mówi nie wiadomo, słowa nie można zrozumieć.

A potem ze stepu wyszły wirujące słupy i prosto do obozu. Ledwie weszły, jak otwarła się brama i wylatuje za bramę pan kapitan na swoim samochodzie. Nie zdążyłem nawet stanąć na baczność, widzę tylko, że pan kapitan na tylnym siedzeniu bez czapki, bez płaszcza bije kierowcę po karku i wrzeszczy:

— „Prędzej sukinsynu — wrzeszczy. — Prędzej!”

Coś mnie ścisnęło w środku, jakby mi ktoś powiedział — uciekaj, pryskaj stąd, bo inaczej zostanie z ciebie mokra plama. No to zwałem. I nie drogą tylko prosto, przez step, przez wąwozy, mało w moczarach nie ugrzęzłem, pelerynę gdzieś to zgubiłem, wczoraj nową pobrałem, ale trafiłem do miasta, a w mieście patrole. Raz ledwie im uciekłem, drugi raz ledwie im uciekłem, dotarłem tu do stacji benzynowej, patrzę — ludzie uciekają, cywilów puszczają bez gadania, a naszych figę, żądają przepustek. No to się zdecydowałem.

Opowiedziawszy swoją historię, żołnierz zwinął się w fotelu i natychmiast zasnął. Męczeńsko trzeźwy Kwadryga znowu zaczął powtarzać, że trzeba uciekać i to natychmiast.

— „Ten tu na przykład” — mówił w kółko wskazując widelcem na śpiącego żołnierza. — „Nawet ten rozumie... A ty jesteś Baniew okropnie tępy, tępy jak głąb. Że też nie czujesz, ja mam po prostu fizyczne uczucie jak od pomocy coś na mnie naciska... Uwierz mi... wiem, że mi nie wierzysz, ale teraz uwierz, przecież dawno wam wszystkim mówiłem — nie wolno tu siedzieć... Golem ci w głowie zawrócił, pijaczyna nosaty... Zrozum, teraz jeszcze jest wolna droga, wszyscy czekają aż się rozwidni, potem wszystkie mosty będą zatłoczone tak jak w czterdziestym... Jesteś uparty jak kozioł, Baniew, zawsze taki byłeś, jeszcze w gimnazjum...”

Wiktor kazał mu iść spać albo wynosić się do diabła. Kwadryga nabzdyczył się, dojadł konserwy i włożył na kanapę i zawinął się w mohairowy pled. Czas jakiś kręcił się, chrząkał, mamrotał apokaliptyczne przepowiednie, a potem ucichł. Była godzina czwarta.

O czwartej dziesiąt światło mignęło i zgasło zupełnie. Wiktor wyciągnął się w fotelu, przykrył jakimis suchymi szmatami i spokojnie leżał patrząc w ciemne okno i nad słuchując. Pojękiwał przez sen żołnierz, pochrapywał umęczony doktor honoris causa. Gdzieś zapewne na stacji benzynowej — ryczały silniki, niewyraźnie coś wykrzykiwały jakieś głosy. Wiktor spróbował zorientować się w tym co się dzieje i doszedł do wniosku, że mokrzaki jednak pokłóciły się z generałem Pferdem, pogonili go z leprozorium, przenieśli swoją rezydencję do miasta i wyobrażają sobie, że jeżeli umieją przemienić wino w wodę i sprowadzać na ludzi upiorny strach to będą umieli przeciwstawić się współczesnemu wojsku... co tam, nawet współczesnej policji. Idioci. Zburzą miasto i sami zginą, ludzi zostawiają bez dachu nad głową. I dzieci... Dzieci zmarzną dranie! I po co? Czego oni chcą? Czyżby znowu walka o władzę? Ech wy, homo super! Mądrzy, utalentowani,... tacy sami dranie jak i my. Jeszcze jeden nowy ład, a czym ład nowszy, tym gorszy — to dobrze wiadomo. Irma... Diana... Poderwał się, namacał telefon. Zdjął słuchawkę. Telefon milczał. Znowu czegoś między sobą nie podzielili, a my którzy nie chcemy być ani z tymi, ani z tamtymi, chcemy tylko, żeby nas zostawiono w spokoju, znowu musimy ruszać w drogę, depcząc się wzajemnie, ratować się, uciekać, albo co gorsza — wybierać czyjąś stronę niczego nie rozumiejąc, nic nie wiedząc, wierzyć na słowo, nawet nie na słowo, a diabli wiedzą na co... strzelać do siebie, zagryzać się nawzajem...

Znane myśli płyną znanym korytem. Tysiące razy już tak myślałem. Przyuczeni jesteśmy. Przyuczeni od dziecka. Albo hurra, hurra, albo idźcie wszyscy do diabła, nikomu nie wierzę. Myśleć pan nie umie panie Baniew, ot co. I dlatego pan upraszcza. Jakikolwiek złożony ruch społeczny napotkałby pan na swojej drodze, na początek próbuje go pan uprościć. Wiarą albo niewiarą. A jeśli pan już wierzy, to do utraty zmysłów, do najwierniejszego szczenięcego skowytu. A jeśli pan nie wierzy to z lubością rzyga pan zatrutą żółcią na wszystkie ideały i na fałszywe i na te najprawdziwsze. Perry Mason mawiał — nie należy się bać dowodów rzeczowych — trzeba się bać ich fałszywej interpretacji. To samo z polityką. Bandydzi interpretują tak jak im jest wygodnie, a my prostaczkowie łykamy gotową interpretację. Dlatego nie umiemy, nie możemy i nie chcemy sami pomyśleć. A kiedy prostaczek Baniew, który nigdy niczego oprócz politycznych bandziorów w życiu nie widział, próbuje samodzielnej interpretacji, to natychmiast daje plamę, ponieważ jest ciemny jak tabaka w rogu, myślenia nikt go nie nauczył, więc naturalnie w żadnych innych kategoriach oprócz bandyckich interpretować nie jest zdolny. Nowy świat, stary świat... i od razu skojarzenia —

nowy ład, stary ład... No dobrze, ale przecież prostaczek Baniew istnieje nie pierwszy dzień, coś niecoś już wiedział, tego i owego się nauczył. Przecież nie jest zupełnym debilem. Przecież jest Diana, Zurtzmansor, Golem. Dlaczego muszę wierzyć faszycie Faworowi, albo temu smarkatemu kmiotkowi, albo trzeźwemu Kwadrydze? Dlaczego koniecznie zaraz krew, gnój i błoto? Mokrzaki wystąpiły przeciwko Pferdowi? Znakomicie! Pogonić go w cholere. Dawno pora... A dzieci nie pozwolą skrzywdzić, to do nich niepodobne... nie rozdierają koszul na piersiach, nie nawołują, żeby się narodowo samookreślić, nie grają na jaskiniowych instynktach... To co najbardziej naturalne, to najmniej przystoi człowiekowi — słusznie, brawo Bol-Kunac, zuch jesteś... i całkiem możliwe, że to nowy świat bez nowego ładu. Strach? Obcość? Ale tak właśnie powinno być. „Tworzysz przyszłość, ale nie dla siebie”. Ale i ja się miotałem, jak goły w pokrzywach, kiedy sparzyła mnie przyszłość! Jak bardzo chciałem zawrócić, znaleźć się tam, gdzie moje minogi i wódka... Nawet wspomnieć przykro, a przecież tak właśnie być powinno. Tak nienawidzę starego świata. Nienawidzę jego głupoty, jego obskurantyzmu, jego faszystów. Ale czym jestem bez tego wszystkiego? To mój chleb i moja woda. Oczyszczyć świat wokół mnie, sprawcie, żeby stał się takim, jakim chcę go widzieć, wówczas nastąpi mój koniec. Wychwalać nie umiem, nienawidzę wychwalania, a wymyślać nie będę miał komu, nie będę miał kogo nienawidzić — smutek, śmierć... Nowy świat — surowy, sprawiedliwy, mądry, sterylnie czysty — nie jestem mu potrzebny, jestem dla niego zerem. Byłem mu potrzebny, kiedy o niego walczyłem... a jeśli ja mu nie jestem potrzebny, to i wzajemnie, ale jeśli jest mi niepotrzebny, to dlaczego o niego walczę? Ech, gdzie te dobre stare czasy, kiedy można było oddać życie za budowanie nowego świata, ale umrzeć w starym. Akceleracja, wszędzie akceleracja... Ale nie sposób walczyć przeciw, nie walcząc za! No a to znaczy, że kiedy rąbiesz las, najmocniej podcinasz właśnie gałąź, na której siedzisz.

...Gdzieś w ogromnym pustym świecie płakała dziewczynka powtarzając żałośnie: nie chcę, nie chcę, to niesprawiedliwie, z tego, że będzie lepiej, jeśli tak ma być to niech nie będzie lepiej, niech zostaną, niech będą, czy naprawdę nie można zrobić tak, żeby zostali z nami, jakie to głupie, jakie bezsensowne... Przecież to Irma, pomyślał Wiktor. „Iima!” — krzyknął i obudził się.

Kwadryga chrapał. Deszcz za oknem ustał i jakby przejaśniało. Wiktor podniósł do oczu zegarek. Świejące wskazówki pokazywały za kwadrans piątą. Ciągnęło przenikliwym chłodem, należałoby wstać i zamknąć okno, ale już się zagrzało i nie chciało mu się ruszać, powieki pomimo woli opadły mu na oczy. Ni to we śnie, ni to na jawie, gdzieś w pobliżu przejeżdżały samochody, jeden za drugim jechały samochody, samochody wlokły się błotnistą drogą po wybojach, przez bezkrajne bagniste pole pod szarym brudnym niebem, wzdłuż pochylonych słupów telegraficznych, z których zwisały zerwane druty, obok rozbitego działa z lufą zadartą do góry, mijając resztki osmalonego komina, na którym siedziały najedzone wrony i przejmująca wilgoć przeciekała pod brezent, pod płaszcz, strasznie chciało się spać, ale spać nie było można, dlatego że powinna przejeżdżać Diana, a furtka zamknięta, w oknach ciemno, pomyślała że mnie tu nie ma i pojechała dalej, a on wyskoczył przez okno i ze wszystkich sił rzucił się w pogoń za samochodem i krzyczał tak, że omal żyły nie popękały mu w skroniach, ale okazało się, że obok jadą czołgi z łoskotem i szczękiem, więc nie słyszał nawet samego siebie, a Diana pojechała tam, w stronę przeprawy, gdzie wszystko płonęło, gdzie ją zabiją i on zostanie sam, w tym momencie rozległ się przenikliwy świst bomby, prosto w głowę, w mózg... Wiktor skoczył do rowu i spadł z fotela.

To kwiczał R. Kwadryga. Rozkraczony przed otwartym oknem patrzył w niebo i kwiczał jak baba, było widno, ale nie było to dzienne światło — na uświnionej podłodze leżały równe jasne prostokąty. Wiktor podbiegł do okna i wyjrzał. To był księżyc, lodowaty, maleńki, oślepiająco jasny. Było w nim coś niewypowiedzianie przerażającego, do Wiktora nie od razu

dotarło, co mianowicie. Niebo zasnuwały chmury, ale w tych chmurach ktoś wykroił starannie równiutki kwadrat, w centrum tego kwadratu był księżyc.

Kwadryga już nie kwiczał. Zatchnął się krzykiem i wydawał z siebie tylko słabe skrzypliwe dźwięki. Wiktor z trudem nabrał powietrza w płuca i nagle poczuł złość. Co oni tu urządzają — cyrk, czy jak? Za kogo oni mnie biorą? Kwadryga wciąż skrzypiał.

— Przestań! — ryknął Wiktor z nienawiścią. — Co ty kwadratów nie widziałeś? Malarz gówniany! Fagas!

Złapał Kwadrygę za mohairowy pled i potrząsnął z całej siły. Kwadryga upadł na podłogę i zmarł.

— No więc — powiedział nagle nieoczekiwanie jasno i wyraźnie. Ja mam dosyć.

Wstał na czworaki i wprost z tej pozycji wystartował niczym sprinter. Wiktor znowu wyjrzał przez okno. W głębi duszy miał nadzieję, że mu się przewidziało, ale nic się nie zmieniło i nawet wypatrzył w prawym dolnym kącie kwadratu gwiazdkę nieomal zatopioną w księżycowym blasku. Było świetnie widać mokre krzaki bzu, nieczynną fontannę i alegoryczną rybę z marmuru, bogato zdobioną bramę, a za bramą czarna wstęga szosy. Wiktor usiadł na parapecie i pilnując, żeby nie trzęsły mu się palce — zapalił papierosa. Mimochodem zauważył, że żołnierza nie ma w holu — może zwiął, a może schował się pod kanapę i tam umarł ze strachu. W każdym razie jego automat leżał na poprzednim miejscu i Wiktor zachichotał histerycznie, zestawiając to nieszczęsne żelastwo z siłami, które wykonały kwadratową sztolnię w chmurach. Ale sztukmistrze. Nie — e, jeśli nawet nowy świat polegnie, to ten stary dostanie niezły wycisk... i prawdę mówiąc to dobrze, że mam pod ręką automat. Może to i głupie, ale z nim czuję się jakoś pewniej. I jeśli pomyśleć — to wszystko nie jest takie głupie. Przecież jasne jak słońce — nadchodzi wielka ucieczka, wisi w powietrzu, a kiedy trwa wielka ucieczka, zawsze lepiej trzymać się z boku i mieć przy sobie broń...

Na podwórzu zaryczał silnik — zza rogu wyskoczyła wielka nieskończenie długa limuzyna Kwadrygi (osobisty prezent od pana prezydenta za bezinteresowną służbę wiernym pędzlem) i na łeb na szyję popędziła w kierunku bramy, wywaliła ją z trzaskiem, wypadła na szosę, skręciła i znikła.

— Jednak zwiął bydlak — mruknął Wiktor nie bez zawiści. Zszedł z parapetu, powiesił na ramieniu automat, zarzucił płaszcz i zawołał żołnierza. Żołnierz nie odezwał się. Wiktor zajrzał pod kanapę, ale tam leżał tylko mundur zwinięty w bury toboł. Wiktor zapalił jeszcze jednego papierosa i wyszedł na dwór. W krzakach bzu, obok wyrwanej bramy znalazł ławkę dziwnego kształtu, ale bardzo wygodną i co najważniejsze — było z niej świetnie widać szosę. Usiadł, założył nogę na nogę i starannie owinął się płaszczem. Początkowo szosa była pusta, potem przejechał samochód, drugi, trzeci i Wiktor zrozumiał — wielka ucieczka się rozpoczęła.

Miasto pękło jak wrzód. Na czele uciekali wybrańcy, uciekał magistrat i policja, uciekał przemysł i handel, sąd i akcyza, finanse i powszechna oświata, poczta i telegraf, uciekały złote koszule wszyscy w kłębach śmierdzących spalin, w poszczekiwanii rur wydechowych, rozczochrani, agresywni, rozwścieczeni i tępi kombinatorzy, dorobkiewiczze, słudzy ludu, ojcowie miasta z wyciem syren samochodowych, w histerycznym jęku klaksonów — szosa ryczała, gigantyczny furunkuł wciąż wyciekał i wyciekał, a kiedy spłynęła ropa, popłynęła krew — ludzie na zatłoczonych ciężarówkach, w przeciążonych autobusach, w załadowanych małowitrazówkach, na motocyklach, na rowerach, na wózkach, na piechotę przygięci ciężarem tobołów, popychający ręczne wózki, pieszo, z pustymi rękami, posępni, milczący, zagubieni, zostawiając swoje domy, swoje pluskwy, swoje niewielkie szczęście, ułożone życie, swoją przeszłość i swoją przyszłość. Za ludźmi odstępowało wojsko, powoli przejechał łązik z oficerami, transporter opancerzony, dwie ciężarówki z żołnierzami i nasze najlepsze na

świecie polowe kuchnie, a ostatnia jechała pancerka na gąsienicach z karabinami maszynowymi skierowanymi do tyłu.

Świtało, księżyc pobladał, straszny kwadrat rozplynał się, chmury topniały, nadciągał świt. Wiktor poczekał około kwadransa, nikogo się więcej nie doczekał i wyszedł za bramę. Na asfalcie poniewierały się brudne szmaty, czyjaś rozwalona waliza — w bardzo dobrym gatunku, od razu widać jakaś władza ją zgubiła, koło od furmanki, a nie opodał, na poboczu — sama furmanka ze starą dziurawą kanapą i fikusem. Pośrodku szosy, dokładnie naprzeciwko bramy — samotny kalosz. Dookoła pusto. Wiktor spojrzał w stronę stacji benzynowej. Nie było tam już ani jednego samochodu, ani jednego człowieka. W ogrodach zaczęły śpiewać ptaki, wstawało słońce, którego Wiktor nie widział już ze dwa tygodnie, a miasto — kilka lat. Ale teraz nie było komu patrzeć na słońce. Znowu rozległ się warkot motoru i zza zakrętu wynurzył się autobus. Wiktor zszedł na pobocze. To byli „Bracia w sapiencji” — przepłynęli obok jednakowo odwracając w jego stronę obojętne, bezmyślne twarze. Otóż i koniec, pomyślał Wiktor. Dobrze byłoby się napić. Gdzie jest Diana?

Wolno na powrót ruszył do miasta.

Słońce było po prawej stronie, to skrywało się za dachami willi, to bryzgało ciepłym światłem poprzez gałęzie na wpół zgniłych drzew. Chmury znikły i niebo było zdumiewająco czyste. Ziemia parowała lekką mgiełką. Było idealnie cicho i Wiktor zwrócił uwagę na dziwne, ledwie dostyszalne dźwięki, dobiegające jakby spod ziemi — słabe potrzaskiwanie, szuranie, szelest. Ale potem przywykł i zapomniał o tym. Ogarnęło go zdumiewające poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Szedł jak pijany i prawie przez cały czas patrzył w niebo. W Alei Prezydenta zatrzymał się obok niego jeep.

— Niech pan wsiada — powiedział Golem.

Golem był szary ze zmęczenia i jakiś przygnieciony, a obok niego siedziała Diana, również zmęczona, ale i tak prześliczna, najpiękniejsza ze wszystkich zmęczonych kobiet.

— Słońce — powiedział Wiktor uśmiechając się do niej. — Spójrzcie.

— On nie pojedzie — powiedziała Diana. — Uprzedzałam pana, Golem.

— Dlaczego nie pojedzie? — zdziwił się Wiktor. — Pojadę. Tylko po co mam się śpieszyć?

Nie wytrzymał i popatrzył na niebo. Potem za siebie, na pustą ulicę. Wszystko było zalane słońcem. Gdzieś polami wlekli się uciekinierzy, z łoskotem cofała się armia, wiała władza, tam były korki, fruwały przekleństwa, bezmyślne komendy i groźby, z pomocy na miasto ciągnęli zwycięzcy, a tu był pusty pas spokoju i bezpieczeństwa, kilka kilometrów pustki, a w tej pustce samochód i troje ludzi.

— Golem, czy to idzie nowy świat?

— Tak — powiedział Golem. Wpatrywał się w Wiktora spod spuchniętych powiek.

— A gdzie są pańskie mokrzaki? Idą na piechotę?

— Mokrzaków nie ma — odpowiedział Golem.

— Jak to — nie ma? — zapytał Wiktor. Spojrzał na Dianę. Diana odwróciła w milczeniu twarz.

— Mokrzaków nie ma — powtórzył Golem. Głos miał zdławiony i Wiktorowi nagle się wydało, że za chwilę zapłacze. — Może pan uważać, że ich nie było i nie będzie.

— Znakomicie — powiedział Wiktor. — No to chodźmy na spacer.

— Jedzie pan, czy nie? — ospale zapytał Golem.

— Ja bym pojechał — powiedział uśmiechając się Wiktor — ale muszę jeszcze wpaść do hotelu, zabrać maszynopis... i w ogóle rozejrzeć się... Wie pan Golem, mnie się tu podoba.

— Ja też zostaję — powiedziała nagle Diana i wysiadła z samochodu.

— Co ja tam będę robić?

— A co pani będzie robić tu? — zapytał Golem.

— Nie wiem — powiedziała Diana. — Ale nie mam teraz nikogo na świecie oprócz tego człowieka.

— No dobrze — powiedział Golem. — On nie rozumie. Ale pani...

— Przecież on musi zobaczyć — zaprotestowała Diana. — Nie może wyjechać zanim nie zobaczy...

— O właśnie — podchwycił Wiktor. — Po jakiego diabła jestem potrzebny jeśli nie zobaczę? Przecież to moja specjalność — patrzeć.

— Posłuchajcie dzieci — powiedział Golem. — Czy wy zdajecie sobie sprawę na co się decydujecie? Wiktor, przecież mówiłem — niech pan zostanie po swojej stronie, jeśli ma być z pana jakiś pożytek. Po swojej!

— Ja całe życie jestem po swojej stronie — powiedział Wiktor.

— Tutaj to będzie niemożliwe.

— Zobaczymy — powiedział Wiktor.

— O Boże — powiedział Golem — jakbym ja nie miał ochoty zostać!

Ale trzeba przecież choć trochę pomyśleć! Trzeba odróżniać do diabła, na co ma się ochotę i co się musi... — jakby przekonywał siebie samego.

Eh, wy... No to zostawajcie. Życzę przyjemnego spędzenia czasu. Wrzucił bieg. — Diano, gdzie jest zeszyt? A, tutaj. Zabieram go ze sobą.

Pani nie będzie potrzebny.

— Tak — powiedziała Diana. — On tego właśnie chciał.

— Golem — zapytał Wiktor. — A pan dlaczego ucieka? Przecież ten świat to jest to, o co panu chodziło.

— Ja nie uciekam — surowo powiedział Golem. — Ja jadę. Stąd, gdzie już więcej nie jestem potrzebny, tam gdzie jeszcze jestem potrzebny. Nie tak jak wy. Żegnajcie.

I odjechał. Diana i Wiktor wzięli się za ręce i poszli w górę Alei Prezydenta do pustego miasta na spotkanie zwycięzców. Nie rozmawiali, pełną pierśią wdychali nieznane czyste powietrze, mrużyli oczy od słońca i nie bali się niczego. Miasto patrzyło na nich pustymi oknami i to miasto było zadziwiające — pokryte pleśnią, oślizgłe, próchniejące, całe w jakichś złowieszczych plamach, jakby przeżarte egzemą, jakby od wielu lat gniło na dnie morza i oto wreszcie wyciągnięto je na powierzchnię, na pośmiewisko słońcu i słońce naśmiawszy się do woli zaczęło to miasto niszczyć.

Topniały i parowały dachy, blacha i dachówki dymiły rdzawąmgłą i znikwały w oczach. W murach otwierały się szczeliny, rosły obnażające obszarpane tapety, obdrapane łóżka, kulawe meble i wypłowiałe fotografie. Miętko opadając tajały uliczne latarnie, topniały w powietrzu kioski i słupy ogłoszeniowe — wszystko wokół potrzaskiwało cichutko, syczało, szeleściło, stawało się gąbczaste, przezroczyste, przeistaczało w grudkę błota i znikowało. Daleka wieża ratusza zmieniła sylwetkę, stała się lekka, niewyraźna i znikła w niebieskości nieba. Przez chwilę na niebie wisiał sam staroświecki zegar, ale potem znikł on również...

Przepadł mój maszynopis, wesoło pomyślał Wiktor. Dookoła nie było już miasta — gdzieniegdzie sterczały suchotnicze krzaczki, pozostały schorowane drzewa i plamy zielonej trawy i tylko daleko, za mgłą można było domyślić się jakichś budynków, resztek budynków, upiorów domów, a nie opodal byłej jezdni, na ceglanym ganku, który nie prowadził donikąd siedział Teddy, wyciągnąwszy przed siebie chorą nogę, a drewniane kule leżały obok.

— Czołem Teddy — powiedział Wiktor. — Zostałeś?

— Aha — odparł Teddy.

— Czemu?

— A tam — powiedział Teddy. — Napchali się jak śledzie do beczki, nawet nogi nie miałem gdzie wyciągnąć, mówię do synowej — no po co ci idiotko serwantka? A ona na mnie z pyskiem. Plunąłem i zostałem.

— Chcesz iść z nami?

— Co to, to nie — powiedział Teddy. — Ja lepiej sobie tu posiedzę.

Teraz to ze mnie żaden piechur, a co moje, to i tak mnie nie minie...

I poszli dalej. Robiło się gorąco i Wiktor zrzucił na ziemię niepotrzebny płaszcz, strząsnął z siebie zardzewiałe resztki automatu i roześmiał się z ulgą. Diana pocałowała go i powiedziała: „Dobrze!”. Nie zaprzeczał. Szli i szli pod błękitnym niebem, pod gorącym słońcem, po ziemi, która już zazieleniła się młodą trawą i przyszli na miejsce, gdzie był hotel. Hotel wcale nie znikł — nadal stał ogromny szary sześcian z szorstkiego betonu i Wiktor pomyślał, że to jest pomnik, a być może słup graniczny między starym a nowym światem. I ledwie to pomyślał zza bryły betonu bezdźwięcznie wystrzelił odrzutowy myśliwiec z emblematem Legii na kadłubie, bezdźwięcznie śmignął nad głowami, skręcił w pobliżu słońca i znikł i dopiero wtedy nadleciał piekielny świszczący ryk, uderzył w uszy, w twarz, w duszę, ale naprzeciw już szedł Bol-Kunac z wypłowiałym od słońca wąsikiem na opalonej twarzy, a opodal szła Irma też prawie dorosła, bosa, w lekkiej prostej sukience z witką w ręku. Popatrzyła w ślad za myśliwcem, uniosła witkę jakby brała na cel i powiedziała: „Keh-ch!”

Diana roześmiała się. Wiktor spojrzął na nią i zobaczył, że to jest jeszcze jedna Diana, zupełnie nowa, taka jakiej do tej pory jeszcze nie znał, nie przypuszczał nawet, że taka Diana jest w ogóle możliwa — Diana Szczęśliwa I wtedy pogroził sobie palcem i pomyślał: wszystko to bardzo pięknie, ale żebym tylko nie zapomniał wrócić.